



Susan Dennard

*Autorka stworzyła świat dokładnie w moim typie.
Tak świetnie, że aż mnie to onieśmiela.*
Victoria Aveyard

KRWIODZIE

SON
Imaginatio

KRWIODZIEJ

Susan Denhard
KRWIODZIEJ

łumaczenie:
Monika Nowak

Kraków, 2019

Dla Whitney

*Tego, co najbliżej, ona nie widzi.
Nici ze splotu wyrwanej, niesionej przez wiatry ognia. Noża
z dwiema stronami.
Krwi na śniegu.*

Fragment Lamentu Eridysi



Czaroziemie

(STAN W 19. ROKU TRWANIA ROZEJMU)

LUSQUE

SVODEN

ZIEMIE SNU

Morze Północne

BALMA

DAWNA REPUBLIKA

Morze Karadińskie

PRAGGA

MAJATEK RODU HASZTELÓW

PRASTUDNIA CARTORRY

PRASTUDNIA ARYTHUANII

POZNIN

ARYTHUANII

Odpryski

IMPERIUM

CARTORRIANSKIE

PORTOLLA

KRIT

OSADA MIDENZI

VENAZA

IMPERIUM DALMOCKIE

ONTIGUA

Klasztor Caraweński
Zakon Siostr Wrodzicielok

PRASTUDNIA CARAWENU

AZMIR

PRASTUDNIA MARSTOKU

IMPERIUM MARSTOCKIE

PIASKOWE MORZE BAEDYED

Śródmorze

Morze Jadańskie

NUBREVNA

ILLYRIA

Sto Wysp

PRASTUDNIA NUBREVNY

LEINA

LOVAE

Zatoka Saldonicka

PIRACKA REPUBLIKA SALDONIKI

plac 2014



TRZYNAŚCIE LAT TEMU

Może dzisiaj będzie inaczej.

Wybrzmiały trzy uderzenia dzwonu, a chłopiec nadal hasa z pozostałymi dziećmi. Razem jest ich sześcioro. Dziś po raz pierwszy pozwolono mu się z nimi bawić w lisa i kurę.

No i nigdy dotąd tak często się nie uśmiechał. Aż go bolały policzki, ale nie potrafi przestać.

Lizl jest coraz bliżej. W tej rundzie to ona jest lisem, a chłopiec jedyną kurą, która pozostała. Dziewczynka się śmieje. Chłopiec się śmieje. Przyjemne uczucie pulsuje mu w klatce piersiowej, bulgocze w gardle niczym źródło za dormitorium.

Nie pamięta, czy wcześniej kiedykolwiek się śmiał. Tak by chciał, żeby ta zabawa nigdy się nie kończyła.

Lizl go dogania. Jest starsza, ma dłuższe nogi i więcej zwinności niż jakikolwiek inny akolita. Chłopiec usłyszał wczoraj przypadkiem, jak jego mentor oświadcza, że być może zostanie przeniesiona na kolejny poziom szkolenia.

Dłoń Lizl ląduje na ramieniu chłopca.

– Mam cię! – Jej palce wbijają się w luźny materiał klasztornej tuniki. Pociąga za niego, zmuszając chłopca do zatrzymania się.

Ten się śmieje. Cóż za wysoki, radosny dźwięk. Boli go już nawet brzuch, a co dopiero policzki!

Dopiero po chwili dostrzega, że Lizl się nie rusza. Jest zbyt szczęśliwy, aby obudził się drzemiący w nim potwór.

Ale wtedy Kerta, pierwsza złapana kura, woła:

– Lizl? Wszystko w porządku?

Do chłopca dociera, co się dzieje. Panika bierze nad nim górę, zagłuszając rozum.

Puść, mówi do siebie. Puść, puść, puść. Jeśli tak się nie stanie, Lizl umrze. Tak jak jego pies. Ale to będzie gorsze niż strata Bootsa. To przecież człowiek. Dziewczynka, z którą zaledwie chwilę temu się bawił. To jest Lizl.

– Co jej się stało? – Podchodzi do nich Kerta, jeszcze nie przestraszona. Jest jedynie zdziwiona.

Puść, puść, puść.

– Czemu się nie rusza?

Chłopiec robi chwiejny krok w tył.

– Proszę – mówi do potwora w swoim wnętrzu. A może do Lizl. Albo Kerty. Kogokolwiek, kto sprawi, że w tej dziewczynce znowu zacznie krążyć krew.

Jeśli tak się nie stanie, mózg Lizl przestanie pracować. Ona umrze.

Tak jak Boots.

Kerta dostrzega jego przerażenie, inne dzieci także.

– Co zrobiłeś? – pyta ostro jeden z chłopców.

– Krwiodziej – rzuca inny, łobuz o imieniu Natan, i w tym momencie chłopiec nagle to zauważa. Widzi w ich oczach, że zrozumieli. Głośne wdechy.

Teraz już wiedzą, dlaczego inne dzieci nie chcą się z nim bawić. Teraz wiedzą, dlaczego nie jest szkolony razem z innymi akolitami, lecz w odosobnieniu, tylko on i mniszka Evrane.

Nieważne, że kilka sekund później Lizl krztusi się i upada na bruk. Nieważne, że żyje i że potwór zniknął. Nieważne, że to był wypadek i chłopiec nigdy by jej umyślnie nie skrzywdził.

Nie ma śladu po wcześniejszych uśmiechach. Krzyki, uciezka, nienawiść – to wszystko zaczyna się od nowa, jak zawsze.

Obrzucają go kamieniami, kiedy biegnie w stronę źródelka za dormitorium. Stara studnia, której nikt już nie używa.

Porastają ją cierniowe krzewy, przez które może się przedrzeć tylko on, z tymi swoimi ramionami, które zawsze się goją.

Przeszywają go ukłucia bólu. Krzew ma wyjątkowo grube kolce. Rozprasza go to, tak samo jak ciekąca z rany strużka krwi, kiedy dociera do wody.

Kuca na kamienistym brzegu, zawstydzony, że do zimnej wody skapuje nie tylko krew. Wie, że mnisi nie płaczą.

Jednak gorsze od łez czy od ran na nogach i śladów po kamieniach są obolałe policzki. Pamiątka po tym, co prawie miał. Co miał przez kilka idealnych godzin.

Urodził się jako potwór, umrze jako potwór, a potwory nie mają przyjaciół.

ROZDZIAŁ 1

W deszczu krew wydawała się świeża.

Sącząc się, ciekąc, miejscami nawet płynąc, woda po burzy lądowała na ranach zwłok, które wyglądały, jakby tu leżały od kilku dni. Granitowe podłoże skalne nie przyjmowało wody, dlatego rzeka krwi spływała w dół, gromadząc się u stóp Aeduana. Tak wiele zmieszanych zapachów, tak wielu nieboszczyków.

To już trzecia masakra, na którą się natknął w ciągu dwóch tygodni. Trzeci raz podążył za wonią jatki, trzeci raz obwąchał wilgotne jaskinie i zaciśnięte na mieczach dłonie. Doganiał napastników.

Doganiał ludzi swojego ojca.

Cztery rany w brzuchu Aeduana tryskały krwią z każdym oddechem. Powinien był zostawić te strzały, tam gdzie go trafiły, pozwolić, aby więziodziejka wyjęła je swoimi ostrożnymi dłońmi, a nie samemu je wyrywać, jak tylko przebiły się przez powłokę brzuszną. Ale dwa tygodnie to za krótko na zmianę dwudziestoletnich nawyków.

Do tego nie spodziewał się zadziorów.

Aeduan oddychał urywanie, deszcz wdzierał mu się do otwartych ust. Nic go tu nie trzymało, a zapach, na którego znalezienie liczył – ten, który tropił od dwóch tygodni, coraz głębiej zapuszczając się w Góry Sirmayańskie – nie znajdował się w pobliżu. Wyczuwał naznaczający jej krew zapach wrzosu i dojmująco trudnych wyborów, ale tej kobiety już tu nie było. Zakładał, że zniknęła jeszcze przed atakiem, inaczej ona także leżałaby pośród martwych ciał.

Nim Aeduan zdążył się odwrócić od zwłok i pokuśtykać w stronę lasu, z którego się przed chwilą wyłonił, w nosie załaskotał go jakiś zapach. Z lekka znajomy, jakby kiedyś napotkał jego właściciela i postanowił umieścić go w swojej pamięci.

Zapach był ostry. Ten ktoś nadal żył.

Aeduan w mgnieniu oka zmienił kierunek. Trzydzieści cztery ostrożne kroki nad pokieroszowanymi ciałami. Deszcz wpadał mu do oczu, co rusz musiał mrugać. W pewnym momencie skaliste podłoże ustąpiło miejsca dywanowi zabarwionego na czerwono mchu. Kolejne ciała, w różnym wieku, leżące pod różnymi kątami, tak gęsto, że świadczyło to o próbie ucieczki. Na plecach kwadratowe nomatsańskie tarcze, które nie uchroniły jednak od ataku z przodu.

Gdzie się nie obejrzał – krew i niewidzące, otwarte oczy.

Szedł między ciałami, aż w końcu dotarł do kołyszących się na wietrze sosen. Wyłapany wcześniej zapach był tu intensywniejszy. Poruszał się powoli, ponieważ zasłane igłami podłoże okazało się niebezpiecznie śliskie po burzy. Aeduan nie chciał się przewrócić. Może i rany goiły się na nim jak na psie, zrastały mu się wszystkie kości, ale to nie znaczyło, że nie czuł wtedy bólu.

A to osłabiało jego magię, i z tym był teraz problem. Najtrudniej goiły się właśnie rany brzucha.

Krwiodziej zrobił wdech. I wydech. Liczył, czekał, patrzył, jak krew skapuje mu z ran, a świat się oddala. Nie był sobą – ani psychicznie, ani fizycznie.

Szedł dalej.

Wtedy, ponad odległymi dźwiękami grzmotów dochodzących od południa, dosłyszał jęk człowieka.

– Pomocy.

Wszystkie jego zmysły uległy gwałtownemu wyostrzeniu, wyprostował się i poczuł nową energię.

Przyspieszył. Woda rozpryskiwała mu się pod butami. Po niebie przetoczył się kolejny grzmot. Szedł ścieżką wijącą się między sosnami, których pnie trzeszczały niczym statki na morzu – ścieżka Nomatsów. Wiedział, że może się spodziewać pułapek, takich jak te, na które wpadł rano obok powojów.

– Pomocy.

Głos, jakkolwiek słaby, znajdował się coraz bliżej – tak samo jak zapach krwi umierającego mężczyzny. Należał do mnicha. Przekonał się o tym, kiedy w końcu dotarł do strumienia. Trzy kroki dalej, w górę skalistego wzgórza, leżała na ziemi biała szata z rdzawoczerwonymi plamami. A trzy kroki za nią właściciel szaty opierał się plecami o powalone drzewo i trzymał się za brzuch.

Rany jak u Aeduana, zadane przez pułapki mające chronić plemię Nomatsów. Tyle że w przeciwieństwie do niego mężczyzna nie wyciągnął strzał.

Przez krótką chwilę rozważał udzielenie pomocy temu człowiekowi. Mógłby wykorzystać resztki swojej mocy i powstrzymać krwawienie. Zrobił już tak z Evrane, czemu więc tego nie powtórzyć. Od Tirli, najbliższego większego miasta, dzieliło go najwyżej pół dnia drogi.

Nawet jeśli w obecnym stanie udałoby mu się utrzymać swoją moc, nic nie zaleczy rany po mieczu na udzie mnicha. Tętnicę udową miał całą poszarpaną i choć deszcz padał na tyle intensywnie, aby oczyszczać ranę, krew tym szybciej się wypompowywała.

Temu człowiekowi zostało najwyżej kilka minut życia.

– Demon – wykrztusił. Z kącików ust spłynęła mu krew. – Pamiętam... pamiętam cię.

– Kto to zrobił? – zapytał Aeduan. Nie chciał tracić czasu na imiona czy bezużyteczne wspomnienia. Do zabijania najlepiej byli wyszkoleni Caraweni. A jeśli ktoś mógł mu pomóc w zrozumieniu, co ma oznaczać ta rzeźnia, to właśnie ten umierający mężczyzna.

– Purytanie.

Krwiodziej zamrugał. Krople deszczu skapnęły mu z rzęs. Purytanie byli co prawda paskudni, ale nie słynęli z przemocy. Chyba że...

Chyba że ci Purytanie to wcale nie Purytanie.

– Pomocy – zajęczał błagalnie mnich, chwytając się za zranione udo.

Na ten widok gardło Aeduana ścisnął gniew. Najemnicy bez strachu oddawali się w objęcia Otchłani, nie błagali. Patrząc na zasnuwającą oczy mężczyzny desperację, poczuł niechęć. A mimo to jego magia zaczęła się wyłaniać, otulając sobą biały ogień i rdzawe żelazo, które czyniły mnicha tym, kim był. Daremny wysiłek, w żyłach tego człowieka pozostało tak mało krwi, że Aeduan miał wrażenie, iż próbuje schwytać wiatr. Bez względu na to, jak bardzo się starał, jego magia napotykała na pustkę.

– Czemu nie użyłeś swojego kamienia? – zapytał i spojrzał na ucho rannego. Na połyskujący na nim caraweński opal, który w razie niebezpieczeństwa może przywołać innych mnichów.

Mężczyzna ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Zas... koczanie. – Zakrztusił się krwią. Z każdym oddechem twarz miał coraz bledszą. – Lepiej... wyszkoleni.

Niemożliwe, miał ochotę rzec Aeduan. Nikt nie był wyszkolony lepiej niż caraweński najemnik. Ale w tym momencie mężczyzna się rozkaszał i sięgnął dłońmi do ust, a do Aeduana dotarło, że to naznaczone oparzeniami ręce kowala.

Mnich rzemieślnik. Najsłabiej ze wszystkich Carawenów przyuczony do walki. Co on tu w ogóle robił, z dala od klasztoru i swojego miejsca pracy?

Już miał go o to zapytać, kiedy z przebitych płuc biedaczyska uszły resztki powietrza. Jego serce się zatrzymało. Z krwi zniknęły wszelkie ślady życia.

Aeduan wpatrywał się w kolejne gnijące na deszczu zwłoki.

ROZDZIAŁ 2

Iseult podejrzewała, że on już nie wróci. Czekala całą noc – od zmierzchu, kiedy Aeduan udał się na inspekcję ścieżki.

Zaszło słońce, wzeszedł księżyc, przyszedł deszcz. Zaszedł księżyc, deszcz osłabł. W końcu nad zboczne góry zawitały mgła i świt. Nadal ani śladu Aeduana.

Wiedziała, że z logicznego punktu widzenia było mało prawdopodobne, aby nigdy nie wrócił. Po tym wszystkim, przez co razem przeszli, czemu miałby ją teraz porzucić? Przez dwa tygodnie trwał przy jej boku. Prowadził ją i Sowę w coraz wyższe partie Gór Sirmayańskich z własnej woli, bez perspektywy otrzymania za to zapłaty.

Gdzieś w głębi Iseult potrafiła jednak znaleźć tysiąc powodów, dla których krwiodziej miałby już nie wrócić. Tysiąc powodów, dla których o zmierzchu zagłębił się w zamglony las i do tej pory z niego nie wyszedł.

Kiedy pierwsze promienie słońca omiatały górskie szczyty, za najbardziej prawdopodobne uznała, że nie wrócił nie z wyboru, lecz padł ofiarą napadu.

Albo z powodu ran.

Albo śmierci.

Ostatnia ewentualność sprawiła, że więziodziejka zaczęła krążyć po niewielkiej polanie obok ich obozu. Dziesięć kroków w jedną stronę. Obrót. Dziesięć kroków w drugą. Obrót. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z wąskiego wejścia prowadzącego do suchej, maleńkiej jaskini utworzonej przez Sowę. Wewnątrz niej należący do dziewczynki górski nietoperz, Blueberry, tulił się do śpiącego dziecka, niewiele miejsca zostawiając dla kogokolwiek innego.

Nie żeby Iseult dała radę zasnąć, gdyby się tam skryła. Od wielu dni sen to jej wróg. Od czasu, kiedy do jej snów wślizgnął się ogień i kontrolujący go głos. „Spal ich”, szeptała łypiąca chytrze twarz

trawiona ogniem. Przychodziła do niej każdej nocy. „Spal ich wszystkich”.

Próbowała go rozszczepić we śnie. Próbowała odciąć jego nici i zniszczyć magię ognia, tak jak to zrobiła na Ziemi Niczyjej, ale ten człowiek jedynie się śmiał, a płomienie uchodziły jeszcze wyżej. Płomienie, które były aż nadto rzeczywiste, o czym dowiedziała się już pierwszej nocy, kiedy Aeduan ją obudził. „Zabłąkany żar z ogniska – powiedział – i zbyt dużo leżącej w pobliżu podpałki”.

Iseult nie próbowała wyprowadzać go z błędu. Więcej już nie zasnęła i ten brak snu sprawił, że nie miała także jak porozmawiać z Esme o tym, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego ogniodziej, którego zabiła, teraz w niej mieszka? Jednak dzisiejszej nocy w oczach Iseult nie było wyczerpania. Pragnęła opuścić obóz – wkroczyć między sosny dokładnie tak jak Aeduan i przeszukać każdy fragment zacienionego terenu, nawet jeśli wiedziała, że to na nic: krwiodziej był zbyt dobrze wyszkolony, aby pozostawiać za sobą ślady.

Poza tym nie mogła przecież opuścić Sowy.

Albo Aeduan wróci, albo nie, a ona będzie tak maszerować wte i wewte, dopóki nie uzyska odpowiedzi.

Najpierw go usłyszała, a dopiero potem zobaczyła. Było to tak nietypowe dla tego przesadnie ostrożnego krwiodzieja, że aż dobyteła z pochwy kordelas. W tych lasach kryły się niedźwiedzie. I górskie koty. A w przeciwieństwie do ludzi nie miały nici Więzi, które powiedziałyby Iseult, co zwierzęta czują i z kim są powiązane.

Jednakże zza linii lasu nie wyłoniło się pozbawione nici zwierzę, lecz pozbawiony nici krwiodziej. W chwili, kiedy między drzewami dostrzegła caraweńską pelerynę Aeduana, zalała ją fala ulgi.

Dotarło do niej, że coś jest nie tak.

Kuśtykał. Kiedy podniósł głowę, jego oczy wydały się mroczne i zagubione.

– Wszyscy nie żyją. – Wypowiedział te słowa niskim i ochrypłym głosem, po czym się zachwiał.

Po uczuciu ulgi ogarnęło ją przerażenie. Był ranny. I to poważnie.

Niewiele myśląc, Iseult dopadła go i objęła za plecy. Jej dłoń napotkała zmoczone deszczem lotki i strzały. Niezliczona liczba grotów wystawała z niego jak igły u jeżowca, a peleryna była cała podarta i w brązowych plamach.

Aeduan wsparł się o więziodziejkę. Oddech miał szybki i urywany. W oczach wirowała mu czerwień. Cokolwiek się działo, jasne było, że długo już nie da rady stać, a Iseult nie chciała, żeby się na nią przewrócił. Właśnie tutaj, kiedy Sowa mogła wyjść ze swojej kryjówki i go zobaczyć. Ta dziewczynka potrafiła zatrzęść ziemią, kiedy się zdenerwowała.

Kawałek wyżej jest strumień, pomyślała Iseult, a w głowie tworzył jej się mglisty zarys planu. Mogę go tam oporządzić. Sowa nas nie znajdzie. Wysuszę mu ubrania w porannym słońcu. Musiała jedynie dopilnować, aby przed dotarciem do wody Aeduan nie stracił przytomności.

W żółtym tempie prowadziła go w górę zbocza. Powieki mu trzepotały, nogi się uginały. Każdy krok sprawiał, że czuła coraz większe ściskanie w żołądku. Miały na to niejaki wpływ także strzały, łącznie siedemnaście, policzyła. Nie trzeba by ich aż tyle, aby zabić zwykłego człowieka, ale on nie był zwykłym człowiekiem.

Miała już okazję widzieć go z taką liczbą grotów w ciele. Tu się działo coś jeszcze. Coś bardzo niedobrego. Z jakiegoś powodu jego rany się nie goiły. Jego magia krwi nie działała zaciskająco i oczyszczająco, nie usuwała strzał i nie zszywała ran, czego Iseult była wielokrotnie świadkiem.

– Jesteś ranny gdzieś jeszcze? – Wypowiedziała to pytanie prosto w jego ucho. Nie odpływaj. Nie odpływaj. – Jest jakaś rana, której nie widzę?

– Strzały – wybełkotał.

Zmieniła taktykę.

– To przez te rany tak długo nie wracałeś?

Jakieś mruknięcie, ledwie zauważalne kiwnięcie głową, a potem:

– Ocalała.

Iseult się spięła.

– Ta kobieta z plemienia Sowy?

Aeduan podążał za zapachem tej kobiety już prawie dwa tygodnie. Dwa razy natknęli się na masakry, a jej zapach nadal gdzieś tam krążył. Iseult szukała odpowiedzi w twarzy krwiodzieja, jednak napotkała jedynie blade policzki i urywany oddech.

– Ta kobieta tam była? – Nie dawała za wygraną, ale kiedy po raz kolejny nie otrzymała odpowiedzi, odpuściła.

Dotarli do strumienia – dzięki ci, Księżycowa Matko – zaczynało ją dopadać zmęczenie. Strach tylko przez jakiś czas jest w stanie dodawać energii zmęczonemu ciału.

Iseult podprowadziła Aeduana do niskiego głązu przy strumieniu. Dzięki deszczowi w przeciągu nocy z ledwie spływającej strużki zmienił się w całkiem spory potok. Napiąwszy wszystkie mięśnie, posadziła krwiodzieja na głązie. Z jego gardła wydobył się jęk, a twarz przeciął ból.

Nawet w świetle płomieni na bitewnym polu albo w blasku księżycy obok latarni morskiej nie widziała go jeszcze tak cierpiącego. Trzymając go za ramię, by się nie osunął, przeszła za niego. Jeśli miała za bardzo nie nabrudzić, musiała odciąć pelerynę...

– Pospiesz się – usłyszała i dała sobie spokój z wcześniejszą myślą. Nie było czasu do stracenia. Miała tylko nadzieję, że Sowa się zbyt szybko nie obudzi.

Uchwyciła pierwszą strzałę i pociągnęła. Miniaturowe zadziory poharatały skórę, trysnęła krew. Aeduan syknął i odchylił głowę, gdy Iseult wyszarpywała groty jeden po drugim.

Kiedy usunęła ostatnią strzałę, biała peleryna w całości zmieniła kolor na czerwień. Aeduan siedział pochylony. Przed upadkiem do wody powstrzymywał go jedynie silny uścisk dłoni Iseult na jego kołnierzu. Zaparła się i pociągnęła. Chciała, by trzymał się prosto i by razem mogli się odsunąć od coraz większej kałuży.

Zamiast tego zachwiał się i zaczął lecieć do tyłu. Mało brakowało, a walnęłoby plecami o ziemię. Nogi ugięły jej się pod jego ciężarem. Wylądowała tyłkiem na kamieniach, plecami i głową uderzyła w głąz.

W oczach stanęły jej łzy.

– Aeduanie. – Nie usłyszała odpowiedzi. Jego magia w końcu zatopiła go we śnie. Obudzi się, dopiero gdy znikną rany.

Iseult została pod nim uwięziona, gdy tymczasem w jej piersi wzbierało... coś.

– Ciężki jesteś – rzekła, próbując go przesunąć. Nie miała już ani odrobiny energii. A przynajmniej niewystarczająco, żeby zrzucić z siebie zakrwawione ciało. Nieruchoma głowa spoczywała na jej ramieniu.

Mimo porannego chłodu emanowało od niego tyle ciepła. Znowu to uczucie w płucach. Ciepłe. Musujące. W końcu wydostało się z niej w piskliwym śmiechu, który, miała wrażenie, dzielą od niej tysiące mil. To spanikowane rozbawienie należało do kogoś innego. Tak samo jak zmęczone ciało i wyczałowany przez ogień umysł. I jeszcze coraz bardziej dojmujący ból głowy.

Iseult znajdowała się niezliczoną liczbę mil od swojego domu, przyszpilona do skał przez człowieka, swego czasu będącego jej wrogiem, gdy tymczasem w budzącym się lesie zaśpiewał strzyżyk, a kawałek niżej spała mała ziemiodziejka i jej nietoperz.

Szkoda, że Safi mnie teraz nie widzi.

Nie była w stanie dłużej walczyć. Powieki jej opadły i świat umilkł.

*

Ogień ryczy. Drewno trzeszczy, wszędzie fruwa żar.

– Biegnij – mówi jego matka i krew kapie jej z ust.

Rozpryskuje się o jego twarz.

Kobieta podpira się splamionymi czerwienią rękami, podnosi się z ziemi. Chce, żeby on się spod niej wyczołgał. Chce, żeby uciekł.

– Biegnij, moje dziecko, biegnij.

On nie biegnie. Nie rusza się. Czeką, tak jak zawsze, aż obejmą go płomienie, a świat spali się żywcem.

*

Nie pierwszy raz Aeduanowi śniły się te koszmary. Uwięziony i zakrwawiony, podczas gdy płomienie przypełzają coraz bliżej. Wachlowało go gorąco, dym palił mu płuca. Ale zamiast płonącego namiotu, do widoku którego był przyzwyczajony, zamiast burzy, która, jak wiedział, wkrótce się rozsiale, odkrył jedynie błękitne niebo i pierzaste chmury. Zamiast woni krwi matki czuł tylko słaby zapach swojej.

Ból w piersi pozostał taki sam. Udręka, która nie chciała, aby się ruszył, walcząca z ostatnimi słowami matki. „Biegnij, moje dziecko, biegnij”.

Aeduan spróbował się obrócić, tak jak to zawsze czynił we śnie. Tyle że w przeciwieństwie do snu teraz jego głowa bez problemu się poruszyła. Nie przygniatały go strzały i śmierć. Teraz, co uświadomił sobie z konsternacją, to on kogoś przygniatał.

Jego otumaniony ogniem wzrok chwiał się i kołysał. Ułożył się głową na czyimś ramieniu? Znał tę twarz. Znał ten profil. Tylko co więziodziejka robiła w jego śnie? Wyglądało to tak, jakby trzymała go w ramionach, i dziwaczność tej myśli sprawiła, że cały jego przerażający sen zaczął odpływać.

Pomarańczowe płomienie i czarny dym zamigotały, ustępując miejsca białej skórze. Była tak blisko; widział popiół na jej rzęsach i czarne włosy pokręcone od gorąca i deszczu. Tak bardzo się zmieniła od czasu, kiedy ją poznał: przy lewym oku blizna w kształcie łyżki od kwasu jodowego, postrzępione, nierówne włosy po pożarach na Ziemi Niczyjej.

Aeduan nie potrafił oderwać od niej wzroku. Ile jeszcze krzywdy jej wyrządzi? Tej więziodziejce, która wcale nie była więziodziejką?

Nie powinno jej tu być, pomyślał. Skoro przebywała w jego śnie, to umrze, tak jak on. Znowu i znowu, aż w końcu nadejdzie deszcz,

a razem z nim Evrane.

Nie chciał, aby umarła. Czy to we śnie, czy w prawdziwym życiu. W przeciwieństwie do niego ona nie była potworem. Nie odrodzi się z ognia. Nie zostanie wskrzeszona.

– Iseult – próbował powiedzieć i ku jego zdziwieniu to imię rzeczywiście spłynęło mu z języka. Delikatne samogłoski. Twarde spółgłoski. Dźwięk i smak pasujące do niej tak doskonale.

Poruszyła się. Jej dłonie, spoczywające na jego bokach, drgnęły. Palce wbiły się w kości biodrowe.

I w tym momencie jego brzuch zmarzł. Płuca ścisnęły się z zimna. Może i skonsumował ich ogień, ale jej dotyk naznaczony był zimą.

– Aeduan – wyrzuciła z siebie i wraz z tym dźwiękiem okalające ich płomienie zadrżały i zniknęły, odsłaniając staw. Znany mu strumień otoczony sosnami i głazami.

Lód w jego wnętrzu jeszcze bardziej stwardniał, nie zapewniając już ulgi.

To nie był sen. Iseult rzeczywiście go obejmowała; naprawdę wypowiedziała jego imię, wcześniej naprawdę otaczały ich płomienie.

Za dużo, aby jego udręczone bólem umysł i ciało były w stanie to ogarnąć. Iseult tak blisko. Jej palce nadal wczepione w jego biodra. Dziewczyna przemieniająca ziemię w popiół.

Wbrew jego najbardziej desperackiemu, gorączkowemu pragnieniu – wbrew intuicji krzyczącej, aby się dobudził – powieki Aeduana opadły. Z jego ust wyslizgnął się jęk.

A potem zapadła ciemność, a płomienie z jego koszmarów raz jeszcze uniosły go ze sobą.

ROZDZIAŁ 3

Dlatego właśnie zmije ubierały się na czarno.

Safiya fon Hasstrel teraz to rozumiała. Na czarnym nie było widać krwi tak jak na białych podłogach.

Najbardziej zaskoczyły ją szybkość i precyzja. W jednej chwili wpatrywała się w pociągłą, końską twarz arystokraty, w drugiej jego głowa leżała na podłodze.

Vanessa zaprosiła go do sali tronowej, bo tak należało, kiedy krewni zjawiali się w odwiedzinach. Kuzyn, kuzyn w drugiej linii, żona ciotecznej babki – wszystkich przyjmowała w cesarskiej sali tronowej. Ten człowiek był kuzynem w trzeciej linii od strony matki Vanessy.

Przyklęknął przed cesarzową, szeleszcząc przy tym purpurową szatą. Okazał się na tyle zuchwały, że postawił obutą w sandał stopę na najniższym stopniu marmurowego podium. Za ledwie kilka kroków od miejsca, w którym stała Safi, odziana w białą suknię, tak samo jak cesarzowa.

Zmierzył ją wzrokiem, wiedział, kim jest Safi. Vanessa nie utrzymywała w tajemnicy, iż ma u swego boku prawdopodobiejkę.

Równie oczywiste było to, że nie wierzył w moce Safi. Wyrażający pewność siebie krok na podium, uśmiech przecinający naznaczoną obwisłymi policzkami twarz, a nawet niespieszny ukłon – to wszystko emanowało sceptycyzmem.

Tak samo zachowywała się większość osób, które Safi poznała w Azmirze: byli przekonani, że ktoś taki jak prawdopodobiejka nie istnieje. Włożyli między bajki historie o nich. Sądziło się, że to legenda, a nie najprawdziwsza dziewiętnastolatka z mięśniami i bliznami godnymi żołnierza.

Mogło być również tak, że kuzyn po prostu wierzył, iż nawet jeśli zostanie przyłapany na kłamstwie, to cesarzowa Marstoku go nie skrzywdzi. Więzy rodzinne... i w ogóle.

– To mój kuzyn, Bayrum de Shards – powiedziała Vanessa pozbawionym emocji tonem, którego używała na dworze. Można było odnieść wrażenie, że każde słowo dobiera nadzwyczaj starannie, aby nie tylko wyraziło dokładnie to, co zamierzała, ale także prezentowało się jako przemyślane.

Jeśli się nad tym zastanowić, Vanessa mówiła w taki sposób nie tylko na dworze.

Siedziała na stołku z żelaza. Żadnej poduszki, żadnych ozdób. Siedzisko bardzo skromne jak na kobietę o tylu tytułach – Cesarzowa Dzieci Płomienia, Wybrana Córka Studni Ognia, Najczcigodniejsza z Marstokczyków, Niszczycielka Przełęczy Kendury... Było tego więcej, ale reszta tytułów wyleciała Safi z głowy.

Sala tronowa cała lśniła nieskazitelną bielą, podobnie jak większość pałacowych pomieszczeń. W żeliwnych kinkietach na ścianach nie tliły ani świece, ani ogniodziejski płomień. Sklepiony sufit, dzieło słynnych azmirskich szklodziejów, zapewniał aż nadto porannego światła.

Vanessa była tu bezpieczna. Wystarczyłby jeden ruch jej ręki, a wszystkie żelazne przedmioty oderwałyby się od ściany i przybrały kształt wskazany przez cesarzową.

Co nie znaczy, by ze zmijami u boku Vanessa potrzebowała dodatkowej obrony. Wokół podium stało ich dwunastu, odzianych w czerń tak ciemną, że zdawała się chłonać światło dnia. Do tego rękawice, chusty na głowę i buty o bezszelestnych podszewkach. Jedynym widocznym fragmentem ich ciała były oczy.

Ci czarni wartownicy nieustannie krążyli wokół swojej cesarzowej, a obecnie także wokół Safi. Jeden z nich, o imieniu Rokesh, został wyznaczony na głównego strażnika prawdodziejki. Towarzyszył jej wszędzie, a ona nie miała pewności, czy jego zadaniem jest zapewnianie ochrony, czy raczej pilnowanie należytego zachowania. Zaczęła go nazywać Piastunką, na co za każdym razem reagował cichym śmiechem.

Od dwóch tygodni, czyli od czasu, kiedy przybyła do Azmiru, Safi wyjątkowo dobrze się zachowywała. Chodziła, gdzie jej kazano; słuchała, kiedy kazano jej słuchać; wyłapywała kłamstwa, kiedy od niej tego oczekiwano. Gdy zaś arystokraci mierzyli ją wzrokiem tak jak Bayrum de Shards, w odpowiedzi grzecznie dygała, mimo że miała wielką ochotę połamać im rękę.

Habim byłby pod wrażeniem jej samokontroli.

– Jak się pan miewa? – zapytała uprzejmie.

Mężczyzna zbył jej powitanie. Odwrócił się w stronę Vanessy i przystąpił do szczegółowego opisu swoich wojaży: przepłynął w burzy Morze Karadińskie, ogniste jastrzębie uwiły sobie gniazda na wybrzeżu, bandyci czaili się na farmach bawełny w pobliżu rzeki... Podczas gdy wyliczał kolejne trudy podróży, Safi uważnie go obserwowała. Bayrum de Shards był kłamcą – nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jego zamiłowanie do wybiegów i oszustw przypalało ją wzdłuż kręgosłupa, drapało od środka, tak jak potrafi tylko dusza niegodna zaufania.

Safi tego właśnie się po nim spodziewała. Na dworze wszyscy kłamali. Bez względu na narodowość czy aktualny rząd. Wujek Eron powiedział jej kiedyś, że gdy w grę wchodzi władza, kłamstwa wyrastają potężne niczym chwasty, zapewniając wygodne życie ich autorom.

Okazało się to prawdą w Imperium Cartorriańskim, w Dalmocji, a teraz także w Marstoku. Kłamstwa nie były oznaką zepsucia duszy, podobnie jak prawda nie świadczyła o jej czystości. Państwami nie dało się rządzić bez szantaży, obietnic bez pokrycia czy przechodzących z rąk do rąk pieniędzy, zwłaszcza państwami tak olbrzymimi jak Imperium Marstockie.

Zadaniem Safi było wykrycie, czy ten kuzyn mógł być częścią spisku mającego na celu obalenie cesarzowej Vanessy. Safi nie wierzyła w ten spisek. Zgoda, w mieście dochodziło do eksplozji i ataków. I owszem, przez Azmir przetaczała się fala... zła i zepsucia, ale to akurat miało związek z buntem baedyedzkich piratów. Była

tego pewna. Przecież to właśnie oni pokazali w Saldonice swoją prawdziwą twarz i już raz próbowali zabić Vanesę.

Nie przekonywało to cesarzowej z jednego prostego powodu – niedawnym atakom nie towarzyszyły okrzyki: „Za Piaskowe Morze! Za Piaskowe Morze!”. Upierała się, że tak się zachowują Baedyedowie. Czyli istniał inny spisek.

Dlatego Safi była zmuszona poznać każdego członka świty, oficera i wszelakie imperialne relacje w Marstoku, nie wspominając o potężnej liczbie wszystkich mieszkańców imperium, którzy przybyli do miasta, by świętować jutrzejsze urodziny cesarzowej.

Początkowo uważała to nawet za zabawne. Coś innego. Nowe twarze, okazja do przetestowania swojego wykszolenia i jednoczesnego odsiania ziarna od plew. Pierwszego dnia z ogromną powagą podeszła do swoich obowiązków, z należytą uwagą słuchała każdego, kto pojawił się na drodze cesarzowej. Wkrótce jednak jakiegokolwiek słowa, prawdy i kłamstwa zlały się w niemający końca bełkot pozbawiony znaczenia.

Drugiego dnia była już mniej skupiona. Gdy nadszedł dzień piąty, darowała sobie słuchanie. Same słowa niewiele wносиły do sprawy. Jeśli miała wykryć na dworze zgniliznę, będzie to musiała zrobić w inny sposób. Rozwiązaniem okazały się trzy pytania – bardzo proste, a mimo to niedopuszczające do zmylenia jej magii, choć w gruncie rzeczy całkiem łatwo dawało się zdezorientować czarodziejstwo Safi. Jej moc przegrywała z silną wiarą we własne słowa. Jej zdolności przechytrzały plotki czy dawne nieprawdy.

Kiedy Bayrum de Shards w końcu zrobił pauzę, aby zaczerpnąć powietrza między zdaniem opowieści o szokująco śmiałej ucieczce przed najeźdźcami, Safi skwapliwie ją wykorzystała.

– Jest pan świadomy traktatu pokojowego z Baedyedami?

Reakcja była natychmiastowa, choć trzeba mu oddać, że na jego twarzy nie pojawiła się panika. Nie drgnął nawet mięsień, nie zadrżała powieka.

– Tak. Słyszałem, że Jej Cesarska Wysokość negocjuje takowe porozumienie.

Prawda, zanuciła magia Safi. Zaskoczyło ją to. Wielu wiedziało o traktacie, najczęściej jednak kłamało w tej kwestii. Nikt nie chciał się przyznać do zawierzenia plotkom.

– A słyszał pan – kontynuowała – o spisku, którego celem jest obalenie cesarzowej i przejęcie tronu?

– Nic konkretnego. – Wzruszenie ramion. – Ale tego typu pogłoski to nic nowego. Tam, gdzie jest władza, zawsze zbierają się muchy. – Uśmiechnął się do Vanessy i choć przeczył temu jego wyraz twarzy, w słowach pobrzmiwała prawda.

– A czy wiedział pan – zapytała w końcu Safi, starannie wypowiadając każde słowo – o eksplozji na statku cesarzowej...

– Wszyscy o niej wiedzą!

– ...zanim do niej doszło? – Musiała podnieść głos, żeby zostać usłyszaną, ale skutek okazał się natychmiastowy.

Pauza, mrugnięcie. Następnie powolne:

– Oczywiście, że nie. Cóż za niedorzeczne pytanie.

Kłamstwo musnęło kark Safi. Podrapało jej głowę niczym paznokcie. Wiedział! A było to możliwe wyłącznie w przypadku osób zaangażowanych w spisek.

Oto stała przed nimi persona odpowiedzialna za to, że dwa tygodnie temu mało nie zginęły. Ona i Vanessa przeżyły; żmije i załoga nie mieli tyle szczęścia.

Safi zerknęła na cesarzową. Władczyni Marstoku zdążyła już przyłgnąć spojrzeniem do jej twarzy. Uniosła jedną brew, pozornie niezainteresowana tym, co może się ześlizgnąć z języka prawdodziejki.

A Safi, tak samo jak wyczuwała kłamstwa kuzyna, potrafiła także dostrzec nieszczerłość cesarzowej. Vanessa była jak przyczajona żmija, czekała na odpowiedź, gotowa do działania.

Safi spuściła głowę.

– Kłamstwo. Wiedział o ataku.

Pstryknięcie palców cesarzowej. Krzyk jej kuzyna. Mężczyzna zaczął unosić ręce, a rękawy zsuwały się, odsłaniając blade nadgarstki i przedramiona.

W ułamku sekundy żelazo wystrzeliło z bransolet na nadgarstkach Vanessy, przybrało kształt dysku i przecięło szyję arystokraty.

Głowa spadła na płytki. Ciało uderzyło o posadzkę. Krew tryskała, gromadząc się w fugach. Wielka kałuża czerwieni rozlewała się po idealnej bieli.

Który biedny sługa będzie to musiał posprzątać? – przemknęło przez myśl Safi. Zastanawiała się także, dlaczego z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Dlaczego z takim spokojem wygładzała fałdy białej sukni? Dlaczego tak się skupiała na trzech plamkach na samym dole, przybierających już odcień brązu? Jakimś cudem udało jej się utrzymać na nogach, a nawet odezwać do Rokeshy, który stanął przed nią, gdy zeszła z podium i skierowała się ku drzwiom.

– Źle się czuję – rzekła Safi. Jej głos wydawał się odległy. W przeciwieństwie do śniadania, które w szybkim tempie podchodziło jej do gardła.

– Może odejść – rzuciła zwięźle Vanessa.

Wystarczyło, że Rokesh klasnął w dłonie, a siedmiu żmijów utworzyło wokół Safi formację w kształcie kwadratu. Gdyby wyciągnęła ręce, dotknęłyby ich czarnych ramion. Stali zwrócenii w stronę drzwi. Safi chciała się oddalić z tego miejsca. Od tego ciała.

A jednak nawet nie drgnęła, myślała teraz wyłącznie o pechowym słudze od zmywania krwi z białej podłogi. Nie zamierzała dodawać mu pracy, przechodząc przez tę kałużę czerwieni. Nie chciała na białych pantoflach metalicznej, lepkiej krwi i wolałaby nie zostawiać śladów na marmurowych płytkach.

Prościej byłoby to obejść. Obejść, obejść, obejść.

Ale nie mogła tak zrobić, nie ze żmijami u boku. Wkroczyli w krwawą kałużę i ona musiała zrobić to samo.

Gdy dotarła do szerokich drzwi, zaczęła biec. Żmije także. Biegli tak przez siedem niemających końca korytarzy, kierując się ku prywatnemu skrzydłu cesarzowej. Apartament Safi znajdował się po sąsiedzku z komnatami Vanessy, a także z prywatną biblioteką, z której dotychczas wolno było korzystać tylko cesarzowej, teraz także Safi. Nie licząc pilnujących każdych drzwi żmijów, Safi mogła liczyć w tym miejscu na odrobinę prywatności.

Której potrzebowała, aby w spokoju zwymiotować.

Prawie jej się to udało. Trzydzieści kroków za bogato zdobionymi dębowymi drzwiami mdłości przejęły nad nią kontrolę. Na korytarzach nie było wielu dekoracji, nie licząc kilku drzewek cytrynowych, kinkietów i dzwoneczków wietrznych. Żadnego miejsca, gdzie mogliby się ukryć zamachowcy, czy kąta, gdzie młoda kobieta mogłaby zwrócić śniadanie.

Nie miała wyboru: zatrzymała się pośrodku korytarza i zgięła w pół. Wylały się z niej kwas i żółć, zdecydowanie gęstsze i nie tak gładkie jak krew kuzyna cesarzowej.

Jeszcze więcej sprzątań.

Kiedy targały nią torsje, żmije stały wokół niej w formacji, zupełnie niewzruszone. Żaden z nich nie zareagował, nawet kiedy odrobina żółci wylądowała na butach Roksha. Nawet jeden nie ruszył z pomocą. Co dobitnie przypominało, że są żołnierzami. A Rokesh to nie piastunka, i z całą pewnością nie przyjaciel.

Cóż, Safi zapewne była równie zdeglustowana swoim zachowaniem jak żmije. Zabiła człowieka. I choć miała już okazję widywać śmierć, ponurą, pełną przemocy i krwi, do tej pory to nie ona była jej przyczyną.

Wytarła usta mankietem sukni i wyprostowała się. Świat się zakołysał, przez chwilę pragnęła, aby choć jeden ze żmijów napotkał jej spojrzenie. W końcu zrobił to Rokesh.

– Ja tego nie chciałam – wyrzuciła z siebie, choć wiedziała, że on się wcale tym nie przejmuje. Mimo wszystko szukała zrozumienia. Powtórzyła więc, tym razem głośniej: – Ja tego nie chciałam!

A potem udała się do swojej komnaty, zostawiając za sobą ślady krwi i wymiocin.

ROZDZIAŁ 4

Merik Nihar piął się coraz wyżej, mijając strzelisty wodogrzmot. Bryzg wody zmoczył mu spaloną słońcem twarz.

– Jeszcze godzina – rzekła Rybera u stóp klifu. – Dotrzemy do Zakonu Sióstr Wzrokodziejek i przeprowadzę was przez urok broniący dostępu do tego miejsca.

Rybera prowadziła Merika i Cam pewnie, bez wahania. Odkąd przed dwoma tygodniami opuścili Lovats, przemierzyli już Góry Sirmayańskie i dotarli w pobliże swego dawnego domu – zaginionego Zakonu Sióstr Wzrokodziejek, o którego istnieniu Merik nie miał pojęcia. Nie wiedział także tego, że Rybera jest jedną z Sióstr.

Woda pieściła jego twarz. Był zmęczony i spragniony – tak bardzo, że wyobraził sobie, jak skacze na główkę do wodogrzmotu i łyka, ile się da, nim poniesie go ze sobą pęd wody.

Obejrzał się na idącą za nim Cam. I jeszcze raz.

– Nic mi nie jest, sir – burknęła dziewczyna. A raczej wrzasnęła, aby przekrzyczeć wodogrzmot. – Proszę przestać tak na mnie patrzeć.

– Przystanę, kiedy ręka ci się zagoi – odparował Merik. Wiedział, że Cam ma dość jego zamartwiania się. Nadopiekuńcza kwoka, tak go nazywała, ale nie widziała przecież, jak blada stała się jej brązowa skóra, odkąd wyjechali z Lovats. Odkąd Dziewiątki obcięły jej mały palec. – Na górze – zawołał – zatrzymamy się i zmienimy opatrunek.

– Dobrze, dobrze, sir. Skoro pan nale...

Wielkie pęknięcie rozdarło ziemię, ciskając Merika na krawędź klifu.

Cam została z niego zdmuchnięta.

Magia Merika instynktownie się obudziła. Podmuch wiatru chwycił dziewczynę, nim ta spadła w przepaść. Przywiał ją prosto

w ramiona księcia.

Trzymał ją mocno, gdy tymczasem skałę dręczyły wstrząsy wtórne. Oboje ciężko dyszeli. Wydawało się, że minęła cała wieczność, nim w końcu ziemia pod ich stopami znieruchomiała, pozostawiając w powietrzu kurz i wodę.

– Sir – wyrzuciła z siebie Cam. W jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie. – Użył pan swojej magii.

– Wiem – odparł, a w tym samym czasie Rybera wychrypiała:

– Nikomu nic się nie stało? – Trzymała się kurczowo występu skalnego, a ciemną skórę miała całą w pyłę.

– Nic! – odkrzyknął Merik, choć wcale nie był tego pewny. Przez dwa tygodnie opierał się wołaniu swojej magii. Także gniewowi Niharów, jako że jedno z drugim miało ścisły związek. Nie potrafił powstrzymać wiatrów, kiedy gniew brał nad nim górę.

Nie umiał także powstrzymać Kullena.

– Jeszcze kawałek. – Rybera wychyliła się i uchwyciła zdrową dłoń Cam. Następnie z pomocą Merika, który pchnął ją od dołu, wciągnęła dziewczynę na wyższy występ.

– Może – zawołała z góry Cam – pierwszy oficer nie zauważył tej magii.

Żaden pierwszy oficer, pomyślał Merik. Chciał, żeby Cam w końcu przestała tak nazywać Kullena. Pierwszego oficera już nie było. Uległ rozszczepieniu w Lejnie. Jego magia pękła, po czym wypaliła go od środka i przemieniła w potwora. Tyle że w przeciwieństwie do pozostałych rozszczepieńców, umierających w ciągu kilku minut, Kullen pozostał przy życiu.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale do jego umysłu wślizgnęła się Furia.

Merik już miał wrócić do wspinaczki, kiedy czaszkę rozdarł mu głos: „A WIĘC TU JESTEŚ”.

Chwycił się za głowę.

„NADCHODZĘ”.

– Sir? – Cam zamrugała. – To pierwszy oficer?

– Tak – warknął. – Ruszaj się.

Tym razem nie stawiał oporu swojej magii. Kullen już ich znalazł. Nabrał powietrza naznaczonego górskim pyłem, po czym wypuścił gorącą spiralę. Podmuchy delikatne, ale wystarczające, by szybciej się przemieszczali. Wystarczające, aby on, Cam i Rybera w mgnieniu oka znaleźli się na szczycie klifu.

Jak tylko dotarli do ostatniego występu, puścili się biegiem. Żadne z nich się nie oglądało. Słyszeli odgłosy zbliżającej się burzy, wyczuwali towarzyszący jej chłód.

Nadchodziła szybko, niemożliwie szybko, razem ze swoją mroczną, przekłętą mocą. Droga, którą Merik, Cam i Rybera pokonywali przez kilka dni, Furii zajmie zaledwie minuty.

Jeszcze przyspieszyli. A raczej próbowali, tyle że Merika dopadły zawroty głowy... i Cam także, sądząc po jej niespokojnych piskach.

– Ignorujcie to – poleciła Rybera. – To część magii. Musicie mi zaufać i poruszać się naprzód. – Ujęła Cam za przedramię, a ta zrobiła to samo z Merikiem. Biegli dalej.

Dotarli do lasu. Przemykały obok nich strzeliste pnie, więzienne kraty, nakazujące poruszanie się wyłącznie przed siebie. Zielone igły wbijały się w czerwoną korę i zaścięłały twardą ziemię. Wszystko kręciło się i wirowało.

Rybera ani na chwilę nie zwolniła, więc Merik i Cam także byli zmuszeni do utrzymania tempa.

Nagle leśne stworzenia rzuciły się do ucieczki. Z nieba spadały pająki i wplątywały się w krótkie włosy Merika. A potem ćmy – gigantyczna chmura kierująca się nie ku niebu, lecz prosto przed siebie. Jak najdalej od Furii.

„Nie sądziłem, że opuścisz Nubrevnę – zanucił Furia w umyśle Merika. – Przez cały ten czas byłem przekonany, że powrócisz na ziemię Niharów. Nie obchodzą cię twoi ludzie?”

Obok Merika przemykały ptaki, myszy, szczury i wiewiórki...

– Szybciej – wysapał, przywołując kolejne wiatry. Zimne podmuchy. Może i świat się chwia, ale jeśli zostanie do tego

zmuszony, będzie walczył.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – zawołała Rybera, a ziemia pod ich nogami ponownie zadrzała.

– Dokąd my w ogóle biegniemy? – wydyszała Cam. – Skoro może za nami przejść przez urok...

– Nie może.

– Już to zrobił. – Wypowiedziawszy te słowa, Merik zatrzymał się i obejrzał. Po leśnym poszyciu przemykała czerń. Tak szybko, że nie dało się jej wyprzedzić. Tak szybko, że nim zdążył się odwrócić, mrok omiótł go całego.

Nadal trzymał za rękę Cam, a Cam nadal trzymała się Rybery.

Biegli.

Nie minęło dużo czasu, a nie docierał do nich już żaden promień słońca. Wokół nich wirowała ciemność. Do tej pory Merik nie miał pojęcia, że istnieje tak wiele odcieni szarości. A potem przez las przetoczył się szron i towarzyszący mu charakterystyczny trzask.

„Gdzie jesteś, Meriku? Dokąd zabrała cię moja sercowież?”

Nawet jeśli Merik by chciał, nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Resztki magii uroku ze wszystkich sił starały się go zdezorientować...

Aż w końcu to zobaczył: szare kamienne mury pośród cieni. Malowała się przed nimi wyciosana w zboczu kaplica, a dostępu do wysokich drzwi broniły młode drzewka i turzycyca.

Rybera zwolniła, puściła Cam i zacisnęła dłoń na rękojeści przytwierdzonego do bioder noża. Nie było czasu na przedzieranie się przez chaszczę. Merik wypuścił w ich stronę swoje wiatry. Wściekły podmuch powyrywał rośliny razem z korzeniami.

Wyłoniły się przed nimi ciemne wrota.

Chwilę później znaleźli się po ich drugiej stronie i zniknęły resztki światła. Otoczył ich chaos. A potem jeszcze wycie coraz szybciej pędzącego wiatru.

– Światło! – zawołała Rybera i mrok rozjaśniła słaba pochodnia.

Merik i Cam zatrzymali się.

– Trzymaj rękę w górze, Cam! – Sam nie wiedział, dlaczego trzymanie zakrwawionej ręki w górze wydawało się czymś najważniejszym w czasie tej ucieczki, kiedy po piętach deptała im śmierć.

Rybera walnęła pięściami w mur.

– Co to tu robi? – zawołała. – Czemu zamknęłyście się przede mną? Jestem Rybera Fortiza, ostatnia Siostra Wzrokodziejka, czemu zamknęłyście się przede mną? – Jeszcze mocniej uderzała w granit. – Nie było mnie tylko rok! Otwierajcie! Musicie otworzyć!

Nic się jednak nie wydarzyło i Rybera odwróciła się gwałtownie w stronę towarzyszy.

– To nie powinno być zamknięte. Nigdy tak nie było! – Jej dłonie pomknęły ku sercu, następnie do twarzy, by po chwili wrócić do serca. – To na pewno dlatego, że podąża za nami... – Urwała, kiedy do kaplicy wślizgnął się szron.

Pochodnia zamigotała i zgasła.

Oto zjawił się Furia.

Merik wepchnął Cam za siebie.

– Zostań z Ryberą – polecił i ku jego bezbrzeżnej uldze dziewczyna tak właśnie zrobiła.

Następnie książę wyszedł przez wrota i zbliżył się do cieni.

– Pozwól im odejść! – Jego głos wydawał się naciągnięty, jakby zimno wysssało z niego całą barwę. – Chcesz przecież mnie, prawda?

– Nie. – Słowo to omiotło szeptem twarz Merika, szczypiąc go w skórę.

Furia wyszedł z cieni. Wokół niego falowało tysiąc ciemnych zmarszczek, sosny łamały się i padały na ziemię. Mimo to Kullen wyglądał jak zawsze. Wysoki, jasne włosy, jeszcze jaśniejsza skóra. Tylko jego oczy uległy zmianie: były czarne, a wzdłuż skroni biegły cienkie linie.

Takie same jak na klatce piersiowej Merika. Paskudne piętno rozszczepionych.

Rybera kochała Kullena tak jak i Merik. Ale w przeciwieństwie do niego ona nie widziała tego potwora, którym się stał, i księżę miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Jakby podążając tokiem myśli Merika, Kullen się uśmiechnął – przybrał na twarzy niehumaniczny grymas rozciągający usta, ale niedocierający do oczu.

– Wiem, że jest z tobą moja sercowieź – wyśpiewał, a jego kroki, kiedy się zbliżał ku Merikowi, były niemal dziarskie. – I czy przypadkiem nie towarzyszy jej młody Leeri? – Jeszcze mocniej się wyszczerzył. – Zawsze był taki lojalny. Ale nikt nie jest równie lojalny jak ja, Meriku.

Wystrzelił wiatr i Merik upadł na ziemię. Rozdarł go ból, a Kullen zbliżył się ze śmiechem.

Tyle że Merik wykorzystał wiatry Furii. Wystarczyły, aby zaatakować i odwrócić uwagę. Poszybował w górę, a czyniąc to, wziął zamach nogą, celując w kolana więziobrata.

Kullen zdążył uskoczyć, oddalając się od drzwi, i Merik na ułamek sekundy zyskał przewagę. Księżę dobył kordelasa i zamachnął się. Bez magii, zwykła, brutalna siła. To jedyne, w czym zawsze był lepszy od Kullena: szermierka. I choć dawny kompan próbował odeprzeć go za pomocą magii, jego wysiłki wydawały się niemrawe. Wymuszone.

Oczywiście wiązała ich rozszczepiająca magia i nici Więzi. Gdyby Merik zginął, taki sam los spotkałby Kullena. A choć Merik nie do końca to rozumiał, nie dało się zaprzeczyć prawdzie, z którą przed dwoma tygodniami w Lovats stanął twarzą w twarz.

Teraz się to powtórzyło. Kullen uskakiwał, unikając ostrza Merika, sam jednak nie atakował.

– Nie zabijesz mnie – oświadczył Kullen, skracając w lewo.

– Zabiję. – Merik wycelował ostrze w szyję Kullena. – Chętnie oddam swoje życie, jeśli dzięki temu ocalę ludzi, których porzuciłeś.

– Zawsze taki odważny, nasz księżę Merik. Zawsze taki święty. Ale pamiętaj: z najwyższej wysokości spadają właśnie święci.

– SIR! – zapiszczała Cam. Jej głos brzmiał brzękliwie i wydawał się odległy. – Drzwi!

Kullen też ją usłyszał. Obaj odwrócili się jak na komendę i jednocześnie pomknęli ku kaplicy. Nie różniło się to niczym od tych setek wyścigów, w jakich brali udział w Niharze jako dzieci, tak samo jak wtedy lepszy okazał się Kullen. Gdy byli już blisko celu, Merik raz jeszcze zamachnął się na przeciwnika. Nie trafił w szyję, ale dziabnął ucho, odcinając czubek. Wrzask Kullena eksplodował w mózgu Merika. Mentalne pięści okładające wszystkie myśli i świadomość.

Zaryczały nad nim cienie. Upadł.

*

Obudził się w samym środku burzy.

Próbował wstać, przechylając się to w lewo, to w prawo. Ciemny deszcz padał mu na skórę. Kiedy niebo przecięła błyskawica, dotarło do niego, że jest skrępowany. Rozległ się grzmot, przetoczył się po jego skórze i wewnątrz czaszki.

Zrobił przewrót w lewo. Cały policzek miał w błocie. Smagała go trawa, zalewał deszcz. Jeśli nie usiądzie, poziom wody wzrośnie. A on utonie.

Jednak nie to napawało go największym przerażeniem. Czynił to głos Kullena, przebijający się przez burzę, brzęczący w jego umyśle.

„W samą porę, więziobracie. Ujrzysz dokładnie to, po co się tu zjawilem”.

Merik podciągnął kolana, wbiwszy ramię w rozmokłą glebę. Nadgarstki miał skrępowane za plecami, nogi w kostkach ciasno związane. Po wielu stęknięciach i jękach jakoś udało mu się wsunąć pod siebie nogi i usiąść.

Otaczała go łąka, podzielona ośmioma gigantycznymi kamieniami na trzy pasy. Prymitywne ociosane kolumny były dwa razy wyższe od człowieka i dwa razy tak szerokie. Nad tą najbliższą fruwał Kullen. Wbiła się w niego błyskawica, wiatr ryczał, wirował.

– Stoją tak tysiąc lat. Tysiąc lat temu wzrokodziejki ukryły przed światem swoje skarby. Ale koniec tego. Kiedy urok zniknie, poprowadzę w to miejsce siły Króla Zdobywcy. – Błyskawica. – I przejmujemy tę śpiącą górę.

Tuż przed tym, zanim Merik zacisnął powieki, nie mogąc dłużej znieść gorąca, światła i hałasu, zobaczył, jak przesycona magią błyskawica trafia w jedną z kolumn. Skała pękła, a towarzyszący temu huk przedarł się tak przez niebo, jak przez skórę Merika.

Ziemią wstrząsnęła niewyobrażalna energia. Powaliła Merika na lepką od nieustającego deszczu glebę. Po raz kolejny zapanowały nad nim cienie.

ROZDZIAŁ 5

To dzisiaj.

Dwa tygodnie przygotowań, sprzątnięcia, gromadzenia, organizowania, ustalania i zebrania u Wysokiej Rady o pomoc, pieniądze, ludzi – w sumie to same skąpiradła – i w końcu podziemne miasto było gotowe na przyjęcie uchodźców.

Tylko Vivia Nihar, przyszła królowa Nubrevny, wcale nie była gotowa.

Miała wrażenie, że serce utkwilo jej gdzieś w przełyku. Tak długo tarła lewy mankiet płaszcza, że w końcu urwała złoty guzik.

Znalazca będzie miał prawdziwe szczęście.

Vivia stała przed głównym wejściem do Twierdzy Pyna, a przed nią rozciągał się tłum. Kwilące niemowlęta i rozgorączkowane ojcowie; samotni, zagubieni nastolatki; kaszlące staruszki. Nie dostrzegła w nim jednak dwóch twarzy, które spodziewała się ujrzeć, gdy wybrzmiało dziewięć uderzeń dzwonu.

Proszę cię, Stix, proszę. To nie było w jej stylu. Stacia Sotar, dawniej pierwsza oficer Vivii, obecnie podniesiona do rangi kapitana, nigdy się nie spóźniała, miała raczej zwyczaj zjawiać się przed czasem. Jednak pośród tych głodnych twarzy nigdzie nie mogła dostrzec białych włosów Stix, tak mocno kontrastujących z jej czarną skórą.

Nie wypatrzyła także człowieka, którego Stix wraz z pięciorgiem innych strażników miała eskortować: swojego ojca, Serafina Nihara, byłego króla i byłego króla regenta.

– Jesteś pewna, że nie ma ich w środku? – zapytała po raz czwarty stojącą najbliżej strażniczkę. A ta po raz czwarty pokręciła głową.

– W Twierdzy Pyna nikogo nie ma, Wasza Wysokość. Zgodnie z poleceniem.

Wszyscy wolontariusze czekali teraz w piwnicy, gdzie miał swój początek tunel prowadzący do podziemnego miasta, ewentualnie

byli już w samym mieście. Na warcie stało także pięćdziesięciu żołnierzy, a kolejne dwie setki rozstawione były po Lovats, jak zarządzili wizerowie Quihar i Eltar. Może dojdzie do zamieszek, tak powtarzali, i Vivia niechętnie musiała im przyznać rację...

Cóż, oczywiście, że mieli rację. Może i do tej pory loteryjny system Vivii funkcjonował bez protestów, ale kiedy tylko rodziny zobaczą, że inne są prowadzone do nowego, podziemnego domu, agresywne reakcje mogą się pojawić w mgnieniu oka.

Vivia wcale by im się nie dziwiła. Od czasu ataku z morza dwa tygodnie temu w Lovats panował totalny rozgardiasz, a już przedtem to miasto nie było wzorem porządku. Dlatego kazała swoim wolontariuszom z Twierdzy Pyna opowiadać przez tydzień każdej napotkanej osobie, że system loteryjny to „zaledwie pierwszy punkt znacznie większego, długoterminowego planu zaludnienia miasta”.

Vivia musiała dopiero ułożyć pozostałą część planu, a Wysoka Rada była zbyt zajęta nagłym zakończeniem Dwudziestoletniego Rozejmu – jak również wznowieniem wojny, którą tenże Rozejm wstrzymał – aby jej pomóc. Kiedy jednak w końcu nadejdzie dzień koronacji i na jej głowie nareszcie pojawi się należąca jej korona, Vivia weźmie sprawy w swoje ręce. Nie będzie potrzebowała aprobaty grupy mężczyzn, którzy w niczym się nie zgadzali.

Odchrząknęła. Nie mogła dłużej czekać; Stix i ojca ominie otwarcie. Po raz ostatni strzepnęła ręką przód sukni. Następnie poklepała się po policzkach. Był to gest, który często wykonywała w dzieciństwie i z którego, jak sądziła, wyrosła.

Wrócił przed dwoma tygodniami, kiedy stała się „przyszłą królową”.

„Kiedy jesteś wśród ludzi – mawiała jej matka – mały lisek musi się stać niedźwiedziem. Przywdziałas maskę, Vivio?”

Tak, matko, pomyślała Vivia. Przywdziałam. Rozchyliła usta i pierwsze rzędy ludzi najbliżej niej zamilkły...

Oto i oni. Stix, o pól głowy wyższa od pozostałych, przepychała się przez tłum na przedzie pochodu. Za nią, w otoczeniu żołnierzy w takich samych granatowych mundurach, jaki nosiła Stix, maszerował Serafin.

Do Vivii dotarło, że ludzie nie ucichli z jej powodu. Rozpoznali byłego króla, gapili się na niego, szeptali i machali. Serafin im odmachał, szeroko się uśmiechając. Od niemal roku nie miał tak zaróżowionych policzków.

Powinna się z tego cieszyć. I radowała się, naprawdę. Coś jednak sprawiało, że jej żołądek zwijał się w ciasny supeł. Coś, co wcale jej się nie podobało i chciała, aby natychmiast przestało tak robić. I przestało, w chwili kiedy spotkały się spojrzenia jej i Stix. W momencie, gdy Stix posłała jej uśmiech, promienny i oszałamiający.

Rumieniec wypełził na szyję i policzki Vivii, co działo się za każdym razem, kiedy patrzyła na najlepszą przyjaciółkę, i co zapewne będzie trwać dopóty, dopóki w końcu nie zbierze się na odwagę i nie poruszy tematu pocałunku w podziemnym mieście.

Od tamtego czasu nic nie wydawało się takie samo, a przecież to było jedynie muśnięcie ust Stix na policzku Vivii. Wszystko zmieniło się też, od kiedy Vivie została przyszłą królową... Choć może wcale nie do końca nią została, bo mimo że ojciec oddał jej władzę, dla Wysokiej Rady więcej niż „królowa” znaczyło określenie „przyszła”.

– Najmocniej przepraszam, Wasza Wysokość – mruknęła Stix, spieszenie zajmując swoje miejsce u lewego boku Vivii. – Nadeszła wiadomość wymagająca natychmiastowej reakcji. Ale... – dodała, zerknąwszy na Serafina – nie miałam pewności, czy on powinien ją zobaczyć.

– Cóż może być...

Stix weszła jej w słowo:

– Potem się tym zajmiemy.

Właśnie. Potem. Po ujawnieniu podziemnego miasta. Powodu, dla którego w kolejce czekały setki rodzin i gapiły się na nią tysiące

osób.

Powodu, przez który Vivię tak boleśnie ścisnęło w trzewiach.

– Vivio – odezwał się jej ojciec. Jego grzmiący głos uciszył całe miasto. Po tylu miesiącach słabych szeptów wspaniale było słyszeć, jaki jest silny. Naprawdę. – Możemy zacząć? – Stał z prawej strony córki.

– Oczywiście. – Raz jeszcze szybko poklepała się w policzki. Tak, matko, maska przywdziana. Następnie nabrała powietrza...

– Imperia – zagrzmiął Serafin – wznowiły wojnę.

Vivia zamknęła usta.

– Nie prosiliśmy się o to ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Przemawiał jej ojciec. Dlaczego to robił?

– Jak zawsze próbują nas zastraszyć i wysiedlić. Jak zawsze próbują zgnieść nas swoimi buciarami i jak zawsze Nubrevna pozostaje silna.

Co jej ojciec wyprawiał? To przecież miała być jej przemowa. Przez trzy dni ją pisała.

– To miasto i jego ludzie przetrwali wiele wieków. – Szeroko rozłożył ramiona. – I przetrwamy wiele kolejnych. Dzisiaj rozpoczyna się dla nas nowa era. Nowy początek, którego nie pozwolimy ukraść imperiom.

Wyrzucił pięść w stronę nieba, a w tłumie rozległy się głośne okrzyki.

– Dzisiaj – kontynuował, a jego głos jakimś cudem stał się jeszcze głośniejszy – otwieramy podziemne miasto Lovats i zaczynamy przeprowadzać rodziny do ich domów, zaczynamy przeprowadzać właśnie was. Ciężko pracowaliśmy przez dwa tygodnie, aby przygotować to miejsce. Ciężko pracowaliśmy dla was.

Jeszcze więcej tupania, więcej okrzyków. Vivia uważała, że ona także powinna tupać i wiwatować. Nie tylko dlatego, że podziemne miasto było gotowe, ale dlatego, że to był właśnie Serafin, jakiego pamiętała. To siła, przy której dorastała, władca, którym próbowała się stać.

Jednak czuła zbyt wielkie oszołomienie, aby cokolwiek zrobić. Wygłaszał jej przemowę przed ludźmi, dla przesiedlenia których to ona pracowała. Owszem, zawsze jej powtarzał: „Dziel się chwałą, dziel się odpowiedzialnością”. Ale to było coś poważniejszego.

Jakaś dłoń zacisnęła się na jej przedramieniu. Vivia zeszywniała, domyśliwszy się, że to Stix chce ją pocieszyć. A może przyjaciółka traktowała to jako oznakę solidarności – sygnał, że ktoś jeszcze w tym chaosie wie, iż Serafin przypisuje sobie chwałę, na którą nie zasłużył.

Kiedy król recytował słowa napisane przez Vivie, te same, które Vivia ćwiczyła przed lustrem, poczuła, jak jej ramiona unoszą się w stronę uszu, a dłonie zaciskają się w bolesne, pulsujące pięści.

Jana mawiała, że niepotrzebne zasługi, o ile tylko praca zostaje wykonana. Tak właśnie było w tym przypadku. Praca została wykonana, w dodatku dobrze – już Vivia o to zadbała. A jej ojciec od dawna nie wyglądał tak zdrowo. Powinna być szczęśliwa. Powinna.

– I dzisiaj – dodał na koniec ojciec – udowodnimy sobie i imperiom, że choć nie zawsze potrafimy dostrzec w stracie błogosławieństwo...

– Siła to dar naszej Pani Baile – dokończyli Nubreveni, a refren ten zatrzęsł kamiennymi murami miasta – ona nigdy nas nie porzuci.

– Vivio? – zwrócił się rozpromieniony Serafin do córki. – Otwórz drzwi.

Przyszła królowa poczuła ściskanie w gardle. W oczach zapiekły ją słone łzy, bo to przecież miały być jej słowa. To ona miała je wypowiedzieć do Stix. „Pani kapitan? Otwórz drzwi”.

Zamiast tego wypowiedział je jej ojciec. Zamiast tego to przyszła królowa odwróciła się w stronę drzwi. I zamiast tego to przyszła królowa, której nie udało się być niedźwiedziem ani Niharem, ani nikim robiącym wrażenie, położyła odziane w rękawiczki dłonie na żeliwnej zasuwie w czasie, kiedy jej ojciec pławił się w miłości poddanych.

Całe Lovats piszczało z radości, podekscytowania, zniecierpliwienia – i wszystkie te uczucia skierowane były do Serafina Nihara. Człowieka, który nawet nie postawił nogi w podziemnym mieście.

Vivia pchnęła drzwi, czemu towarzyszył jęk zawiasów i trzeszczenie drewna. Następnie przekroczyła próg i podziękowała Nodenowi, że korytarz okazał się pusty.

Nikt nie dojrzał jej łez.

*

Vivia szła jako pierwsza. Jakaś rodzina, matka i dwóch synów, podążała tuż za nią. Nie wypowiedziała ani słowa przez całą drogę przez Twierdzę Pyna, piwnicę i tunel prowadzący do podziemia. Migotały niedymiące ogniodziejskie pochodnie. Wydatek, na który uparła się Vivia. W tej zamkniętej przestrzeni dym by zabijał.

Żałowała, że rodzina milczy. Ta cisza wydawała jej się gorsza niż wcześniejsza kakofonia.

Dziś rano, kiedy Vivia wyobrażała sobie tę chwilę, zalewała ją fala triumfu. Była pełna szczęścia i dumy, miała ochotę śmiać się podczas śniadania. I tak właśnie zrobiła.

Teraz miała wrażenie, że ktoś wali ją maczugą w klatkę piersiową. Roztrzaskuje jej żebra i rozpląszcza serce, utrudniając oddychanie.

Miała ochotę coś rozbić, krzyczeć, zwinąć się w kłębek i płakać. A jednak nie targała nią wściekłość. Ani żal. To było coś ulotnego i płonącego. Coś karygodnego i niewybaczalnego.

Niepotrzebne zasługi, wykrzyczała w myślach. Niepotrzebne zasługi! Nie zdążyła jeszcze wstąpić na tron, a już była z niej okropna królowa, dokładnie taka, do bycia którą matka jej nie przygotowywała.

Do tego nielojalna córka.

Na domiar złego bolało ją lewe ramię. Dzięki maściom i naparom rana od ostrza najeźdźcy dobrze się goiła. Pomocne okazało się

także zanurzanie w podziemnym jeziorze, ale do pełnego zagojenia potrzeba było jeszcze trochę czasu.

Dotarli do końca tunelu, stanęli przed drzwiami ozdobionymi wyciosanymi z wapienia sześcioma twarzami: rybie więdźmy wyglądzane czasem i luminescencją.

Dwa tygodnie temu zeszła tutaj razem ze Stix. Po raz pierwszy pchnęła te drzwi i odkryła zapomniane podziemne miasto – dokładnie takie, jakie opisywała jej matka. Teraz, kiedy Vivia otworzyła wapienne wrota, powitało ją światło... oraz śmiech wolontariuszy i żołnierzy.

Marzyła, aby wszystko ucichło.

– Witamy – wyrzęziła, nie patrząc na rodzinę. Musiała stąd wyjść. Musiała się gdzieś zaszyć i w samotności poradzić sobie z targającymi nią uczuciami.

Matka weszła do miasta jako pierwsza; ona i jej synowie mieli oczy wielkie jak spodki.

– Dziękujemy, Wasza Królewska Mość – powiedziała z wahaniem, ale szczerze.

– Nie Wasza Królewska Mość – burknęła Vivia. – Ale Wasza Wysokość. – Od razu pożałowała swoich słów. Wiedziała, że zachowała się niegrzecznie, mimo to zamiast przeprosić albo po prostu rzec „Proszę bardzo”, jak by to zrobił normalny człowiek, stała ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

W tym momencie – o dzięki wam, rybie więdźmy – pojawił się Varrmin. Pracował w kuchni Twierdzy Pyna. Był jowialny i ciepły – przeciwieństwo Vivii. Kiedy tylko zbliżył się na tyle, że dostrzegła siwe włoski w jego brodzie, odwróciła się na pięcie i szybko oddaliła.

Podziemne miasto miało jeszcze jedno wyjście wiodące do Cystern i ono właśnie stało się jej celem. Pragnęła poczuć skąpane w pływodzijskiej magii wody tych tuneli. Chciała do nich dotrzeć, zanim pojawi się przy niej jakiś strażnik.

Nie okazała się jednak wystarczająco szybka, aby uciec przed Stix. Vivia nie miała pojęcia, jak to się stało, ale przyjaciółka pojawiła się

nagle obok niej, bez problemu dorównując jej kroku.

– Jak to jest – zapytała Stix – że mężczyźni zawsze przypisują sobie zasługi za triumfy wypracowane przez kobiety?

Vivia nie odpowiedziała na to pytanie. Nie odpowiedziała na nie także dwa miesiące temu, kiedy to Merikowi nadano stopień admirała, choć jedynym, co go do tego kwalifikowało, była płeć.

Zamiast tego przyspieszyła. Z góry migotały do niej puste, oświetlone pochodniami domki, których sprzątanie kosztowało tyle pracy.

– Przykro mi, że tak zrobił – kontynuowała Stix. – Wiem, że to pani napisała tę przemowę.

– Niepotrzebne zasługi – wymruczała Vivia – o ile tylko praca zostaje wykonana.

– Proszę zaczekać. – Stix wyciągnęła rękę w jej stronę. – Wasza Wysokość.

Wasza Wysokość. Już nie sir ani Vivia. Tak Stix zwracała się do niej od dwóch tygodni i Vivia nie wiedziała, czy powodem był pocałunek, czy też jej nowy tytuł. Tak czy inaczej, nie znosiła tego. Pragnęła odzyskać dawną Stix.

– Proszę – rzekła w końcu, żałując, że jej głos brzmi tak piskliwie. – Proszę, mów mi po prostu Viv.

Brak reakcji. Stix podała jej zrolowane pismo z pieczęcią Królewskiego Głosodzieja.

– Przyszło do pani, ale uznałam... To znaczy pomyślałam, że powinna to pani zobaczyć przed swoim ojcem.

Vivia wiedziała, że należało udzielić Stix reprimendy za ukrycie tego pisma przed Serafinem. Może i nie był już królem ani królem regentem, ale nadal głównym, najważniejszym doradcą Vivii. Nic jednak nie powiedziała. Po raz pierwszy od otworzenia drzwi do Twierdzy Pyna jej serce nie wydawało się tak spłaszczone. Jej płuca nie były już tak ściśnięte.

Zwolniła na rozwidleniu i rozwinęła pismo. Płomyki świeciły tu jaśniej niż lampy, kąpiąc papier w zieleni.

List od cesarzowej Marstoku.

Teraz, kiedy rozpoczęły się negocjacje handlowe, zapraszam do Azmiru. Niektóre decyzje najlepiej podejmować twarzą w twarz. Podobnie jak wygłaszać niektóre przeprosiny, zwłaszcza za warunki pokoju, które moi ambasadorzy próbowali wprowadzić przed moim powrotem.

Powiadomiłam wszystkich żołnierzy, aby do miasta wpuszczono nubreveński statek. Jedyne, o co proszę, to informacja o przybyciu, najlepiej z wielogodzinnym wyprzedzeniem.

Vivia zamrugła. A potem przeczytała wiadomość raz jeszcze. Nowe doznania wiły się w jej mięśniach i płucach. Coś palącego i napiętego, tysiąc razy lepszego od tej wcześniejszej gorączkowej paniki.

Kiedy czytała po raz trzeci, z głębi jej trzewi wydołał się śmiech. To niemożliwe, aby cesarzowa mówiła poważnie.

– Przekaż Jej Wysokości – rzekła w końcu, składając pismo i oddając je Stix – że sama może się tu pofatygować, jeśli rzeczywiście chce negocjacji. I że jedyne, o co proszę, to „informacja o przybyciu, najlepiej z wielogodzinnym wyprzedzeniem”.

Stix zachichotała nerwowo, a kiedy Vivia kontynuowała marsz, ruszyła spokojnie za nią.

– Za kogo, na głębie piekielne, ona się uważa? – zapytała ostro Vivia.

– Cóż, najpewniej za Cesarzową Dzieci Płomienia, Wybraną Córkę Studni Ognia, Najczcigodniejszą z Marstokczyków, Niszczycielkę Przełęczu Kendury...

– No i?

– Jest przyzwyczajona, że wszyscy wykonują jej polecenia.

– Gdybym chciała, mogłabym mieć tyleż samo tytułów – fuknęła Vivia.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Wasza Wysokość. Znowu. Tym razem miarka się przebrała. Vivia nie potrzebowała litości Stix ani jej protekcyjności. A przede wszystkim nie potrzebowała uznania, tytułów czy uwielbienia ze strony miasta, na rzecz którego tak ciężko pracowała.

Wcale a wcale.

Doszły już prawie do wyjścia. W zielonym świetle zamigotała drewniana barykada, wzniesiona, aby nie wpuszczać do niebezpiecznych tuneli niepodejrzewających zagrożenia uchodźców; w klatce piersiowej Vivii dudniły wody Cystern. Nawoływały do jej magii, osłabione po ataku sprzed dwóch tygodni.

Nim Vivia zdążyła wyjąć klucz pozwalający na przekroczenie barykady, stanęła przed nią Stix.

– Proszę zaczekać – zaczęła. – Wysłucha mnie pani, Wasza Wysokość.

– Dlaczego? – Znowu była niegrzeczna. – Co takiego musisz mi powiedzieć?

– Według mnie powinna pani popłynąć do Azmiru.

Nie tego się spodziewała i nie tego pragnęła.

Ale Stix jeszcze nie skończyła.

– Proszę wierzyć lub nie, ale miastu nic się nie stanie, jeśli opuści je pani na jeden dzień, a szansa na handel z Marstokiem... Czy naprawdę możemy ryzykować?

– Nie mam czasu – warknęła Vivia. – A teraz proszę się odsunąć, pani kapitan.

Stix nie ruszyła się z miejsca. Skrzyżowała jedynie ręce na piersi i przybrała pozę, którą Vivia miała okazję oglądać tysiące razy, tyle że najczęściej kapitan uśmiechała się wtedy i wyglądała na rozluźnioną.

Teraz nie było mowy o uśmiechu. Stix miała usta zaciśnięte w cienką linię.

– Dlaczego nie ma pani czasu? Operacja z podziemnym miastem dobiegła końca, a w całym Lovats są rozstawieni żołnierze, aby wszystko przebiegało bez zakłóceń. Wysoka Rada zbiera się dopiero jutro, dopilnuję, aby naprawa zapory przebiegła zgodnie z planem. Dzisiaj jest idealny dzień na wybranie się w podróż.

– Ale mój ojciec... – zaczęła Vivia.

– Ukradł pani przemowę. Zagarnął uznanie i brawa, które to pani się należały. To pani obejmie wkrótce władzę. Nie on. A ileż razy powtarzałyśmy, że Noden i rybie wiedźmy powinni podlegać rządowi kobiety? Proszę – dodała Stix. – Hasstrelowie wysłali nam tylko jeden transport ze zbożem, a teraz nie odpowiadają naszym głodującym. Potrzebujemy tego. Proszę więc zrobić to dla siebie i dla Nubrevny. Może i nie ma pani tylu tytułów co cesarzowa, ale to w niczym nie umniejsza pani pozycji. I to pani jest przyszłą królową, Viv. Nie pani ojciec.

Viv. Jedyne, co przez dwa ostatnie tygodnie Vivia pragnęła usłyszeć z ust najlepszej przyjaciółki, wypłynęło wreszcie w błagalnym tonie.

Wróciło walenie maczugą, w dwójnasób silne. W dwójnasób potworne. Vivia musiała się stąd wydostać, nim eksploduje jej klatka piersiowa. Pragnęła zostać sama.

– Zastanowię się – rzuciła i zdziwiło ją, jak zwyczajnie i zwięźle to zabrzmiało. Następnie minęła Stix, otworzyła barykadę i najszybciej, jak się dało, wkroczyła do tuneli.

Kiedy pływy Cystern ruszyły w jej stronę, nie próbowała ich powstrzymać. Nie wykorzystwała swojej magii, aby przejąć kontrolę czy zminimalizować impet. Zamiast tego pozwoliła, by wody jej miasta wciągnęły ją w siebie i uniosły hen, daleko.

ROZDZIAŁ 6

Stacia Sotar przebiegła palcami po wyżłobieniach w wapieniu. W świetle ogników jej twarz była zielonkawa. Sto niedużych pudełek, każde z krzyżującymi się ukośnymi nacięciami, tworzyło obramowanie prostokąta równie wysokiego jak ona. Wyglądało to tak, jakby ktoś zamierzał wstawić tutaj drzwi, nawet już się za to zabrał, po czym porzucił swój pomysł.

Przez te drzwi można przejść tylko w jedną stronę.

Stix myślała o tym przez cały ranek. Może z powodu działania jakiejś niepojmowanej przez nią magii rzeczywiście znajdowały się tu drzwi.

Drzwi, które prowadziły tylko w jedną stronę.

Stix opuściła rękę. Cofnęła się o dwa kroki i pokręciła głową, jak zawsze, kiedy tu przychodziła. Czuła przemożną potrzebę rozmowy z Vivią. Pragnęła zapytać, czym według niej mogą być te drzwi na granicy podziemnego miasta, ale przede wszystkim chciała się dowiedzieć, czy Vivia słyszała przesączaające się przez kamień głosy.

Prawda była jednak taka, że Stix... nie mogła porozmawiać o tym z Vivią. Przyszła królowa miała wystarczająco dużo spraw na głowie – zbyt dużo – i Stix nie chciała ich pomnażać.

Dodatkowo wszystko utrudniała napięta atmosfera od czasu tamtego pocałunku, o którym w ogóle nie rozmawiały. To takie dziwne, że Stix potrafiła znajdować się tak blisko najlepszej przyjaciółki, a mimo to tak daleko. Niekiedy udawało jej się dostrzec przebłyśki prawdziwej Vivii, ale nic poza tym.

Po pocałunku Stix sądziła, że w końcu zasłużyła sobie na pełną szczerłość. Zyskała prawo do oglądania prawdziwej twarzy Vivii, tak bardzo przez nią uwielbianej. Ale wtedy na głowie dziewczyny pojawiła się obietnica korony, a razem z nią tysiąc zadań wiążących się z odbudową miasta. Vivia wycofała się za swoje maski i obowiązki.

Pozostawiając Stix samą z szeptami.

Zresztą co kapitan mogła powiedzieć? Znam to podziemne miasto aż za dobrze, Viv. Znajduję sekretne zaułki i ukryte uliczki, których nie powinnam być w stanie znaleźć.

Albo: odczuwam niepokój w każdej chwili z dala od miasta. Gdy tylko do niego wracam, znowu mogę oddychać.

Albo, co najbardziej ją przerażało: z tyłu mojej czaszki gromadzą się szepty, Viv. Mówią przez cały dzień, całą noc, a ja powoli zaczynam tracić rozum.

Szepty odzywały się tylko wtedy, kiedy Stix znajdowała się na powierzchni. Krzyczały tylko wtedy, kiedy przebywała daleko od tych drzwi. Gdy jednak do nich wracała, głosy cichły.

Zaczęło się dwa tygodnie temu od snów. Ciemności i krzyków, i bólu w szyi, które budziły ją w nocy. Pościel była cała mokra, a ona aż się lepiała od potu.

Tydzień później cienie zaczęły się zakradać za dnia. Delikatne ruchy i drgania, które obudziły w niej obawy, że jej i tak słaby wzrok jeszcze się pogarsza. Te cienie pojawiały się tylko przez kilka dni. Potem zniknęły, a na ich miejsce wślizgnęły się szepty.

Te okazały się gorsze, ponieważ nigdy nie słyszała ich tak do końca. Przypominało to Stix szkolonego niegdyś przez nią kadeta, z którego gardła bez względu na to, ile razy kazała mu mówić głośniej, wydobywał się tylko pisk. Większość wypowiedzianych przez niego słów ulatywała niesłyszana, na zawsze utracona.

Tak właśnie rzecz się miała z szeptami.

Zdarzało się, że dla Stix brzmiały jak setki różnych głosów. Innymi razy żywiła przekonanie, że to jeden głos, jakby te wszystkie osobne dźwięki i języki nierozzerwalnie się połączyły.

Jeden głos czy wiele, nie zmieniało to faktu, że słowa nie miały sensu. Nie znała tego języka. Albo języków.

Co gorsza, niski, ledwie słyszalny pomruk niemal nigdy nie ustawał. Głosy śledziły Stix przez cały dzień, przez całą noc. Zawsze

niezrozumiałe, pełne gniewu, jakby się spodziewały, że kapitan w końcu coś z tym zrobi.

Ale ja was nie słyszę! – wykrzyknęła w duchu tysiąc razy w ciągu minionych dwóch tygodni. Dwa razy zdarzyło jej się nawet głośno warknąć.

Ulgę odczuwała jedynie w Twierdzy Pyna. W hałaśliwym i zatłoczonym głównym pomieszczeniu, gdzie bezdomni i głodni przychodzili po strawę. Tam hałas potrafił choć na chwilę uciszyć szepty doprowadzające do szału. Tylko w podziemnym mieście Stix czuła się jak u siebie, a szepty z gniewnych zmieniały się w przymilne. „Chodź – zdawały się mówić słowami, które nie miały przecież dla niej znaczenia. – Chodź tędy, nie zatrzymuj się”.

Robiła tak co wieczór, wiedząc, że nazajutrz będzie żałować. Będzie wykończona, będzie jej pękać głowa, a szepty wrócą. Jednak zew miasta okazywał się silniejszy i każdej nocy mu ulegała.

Nawet teraz, choć powinna pomagać w przeprowadzce rodzin lub nadzorować rekonstrukcję zapory, choć jej ojciec obchodził dziś urodziny i obiecała mu wspólne wyjście do Rozszczepieńca, stała tutaj, przed tymi drzwiami prowadzącymi donikąd. Znowu. I w dalszym ciągu nie dysponowała odpowiedziami, tak samo jak wczoraj czy przedwczoraj. Tylko ten cichy pomruk: „Chodź tędy, nie zatrzymuj się”.

– Nie mogę – rzuciła i potarła oczy. Na Nodena, ależ ją piekły. Odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę.

*

Stix podążała w Cysternach tą samą drogą, którą obrała Vivia, aby wydostać się na powierzchnię. Minęła relief na wapiennej ścianie, nic nowego, widziała go już tysiąc razy.

Jednak dzisiaj zwolniła kroku, a potem się zatrzymała, mimo że woda grzmiała w tunelu, zmierzając w jej stronę.

Relief przedstawiał Panią Baile, świętą patronkę zmiany, pór roku i rozdroży. W jednej ręce trzymała pstrąga, w drugiej pszenicę.

Wapienna święta była równie wysoka jak Stix i tak zniszczona czasem, że brakowało lisiej maski. Właściwie to brakowało większej części głowy.

Ale nie oczu, i to właśnie one przyciągnęły uwagę Stix. Sprawiały, że głosy szeleściły i burzyły się.

Tym razem przemówiły znanym jej językiem – i wreszcie się dowiedziała, dokąd ma pójść.

– Dobrze – rzekła, a jej słowa zagłuszył ryk wody. – Niedługo tam dotrę.

W jednej chwili chór w jej czaszce ucichł. W tym momencie dopadły ją wody Cysterny. Spienione, gwałtowne i powiązane ze śpiewającą w żyłach Stix magią. Pozwoliła, aby uniosły ją ze sobą, bo teraz nie miała już powodu, aby pójść śladem Vivii, aby wracać do Wzgórza Królowej czy zapory.

Musiała się kierować na południe.

„Chodź tędy, nie zatrzymuj się”.

ROZDZIAŁ 7

Aeduan miał mętlik w głowie. Pamiętał ból, ogień i niemożliwe sny – te ostatnie nie do końca. Wiedział tyle, że była tam Iseult i że spali razem na jakimś stosie obok strumienia.

Kiedy uniósł powieki, do jego oczu wdarło się przyćmione światło. Leżał w jaskini Sowy, w której wszystko inne przytłumiał smród górskiego nietoperza. Wszystko poza jego magią. Wyczuwał w pobliżu Sowę, otulone wodą różaną i wełną kołysanki dudniące w jej żyłach. A skoro nadal tu była, Iseult także musiała się znajdować gdzieś w pobliżu. Nie tylko w snach, ale i na jawie.

Nie miał pojęcia, co ją skłoniło do pozostania, nie potrafił jednak zaprzeczyć, że sprawiło mu to ogromną ulgę.

Odchrząknął, po czym przekręcił się na bok – i wtedy się przekonał, że kuca przy nim Sowa. Oczy miała szeroko otwarte.

– Śniadanie – obwieściła, podsuwając mu pod twarz drewnianą miskę. Wiły się w niej dżdżownice i Aeduan musiał się mocno kontrolować, aby się nie wzdrygnąć. Zebrał się w sobie i usiadł. Spadł mu koc i owionęło go chłodne powietrze. Nie miał na sobie koszuli.

– Ulubione jedzenie Blueberry’ego – wyjaśniła dziewczynka i jak na zawołanie bestia wychynęła z cieni. Do Aeduana doszła zatęchła woń nietoperza, ale najgorszy okazał się jego parujący oddech.

Dżdżownice nie przestawały się więc.

Sowa przysunęła miskę jeszcze bliżej.

– Jedz.

Krwiodziej wziął od niej naczynie, co sprawiło, że Blueberry zaczął mu sapać prosto w ucho. Odgonił nietoperza i zerknął w stronę cienkiego pasa światła wskazującego wejście do jaskini.

– Ja... najpierw muszę się napić, Sowo.

Dziewczynkę ta odpowiedź najwyraźniej usatysfakcjonowała. Ujrzawszy, jak Aeduan gramoli się z ziemi, wtuliła się w ciepły koc.

Obok niej umościł się Blueberry.

Kiedy Aeduan wyślizgnął się z jaskini, na jego nagim torsie pojawiła się gęsia skórka. Tutaj było znacznie chłodniej, mimo że promienie słońca zaczynały już ogrzewać poranną mgłę. Zadrżał i zmusił ociężałe nogi, aby poniosły go w stronę skraju lasu. W miejscu, gdzie poszycie mieszało się z gęstym mchem, wyrzucił zawartość drewnianej miski. Minęły ledwie trzy dni, odkąd Sowa zaczęła mówić, a już stała się nie lada kłopotem.

Postawił pustą miskę na kamieniu i kiedy tak stał zgięty w pół, klatkę piersiową nagle przeciął mu ból – jakby między żebra wbiło mu sztylet. Zakaszłał. I jeszcze raz. Ponownie. Ból nie mijał, aż w końcu Aeduan poczuł na plecach delikatną dłoń. Ostrożną. Zatrokana. Zaskakującą na tyle, że zaiste przestał kaszleć. Wtedy w twarz zajrzała mu nieprzenikniona więziodziejka.

– Dobrze się czujesz?

Nawet nie próbował się prostować. Przed oczami latały mu mroczki. W klatce piersiowej pulsowała frustracja. Co to za słabość? Co to za dolegliwość? Jego magia już dawno powinna była go uleczyć.

– Co... się stało? – wychrypiał.

– Zamierzałam zadać ci to samo pytanie. – Iseult pomogła mu się wyprostować. Miała ciepłe dłonie. – Nie pamiętasz swojego powrotu?

– Nie – przyznał.

Dziewczyna znajdowała się na tyle blisko, by zauważył w jej oczach plamki zieleni. By mógł dostrzec, jak chłód zabarwił jej nos na różowo. Przypomniał mu się sen z łagodnymi płomieniami i spokojem malującymi się na jej twarzy. Nie otwierając oczu, wypowiedziała wtedy jego imię, a jej palce wbiły mu się w biodra i skradły jego oddech.

Teraz też kradła mu oddech, a przecież cierpiał na jego niedobór.

Odsunął się od niej.

– Gdzie moja koszula?

Na jej policzki wypełził rumieniec. Wskazała ręką na wzgórze.

– Schnie. Ja... wyprałam ją.

– Och. – Zmusił się do wyprostowania pleców. Zabolalo. – W takim razie pójdę po nią.

Wykonał jeden krok, ale albo ten ruch okazał się zbyt szybki, albo jego ciało rzeczywiście było za słabe, bo po raz kolejny zrobiło mu się ciemno przed oczami. I wrócił kaszel. W tym momencie palce więziodziejki znowu go dotknęły, a kiedy poprowadziła go w stronę niedużego ogniska i pomogła usiąść, nie protestował.

Nie był w stanie.

Obok żaru stał garnek. Iseult nabrała do kubka wody.

– Wypij.

Usłuchał i choć ciepły płyn przeciskał mu się przez gardło niczym potłuczone szkło, przyjął ten ból z otwartymi ramionami. Odgonił od niego mrok. I kaszel.

– Gdybyś pozwolił mi pójść z tobą – odezwała się Iseult – wtedy pomogłabym ci przejść tamtą ścieżką.

Debatowali nad tym już trzy razy: czy Iseult powinna do niego dołączyć, czy też lepiej będzie, jak zostanie z Sową? Gdyby z nim poszła, mogłaby odczytać drogę Nomatsów i pomóc Aeduanowi dotrzeć bez uszczerbku do miejsc, w których doszło do rzezi. Gdyby zaś została, zapobiegłaby nieuchronnym kłopotom przysparzanym przez Sowę i jej nietoperza.

– Kiedy się tam zjawilem, większość pułapek została już wykorzystana – rzekł. Kłamstwo. Choć natknął się na wiele zwłok, odzianych, co teraz do niego dotarło, w charakterystyczną dla Purytanów szarość, udało im się bez przeszkód pokonać niemal całą drogę.

Mógł jedynie zakładać, że napastnicy wiedzieli, co robią. Plemię Nomatsów zginęło bez ostrzeżenia, identycznie jak w dwóch poprzednich przypadkach.

Dopił wodę.

– Jak na razie to było największe plemię. Wszyscy martwi.

– Och. – Z płuc Iseult wydobył się cichy dźwięk rezygnacji, mimo że twarz pozostała niewzruszona. – Ale skoro pułapki zostały już użyte, to jakim cudem miałeś w sobie tyle strzał?

– Znalazłem kogoś żywego. Mnicha. Nie był wojownikiem. Ja... musiałem się nim zająć.

Otworzyła szerzej oczy. Delikatnie, ale na tyle, by zauważył.

– Nie zabiłem go – poczuł się w obowiązku dodać. Sam nie wiedział, czemu chciał to wyjaśnić. – Był ranny, kiedy go znalazłem, a kiedy umarł, zostałem, by go pochować. Wtedy właśnie trafiłem na pułapki.

Kolejne ciche westchnienie. Iseult siadła przy nim po turecku.

– Widział, kto go zaatakował?

Aeduan kiwnął głową i od razu tego pożałował. Świat zawirował.

– Mnich powiedział – wyrzucił z siebie, zamykając oczy – że to Purytanie.

– Czyli nie najeźdźcy?

– Nie wiem. – Kolejne kłamstwo. Nie widział powodu, dla którego miałby mówić Iseult, że wie o współpracy Purytanów z Królem Zdobywcą i o jednym konkretnym Purytaninie współpracującym z jego ojcem.

– Corlant – orzekła, uzupełniając tym samym jedną z własnych luk. – On tam był, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, wyjęła coś z kieszeni płaszcza, po czym pokazała to Aeduanowi.

Na jej bladych dłoniach odcinały się dwa czarne groty. Oba kawałki żelaza były splamione krwią, ale tylko jeden wydzieliał zapach – woń krwi Aeduana.

– Ten zranił mnie w Dalmocji. – Zacisnęła palce lewej dłoni w pięść. – A ten wyciągnęłam z ciebie o świcie. Myślę, że są zakłète. Nie – poprawiła się, kręcąc głową. – Ja to wiem. Sowa nazwała je złą ziemią.

Zła ziemia. Zerknął na swój tors, sześć starych blizn i cztery nowe rany na brzuchu, których w ogóle nie powinno tam być, tak samo

jak siedemnastu dziur w plecach. Miał aż nadto czasu, aby to zaleczyć.

– Corlant tak potrafi – kontynuowała Iseult. – On... – Stuknęła palcem w swój lewy biceps. – Mało mnie nie zabił w Dalmocji zakłętą strzałą. – W jej głosie dało się wyczuć napięcie. – Długo byłam nieprzytomna. Prawie umarłam.

– Ze mną nie może tak się stać. Jestem krwiodziejem.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: skąd możesz mieć pewność? Na głos zaś rzekła:

– Dlaczego towarzyszył temu plemieniu? Osada Midenzi leży po drugiej stronie Morza Jadańskiego. Chyba że... – Urwała i ściągnęła lekko brwi.

Aeduan milczał. Kłamstwa nie przychodziły mu łatwo, najlepszym rozwiązaniem wydawało się milczenie.

Przez długą chwilę Iseult wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Równie nieprzenikniona jak wszystkie więziodziejki. Obok niej strzeliła iskra i wzniósł się ostatni płomień. Powietrze nad stosem zasnuł dym.

Nagą skórę Aeduana omiótł wiatr.

Chciał odzyskać koszulę.

– Potrzebujemy porządnego uzdrowiciela – rzekła w końcu Iseult, patrząc znacząco na jego brzuch. – A także lepszych lekarstw, no i skończyła nam się lanolina do ostrzy.

Nam, pomyślał Aeduan i nim zdążył zaprotestować – albo zapytać, dlaczego nam czy nawet dlaczego czekała przez całą noc, choć mogła odejść – Iseult zerwała się z miejsca i stanęła za nim.

– Znowu krwawisz – mruknęła. Jej ciepłe palce po raz kolejny znalazły się na jego skórze. Przycisnęła mu do pleców wilgotną szmatkę. Nawet nie zauważył, jak ją podnosiła z garnka.

– Nie. – Sięgnął za siebie, aby wziąć od niej ścierkę. – Sam to zrobię. – Próbował być samodzielny, ale przez to obrócenie się i naciągnięcie ran na plecach znowu poczuł ucisk w płucach.

Tym razem kaszel nie chciał odpuścić. Nawet po wypiciu dwóch kubków wody nie był w stanie nabrać wystarczająco powietrza. Kiedy Iseult po raz drugi spróbowała wytrzeć mu krew z pleców, nie protestował.

Nie buntował się także, kiedy oświadczyła:

– Powinniśmy udać się do Tirli, Aeduanie. Wiem, że to bastion marstocki, ale w mieście tej wielkości znajdziemy uzdrowiciela i zdobędziemy świeże zapasy.

My, my, my.

Wilgotna szmatka była niczym brzytwa. Wszystko bolało go tak, jak nie powinno. Jeśli zaraz nie przejdzie mu kaszel, zacznie wypluwać krew. Był słaby i fatalnie się z tym czuł. Caraweńscy mnisi mieli być przygotowani na wszystko, a Aeduan zawsze się szczyił, że on jest gotowy w dwójnasób. Przez dwa ostatnie tygodnie kompletnie sobie nie radził.

Nie pomagało, że nigdy dotąd nie pracował za darmo. Nie dawało mu to spokoju. „Powinno ci się za to płacić”. Każda upływająca minuta to następna utracona moneta. Była to także kolejna chwila, w której nie skontaktował się z ojcem ani nie ruszył w pościg za należącymi mu się monetami.

Dwa tygodnie temu Aeduan podążyłby za zapachem czystych jezior i lodowatych zim, należącym do tego ducha, który ukradł mu monety i pomógł w Nubrevnie księciu Leopoldowi. Dwa tygodnie temu wróciłby także do Lejny i zabrał te monety z miejsca, gdzie Iseult twierdziła, że są ukryte. I dwa tygodnie temu przyglądałby się każdej masakrze z zimnym spojrzeniem. Bądź co bądź, śmierć w czasie wojny jest nieuchronna, a jak mawiał jego ojciec: „Ceną za sprawiedliwość jest życie”.

Ale dwa tygodnie temu nie znalazł Sowy, związanej i otumanionej przez najeźdźców pod sztandarem jego ojca. Czternaście dni temu nie natknął się na pomordowane plemiona nomatsańskie i nie wyczuł tam zapachów ludzi swego ojca.

Dwa tygodnie temu nie podróżował w towarzystwie kobiety, która uratowała mu życie już sam nie wiedział ile razy, a liczba ta rosła z każdym kolejnym dniem.

Na przykład teraz. Opatrywała go, a on nie wiedział dlaczego – ani jak zakwalifikować taką troskę. Rozumiał jedynie, że jest jej dłużnikiem. Wiedział, że nie może odejść, nim nie spłaci tego długu.

I jeszcze kwestia zaginionego plemienia Sowy. Zapach wrzosu i niemożliwych wyborów nadal był wyczuwalny. Krył się przed nimi gdzieś w górach.

– Tak – zgodził się w końcu, wykrztuszając to z siebie między atakami kaszlu. – Chodźmy do Tirli.

*

Kiedy Aeduan się dowiedział, że jego ojciec żyje, padało. On sam w ramach kolejnego caraweńskiego zlecenia udał się wtedy do Tirli. W tamtym czasie istniało ogromne zapotrzebowanie na świadczone przez niego usługi. Zwłaszcza jedna z misji przykuła jego szczególną uwagę.

*Mnich krwiodziej ma odszukać psa wabiącego się Boots.
Spotkanie w obejściu na północ od Tirli, nad bramą niebieskie
flagi.*

To samo imię nosił jego pies. Tamtego zabił, może tego mógłby ocalić.

Dotarł do rozpadającego się obejścia, w małej chatce z krytym strzechą dachem czekał na niego jakiś człowiek.

Aeduan dobył noża, nim wszedł do środka. Przez wiele godzin go nie chował, mimo że mężczyzna siedzący na stołku obok paleniska wyglądał zupełnie jak Aeduan – z wyjątkiem zmarszczek wokół orzechowych oczu i siwej grzywki.

– To rzeczywiście ty – odezwał się starszy mężczyzna chropawym głosem, który zabuczał głęboko w klatce piersiowej krwiodzieja. Ten głos opowiadał mu w snach historię potwora i miodu.

Aeduan nie odłożył noża. W ogóle nie zareagował, nawet kiedy mężczyzna wstał i powiedział:

– Aeduanie, mój synu.

Przecież duchy nie powracały z martwych.

– Ty żyjesz – kontynuował mężczyzna w nomatszańskim języku, którego krwiodziej nie używał od ponad dekady. – Ja... sądziłem, że zginąłeś.

I *vice versa*, pomyślał Aeduan. Nic jednak nie rzekł. Obaj wpatrywali się w siebie.

– Twoja matka... – zaczął starszy, a w jego głosie słyhać było pytającą nutkę.

Aeduan pokręcił przecząco głową. Tylko raz. Dysi nie przeżyła. Nie wypowie tego na głos.

Mężczyzna z bólem wciągnął powietrze, po czym skinął rzeczowo głową.

– Dwa razy kochałem – oświadczył. – Dwa razy imperia wszystko mi odebrały. – Przełknął ślinę, ściągnął brwi i po raz pierwszy od wielu, wielu lat Aeduanowi przypomniało się, że owszem, jego ojciec rzeczywiście miał inną rodzinę. Córki i żonę, które także zginęły.

– Z pewnością rozumiesz – ciągnął – dlaczego powrót mojego syna... To więcej, niż śmiałem marzyć. – Wypowiadał te słowa takim tonem, jakby komentował pogodę albo opisywał najlepszy sposób na uniknięcie wrogiego ataku.

Spokojny głos dla tak desperackich słów, a mimo to ich znaczenie wydawało się głębokie.

– Powiedz mi, gdzie się podziewałeś – odezwał się Aeduan po raz pierwszy od przekroczenia progu chaty.

Ojciec rozpoczął opowieść.

Aeduan dowiedział się, że w trakcie tych piętnastu lat, jakie upłynęły od ataku na ich plemię, Ragnor przeniósł się do Republiki

Arythuanii, podążając śladem wygnanych przez imperia Nomatsów i czarodziei. Ojciec utworzył armię, której celem było zakończenie imperialnej tyranii, raz na zawsze.

Dowiedział się także, że jest dla niego miejsce u boku ojca, jeśli tylko będzie je chciał zająć.

Chciał.

Ostatecznie to zapach krwi przekonał go, że ten człowiek to rzeczywiście jego ojciec. Choć zmienił się przez lata, nadal dawało się w nim wyczuć zakrwawione żelazo i śpiący lód, zniknęły za to nocne pieśni i kochające psy. W ich miejsce pojawił się ogień. I poczucie niepowetowanej straty. Wszystko to znaczyło każdą kroplę krwi Ragnora. Nadawało jego oczom wyraz, którego nikt inny nie był w stanie pojąć.

Nikt oprócz Aeduana, który był przy nim tego dnia, kiedy wszystko im odebrano.

Od tamtej rozmowy w krytej strzechą chacie miał wyraźny cel. Niczego nie krytykował. Nigdy się nie wahał. Pieniądze i sprawa. Pieniądze i sprawa. Brak było miejsca na osobiste pragnienia, zresztą wcale nie chciał ich mieć. Dawno temu wyrzekł się nadziei. Liczyło się tylko działanie, parcie do przodu. Pieniądze i sprawa. Pieniądze i sprawa.

Aż do pamiętnego dnia przed dwoma tygodniami.

Teraz wszystko uległo zaciemnieniu. Aeduan znajdował się w pułapce między obowiązkiem a długami życia. Między swoim ojcem a dzieckiem. Nie mógł w pełni służyć Ragnorowi i jednocześnie szukać plemienia Sowy. Nie mógł znaleźć Sowie domu – ani spłacić Iseult długu – i jednocześnie pozostać oddany pieniądzom i sprawie.

Znalazł się w potrzasku, tak jak ten człowiek z opowieści, który pragnął nakarmić podczas burzy śnieżnej swoją rodzinę, ale nie potrafił się przemóc i zabić jagnięcia. Ostatecznie wszyscy pomarli z głodu, łącznie z jagnięciem.

Pani Los każdemu każe w końcu dokonać wyboru. Nawet krwiodziejom.

ROZDZIAŁ 8

Jakoś tak się stało, że to Iseult przejęła dowodzenie. Nie podobało jej się to. Ani trochę. Po pierwsze, nigdy nie była w Tirli, a „idź za znakami” to jedyna rada, jakiej Aeduan był w stanie obecnie udzielić.

Po drugie, Sowa nie chciała się jej słuchać. Gdy prosiła ją o zrobienie czegokolwiek – począwszy od wieczornego pozmywania naczyń, a skończywszy na pozostawaniu w zasięgu wzroku w trakcie ich wędrówki – dziewczynka uparcie odmawiała. Albo udawała, że w ogóle nie słyszy Iseult.

Wystarczyło jednak, aby o to samo poprosił ją Aeduan... Wtedy Sowa wykonywała zadanie w mgnieniu oka. Mała z każdym dniem wysyłała w jego stronę coraz silniejsze nici Więzi w odcieniu zachodzącego słońca. Aeduan może i nie miał nici, ale Sowa z całą pewnością była z nim związana.

W trakcie ich dotychczasowej podróży nie stanowiło to problemu. Irytowało, zgoda, ale zawsze mogła liczyć, że Aeduan wkroczy do akcji i zajmie się wszystkimi przejawami uporu. Teraz, kiedy był ledwo przytomny i potrafił się skupić jedynie na stawianiu kolejnych kroków, Iseult sama musiała kontrolować Sowę.

Słabo jej to wychodziło. Prawdę mówiąc, tamtego ranka, kiedy mała wrzuciła do ognia pstrąga przygotowanego na śniadanie, Iseult doszła do wniosku, że jej nienawidzi. Wiedziała, że nieładnie jest nienawidzić dzieci, ale jej zdaniem nawet Safi, która z malcami radziła sobie wyjątkowo dobrze, nazwałaby to akurat dziecko po trzykroć przeklętym demonem zza piekielnych bram.

Sowa kwestionowała dosłownie wszystko. Śniadanie. Mycie się. Chodzenie w butach. Trzymanie się ścieżki. Wystarczyło jedno ostre słowo Iseult, a wdrapywała się na najbliższe drzewo i chowała się pośród gałęzi. A jeśli w pobliżu nie znajdowały się żadne drzewa, wystarczały jej głązy.

W jednej chwili gniewnie się oddalała. W następnej zupełnie zniknęła, jakby pochłonęła ją ziemia. A potem, nim Iseult przystępowała do próby odszukania dziewczynki, pojawiał się Blueberry i ten jego cuchnący oddech. Jego srebrzyste nici Więzi jasno migotały obrzydzeniem do Iseult.

To uczucie było obopólne.

Im bliżej Tirli się znajdowali, tym więcej zatorów powstawało na drogach, muły i wozy przemieslały ziemię w błoto. W tej przycupniętej pomiędzy górami miejscowości schodziły się trzy granice, a jako że po niemal dwudziestu latach pokoju nadchodził czas wojny, ludzie się przemieszczali. Rodziny uciekały przed coraz bardziej prawdopodobnym zagrożeniem ze strony najeźdźców; żołnierze mobilizowali się, aby do niego nie dopuścić; handlarze liczyli, że zarobią na tych migracjach.

Gdy dotarli do pierwszej drogi wiodącej bezpośrednio do miasta, Iseult zarządziła postój. Nie chciała się tam zjawiać w towarzystwie górskiego nietoperza.

Aeduan padł na ziemię obok strumienia, ciężko kaszląc. Brzeg porastały jeżyny, ale krwiodziej odsunął je na bok, nie myśląc o krwi i bólu, po czym pił wodę tak długo, aż atak minął.

– Mnie też się to nie podoba – powiedziała Iseult do sterty kamieni, nad którymi unosiły się nienawistne szare nici Więzi. – Ale musisz powiedzieć Blueberry’emu, żeby pozostał w ukryciu. Wkrótce znajdziemy się wśród ludzi i jeśli go zobaczą, będą próbowali zrobić mu krzywdę.

– Nie mogą – upierały się kamienie. – Jest większy.

– Owszem – przyznała Iseult. – I w tym problem. Jeśli go zaatakują, on również odpowie atakiem.

Nici Więzi nad kamieniami zamigotały na różowo, co oznaczało akceptację, jakby Sowa uznała, że coś takiego jest jak najbardziej rozsądne.

– Nie możemy do tego dopuścić – kontynuowała więziodziejka. – Sowo, musimy pójść do Tirli, aby pomóc Aeduanowi. Nie obchodzi

cię Aeduan?

Jak na zawołanie krwiodziej znowu się rozkaszała.

To rzeczywiście było na zawołanie, bo kiedy zerknęła w jego stronę, na jego ustach dostrzegła cień uśmiechu.

– Sowo – wydyszał. – Każ... Blueberry’emu... zostać tutaj. Obiecuję, że niedługo do niego wrócimy. – Głos mu się rwał i widać było, że wszystko go boli, mimo to posłał Iseult umęczone spojrzenie i wypowiedział bezgłośnie: – Co jeszcze?

– Żadnej magii – odparła Iseult, również bezgłośnie.

Kiwnął głową, ale nie od razu się odezwał. Zamiast tego otarł wodę z ust i wskazał sztywno na drzewa.

– Najlepiej by było, gdybyś nas zostawiła – mruknął po dalmocku. – Nie sądzę... To znaczy prościej będzie, gdy zostaniemy sami.

– Chcesz powiedzieć, że ona mnie nienawidzi. – Niechciane gorąco oblało policzki Iseult, ale zrobiła, o co ją poprosił. Podniosła z ziemi pakunki – związane razem, żeby łatwiej było je nieść – i ruszyła do lasu, gdzie biegła najbliższa droga.

Nie uszła daleko, kiedy spośród drzew wyłonił się Blueberry, równie cichy jak prawdziwy nietoperz i z omiatającymi go niemi pogardy. Zachowywał się, jakby uważał, że wyłącznie z winy Iseult nie mógł się udać do Tirli razem z Sową i Aeduanem. Jakby to z powodu Iseult mała była zdenerwowana, a Aeduan ciężko ranny.

Odrzuciwszy wszystkie więziodziejskie nauki, wbiła w potężną bestię drwiące spojrzenie – na boginię, świetnie się z tym poczuła. Zmrużyła oczy i zmarszczyła nos, odsłoniła zęby, a przez jej płuca przetoczyło się gorąco. Dobrze jej to zrobiło.

„Spal go. – W opuszkach jej palców zatrzepotał ogień. – Spal to pierzaste stworzenie, a potem spal także tę małą”.

W jednej chwili Iseult oprzytomniała. Wstrząsnął nią zimny dreszcz.

To nie jej usposobienie. Nie jej ogień. Ani głos. Wyszkolono ją, aby kazała swemu ciału pozostać zimnym, kiedy powinno być gorące, aby jej palce trwały w bezruchu, kiedy powinny drżeć.

Wytrenowano ją, aby ignorowała uczucia napędzające wszystkich innych, a tu proszę. Targały nią emocje, nad którymi nie miała kontroli.

Ogień, nad którym nie panowała.

Przez chwilę Iseult zżerały wyrzuty sumienia. Nienawiść do siebie, swojej magii i tego, co zrobiła tamtemu ogniodziejowi. Nie był pierwszym człowiekiem, którego zabiła. Ci wszyscy żołnierze i żmije w Lejnie rozszczepieni przez Esme...

To Iseult. Lalkarka wykorzystała jej umysł, aby się dowiedzieć, gdzie się znajduje, i móc przypuścić atak.

Iseult chwyciła się za skronie i chwiejnym krokiem zaczęła się oddalać od Blueberry'ego, a także Sowy i Aeduana.

– Bądź jak kwiat – syknęła do siebie, myśląc o lodzie, lodzie i tylko lodzie. – Jak kwiat na tafli jeziora.

Smagały ją gałęzie. Spod jej podeszew bryzgało błoto po nocnym deszczu. Pakunki z każdym krokiem podskakiwały. Do tej pory nie było możliwe prześcignięcie demonów i nie ma co liczyć, że szybko się to zmieni.

W takim razie będzie musiała zachowywać większą czujność. Koniec z przebłyskami gniewu. I z całą pewnością koniec ze spaniem. Dziś rano wykrzesiła z siebie ogień, kiedy uderzenie w głowę sprawiło, że odpłynęła – dzięki Księżycowej Matce, że ją i Aeduana otaczał tylko żwir.

Tirla okazałaby się bardziej łatwopalna.

Zwolniła, kiedy natrafiła na pierwsze ślady ludzi. Na peryferiach jej magii unosiły się grube nici Więzi. Reprezentowały każdy rodzaj uczuć, od stalowoszarego bólu do szkarłatnych nici sercowięzi, ale wszystkie miały wspólną cechę: zielone skupienie ludzi w podróży.

Postanowiła zaczekać właśnie tutaj. Mijały minuty, a jej magia przyzwyczajała się do tak wielu osób i nici Więzi. Wrócił spokój, potęgowany zasadami, do których była przyzwyczajona. Wychowała się wśród ludzi, latami mieszkała w zatłoczonym mieście. W takich sytuacjach łatwiej jej przychodziły obojętność i logiczne myślenie.

W końcu przykuśtykał tu i krwiodziej. Trzymał Sowę za rękę i choć niemi dziewczynki rządziła nadąsana czerwień, przynajmniej szła i nie protestowała. Tylko że nigdzie nie było nietoperza.

Aeduan posłał Iseult pytające spojrzenie, jakby się zastanawiał, dlaczego szła aż tutaj i czy wszystko w porządku.

Udała, że tego nie widzi. Płomienie stanowiły tylko i wyłącznie jej problem. On w żaden sposób nie mógł pomóc. Jedyne, co jej zostało, to przeć do przodu.

O, bogini, jak bardzo żałowała, że nie ma przy niej Safi.

*

– Myśl jak Iseult – szepnęła prawdodziejka. To była jej modlitwa, powtarzana przez dwie ostatnie godziny. Siedziała na skraju łóżka w swojej pięknej, białej komnacie, ubrana w tę piękną, białą suknię poplamioną krwią kuzyna cesarzowej.

Biel, biel, biel. Gdzie nie spojrziała, widziała biel – od ścian do posadzek. Pierwszego dnia nie mogła wyjść z podziwu. Jej komnata wydawała się wręcz kojąco jasna. Teraz przytłaczała ją ta nieskazitelnosc, na której zbyt dobrze widać czerwień. A kiedy krew wysychała, nie dawało się jej usunąć.

Na płytkach wciąż widniały ślady jej butów, obecnie już rdzawobrazowe. Skutecznie przypominały, czego Safi się dopuściła. Odcięta głowa z mrugającymi oczami i tryskającymi krwią tętnicami szyjnymi. W uszach dźwięczały jej ostatnie słowa tego człowieka: „Cóż za nedorzeczne pytanie”.

Na zewnątrz wybrzmiało trzynaście uderzeń dzwonu. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale przez metalowe żaluzje w jedynym oknie do komnaty Safi sączyło się tylko słabe, szare światło. Za oknem kwitł nieduży ogród, o tej porze zaczynały się odzywać koniki polne.

Zacisnęła palce na spoczywającym na jej obojczyku kamieniu Więzi i oparła głowę na kolanach. Kamień to podarunek od Iseult.

Tak jak ten noszony przez przyjaciółkę rozświetlał się, kiedy którejs z dziewcząt groziło niebezpieczeństwo.

– Myśl jak Iseult. Myśl jak Iseult.

Więziosiostra Safi znalazłaby jakieś rozwiązanie. Spokojna, logiczna Iseult rozplątałaby tę sytuację jak supeł na delikatnym łańcuszku, zasypując Safi pytaniami i ustalając fakty.

A fakty były takie, że już po raz drugi w życiu Safi obrała własną ścieżkę, zagrała własnymi kartami – nie mając przy boku nikogo, kto udzieliłby jej wskazówek – i oto dokąd ją to zaprowadziło. Stała się prawdopodobnie cesarzowej Vanessy w zamian za handel z przymierającą głodem Nubrevną. Podobnego wyboru dokonała w Saldonice. Przypominał jej o tym ślad na kciuku.

Dzień po pojedynku z admirał Kahiną i zawarciu z nią umowy cienka czerwona kreska pojawiła się dokładnie w tym miejscu, gdzie kobieta nosiła swój jodeitowy pierścień. Zaświecił się, kiedy Safi obiecała Kahinie, że da jej to, czego ta będzie chciała. Safi podejrzewała, że to oznaka przypieczętowania paktu nie tylko w słowach. Tyle że starała się o tym teraz nie myśleć. Ta decyzja uratowała ją, a oprócz niej Vanessę i piekielnych bardów.

Ich oczywiście już tu nie było. Marstocka świta sprzeciwiła się goszczeniu w pałacu innych Cartorrian niż Safi, takiego zdania byli zresztą także generałowie, admirałowie, arystokracja i żmije.

A to sprawiało, że Safi pozostawiono samą sobie w imperialnym pałacu otoczonym ze wszystkich stron wodami jeziora Scarza, za którymi znajdowały się Wzgórza Kendury, jeszcze dalej tysiące miejscowych wrogów życzących jej śmierci, a potem tysiące wrogów zza granicy.

Wiedziała, że Rokesh i pozostałe żmije będą ją chronić, ale choć w Saldonice połączył ją z Vanessą sojusz, a może nawet przyjaźń, to gdyby na szali stanęło życie Safi i przyszłość imperium...

Jedno życie na rzecz wielu... Wynik tego równania Safi znała aż za dobrze.

Być może najistotniejszym zagadnieniem było jednak to, że prawdodziejstwo, które Safi ukrywała przez całe swoje życie, teraz stało się kwestią powszechnie znaną. Nadeszła chwila, przed którą uciekała przez dziewiętnaście lat... Stała się imperialnym narzędziem, nożem dla Pani Los, do tego z powodu jej magii będą ginąć ludzie.

„Prawda”, zamruczała moc Safi. Niemiłe ciepło w jej klatce piersiowej. Mocno zacisnęła powieki. Pragnęła uciec, porzucić to wybrane przez siebie miejsce i biec tak szybko i tak daleko, na ile starczy jej sił.

Nie była jednak głupia. Gdyby próbowała uciec, skończyłoby się to dla niej zakuciem w kajdany i to one by sprawiły, że już nigdy nie opuściłaby Marstoku i nie odnalazła Iseult – a to jedyne, co liczyło się dla niej w całym Czaroziemiu.

Iseult podróżowała teraz w towarzystwie krwiodzieja, który ścigał je po Morzu Jadańskim, i mogła sobie twierdzić, że mu ufa, Safi i tak jej nie wierzyła. Nie mogła. W obu przypadkach, kiedy dziewczęta rozmawiały ze sobą w snach Safi, coś było nie tak. Coś kazało myślom Iseult czmychać, a jej słowom plamić się kłamstwami.

Safi obawiała się, że jej przyjaciółka nie podróżuje z tym krwiodziejskim potworem z własnej woli, ale nie miała jak poznać prawdy. Od półtora tygodnia Iseult nie odwiedziła jej we śnie.

Jęknęła. Łańcuch jej myśli przywiódł ją z powrotem do początku: oto tkwiła na tym dworze, a Iseult tułała się gdzieś daleko, daleko. Prawdodziejka potrzebowała jej rady w kwestii dalszego postępowania.

Gdy tak rozmyślała, bębniąc palcami stóp o podłogę, ciszę rozdarło krakanie. Podniosła wzrok i w wychodzących na ogród drzwiach dojrzała wronę. Stare ptaszysko, świadczyła o tym biała obramówka dziobu.

Głowę miała przekrzywioną, oczy niesamowicie rozumne.

– Nie mam nic do jedzenia. – Safi wstała. – Idź sobie, wrono. – Bez przekonania wykonała gest odganiający ptaka. – Idź, bo naślę na

ciebie zmije.

Te słowa nie zrobiły na wronie najmniejszego wrażenia. Dopiero kiedy Safi się zbliżyła, ptak uskoczył do tyłu, trzepocząc skrzydłami.

– Sio – rzekła prawdopodobnie, tym razem nieco bardziej stanowczo, i zamachała rękami. – Leć stąd, nim dosięgnie cię zatruta strzała... – Urwała, kiedy wrona poderwała się z ziemi i wylądowała na stojącym pośrodku niewielkiego ogrodu teleskopie.

To był prezent od cesarzowej, zakupiony w Veñazie podczas Szczytu Rozejmowego. Obserwowane przez niego gwiazdozbiory prowadziły ją i Vanesę podczas ich podróży przez Ziemię Niczyją, więc cesarzowa uznała, że Safi chętnie przyjrzy się niebu jeszcze uważniej.

Wiedziała, że to dar z życzliwości serca, a mimo to był dla niej bardziej jak okrutne przypomnienie o tym, że tkwi uwięziona między wysokimi murami, a jedyną jej ucieczką stanowią gwiazdy.

Ptak przysiadł na krawędzi teleskopu. Szeroko rozpostarł skrzydła, jego pióra połyskiwały w słońcu, ale to nie wronie przypatrywała się Safi, lecz temu, co tkwiło w jej dziobie: kawałkowi różowego kwarcu. W pierwszej chwili pomyślała, że to kamień bólu, ale się nie świecił. Zresztą skąd by go wzięła wrona?

Wtedy ptak upuścił kamień, raz jeszcze zakrakał, po czym odleciał, zostawivszy po sobie solidną plamę odchodów na mosiężnej obudowie teleskopu.

– Dzięki – mruknęła Safi, wdzięczna, że gówieńko wylądowało na teleskopie, a nie na jej głowie.

Ciekawość przyciągnęła Safi do gorącego ogrodu. Ubrudzone krwią buty zachręściły na żółtym żwirze.

To rzeczywiście był kamień bólu. Nie mogła w to uwierzyć. Magia z niego uleciała, ale kształt i rozmiar się zgadzały. Kiedy zaś ukucnęła, aby go podnieść, dostrzegła dziurkę, przez którą powinien przechodzić rzemyk.

Przez długą chwilę kuciała w bezruchu i wpatrywała się w kamień, a tymczasem supeł w jej umyśle się rozplątywał. Ostrożnie

pociągnęła za sznurek pomysłu. Delikatnie skręcała go w myślach, a w kącikach jej ust błąkał się ledwie widoczny uśmiech.

Obmyśliła plan, który mógł ją uratować. Prosty, jasny i taki, który Iseult także by się spodobał. Będzie wymagał narzędzi i książek. A jutro, kiedy zrzędliva ziemiodziejka-uzdrowicielka przyjdzie obejrzyć jej stopę i nos – rany nie zagoiły się, jak należy – zasypie tę kobietę pytaniami. Bo skoro inni czarodzieje mogli przelewać swoją magię na kamienie, balsamy, kłódki i bębny, czemu nie Safi?

Gdyby udało jej się stworzyć kamień Prawdy, Vanessa by jej nie potrzebowała. To nie słowa Safi skazywałyby zdrajców na śmierć i, co najlepsze, mogłaby niezwłocznie ruszyć w ślad za Iseult.

Porwała z ziemi nieaktywny kamień bólu i wstała. Miała zadanie i świetnie się z tym czuła. Dosyć kiszienia się w pałacu, czekania, aż dopadnie ją zepsucie. Dostyć bycia czymś narzędziem.

Zabrała się do pracy.

*

Vivia stała boso na brzegu podziemnego jeziora. Po pomarszczonej powierzchni przeskakiwały cienie rzucane przez postawiony przez nią na ziemi lampion. Obok niego zostawiła buty, jak zawsze, kiedy tu przychodziła.

Serce Lovats, karmione milami dawno zapomnianych podziemnych rzek i warstw wodonośnych. To także serce Vivii i jedyne miejsce, w którym mogła przebywać, kiedy nie była w stanie dłużej znieść paniki. Tutaj potrafiła oddychać, mogła być Vivią. „Oto źródło twojej mocy, płomyczku – mówiła do niej Jana. – Właśnie dlatego twoja rodzina, a nie jakaś inna, włada Nubrevną. Ta woda nas zna. Ona nas wybrała”.

– Zgaśnij – szepnęła Vivia do lampionu, a po chwili jaskinię spowił mrok.

Po trzech oddechach jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności i zaczęła dostrzegać punkciki ogników. Sześć rzędów w poprzek sklepienia jaskini.

Dwa tygodnie temu były tylko trzy takie rzędy, ponieważ wówczas miasto niemal upadło. Ale Vivia i Merik odparli atak najeźdźców i potwora zwanego Furią. Naprawili zaporę, a krótko potem wróciły ogniki.

Dwa tygodnie temu Serrit Linday nazwał to miejsce Prastudnią.

Odkąd w jej głowie pojawiło się to nasionko, Vivia nie była w stanie powstrzymać jego rozrastających się korzeni. W Czaroziemiu istniała jedna zaginiona Studnia i choć magia Vivii nie była powiązana z Otchłanią, to jezioro niezaprzeczalnie było czymś więcej niż tylko zbiornikiem, w którym gromadzi się woda.

Jeśli pod jej miastem rzeczywiście znajdowała się Studnia Otchłani... Co to w ogóle oznaczało? To kolejna niewiadoma na coraz dłuższej liście.

Nim panika zdążyła ścisnąć jej płuca, Vivia rzuciła się w fale. Jezioro przyjęło ją w siebie, ciepłe i serdeczne. Drżące i żywe. Ta woda nie przejmowała się ojcami, matkami ani najlepszymi przyjaciółkami. Nie zamartwiała się wiadomościami od cesarzowych czy skradzionymi przemowami. Obchodziła ją wyłącznie ta chwila i to miejsce. Płynęła tam, gdzie pozwalała jej ziemia. Zmieniała się wraz z porami roku i nigdy nie zamartwiała się tym, że nie potrafi być taka, jaką chcą ją widzieć inni.

Vivia zamknęła oczy. Jej magia pomknęła do przodu, witała się z rybami i salamandrami, przeskakiwała nad głazami, korzeniami, szczelinami i wyłobieniami. Zmysły przyszłej królowej przemieszczały się to w górę, to w dół, a ona wyczuwała i dosięgała wszystkiego, co mogło się znajdować nie na swoim miejscu, wszystkiego, co było nie tak.

Tyle że wszystko trwało w jak najlepszym porządku, bo przecież dwa tygodnie temu ona i Merik uratowali miasto. Sekunda po śliskiej sekundzie Vivia wracała do swojego ciała. Zniknęła panika, zastąpiła ją moc pływów i siła burz.

Była Vivią Nihar, przyszłą królową Nubrevny – wybraną przez te wieczne wody i z nimi związaną. Potrafiła pognać całe floty,

poprowadzić wodogrzmot od szczytu góry aż do końca doliny. Posiadała moc zwyciężenia niemal każdego człowieka.

Stix miała rację: pora, aby Noden i jego rybnie wiedźmy poddali się rządowi kobiety.

Tak więc Vivia podjęła decyzję. Uda się do Azmiru. Dzisiaj, zgodnie z sugestią Stix. I będzie negocjować umowy handlowe z cesarzową Marstoku.

Zrobi to dla siebie, zrobi to dla Nubrevny.

ROZDZIAŁ 9

Dzwon wybrzmiewał piętnasty raz, kiedy Iseult, Aeduan i Sowa dotarli do Tirli. Nazywano ją Miastem Tysiąca Nazw, jako że co kilka dekad nowy naród czy imperium rościły sobie prawa do jej stromych dachów i krzywych uliczek. Odkąd miasto podbił Marstok, nazywano je Tirlą, od jeziora, nad którym leżało.

Budynki nurzały się w złocie zachodzącego słońca. Iseult uznałaby to za coś pięknego, gdyby uszy jej nie puchły od dziecięcego jazgotu, nawoływań kupców, rżenia osłów i niecichnącego stukotu kopyt, nie wspominając o komendach żołnierzy i przekrzykiwaniu się kowali. Ten zgiełk atakował ją ze wszystkich stron.

Gdzie spojrzała, wszędzie pełno ludzi, a każdy miał nad sobą własne, wyróżniające go nici Więzi poruszające się w sposób nieskoordynowany i emocjonalny. Ulga, którą Iseult poczuła w obecności innych osób, szybko zniknęła i teraz marzyła jedynie o tym, aby choć na chwilę móc zamknąć oczy i nie stanowić obiektu ataku tych wszystkich doznań.

Coś takiego nie wchodziło jednak w grę. Przynajmniej na razie.

Ostatnią milę szła, podtrzymując Aedua. Sowie wcale się to nie podobało, Aeduanowi jeszcze mniej, a już najmniej samej Iseult. Niesamowitego wysiłku wymagało od niej utrzymywanie go w pozycji pionowej i jednoczesne pilnowanie, aby Sowa gdzieś się nie zawieruszyła, nie wspominając o zadbaniu, aby ona i mała pozostawały należycie ukryte pod kapturami i chustami. Wiedziała, że w kwestii Nomatsów prawo marstockie jest nieco bardziej liberalne niż w innych krajach, ale wcale nie chciała tego weryfikować.

Ochrona prawna nie wykreślała wieków nienawiści.

By uniknąć tłumów, Iseult skręciła do pierwszej napotkanej gospody. Nad wejściem wisiał szyld z napisem „Biała Olcha”, a pod nim drugi z informacją o wolnych pokojach. Zajazd zbudowano

głównie z małych, białych cegieł i terakotowych płytek. Im mniej drewna, tym lepiej.

Pani Los wybrała jednak inaczej: kiedy tylko Iseult weszła na dziedziniec, stanęła twarzą w twarz ze stojącą pośrodku dawno uschniętą, wyblakłą od słońca olchą. Mijając drzewo, przyjrzała mu się nieufnie. Przed wejściem zatrzymała się, aby sprawdzić, czy kaptur dokładnie zasłania jej twarz. Odwróciła się w stronę Sowy. Dziewczynka stała nadąsana, nie opierała się jednak, kiedy Iseult ciałniej zawiązała jej chustę. Nie zaprotestowała także, kiedy usłyszała:

– Trzymaj się blisko Aeduana i nie odzywaj się.

Przez nici Więzi dziewczynki przeplotła się oznaczająca irytację miedziana czerwień, a zaraz po niej blady błysk pogardy, jakby myślała: rzadko się odzywam, niemądra kobieto.

W sumie miałyby rację.

Schyliwszy głowy, weszli przez niskie drzwi do głośnej stołówki, która, ku uldze Iseult, także była wyłożona białym kamieniem. Jadalnię zastawiono dębowymi stołami oraz krzesłami i choć go nie widziała, wyczuła na końcu pomieszczenia nieduży kominek. Ciągnęło ją do niego jak Gwiazdę Polarną do magnesu. W palcach czuła gorące swędzenie.

Spokojna jak więziodziejka, upomniała się w myślach, po czym zdecydowanym krokiem podszła do baru. Stała za nim kobieta z upiętymi na czubku głowy czarnymi włosami i ostrożnie kroїła szynkę. Nawet nie podniosła wzroku.

Nie zrobiła tego także wtedy, kiedy Iseult się odezwała.

– Potrzebujemy pokoju.

Kobieta nieprzerwanie kroїła mięso, przy każdym ruchu noża tryskały soki, a jej nici Więzi miały odcień pełnej skupienia zieleni.

Iseult zakaszłała. Spróbowała raz jeszcze, głośniej.

– Potrzebujemy poko...

– Słyszałam. – Kobieta nie przestawała kroїć. Kolor nici Więzi nie uległ zmianie. – Nie mamy niczego wolnego.

– Na szyldzie napisano co innego.

– Cóż, szyld się myli.

Iseult drgnęły skrzydełka nosa. Tak rzadko musiała to robić bez Safi u boku i wątpiła, aby jej zwyczajowa groźba o odrąbaniu uszu i rzuceniu ich szczurom na pożarcie odniosła w tej sytuacji pożądany skutek.

Z drugiej jednak strony mentor Iseult, Mathew, zawsze powtarzał: „Pieniądze to język, którym mówią wszyscy ludzie”.

– Mam pieniądze – zaczęła.

– Za mało. – Kobieta ani na chwilę nie przerwała krojenia, jednak w jej niciach Więzi zatrzepotała zirytowana czerwień. – Jesteśmy drogim przybytkiem.

– Jak drogim?

– Pięćdziesiąt klek za noc.

Iseult nie potrzebowała magii Safi, aby wiedzieć, że to kłamstwo. Kobieta mocno zawyżyła cenę, jej nici Więzi wyraźnie dawały do zrozumienia, że chce, aby przybysze sobie stąd poszli. Iseult musiała coś teraz udowodnić i w tym celu, niech Księżycowa Matka ma ją w swej opiece, zamierzała zmarnować mnóstwo monet. Po to tylko, aby bronić swoich rodaków.

Safi byłaby z niej dumna.

Wyjęła spośród fałd płaszcza srebrnego talara i położyła go na blacie. A potem spróbowała się uśmiechnąć.

– Co pani powie na dwa razy tyle?

W tym samym momencie nici Więzi kobiety naznaczyła podejrzliwość. Wyprostowała się i uniosła nóż – niby nie była to groźba, ale także nic, co dałoby się określić inaczej.

– Ukradłaś?

– Nie. – Głos Iseult był spokojny, twarz pozbawiona wyrazu. Pozostała ze wszech miar opanowaną więziodziejką. – To zapłata za... szycie.

– Och? – Podejrzliwość w niciach Więzi zatoczyła szersze koło. – Myślałam, że u Nomatsów szyciem zajmują się mężczyźni.

Tego się nie spodziewała. Ze wszystkich właścioleek gospód, na które mogła natrafić, musiała znaleźć akurat taką, która rzeczywiście coś wiedziała o nomatsańskiej kulturze.

– To prawda – powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. Daj jej to, czego oczekuje. Daj jej to, czego oczekuje. – Ja... nauczyłam się od ojca. Ale zabili go najeźdźcy i teraz moja rodzina... – Wskazała na Aeduana i Sowę. – Szukamy miejsca, gdzie będziemy się mogli zatrzymać na kilka nocy. Niedługo stąd znikniemy, obiecuję.

Zamyślonę mruknięcie, po którym nici Więzi kobiety powoli zaczęły zmieniać kolor. Najpierw pojawił się intensywny seledyn zrozumienia, ale naznaczony granatowym smutkiem. W końcu zafalowały różową akceptacją.

Dobra passa Iseult skończyła się w chwili, gdy Aeduan zaczął kaszleć. Tak głośno i przejmująco, że najbliższę siedzący klienci odwrócili w jego stronę głowy, nad którymi drżały nici przerażenia.

To samo uczucie zdjęło właścicielkę gospody. Skrzywiła się. Nóż ponownie znalazł się w powietrzu.

– Żadnej zarazy.

– To nie jest zaraza. – Iseult wypowiedziała te słowa na tyle głośno, aby usłyszała ją kobieta za barem i najbliższę siedzący ludzie. Przewróciła nawet oczami w próbie naśladowania Safi. – Gdyby był chory, to ja i moja siostra też byśmy dychały. Tak już jest z chorobami.

Kobiecie nie spodobał się ton głosu Iseult, ale nic nie powiedziała.

– Został ranny w ataku najeźdźców – kontynuowała więziodziejka – i rana kiepsko się goi. Byłabym wdzięczna za pokierowanie mnie do lecznicy.

– Parę przecznic na wschód jest jedna – rzekła kobieta, schylając się po klucz – ale mało prawdopodobne, aby ktoś wam tam pomógł. Prawie wszyscy nasi uzdrowiciele zostali wciągnięci do armii i posłani na granicę. – Kiedy się wyprostowała, do jej nici Więzi wrócił ciemny smutek. – Wiem, jak to jest, stracić kogoś w brutalnym

najeździe. Proszę. – Podała Iseult klucz i garść brązowych monet. – Pokój trzynasty. Trzecie piętro, trzecie drzwi na lewo.

– Dziękuję pani. – Dziewczyna wypowiedziała te słowa miękko, bez udawania czy więziodziejskiej kontroli. Kobieta wzięła od niej znacznie mniej niż pięćdziesiąt klek i Iseult była jej za to bardzo wdzięczna.

– Mała rada. – Właścicielka gospody uniosła brodę. – Ty i twoja rodzina pozostaniecie w ukryciu. Ludzie gadają, że Nomatsowie przeszli pod sztandar Króla Zdobywcy. Dlatego nie są w Tirli mile widziani.

Iseult zamrugła.

– Ale to nieprawda. To on nas zabija.

Na kobiecie te słowa nie zrobiły wrażenia.

– Wcale nie musi to być prawda, żeby wierzyli, więc trzymajcie się na uboczu i nie naróbcie sobie kłopotów. – Uniosła brwi i nim Iseult zdążyła choćby skinąć głową, wróciła do krojenia szynki.

*

Aeduan przekonał się, że dzielenie pokoju to coś kompletnie różnego od dzielenia lasu.

Przez ten potworny, pulsujący w czaszce ból nie potrafił określić, dlaczego ściany robią taką różnicę – formalnie rzecz biorąc, tutaj wcale nie znajdował się bliżej więziodziejki czy Sowy niż zeszłej nocy w ich niewielkiej jaskini. A jednak ta przestrzeń wydawała się sto razy mniejsza i znacznie bardziej zatłoczona.

Pod niedużym oknem niskie łóżko zaścielone ładną, aczkolwiek dość mocno zużytą kapą, na stoliku przy drzwiach wyszczerbiona umywalka z kobaltowymi liśćmi na obramowaniu, a nad nią wypaczone lustro.

Sowę owo zwierciadło z miejsca zafascynowało i Aeduan był wdzięczny, że coś skupiło jej uwagę. Ból huczał w każdym jego organie, każdej kończynie, z każdą minutą coraz bardziej dojmująco. Ledwie powstrzymywał kaszel. Do tego krew, jej nieustępliwe

sączenie się nie tylko ze starych ran, ale teraz także z dwudziestu jeden nowych. Koszula, z której upraniem Iseult tak się natrudziła, znowu była sztywna i czerwona.

Kiedy więziodziejka pomogła mu usiąść, przez głowę przemknęła mu myśl, że przynajmniej jej nie ubrudził swoją krwią.

– Dziękuję – próbował powiedzieć, kiedy opadł na łóżko, ale z jego gardła wydostało się jedynie chrapliwe westchnienie.

Drewniana rama zajęczała. Więżiodziejka znalazła się przed nim, zasznurowane usta i zielonozłote oczy. Zbliżyła dłonie do jego szyi, dotknęła delikatnie jak zawsze, i dopiero po chwili dotarło do niego, że zdejmuje mu pelerynę.

Zesztywniał, a ona się zawahała. Na jej policzkach pojawiła się smuga rumieńca.

– Mogę? Musimy ci opatrzyć rany.

Znowu my.

Kiwnął głową, a kiedy Iseult zdjęła mu okrycie, zrozumiał, że problem wcale nie leżał w tym, że pokój wydaje się za mały. To Iseult wydawała się zbyt duża. Wypełniała sobą całe jego pole widzenia. Każdy dotyk, słowo, oddech. Nie było od niej ucieczki.

Złożyła pelerynę Aeduana, zachowując się tak, jakby nie była brudna i cała w dziurach, po czym ostrożnie położyła ją na podłodze. Ze ściągniętymi z koncentracji brwiami odwróciła się w jego stronę. Jej palce wyciągnęły się ku skrajowi jego koszuli, jakby zamierzała wyciągnąć mu ją ze spodni. Jakby chciała ściągnąć mu ją z krwawiącego torsu.

Tego już było za wiele.

Jego dłonie unieruchomiły jej palce, które zdążyły już musnąć mu biodra.

– Nie. – Tyle tylko powiedział, a raczej wychrypiał.

Rumieniec na jej policzkach stał się jeszcze intensywniejszy. Szybko zabrała dłonie. Po czym cała się odsunęła, odwracając się w stronę Sowy. Ułamek sekundy później wystrzeliła w jej stronę.

– Zostaw! – zawołała. – Nie wolno ci niszczyć tego lustra, Sowo, zostaw to!

Aeduan odetchnął drżąco. Czuł większą ulgę, niż skłonny byłby przyznać, że Sowa sprawia kłopoty. Nie trwało to jednak długo, bo sam akt zdjęcia koszuli okazał się niewykonalny – i jeśli miał być szczerzy, nie stanowił już priorytetu.

Krzyczał każdy mięsień w jego ciele. Przed oczami latały mu mroczki i nie zostało mu ani odrobiny siły, by z tym walczyć.

Człowiek nie jest swoim umysłem, próbował sobie powtarzać. Pierwsza lekcja każdego mnicha. Człowiek nie jest swoim ciałem. To zaledwie narzędzia umożliwiające mu walkę.

Próby te się nie powiodły. Nie mógł dłużej zaprzeczać słowom Iseult: strzały, które go trafiły, były zaklęte.

Zatem tak się umiera.

– Wygląda na to, że szkło także potrafi kontrolować – mruknęła Iseult po dalmocku, odwracając się w stronę Aeduanana. – Jakby bez tego to dziecko nie było wystarczająco nieznośne... Aeduan? – Nachyliła się ku niemu. – Aeduanie, nie zasypiaj... jeszcze trochę. Dasz radę?

– Mhmm... – przytaknął i choć kosztowało go to pioruńsko dużo wysiłku, zmusił powieki do pozostania w górze, a kręgosłup do wyprostowania się.

– Pójdę poszukać uzdrowiciela – kontynuowała. – I kupić zapasy na drogę.

– Nie... – Przełknął ślinę. – W Tirli jest klasztor. Tam... mogę... zdobyć zapasy.

Szeroko otworzyła oczy, malowało się w nich niedowierzanie.

– Myślałam, że nie jesteś już mnichem.

Tak jej powiedział, prawda? Mówił poważnie, aczkolwiek powód, dla którego zrobił to przed dwoma tygodniami, wydawał się mocno rozmyty.

– Ledwie jesteś w stanie mówić, a co dopiero chodzić.

– Ale ja... muszę – upierał się. Czemu tak nalegała? Czemu się przejmowała? – Ten martwy mnich... wymaga zgłoszenia.

– W takim razie ja pójdę i to zrobię.

Przez kilka długich chwil Aeduan przyglądał jej się i zastanawiał. Zawsze go zaskakiwała. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, co zrobić. Czasami budziła w nim gniew – nie miała prawa się o niego troszczyć. Ale innymi razy...

Cóż, nie do końca to rozumiał. Wiedział jedynie, że się cieszy, iż nie porzucił jeszcze tej wyprawy i nie wrócił do ojca. Cieszył się, że nie udał się do Lejny ani nie ścigał ducha pachnącego czystymi wodami jeziora.

– Tylko mnisi mają tam wstęp – wychrypiał w końcu.

Skrzydełka nosa Iseult zadrżały.

– W porządku – oświadczyła. – Później możesz tam pójść, kiedy już wyzdrowiejesz. Na razie masz odpoczywać. A ty, Sowo – posłała dziewczynce surowe spojrzenie – zamknij za mną drzwi i nie majstruj przy lustrze pod moją nieobecność.

Wiele bolesnych oddechów później Iseult opuściła pokój. Sowa posłusznie zamknęła drzwi, po czym wdrapała się na łóżko. Usiadła po turecku obok Aeduana i posłała mu wyczekujące spojrzenie.

– Bajka – powiedziała.

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego słowa. Bajka. Rzadko miał okazję je słyszeć. W sumie to nigdy. I z całą pewnością nie znał wielu bajek, które mógł opowiedzieć sześciolatniemu ziemiodziejkom.

– O potworze i miodzie – doprecyzowała, tym razem z większym naciskiem, i szturchnęła go w biceps.

Zabolało. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Odpłynie, jeśli czymś się nie zajmie, a choć i tak nie było z niego żadnego pożytku, nie chciał zostawiać tej dziewczynki samej w obcej gospodzie, w której lustra aż się prosiły, aby je stopić i uformować od nowa.

Potwór i miód... to opowieść, którą słyszał w dzieciństwie setki razy od swojego ojca i którą nigdy nie chciał się dzielić. Bądź co

bądź, takie bajki były niebezpieczne. Niepotrzebnie budziły nadzieję i dawno uśpione marzenia. Prawda była taka, że potwory nigdy nie zamieniają się w ludzi, bez względu na to, ile uda im się zebrać miodu.

Aeduan przełknął ślinę i zaczął opowiadać inną bajkę. Zupełnie nieszkodliwą. Taką, którą słyszał przed laty od swojej matki: o brudnym kocie uwięzionym przez burzę i małej dziewczynce, która go uratowała.

ROZDZIAŁ 10

Merika ocalała przed cieniami piosenka. Głos tak doskonały, że uznał siebie za niechybnie zmarłego. To musiał być przedsiónek Nodena i śpiew jednego z jego świętych.

A jednak poczuł na twarzy ciepło. Kiedy otworzył na chwilę oczy, wdarł się do nich blask słońca. Natychmiast je zamknął.

Nadal słyszał ten głos. Świdrujący sopran wypełniał jego uszy językiem, którego nie rozpoznawał, ale nie przeszkadzało mu to delektować się śpiewem. Wylegiwał się jak kot na słońcu. Było mu ciepło, czuł się kochany i pragnął, aby ta muzyka nigdy się nie kończyła. Jeśli to kraina umarłych, ta pieśń go ocali.

Na drodze słońca przeskakiwały cienie, ktoś zasłonił światło dobiegające do zamkniętych powiek Merika. Ponad muzyką dało się słyszeć delikatne skrobanie. Znajomy dźwięk, przywołujący jego myśli do podobnego słońca i porannego, całującego jego twarz wietrzyku. Do tego miarowe kroki, przypominające chód ciotki Evrane, gdy krzątała się po swoim warsztacie z móżdżkiem i tłuczkiem.

Niemal słyszał jej słowa, wpasowujące się w tę nową piosenkę:

Furia nie zapomina.

Wszelkie przewiny twoje

Powrócą w dwójnasób

I będą cię gnębić

Nim nie odpokutujesz.

Mroczna treść jak na tak uroczą melodię. I to cudowne ciepło, pomyślał i zmusił powieki do uniesienia się. Jednak jego oczy napotkały nie ciepło ani blask słońca, lecz maleńkie, pozbawione szyby okno wybite wysoko w ciemnej, wilgotnej kamiennej ścianie. Słońce zdążyły zasłonić chmury. Okno otaczały nierówne, szare cegły, porastał je mech, z góry zwisały skrawki splecionej,

ozdobionej koralikami przędzy – zielonej, żółtej, różowej i niebieskiej.

Po suficie piął się bluszcz, natomiast na wałących się ścianach wymalowano czerwone maki. Stare rzeczy na powrót uczynione nowymi. W tym momencie przez słodką melodię przedarło się pierwsze ukłucie paniki.

Cam. Rybera. Furia.

Gdzie, na piekielne głębie, się znajdował?

Merik próbował się wyprostować. Zabolało – nagły, przeszywający ból w żebrach, brzuchu, plecach. Dał sobie spokój, opadł na ziemię, kiedy jednak głowa wylądowała na twardej podłodze, uderzyło w nią coś ciężkiego i twardego. Znowu spróbował się wyprostować, mimo bólu i zawrotów głowy, przekonał się, że wokół szyi ma założony gładki, drewniany kołnierz. Przytwierdzono do niego metalową kłódkę, a od niej ciągnął się łańcuch. Leżał luźno na ziemi, jego koniec zaś przymocowano do haka w ścianie.

Świat zawirował. Merik pociągnął za kłódkę – i jeszcze raz, i znowu.

– Nie uda ci się.

Tak bardzo pochłonęło go szarpanie, że nie zauważył, iż pieśniarka przestała nucić i stanęła za jego plecami. Dopiero teraz, kiedy jej słowa zawisły w powietrzu, do Merika dotarło, że nie jest już sam.

Odwrócił się w stronę dźwięku, brzęcząc przy tym łańcuchem. Mimowolnie dostrzegł, że ściany są zaokrąglone i że znajduje się w niedużej wnęce. Wieża, pomyślał. W tym momencie ujrzał twarz osoby, która przed chwilą się do niego odezwała, i panika uleciała niczym ostatnie ziarenka piasku w klepsydrze.

Była równie piękna jak jej głos. Uznał, że to Nomatsanka, jako że miała zbyt nienaturalnie bladą cerę, aby pochodzić z Dalekiego Wschodu, jednak w przeciwieństwie do większości Nomatsanek jej włosy były długie aż do pasa i przeplatane kolorowymi kawałkami

filcu, błyszczącymi koralikami, za ucho zaś miała zatknięte łądygi ususzonego wrzosu.

– Tylko ja mogę zdjąć ten kołnierz – powiedziała i kucnęła przed Merikiem. Strojna suknia zaszeleściła, a moździerz i tłuczek brzęknęły, kiedy postawiła je u swych stóp. Na kilka ciągnących się w nieskończoność chwil Merik zatopił się w jej płonących, złotych oczach. To nie były oczy młodej kobiety, choć taką w istocie była.

Stare rzeczy na powrót uczynione nowymi.

Dopiero po chwili Merik uświadomił sobie, że kobieta mówiła po arythuańsku. Nie był biegły w tym języku. Dzięki matce Kullena sporo rozumiał, ale żeby znaleźć odpowiednie słowa i układać zdania...

– Gdzie? – wyrzeźził. Na tyle było go stać.

Zrozumiała.

– Jesteś w moim domu, książę Meriku Niharze. W Pozniniu.

Pozniniu. Niemożliwe. Znajdował się po drugiej stronie Czaroziemia zaledwie... wczoraj? A może od tego czasu minął więcej niż jeden dzień? Co z Cam i Ryberą – były bezpieczne?

Widząc jego rosnący niepokój, kobieta się zaśmiała. Piękny dźwięk, lecz... niewłaściwy. Jak krzyk rekina albo płacz ryby, nie powinien wydobyć się z jej gardła. Sprawę pogarszał jeszcze dołeczek w jej prawym policzku.

– Niepotrzebne mi krosno do odczytania twoich myśli, książę Meriku. Widzę je tak wyraźne, jakby je zapisano w twoich niciach Więzi. Zastanawiasz się, jak się tutaj znalazłeś, tak? To proste. – Wstała, zabierając z ziemi moździerz i tłuczek. Towarzyszyła temu chmura bladego kurzu. – Przyfrunął tu z tobą twój przyjaciel. Ten, który nosił imię Kullen, zanim obudziłam w nim Furię. – Kolejny śmiech i dreszcz wzdłuż pleców Merika. – Łącząca was więź jest tak silna, że wciągnęło cię do tego samego półzycia rozszczepionych co jego. A teraz, tak samo jak jego, bardzo trudno cię zabić... Ale nadal jest to możliwe. I właśnie dlatego musisz tu pozostać, książę. Potrzebujemy, aby Furia poprowadził zdobywców w głąb Śpiącej

Góry, nie możemy ryzykować, że nagle umrzesz i wszystko zniszczysz.

Zabrzmiało to z lekka znajomo. W drodze do Zakonu Rybera coś wspomniała o tej górze... I jeszcze o drzwiach i różnych wejściach.

Na wiedźmie ryby, Merik modlił się, aby Rybera była cała i zdrowa. Cam także. Błagam cię, Nodzenie, błagam.

– Ty – próbował uzyskać jakieś informacje. – Kto?

– Mam na imię Esmé i to dzięki mnie jeszcze żyjesz. A to... – Schyliła się i stuknęła w drewno wokół jego szyi, z moździerza wydobyła się kolejna chmura kurzu. – To blokuje twoją magię, więc nawet nie próbuj tych swoich sztuczek. Ani na mnie, ani na nikim innym.

Po tych słowach klepsydra paniki Merika odwróciła się, piasek zawirował. Księżę wziął najgłębszy możliwy oddech, pozwalając, aby płuca naparły na krzyczące żebra, po czym szarpnął za swoją moc, która od zawsze tam mieszkała. Za powietrze, za wiatry, za prądy w świecie wokół niego.

Nic to jednak nie dało. Nic oprócz wdzierającego mu się do nosa pyłu z moździerza. Zakaszłał, co wywołało śmiech u młodej kobiety. Oddaliła się, a trzy ataki kaszlu później wróciła z porcelanowym kubkiem.

– Pij – poleciła i Merik tak właśnie zrobił.

Woda, choć mocno siarkowa, okazała się idealna na jego targane skurczami gardło. Kiedy pił, Esmé przeszła na drugi koniec pomieszczenia, gdzie stało zavalone księgami biurko. Niezapalone świece w różnych stadiach wypalenia pokrywały każdą możliwą przestrzeń: biurko, podłogę, wystające ze ściany kamienie, parapet większego okna, z którego widać było zasnutę chmurami niebo.

Podejrzewał, że jest już wieczór.

– Jaki... dzień dziś? – próbował sklecić pytanie.

– Według kalendarza nomatsańskiego dwudziesty siódmy dzień po Ósmym Księżycu. Według kalendarza pierwszych ludzi, tych, którzy tu żyli przed tysiącami lat, mamy dwudziesty siódmy dzień

Burz. – Esmę zerknęła na Merikę, a na jej ustach błąkał się przebiegły uśmiech. – Podejrzewam, księżę, że chcesz wiedzieć, jaki jest dzień w zwykłym kalendarzu. – Przewróciła oczami. – Takie słowo sugeruje swobodę i wybór, nie? Prawda jest jednak taka, że zwykły kalendarz został nam narzucony batami i okowami.

Przez całą tę przemowę Merik milczał. Na jego twarzy nie malowało się nic oprócz bólu pulsującego w żebrach i plecach. Spojrzenie kierował w stronę Esmę, żeby nie wyczuła, iż kataloguje każdy fragment wieży, każdą możliwą broń czy potencjalne narzędzie. Wcześniej wspomniała o niciach Więzi, więc musiała być kimś w rodzaju więziodziejki – co tłumaczyłoby stos kamieni na niskim stole pod głównym oknem.

Mówiła także o obudzeniu Furii w ciele Kullena. Tym jednak Merik zajmie się później.

– Według zwykłego kalendarza – kontynuowała Esmę – mamy dwieście czterdziesty trzeci dzień dziewiętnastego roku po podpisaniu Dwudziestoletniego Rozejmu.

Czyli Merikowi uciekło tylko kilka godzin. Kullen musiał przylecieć tu z jego nieprzytomnym ciałem zaraz po zniszczeniu tamtej kolumny, co znaczyło, że nie próbował ścigać Rybery czy Cam. Chociaż tyle dobrego.

Dopiwszy wodę, odchrząknął.

– Oni... będą musieli zacząć znowu.

Na widok konsternacji wypisanej na twarzy Esmę zaczął się zastanawiać, czy wybrał niewłaściwe słowa, a może błędnie je odmieniła, ale w tym momencie w jej oczach błysnęło zrozumienie i raz jeszcze w wieży rozległ się ten jej przyprawiający o ciarki perlisty śmiech. Odstawiła nawet moździerz i zaklaskała.

– Masz na myśli kalendarz! Będą musieli zacząć go od nowa, tak, tak, bo przecież Rozejm dobiegł końca. Och, jakież to zabawne. Ty jednak używasz mózgu, księżę. W życiu bym tego nie zgadła, patrząc na ciebie, ale ty nie jesteś jak moi inni rozszczepieńcy, prawda? –

Kolejne klaśnięcie. Zerwała się z miejsca i podbiegła do leżącego pod przeciwległą ścianą stosu książek.

Moi inni rozszcziepnięcy. Tysiąc pytań obudziło się w głowie Merika. Kim była ta kobieta, dlaczego miała władzę nad rozszcziepnięciami, a właściwie jak ich kontrolowała... I czemu mówiła o Meriku, jakby był jednym z nich?

Bardziej zatrważające wydało mu się jednak to, że nie czuł niepokoju. Całkowity brak wcześniejszej paniki. Jedynie ciepło gromadzące się gdzieś za płucami i powolne oddalanie się bólu.

– W sumie ma to sens – kontynuowała, wyciągając ze stosu podniszczone tomiszczce. – Nie jesteś bezpośrednio powiązany z moim krosnem, nie rozszczepiłam cię rozmyślnie, jak resztę moich sług. Nie udało mi się też w pełni rozszczepić twojego więziobrata. Próbowałam. – Otworzyła księgę, a kartki omiotło jej westchnienie. – On jest złożony z tylu ludzi i tylu pradawnych nici Więzi, że nie okazało się to wcale takie proste, jak sądziłam. Ach, ale skoro już tu jesteś, książę...

Odwróciła się w stronę Merika, stukając palcem w kartkę, której nie widział. A powinien, bo Esmé nie stała daleko od niego. Zamrugął. Obraz stał się jeszcze bardziej zamazany.

– Skoro już tu jesteś, książę, wypełnię wszystkie luki, których nie wyjaśnił niniejszy pamiętnik. Magia nie jest już taka sama jak w czasach pierwszych eksperymentów Eridysi. Twój kołnierz, moje krosno... musiałam wszystko zmodyfikować i dostosować. Ale skoro tu jesteś... Ach, mamy tyle do zbadania. Szkoda, że dosypałam do twojej wody usypiający pył! Bo wtedy od razu moglibyśmy się za to zabrać.

Merikiem w tym momencie zawładnęła przyjemna senność, pociągając go na ziemię przy wtórze brzęku drewna i łańcuchów. Uśpiła mnie. Jak miło.

ROZDZIAŁ 11

Vivia nigdy dotąd nie widziała tak wielkiego miasta.

Choć od Azmiru dzieliły ją jeszcze dziesiątki lig, przesłaniał sobą horyzont niczym szalejące na równinach pożary. Miasto Złotych Iglic, Miasto Wiecznego Ognia. Metropolia – i otaczający ją olbrzymi kanion – posiadała równie wiele absurdalnych tytułów jak jej cesarzowa. I wszystkie, co musiała przyznać, okazały się zasłużone. Począwszy od ścian kanionu wznoszącego się ku Wzgórzom Kendury do zaśnieżonych szczytów widniejących za nimi Gór Sirmayańskich, od zatłoczonych nabrzeży na jeziorze Scarza do Pływającego Pałacu na utworzonej z czerwonoziemu wyspie na jego środku, Vivia w życiu nie widziała ani nie wyobrażała sobie podobnego miejsca.

Sześciu wiatrodziejów niosło ją coraz bliżej stolicy imperium z połyskującymi w słońcu wieżami. Miasto to było z dziesięć razy większe od Lovats – a nawet dwadzieścia; do tego otaczające je wzgórza stanowiły dom dla setki mniejszych wiosek. Ale to nie skąpała zdumiewała Vivie. Świeży i czysty Azmir wyglądał, jakby wybudowano go zaledwie przed rokiem, choć wiedziała, że nastąpiło to przed wieloma wiekami.

Gdy Pływający Pałac stawał się coraz większy – biały architektoniczny cud przełamany mnóstwem zieleni – Vivia poczuła ściskanie w żołądku. Zawroty głowy i słabość w kolanach zrzuciła na karb lądowania, kiedy jednak znalazła się już na ziemi, objawy te nie mijały. Miała ochotę pobiec ku najbliższym cyprysom i ukryć się za nimi.

Nie istniało nic, absolutnie nic, czego to zielone, tętniące życiem imperium mogło chcieć od Vivii czy Nubrevny. Jeśli chodziło o umowy handlowe czy traktaty, Marstok dysponował za to całą talią kart.

Niczego nie żałować. Byle do przodu. Przybyła tutaj, bo miała władzę. Nie zmarnuje tej wyprawy.

Vivia wygładziła poły srebrnego płaszcza, zdjęła okulary i próbowała poskromić włosy, które nie chciały się jej poddać.

Tymczasem w jej stronę maszerowało szesnaścioro kobiet i mężczyzn w zielonych mundurach. Większość nie miała przy sobie broni, miecze dostrzegła jedynie przy paskach kilkorga z nich, co oznaczało, że obecność tych strażników miała charakter wyłącznie ceremonialny. Uprzejmy komitet powitalny, jakby życzeniem cesarzowej było niewystraszenie Vivii.

Nie bardzo się to udało.

– Wasza Wysokość – odezwała się kobieta na przedzie formacji, a pozostali żołnierze skłonili się w doskonałej synchronizacji. – Jej Imperialna Mość oczekuje w swoich prywatnych komnatach.

Prywatne komnaty, pomyślała Vivia, przywołując do siebie swoich ludzi. Cesarzowa rzeczywiście przechodziła samą siebie, by nie stresować gościa.

Vivii wcale się to nie podobało. Czuła się jak krab zwabiony do garnka. Woda może na początku jest chłodna i przyjemna, ale wokół miedzianego naczynia wznoszą się coraz wyższe płomienie.

Jej niepokój przybrał jeszcze na sile, gdy udała się za żołnierzami przez ogród pełen rododendronów (które już kilka miesięcy temu powinny przekwitnąć), pomiędzy dwiema marmurowymi kolumnami tak rzeźbionymi, aby wyglądały jak pnie.

W końcu dotarli do pałacu.

W surowych, marmurowych korytarzach nie spotkali ani jednego z imperialnych ochroniarzy znanych jako żmije, a także żadnych żołnierzy oprócz tych, którzy prowadzili Vivie. Mijali jedynie służbę, a ta szybko odskakiwała na bok i się kłaniała.

Najbardziej niepokojące okazały się gliniane misy pełne wody. Łącznie dwanaście, przy każdym zakręcie i rozwidleniu. W misach nie pływały lilie ani ryby, glina zaś nie pasowała do żelaznych dekoracji – donic, w których rosły drzewka cytrynowe, kinkietów do

ogniodziejskich pochodni, dzwoneczków wietrznych, którymi nie poruszał żaden wiatr.

Po raz kolejny odebrała to miejsce, jakby cesarzowa chciała jej powiedzieć: „Spójrz! Zapewniam ci wodę dla twojej magii. Jesteś bezpieczna! Rozluźnij się!”.

Vivia nie czuła się ani trochę rozluźniona, a kiedy na końcu korytarza wyłoniły się rzeźbione drzwi, przy których stały żmije i dwie kolejne gliniane misy, tak się zestresowała, że musiała się koncentrować, aby stawiać nogę za nogą.

Niepotrzebnie się tu zjawiała. Na Nodena, czemuż to zrobiła? To był koszmarny pomysł. Smutne, niewielkie wiaderka z wodą to za mało, aby ją przed czymś uratować.

Dziesięć kroków przed drzwiami powitalny orszak strażników rozdzielił się i uformował dwa idealne rzędy. Żołnierze milczeli, kiedy mijali ich Vivia oraz jej wiatrodzieje.

Stuk, stuk, stuk. Podeszwy jej butów wybijały żalobną pieśń. Choć obserwowali ją Marstokczycy, nie mogła się powstrzymać przed strzepywaniem płaszcza, pociąganiem za mankiety i klepaniem boków twarzy, aż w końcu surowa mina Niharów, która Merikowi przychodziła bez żadnego trudu, w końcu znalazła się i na jej obliczu.

Kiedy dotarła do drzwi, te otworzyły się niezwykle cicho, naoliwiono je chyba ledwie wczoraj. A może w takich zamożnych przybytkach drzwi oliwiono każdego dnia.

Za nich na hol wlewało się popołudniowe słońce. Tam czekała cesarzowa Marstoku, a za nimi, o co modliła się Vivia, nie znajdowało się nic, co by potwierdziło, że niepotrzebnie tu przybyła.

Przekroczyła próg.

Kiedy Vivia była mała, ciotka pokazała jej pozytywkę z Dalmocji zaklętą w taki sposób, że otwierał ją tylko dotyk Evrane. Wówczas było to dla niej coś najpiękniejszego, co w życiu widziała: biała skrzyneczka ze złotymi krawędziami. Kiedy unosiło się wieko pozytywki i wybrzmiewała melodyjka, Vivia miała wrażenie, że

przenosi się do innego świata, w którym niepotrzebne są maski i gdzie nikt nie próbuje zrobić jej krzywdy ani ukraść tego, co nie należy do niego.

Przez krótką chwilę, kiedy pieścił ją blask słońca, w zasięgu jej wzroku pojawiła się biała prostota, a na tarasie zabrzęczały wietrzne dzwoneczki, Vivia poczuła się tak jak przed laty. Bezpieczna i spokojna. Tutaj mały lisek mógł na zawsze pozostać małym liskiem.

Dawniej Evrane zatrząskiwała skrzyneczkę i beształa Vivię za zbyt długie przysłuchiwanie się jej dźwiękom, teraz w polu jej widzenia pojawiła się Vanessa, sprawiając, że ten idealny, nieosiągalny świat zniknął jak melodia zamykanej pozytywki.

– Wasza Wysokość – zaczęła cesarzowa, wchodząc do komnaty z tarasu. Wokół niej powiewała czarna, jedwabna suknia, prosta, z wysoką stójką i krótkimi rękawkami. Kończyła się na linii kostek, dzięki czemu widać było stopy odziane w pantofle. Skinęła głową, Vivia odpowiedziała identycznym gestem.

Na głębie piekielne, cesarzowa była niższa, niż ją zapamiętała. Vivia nagle poczuła się wielka niczym lis morski, w dodatku posiadała o sto razy mniej wdzięku.

– Twoi oficerowie mogą poczekać tutaj, jeśli to możliwe. – Cesarzowa mówiła po nubreveńsku płynnie, acz z silnym akcentem. Wskazała na stojące pod ścianą krzesła z białymi poduchami. Gdy Viv skinęła głową, jej ludzie sztywno zajęli miejsca.

Wyglądali nedorzecznie. Granatowe uniformy i rozwichrzone włosy na tle delikatnej pałacowej elegancji.

– Porozmawiajmy na tarasie – zasugerowała cesarzowa, następnie oddaliła się zdecydowanym krokiem, dając Vivii czas na wydanie rozkazów.

– Zaczekajcie tutaj. Wiecie, co robić, gdyby coś poszło nie tak.

Ledwie zauważalnie zasalutowali, a kąciki ust Vivii drgnęły. Porządni oficerowie z tych wiatrodziejów. Choć brakowało jej Stix

przy boku, ani przez chwilę nie wątpiła, że może na tych żołnierzach polegać.

Na tarasie Vivia ujrzała dwa żelazne krzesła i stolik wykonany z tego samego materiału. Stał na nim dzbanek z wodą i patera z obtoczonymi w cukrze figami, nic wymyślnego. Nie dostrzegła służby czy zmijów. Taras otaczał wysoki gliniany mur. Opodal rosły cyprysy, a z ogródka ziołowego napływał zapach szalwii i lawendy.

Vanessa stała i otwarcie przyglądała się Vivii. Bez skrępowania lustrowała ją z góry na dół, nie było to jednak spojrzenie pełne krytyki.

Vivia pozwoliła jej na to. Posunęła się nawet do tego, że splotła dłonie za plecami i odpowiedziała równie śmiałym spojrzeniem. Prawda była taka, że zachowanie przypominające dwie obwąchujące się w wąskiej uliczce suki okazało się o wiele prostsze niż uprzejme, dyplomatyczne gadki o niczym, których uczyła ją matka.

– Urosłaś... – odezwała się w końcu Vanessa. – O ile mnie pamięć nie myli, podczas naszego ostatniego spotkania byłaś jeszcze dziewczynką.

– Nie myli – odparła Vivia zgodnie z prawdą.

Ten jeden raz, kiedy się spotkały, dziesięć lat temu, Vivia była jeszcze młodziutka, ale i Vanessa zdążyła się już przemienić w kobietę.

Nawet jako siedemnastolatka była oszałamiająca, a co dopiero teraz. Zwłaszcza gdy na jej twarzy błędził delikatny uśmiech.

– Usiądźmy. – Cesarzowa opadła z gracją na żelazne krzesło. – Mamy sporo do omówienia.

– Ano – przytaknęła Vivia i przez pół oddechu zastanawiała się, czy nie naśladować zachowania Vanessy. Wszystko było tu takie delikatne, wyrafinowane, tak różne od tego, co cechowało Vivie, a mimo to tak bliskie jej pragnieniom.

Ale nie, nie przybyła tu, aby dać się zastraszyć. I zmanipulować. Zrobiła to dla Nubrevny, czyli także dla siebie. Dlatego usiadła

w sposób szorstki i zdecydowany, tak samo, jak by to zrobiła przy swoich żołnierzach. Raz jeszcze poklepała boki twarzy i przywołała swojego wewnętrznego niedźwiedzia.

– Rzeczywiście mamy sporo do omówienia – rzekła. – Przede wszystkim co, na ognie piekielne, ja tu robię.

*

Safi obserwowała spotkanie cesarzowej Marstoku z przyszłą królową Nubrevny ukryta w wydrążonej w murze wnęce.

Aż do dzisiejszego ranka sądziła, że do tego rodzaju pracy woli salę tronową, jednak zmieniła zdanie. Może i nogi sztywniały jej od stania, ale przynajmniej czuła na skórze słońce i powiew świeżego powietrza. Teraz dotarło do niej także, że ciemność jest jednak lepsza. Gorąco, mury i fakt, że nikt na nią nie patrzy i nie oczekuje deklaracji, że coś jest prawdą lub fałszem... Tak było lepiej. A na pewno bezpieczniej.

Odkąd przybyła do Azmiru, każdego dnia choć godzinę spędzała w jakiejś ciasnej i dusznej przestrzeni. Tutaj mieściła się pierwsza z nich, druga w imperialnej jadalni, a trzecia w dużym amfiteatrze, gdzie świta spotykała się każdego dnia, aby debatować nad infrastrukturalnymi i ekonomicznymi problemami państwa.

W normalnych okolicznościach otaczało ją zbyt wiele głosów, by je wszystkie rozróżnić. Zazwyczaj, aby wyczuć kłamstwo, Safi musiała się opierać na intuicji. Oczywiście aż do dzisiaj nie było mowy o żadnych kłamstwach. Bayrum de Shards okazał się pierwszy, z pewnością nie będzie ostatni.

Dopóki Safi się tu ukrywała, nie musiała się obawiać swojej magii ani kolejnej nagłej śmierci. Mogła słuchać, oceniać i starannie dobierać słowa. Ale być może najlepsze było to, że w ciemności mogła pracować.

Pożyczyła sobie już dwanaście ksiąg z prywatnej biblioteki cesarzowej, a w jednej poczyniła nawet notatki. Ależ zaimponowałyby tym Iseult. Logiczne wydawało się, aby zacząć

właśnie od pozycji zatytułowanej *Sztuka tworzenia kamieni bólu*, a jej tekst mówił zarówno o kamieniach bólu, jak i zaklętych naparach i nalewkach. Safi przekonała się, że moc uzdrowicieli kryje się w sztuce tworzenia.

I to podsunęło jej pewien pomysł: gdyby w trakcie używania swoich mocy trzymała w ręce kawałek kwarcu, może ona także mogłaby przekuć swoją magię w kamień.

Otrzymała od Vanessy sporo różowego kwarcu, jak również innych kamieni – na szczęście cesarzowa nie zadawała pytań – a teraz zabierała się za realizację swojego planu. Patrzyła, pozwalając, aby emanowała z niej magia.

To, co miała przed oczami, okazało się doprawdy frapujące. Na tyle, że zaczęła się zastanawiać, jak mogła uważać Vanesę za nudną. W tej chwili nie miała w sobie nic z mdłej cesarzowej.

Safi nigdy dotąd nie widziała, aby dwie kobiety walczyły ze sobą o palmę pierwszeństwa. Często widywała takie pojedynki u mężczyzn, gdczących jak koguty w zagrodzie. Miała też okazję oglądać, jak mężczyźni bez powodzenia próbują złamać kobiety o stalowych kręgosłupach.

Teraz była świadkiem czegoś zupełnie innego. Dwie kobiety tysiąc razy silniejsze od jakiegokolwiek mężczyzny, a każda z własnymi planami i odmienną magią. Rozmawiały jak rywalki na cartorriańskim ringu pięściarskim, tyle że zamiast płytek i piasku dzielił je żelazny stół i karafki z wodą.

Zabrzęczały dzwoneczki wietrzne, delikatne preludium do tego, co z całą pewnością okaże się symfonią. Na domiar złego magia Safi zdrzała, gdy natarły na siebie prawda i kłamstwo. Obie kobiety emanowały szczerą czystością, w obu krył się wyćwiczony fałsz.

Rozpoczęła się muzyka.

– Znalazłaś się w moim mieście – oświadczyła Vanessa – ponieważ kiedy miałam z tobą do czynienia ostatni raz, kradłaś jeden z moich statków.

– A kiedy ja ostatnio miałam z tobą do czynienia – odparowała Vivia – dokonywałaś sabotażu jednego ze swoich statków, żebym go ukradła.

– Odwrócenie uwagi. – Vanessa machnęła ręką. – Był mi potrzebny ładunek przewożony przez twojego brata. Opłacało się.

„Prawda”, wymruczała magia Safi. Prawdodziejka wyobraziła sobie, że przelewa ją prosto w swój kwarc.

Vivia najwyraźniej także wyczuła szczerość Vanessy, bo zeszywniała, jakby ją to zaskoczyło.

– Chcesz powiedzieć, że warto było stracić swój oręż, aby zdobyć prawdodziejkę, którą podobno masz teraz u siebie? Pozwól ją w takim razie zobaczyć, skoro jest taka wyjątkowa.

– Żebyś ją także mogła mi ukraść?

– Być może. – Przyszła królowa obojętnie wzruszyła ramionami. – Powiedz mi, okazała się warta kosztów wojny?

– Powiedz lepiej, gdzie moja broń? – Cesarzowa wysoko uniosła brwi. – Twoje działanie jako pierwsze zagroziło Dwudziestoletniemu Rozejmowi. To czysty przypadek, że magia w tamtym dokumencie uznała, iż to mój czyn okazał się bardziej karygodny.

– Ja ukradłam statek. Ty wylądowałaś wraz z żołnierzami na nubreveńskiej ziemi. Według mnie magia dokonała właściwej oceny.

– Mówi kobieta, która zamieniła własną flotę w piratów.

– Mówi kobieta, która z saldonickiego więzienia uwolniła moje lisy. – Vivia wysunęła brodę. – Czemu to zrobiłaś?

– Bo poprosiła mnie o to prawdodziejka. – Vanessa strzepnęła z sukni niewidzialny paproszek. – Gdyby to zależało ode mnie, pozwoliłabym im tam zgnić.

– A dlaczego cię o to poprosiła? – naciskała Vivia. – Co ją to obchodziło?

– Z tego samego powodu, dla którego poprosiła, abym negocjowała traktat z Nubrevną w zamian za jej pokojowe poddanie się. Coś, a być może ktoś, łączy ją z twoją ojczyzną.

– Merik – rzuciła Vivia.

Na dźwięk tego imienia Safi zupełnie zapomniała o swoim planie. O magii i kamieniu.

W ciągu dwóch tygodni, jakie upłynęły, odkąd się dowiedziała o jego śmierci, bywały chwile – na przykład teraz – kiedy jego twarz wypływała na powierzchnię. To, jak na nią patrzył na tamtym skąpanym w blasku księżyca klifie w Nubrevnie, po części tęsknie, po części z zachwytem... a nawet trochę z żalem, że przez ten krótki, spędzony razem czas byli dla siebie wrogami. Dopiero kiedy ich drogi miały się rozejść, dotarło do nich, że lepiej im będzie jako przyjaciółom.

A może nawet więcej niż przyjaciółom.

Jednak teraz Merika już nie było i Safi nigdy się nie dowie, jak ich znajomość mogła się potoczyć.

– Zaprosiłam cię tutaj – kontynuowała Vanessa – aby wywiązać się ze swojej umowy z prawdodziejką.

– Co z tego masz?

– Ja nic, ale złożyłam jej obietnicę, a nigdy nie łamię danego słowa.

– Rozumiem. – Vivia szeroko rozłożyła ręce. – Pierwotnie negocjowałabyś tylko z moim bratem, ale Merik nie żyje, więc jesteś zmuszona rozmawiać ze mną, choć obie wiemy, że ostatecznie i tak niczego nie wynegocjujemy. Wyjdiesz z tego z czystymi rękami, bo przecież próbowałaś.

– W żadnym razie – zjeżyła się Vanessa. Reakcja tak prawdziwa, że aż zdziwiła tym Safi. Cesarzowa nigdy nie pozwalała, aby zsunęła jej się maska.

Nagle Safi przypomniała sobie o swoim planie. Skupiła się na magii, na kwarcu, na rozmowie.

– Z całą pewnością Nubreveni posiadają coś – kontynuowała Vanessa – co warte jest wymiany.

– Wiesz, że mój naród nie ma niczego do zaoferowania.

– Nie, nie wiem tego. – Vanessa zrobiła długi wdech, bacznie się przyglądając przyszłej królowej. – Fascynujące z ciebie studium

przypadku – orzekła. – Trzeba być mocno zuchwałym, aby pokusić się o piractwo.

– Raczej zdesperowanym.

Cichy śmiech – ponownie rozbrzmiewający prawdą, która dla Safi okazała się zaskakująca.

– Doceniam, że nie próbujesz ukrywać przede mną prawdziwego stanu rzeczy, nadmuchiwać, czego to nie posiadasz.

– A jaki miałoby to sens? – Vivia wzruszyła ramionami. – Znasz prawdziwy obraz Nubrevny. Masz swoich szpiegów.

– Nie tak wielu, jak ci się wydaje – odcięła się Vanessa. – Trudno jest zinfiltrować twój dom. Masz ludzi wprost niebywale lojalnych.

– Być może. Kiedy decydują się nie zwracać uwagi na moją płęć. – Vivia zerknęła na drzwi, za którymi czekali jej oficerowie.

Biło od niej zniecierpliwienie. Pociągnęła za kołnierz płaszcza i poprawiła mankiety.

Kiedy jednak ponownie przeniosła spojrzenie na cesarzową, zza cyprysów wyłonił się Rokesh.

Nim Safi zdążyła choćby zamrunąć, dwa bicze wody wystrzeliły z karafki i pomknęły w stronę żmija.

– Przestań – warknęła Vanessa.

Woda się zatrzymała. Rokesh także. Przyklęknął na jedno kolano – Safi nie potrafiła stwierdzić, czy z szacunku, czy też w celu uniknięcia ataków.

– Co to za gierki? – syknęła Vivia. Bicze wodne czekały w gotowości.

– Żadne gierki – burknęła Vanessa, a do Rokesha rzuciła: – Dlaczego przeszkadzasz?

– Najmocniej przepraszam, cesarzowo. – Rokesh się skłonił. – Wynikła nagła sytuacja, wymagająca obecności Safiyi.

Safi wyprostowała się i zacisnęła palce na kwarcu. Wyglądało na to, że jest potrzebna gdzieś indziej. Oby to nie była sala tronowa. Oby to nie był ktoś zdeprawowany.

– Mamy gościa – dodał Rokesh – i zakładam, że będzie pani chciała wiedzieć, czy mówi prawdę.

– Kto to taki? – W głosie cesarzowej słycać było zniecierpliwienie. – Nie spodziewam się dzisiaj żadnej rodziny.

– Ten człowiek to nie rodzina. Jest byłym generałem, ogniodziejem, który postanowił wrócić do służby. – Zerknął w stronę Safi i dzięki judaszowi ich spojrzenia na chwilę się spotkały. – Habim Fashayit czeka w bibliotece, Wasza Imperialna Mość, i twierdzi, że chce nam pomóc wygrać wojnę.

ROZDZIAŁ 12

Iseult cieszyła się, że wyszła z gospody i miała okazję oddalić się od Aeduana oraz dziewczynki, która nie chciała jej słuchać.

Ten pokój był dla nich o wiele za mały. Bliskość Aeduana... i Sowy także... działała na nią otumaniająco. A może to przez tego rozszczepionego ogniodzieja, który zatruł jej krew swoimi płomieniami. Albo sprawiły to po prostu wyczerpanie lub nagła, niepokojąca potrzeba ukrywania swojej twarzy.

Bez względu na powód swojego zidiocenia, Iseult nie przestawała się besztać przez całą drogę do zatłoczonej lecznicy. W głowie jej się nie mieściło, że chciała zdjąć Aeduanowi koszulę. Czymś innym było rozebranie mężczyzny i opatrzenie mu ran, kiedy pozostawał nieprzytomny, a czymś zgoła innym sytuacja, w której patrzył na ciebie płonącymi oczami.

Kiedy go takim ujrzała, coś ją ścisnęło w klatce piersiowej. Coś, czego nie potrafiła rozpoznać – jednocześnie płomiennego i lodowatego.

Nadal ją ścisnęło. Na boginię, co ona sobie myślała?

Iseult niemal biegła ulicami Tirli. Po piętach deptał jej wstyd. Targowanie się podczas pozyskiwania środków leczniczych okazało się skutecznym sposobem na odwrócenie uwagi od niechcianych myśli. Kupiła maści i nalewki, bandaże i gazę. W przeciwieństwie do właścicielki gospody sprzedawcy nie mieli problemu ze srebrnym talarem więziodziejki. Niestety dodatkowa moneta nie posiadała mocy umieszczenia Iseult na początku czternastostronicowej listy oczekujących na wizytę uzdrowiciela. Ostatecznie wpisała na końcu swoje imię, aczkolwiek było mało prawdopodobne, aby jedyny przyjmujący uzdrowiciel zjawił się przed ich wyjazdem.

Pozostała nadzieja, że te nowe zapasy okażą się skuteczne i powstrzymają klątwę. A przynajmniej do czasu, aż pojawi się nowe rozwiązanie.

Kiedy Iseult wmieszała się w tłum na ulicy, za żebrami znowu poczuła ściskanie. Po chwili wsłuchiwanie się w siebie uznała, że to żal. Ale nie do końca. Ten ból był łagodniejszy, naznaczony czymś podobnym do... głodu.

Dopiero kiedy minęła Purytanina trzymającego znak z napisem „Żałujcie!”, w końcu dotarło do niej, co to za uczucie. Tęsknota za domem. Tirla tak bardzo przypominała jej Veñazę. Zgoda, panował tu większy porządek. I chłód. Do tego wszędzie widać było odzianych w zieleń żołnierzy, jednak czuła się tu jak u siebie. Wystarczyło kilka godzin, a ona już odnalazła się w tym mieście. Hałas zamiast przeszkadzać działał na nią krzepiąco, ciągle sprawdzanie, czy kaptur jej się nie zsuwa, było jej drugą naturą.

Co by było gdyby, co by było gdyby, co by było gdyby – przez ostatni miesiąc to pytanie przewijało się przez jej myśli co najmniej raz dziennie, kiedy mocno zaciskała palce na swoim kamieniu Więzi. Działo się to zawsze w przerwach między chaosem uczuć innych ludzi, kiedy nie ścisnęły jej żadne nici Więzi, a jej umysł miał zbyt wiele czasu i cofał się do przeszłości, tego wszystkiego, co za sobą zostawiła. Gdy nie miała do roboty niczego poza zastanawianiem się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ona i Safi nie dokonały tego napadu na północ od Veñazy.

Co by było gdyby, co by było gdyby, co by było gdyby. Bezużyteczny refren, niezapewniający satysfakcjonujących odpowiedzi. Bo gdyby nie tamten napad, Aeduan nie zwróciłby na nie uwagi – a bez tego Iseult nie wróciłaby do swojego plemienia Midenzi. Nie zostałyby także przekłeta i nie uciekłyby do Nubrevny, gdzie nie dotarłyby do Prastudni...

I nie dowiedziałyby się, że możliwe, iż jest połową Cahr Awenów. Że ona i Safi mogą stanowić mityczną parę, której zadaniem jest uleczenie Prastudni i oczyszczenie świata ze zła.

Iseult nie dobiłaby targu z Aeduanem – którego caraweński klasztor miał chronić Cahr Awenów – i razem nie ocaliliby Sowy przed piratami Krwawych Żagli. I nie byłoby jej teraz tutaj, nie

taszczyłaby środków leczniczych w obcym mieście, które wcale nie wydawało jej się obce.

Prawdę mówiąc, to gdyby spuściła wzrok na bruk i pozwoliła, aby przez tłum powiodła ją jej magia, mogłaby udawać, że właśnie idzie na spotkanie z Safi. Że jej więziosiostra zaraz nachyli się ku niej ze skargą na ścisk, a potem udadzą się razem do kawiarni Mathew. Przecież ta witryna, o tam, wyglądała zupełnie tak samo, łącznie z szyldem z napisem: „Prawdziwa marstocka kawa, najlepsza w Tirli”.

Iseult zatrzymała się w pół kroku i serce podeszło jej do gardła. Niemożliwe. Niemożliwe. To niemożliwe, aby natknęła się tutaj na jedną z kawiarni Mathew. Przez ponad sześć lat mieszkała nad jedną z nich w Veñazie, pobierając nauki u tego słowodzieja oraz Habima, jego sercowięzi.

Tuląc do siebie worek z zakupami, Iseult przeszła przez ulicę i szybko – wręcz z desperacją – pchnęła prowadzące do kawiarni drzwi. Miała wrażenie, że wróciła do domu. Najpierw poczuła zapach kawy, mocny i aromatyczny, następnie ujrzała kolory, dywany, gobeliny i poduszki, poukładane identycznie jak w Veñazie. Nawet ludzie relaksujący się na sofach i niskich stołkach wyglądali tak samo. Nawet porcelanowe filiżanki, z których pili wyglądały tak samo.

To był lokal Mathew, a to znaczyło, że uda jej się z nim skontaktować. Iseult nie mogła uwierzyć w swoje szczęście – Księżycowa Matka rzeczywiście zesłała na nią dzisiaj swoje błogosławieństwa. Szybkim krokiem podeszła do wysokiego baru na końcu pomieszczenia, gdzie podniosła na nią wzrok młoda kobieta ze skórą równie ciemną jak mielona przez nią kawa i o niciach Więzi w kolorze uważnej zieleni.

– Czego sobie pani życzy? – zapytała. Jej marstocki akcent przypominał ten Habima, czyli pochodziła ze stolicy. – Można zamawiać na karafki albo filiżanki.

Iseult nie mogła wydobyć głosu z podekscytowania. Musiała przełknąć ślinę. I jeszcze raz.

– Cz-czy zastałam Mathew fitz Leauxa?

Cisza. Nici Więzi kobiety napięły się z turkusowym zaskoczeniem. A zaraz potem brązową nieufnością. Na koniec zadrżały, łącząc się w całość. Odstawiła młynek i miskę z ziarnami i zlustrowała Iseult. Całą.

– To... ty – powiedziała po marstocku, ale pospiesznie przeszła na dalmocki. – Witaj. Dobrze cię widzieć, Iseult det Midenzi.

Teraz to Iseult była zaskoczona i ogarnęła ją nieufność, jednak dzięki wieloletniemu szkoleniu nie dała niczego po sobie znać.

– Ty... wiesz, kim jestem?

– Oczywiście. Każda kawiarnia otrzymała przykaz rozglądania się za tobą. Aczkolwiek muszę przyznać, że nie sądziłam, iż zjawisz się właśnie w mojej. Ale... chwileczkę! – Kobieta uniosła ręce. – Mam dla ciebie wiadomość. – Odwróciła się z szelestem sukni i zniknęła na zapleczu.

Zajęło jej to mniej czasu niż najbliższemu siedzącemu klientowi upicie łyka kawy, ekscytacja była widoczna na jej twarzy i w niciach Więzi. Iseult mogła jedynie przypuszczać, że czekała ją za to jakaś nagroda.

Podobał jej się ten pomysł. Zaśmiała się cicho. Kiedy zobaczyła na żółtawym arkuszu znajome pismo Matthew, jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Takim od ucha do ucha, niegodnym więziodziejki, ale w ogóle się tym nie przejęła.

Tak miło było zobaczyć swoje imię nakreślone ręką Matthew. Tak bardzo, bardzo miło.

Iseult,

pozostań na miejscu, gdziekolwiek teraz przebywasz, pošlę do Ciebie jednego z moich ludzi. On zaprowadzi Cię tam, gdzie trzeba.

Przykro mi, że w Veñazie tak się wszystko poplątało.

Z pozdrowieniami
Mathew

Po pierwszej lekturze listu uśmiech Iseult przygasł. Po drugiej znikł całkowicie, a czytając trzeci raz, przekonała się, że ma ściągnięte brwi. Z całą pewnością nie było to wszystko, co miał do powiedzenia. Zaszyfrował w tych słowach jakąś ukrytą wiadomość – sztuczka typowa dla Mathew. „Mów zawsze co innego, niż masz na myśli”. To była ulubiona zabawa dla Iseult i Safi.

Kiedy dziewczyna przeczytała całość sześć razy i na nic nie wpadła, zaakceptowała wreszcie, że tak właśnie brzmi wiadomość. Najwyraźniej tylko tę treść Mathew miał jej do przekazania.

Mimo wszystko przebiegła wzrokiem po tekście po raz siódmy. „Tak się wszystko poplątało”? Słowodziej nie znalazł lepszego określenia? Przecież tam się wydarzyło coś o wiele gorszego niż „poplątanie” – i nawet nie wspomniał o spektakularnym chaosie, z którym zmagala się od pobytu w Lejnie. A mimo to Mathew spodziewał się, że Iseult po prostu „pozostanie na miejscu” i poczeka, aż zjawi się u niej jeden z jego ludzi. Cóż, to samo usłyszała od niego w Veñazie, a potem w Lejnie, i proszę, co wyniknęło z jej czekania.

– Zaprowadzi cię tam, gdzie trzeba – szepnęła do siebie. Według niej trzeba to zaopiekować się Aeduanem, pomóc mu odszukać rodzinę Sowy, a potem znaleźć się u boku Safi.

Iseult kochała Mathew i Habima. Całym sercem. Byli jej więziorodzina, a nic na świecie nie było ważniejsze od niej. Ale była zmęczona tym, że traktowano ją jak kartę głupca w tarocie, którą można wciągać do gry, kiedy zajdzie taka potrzeba. Safi także została zmuszona do działania wbrew swojej woli i przez to uwięziono ją w Marstoku koszmarnie daleko od Iseult.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, przywołując do porządku swój więziodziejski spokój. Przynajmniej pozornie, żeby mogła go zobaczyć ta młoda kobieta, która przekazała jej wiadomość.

– Zatrzymałam się w gospodzie Biała Olcha. – Jej słowa były gładkie niczym piaszczysty brzeg podczas odpływu. – Pokój numer trzynaście. Tam można mnie znaleźć. Jednakże – dodała, unosząc brew i próbując tym naśladować Safi – lepiej niech ten ktoś się pospieszy. Wkrótce opuszczam Tirlę i nie mam w planach pozostania na miejscu na dłużej.

Gdy wyszła z kawiarni, powitały ją pierwsze oznaki zachodzącego słońca – w górach zmierzch zapadał szybko – a kiedy szła w stronę Białej Olchy, wybrzmiewało siedemnaście uderzeń dzwonu.

Po dwunastym do Iseult dotarło, że ktoś ją śledzi.

Kiedy sześć i pół roku temu Habim zaczął ją szkolić, jako pierwsze wpoił jej nieustanne – nieustanne – obserwowanie otoczenia. Co kilka uderzeń serca zanurzała się w swojej magii i wyczuwała umiejscowienie nici Więzi w tym mieście.

Bang, bang. Nikt jej nie śledził. Bang, bang. Śledził. Był naprawdę sprytny. Subtelny i przebiegły, trzymał się w takiej odległości, że gdyby Iseult odwróciła głowę, nie zobaczyłaby niczego niezwykłego. Ale nici Więzi nie dawało się ukryć, a tych, które należały do tej osoby, z niczym by nie pomyliła.

Lśniły najjaśniej ze wszystkich nici na tej ulicy, jak płomień pośrodku pola pszenicy. Tyle że ten płomień miał odcień ciemnej zieleni. Ta osoba była skupiona na polowaniu.

„Oceń swoich przeciwników. Zbadaj teren. Jeżeli to możliwe, wybierz pole walki”. Druga lekcja Habima rozbrzmiewała w uchu Iseult, jakby jej mentor stał tuż przy niej. Tyle że ona nie знаła tego miasta, więc zbadanie terenu i wybór pola walki były niewykonalne. Na chwilę obecną jej metodą będzie musiała się stać klasyczna ucieczka.

Zamiast ją uspokoić, ten plan sprawił, że krew się w niej wzburzyła. Tylko jeden człowiek mógł chcieć na nią polować i wynajął już do tego innych ludzi. Wyglądało jednak na to, że sam także przebywał w pobliżu Tirli, bo jego strzały dosięgły Aeduana zaledwie wczoraj.

Corlant. Może nie śledził jej teraz ten purytański duchowny, ale nie miała wątpliwości, że osoba deptająca jej po piętach dla niego pracuje.

Nie, nie, nie. Nie dorwał jej w obozie plemienia Midenzi. Nie dorwał jej na Ziemi Niczyjej. Nie dorwie także i teraz.

Wykonała nagły skręt i dała nura w boczną uliczkę. Nad jej głową łopotwały flagi. Zgodnie z jej przewidywaniami nici Więzi tego człowieka zdradziły pościg. Trzy kroki i on także skręcił – ale Iseult nie puściła się biegiem. Nie naparła na tłum. Żołnierze czaili się w Tirli na każdym rogu, ich mundury odznaczały się zielenią.

Jej skóra, włosy... nie mogła ryzykować, że zwróci na siebie uwagę.

Dotarła do kolejnej ulicy, obeszała wóz z kapustą, po czym przeszła szybko – szybciej, szybciej – przed warsztatem kowala. Gorąco buchało przez otwarte podwójne drzwi. Kobieta zakrzyknęła, aby weszła i obejrzała ich wyroby.

To wołanie przypomniało Iseult o innej pogoni w innym mieście. Tamtego dnia, uciekając przed Aeduanem, przeskakiwała z łodzi na łódź. Być może teraz uda jej się zrobić coś podobnego. Nie było tu kanałów, ale powozy. I choć nie mogła skakać z jednego na drugi, potrafiła wykorzystać je do ucieczki.

Czerwony powóz na lewo. Zbyt strojny. Wóz z kurami na prawo. Zbyt brudny. Karawana uchodźców z tyłu. Idealna. Składała się z trzech krytych powozów ciągniętych przez muły. Ludzie siedzieli tylko w drugim i trzecim. Ich nici Więzi były niemal bezbarwne. Oznaka, że poczucie straty i rozpacz przyprawiły ich o odrętwienie.

Iseult zwolniła i obróciła się w prawo, żeby móc iść równo z karawaną. Mijały sekundy, tętno dudniło jej w czaszce. Nici Więzi nadal ją śledziły. Blisko, tak blisko...

Dogoniły ją muły, powolne i zmęczone, w tym momencie Iseult wykonała swój ruch. Przeszła za pierwszy powóz. Uniosła płócienną klapę i wgramoliła się do wnętrza, w które wciśnięto cały dobytek jadących karawaną ludzi. Ciało Iseult napierało na płótno, ale woźnica jej nie widział, a co ważniejsze – także ten, kto ją śledził.

Nici Więzi tej osoby zatrzymały się na rozwidleniu dróg i przybrały płowy odcień konsternacji. I czerwony frustracji. Następnie się poruszyły. Znowu zatrzymały. I poruszyły. A potem zatoczyły koło.

Iseult z szerokim uśmiechem dotknęła swojego kamienia Więzi. Safi byłaby z niej dumna. Habim też, aczkolwiek możliwe, że jednocześnie by ją zrugął, bo nie przyjrzała się lepiej przeciwnikowi. „Nigdy nie polegaj na magii i broni – zwykł powtarzać. – I jedno, i drugie mogą ci zostać odebrane”.

Dobrze, już dobrze, pomyślała. Z wielką ostrożnością odsunęła klapę i ujrzała nici Więzi jasne niczym blask słońca.

Ich właściciel był równie jasny, a skórę i kręcone włosy miał w kolorze lśniącego złota, za które Iseult dałaby się pokroić.

Przechera. Imię to przemknęło przez jej myśli, najmłodszy i najbardziej przebiegły brat Księżycowej Matki z cerą w kolorze słońca i dodatkową świetlistością księżyca. Podobnie do tego młodego mężczyzny Przechera zawsze nosił się na jasnoszaro. Kolor brzasku, zmierzchu, lasów, w których się ukrywał.

W przypowieściach Przechera był najniebezpieczniejszym członkiem rodziny, a jego lojalność równie kapryśna jak wiatry, które kochał ujeżdżać. Na szczęście to tylko przypowieści – natomiast ten oto mężczyzna był jak najbardziej prawdziwy.

Iseult opuściła klapę. Zapamięta jego twarz. Jego nici Więzi także. A jeśli jeszcze się kiedyś spotkają, będzie gotowa.

ROZDZIAŁ 13

Habim Fashayit.

Generał Habim Fashayit.

Żołnierz wuja Erona, mentor, który nauczył Safi walczyć i wychował ją jak ojciec, który pokazał, jak być wilkiem w świecie zajęcy, znajdował się tutaj, w Azmirze. W imperialnym pałacu. I był generałem.

Safi od zawsze wiedziała, że Habim musiał być jakimś oficerem w marstockich siłach zbrojnych. Kiedy jednak po latach wiercenia dziury w brzuchu ani Habim, ani Eron, ani nawet Mathew nie zdradzili tajemnic przeszłości tego pierwszego – ani jak to się stało, że zatrudniał go cartorriański dom – Safi w końcu przestała się zastanawiać i zaakceptowała go takim, jakim był: surowego, nieustępliwego, wykwalifikowanego żołnierza i jeszcze lepiej wykwalifikowanego taktyka, który kazał pisać stanowczo zbyt wiele esejów poświęconych historii sztuki wojennej.

Teraz jednak wszystkie dawne pytania Safi powróciły, tysiąc razy bardziej niecierpliwe niż przed dziesięcioma laty. Chciało jej się śmiać, miała ochotę skakać, chwycić swój kamień Więzi i zawołać do Iseult, gdziekolwiek się teraz znajdowała, że jest tu Habim Fashayit! Generał Habim Fashayit jest w Azmirze! W pałacu cesarzowej!

Jeszcze nigdy tak bardzo nie cieszyły jej zakamarki i ciemność. Dzięki nim przez chwilę mogła reagować w odosobnieniu, nim inni zobaczą jej twarz.

Rozległo się szcęknięcie maleńkich drzwi prowadzących do kryjówki w murze. Owiało ją popołudniowe powietrze. Zrobiła wdech i przybrała minę, jaką zawsze nosiła w obecności Rokesha i cesarzowej: posłuszne skupienie, brak zainteresowania. Upewniwszy się, że kamień Prawdy, nad którym pracowała, spoczywa już w kieszeni, odwróciła się w stronę zmija.

Nic nie powiedział, więc ona także milczała, a kiedy wyszła z muru, otoczyła ją formacja żmijów. Udali się w stronę głównego ogrodu. Twarz Safi obmywało słońce, a delikatny wietrzyk przynosił zapach róż, bzu i wiciokrzewu. Z krzaków i drzew dobiegało bzyczenie owadów i świergot ptaków.

Z usytuowanych na trzech poziomach imperialnych ogrodów rozciągał się widok na błękitne, lśniące wody jeziora Scarza, a także skąpany w słońcu Azmir. Zazwyczaj Safi chętnie oddawała się tu spacerom – miała okazję pobyc na świeżym powietrzu. Teraz jednak myśli miała pełne Habima.

Niech to cap wygrzmoci, czy żmije muszą iść tak powoli? Habim był tak blisko. Ruchy, Piastunko, ruchy.

W końcu przecięli najwyższy poziom i dotarli do znajomego marmurowego tarasu z fontanną i wietrznymi dzwoneczkami. Następnie weszli do prywatnej biblioteki Vanessy, którą Safi odwiedziła zaledwie kilka godzin wcześniej.

Wzdłuż wszystkich ścian stały regały z książkami oprawionymi w skórę. Leżały one także na stołach i obitych miodową satyną fotelach. No i oczywiście mnóstwo tu było żelaza: kinkiety, nogi od stołów i obramowania półek. Czytelnia godna cesarzowej, godna żelazodziejki.

Biblioteka miała dwoje drzwi. Pierwsze dębowe, z wyrzeźbionymi promieniami słońca, które wiodły do komnat Safi i Vanessy. To właśnie z nich korzystała Safi. Drugie, proste i nieduże, prowadziły do prywatnego gabinetu cesarzowej. Safi otrzymała wyraźny zakaz wstępu do tego pomieszczenia. Status gościa nie sięgał aż tak daleko.

Teraz kierowali się jednak właśnie do tych drzwi. Safi harcowało w żołądku podekscytowanie. Pociły jej się dłonie. Bądź jak kwiat, powiedziała w myślach, tak jak to robiła Iseult. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

Rokesh pchnął drzwi, przekroczył próg, a zaraz po nim Safi.

Nie tego się spodziewała. Podczas gdy reszta Pływającego Pałacu miała podłogi marmurowe lub z piaskowca, a światło wpadało do

pomieszczeń przez szerokie okna, tutaj nie dość, że podłoga była dębowa, niemal czarna, to jeszcze nie było żadnego okna. Ze sklepionego sufitu zwisały żyrandole z ogniodziejskimi świecami o knotach w idealnym rozmiarze, płonącymi ogniem, nad którym nie unosił się dym.

W tym momencie na drugim końcu pomieszczenia Safi dostrzegła Habima – stał wyprostowany naprzeciwko długiego stołu, którego blat pokryty był misternym reliefem przedstawiającym Czaroziemie, i wpatrywał się w nią znajomymi, okolonymi zmarszczkami oczami. Nie spojrział jej w oczy. Zamiast tego obszedł stół i oświadczył:

– To nie jest cesarzowa.

Na dźwięk jego chropawego głosu Safi poczuła pieczenie pod powiekami. Na piekielnych bogów, jak dobrze go było słyszeć. Bądź jak kwiat. Zachowuj się tak, jak zachowywałyby się Iseult.

– Cesarzową coś zatrzymało. – Rokesh skłonił się nisko, następnie zrobił krok w bok i wskazał na Safi.

Habim zlustrował ją wzrokiem.

– Wobec tego ty musisz być prawdodziejką.

– Tak – odparła, choć głos niemal jej się łamał. Baczne, oceniające spojrzenie, tak bardzo w jego stylu. Poważne opuszczenie kącików ust, lekkie ściągnięcie brwi. Przez całe życie patrzył tak na nią, kiedy oceniał jej słabości. W tej jednak chwili czuła, że mężczyzna dokonuje oceny jej mocnych stron. Jej zdrowia, bezpieczeństwa.

Jak nic zastanawiał się, skąd nowe blizny nad brwią i na kciuku. Dlaczego jej włosy sięgały tylko ramion i wołała opierać ciężar ciała na jednej nodze, zamiast stać równo na obydwu, tak jak ją uczył. Jego uwadze nie umknęły także żelazny pas na biodrach i stalowy łańcuch wokół szyi.

Habim przybył do Azmiru po Safi. Ta prawda rozlała się ciepłem po jej klatce piersiowej i nagle jeszcze mocniej zapiekły ją oczy. Spięła się w sobie i wyprostowała.

– Tak, jestem prawdodziejką. – Tym razem głos miała donośniejszy. – Wolno mi wiedzieć, z kim mam do czynienia?

Habim zwrócił się do Roksha:

– Obecność tego dziecka oznacza, że nie darzycie mnie zaufaniem. Spodziewałem się lepszego powitania, zmiju.

Rokesh rozłożył odziane w rękawiczki ręce. Częściowo przeprosiny, częściowo oznaka bezradności.

– Dziewiętnaście lat poza służbą to długo, generale.

– I byłoby dłużej, gdyby Dwudziestoletni Rozejm tak nagle się nie zakończył. – Wskazał na rozmieszczone na stole miniaturowe wojska, statki i łańcuchy dostaw. – Sądziłem, że Jej Imperialna Mość ma więcej oleju w głowie niż jej rodzice, a tymczasem niweczy rozejm, aby przywłaszczyć sobie młodą kobietę, która rzekomo jest prawdopodobną... – Zrobił głęboki wdech, jakby tamował chęć podniesienia głosu.

Blef. Wszystko, co powiedział, było kłamstwem. Safi rozpromieniła się w duchu.

Wtedy Habim syknął przez zaciśnięte zęby i dodał:

– Miejmy nadzieję, że okazałaś się tego warta, dziecko.

Dziecko. Safi nie musiała udawać, kiedy przewróciła oczami.

Rokesh z kolei głośno się zaśmiał.

– Zadaj mu te swoje pytania, prawdopodobnie, i pokaż generałowi swoją wartość.

Oddech uwiązał Safi w gardle, bo zadawanie tych pytań było ostatnim, na co miała ochotę. Nagle zaczęły jej drżeć dłonie, dojrzała krew i żółć, i poplamioną podłogę.

Wytarła ręce o uda, a Rokesh zbliżył się do niej, aż jego zasłoniętą twarz dzieliły od jej młodzieńczej buzi zaledwie centymetry.

– Mogę zadać te pytania – mruknął. – Jeśli to ułatwi sprawę.

Safi przygryzła wargę. Ułatwiłoby, ale nie miałyby sensu. Skoro miała problem, aby zrobić to z Habimem – jedną z niewielu osób w całym Czaroziemiu, które darzyła pełnym zaufaniem – to już nigdy nie będzie w stanie tego zrobić. A przecież musiała. Dlatego się tu znajdowała, to jedyny sposób na wydostanie się z tego miejsca.

Chyba że stworzę kamień Prawdy.

Wsunęła drżącą dłoń do kieszeni i ujęła kwarc kciukiem i palcem wskazującym. Da radę przelać w ten kamień swoją magię, tak jak uda jej się zadać Habimowi trzy pytania.

Stopniowo jej płuca wypełniły się powietrzem.

– Dziękuję, Piastunko – rzekła w końcu – ale poradzę sobie.

Znowu uśmiech, przez który w kącikach oczu Rokesha pojawiły się zmarszczki. Skinął głową i się wycofał.

Safi z kolei spojrzała na Habima. Na swojego mentora.

– Jest pan świadomy traktatu pokojowego z Baedyedami? – Słowa te wydostały się z jej ust w sposób w pełni kontrolowany i wydawały się tak bardzo odległe. Mathew ją tego nauczył. Nie zawiedzie ani jego, ani Habima.

– Tak – odparł zwięźle Habim. – Słyszałem plotki od oficerów, z którymi nadal koresponduję, potwierdzenie uzyskałem po dotarciu do stolicy.

Ku zaskoczeniu Safi wszystkie te stwierdzenia naszpikowane były szczerością. Habim rzeczywiście słyszał plotki i pozostawał w kontakcie z innymi oficerami.

On jednak jeszcze nie skończył.

– Kiepsko to wszystko rozegrano. – Te słowa skierował do Rokesha. – Kiepsko prowadzono negocjacje, bez podstaw do egzekwowania ich warunków. Zniszczyliśmy baedyedzki sposób życia. Kiedy nie chcieli żyć w naszych osadach, zabijaliśmy im konie. Gdy odmawiali przestrzegania naszych zasad, kradliśmy ich dzieci. Nie mają ani jednego powodu, aby z nami współpracować, za to milion, aby darzyć nas nienawiścią. Głupotą ze strony cesarzowej była wiara w coś innego, a Baedyedowie słusznie porzucili traktat na rzecz lepszego.

– Sam możesz to powiedzieć cesarzowej – rzekł Rokesha.

– Taki mam zamiar. – Habim przeniósł jastrzębią uwagę z powrotem na Safi. – Następne pytanie, prawdopodobnie?

Safi lekko uniosła brodę.

– Czy słyszał pan o spisku mającym na celu obalenie cesarzowej i przejęcie tronu?

Habim westchnął – dźwięk naznaczony irytacją, który tak dobrze znała. Tyle że tym razem był kłamstwem. Fałsz przebiegł po jej skórze i zebrał się przy podstawie kręgosłupa.

– Nie. Kolejne pytanie.

Kłamstwo zabuczało jeszcze głośniej.

Safi się spięła. Przez ułamek sekundy sądziła, że jej magia zareagowała w sposób niepoprawny. Wykryła blef w jego fałszywej postawie i wyrazie twarzy... Tyle że pośród tych łgarstw nie bzyczała ani odrobina prawdy. Były to tylko kłamstwa. Co oznaczało, że rzeczywiście wiedział o tym spisku.

Bayrum de Shards także był o nim poinformowany. „Tego typu pogłoski to nic nowego – rzekł, nim żelazny dysk Vanessy pozbawił go głowy. – Tam, gdzie jest władza, zawsze zbierają się muchy”. Safi przełknęła ślinę. Bez względu na to, co Habim słyszał, to nie on był autorem spisków. Przybył do Azmiru dla Safi, nie cesarzowej Vanessy.

– A czy wiedział pan, generale Fashayit – kontynuowała – o eksplozji na statku cesarzowej, nim doszło do ataku?

– Nie. Kolejne pytanie.

Prawda. Safi się odprężyła. Nie zdawała sobie sprawy, że do tej pory dłoń trzymała zaciśnięte w pięści.

– To było ostatnie pytanie.

– No i? – zapytał Rokesh. – Generał zdał?

Nawet gdyby Habim nie zdał, Safi mogła rzec tylko jedno, ale przecież zdał, więc łatwo jej było oświadczyć z przekonaniem:

– Tak, generał mówił prawdę.

– To dobrze – odezwał się Habim, nim Rokesh zdążył otworzyć usta. Odwrócił się w stronę stołu, odprawiając tym samym Safi i żmije. – Chcę się teraz widzieć z cesarzową, dziękuję. – Wskazał na oddziały ustawione wzdłuż marstockich granic. – Proszę jej

przekazać, że mamy wiele do omówienia, a jeśli to jest jej imperialna strategia, ta wojna rzeczywiście okaże się krótka.

*

Puls dudnił Vivii w uszach. W żyłach buzowała magia, a obok niej w pogotowiu czekały dwa bicze wody.

– Możesz opuścić swoją broń – powiedziała Vanessa i wykonała pełen gracji ruch ręką.

– Naprawdę? Och, tak się cieszę, że mam twoje pozwolenie.

Vanessa wydała znużone, aczkolwiek z lekka przesadzone westchnienie.

– Gdybym chciała cię zabić, to już byś nie żyła. Poza tym tak naprawdę wcale nie czujesz się zagrożona, w przeciwnym razie wezwałabyś swoich żołnierzy.

Cesarzowa była zbyt przenikliwa. Vivia przywołała na twarz bezczelny uśmiech i pozwoliła, aby woda wróciła do karafki.

– Skoro twoja obecność jest wymagana gdzieś indziej – rzuciła, przeciągając samogłoski – zakładam, że nasze spotkanie dobiegło końca.

– Przepraszam. – Vanessa skinęła głową. – To było nieoczekiwane i – przyznała – niechciane. Proszę. Zanim się pożegnamy. – Przesunęła po stole zrolowany papier.

Starając się, aby na jej twarzy widniała maska znudzenia, Vivia rozwiązała złotą wstążkę okalającą grubą welinowy arkusz.

– Tu nic nie ma. – Papier był zupełnie pusty.

– Na razie. – Vanessa wyjęła z fałd sukni drugi zrolowany arkusz i rozwinęła go na stole, tyle że wypadł z niego ołówek i potoczył się na podłogę.

Po raz pierwszy Vivia miała okazję obserwować, jak cesarzowa Marstoku oblewa się rumieńcem. A potem, ku jeszcze większemu zaskoczeniu Vivii, na chwilę opuściła ją gracja. Ze skrępowanym i niemal wzburzoną pośpiechem podniosła z ziemi grafit owiniętą w owczą skórę.

Brzęknęły jej bransolety, a policzki stały się jeszcze bardziej czerwone. Vivia była zmuszona przyznać, że Vanessa to najpiękniejsza kobieta na ziemi. Czymś niemalże... cóż, śmiesznym wydało jej się, że można być aż tak ładnym.

Już chwilę później Vanessa odzyskała panowanie nad sobą i nachyliła się nad stołem równie rzeczowo jak zawsze.

– Te kartki są naznaczone słowodziejską magią. Kiedy napiszę coś na jednej, na przykład coś takiego... – Przesunęła grafitem po papierze i wyprostowała się. – Spójrz teraz na swój arkusz.

Vivia uczyniła, co jej polecono, i jej oczy stały się wielkie jak spodki. „To moje pismo” – napisano na samej górze kształtnymi, niewielkimi literami nubreveńskimi.

– Możesz odpowiedzieć. – Vanessa podała jej ołówek, jednak Vivia go nie przyjęła.

– Co ja mam – zaczęła powoli – z tym zrobić?

– Odpowiedzieć. – Cesarzowa zamachała ołówkiem do Vivii.

– Dlaczego?

– A to nie oczywiste? Jesteś niezwykle zajęta kobietą, ja także. Dzięki temu możemy negocjować traktat na odległość. Kiedy dotrzemy do końca kartki, stanie się znowu czysta i będziemy mogły zacząć rozmowę od nowa.

– Skąd będę wiedziała, że to ty?

– Bo to jest moje pismo. Mogę napisać jeszcze kilka zdań, jeśli to ma się okazać pomocne...

– Nie. – Vivia odłożyła arkusz na stół. – Nie potrzebuję ciebie ani twojego... Ani twojego... – Spojrzała Vanessie w oczy.

Nagle poczuła się zbyt zmęczona, aby to ciągnąć.

Zawsze okazywała złość, przybierała maskę władzy i kontroli oraz niecierpliwego gniewu Niharów. Najgłośniej krzyczała, najostrzej walczyła i trzymała innych – czy to przyjaciół, czy imperia – na dystans. Ale dlaczego? Przez te wszystkie lata, kiedy tak robiła, kiedy naśladowała ojca i nosiła maskę niedźwiedzia, nie dało jej to żadnych korzyści.

Wysoka Rada nie dopuści do jej koronacji. Stix nie chciała być blisko niej, a zaledwie siedem godzin temu ojciec skradł jej chwilę triumfu, na którą tak ciężko pracowała.

Teraz cesarzowa Marstoku ze swoimi ośmioma milionami fantazyjnych tytułów oferowała Vivii szansę. Vivii, nie jej ojcu. A ona, choć bywała głupcem, uwierzyła Vanessie, kiedy ta oświadczyła, że lisy jej zaimponowały.

Bez względu na to, jak Vivia to postrzegала, nie widziała powodu, dla którego miałaby odmówić.

– Dobrze. – Słowo to spłynęło z jej języka niczym woda ze starego kranu: z trudem i przesycone rdzą. – Dobrze – spróbowała ponownie i tym razem dorzuciła skinięcie głową. – Napisz, proszę, jeszcze kilka słów, a ja zrobię to samo.

Vanessa się uśmiechnęła. Był to prawdziwy, szczery uśmiech, który dotarł aż do jej oczu. Zdecydowanie zbyt piękna.

Przez kilka kolejnych minut słychać było tylko ciche skrobanie ołówka. Vivia obserwowała, co pojawia się na jej arkuszu.

„To moje pismo. Jestem Vanessa, jedyna córka Rishry i Alalma, cesarzowa Marstoku. Niecierpliwie wyczekuję negocjacji z Nubrevną”.

Podala ołówek Vivii. Uchwyt z owczej skóry był ciepły od jej dotyku.

„To moje pismo – napisała przyszła królowa. – Jestem Vivia, jedyna córka Jany i Serafina, przyszła królowa Nubrevny. Mam nadzieję, że mnie nie wykiwasz”.

Vanessa zachichotała, a kiedy Vivia podała jej ołówek, machnęła ręką.

– Zostaw go sobie. Mam inne.

– Ja także. – Vivia odłożyła go na stół. – Nie jesteśmy aż tak biedni, cesarzowo.

Kolejny chichot, kolejny uśmiech i chwilę później spotkanie dobiegło końca.

Kiedy tym razem Vivia przechodziła przez prywatne skrzydło cesarzowej, jej krokom towarzyszyła nowa sprężystość. Nie była na tyle niemądrym liskiem, aby myśleć, że z tej rozmowy wyniknie coś produktywnego, ale może odrobina nadziei nie zawadzi.

TRZYNAŚCIE LAT TEMU

Kiedy potwór budzi się po raz pierwszy, jest akurat pochmurny dzień. Chłopiec i jego czarny terier o imieniu Boots – sześć miesięcy temu sprezentował go malcowi ojciec – bawią się przed rodzinnym namiotem. Ich plemię rozbiło się w gorącym zakątku Ziemi Niczyjej.

Boots ciężko dyszy, mimo że słońce skrywa się za ponurymi chmurami, więc chłopiec zabiera go nad bagnistą rzekę. Postanawia, że popływają, i wmawia sobie, że robi to dla dobra futrzastego przyjaciela.

„Psy się nie pocą – powiedziała mu matka. – Nie potrafią się schłodzić tak jak my”. Chłopiec uważa, że to miłe z jego strony, iż tak dba o komfort swojego zwierzaka. Ekscytującym dodatkiem będzie, jeśli przy okazji zobaczy w wodzie krokodyle, o których mówiła mu Alma.

Przez kilka godzin on i Boots pluskają się razem z zamieszkującymi trzciny tłustymi, śliskimi sumami. Polują na koniki polne wielkości dłoni chłopca, który próbuje je chwycić, lecz mu się nie udaje. Stara się nauczyć Bootsa je łapać, ale pies jedynie burzy wodę i odstrasza owady.

Chmury się rozstępują. Chłopiec zupełnie zapomina o krokodylach. W końcu słyszy nawoływania matki na kolację. Zmierza grzecznie w stronę brzegu.

Jest już w połowie drogi, woda sięga mu ledwie do ud, kiedy słońce odbija się w dwóch plamach. Potem trzciny zaczynają się poruszać i do chłopca dociera, że coś się zbliża. Coś większego od niego. Coś, co prześlizguje się po wodzie równie łatwo jak rtęć w czasomierzu matki.

Boots szczeka. Wydaje z siebie wysokie piski, których – jak mówił jego ojciec – nigdy nie należy ignorować, więc chłopiec ich nie ignoruje. Tyle że nie rusza się z miejsca. Nie ma dokąd

odejść. Żółte łuski krokodyla łączą się z trzciniami, z każdą chwilą są coraz bliżej, bezpośrednio między chłopcem a brzegiem.

Nim z jego gardła zdąży się wydobyć krzyk, Boots rzuca się w stronę trzcin.

Krokodyl kłapie paszczą. Boots piszczy. Krokodyl się odwraca.

Boots tkwi uwięziony w paszczy bestii. Już nie szczeka, jedynie rzuca się w wodzie jak szalony.

Brunatną wodę zabarwia krew. Ciemna. Gęsta. Nawet piana powstała w trakcie ataku jest czerwona, czerwona, czerwona.

I na ten widok coś się z chłopcem dzieje. Wzdłuż pleców przebiega mu zimny dreszcz. Czuje w oczach gorąco, a w mięśniach siłę. Nawet płuca wydają mu się inne – większe i pojemniejsze niż zaledwie chwilę wcześniej.

Robi wdech.

I czuje... wolność. Czystą, bogatą i żywą. A razem z wolnością... Lojalność. Wie, że ten zapach należy do Bootsa, a ten drugi – wolność i pierwotny, wieczny głód – do krokodyla.

Bez namysłu, nie rozumiejąc nawet, co czyni, podchodzi do krokodyla. Muska palcami jego poruszające się łuski. Woda wokół niego grzmi.

– Stop – nakazuje bestii. – Stop.

Krokodyl nieruchomieje.

– Puść Bootsa – wydaje rozkaz i gad ponownie spełnia jego żądanie. Krew, tyle krwi, ale wolność i lojalność nadal żywo płoną.

– Trzymaj się – mówi chłopiec do Bootsa i z siłą, o której aż do teraz nie wiedział, że ją posiada, bierze na ręce zakrwawionego, skamlącego przyjaciela.

A potem kieruje się do brzegu i tym razem pamięta, jak się krzyczy.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy Iseult w końcu wróciła do Białej Olchy, jej oczom ukazała się nie lada scenka. Sowa spała na łóżku, a Aeduan spał na podłodze obok niej w pozycji siedzącej, z głową wspartą o materac.

Ten niegodziwy krwiodziej wcale nie wyglądał na takiego nikczemnika, gdy zachodzące słońce ogrzewało jego śpiącą twarz. W tym świetle nawet to szatańskie dziecko wydawało się słodkie. Żadne z nich się nie obudziło, kiedy Iseult weszła na paluszkach razem z torbą pełną zakupów, a nawet kiedy ją opróżniła i uniosła stojący przy miednicy dzban. Ani kiedy razem z rzeczonym dzbanem wyszła z pokoju, aby napełnić go wodą z wododziejskiego kranu, który znajdował się na samym końcu korytarza.

Stał już przy nim jakiś mężczyzna i woda pryskała na boki, kiedy napełniał nią dzbanek i trzy manierki. Na widok Iseult jego znużone nici Więzi ożywiły się trawiaście zielonym zainteresowaniem. Dostrzegł jej kobiece kształty, co mocno go rozochociło. Iseult upewniła się, że kaptur i rękawy ma nisko opuszczone, po czym stanęła pod ścianą kawałek dalej, jednak na tyle blisko, aby nie stracić miejsca w kolejce, gdyby zjawił się ktoś jeszcze.

Błąd. Rozbudziła jedynie jego ciekawość. Mogła to przewidzieć: mężczyzna uważał, że należy mu się kobiece zainteresowanie. Odwracał głowę, przestępował z nogi na nogę, przeciągał się – początkowo wszystko to robił subtelnie, ale jego celem było zerknięcie pod jej kaptur. Skończywszy pobierać wodę, dał sobie spokój z delikatnością. Kiedy mijał Iseult, nachylił się i spojrzał jej prosto w twarz.

Jego nici Więzi natychmiast zabarwiła stalowoszara wrogość. Twarz wykrzywił mu grymas pogardy. Przynajmniej milczał, kiedy się oddalał, nie rzucając żadnych inwektyw ani gróźb. Mimo to Iseult nie podobało się, że nadal wyczuwa jego nici Więzi, nawet

kiedy wszedł do swojego pokoju, ani to, że towarzyszące mu dwa inne komplety nici drżały z pełną agresji nienawiścią. Napęła dzban tylko do połowy, by szybciej wrócić do Aeduana i Sowy, a kiedy weszła do pokoju, dwa razy sprawdziła, czy drzwi są porządnie zamknięte.

Chociaż tyle, że nigdzie w pobliżu nie czaił się Przechera.

Najciszej, jak potrafiła, naląła do miednicy wody, kiedy jednak ciszę przesyłał krótki okrzyk, gwałtownie odwróciła się w stronę łóżka.

Oboje spali. Krzyk wydał Aeduan. Wzdrygał się, jakby ktoś go bił. Raz za razem. Jego twarz...

Iseult zamruwała. Malował się na niej bezbrzeżny smutek. Rozpacz, jakby odebrano mu coś, co kochał najbardziej na świecie.

Nie mogła na to patrzeć. Pragnęła to zatrzymać. Chciała podbiec i go obudzić. Ująć w dłonie jego twarz i oświadczyć, że wszystko będzie dobrze i że prześladowające go duchy już zniknęły. To uczucie było instynktowne, niepowodowane rozumem, i po chwili znalazła się przy Aeduanie.

Kucnęła i wyciągnęła dłonie ku jego twarzy. Z jego skóry emanowało gorąco, piekielny żar. Na czoło wystąpił pot.

Miał gorączkę. Dobrze, że kupiła stosowny napar.

W tym momencie przestał się wzdrygać, a ona zamarła z palcami zaledwie włos od jego brody. Wstrzymała oddech. Zmarszczki na jego twarzy jedna po drugiej wygładzały się i widać było, że zapadł w pozbawiony koszmarów sen. Część Iseult pragnęła posunąć się dalej. Maleńki, sekretny fragment jej klatki piersiowej, usytuowany tuż przed lewym płucem, pragnął więcej: poczuć pod opuszkami palców jego skórę i patrzeć, jak się budzi.

Ale do tego fragmentu siebie Iseult się nie przyznawała i dopóki udawała, że on nie istnieje, dopóty nie musiała się zastanawiać, co może oznaczać.

Cofnęła dłonie. Drżały, jakby nigdy wcześniej tego nie robiła. Jakby zaledwie wczoraj nie pochylała się nad nieprzytomnym Aeduanem,

obserwując wysokie kości policzkowe i firanki rzęs. Kiedy spał, tak łatwo go było dotykać. Opatrywać. Nie wwiercały się w nią wtedy krystaliczne oczy. Bo kiedy nie spał...

W tym pokoju jest za gorąco. To Iseult się teraz pociła, to ona cała była rozpalona. I wcale nie chodziło o ogniodzieja, lecz coś innego, przez co ścisnęło ją w żołądku i przez co klatka piersiowa sprawiała wrażenie zbyt małej.

Cicho jak kot, tak jak nauczył ją Habim, wycofała się i ponownie stanęła przed miednicą. Przy odrobinie szczęścia Aeduan obudzi się, dopiero kiedy naszykuje wszystko, czego potrzeba do opatrzenia jego ran. Wtedy będzie mogła wyjść na palcach z pokoju i może znaleźć jakieś ustronne miejsce we wspólnej jadalni na parterze, gdzie w spokoju zastanowi się nad tym, co się wydarzyło z Przechera, zamówi jedzenie dla Aeduana i Sowy, a inni goście nie będą jej widzieć.

I nie będzie jej widział Aeduan. W uszach nadal dźwięczało jej wcześniejsze polecenie, które wydał. Nie. Nie chciał jej pomocy. Nie. Nie chciał jej dotyku. A mimo to, idiotka, niemal to zrobiła...

I nadal tego pragnęła.

Mogła sobie tylko wyobrazić przerażenie, jakie malowałoby się na jego twarzy, gdyby się obudził i przekonał, że ona go dotyka. Byłoby o wiele gorzej niż wcześniej.

Nie.

Księżycowa Matka nie sprzyja dziś Iseult. Choć udało jej się położyć przy Aeduanie czyste lniane szmatki, dwie różne maści od ziemiodziejskiego uzdrowiciela, proszek leczniczy od ogniodzieja oraz wododziejski napar, nie budząc go przy tym, to kiedy próbowała przenieść pełną miednicę, woda chlusnęła mu na nogę.

Natychmiast otworzył niebieskie, zagubione oczy.

– Wróciłaś – wyrzekł ochryple, niewiele głośniejszy od szeptu.

Temperatura w pokoju od razu wzrosła. Język Iseult także się powiększył.

– P-przepraszam, że cię obudziłam – wyjąkała i odsunęła się.

To znaczy próbowała. Aeduan chwycił ją za nadgarstek, a jego uścisk okazał się zaskakująco mocny.

– Zostań – wychrypiał i wbił w nią przenikliwe spojrzenie, przez które rozpadał się cały jej świat.

Mijały sekundy. Jego uścisk osłabł, ale wciąż wlepił w nią wzrok. Gdyby tylko chciała, mogłaby mu się wyrwać.

Nie zrobiła tego.

– Blizna – rzekł w końcu.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

– Nie... – zaczęła.

– Blizna – powtórzył i choć jego spojrzenie nie przesunęło się, kciuk owszem. Musnął delikatnie, bardzo delikatnie, jej nadgarstek. A potem wewnątrz dłoni, gdzie rzeczywiście znajdowała się delikatna blizna. Pozostała po haku rybaka w Veñazie. – Moja wina.

– Owszem – przyznała.

Kciuk Aeduaana wrócił do nadgarstka. Skórę miał szorstką, lecz dotyk delikatny.

Całe ciało Iseult się zamknęło. Nie dało się tego inaczej opisać. Wszystko w niej znieruchomiało.

– Dlaczego? – wyszeptał w końcu, a palec zatrzymał w miejscu, gdzie dało się wyczuć jej puls.

– Dlaczego... co? – Nie miała pojęcia, jak udało jej się wydusić te słowa.

Aeduan przełknął ślinę.

– Dlaczego jeszcze tu jesteś?

Zamrugła, a zaskoczenie na chwilę odebrało jej mowę, uspokoiło myśli.

– A gdzie miałabym być? Czy... chciałeś, abym przyniosła ci coś jeszcze?

– Nie. Nie chodzi o to... – Rozkaszłał się i w końcu puścił dłoń Iseult. Nagle zrobiło jej się zimno w nadgarstek. W przeciwieństwie do reszty ciała, które płonęło od środka. – Z Sową – wychrypiał

Aeduan, kiedy w końcu minął atak kaszlu. – I... ze mną. Dlaczego zostałam?

– Och.

To ostatnie, czego się spodziewała, i przez ułamek sekundy bała się, że jakimś cudem dojrzał skrywający się w jej kieszeni liścik od Mathew i że wiedział o jej nowych opcjach. Ale to niemożliwe, przecież dopiero co otrzymała tę wiadomość. Nie mógł wiedzieć o czekającym na nią człowieku.

Czemu w ogóle przejmujesz się tym, o czym on wie? – zapytał ostro jej umysł. Wie, że szukasz swojej więziosiostry. Wie o twojej więziorodzinie i że nie możesz zostać przy nim na zawsze.

On może to wie, szepnął maleńki, sekretny fragment jej klatki piersiowej, usytuowany tuż przed lewym płucem. Ale czy ty to rozumiesz?

– Ja... mam wobec ciebie dług życia – rzekła w końcu. To jedyne wytłumaczenie, którym uraczyła także siebie. – Nawet kilka. Dlaczego ch-chcesz, żebym sobie poszła?

Tak trudno jej było wydusić z siebie te słowa, a Aeduan nie udzielił żadnej odpowiedzi. Zamiast tego patrzył na nią bez mrugnięcia okiem, z każdą mijającą sekundą jego spojrzenie stawało się mniej zaspane.

Tymczasem w pokoju robiło się coraz bardziej gorąco, a do Iseult dotarło, że jej serce wcale nie przestało bić, jej płuca nie zatrzymały się ani na chwilę. Po prostu skrywały się za jego oczami, palcami, dotykiem.

Aeduan podciągnął się do pozycji siedzącej. Z gardła wydobył mu się jęk bólu, a mimo to Iseult nie zrobiła nic, by mu pomóc. Nie. Zamiast tego liczyła mijające sekundy i powtarzała sobie w myślach: bądź jak kwiat. Nadaremno, bo kiedy Aeduan się wyprostował i zabrał za ściąganie koszuli, stało się to dla niej zbyt frustrujące. W powietrzu między nimi drżał jego ból. Chęć wyręczenia go sprawiła, że rozciągnęła palce na swoich udach.

Czuła się jak garnek, który zaraz wykipi.

Wstała. Szybko i głośno, ale Sowa się na szczęście nie poruszyła. Iseult wróciła do pustego stołu. Zacisnęła dłonie na krawędzi blatu, po czym spojrzała w lustro, we własne błyszczące, orzechowe oczy.

Jak kwiat, jak kwiat, jak kwiat. Ileż razy matka Iseult kazała jej patrzeć w lustro, zmuszając do ćwiczenia więziodziejskiego spokoju? Ileż razy Gretchya kazała jej obserwować własną twarz i wyłapywać każdy tik, drgnięcie, potknięcie podczas zachowywania gładkiej perfekcji? Nie znosiła tego. Teraz, w pokoju pełnym płomieni, odpłynęła do zimnej, metodycznej lekcji z przeszłości.

– Nie udało mi się znaleźć żadnych ubrań – powiedziała w końcu. Nawet się nie zająknęła. Aeduan nie będzie więcej odbierać jej zmysłów. – Jutro spróbuję jeszcze raz, może otworzą sklepy.

– Mogę dostać ubrania... – Jęk bólu za nią. Udręczony wydech. – W klasztorze. Zdobędę więcej ubrań.

– Nadal zamierzasz tam pójść?

– Muszę.

Iseult zdusiła westchnienie. Chciała zaprotestować, wiedziała jednak, że nic tym nie osiągnie. Aeduan twierdził, że darzy niechęcią Carawenów i nie należy już do tego Klasztoru, a mimo to przez dwa tygodnie podróży skrupulatnie przestrzegał jego zasad. Po przebudzeniu się medytował, mnisią pelerynę utrzymywał w czystości, a o zmierzchu recytował modlitwy.

Tak samo sprawy miały się z Safi. Zawsze twierdziła, że pogardza swoim wujem, a mimo to wychodziła z siebie, byle mu zaimponować.

Iseult odwróciła się od lustra już silniejsza. I zobaczyła, że Aeduan opatruje sobie rany na brzuchu. Niezdarne ruchy, porozlewana woda.

Uparty głupiec. To cud, że Sowy nie obudziło jego chlapanie.

Zamoczył szmatkę. Umył. Zamoczył. Umył. Zamoczył... Lniana ścierka wpadła do miednicy. Opadła na dno, a jego zeszywniałe palce nie były w stanie ponownie jej wyjąć.

Iseult podeszła do niego ze stoickim spokojem i w milczeniu wyjęła szmatkę, a kiedy jego palce zacisnęły się na mokrym materiale, nie puściła.

– Czy moja pomoc jest rzeczywiście tak potworna? – Słowa te wypowiedziała głośniej, niż zamierzała. Zabrzmiało to niemal jak skarga. Chciała jednak poznać odpowiedź, więc nie ustąpiła.

Woda kapiała na podłogę.

– Twój... dotyk – rzekł w końcu – to... zbyt wiele.

Zbyt wiele? – pragnęła powtórzyć. Zbyt wiele czego? Można to było zrozumieć na wiele sposobów. Logika kazała jej oczywiście sądzić, że Aeduanowi chodziło o ból, tyle że przeczyło temu jedno spojrzenie na bajzel wokół niego. Jej dotyk był wprawniejszy, palce delikatniejsze.

Iseult puściła szmatkę i jego dłoń. Udzielił jej odpowiedzi, nie będzie dalej naciskać – nawet jeśli chciał tego ten jej maleńki, sekretny fragment. Nawet jeśli nie dawało jej to spokoju, kiedy znowu stanęła przed lustrem: to nie zbyt wielki ból go dręczy. To zbyt wiele czegoś zupełnie innego. Tego samego, przez co język staje ci kołkiem w buzi, a twarz płonie. Tego samego, przez co zamyka się twoje ciało.

Iseult była wściekła na siebie o to, że marzy, aby ten maleńki, sekretny fragment niej mówił prawdę.

ROZDZIAŁ 15

Cienie nie okazały się dla Merika łaskawe.

Prześladowały go głosem nienależącym do Kullena. Ten akurat był rozbawiony i dociekliwy, i używał ledwie zrozumiałego języka. Cienie pulsowały, grzmiały, chwytaly i wiły się – do tego zawsze, ale to zawsze się śmiały.

Dwukrotnie udało mu się unieść powieki. Dwa razy ujrzał nad sobą czyste, niebieskie niebo i poczuł na twarzy wilgotny wiatr. Przebudzał się na tyle, aby wyczuć, że znajduje się w ruchu, niesie go ktoś o silnych ramionach i nieustępliwym uścisku.

Tyle tylko Merik dojrzał, nim wróciły śmiejące się cienie.

Kiedy w końcu na dobre się rozmyły, niebo nie było już niebieskie. Zakradał się zachód słońca, barwiąc je na różowo. Twarz owiewało mu chłodne powietrze, a kiedy wreszcie usiadł, dotarło do niego, że jest mokry.

Trząsł się.

Wokół niego zmaterializował się las. Mgła wirowała między olchami, a ich blade pnie nakrapiane były czernią. Od najbliższej położonych drzew szła błotnista, udeptana ścieżka.

Wiodła do strzelistej płyty, znajdującej się zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym leżał Merik. Wyglądała tak jak ta, którą zniszczył Kullen, tyle że wyryto na niej wymyślne wzory. W niektórych miejscach zawijasy zupełnie się wygładziły, w innych można było dostrzec jasne porosty.

Czymkolwiek był ten kamień, miał swoje lata i otaczano go czią. Trawę przed nim zaścielały przeróżne oznaki składanych tu hołdów, niektóre z dzisiaj, inne z tak dawna, że zdążyły zgnieć pod zimnym, arythuańskim słońcem. Pomiedzy bochenkiem szerniałego chleba a lalką z wyblakłą twarzą połyskiwały trzy dojrzałe gruszki.

Merikowi nabiegła do ust ślina. Dawno nic nie jadł, a do picia dostał wyłącznie tę zatrutą miksturę od Esme.

Esme. Wraz z jej imieniem powróciły wspomnienia dotyczące miejsca jego pobytu i tego, jak się tu dostał – setki lig od Zakonu Sióstr Wzrokodziejek. Setki lig od Cam, Rybery i wszystkich, których znał, a teraz ktoś go porzucił przy czymś w rodzaju sanktuarium w samym środku wilgotnego lasu.

Czy ten ktoś to jego przyjaciel czy wróg? Merik zdążył zauważyć, że nie było go teraz tutaj, a wiatry nic mu nie mówiły. Przy jego szyi nadal wisiał kołnierz i żadna liczba głębokich oddechów nie zapewniała połączenia z jego magią.

Przebywał w lesie sam, bez magii i żadnej pomocy.

Co oznaczało, że nie było tu także nikogo, kto by go mógł powstrzymać. Z zawrotną prędkością zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem w stronę lasu. Serce waliło mu jak młotem, płuca piekły. Ze wszystkich stron otaczały go olchy, a ich liście jaśniały we mgle. Błoto plaskało mu pod nogami, ale nie zwalniał. Zamierzał się stąd wydostać, znaleźć kogoś, kto mu pomoże, a wtedy jakoś uda mu się wrócić do Zakonu, do Cam i Rybery.

Gdy dotarł do miejsca, gdzie podłoże było już stabilniejsze, a olchy zostały zastąpione przez buki i jodły, przeszył go ból.

Miał wrażenie, że znowu tkwi uwięziony na eksplodującym statku – ogień, wszędzie ogień. W żyłach, pod skórą, drapiący oczodoły. Z gardła wydobył mu się zduszony krzyk, ugięły się pod nim kolana. Przewrócił się na zimną glebę.

Pod skórą jego dłoni skręcała się czerń.

„Zmierzasz w złym kierunku. – Głos Esme prześlizgnął się z jego klatki piersiowej do czaszki, odłamki szkła i koszmary. – Niemożliwe, abys próbował ode mnie uciec, książę. Z pewnością to pomyłka. Teraz odwrócisz się i wrócisz na miejsce”.

– Nie – rzucił przez zaciśnięte zęby, próbując się czołgać.

„Tak”. Ból stał się tysiąc razy gorszy. Kradł mu wzrok, słuch, a pośród drzew rozbrzmiewał jego krzyk. Jego własny krzyk, biegnący z tysiąca mil stąd, pełen udręki.

„Odwróć się, książę, inaczej sprawię, że będzie jeszcze gorzej. A uwierz mi, że potrafię”.

Merik nie wiedział dlaczego, ale uwierzył tej kobiecie o imieniu Esme, że kolejna fala bólu złamie go w pół.

„Przestań”. Nie wiedział, czy wyskrzecztał to słowo, czy je jedynie pomyślał, ale objęło w posiadanie całe jego wnętrze. Przestań, przestań, przestań. Obrócił się na czworakach i mozolnie posuwał się w stronę, z której nadbiegł.

Po czterech potwornych chwilach płomienie w końcu się wycofały. Wróciła zimna nicość. Merik padł na ziemię. Cały drżał.

„Dobrze – zagruchała Esme. – A teraz wracaj do sanktuarium, książę, i zaczniemy od nowa”.

– Tak – wyrzucił z siebie, choć był w stanie wpatrywać się jedynie w bursztynowe liście buku i próbować oddychać. Ból nie do końca opuścił jego klatkę piersiową. W uszach nadal słyszał krzyki.

Uniósł trzęsące się ręce. W świetle zachodzącego słońca widział poruszające się pod skórą linie. Esme go rozszczepiła – albo zaczęła to robić – a w wieży mówiła o innych rozszczepieńcach. Nazwała ich swoimi, jakby to ona im to zrobiła, jak uczyniła to Merikowi.

Lalkarka.

Krążyły plotki o wspierającej Króla Zdobywcę kobiecie, która potrafi kontrolować rozszczepieńców. Słyszał opowieści, wedle których to ona ich stworzyła, ale Merik traktował je jako kłamstwa – jako wymysł, straszak na imperia i Nubrevnę. Wcześniej oskarżał innych przywódców na Szczycie Rozejmowym o ignorowanie zagrożenia w Arythuani, ale wyglądało na to, że sam wcale nie okazał się lepszy.

To kolejna rzecz, której w swoim zarozumiałstwie nie dostrzegął, a wszystko, co zrobił, będzie go prześladować do czasu, aż się poprawi.

Aczkolwiek teraz liczyło się tylko posłuszeństwo wobec Esme. Jego słabość przepełniała go wstydem, ale taka była prawda: zrobiłby wszystko, co by mu kazała, byle odsunąć od siebie ten ogień.

Szedł przez las, co rusz się potykając. Skupiał się wyłącznie na stawianiu kolejnych kroków. Nie miał w głowie miejsca na myśli ani strach, ani tym bardziej na wijącą się wokół niego mgłę.

Do sanktuarium dotarł w chwili, gdy słońce chowało się za horyzontem. Tym razem bez wahania zjadł gruszki, sok spływał mu po twarzy i palcach. Nic, absolutnie nic tak bardzo mu w życiu nie smakowało.

Gdy konsumował trzeci owoc, powrócił głos Esme. „Wiesz co to za miejsce?” – wyrwała Merika z jego chwilowej przyjemności. Uderzyła go rzeczywistość, na tyle mocno, że aż się zakrztusił.

– Nie – wychrypiął w końcu, wycierając lepkie usta.

„To sanktuarium, które zbudowano tysiące lat temu, jeszcze przed czasem czarodziejów”.

Merik nie wiedział, że w ogóle istniało coś przed czasem czarodziejów.

„Nikt nie pamięta przeszłości, chyba że zostaje spisana. A ci, którzy rzeczywiście ją spisali, zostali zapomniani. Przeszłość tak łatwo można wymazać, książkę, i tylko Śpiący wie, dla uczczenia jakiego boga czy siły zbudowano to sanktuarium”.

W tych słowach pobrzmiwał dziwny ból, jakby Esme pragnęła powrotu przeszłości i oplakiwała utratę historii czy wiedzy.

„Obecnie niemądre plemiona Nomatsów używają go do oddawania czci bogu, który nigdy nie istniał, środkowej siostrze Księżycowej Matki, według nich przybierającej postać jaskółki dymówki. Przesądni głupcy. – Do głosu Esme zakradł się jad. – Nie ma żadnej Jaskółki i nigdy nie było, ale oni pozostawiają dla niej ładne dary, które ty masz stąd zabrać. Widzisz jakieś drogocenne kamienie? Większość będzie nieoszlifowana.

Wokół Merika było porozrzucanych wiele kamieni. Książę skinął głową. Dotarło do niego, że Esme może nie wyczuła tego ruchu, więc dodał szorstko:

– *Onga*. – Arythuańskie słowo oznaczające „tak”. Dzięki owocom czuł się już silniejszy. Bardziej przytomny i czujny.

„Ach! – Piszczące doznanie wypełniło jego umysł, poczuł się, jakby brzęczały w nim osy, najwyraźniej jego odpowiedź sprawiła Esme wielką przyjemność. – Jesteś doskonały, książę! Żadnemu z moich rozszczępieńców nie pozostał własny umysł, wiesz? Potrafię robić z nimi, co chcę, i wykonują proste zadania, takie jak atak, obrona czy zanieśenie bezradnego księcia do lasu. Ale to wszystko wymaga mojego skupienia. Muszę trzymać ich smycze i kierować dokładnie tam, gdzie chcę, żeby szli. Nawet wtedy nie jest mi łatwo patrzeć ich oczami, kiedy więc potrzebuję coś zabrać, muszę to robić sama. To znaczy tak myślałam aż do teraz. Skoro widzisz kamienie, książę, w takim razie możesz je dla mnie pozbierać. A jest ich tyle... oraz innych rzeczy, które potrzebuję zebrać! Sama nie stworzyłabym cię bardziej idealnego”.

Wróciło bzyczenie. Merik pomyślał, że to pewnie jej śmiech.

„A teraz pozbieraj kamienie, książę, i wracaj do mnie”.

– Skąd będę wiedzieć, dokąd iść?

„To proste. Podążaj za bólem”.

Po tych słowach przeszła go fala potwornego bólu.

Zakrzyknął.

„Zbieraj kamienie, aby ból ustał!”

Wziął się do pracy. Zbierał wszystko, co wyglądało jak kamień, było małe, okrągłe i leżało w zasięgu jego rąk, pakował do kieszeni. Ledwie widział. Z całą pewnością nie był w stanie myśleć, a każdy nerw w jego ciele płonął.

„Grzeczny chłopiec – zanuciła, kiedy kieszenie miał już pełne. – A teraz idź”.

Merik zaczął iść.

ROZDZIAŁ 16

Trasa przez Tirlę okazała się drogą przez mękę. Choć maści i napary Iseult nieco uśmierzyły ból Aeduana, ich działanie nie było natychmiastowe i większość należało aplikować przez wiele dni, aby odpowiednio zadziałały. Tak przynajmniej zakładał po tym, jak się goiły rany na normalnych ludziach.

Jakie to dziwne. Nigdy nie sądził, że zostanie wrzucony do jednego worka z normalnymi ludźmi. Dawniej niczego nie pragnął bardziej, teraz tego nienawidził.

Wokół tańczyły wiatry, przyspieszając jego krok. Nad miastem gromadziły się chmury. Jeśli się nie pośpieszy, nim zdąży wypełnić to zadanie, rozpęta się burza.

Kiedy w końcu ujrzał brzeg wzburzonego jeziora, wyprostował się. Zrobił wdech, następnie wydech. Nie mój umysł, nie moje ciało – powiedział sobie i ruszył w stronę głównego nabrzeża, zatłoczonego nawet o zachodzie słońca, po czym możliwie najpewniejszym krokiem zbliżył się do klasztorного budynku.

Wciśnięty między miejską stajnię a warsztat kartografa niewiele się zmienił przez dwa ostatnie lata. Wszystko było takie samo – podniszczona fasada z wapienia, owalny symbol nad wejściem oraz ciężkie dębowe drzwi bez zasuw od zewnątrz.

Zapukał. Odsunięto listewkę na wysokości głowy. W szparze pojawiły się ciemne oczy, zlustrowały najpierw twarz Aeduana, następnie opal w jego lewym uchu.

– W porządku – dobiegł zza drzwi stłumiony głos i wrota otworzyły się z piskiem zawiasów, to także się nie zmieniło, ukazując po drugiej stronie mnicha. Obcego i zgodnie z przewidywaniami pomarszczonego. Ta praca w placówkach na nieswoich ziemiach była niewymagająca, dobrze płatna i idealna dla najemników, którzy czas świetności mieli już za sobą. – Fatalnie wyglądasz – stwierdził mężczyzna.

– I tak też się czuję – odparł Aeduan, co spotkało się ze śmiechem.

Kuśtykając, przekroczył próg klasztoru. Akolici, których białe kaptury pod burzowym niebem wyglądały na szare, plewili na dziedzińcu grządki z kapustą, burakami i marchewką. Mają szczęście, dranie. Aeduan sześć razy się ubiegał o możliwość szkolenia się za granicą. Zrobiłby wszystko, byle uwolnić się od Klasztoru.

Nigdy nie uzyskał zgody i patrząc na to z perspektywy czasu, wiedział, że tego się można było spodziewać. Nikt nie ufał krwiodziejowi. Nikt nie ufał demonowi.

Skręcił w prawo i okrążył warzywniak, za którym mieścił się sklepik. Przez niebo w oddali przetoczył się grzmot.

– To ty – rozległ się zaskoczony głos, kiedy Aeduan wszedł do sklepiku, również zupełnie niezmienionego, z niską ladą na końcu i ścianą pełną półek. Ale już stojąca za ladą Marstokczynka się zmieniła: na głowie miała więcej siwych włosów, wokół oczu więcej zmarszczek. – Dawno cię tu nie było, mnichu. Wcześniej wyglądałeś lepiej.

– Dwa lata. – Aeduan podszedł do lady. Każdy jego krok naznaczony był bólem, ale nie mógł tego po sobie pokazać. Ta kobieta była jedną z niewielu, które go tolerowały, ale do sympatii było jeszcze daleko. Przynosił tej placówce spory dochód, potwory bywały przydatne. – Byłem w Dalmocji – wyjaśnił. – Na poziomie siódmym. Dopiero co wróciłem.

– Na poziomie siódmym. To tłumaczy tę całą krew. – Na widok malującej się na twarzy Aeduana konsternacji uniosła gęste brwi. – Chcesz powiedzieć, że to był dawny poziom siódmy?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Niedowierzenie sprawiło, że jej brwi uniosły się jeszcze wyżej.

– Nie słyszałeś o nowych zmianach Abbota? Zlecenia są teraz kategoryzowane względem dochodu, a nie czasu trwania kontraktu.

Nowe zmiany Abbota. Aeduan nie miał o nich pojęcia.

– Kiedy po raz ostatni byłeś w Klasztorze, mnichu? – Kobieta nachyliła się nad ladą. – Starszyzna ponad miesiąc temu wybrała na miejsce staruszka Natana fon Leida.

Aeduan przechylił głowę i analizował te słowa. W Klasztorze nie zjawiał się już od dobrych dwóch miesięcy. Mnisi w Veñazie nie okazali się równie przyjaźni jak ta kobieta.

W sumie to logiczne, że nic nie wiedział o nowym Abbotcie czy systemie kategoryzującym – i trochę nawet żałował, że się teraz o tym dowiedział. Natan fon Leid zawsze był egocentrykiem, nawet jak na Cartorrianina, a jego pragnienie władzy było wręcz nienasycone. Te cechy idealnie pasowały do pełnienia funkcji Carawena Abbota, ale Aeduan nie darzył go szczególnym uznaniem.

Mniszka zaśmiała się, on zaś się wyprostował.

– Widzę, że nie jesteś jego zwolennikiem?

– Hmm – mruknął tylko w odpowiedzi. Irytowało go, że nie ma kontroli nad swoją mimiką. Samo stanie wymagało od niego mnóstwa niewyobrażalnego wysiłku. Nie mówiąc o panowaniu nad przebiegającymi po twarzy emocjami. Nie miał pojęcia, jak robiła to więziodziejka.

– Masz kamienie bólu? – zapytał.

– Kilka. – Kobieta spojrzała na skrytkę po swojej lewej stronie. – Niestety Marstokczycy przerzucają wszystkie zapasy na tereny przygraniczne, więc musiałam podnieść cenę... Chwileczkę. – Spojrzała na Aeduana. – Po co tobie potrzebny kamień bólu?

– Nie dla mnie – skłamał.

Nie wyglądała na przekonaną, ale nie ciągnęła tematu. Chwilę później na ladzie wylądował mały woreczek.

– Według nowych zasad to poziom czwarty. Drogo – doprecyzowała. – Na pewno go chcesz?

Za wszystkie towary w Klasztorze płacono się usługami, ale Aeduana nie obchodziło, czy koszt tego kamienia to poziom czwarty, czy dziesiąty. Potrzebował czegoś, co doda mu siły do czasu, aż spotka się z uzdrawiającym czarodziejem, cena nie grała roli.

– Tak – odparł tylko, po czym schował woreczek do kieszeni. Teraz musiał jedynie dokończyć zakupy, następnie gdzieś się zaszyje i go założy. – Potrzebny mi także nowy uniform. Czarny.

Uznał, że na czarnym nie będzie tak widać plam krwi.

– Nową pelerynę także chcesz? – Zmierzyła wzrokiem brudny, poszarpany materiał. – Mam ich mnóstwo. Cena to tylko jeden poziom.

Aeduan pokręcił przecząco głową. Jego peleryna miała modyfikacje, których tutaj nie mógł zakupić: włókno salamandrowe chroniące przed ogniem, kłapa przeciw dymowi. Wolał swoją, choćby dziurawą i poplamioną krwią, niż jakąkolwiek nową.

Potwierdził, że jego rozmiar nie uległ zmianie, i zgodził się, że zlecenie z poziomu pierwszego to godziwa cena, mimo że nie miał już wcale pewności, co to oznacza, po czym przeszedł do kolejnego punktu na liście.

– Potrzebny mi strój podróżny dla dziewczynki. Sześć-, może siedmioletniej. Małej jak na swój wiek.

– Doprawdy? – Kobietę wyraźnie świerzbilo, aby zapytać, po co mu takie odzienie, ale wypytywanie było wbrew zasadom. Zlecenia to prywatna sprawa, mnisi słynęli z dyskrecji. – Cóż, Pani Los ma cię dzisiaj w swojej opiece. To przyszło do mnie... – sięgnęła po ubranie, złapała je i położyła – w zeszłym tygodniu. Nie jest nowe, ale czyste i porządnie wykonane.

Miała rację. Wełniana tunika i spodnie, szarobrązowe niczym bukowa kora, wydawały się ciut duże, ale lepiej, żeby były za duże niż za małe. Zielona peleryna miała idealny rozmiar.

Kiwnął głową. Weźmie wszystko.

– To także poziom pierwszy – rzekła kobieta. – Coś jeszcze?

– Kolejny strój podróżny. – Przełknął ślinę. – Dla kobiety mniej więcej twojej postury.

– Dla dorosłych kobiet mam akurat spory wybór. – Mniszka rozłożyła ręce, wskazując na cały rząd półek. – Jaka jakość? Podróż

w jakim klimacie? Mam haftowany jedwab aż z Dalmocji, jeśli twoja kobieta należy do zamożnych.

– To nie jest moja kobieta. – Wyprostował palce.

– Mam także bardziej solidny materiał, bawełnę, wełnę i całe mnóstwo innych. Potrzebujesz sukni czy spodni? – Nie czekając na odpowiedź, mniszka zaczęła układać rzeczy na ladzie. Od jedwabiu do wełny, od aksamitu do samodziału, we wszystkich kolorach tęczy.

Nie miał pojęcia, co wybrać. Iseult wcale mu nie oświadczyła, że chce nowe ubrania. Prawdę mówiąc, to im dłużej się wpatrywał w coraz wyższe sterty, tym bardziej się zastanawiał, czy się rozgniewa, jeśli sam zdecyduje, co jej się podoba. A może złościłaby się, gdyby tego nie zrobił? Na pewno chętnie zamieni obecne łąchmany na nową odzież choćby dlatego, że w niej będzie jej cieplej w coraz wyższych partiach gór. Może ten leżący na wierzchu komplet z brązowej wełny by się nadał...

Aeduan wgapiał się w niego, próbując wypunktować jego zalety. Dobry podczas kamuflażu. Dobry na śnieg, zapewni swobodę podczas walki.

Tylko, co musiał przyznać, brzydki.

Zaraz obok niego leżał strój z granatowego aksamitu. Krój popularny w górach, ładny kolor, także wyglądał na niekrepujący ruchów. Sztuczne futerko na kołnierzu było miłe w dotyku. A może ten szary komplet. Albo czarny tuż pod nim lub musztardowy z seledynową podszewką.

Dopiero kiedy przejrzał dwanaście różnych strojów, dotarło do niego, że na twarzy mniszki widnieje szeroki uśmiech. Rozbawienie w kącikach ust, jakby wiedziała o czymś, co dla niego pozostaje tajemnicą.

Gorąco wypełzło na policzki Aeduana. Mocno zacisnął zęby. Ta decyzja była doprawdy trywialna, pozwalał, aby ból przytępsiał mu rozum. Nieważne przecież, co weźmie dla Iseult. Nie przejmował się tym, czy jej się to spodoba. Przyjmie nowy strój bez względu na to, co nim będzie, i kropka.

– Czarny – warknął, wskazując na ostatni oglądany przez siebie komplet.

– Na pewno? – Uśmiech kobiety stał się jeszcze szerszy.

Aeduan zgromił ją wzrokiem.

– Czarny – powtórzył i w tym momencie rozległ się pomruk grzmotu.

Nim mniszka zapakowała jego zakupy do torby z samodziału i wpisała do księgi zleceń, ile jest razem winien – dwa poziomy pierwsze, poziom drugi i poziom czwarty – rozpadało się.

Wyszedł bez słowa pożegnania.

*

Przebrał się w nowy strój w łazience. Spodnie, podkoszulek, brygantyna, pas i pendent, a na koniec kamień bólu na rzemyku. Działanie magii poczuł w chwili, kiedy schował go pod ubraniami i kamień dotknął jego klatki piersiowej.

Odbijały się od niego odgłosy deszczu i burzy oraz dochodzące z budynku krzyki. Świat się wyostrzył, fala barw i światła. A ból – wycofał się niczym deszcz wsiąknięty w piach. Aeduan był w stanie oddychać. Wreszcie zaczął normalnie widzieć i tąpnęło nim to tak mocno, że niemal wpadł na najbliższą ścianę.

Na Prastudnie, urodził się na nowo.

Wspierając się o cegły, zrobił tak głęboki wdech, że płuca naparły mu na żebra. Dopiero teraz w pełni pojmował, jak przemożny ból mu towarzyszył. Jak trudno mu było zachować świadomość.

Wypuścił powietrze, rozkoszując się jego lekkością, tym, jak łatwo poruszały się jego mięśnie. Następnie zrobił kolejny wdech i tym razem przywołał swoją magię. Z rykiem obudziła się do życia. Rzuciły się na niego zapachy krwi mnichów i akolitów, każdy równie wyjątkowy i wyróżniający się jak ciała i umysły, do których należały.

Wyszedł na pusty dziedziniec. Uprawy smagał ulewny deszcz. Ścieżka spowita była we mgle. Kiedy Aeduan dotarł do zatłoczonej

świątlicy, gdzie na ścianie wieszano dostępne zlecenia, niebo przecięła błyskawica.

Na dnie jego umysłu pojawiła się myśl, że to dość nietypowa burza. Zwłaszcza że Tirlę nawiedzały tak rzadko.

Obłożone deskami ściany świątlicy podzielono na dziesięć sekcji. Zaraz na lewo znajdował się poziom pierwszy, karteluszeki zakrywały tu całą dostępną przestrzeń – w sumie tak samo jak dawniej. Za kontrakty krótkoterminowe także płacono najmniej. Poziom drugi i trzeci miały niemal równie duże obłożenie, a jednak zamiast tłoczyć się pod ścianą z tymi niższymi zleceniami, wszyscy obecni tu mnisi tkwili po prawej stronie.

Poziom dziesiąty.

Białe peleryny, niektóre ociekające deszczem, niektóre suche, zlewały się w całość, kiedy mnisi się nachylali, czytając przytwierdzone do deski zlecenie. Musiało być warte mnóstwo pieniędzy. Dawniej Aeduan ruszyłby od razu w tamtą stronę, odpychając innych na bok i ciesząc się, kiedy obrzucano go gniewnymi spojrzeniami i nazywano demonem. Dzisiaj jednak skręcił w lewo.

Dwa poziomy pierwsze, poziom drugi i poziom czwarty. Kiedy prześlizgiwał się wzrokiem po karteczkach z przeróżnym pismem i w różnych językach, przekonał się, że obraca nadgarstkami. Stanie tutaj, możliwość wyboru zleceń – czytanie o zaległych długach i zaginionym inwentarzu, o zamówieniach na morski ogień czy krótkoterminowe usługi strażnicze przy granicy – było powodem, dla którego dwa lata temu przyjął propozycję Mistrza Gildii Yotiluzkiego. Pragnął pieniędzy i ucieczki.

Mógłbyś teraz uciec, pojawiła mu się w głowie myśl. Zabrać te rzeczy i nie zapłacić za nie. Bądź co bądź, nie odczuwał żadnej lojalności względem Klasztoru, nie miał w planach powrotu. Ale... opał w uchu się przydawał. I peleryna na plecach. Przydawały się także tego typu placówki, a gdyby nie spłacił długów, dostęp do nich zostały mu odebrany.

Zerwał ze ściany dwa zlecenia z poziomu pierwszego. Obydwa dotyczyły okolic miasta; załatwi to, jeszcze nim świt rozjaśni niebo.

– Zaskakujesz mnie, krwiodzieju.

Drgnął mięsień w żuchwie Aeduana. Nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, kto stoi obok niego.

– Nie sięgasz po poziom dziesiąty?

Powoli odwrócił się w stronę Lizl. Jej bursztynowa skóra błyszczała od deszczu. Z białej peleryny kapały grube krople. Była wysoka, ale nie uniósł brody, by spojrzeć jej w oczy. Odparł jedynie głosem pozbawionym wyrazu:

– Nie.

– A to czemu? – Uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem i skrzyżowała ręce na piersi. Jej swobodna postawa mogła mylić. Była najlepszym najemnikiem w Klasztorze.

Z wyjątkiem Aeduana.

– Dziesięć tysięcy talarów. – Odgięła jeden palec. I drugi, i trzeci, dodając: – Plus dwadzieścia tysięcy piestr i dwadzieścia pięć tysięcy klek. Za tyle pieniędzy można kupić królestwo, dodatkowo to zlecenie otwarte.

Oznaczało to, że każdy mógł się go podjąć i pozostawało otwarte do czasu, aż je zrealizowano. Jeszcze się z takim nie spotkał podczas wielu lat swojej pracy najemnika. Ani też nie słyszał o równie wysokiej cenie.

Mimo to nie zmienił zdania.

– Nie jestem zainteresowany.

– To dobrze, bo ja zamierzam je przyjąć.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Powinno. – Zaśmiała się, a dźwięk ten przypominał tłuczenie szkła. – Więc uważaj, krwiodzieju, bo jeśli ponownie staniesz mi na drodze, zniszczę cię. – Po tych słowach odwróciła się na pięcie, opryskując Aeduana wodą z peleryny, i wyszła ze świetlicy.

Nie obserwował jej odejścia. Jak wszystko inne tutaj, i ona w ogóle się nie zmieniła przez te dwa lata. Nie liczyło się to, że wcale nie

celowo stanął jej na drodze, że nie interesował go poziom dziesiąty i że nie zdołałaby go zniszczyć, nawet gdyby bardzo chciała. Lizl go nienawidziła, zawsze tak było i zawsze będzie.

Bez zbędnej zwłoki zerwał pierwsze z brzegu zlecenia z poziomu drugiego i czwartego. Następnie opuścił świetlicę, aby dokończyć to, po co się tutaj zjawił: udał się do Kapliczki Poległych.

Znajdowała się pod ziemią, jak wszystkie caraweńskie kapliczki. Deszcz spływał po schodkach prowadzących z dziedzińca. Na dnie stała wielka kałuża. Goniony odgłosem grzmotu, szedł tunelem w głąb ziemi, aż dotarł do kamiennego pomieszczenia, miniaturowej wersji podziemnych katakumb Klasztoru. Niskie, sklepione sufity migotały w świetle świec, a ich blask w całości pochłaniał znajdujący się pośrodku pomieszczenia marmurowy sześciokąt.

Płyta szeroka na tyle, ile Aeduan miał wzrostu, sięgała mu do połowy ud. Wokół niej klękało czterech mnichów, a każdy z nich recytował modlitwy we własnym tempie. Aeduan nie zamierzał do nich dołączać. Nie znał mężczyzny, który zginął. Chciał po prostu wypełnić swój obowiązek.

Z cieni wyszła piąta mniszka. Obowiązkiem każdego caraweńskiego mnicha była roczna służba w Kapliczce Poległych i większość czekała z tym do czasu, aż osiągnie wiek dojrzały. Jednak ta mniszka była młoda, być może zaledwie dekadę starsza od Aeduana.

– Przeszedłeś tu kogoś pożegnać czy złożyć raport? – zapytała.

– Raport. – Wyjął z kieszeni opał zmarłego. – Nie znam imienia tego mnicha. Znalazłem go dzień drogi na południe od Tirli. Mnich rzemieślnik, poległ w walce.

Kobieta westchnęła z żalem i wzięła opał z dłoni Aeduana.

– To poziom dziesiąty. – Ściągnęła brwi. – Zabiera nam życia, jedno po drugim. Zginęła nas już setka, próbując wypełnić to zlecenie. – Spojrzała mu w oczy. – Żaden majątek nie jest wart życia, mnichu. Pamiętaj o tym.

Następnie skłoniła się z szacunkiem i ponownie skryła w cieniu.

Aeduan wrócił do świetlicy. Napędzała go ciekawość. Ciekawość i coś jeszcze – niemal pewność, choć nie potrafił powiedzieć, skąd to wie.

Ścisnęło mu to wnętrzności. Wydłużało krok.

Musiał się przecisnąć między tłoczącymi się pod ścianą mnichami. Niektórzy coś warknęli, niektórzy mierzyli go groźnym wzrokiem, zupełnie jak dawniej – i tak jak dawniej wszyscy się wycofali, kiedy w oczach Aeduana dojrzeliby wirującą krew.

– Krwiodziej – szeptali. – Demon z Otchłani.

A on spokojnie podszedł do samotnej, przytwierdzonej do desek kartki. Cóż za prosty, beżowy arkusz jak na tak ważne słowa. Nad nim przypięto dwie dodatkowe kartki, jakby od pojawienia się zlecenia nagrodę zwiększono nie raz, a dwa razy.

20 000 piestr 25 000 klek

POZIOM DZIESIĄTY

10 000 talarów dla pierwszej osoby,
która zabije Króla Zdobywcę.
Jako dowód wymagana głowa.

ROZDZIAŁ 17

Świeciło wczesnowieczorne słońce, kiedy Safi podążała nad brzegiem jeziora Scarza za cesarzową Marstoku i Habimem. Statki szczykały na łańcuchach i gdzie okiem nie sięgnąć widać było białe żagle. Tysiące łodzi, a to i tak zaledwie ułamek marstockich sił zbrojnych. Wiedziała, że większość czeka zacumowana na południowym wybrzeżu albo znajduje się już na morzu.

Kiedy Vivian Nihar opuściła pałac, Safi i Vanessa udały się razem z Habimem na najbardziej wysunięty na północ jeziora fragment lądu, gdzie ulokowano siedzibę główną floty. Safi przebrała się w uniform żmijów: czarna tunika, luźne czarne spodnie i miękkie czarne buty za kostkę. Jedyna różnica między jej strojem a tym należącym do żmijów była taka, że przy żelaznym pasie nie miała żadnej broni, no i nie musiała zasłaniać głowy chustką. Na razie.

Otaczali ich Rokesh i jedenaście innych żmij, ale w takiej odległości, aby Vanessa mogła spokojnie iść szerokim wałem z piaskowca, z którego rozciągał się widok na główny port.

– Cartorrianie chcą twojejrawdziejki – oświadczył rzeczowo Habim. Ręce miał splecione za plecami, przyglądał się marynarzom tak samo, jak swego czasu dorastającym Safi i Iseult. – Imperator Henrick z każdym dniem staje się coraz bardziej zuchwały, Wasza Wysokość. Drażni nas, sprawdzając, jak daleko się może posunąć, nim przystąpimy do ataku.

– A kiedy za bardzo się zbliżą – odpowiedziała Vanessa, nie zwalniając kroku – to ich zabijemy.

Prawda, prawda, prawda.

– Nie – odparował Habim. – Wcale tak nie zrobimy. – Zatrzymał się, zmuszając do tego samego Safi i żmijów. – Jeśli doprowadzimy do zbrojnego konfliktu, Cartorra, jak również Dalmocja będą miały pretekst do jego dalszej eskalacji. Nie jesteśmy na to gotowi, Wasza Wysokość. Może i nasz kraj jest duży, dobrze zorganizowany

i świetnie zaopatrzony, ale to nie oznacza, że wygramy. Spora część waszych oddziałów to Dzieci Rozejmu. Nie mają pojęcia, jak wygląda wojna, nie rozumieją, co jest do stracenia, i mało ich to obchodzi.

W klatce piersiowej Safi zabuczało od prawdy kryjącej się w tych słowach; przypomniało jej się podobne stwierdzenie wypowiedziane podobnego wieczoru zaledwie miesiąc temu. „Nie masz pojęcia, czym jest wojna”, powiedział wuj Eron.

I miał rację. Dopiero teraz zaczynała to rozumieć. Ona także była Dzieckiem Rozejmu.

Jak na zawołanie przez niższe przedpiersie przemaszerował oficer. Wydał rozkazy niosącemu sztandar żołnierzowi, młodemu żołnierzowi, za młodemu nawet na bokobrody.

Na jego widok Safi się skrzywiła, Habim jedynie prychnął, Vanessa w ogóle nie zareagowała.

Chwilę później ruszyli dalej. Rozmawiali o lądowych siłach zbrojnych i łańcuchach dostaw, szlakach rzecznych i posterunkach. Safi była zmuszona zgłębiać wszystkie te tematy – pod okiem Habima, a jakże – ale to Iseult była lepszą uczennicą.

Safi знаła Habima całe swoje życie, a mimo to ten człowiek, za którym teraz podążała, nie był tym, przy którym dorastała.

Istniały oczywiście podobieństwa: obecne w jego słowach zniecierpliwienie czy też brak mimiki, kiedy był niezadowolony. Ale reszta stanowiła dla niej nowość: od sztywnego, zielonego munduru ze złotymi frędzlami do tego, jak nisko mu się wszyscy kłaniali. Przede wszystkim była to jednak kwestia nawiązań, jakie czynił do miejsc i wydarzeń z przeszłości, o których Safi nigdy wcześniej nie słyszała, ale w których rezonowała prawda.

Czy istniała część życia Safi, która nie była kłamstwem? Jak to możliwe, że ona, jedynarawdziejka na całym kontynencie, nigdy niczego nie podejrzewała?

Habim i Vanessa zatrzymali się przed okrętem wojennym z błyszczącym, złotym pokładem, szorowanym właśnie przez majtków. Nim Safi zdążyła otrzeć pot z czoła, dwaj z nich przybiegli

ze stolikiem i ustawili go między Habimem a cesarzową, następnie równie szybko zniknęli. Habim zaś wyjął z płaszcza arkusz papieru, rozłożył go, obciążył dwoma kamieniami i pokazał gestem Vanessie, aby się nachyliła.

– To mapa północnozachodniego Marstoku i Gór Sirmayańskich – wyjaśnił. – Tutaj widać główne wieże obserwacyjne. Te trzy górskie przełęcze potrzebują lepszej ochrony. Strata którejkolwiek z wież odetnie dostawę zapasów do Tirli. Miasto upadnie w tydzień.

Łopatki Safi zaatakowało gorąco. Ostrzeżenie przed fałszem. Nagle stała się niezwykle czujna. Wyciągnęła szyję, próbując zerknąć na linie i krzyżyki, które Habim rysował dla cesarzowej. Widziała jednak tylko mapę dokładnie taką, jak ją opisał.

Tyle że... im dłużej się w nią wpatrywała, tym bardziej zamazywał jej się obraz. Potarła oczy, po czym przyjrzała się raz jeszcze.

Teraz jej magia drapała ją po głowie. Fałsz, fałsz, fałsz. A zaraz potem mapa zupełnie zniknęła.

Udało jej się nie zareagować. Jakimś cudem utrzymała na twarzy minę znużenia i zmęczenia, mimo że jej umysł cały był rozemocjonowany. A stopy... jak bardzo nagle zapragnęły podskoczyć i zbliżyć ją do stołu.

Zamiast tego ziewnęła. Szeroko, za co jako dziecko zostałaby zbesztana. Udawała, że to ukrywa. Udawała, że się odwraca od cesarzowej, a w tym czasie przysunęła się kilka centymetrów bliżej stołu. Kolejne ziewnięcie, kolejne przysunięcie się.

Teraz miała świetny widok na mapę i teraz widziała, że to wcale nie jest mapa.

To była wiadomość.

Nic nie rób. Mamy plan.

Tylko tyle. Safi przeczytała te słowa trzy razy, ale nie dostrzegła niczego więcej. Znajome pismo Mathew. Na dokumencie ewidentnie

zaczarowanym przez słowodzieja widniało tylko pięć słów: „Nic nie rób. Mamy plan”.

Niech to cap wygrzmoci. Safi nie potrafiła zdecydować, czy na widok tej wiadomości powinna się śmiać, czy płakać. Habim rzeczywiście kazał jej robić dalej to, co do tej pory, i spodziewał się, że będzie spokojnie czekać na jakiś nieznany plan?

W Veñazie postąpiła zgodnie ze scenariuszem wuja i nie skończyło się to dobrze. Dwadzieścia lat, plan oplatający całe Czaroziemie, który miał powstrzymać powrót wojny i przynieść imperium stały pokój – Safi zniszczyła to wszystko w jedną noc. Zrobiła, co jej kazano, i wykonywała plan na Morzu Jadańskim i statku Merika Nihara, ale potem okoliczności zmusiły ją do odstąpienia od dalszej jego realizacji. A konkretnie zmusił ją absurdalny, niesprawiedliwy traktat jej wuja z Nubrevną. I przez to odstąpienie wylądowała tutaj, w Marstoku.

Nie było to jednak jej winą. Wszystko z powodu niedopracowanego planu ze zbyt wieloma zmiennymi, jak również faktu, że nikt jej nigdy nie powiedział, co się, u licha, dzieje.

Safi najbardziej chciała teraz wiedzieć, gdzie przebywa jej więziosiostra. Pragnęła zdobyć informację, czy Iseult jest bezpieczna, i pojąć, w jaki sposób Habim zamierza je znowu zjednoczyć.

– Nomatsowie – odezwała się, ale Vanessa i Habim zignorowali ją, kontynuując rozmowę o zimie i transporcie, więc powtórzyła, tym razem głośniej i dobitniej: – Nomatsowie.

Vanessa w końcu zareagowała.

– W czym problem? – Zerknęła na Safi. – Co z Nomatsami?

– Obecnie zapewniamie ich plemionom miejsca do budowania osad poza granicami miast. – Nie prosząc o pozwolenie, Safi podeszła do stołu. Na mapę padł jej cień, stuknęła palcem w miejsce, gdzie sądziła, że znajduje się Tirla. – Dokąd sobie pójdą w razie wojny, Wasza Wysokość? Co zrobicie, aby nie stali się celem imperiów?

Vanessa zmierzyła ją uważnym spojrzeniem. Żelazne kółka na jej nadgarstkach ślizgały się i obracały, włosy rozwiewał jej wietrzyk znad jeziora.

– Wiele plemion nomatsańskich – zaczęła – przeszło pod sztandar Króla Zdobywcy. Nie potrzebują z mojej strony ochrony, Safi. Co więcej, coś takiego czyni ich wrogami.

– Nie wszystkie plemiona – zaprotestowała Safi. – I może wcale by do niego nie przeszli, gdyby czuli, że są tu bezpieczni.

– Hmm... – Bransoletki zwolniły. Vanessa odwróciła się w stronę Habima. – To jest bardzo słuszna uwaga, generale. Brał pan pod uwagę Nomatsów? Jak zamierza pan ich chronić?

Safi miała ochotę się uśmiechnąć. Właśnie, brałeś pod uwagę Nomatsów, Habimie? Brałeś pod uwagę Iseult?

Skrzydełka jego nosa drgnęły.

– Dwadzieścia lat temu chronilem te plemiona i wszystkich innych w obrębie naszych granic. Zrobię to ponownie i afromtem jest dla mnie zakładanie czegoś innego. – Wypowiadając te słowa, skupiał się w pełni na Vanessie, ale Safi poczuła łaskotanie w klatce piersiowej. Prawda, prawda, prawda. – Czy prawdodziejka – teraz spojrzał groźnym wzrokiem na Safi – ma jakieś inne pytania?

– Nie. – Obdarzyła go szerokim uśmiechem. – Według mnie pańska strategia jest rozsądna, generale.

Cały się zjeżył i zacisnął usta, a Safi zalała fala ulgi, że choć odgrywali teraz role generała ogniodzieja i nadwornej prawdodziejki, Habim nadal uważał ją za nieznośną.

– Dobrze wiedzieć, że wiejskie życie pana nie zmiękczyło, generale. – Vanessa wypowiedziała te słowa spokojnie. Niemal lekko, jakby żartowała.

Habim ich tak jednak nie odebrał.

– Wiejskie życie – warknął – jest równie trudne jak żołnierka, Wasza Wysokość, i dobrze by było, aby cesarzowa o tym pamiętała.

Nim Safi zdążyła mrugnąć okiem, żelazo z nadgarstków Vanessy znalazło się przy gardle generała. Dwa półokrągłe ostrza na jego

szy. W tym samym momencie źmije dobyły swoich dmuchawek i wycelowały.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Oficerowie patrolujący niższe poziomy gapili się na nich. Majtkom opadły szczęki. Nawet żagle, maszty i skrzypienie statków zdawały się wstrzymywać oddech.

– Dobrze by było – oświadczyła Vanessa z całą mocą swojego tytułu i kryjącej się za jej słowami magii – aby generał pamiętał, jakie jest jego miejsce.

Habim przełknął ślinę.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Wygląda na to, że wiejskie życie rzeczywiście mnie zmiękczyło.

– Wobec tego szybko stwardniej, inaczej następnym razem moje ostrza przekonają się, jak bardzo stałeś się miękki.

Po tych słowach żelazne bransolety wróciły na jej nadgarstki, Vanessa wstała i bez pożegnania odeszła od stołu.

Żmije utworzyły formację wokół Vanessy i prawdodziejki, trzymając dmuchawki w gotowości. Po chwili Safi nie widziała już mentora, którego tak naprawdę nigdy nie знаła.

ROZDZIAŁ 18

Iseult nie po raz pierwszy została sama z Sową, ale po raz pierwszy bez Blueberry'ego, na którym dziewczynka mogłaby skupić swoją uwagę. Także po raz pierwszy w miejscu publicznym, a była pełna determinacji, aby wypełnić polecenie właścicielki gospody: „Nie naróbcie sobie kłopotów”.

Sprawy nie ułatwiał fakt, że Sowa nawet nie próbowała udawać, iż czuje względem Iseult cokolwiek poza pogardą. I *vice versa*. Iseult potrafiła przywdziać maskę obojętności, ale i wtedy zdradzał ją ton wypowiedzianych słów. Jeśli udawało jej się mówić beznamiętnie, na twarzy pojawiał jej się wyraz niechęci.

Obecnie znajdowały się w impasie. Iseult poleciła, aby Sowa się wykąpała. Dziewczynka nawet nie chciała o tym słyszeć. Jej stary strój, niegdyś szarozielony, teraz stał się brązowy. Tak samo skóra dziewczynki.

– Wszyscy jesteśmy brudni – wyjaśniła Iseult. – Popatrz. – Wskazała na miednicę z ciemnoszarą wodą. – Właśnie zmyłam z siebie to wszystko.

Sowa spojrzała gniewnie na miednicę. Jej nici Więzi naznaczone były szarą, upartą nienawiścią.

– Oczywiście naszykuję ci czystą wodę – dodała Iseult. – Tak jak sobie po wyjściu Aedua. Nie chcesz także być czysta, Sowo? Pozbyć się tego całego brudu?

– Brud jest dobry. – Dziewczynka tupnęła nogą.

Iseult westchnęła. Cóż innego mogła powiedzieć ziemodziejka. Na tym etapie była zbyt zmęczona, aby dalej się kłócić. Niech Aeduan się tym zajmie, kiedy wróci.

Gdy tylko do Sowy dotarło, że wygrała, jej nici Więzi zaróżowiły się triumfalnie. Posłała Iseult arogancki uśmiech, po czym zbliżyła się do okna.

Na boginię, ależ ona była okropna. Dziecko-demon, co potwierdziło się kilka minut później. Iseult kończyła właśnie wycierać podłogę, kiedy Sowa nagle uderzyła dłonią w szybę.

– Nie żyje – warknęła.

Szybko odwróciła się w stronę dziewczynki.

– Nie żyje – powtórzyła, uderzając mocniej w szybę. Na tyle głośno, aby przebywający na dziedzińcu ludzie unieśli głowy. – Nie żyje, nie żyje, nie żyje...

– Dostyc tego! – Iseult przeszła przez pokój, ale Sowa zeskoczyła z łóżka i pobiegła na środek pomieszczenia, zaczęła tupać.

– Nie żyje. – Tupnięcie. – Nie żyje. – Tupnięcie. – Nie żyje.

Cały pokój drżał. Lustro, miednica, okno – wszystko trzęsło się w rytm uderzeń jej stóp, a z każdym tupnięciem nici Więzi stawały się coraz bardziej rozgorączkowane, przeskakiwały między odcieniami dzikiej wściekłości i brązowej konsternacji, stalowego strachu i fioletowego pragnienia, gdzieś tam widać było nawet pasma niebieskiego smutku.

W pokoju pod nimi musiało to brzmieć jak trzęsienie ziemi i jeśli Iseult nie uda się uspokoić Sowy, wkrótce rzeczywiście może się zatrzęść ziemia. A już na pewno w progu zjawia się zagniewani żołnierze.

– Przestań. – Uniosła ręce. – Sowo, przestań, musisz przestać.

Podeszła do niej ostrożnie, nie opuszczając rąk, i tym razem Sowa się nie odsunęła. Zamiast tego raz jeszcze tupnęła, wskazała palcem na okno i oświadczyła:

– Nie żyje.

Przez kilka długich oddechów Iseult nie ruszała się z miejsca. Sięgała przed siebie swoją magią i wstrzymując oddech, próbowała wyczuć, czy zbliżają się jakieś nici Więzi. Księżycowa Matka jej sprzyjała, nikt znajdujący się w pobliżu najwyraźniej nie zwrócił uwagi na wybuch Sowy. Właściwie to zanosilo się na burzę, więc być może ludzie uznali tupanie Sowy za odgłosy przetaczających się po niebie grzmotów.

– Na dworze – odezwała się Sowa. Pierwsze słowa od kilku minut inne niż „nie żyje”.

Iseult wgramoliła się na łóżko i wyjrzała przez okno. Zapadł już zmierzch, musiała zmrużyć oczy, aby dojrzeć coś poza odbijającą się od szyby jasnością ich pokoju.

Rzeczywiście, pośrodku dziedzińca stała martwa olcha, wznosząc ku niebu swoje konary. Jasny pień opryskiwały krople deszczu.

– Była tu, kiedy przyszliśmy. Czemu teraz się nią przejęłaś?

– Niebezpieczeństwo – wyjaśniła Sowa i w jej niciach Więzi zamigotał strach.

Iseult zasznurowała usta. Zobaczyła to w szybie. „Więziodziejka nie robi min”.

– Pewnie burza mogłaby ją przewrócić na gospodę – zasugerowała, przywdziewając maskę obojętności. – Tym właśnie się martwisz? Jestem pewna, że po tylu latach drzewo by się już przewróciło, gdyby... – Urwała. Obok drzewa pojawiła się jakaś postać. Mężczyzna w beżowym kapturze, którego nici Więzi lśniły jasno jak słońce.

Przechera.

Zatrzymał się przy pniu i zaczął unosić głowę, jakby chciał spojrzeć w górę. Zerknął w stronę Iseult...

Odskoczyła od okna i obróciła się, przyciskając plecami do ściany. Serce waliło jej jak młotem. Spojrzała Sowie w oczy.

Dziewczynka kiwnęła głową.

Przecież Iseult zgubiła Przecherę, prawda? Tak, z całą pewnością, więc jak, na sploty Księżycowej Matki, znowu ją odnalazł?

Szeroko rozciągnęła swoją magię, chwytając i sięgając – tam. Jego nici Więzi wkradły się do jej świadomości. Wchodził do gospody głównym wejściem, potem jednak skręcił w prawo do głównej sali. Może nie wie, że tu jestem. Może wcale mnie nie szuka, jedynie potrzebuje się gdzieś zatrzymać.

Mało prawdopodobne i niewarte podejmowania ryzyka. Musiała położyć kres tej sytuacji, nim w ogóle zdąży do niej dojść – a ostatnie,

czego chciała, to zostać uwięzioną w tym maleńkim, przyprawiającym o klaustrofobię pokoju, lub, co gorsza, aby Sowa tkwiła tu uwięziona. Gdyby wpadła w panikę, z marszu zniszczyłaby całą gospodę.

Spal go, zasugerował ogniodziej, ale Iseult go uciszyła. Skupi się na logicznym działaniu i nie pojawi się żaden ogień. Ani żadne emocje.

Korytarz jest kiepsko oświetlony. Kran na jego końcu znajduje się tuż przy tylnych schodach. Ciemnych. Iseult mogłaby na nich zaczekać, obserwować z ukrycia. Gdyby mężczyzna się zjawił, dopadłaby go, nim dotarłby do drzwi ich pokoju.

– Sowo – powiedziała, zsuwając się z łóżka. – Wyjdę na chwilę na korytarz. Zamknij za mną drzwi i bądź cicho. Możesz tak zrobić?

Ku jej przemożnej uldze dziewczynka kiwnęła głową i usiadła na podłodze. Musiała wyczuć niepokój Iseult – jakżeby inaczej? Choć jej słowa brzmiały spokojnie, skradała się w stronę drzwi, niemal zgięta w pół, żeby nikt jej nie dojrzał przez okno. Zawahała się przy haku, na którym wisiał jej kordelas i pas, ale nie. Nawet jeśli Marstokczycy pozwalali Nomatsom nosić broń w miejscach publicznych, towarzyszyło temu zbyt wiele napięcia. Nie warto ryzykować.

Poza tym w razie potrzeby potrafiłaby go załatwić gołymi rękami.

– Niedługo wrócę – szepnęła i wyslizgnęła się na korytarz. Drzwi się za nią zamknęły.

Po dwunastu ostrożnych krokach znalazła się na końcu korytarza. Minęła kapiący kran i wycofała się na schody. Idealna kryjówka.

Mężczyzna wchodził po stopniach, a jego nici Więzi połyskiwały zieloną koncentracją myśliwego. Poruszał się płynnie, jeden krok, drugi, trzeci, dotarł do korytarza na trzecim piętrze. Zwolnił i po cichutku podszedł do drzwi. Dobrze wyszkolony i cichy w tej coraz intensywniejszej burzy.

Gdyby Iseult nie dysponowała swoją magią, w życiu by nie wyczuła jego nadejścia.

Z tak bliskiej odległości jego nici Więzi płonęły jasno niczym księżyc w pełni. A im dłużej się wpatrywała, tym bardziej

wyczuwała trzeszczące pod powierzchnią wyładowania. Jak zimą na rzece, gdzie mroczne prądy wirowały wokół lodowatego serca.

Przechera, pomyślała raz jeszcze, a chwilę później: niebezpieczeństwo.

Mężczyzna bez wahania zmierzał w stronę pokoju numer trzynastie, zniknęły wątpliwości Iseult co do tego, że przyszedł tu po nią. Przed drzwiami przykucnął, po czym zsunął z jednego ramienia pelerynę.

W kaburze przy biodrze tkwił zakłęty przez ogniodzieja jednostrzałowy pistolet. Gdy uniósł wysoko rękę i wygiął nadgarstek, jakby zamierzał zapukać – na normalnej wysokości, tak że osobę, która otworzy drzwi, weźmie z zaskoczenia – do Iseult dotarło, że nie powiedziała Sowie, co ma zrobić w takiej sytuacji. Nie powiedziała: „Nie otwieraj, jeśli usłyszysz pukanie”.

Dziewczynka otworzy. Mężczyzna przypuścił atak.

Iseult puściła się biegiem. Dopadła intruza w chwili, gdy jego nici Więzy zabarwiło na turkusowo zaskoczenie. W chwili, kiedy odwrócił się w jej stronę i sięgnął po pistolet.

Kopnęła go w rękę. Broń odfrunęła. Iseult zrobiła obrót i trafiła go kolanem w szyję. Z krzykiem uderzył twarzą w drzwi.

Ale ona jeszcze nie skończyła. „Spal go, spal go, spal go”. Z głowy zsunął mu się kaptur, odsłaniając jasne włosy. Chwyciła za nie i uniosła mu głowę, raz jeszcze walnęła kolanem – tym razem w skroń. I jeszcze raz, i jeszcze, aż jego ciało stało się bezwładne.

Przez długą chwilę Iseult stała i się w niego wpatrywała. W uszach dudnił jej puls, oddech miała urywany. Musiała coś zrobić, zniknąć z korytarza, nim ktoś ją tu zobaczy. W sąsiednich pokojach zaciekawione nici Więzy płynęły już w stronę drzwi. W każdej chwili ktoś mógł się tu zjawić. Była Nomatsanką; on wyglądał na Cartorrianina. Źle by się to dla niej skończyło.

Tyle że nie mogła go tak tutaj zostawić. W końcu odzyska przytomność i wtedy ponownie zaatakuje.

„Spal go, spal go, spal go”.

Poruszyły się skrzydełka jej nosa. Z dołu zbliżały się nici Więzi. Nie było czasu.

– Sowo? – zawołała. – Otwórz, proszę.

Drzwi roztwały się od razu, jakby dziewczynka czekała tuż za nimi. Iseult wpadła do środka, chwyciła mężczyznę pod pachy i pociągnęła.

Nie miała pojęcia, jak jej się udało go wciągnąć. Nie był potężny, ale bezwładne ciało wydaje się jeszcze cięższe. Na szczęście na dworze szalała burza, zagłuszając drapanie i stękanie, jakie towarzyszyły ciągnięciu jego ciała po drewnianej podłodze.

Przez cały ten czas Sowa bacznie im się przyglądała, a przez jej nici Więzi przebijało się zaciekawienie i, z powodu, nad którym Iseult nie chciała się zastanawiać, zachwyt.

Iseult udało się wciągnąć go prawie w całości, schyliła się i podniosła mu nogi. W chwili, kiedy już, już miała zamknąć drzwi, ktoś wyszedł na korytarz.

To był ten człowiek od kranu, a jego nici Więzi płonęły przerażeniem.

– Za dużo wypił – mruknęła. A potem zatrzasnęła drzwi i opadła na kolana.

ROZDZIAŁ 19

Aeduan stał w bezruchu i wpatrywał się w poziom dziesiąty. Nawet nie mrugnął. Ta sala, mnisi, ich głosy i zapachy krwi – wszystko zlało się w odległą nicość. Szturchano go łokciami, piorunowano wzrokiem, ale on nie ruszył się z miejsca.

Dziesięć tysięcy talarów za głowę jego ojca.

Bajońska suma.

Dwa tygodnie temu podjąłby się tego zlecenia bez wahania. Za pośrednictwem głosodzieja bezzwłocznie poinformowałby ojca o wszystkim, a potem znalazłby jakiś sposób, aby zdobyć te pieniądze.

Fortunę! Zrobiłby to bez żadnych skrupułów. Sprawa jego ojca znaczyła więcej niż surowa moralność Klasztoru. Nie przejąłby się także, gdyby jeszcze więcej mnichów straciło życie podczas próby zdobycia nagrody.

Życie stanowiło cenę sprawiedliwości, a Ragnor działał w słusznej sprawie. Pora zakończyć imperialną tyranie. Dwa tygodnie temu Aeduan od razu w to uwierzył. Był synem Ragnora, Króla Zdobywcy, i jego zadaniem było gromadzenie pieniędzy dla dobra sprawy.

Dlatego powinien przyjąć to zlecenie z poziomu dziesiątego. I poszukać głosodzieja.

Zamiast tego odwrócił się plecami do ściany, po czym opuścił świetlicę.

Deszcz smagał dziedziniec, burza szalała. Zmierzch przeszedł gładko w mrok. Aeduan szedł przez podcienie, wpatrując się w zginane wiatrem konary.

Wyszedł z budynku i jego niewidzące spojrzenie prześlizgnęło się po wodzie rozbijającej się o nabrzeże. Spieniona i brudna, szybko się podnosiła. Może i zostawił za sobą mnichów, może i szedł przemoczony wzdłuż jeziora Tirla, ale nie posuwał się do przodu.

Ciągnęło go w trzech kierunkach. Jeden to gospoda, ojciec to drugi, a trzecim były zlecenia na rzecz Klasztoru. Czuł się jak w pułapce. Dokładnie tak, jak tamten człowiek z jagnięciem z jego opowieści – i podobnie do niego Aeduan wiedział, że nie uda mu się bez końca uchylać przed spojrzeniem Pani Los.

Ona go znajdzie; każe mu dokonać wyboru.

Z zamyślenia wyrwali go ludzie biegnący w stronę budynków obok nabrzeża – wtedy dostrzegł, że jeziorem wstrząsają ogromne fale. Statki się kołysały, wpadając na siebie z ogromną siłą.

Coraz bardziej lało. Wiatr także przybrał na sile, ale tym, co kazało Aeduanowi puścić się biegiem, okazały się zwierzęta. Setki psów, kotów i szczurów wylewały się z budynków i wybiegały na ulice. Okrężały jezioro, zostawiając za sobą miasto. Gdyby przybył do Tirli sam, ruszyłyby ich śladem, gdyby był Aeduanem sprzed dwóch tygodni, porzuciłby miasto na pastwę burzy.

Ale nie był już starym sobą. Aktualny Aeduan musiał wybierać między śmiercią głodową a ubojem i nie był gotowy na dokonanie tego wyboru.

Wiatr i deszcz wyły niczym najgorszy koszmar. Za ścianą deszczu zginęły uliczne znaki, fasady budynków stały się jedną ciemną ścianą. Tylko dzięki znajomości tego miasta poruszał się we właściwym kierunku.

I dzięki kamieniowi bólu. Bez niego tkwiłby teraz w placówce klasztoru, być może nawet nieprzytomny. Z całą pewnością nie byłby w stanie stawiać czoła gradowi, małym kamykom, które odbijały się od bruku, rozpryskując wodę i trafiając w jego nogi i tułów. Wkrótce stały się równie duże jak jego pięści. Twarde odłamki przebijały się przez markizy, powozy i wkrótce, jeśli nie będzie uważał, rozbiją mu także czaszkę.

Skręcił w lewo. Stłoczone dachy nad tą ulicą zapewniały nieco wytchnienia od gradu. Niestety na krótko, ulica wkrótce się skończyła i Aeduan znalazł się ponownie na szerokiej arterii

wiodącej pod górę. Osłonił głowę torbą z ubraniami i zaczął biec jeszcze szybciej.

W tym momencie niebo rozcięła błyskawica. Oślepiła go, a towarzyszący jej grzmot uszkodził słuch i niemal go przewrócił. To był jednak dopiero początek. Kolejne błyskawice rozjaśniały wieczorne niebo, a miasto drżało spętane w mackach burzy.

Aeduan rzucił się przed siebie.

Kątem oka dostrzegł ciało. Zakrwawione, rozpląszczone, powalone przez grad. A potem drugie, które trafił piorun. Nic nie mógł dla nich zrobić, musiał przeć do przodu.

Przywołał swoją magię. Okazała się słabsza, niż miał nadzieję, ale jednak coś z siebie wykrzesał. Na tyle, aby szybciej przebierać nogami. W prawo, w lewo, sam już nie wiedział, w które ulice skręca, miał jedynie niejasne wrażenie, że jest coraz bliżej gospody.

Kiedy jego stopy deptały rozrzucone flagi, plamy koloru pośród otaczających go cieni, pojawił się nowy dźwięk. A może to nie dźwięk, lecz drzenie w żebrach.

Obejrzał się, mrużąc oczy w deszczu i gradzie. Zatrzymał się w pół kroku. Po jeziorze prześlizgiwał się cyklon, czarny i lejowaty. Z niezwykłą prędkością zbliżał się do Tirli.

Dosłownie w kilka sekund dotarł do portu, rozrzucając statki, jakby to były zapalki. Cyklon kierował się do niego. Jeśli Aeduan nie ruszy się z miejsca, niedługo go dopadnie.

Puścił się biegiem, przywołując całą możliwą magię, pompując do mięśni każdą kroplę krwi. Biegł szybciej niż do tej pory, szybciej, niż potrafił zwykły człowiek, ale i tak za wolno. Nic nie byłoby w stanie pozostawić w tyle cyklonu. Czuł na plecach jego oddech. Słyszał, jak powala budynki, jeden po drugim. Eksplozje drewna i kamieni, wiatr wył jeszcze głośniej.

Aeduan nie mógł przed nim uciec. Liczył jednak, że uda mu się gdzieś schronić. W czymś z kamienia, solidnym. Wykonał szybki skręt, kierując się ku najbliższemu budynkowi. Ciała, ciała – jak to

możliwe, że jest ich aż tyle? Dotarł do drzwi wejściowych i upadł na ziemię tuż obok nich. Zwinął się w kłębek i zasłonił dłońmi kark.

Przetoczył się nad nim wiatr. Woda wlewała mu się do ust. Uderzał o niego grad wielkości cegieł i Aeduan poczuł, że łamie mu dwa żebra. I knykcie przy lewej dłoni. Zaraz dotrze do niego sam cyklon. Budynek się zawali. On nie zginie, ale inni tak.

Tyle że atak żywiołu nie nastąpił.

Burza nagle ucichła. Wiatr ustał. Grad przestał padać. Deszcz stanowił jedynie ciche echo pulsujące w uszach Aeduana. Oko cyklonu, pomyślał. Kiedy się wyprostował, aby dalej biec, ból połamanych żeber uśmierzał kamień bólu, ale do jego świadomości wdarł się zapach krwi. Czarne rany i potworna śmierć. Ból, zepsucie i niekończący się głód.

Rozszczępienie.

Aeduan natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął się wycofywać. Dobył miecza, gotowy stawić czoła temu szaleństwu, które zbliżało się pod przykrywką spokoju. Kiedy się jednak odwrócił, nie ujrzał rozszczępieńca. Ten człowiek, wysoki i jasnowłosy, zmierzał ku niemu zdecydowanym krokiem. Oczy płonęły mu na czarno, a po skórze prześlizgiwały się linie. Im bliżej się znajdował, tym robiło się jaśniej.

Zapach rozszczępienia także zniknął, pozostał młody mężczyzna, którego krew pachniała skalistymi wybrzeżami i walczącymi o tlen płucami. Wiły się w nim także inne zapachy krwi, niczym płatanina wyjętych z ziemi robaków. Były ich całe setki, zbyt wiele, aby Aeduan był w stanie je rozdzielić.

Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z czymś takim.

– To ty jesteś krwiodziejem? – zawołał mężczyzna po nubreveńsku, nie przestając się zbliżać. Oczy miał teraz niebieskie. Zlustrował Aeduana z góry na dół. – Wygląda na to, że tak.

Aeduan przybrał postawę bojową.

Na ten widok młody mężczyzna się uśmiechnął, był to przerażający grymas, rozciągający jego twarz do nieludzkich

proporcji. Brakowało mu połowy prawego ucha, a jego brzegi pokrywała skorupa poczerniałej krwi.

– Ani kroku dalej! – zawołał Aeduan.

– Bo co? – zapytał przeciągle mężczyzna, ale przynajmniej się zatrzymał. – Twój miecz nic mi nie zrobi. Powinieneś to wiedzieć, krwiodzieju. Chyba że... – Przechylił głowę i stuknął się w brodę. – Chyba że twój ojciec nie powiedział ci, kim jestem.

Mój ojciec. Po czasie Aeduana prześliznęło się coś mrocznego i niedobrego.

Mężczyzna zaśmiał się radośnie.

– Z twojej miny wnioskuję, że jednak tego nie zrobił. Pozwól, że to naprawię. – Stuknął obcasami, przyłożył dłoń do piersi i skłonił się po nubreveńsku. – Nazywają mnie Furią. Długo już pracuję z twoim ojcem, aczkolwiek przed laty znałem go jako kogoś innego. Jedynie twarz pozostała mu taka sama. – Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Ja nie miałem tyle szczęścia.

Kompletnie niezrozumiałe słowa bezradnie podskakiwały w umyśle Aeduana.

– Twój ojciec kazał mi cię znaleźć – kontynuował mężczyzna, robiąc krok w jego stronę. – Miałeś się zameldować kilka tygodni temu, krwiodzieju. Bał się, że nie żyjesz, a tu proszę... – Rozłożył ręce i uniósł gęste brwi. – Pora na nas.

– Nie. – Aeduan pokręcił głową. – Mam w Tirli niedokończone sprawy.

– Jakie?

– Jak mnie znalazłeś?

– Bez problemu.

– Czy mój ojciec kazał ci przy okazji zniszczyć Tirle?

– To? – Z gardła mężczyzny wydobył się gardłowy śmiech. – To jeszcze nic, krwiodzieju. Kiedy podróżuję, towarzyszą mi huragany. – Odwrócił się i omiół spojrzeniem zniszczenia z jeszcze głośniejszym śmiechem. Ciemność rozchodziła się po szyi Aeduana. Gromadziły się głosy oraz zapachy krwi, jakby ludzie wychodzili

teraz z domów, szukając na ulicach pomocy. Niektórzy jęczeli, inni krzyczeli.

– Twój ojciec – oświadczył Furia – będzie chciał wiedzieć, co cię zatrzymuje. Nie każ mi wracać do niego bez odpowiedzi. Nie spodoba mu się to. Mnie się to nie spodoba.

– Sam mu to powiem – odparł spokojnie Aeduan. – Przekaż mu, że po powrocie przedstawię szczegółowy raport.

– Kiedy to nastąpi?

– Niedługo.

Drzwi się uchyliły. Odgłos kroków. Kolejne krzyki, płacz, jeszcze więcej rozpaczy w zniszczonym mieście. Aeduan nie chciał wiedzieć, co Furia zrobiłby z tymi, którzy by tu teraz przyszli.

– Ile godzin? – zapytał. – Mogę zaczekać.

– Potrzebuję kilku dni.

Przez twarz mężczyzny przebiegł gniew, a czarne, przecinające mu skórę linie zasyczały.

– Ilu dni, krwiodzieju? Przestań uchylać się przed moimi pytaniami.

– Nie wiem.

Cierpki, nieprzyjemny śmiech. Furia wskazał na Aeduana zakrzywionym palcem.

– W takim razie ja nie wiem, kiedy wrócę. – Wzruszył ramieniem. – Może w przyszłym tygodniu. – Wzruszył drugim. – A może jutro. I nie próbuj mi uciec, krwiodzieju. Bez względu na to, dokąd się udasz, znajdę cię. A jeśli twoje sprawy nie zostaną do tego czasu załatwione, możesz mieć pewność, że załatwię je za ciebie.

Z tymi słowami nóż Pani Los w końcu upadł. Jej wola była niczym ostrze kata. Kazała dokonać Aeduanowi wyboru. Teraz mógł pójść tylko jedną ścieżką.

– Zostaną załatwione – rzekł, bo tylko to mógł powiedzieć.

– Świetnie – odparł Furia. Czerń przecięła mu twarz. Zerwał się wiatr. Rozbłysła błyskawica, gorąca i oślepiająca.

Kiedy Aeduanowi wrócił wzrok i słuch, po Furii nie było już śladu.

ROZDZIAŁ 20

Czas jeszcze nigdy nie płynął tak wolno jak wówczas, kiedy Merik biegł, potykając się i próbując kierować się tam, gdzie chciała Esme. A dowiadywał się tego dopiero, kiedy przeszywała go fala dojmującego bólu.

Otumaniające płomienie oznaczały, że idzie w złą stronę. Umiarkowane bolesne ukąszenia pszczoł – że w dobrą.

Zmierzch już zdążył zapaść, kiedy na linii horyzontu pojawił się skąpany w księżycowym świetle Poznin. Pomiedzy Merikiem a murami obronnymi miasta płynęła szeroka, bagnista rzeka. Bez ingerencji ludzi i magii co roku zalewała spore tereny. Minęło pięćdziesiąt lat od upadku Republiki i natura zabierała, co do niej należało. Z wody wystawały dachy i wałące się ściany.

Merik nie miał pojęcia, jak przeprowi się przez rzekę, i wcale nie pomagał ból przemykający mu wzdłuż pleców.

„Są przecież mosty”, powiedziała Esme. Wydawała się zaciekawiona, jakby się zastanawiała, co Merik pocznie.

– Wszystkie są dawno pod wodą – wyrzucił z siebie.

„W takim razie znajdź jakiś, który jest jeszcze na powierzchni”. Po tym poleceniu ból zupełnie ustąpił. Merik mógł myśleć, normalnie oddychać. Wiedział, że nie potrwa to długo, Esme tylko się z nim bawi – eksperymentuje, jak to sama określiła.

Niemniej z radością powitał tę chwilę wytchnienia. Tym razem nie okaże się na tyle głupi i nie rzuci się do ucieczki.

Szedł moczarami, wybierając miejsca, gdzie ziemia była mniej grząska, i choć kiedy dotarł do mostu, był cały mokry, uznał to za lepsze niż przeprawa wplaw.

Marmurowe płyty unosiły się nad rzeką niczym wynurzający się z wody morski lis, całe i nienaruszone, mimo że prowadziły teraz donikąd. Marmur, niegdyś biały, stał się poszarzały i śliski od wodorostów. Pośrodku ku niebu wznosiły się dwie kolumny

w kształcie psów burzy. Jeden miał jeszcze głowę, drugi był jej pozbawiony.

Na końcu mostu powróciły bagna. Dało się przez nie przejść, ale były pełne duchów upadłej republiki. Powalone mury, butwiejące drewno, schody wiodące w nicość. Według historyków Poznń swego czasu był pięknym, doskonale prosperującym miastem, teraz jednak wyglądał jak zwłoki, a raczej pozostały po nich szkielet.

Merik dotarł do muru obronnego i wdrapał się na jego zawaloną część. Za nim woda zalewała ulice i mosty. Tym razem jednak ktoś ułożył prowizoryczne przejścia łączące bagniste mierzeje z tym, co pozostało z brukowanych ulic. Wiły się, wznosząc i opadając, aż w końcu doprowadziły go do końca rozlewiska, do wzgórza zwieńczonego drugim murem obronnym.

Ten mur okazał się znacznie starszy. Tak jak Twierdza Pyna w Lovats oparł się czasowi. Gdy Merik zbliżył się do krzywego, łukowatego przejścia w murze, uda płonęły mu od wspinaczki i po raz pierwszy dotarło do niego, że cały się trzęsie. Teraz, kiedy nie obmywała go już woda, dmuchał na niego wiatr, susząc mu skórę i ubranie – wiatr, którego nie mógł dotknąć, któremu nie mógł wydawać rozkazów.

Szczękał zębami i stracił czucie w palcach u stóp. Takie zimno, które wkradało się aż do kości, stanowiło dla niego nowość.

Dotarł do szczytu wzgórza i przeszedł przez bramę. Czekąło tam nowe miasto, nietknięte powodziami, ale zgryzione zębem czasu. Dęby, klony, brzozy i jesiony przebijały się przez dachy, napierały na ściany i zapełniały swoimi pniami drogi.

Stare rzeczy uczynione nowymi.

Merik uważał to za piękne. To znaczy do czasu, aż pośród tej całej zieleni wypatrzył jakieś postacie. Początkowo sądził, że to gra światła albo jego otumanionego bólem umysłu, im dłużej się jednak wpatrywał, tym wyraźniejsze stawały się ludzkie kształty. Miał nadzieję, że to posągi, ale żołądek mówił mu coś innego. Kiedy

zszedł ze wzgórza i wkroczył do starego miasta, przepełniła go pewność.

Dotarł do pierwszej osoby. Młody mężczyzna w zwisającym z chudych ramion mundurze cartorriańskiej armii. Czarne oczy wpatrywały się przed siebie, a jego twarz przecinały linie – znał je, w nim także płonęły. Mężczyzna się nie poruszył. Ani kiedy Merik do niego podszedł, ani kiedy zaczął się oddalać.

Tak samo było z drugim, starszym i pokrytym grubą warstwą brudu. A potem z kobietą i małym chłopcem. Wszyscy stali niczym na warcie, jeden za drugim.

Merik nie był pewny, kiedy znowu puścił się biegiem. Nikt go nie gonił, nie przeszywał go ból. Wiedział jedynie, że musi się stąd oddalić. Musiał sobie udowodnić, że nie jest jednym z tych rozszczępieńców, że nie jest jedną z tych lalek. Nie został zatruty tak jak Kullen. Wciąż potrafił myśleć za siebie i wydawać rozkazy swoim nogom. Gdyby tylko pozbył się tego kołnierza, mógłby pofrunąć do...

Potknął się o korzeń. Przewrócił się. Nie czuł bólu, a mimo to z jego gardła wydobył się szloch. Płynął prosto z bezsilnych płuc i nie była go w stanie powstrzymać żadna ilość raptownie wdychanego powietrza.

Uspokoił się, dopiero kiedy na ziemi przed nim pojawił się jakiś cień. Uniósł głowę i ujrzał dziewczynkę z jasnymi warkoczykami i oczami czarnymi jak noc. Była odziana w futro i kolorowy filc, jak mieszkańcy Północy.

– Dlaczego się zatrzymałeś, książę? – zapytała i Merik wiedział, że to nie dziewczynka do niego mówi. Szybko pojął, kto w rzeczywistości wypowiedział te słowa.

– Zgubiłem się – wychrypiał, a dziewczynka się uśmiechnęła. Był to upiorny i nienaturalny uśmiech, rozciągający jej usta aż do boków twarzy.

– Po prostu idź za lalkami.

Jeszcze nim zdążyła wypowiedzieć te słowa, pojawiły się kolejne ciała. Wyszły z powalonych budynków i spomiędzy drzew. Ludzie

w różnym wieku i różnych ras ustawili się w długim rzędzie prowadzącym w głąb miasta, dokąd tylko Merik sięgał wzrokiem.

A potem jednym głosem zanucili:

– Idź za nami, księżę Meriku. Idź, idź, aż w końcu odnajdziesz drogę.

Nie miał wyboru. Wstał z ziemi i zaczął iść.

*

Vivia i jej wiatrodzieje dotarli na miejsce, w chwili kiedy wybrzmiało dziewiętnaście uderzeń dzwonu. Wylądowali na południowym nabrzeżu, gdzie mieściły się główne koszary i akademia morska.

– Możemy dolecieć do pałacu! – ryknął kapitan, przekrzykując wiatr. – Wysadzić Waszą Wysokość przy samej bramie.

Vivia odmówiła, twierdząc, że to nie ona pożytkowała podczas lotu swoją energię. Prawda była jednak taka, że liczyła, iż znajdzie Stix. Choć atmosfera między nimi była niezręczna, tylko z nią Vivia mogła porozmawiać. Tylko z nią chciała się skonsultować.

Nie znalazła jednak Stix w akademii ani w koszarach, ani nigdzie na Jastrzębiej. Gdy Vivia i czterech żołnierzy szli w stronę Wzgórza Królowej, zwolniła na ulicy pod mieszkaniem Stix, zastanawiając się, czy powinna tam wejść...

Zdecydowała, że tego nie robi. Chciała spotkać się z przyjaciółką sam na sam – nie z tą eskortą śledzącą jej każdy krok.

Nie minęło dużo czasu, a znalazła się w swojej komnacie w królewskim skrzydle pałacu. Znajome wytarte dywany i trzeszczące podłogi wydały jej się przytulne po dniu spędzonym w krainie piaskowca i bieli. Krótco potem rozebrana do bielizny przysiadła na skraju łóżka.

Przyjrzała się arkuszowi od cesarzowej. Kiedy go rozłożyła, papier przecięło kilka wersów; pojawiły się pod tym, co napisała ona i Vanessa, gdy były jeszcze razem.

Dotarłaś do domu cała i zdrowa?

Vivia zwilżyła wargi. Spróbowała wygładzić zagniecenia na arkuszu. Nie bardzo jej się to udało i pomyślała, że w sumie jej na tym nie zależy. Vanessa nie potrzebowała odpowiedzi.

Przyszła królowa zwinęła arkusz i położyła go na stojącym przy łóżku niskim stoliku. Szepnęła coś do ogniodziejskiej lampy, po czym wsunęła się pod niebieskie koce i próbowała zasnąć.

Godzinę później nadal nie zmrużyła oka. Wstała z łóżka. Na biurku czekały pióro i kałamarz. W sączącym się przez okno świetle księżycy Vivia raz jeszcze rozwinęła list.

Dotarłam cała i zdrowa.

Zawahała się, rozważając, czy dodać coś jeszcze, czy chce dodać coś jeszcze. Po wielu minutach do głowy przyszło jej idealne zdanie. Zapisała je i kiedy tym razem się położyła, od razu zasnęła.

ROZDZIAŁ 21

Półgalera sunęła po powierzchni jeziora Scarza. Bryzg fali sprawiał, że Safi miała mokro wokół oczu. Rokesh uparł się, aby przywdziała zmijową szatę, i choć jedwab okazał się zaskakująco przewiewny, i tak było jej duszno.

Wróciła myślami do słów Habima wypisanych na mapie.

„Nic nie rób. Mamy plan”.

Cóż, Safi też miała plan – i nie zamierzała z niego zrezygnować tylko dlatego, że zjawił się Habim Fashayit. Gdyby rzeczywiście udało jej się stworzyć kamień Prawdy, mogłaby stąd wyjechać. Bez czekania.

W tym akurat zawsze była kiepska. Coś zaczynała, ale nie kończyła.

I niech to wszystko będzie po trzykroć przeklęte, dość miała tego, że ktoś jej mówi, co ma robić. Habim mógł jej chociaż zapewnić więcej informacji. Miał przecież ze sobą całą mapę. Czy tak trudno było przekazać jakiegokolwiek szczegóły, żeby po raz kolejny nie biegła przed siebie na oślep?

W połowie drogi powrotnej sterujący statkiem pływodzieje zmienili kurs, kierując półgalerę ku głównemu brzegowi Azmiru zamiast Pływającemu Pałacowi. Safi była na to przygotowana. W odróżnieniu od Habima Vanessa poinformowała ją o planach na wieczór.

– Procesja urodzinowa – wyjaśniła jej wczoraj cesarzowa. – Bardzo długa, bardzo męcząca. Muszę to jednak robić każdego roku.

Dlatego właśnie Safi otrzymała uniform zmijów: czymś innym było utrzymywanie, że ma się na swoim dworze prawdopodobiejkę, a czymś innym paradowanie z nią przed tysiącami ludzi.

Miasto Wiecznego Ognia stawało się coraz większe. Otaczały je czerwone Wzgórza Kendury, za którymi wyrastały ośnieżone Góry

Sirmayańskie. W świetle zachodzącego słońca lśniły złote wieże, po jednej w każdej dzielnicy.

Przeleciała nad nią wrona i Safi modliła się, by nie narobiła jej na głowę.

– Cesarzowo, jesteś gotowa na wkroczenie w rok dwudziesty siódmy? – zapytała Safi, dołączając do stojącej przy relingu Vanessy. – Słyszałam, że to o wiele lepsze niż lat dwadzieścia sześć.

Vanessa westchnęła.

– Kiedy odbywałam przed rokiem tę samą podróż, Safi, u moich bram nie czekały żadne wojska. I choć to mnie generał Fashayit obarcza winą za rozpętanie wojny, nie ma racji. Koniec Rozejmu był nieuchronny, a wojna jest tego konsekwencją. Poza tym – dodała lekko – jako pierwsza osoba, która zerwała Rozejm, mogę dyktować warunki, co będzie dalej.

Safi wiedziała, że pomimo lekkości tonu Vanessa wcale nie zachowuje się nonszalancko. Nawet bez pomocy swojej magii wyczuwała prawdę we wszystkim, co robiła cesarzowa. Jej działaniom przyświecały ideały; nie żądała od innych niczego, czego sama by nie zrobiła; dobro Marstoku stawiała na pierwszym miejscu, wyżej nawet niż własne życie.

– Cóż – mruknęła w końcu Safi – wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Tym razem w odpowiedzi otrzymała uśmiech. Prawda, prawda, prawda.

Kiedy statek dopłynął w końcu do głównego portu Azmiru, nie zacumował, lecz zatrzymał się obok pustego doku, gdzie marynarze ustawili trap.

Pierwszy zszedł na ląd Rokesh. Wprowadził je do długiego, otwartego namiotu zamontowanego na żelaznych rozpórkach i masztach. Złote płótno i zielone flagi łopotwały na wietrze, wokół namiotu w równych rzędach stali żołnierze w złoto-zielonych mundurach, tworząc idealny kwadrat.

Kiedy tylko Vanessa stanęła pośrodku namiotu, wyrzuciła w górę ręce. Żelazo uniosło się wraz z przytwierdzonym do niego namiotem, który płynął nad jej głową, kiedy szła powoli przez dok.

Przez całą procesję Safi zaciskała palce na swojej szacie. Łydki aż ją świerzbiły, żeby puścić się biegiem, swędziały ją kolana. Dziś po raz pierwszy od przybycia do Azmiru znalazła się poza Pływającym Pałacem. To była jej pierwsza okazja, aby przyjrzeć się tubylcom, azmirskim ulicom, budynkom starym i nowym. Vanessa nie wspomniała, jaką będą szli trasą, ale Safi było to obojętne.

Mijali statki, z których żeglarze machali i wydawali głośne okrzyki. Następnie procesja dotarła do głównego nabrzeża, gdzie powitał ich niemal ogłuszający ryk tłumów. Niektórzy wołali: „Zdrowia i radości!” albo wykrzykiwali marstockie pozdrowienie: „Niech wszystko ogień wybaczy!”. A jednak okrzykom oddania towarzyszyło równie wiele takich, w których dominowała wściekłość.

Safi nie miała pojęcia, jak Vanessa to znosi, a im dłużej maszerowali, tym bardziej ją to fascynowało. Zaskarbiła sobie fanatyczne uwielbienie urodą, siłą i heroizmem na Przełęczy Kendury, pozostawała jednak przywódczynią imperium. Wszystko, co robiła, było sprawą publiczną, każdy miał własne zdanie na temat tego, jak się powinna zachowywać. Jej niechęć do zamążpójścia, do uśmiechania się, do kłaniania – sama Vanessa opowiadała Safi plotki, jakie z tego wynikały.

Żelazna Suka, tak ją nazywano.

To właśnie określenie przetaczało się teraz przez tłum, docierając do namiotu ze wszystkich stron, rozbrzmiewając echem tak donośnym, jak tylko prawda potrafi. Ludzie, którzy demonstrowali swoją dezaprobatę, robili to z równym zapałem jak ci, co oddawali cesarzowej hołd.

– Przybyli tu ludzie z całego imperium – odezwał się Rokesh, dołączając do Safi. – Aby obejrzeć dzisiejszy pokaz fajerwerków

i świętować. Wszystkie zajazdy w mieście i w promieniu dwudziestu mil pękają w szwach.

Wielu ludzi zjechało, aby ją zobaczyć, pomyślała Safi, ale ma tu nikogo, kto tak naprawdę ją zna. Takiej miłości i nienawiści rzeczywiście musiała towarzyszyć wielka samotność.

Procesja opuściła porty i wkroczyła na główną aleję beżowych wież z dachami wyłożonymi czerwonymi dachówkami. Dzielnica Handlowa, dowiedziała się Safi. Pod białymi markizami tłoczyli się sklepikarze i uliczni sprzedawcy. Następnie dotarli do skrzyżowania, pośrodku którego z ziemi wyrastała jedna ze złotych iglic. Bez drzwi czy okien, jedynie kierująca się ku niebu kolumna zwieńczona kopułą w kształcie płomienia.

Safi żałowała, że nie może podejść do niej bliżej. Zbudowano ją z zupełnie innego materiału niż pozostała część miasta – nie był to ani piaskowiec, ani marmur, ani wapień, ani granit.

Minęli wieżę i wkroczyli do nowej dzielnicy, gdzie każdy budynek pomalowano na sto różnych odcieni.

– Dzielnica Artystów – wyjaśnił Rokesh, po czym skręcili na wschód do Dzielnicy Uniwersyteckiej, następnie do Dzielnicy Uzdrowicieli... Szli przez miasto, zahaczając kolejno o każdą jego część administracyjną, mijając każdą złotą iglicę. Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie budynki i wieże zostały zastąpione długim murem z piaskowca. Za nim szeleściły na wietrze liście cedrów, a ku niebu pięła się ostatnia iglica. Najwyższa ze wszystkich, ciemna na tle wieczornego nieba.

Przy żelaznej bramie żołnierze się zatrzymali i rozstąpili, przepuszczając Vanesę, Safi i źmije. Nie zwalniając kroku, cesarzowa wskazała palcem na wejście i czarna krata się rozsunęła.

Namiot na chwilę się złożył, przeciskając się przez bramę niczym kot w drzwiach. Safi poczuła zapach cedrów. Za ich plecami zgiełk miasta stawał się coraz cichszy i w końcu żelazne kraty wróciły na miejsce, zamykając ich po drugiej stronie.

Z każdym kolejnym krokiem powietrze zdawało się gęstnieć. Serce podeszło Safi do gardła, nie musiała pytać, gdzie się znajdują. Odpowiedź sama ją przywoływała.

Przybyli do Prastudni Marstoku.

Kiedy ruszyli dalej, coś się ścierało z magią Safi. Sprawiało, że włoski na rękach stawały jej dęba i dwukrotnie jej się wydawało, że między drzewami widzi ukrywające się postacie. Za trzecim razem rzekła:

– Ktoś jest w lesie.

Rokesh jedynie kiwnął głową.

– To żołnierze. Ten teren jest co prawda prywatny, ale wolimy nie ryzykować, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Jej Wysokości.

A jednak mimo słów Rokeshy palce wędrujące po jej kręgosłupie nie chciały odpuścić.

Po jakichś stu krokach między cedrami i stromymi schodami las w końcu się rozstał, ukazując długi strumień otoczony płytami z piaskowca. Wokół wody rosło sześć równo rozmieszczonych potężnych cedrów, a za Studnią, w lesie od strony północnej, znajdowała się złota iglica.

Vanessa zatrzymała się przed wodą i opuściła namiot. Ostrożnie zgięła do wewnątrz maszty i rozpórki, tak że płótno pomarszczyło się niczym gąsienica. Nad ich głowami pojawiło się muśnięte purpurą niebo.

Wtedy cesarzowa Marstoku odwróciła się do prawdodziejki.

Z jednej strony Safi dziwiła się, że tego pytania nie usłyszała wcześniej – że nie zjawily się tu ani razu w ciągu tych dwóch tygodni, odkąd przybyły do Azmiru. Z drugiej jednak była zdumiona, że znalazła się tutaj akurat dziś. To przecież imperialna procesja urodzinowa. Nie istniał powód, dla którego miałyby tu dzisiaj przyjść.

– A więc to prawda? – zapytała Vanessa, bacznie obserwując Safi. Refleksyjnie, ale i drapieźnie. – Jesteś połową Cahr Awenów?

– Ja... nie wiem. – Safi podkurczyła palce u stóp. – Gdzie to usłyszałaś?

– Moim zadaniem jest wiedzieć o takich sprawach. A jeśli to prawda, Safi, moim zadaniem jest także zapewnianie ci ochrony. Od ponad wieku Marstok jest jedynym imperium z nienaruszoną Prastudnią. Jeśli mamy ich więcej... jeśli może być więcej...

Płuca Safi rozluźniły się. Ramiona opadły. O to właśnie chodziło, prawda? Safi była cenna, Safi stanowiła zagrożenie.

– Zadam ci to pytanie raz jeszcze – kontynuowała Vanessa, tym razem ostrzej. W jej oczach pobłyskiwało zniecierpliwienie. – Safiyo fon Hasstrel, czy jesteś Cahr Awenem?

Safi przełknęła ślinę. Nagle zrobiło jej się za gorąco, a żelazny pas zbyt mocno ścisnął jej talię. Nie pytając o pozwolenie, zdarła z głowy chustę. Jej twarz ucałowało powietrze.

Prawda była taka, że Safi nie miała pojęcia, kim są ona i Iseult. Według mniszki Evrane były Cahr Awenami – rzeczywiście przed miesiącem dopłynęły do serca martwej Prastudni w Nubrevnie, a wtedy ziemia się zatrzęsała.

Mniszka Evrane utrzymywała, że to oznacza, iż Safi i Iseult uleczyły Studnię. I choć magia Safi mówiła jej jednoznacznie, że Evrane wierzy we wszystko, co mówi, zdrowy rozsądek sugerował, że to mało prawdopodobne. Ostatni Cahr Aweni żyli pięćset lat temu. Dlaczego mieliby teraz powrócić i czemu niby ze wszystkich ludzi w Czaroziemiu miałyby nimi być akurat Safi i Iseult?

Nie wspominając o tym, że Safi i tak całe życie miała na plecach wyrysowany cel. Czy naprawdę zasługiwała na drugi? Bogowie jej świadkiem, że tęskniła za czasem beztroski w Veñazie, a jeszcze bardziej za swoją więziosiostrą.

Rozchyliła usta, aby powtórzyć, że naprawdę nie wie, czy jest Cahr Awenem, ale w tym momencie ciemniejące niebo przeciął krzyk. Nieludzki i przesywający.

Z pobliskich drzew wystrzelił ognisty jastrząb.

ROZDZIAŁ 22

Iseult była wściekła i nie pomagało nawet myślenie o tym, że ma być jak kwiat na tafli jeziora. Ależ głupia się okazała. Nieostrożna i głośna. Potrafiła przecież walczyć cicho. Umiała zbliżyć się niezauważona. A mimo to natarła na tego człowieka niczym pijak w ulicznej bójce.

Związała go, leżał teraz na podłodze obok łóżka. Na zakrwawionej twarzy malował się wyraz beztroski i nawet jego nici Więzi emanowały spokojem charakterystycznym dla pozbawionego marzeń snu. Mężczyzna fascynował Sowę od chwili, kiedy Iseult wciągnęła go do pokoju. Siedziała przy nim i wpatrywała się w jego twarz. Na szczęście nie próbowała go dotykać, ale w jej niciach Więzi połyskiwał szacunek w odcieniu zachodzącego słońca, przez co Iseult denerwowała się nawet wtedy, kiedy zamknęła – i zaryglowała – drzwi.

Gość z pokoju numer dwanaście widział ją z ciałem. Głupia, nieostrożna i głośna Iseult przyciągnęła jego uwagę i pewnie nie minie dużo czasu, aż w drzwiach zjawią się żołnierze. Wyjście było tylko jedno: Iseult i Sowa musiały opuścić tę gospodę. Nawet przed powrotem Aeduana.

Ogień szalał w Iseult, kiedy pakowała ich dobytek. Nie musiała widzieć swoich nici Więzi, aby wiedzieć, że płoną wściekłością i przerażeniem.

Wieczorne niebo przecięła błyskawica. Deszcz nie ustawał.

– Inny – oświadczyła Sowa. Pierwsze słowo od czasu, kiedy Iseult wróciła z bezwładnym ciałem.

– Bo to Cartorrianin. – Wepchnęła do torby środki lecznicze. – Tam, skąd pochodzi, mają inną skórę i włosy.

– Wbić?

– Co? – Iseult uniosła głowę i spostrzegła, że Sowa nachyla się nad nieprzytomnym mężczyzną. Światło odbiło się od czegoś w jej dłoni.

Nóż. Musiała go zabrać Iseult.

– Wbić – powtórzyła Sowa, wymachując ostrzem. – Obudzi go?

– To go zabije. – Na piekielne bramy, czy Księżycowa Matka aż tak jej nienawidziła? Iseult rzuciła się w stronę noża. – Sowo, oddaj mi go.

Dziewczynka odskoczyła ze śmiechem. Najpierw dziecięcy pisk, a potem głośniejszy, radosny chichot. Iseult była zmęczona, a Sowa okazała się szybka, z wysokim piskiem wcisnęła się w kąt za łóżkiem.

– Wbić, wbić, wbić...

Rozległo się pukanie do drzwi. Iseult zamarła. Sowa także. Wtedy usłyszały głos Aeduana:

– To ja.

Jakżeby inaczej. Nie wyczuwała żadnych nici Więzi – to musiał być on.

Jednym ruchem ręki Sowa odryglowała drzwi. Do pokoju wszedł krwiodziej, cały przemoczony. U jego stóp od razu utworzyła się kałuża wody.

– Pojawiły się kłopoty – rzucił i spojrzał Iseult w oczy. – Musicie stąd iść.

Było to jak zrzucenie kuli armatniej na zamarznęty staw, tyle że lód zamiast pęknąć nawet nie drgnął, a one zamiast rzucić się na powitanie Aeduana także nawet się nie poruszyły. Słowa Aeduana wisiały w powietrzu, Sowa i Iseult wpatrywały się w niego zza łóżka.

Do więziodziejki dotarło, jak dziwna musiała mu się wydać ta scenka: Iseult pochylona nad Sową, Sowa w kącie z nożem w ręce, a na podłodze nieprzytomny, przywiązany do łóżka człowiek.

W tym momencie Aeduan się poruszył, a w ślad za nim i one. Zamknął drzwi. Sowa puściła nóż. Iseult obesza łóżko.

– Śśledził mnie – wyrzuciła z siebie szybko, lekko się przy tym jękając. – A p-potem myślałam, że zamierza zaatakować, więc zrobiłam to p-pierwsza.

Aeduan powtórzył swoje wcześniejsze słowa:

– Musicie stąd iść. – Następnie dodał: – Ktoś widział, jak go atakujesz. Idą tu żołnierze, żeby cię aresztować. Minąłem ich po drodze. Usłyszałem, jak wymawiają numer naszego pokoju i opisują twoją twarz. Ty i Sowa nie możecie tu zostać, Iseult. Idźcie do Klasztoru. Tam was ochronią.

Iseult zrobiła gwałtowny wydech. Wiedziała, że coś takiego może się zdarzyć, mimo to jej umysł nie nadążał za wszystkim.

– Kiedy tu dotrą?

– Najdalej za kilka minut. Spowolniły ich szkody poczynione przez burzę. W stajni znajdziesz konie, a księciem Leopoldem ja się zajmę.

Kolejna kula armatnia uderzająca o taflę lodu. Książę Leopold. Książę. Leopold. Niech bogini ma ją w swojej opiece, co ona narobiła?

Jak na zawołanie rozległ się zaspany, mówiący po cartorriańsku głos:

– Mnich Aeduan? To ty?

Iseult odwróciła się w stronę mężczyzny. W stronę księcia. Nie wiły się już nad nim nici Więzi snu, lecz turkusowe i szare, oznaczające szok i strach.

– Co to ma znaczyć? – zaczął, a jego zielone oczy zatrzymały się na Iseult. Wyraz jego twarzy uległ zmianie. – Ty.

Iseult nie miała pojęcia, co ma na myśli. Ty? Śledził ją, kucał pod jej pokojem, próbując się do niego dostać, więc ewidentnie wiedział, kim ona jest.

Tyle że nagle jej wcześniejsza teoria o tym, że pracuje dla Corlanta, straciła sens. Pod czaszką harcowało jej tysiąc pytań. Dlaczego ją śledził? Czemu miał przy sobie pistolet?

Nie było czasu na ich zadawanie ani na nic innego. Zbliźali się żołnierze, bo Iseult okazała się tak potwornie głupia.

Błyskawicznie dokończyła pakowanie, a w tym czasie Aeduan przeniósł uwagę na Sowę. Dziewczynka wczołgała się pod łóżko, przestraszyła się.

– Zabierz mnie ze sobą – odezwał się książę. Nikt go nie słuchał. Próbował usiąść, nie odrywając wzroku od Iseult. – Proszę – powiedział. – Proszę, Iseult det Midenzi. Zabierz mnie ze sobą.

Na dźwięk swojego imienia Iseult poczuła w płucach lodowaty chłód. Znieruchomiała z na wpół spakowaną torbą w ręce, na jej twarzy pojawiła się konsternacja. Szeroko otworzyła oczy, rozchyliła usta i wraz z tymi oznakami emocji pojawiły się sprzeczne ze sobą teorie.

To musi być ta osoba od Mathew, z którą miałam się spotkać.

W takim razie dlaczego mnie śledził? Czemu nie przyszedł do kawiarni?

Nie, on musi współpracować z Eronem fon Hasstrelem. Skąd indziej wiedziałby, jak się nazywam?

Ale czemu miałyby w takim razie chcieć obalić własnego wuja?

Nim zdążyła poukładać myśli w logiczny ciąg, na peryferiach jej magii pojawiły się nici Więzi. Wrogie, skupione i połączone ze sobą w sposób sugerujący, że nadchodzący ludzie otrzymali identyczne polecenia. Wkroczyli na dziedziniec.

Księżycowa Matka rzeczywiście jej nienawidziła. Nie powinna była atakować Leopolda – tego po trzykroć przeklętego księcia – ani wciągać go do pokoju.

Upuściła torbę i doskoczyła do stojącej obok drzwi latarenki. Szybko zdmuchnęła płomień.

– Żołnierze – powiedziała już w ciemności. – Są na miejscu.

Po tych słowach pokój się zatrząsł. Najpierw delikatnie i Iseult w pierwszej chwili nie wiedziała, co to za dźwięk. Jak skrzydła owadów albo paprocie na wietrze. Szybko jednak dotarło do niej, że to szkło w lustrze i w oknie.

I wtedy uświadomiła sobie, że wypowiedziała te słowa po nomatsańsku. Sowa zrozumiała, a teraz jej nici Więzi pulsowały jasnym przerażeniem, kierowały się ku temu, co potrafiła kontrolować. Najpierw szyba, potem lustro, a teraz latarenka. Ile czasu upłynie, nim jej magia zabierze się za zasuwę i rygle? Cegły

i kamienie utrzymujące gospodę w całości? Iseult się martwiła, że sama wszystko spali, tymczasem bardziej prawdopodobne było to, że pierwsza pogrzebie ich Sowa.

Po chwili wzrok Iseult przyzwyczyił się do ciemności. Aeduan kuczał właśnie przy dziewczynce. Książę napierał na sznur, którym był związany, łóżko trzeszczało, a deskami na podłodze wstrząsały krzyki. Żołnierze weszli już do gospody.

– Mogę ci pomóc – rzekł książę, miał głos i nici Więzi pełne koncentracji. Zero paniki, jedynie spokojna stanowczość. – Mam tu w stajni wałacha. Weź go, a ja się zajmę żołnierzami.

– Jak? – zapytała Iseult, a w tym samym czasie Aeduan warknął:

– Nie.

– Potrafię odwrócić ich uwagę na tak długo, abyś zdążyła uciec. Tylko musisz mnie rozwiązać.

– Nie – powtórzył Aeduan.

Iseult go zignorowała. To ona pojmała tego człowieka i sprowadziła na nich kłopoty. Może... nie wszystko jeszcze stracone. Zwłaszcza jeśli to Leopold był osobą, z którą miała się spotkać.

Czterema długimi krokami przecięła pokój i spojrzała na księcia. Przez mokrą od deszczu szybę wpadało światło księżycy, pozbawiając jego twarz koloru.

– Niby czemu mam ci ufać?

– A masz jakiś inny wybór? – zapytał ostro i Iseult nie mogła nie przyznać mu racji. Nie było czasu na subtelności ani sprytne gierki słowne. Potrzebowała jasnej odpowiedzi. Teraz.

– Pracujesz dla wuja Safi?

Przez jego nici Więzi przebiegło zaskoczenie i konsternacja.

– Wiesz o tym?

– Iseult – wtrącił Aeduan. Sowa trzymała się kurczowo jego nogi. – Nie możesz mu ufać. Zostaw go.

Nie mogła tak postąpić. Nie kiedy miała tak wiele pytań, a tak mało czasu. Zacisnęła usta i dobytek nóż zarekwirowany Sowie. Przycisnęła ostrze do dolnej części pleców Leopolda i rzuciła cicho:

– Jeśli nas zdradzisz, jeśli szepniesz tym żołnierzom choćby jedno słówko, dokąd jedziemy, spalę cię żywcem, a to, co z ciebie zostanie, podrę na strzępy. Rozumiesz?

Przełknięcie śliny. Drżenie niepewnych nici Więzi.

– Rozumiem.

– Dobrze.

Pomogła mu wstać, po czym przecięła krępujące go więzy. Zatoczył się na Aeduaną. Krwiodziej złapał go i wyrzucił za drzwi. Płytki oddech później po księciu nie było już śladu.

Mijały sekundy, a Aeduan, Iseult i Sowa czekali na jakiś znak, że żołnierze są zajęci. Szkło wokół nich coraz mocniej drżało. Trzęsły się nawet deski podłogi i żadne szeptane słowa nie były w stanie uspokoić dziewczynki. Przerazenie sprawiło, że magia wymykała jej się spod kontroli. Aeduan doskonale wiedział, jak to jest.

Iseult zacisnęła dłoń na jego łokciu. Oddech uwiązał mu w gardle.

– Przepraszam. Jesteś chory, a teraz musimy uciekać, a to dlatego, że okazałam się idiotką. Nie miałam pojęcia, kim on jest, przysięgam.

Aeduan się zawahał. W tym swoim dziwnym partnerstwie dotarli do sytuacji, w której nawzajem się przeproszali.

Odsunął się od niej.

– Znalazłem w Klasztorze kamień bólu. Dam sobie radę.

Iseult rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie z dołu dobiegł śpiewny głos Leopolda:

– Cóż tu robi tylu żołnierzy?

Zabrakło już czasu na rozmowy czy wyjaśnienia.

Oboje nieśli po pakunku, Sowa ścisnęła dłoń Aeduaną. Przy każdym skrzypnięciu podłogi, ale też każdej chwili ciszy na dole Aeduanowi przyspieszał puls. Nie zdążyli jeszcze dotrzeć do tylnych schodów, a palce miał już zdętwiałe od uścisku Sowy.

Co gorsza, mała zaczęła płakać. Na razie cicho, pociągając przy tym nosem, ale Aeduan wiedział, że w każdej chwili może to ulec zmianie. Iseult też to wiedziała.

– Przed nami nie ma żadnych nici Więzi – szepnęła.

Usłyszeli, jak Leopold grzmi na parterze:

– Wasi dowódcy dowiedzą się o tym!

Iseult prowadziła ich w stronę niskich drzwi. Z korytarza dobiegały głośnie kroki – żołnierze wchodzili po głównych schodach.

Aeduan sięgnął do rygla. To musiało być boczne wejście do stajni, wyczuwał za drzwiami konie – szaloną krew wolności i otwartych przestrzeni. Ale Iseult chwyciła go za nadgarstek.

– Ludzie. Troje.

Wzdrygnął się. Sowa zakwiliła. Jak to możliwe, że ich nie wyczuł? Jak mogła nie wyczuć ich jego magia? Iseult miała rację: kiedy zrobił głęboki wdech, dotarła do jego nozdrzy delikatna woń ludzkiej krwi. Bardzo słaba, jakby kamień bólu już go zawodził, a jego magia zanikała, zabierana przez klątwę.

Zalała go fala gniewu. Jak tamte strzały mogły mu zrobić coś takiego? Czemu kamień bólu działał tak krótko? Pani Los uderzyła szybko i zdecydowanie.

– Zajmę się nimi – warknął. Uniósł rygiel.

Iseult ponownie chwyciła go za rękę. W jej oczach kryła się ostrożność.

– Aeduanie.

Jego gniew przybrał jeszcze na sile.

– Nie zrobię im krzywdy.

– To nie o nich się martwię. – Delikatne palce zacisnęły się na jego przedramieniu. Pragnął, aby go puściła.

Ale także by nie zabierała ręki.

Iseult się odsunęła.

– Sowo, chodź do mnie.

Dziewczynka choć raz ją posłuchała, a Aeduan, po postawieniu swojego pakunku na ziemi, wślizgnął się do stajni. Od razu poczuł zapach sosnowych wiórów i konia. Byłby przyjemny, gdyby nie towarzyszyła mu woń ludzkiej krwi. Trzy różne zapachy, z każdym jego ostrożnym oddechem coraz wyraźniejsze. Flagi i zima. To

akurat pochodziło z najbliższego boksu. Do tego dźwięk kapiącej wody.

– Cholerna burza – mruknęła dziewczyna.

Dwa boksy dalej, gdzie stajnia zakręcała w lewo, czekał kolejny zapach. Cynamon i końskie włosie.

A trzeci zapach? Mocne wdechy nie przyciągały go do Aeduana. Być może ten akurat stajenny zdążył już wyjść.

– Mogę w czymś panu pomóc, sir?

Instynkt zawładnął mięśniami Aeduana. Obrócił się, wyrzucił nogę, a podeszwa jego buta trafiła w szczękę. Rozległo się trzaśnięcie i nim krwiodziej zdążył opuścić kończynę, stajenny przewrócił się na ziemię.

Do nosa Aeduana napłynął zapach krwi. Teraz go czuł, świeży i wolny. Świeżo ścięta trawa i ptasie trele. Ciepłe koce i opowieści na dobranoc.

Chłopiec. Osobą, którą wyczuł Aeduan, był chłopiec, który miał teraz złamaną szczękę. Ból wezbrał w ciemnych oczach młodzieńca, który nie spuszczał spojrzenia z Aeduana, tymczasem obolałymi ustami próbował wydać ostrzegawczy krzyk.

Gorąco nabiegło do pięści Aeduana. Demon, potwór. Nie potrafił uciec od tego, kim naprawdę był.

– Leż – polecił, po czym się odwrócił.

Chłopiec co prawda nie wstał, ale z jego gardła wydobył się zniekształcony krzyk. Konie strzygły uszami. Pozostali stajenni podbiegli do drzwi boksów i zauważyli Aeduana. I swojego kolegę. Szczęki opadły im ze zdziwienia.

Aeduan unieruchomił ich krew. Nie uczynił tego z gracją czy mocą. O nie, musiał się natrudzić, aby wyczuć zapach zimy i cynamonu. To jednak wystarczyło, aby nieprzytomni padli na ziemię.

Cisza. Po chwili kliknęły drzwi i do stajni wślizgnęły się Iseult i Sowa. Więziodziejka, z dwoma tobołkami na plecach, zajrzała do każdego boksu. Nie uczyniła jednak żadnego ruchu, aby

wyprowadzić wierzchowca, nie powiedziała także nic na temat chłopca ze złamaną żuchwą.

Sowa przyłgnęła do nogi Aeduan i niemal natychmiast w stajni zapanowała atmosfera paniki. Najbliższe konie zaczęły rzeć, a inne napierały na drzwi boksów.

– Tutaj! – zawołała Iseult z boksu w kącie, zdejmując już ze ściany uprząż. – To musi być ten wałach. Osiodłam go... – Urwała, kiedy czarny koń stanął dęba.

– Sowo. – Aeduan klęknął obok dziewczynki. Po jej bladych policzkach płynęły łzy, a klatką piersiową wstrząsała potężna czkawka. – Pamiętasz te dwie ryby z mojej opowieści? – Musiał podnieść głos, żeby go usłyszała ponad coraz hałaśliwymi końmi. – Sowo, pamiętasz, jakie były silne, kiedy uciekły przed Krabią Władczynią? Teraz musimy zrobić to samo. Musisz być silna i przestać płakać. Sowo, potrafisz tak zrobić?

Pokręciła głową, jakby mówiła „nie”, ale rzeczywiście przestała płakać, a konie na chwilę się uspokoiły. Na tyle, że Iseult i Aeduan razem osiodłali wałacha. Na tyle, że wziął Sowę, tak lekką i kruchą, w swoje demonie ramiona i posadził ją na porządnym, książęcym siodle. Wyciągnął rękę do Iseult.

Nie ujęła jej.

– Nie przygotowałeś sobie konia. A w pokoju powiedziałeś, że to ja muszę stąd odejść. Że to ja muszę udać się do Klasztoru. Ja, nie my.

Sowa znowu zaczęła płakać.

– Mam do załatwienia inne sprawy – odparł.

– Sprawy – powtórzyła. W jej głosie z każdą chwilą kumulowało się coraz więcej napięcia. – To oznacza, że znajdziesz nas po tym, jak twoje... sprawy zostaną załatwione?

– Nie. – Odwrócił się od niej. Żołnierze dochodzili już do stajni, nie mógł ignorować tego przyływu zapachów krwi i choć był w stanie własną siłą przytrzymać drzwi zamknięte, stanowiło to rozwiązanie tymczasowe. Dłoń Iseult wylądowała na jego ramieniu.

– Co z Sową? Z jej rodziną?

– Nie mogę im pomóc.

Zaszokowany śmiech. A potem pełen niedowierzania głos:

– Mówisz teraz poważnie?

– Tak.

– Nie. – Stała przed nim. – Nie możesz tak po prostu odejść. Nie po tym wszystkim.

– Sprawdźcie stajnie! – dobiegły ich głosy.

Jeśli Iseult i Sowa miały stąd uciec, musiały to zrobić w tym momencie. Teraz albo nigdy.

Co pozostawiało Aeduanowi tylko jedną opcję. Skoro musiał wybrać między rzeźnią a jagnięciem, wybierze to pierwsze. Lepsze to niż żołnierze dopadający Iseult i Sowę. Lepsze niż dopadający ich Furia.

– Mogę odejść – powiedział spokojnie. – I tak zrobię. Nie jesteśmy przyjaciółmi ani nawet sojusznikami.

– Jesteśmy dla siebie... – zaczęła.

– Nikim. – Nachylił się tak bardzo, że ich nosy niemal się stykały. – Nie ma czegoś takiego jak „my”. Rozumiesz? Byłaś środkiem prowadzącym do celu, a teaz znalazłem sobie lepsze narzędzie.

Czas zdawał się zwalniać. Podczas tego dziwnego zastoju rozciągającego się między jednym uderzeniem serca a kolejnym do Aeduana dotarło, że aż do tej chwili nie doceniał tego, jak wiele Iseult okazywała mu uczuć. Aż do teraz, gdy stała się zimna jak skała. Subtelne ruchy, tiki i spięcia – jak to możliwe, że wcześniej ich nie dostrzegał?

Do tego oczy. Przez cały ten czas kryła się w nich głębia uczuć, a on w ogóle tego nie widział.

Aż do teraz, kiedy te emocje zupełnie wyblakły. Jej twarz stała się pusta niczym księżyc i równie niedostępna.

– Siebie możesz okłamywać – odezwała się w końcu głosem gładkim jak kosa i dwa razy tak ostrym. – Ale mnie nie uda ci się oszukać.

Odwróciła się i w tym momencie zjawili się żołnierze. Wpadli do stajni przez tylne drzwi, wydając okrzyki, dobywając miecze i pistolety. Sowa zapiszczała, a Iseult wspięła się na grzbiet wałacha.

Aeduan przypuścił atak na żołnierzy. Razem było ich ośmiu. Nie miał czasu na magię ani nic innego poza brutalną siłą i prędkością. Dobył miecza. Powstrzyma ich na tyle długo, aby Iseult i Sowa mogły...

Stajnia eksplodowała. Drewno trzeszczało, ziemia drżała. Z góry spadał kurz i drzazgi. Dach rozpadł się, a zaraz potem do środka wdarły się kły i wściekłość. Aeduan ledwie zdążył uskoczyć przed Blueberrym, który z rozpostartymi skrzydłami wylądował na ziemi.

Aeduan bezmyślnie puścił się biegiem. Wokół niego spadało drewno. Konie stawały dęba w boksach, rygle unosiły się jeden po drugim – jakby ziemiodziejka z daleka przyciągała do siebie żelazo. Minął czterech żołnierzy, którzy weszli tu od frontu. Teraz i oni pragnęli się stąd wycofać.

Tyle że pazury dosięgały jednego po drugim. Z ich gardeł wydobywał się nieludzki krzyk.

Aeduan znalazł się na dziedzińcu, stał w chmurze chłodnego powietrza. Konie i ludzie tłoczyli się w drzwiach stajni. Obok olchy przegalopowały Iseult i Sowa.

Nie patrzył za nimi. Zamiast tego obrócił pelerynę na drugą stronę – żołnierze będą przecież teraz szukać mnicha – po czym oddalił się w przeciwnym kierunku. Byle dalej od gospody, Tirli i jagnięcia, którego wcale nie chciał zabijać.

ROZDZIAŁ 23

Żmijowa chusta wypadła Safi z dłoni. Już to kiedyś przerabiała – obserwowała, jak z nieba sfruwa ognisty jastrząb. Gorąco podpełzało z rykiem coraz bliżej, a ogień przesłaniał cały widok. Tym razem jednak nie było Cadena, który by ją uratował, ani piekielnych bardów potrafiących pozbawić czarodziejski ogień mocy.

Rokesh i pozostałe żmije utworzyli ciasny kordon wokół Safi i Vanessy, a potem wszyscy skoczyli w stronę ścieżki. Gdy biegli, Vanessa wyrzuciła do góry ręce. Złożony namiot uleciał ze świstem, a skrzek jastrzębia powiedział Safi, że trafił do celu.

Kiedy dobiegli do ścieżki i schodów, z lasu wysypali się marstoccy żołnierze, przygotowani na walkę z jastrzębiem...

Tyle że ich mundury były poplamione krwią i wydzielały woń śmierci. Fałsz, fałsz, fałsz!

– Zasadzka! – zawołała Safi i w tej samej chwili żołnierz znajdujący się najbliżej uniósł miecz, aby zaatakować.

Rokesh wykonał obrót. Ostrze żołnierza drasnęło mu ramię – on za to wbił swoje w serce napastnika.

Jeden po drugim, żmije ścierały się z fałszywymi żołnierzami, nie przerywając formacji. Safi i Vanessa były chronione. Niestety z tyłu nadal buchał ogień. Huragan gorąca zrodzony z szalejących, magicznych skrzydeł.

– Nie mam kontroli nad ostrzami! – zapiszczała Vanessa, przekrzykując odgłosy walki. – Nie są z żelaza!

Cholera, cholera. Tę zasadzkę doskonale zaplanowano – a teraz fałszywych żołnierzy było zbyt wielu, aby dało się ich powstrzymać. Żmij z lewej strony Safi został wyrwany z formacji. Chwilę później kolejny, tuż za nią.

Co gorsza, przybył ognisty jastrząb.

Rokesh rzucił się w stronę Vanessy. Safi puściła się biegiem ku drzewom. Rdzawe pnie i zielone mundury zlewały się w burą mieszalinę.

Jednak żaden żołnierz nie atakował. Wszyscy zbyt byli zajęci chaotyczną bieganiną.

Wtedy z nieba spadł deszcz iskier. Gałęzie stanęły w ogniu. Dziesięć kroków od Safi zanurkował jastrząb. Pomarańczowa plama, która przemieniła cedry w popiół – podobnie żołnierzy. Ich przedśmiertne krzyki odbijały się echem w czaszce Safi, głośniejsze nawet od płomieni i przelatującego w pobliżu stworzenia.

Safi przyspieszyła. Skręcała, obracała się, przemieszczała tam, gdzie niosły ją nogi. Nadal nikt jej nie atakował. Wszyscy zbyt byli skupieni na ognistym jastrzębiu, który przypuszczał kolejny atak.

Tyle że coś zatrzepotało na samym dnie jej umysłu. Jak głos mówiło jej: „Czegoś tu nie dostrzegasz”. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się. Musiała biec.

Dotarła do powalonego cedru, którego konary stały w ogniu. Ściana dymu i gorąca, przez którą nic nie widziała.

Skoczyła. Potknęła się. Wylądowała na martwym człowieku. Setka ciał pokrywała pole walki. Stosy zwłok czekały, aż skonsumują je płomienie. Zginęli niedawno, krew mieli jeszcze lepka. Byli ubrani w samą bieliznę, leżała też przy nich broń.

Miecze. Prawdziwi żołnierze.

Safi krzyknęła. Rozpaczliwie próbowała się podnieść, ale ślizgała się w krwi.

Dusiły ją dym i gorąco, a nad tym chaosem unosiły się wrzaski ognistego jastrzębia. Obok niej przebiegli fałszywi żołnierze, czmychający przed potworem.

Nie ma czasu, nie ma czasu. Safi udało się wreszcie wstać, choć boleśnie wykręciła przy tym nogę. Wyrzuciła ręce w górę i puściła się biegiem – tyle że w innym kierunku niż pędzący żołnierze. Gdyby pobiegła za nimi, wszyscy w końcu dotarliby do muru z piaskowca

i znaleźli się w pułapce. Jeśli chciała uciec, będzie musiała zatoczyć koło.

Pani Los zdecydowała jednak, że to kiepski plan. Ognisty jastrząb skupił na Safi swoją uwagę. Zaczął frunąć w jej stronę, wyjąc przy tym potępieńczo niczym demony z Otchłani. Gorąco, wrzask, światło.

I śmierć – jeśli Safi nie uda się znaleźć jakiejś kryjówki. Potrzebowała czegoś odpornego na ogień. Drzewa się rozstąpiły, nagle i gwałtownie, prowadząc ją ponownie do Studni, obok której się to wszystko zaczęło.

Miała tylko jedno wyjście: dała nura.

Fala zimna, a potem cisza. Jastrząb doleciał do Studni. Woda natychmiast się zagotowała, a siła parzącego gorąca wepchnęła Safi jeszcze głębiej. Płynęła najszybciej, jak potrafiła. W dół, w dół, w dół.

Dotarła do najgłębszej części Studni w momencie, kiedy parząca skórę woda musnęła podeszwy jej stóp. Na chwilę odrętwiała z bólu. Rozchyliła usta, powietrze wychynęło z jej płuc w postaci stada bąbelków.

I wtedy jej dłonie dotknęły dna źródła.

Pojawiło się drżenie. Woda naparła na Safi, a razem z nią światło tak białe i oślepiające, że sądziła, iż umarła. Następnie jego promienie objęły w posiadanie jej duszę. Tym razem nie będzie ocalenia. Nie będzie ponownych narodzin.

Minęły dwa grzmiące bicia serca, a ona nadal żyła. Coś ją wypychało ku powierzchni... Gdy tam dotarła, łykała chciwie powietrze, a jej oczom ukazało się wieczorne niebo spowite szarością.

Dziwne skwierczenie zmusiło ją do odwrócenia się. Z serca Studni wystrzeliwało światło – wirująca kolumna. Tak jasna, że Safi musiała zmrużyć oczy, aby dostrzec, co kryje się za nią: ognisty jastrząb. Jego pokryte złotymi piórami ciało syczało i dymiło, z onyksowego dzioba wydobywał się przeraźliwie żaloszny jęk.

Przez chwilę żal jej się zrobiło tego stworzenia, ale kiedy roziskrzyły się pióra w jego ogonie, Safi uznała, że żal woli zarezerwować dla stworzeń, które nie chcą pożreć jej żywcem.

Gorączkowo dopłynęła do brzegu Studni i wygramoliła się na brzeg. Cała ociekająca wodą skierowała się ku ścieżce... którą blokowały płonące resztki namiotu Vanessy. Gdy rozglądała się za alternatywną drogą ucieczki, przefrunął obok niej czarny, błyszczący ptak. Od razu pojęła, że to tamta stara wrona, która pozostawiła jej wyczerpany kamień bólu.

Na jedną sekundę czas zdawał się zlewać w pozbawioną znaczenia nicość. Skwierczący ognisty jastrząb, jaśniejąca Studnia, walczący w oddali żołnierze – wszystko stało się pustym tłem dla zataczającej coraz mniejsze koła wrony.

Kracząc, sfrunęła na złotą iglicę.

Wtedy do Safi dotarło, że to jest właśnie jej schronienie. Podświetlona dochodzącym ze Studni światłem lśniła niczym wypolerowane złoto. Solidna, strzelista i w miarę ognioodporna.

Safi puściła się szybkim biegiem – czas także zdawał się przyspieszać. Aż za bardzo. Minęła Studnię. Dwadzieścia kroków do lasu. Kolejnych pięćdziesiąt do iglicy.

Kiedy dotarła do cedrów, obejrzała się szybko na ognistego jastrzębia. Który, jakżeby inaczej, znowu płonął. Ryczał w stronę Safi, czym dobitnie dawał do zrozumienia, że nie ma już czasu. Jego kolejny atak okaże się tym ostatnim.

Jastrząb spiął się do lotu.

Szybciej, szybciej. Safi nieustannie się popędzała, mknęła bez oglądania się za siebie. Machinalnie. Była płataniną mięśni i siły, wyszkolonych do poruszania się, do życia. To nie będzie jej koniec. Już raz przeżyła atak ognistego jastrzębia, dzisiaj także zamierzała wyjść z niego cało.

Nad głową rozchodził jej się złoty blask. Z każdą chwilą coraz intensywniejszy. Bliżej, bliżej. Przez cały czas kątem oka dostrzegała

starą wronę, która towarzyszyła jej w ucieczce, frunęła tuż nad nią. Za to jastrząb tuż za nią.

Goręcej, goręcej. Głośniej, głośniej.

Wrona dotarła do iglicy. Safi także. Próbowała uchwycić się krawędzi, żeby się na niej uwiesić, nim dopadnie ją jastrząb.

Poślizgnęła się. Osłabiona kostka ugięła się pod jej ciężarem i nim Safi zdążyła odzyskać równowagę, runęła przed siebie.

Otuliła ją ciemność. Wyrznęła o skałę, ale jakimś cudem udało jej się przycisnąć brodę do klatki piersiowej, zamortyzować uderzenie ramieniem i przekuć energię w koziołkowanie, które przeniosło ją prosto w pole intensywnego, niebieskiego światła.

Wokół niej iskrzyło. Rozciągało ją to i na nią napierało. Rozrywało na strzępy i ponownie składało w całość.

Aż w końcu przestała się obracać i znieruchomiała ze wzrokiem wbitym w kamienny sufit, wysoko, hen nad głową. Płuca boleśnie jej pulsowały, serce waliło jak oszalałe, przez jej ciało przetaczały się dreszcze, a kostka krzyczała gniewnym, świeżym bólem.

W jej żyłach nie było już nawet wspomnienia gorąca emitowanego przez ognistego jastrzębia. Jedynie lód i cisza, otoczone niebieskim światłem.

Na piekielne bramy, gdzie ja jestem?

Safi podparła się na posiniaczonym ramieniu – i mało brakowało, a znowu by upadła. Siedziała na ledwie mieszczącym ją występie, a poniżej czekała czarna otchłań nicości. Wyglądało na to, że podczas upadku ześlizgnęła się do jaskini pod złotą iglicą...

A jaskinia ta była na tyle ogromna, że mogła pomieścić cały Pływający Pałac. Albo i dwa.

Myśl ta przebiegała Safi przez głowę, choć wiedziała, że coś takiego jest niemożliwe. Jej umysł próbował ogarnąć fakt, że nie słyszy już odgłosów walki ani ognistego jastrzębia, że nie goni jej już gorąco, ale w głębi swojej czarodziejskiej jaźni wiedziała już, że działo się tak dlatego, że opuściła teren Prastudni.

Opuściła Marstok.

Prawda, prawda, prawda.

Rozległo się przenikliwe krakanie. Safi wzdrygnęła się i odwróciła w prawo. Za ledwie metr dalej wrona przysiadła na przytwierdzonej do ściany jaskini niezapalanej pochodni i wpatrywała się w nią. Obok znajdowały się drzwi, którymi Safi się tu dostała.

Połykiwały na niebiesko i zdawały się pulsować, wywołując w jej ciele doznania podobne do tych, jakie wyzwałała w niej magia. Rozejrzała się. W granicy wyryto ozdobne reliefy. Wyglądały na bardzo stare, mimo że nie tknęły ich zęb czasu.

Kolejne krakanie. Tym razem Safi była gotowa. Zmierzyła ptaka groźnym spojrzeniem.

– Dokąd ty mnie zabrałaś? – zapytała szorstko.

Wrona zamrugła, po czym kilka razy otworzyła i zamknęła dziób i Safi gotowa się była założyć o wszystkie piestry w Dalmocji, że się z niej śmiała.

Otrzepała dłonie i kątem oka dostrzegła kolejne migające światło, tym razem czerwone.

Iseult. Spuściła wzrok na wiszący na szyi kamień więzi. Podczas koziółkowania musiał wypaść jej spod uniformu i teraz mrugało do niej gniewne, czerwone światełko. Rzuciło krwawe cienie na ściany jaskini.

Kamień migał dlatego, że Iseult groziło niebezpieczeństwo, czy też dlatego, że groziło ono Safi? Nie miała pojęcia. W tym momencie stara wrona zatrzepotała skrzydłami i rzuciła się na nią.

Zareagowała odruchowo: uchyliła się. Trafiła w niebieskie światło i raz jeszcze przekoziółkowała przez drzwi.

I znowu była miażdżona i rozciągana, a czas pędził tak szybko, że w pewnym momencie kompletnie się zatrzymał. A potem wylądowała na twardym, błotnistym zboczu. Przez niewielką szparę nad jej głową sączyło się światło, ale nie był to ognisty jastrząb. Nie wyczuwała gorąca ani wściekłości.

Obejrzała się na niebieskie światło. Emanowało ze sklepionego przejścia za kamieniami. Wyglądało na to, że wcześniej trafiła

w szparę w ziemi obok iglicy, zsunęła się do ukrytego wąwozu... po czym znowu przedostała się przez te magiczne drzwi.

Zadrzała. Z oddali dochodziły strzały i krzyki, więc zaczęła się wspinać po zboczu, nadal przemoczona po pływaniu w Studni, a teraz dodatkowo ubłocona.

Jej kostka protestowała przeciwko tej wspinaczce. Nie była złamana, ale mocno obolała.

Wreszcie dotarła do złotej iglicy. Gdzieś niedaleko rozlegały się głosy, sądziła, że je zna. Zagłuszył je ryk ognistego jastrzębia. A potem usłyszała, jak ktoś woła po cartorriańsku:

– To wszystko, co dla mnie masz?

Nie bacząc na kostkę, zaczęła biec.

– Chodź tu do mnie, ty draniu!

Spomiędzy drzew wyłaniała się Studnia, częściowo przesłonięta ogniem i dymem. Z każdym kolejnym krokiem Safi widziała coraz więcej. Zwłoki w marstockiej zieleni. Zwłoki w zmijowej czerni.

Ognisty jastrząb, kuśtykający po ziemi w stronę cesarzowej Marstoku, która leżała nieprzytomna obok Studni. Każdy krok ptaszyska wstrząsał ziemią.

Kawałek dalej kucąca druga kobieta. Bez zbroi, hełmu czy broni, nie licząc wyciągniętego przed siebie noża.

Piekielna bardka Lev.

Safi nie miała pojęcia, co ona tu robi – ani jak się tutaj znalazła – ale uczucie ulgi sprawiło, że przyspieszyła. Skoro do walki wkroczyli piekielni bardowie, to całkiem możliwe, że Safi i Vanessa wyjdą z tego cało.

Ognisty jastrząb rzucił się do Lev i bardka rozplynęła się w ciemnościach. Magia jastrzębia sprawiła, że przeobraziła się w złożony z cieni szkielet.

Który wbijał właśnie nóż w klatkę piersiową ognistego jastrzębia.

Potwór zaskrzeczał z bólu – ale to był dopiero początek. Gdy Safi wypadła spomiędzy cedrów, kierując się ku leżącej na ziemi cesarzowej, od drugiej strony wybiegli pozostali piekielni

bardowie – ociężały Zander i gibki Caden. Zaszli jastrzębia od tyłu, podobnie do Lev oni także byli nieopancerzeni, w dłoniach dzierżyli jedynie zwykłe noże...

Mieli jednak ze sobą moc swoich pętli. Umiejętność zniesienia każdego magicznego ataku, nawet ze strony ognistego jastrzębia.

Piekielni bardowie sięgnęli do jego ogona. Chwilę później dwa kolejne szkielety wplotły się w płomienie. Zander przypuścił atak na skrzydło, Caden wskoczył bestii na grzbiet. Po pięciu krokach znalazł się na samej górze i wbił ostrze w miejscu, gdzie schodziły się skrzydła. Tam jastrząb odczuje ból najdotkliwiej. Takie bestie może i nie umierają, ale da się je porządnie zranić. Safi przekonała się o tym na własnej skórze podczas starcia z lisami morskimi.

Ognisty jastrząb wydał z siebie przejmujący wrzask, który wstrząsnął całym światem. Jakimś cudem Cadenowi udało się utrzymać na grzbiecie stworzenia.

Jedno dźgnięcie. Drugie. Trzecie.

Zeskoczył, kiedy potężna bestia ruszyła w stronę drzew. Na oczach Safi Caden znowu stał się człowiekiem. Ułamek sekundy później rzucił się do Studni, a po jastrzębiu zostały jedynie dym i zwęglone szczątki.

Lev i Zander rzucili się na pomoc Cadenowi, Safi zaś chwiejnym krokiem podeszła do cesarzowej, która właśnie odzyskiwała przytomność. Leciała jej krew z nosa, co stanowiło oznakę, że jej magia uległa wyczerpaniu.

Spomiędzy tłących się cedrów wypadli kolejni żołnierze.

Na piekielne bramy, czy ta walka nigdy się nie skończy?

Safi chwyciła najbliższą broń: szablę jednego z poległych, fałszywych żołnierzy. Okazała się szokująco lekka. Na pewno nie żelazna. Ani stalowa. Dlatego Vanessa nie była w stanie jej kontrolować. Zasadzkę zaplanowała zaiste sprytna persona.

Safi przygotowała się do odparcia kolejnego ataku, kiedy u jej boku pojawili się Zander i Lev.

– Miło cię widzieć! – wyszczerzyła się Lev. Jej okaleczoną twarz pokrywały krew i popiół. Podniosła z ziemi dwa miecze, jeden rzuciła Zanderowi. – Często tu bywasz?

Safi nie wytrzymała. Z jej gardła wydobył się wysoki, niemal rżący śmiech. A kiedy po jej drugiej stronie stanął Caden, rzuciła:

– Sądziłam, że opuściliście miasto!

– Jeszcze nie.

Z lasu wysypali się żołnierze, jednak tym razem magia Safi o niczym nie alarmowała. Żadnych swędzących kłamstw, to wojsko Vanessy, a na czele stał Habim.

– Poddajcie się, Cartorrianie – zagrzmiął – albo zginiecie.

Jak na komendę wszyscy Marstokczycy za nim wycelowali pistolety i miecze w piekielnych bardów.

A ci nie mieli wyboru. Potrafili stawiać opór magii, ale nie kuszom i zimnemu żelazu.

Poddali się.

ROZDZIAŁ 24

Iseult nie miała bladego pojęcia, dokąd zmierza. Tych kilka ulic w Tirli, które jako tako rozpoznawała, teraz było zniszczonych; wszędzie wokół tylko rozwalające się budynki, powalone drzewa, pozalewane ulice.

Sowa płakała, ale przynajmniej nie próbowała uciekać. Przytuliła się mocno do Iseult, która z kolei trzymała się kurczowo konia – doskonale wyszkolonego, niezważającego na ścigających ich żołnierzy.

– W lewo! – zadudnił głos, a od prawej strony nadciągały jasne nici Więzi. Księżę, z zakrwawioną i posiniaczoną twarzą, na grzbiecie deresza z marstockiej armii. – Skręć w lewo!

– Dlaczego? – odkrzyknęła. – Dokąd jedziemy?

– Uciekamy z miasta i przed żołnierzami. Chyba że masz lepszy plan?

Nie miała. Właściwie to nie miała żadnego – ani lepszego, ani gorszego. W podobnych sytuacjach polegała zawsze na Safi. Zbyt wiele się teraz wokół niej działo, za mało czasu choćby na oddychanie. Nie zdążyła jeszcze nawet przyswoić, że Aeduan zniknął. Porzucił je.

Czuła się jak w pułapce. Poruszała się drogą, której wcześniej w ogóle nie zamierzała obierać, a nie była w stanie zmienić kierunku. Jeśli Leopold potrafi je stąd wyprowadzić, to niech tak się stanie. Pomógł jej w ucieczce z gospody, mogła mieć tylko nadzieję, że tym razem też jej nie zawiedzie.

Zwłaszcza że na pobliskich dachach wyły syreny alarmowe.

– W prawo! – warknął księżę, a jego nici Więzi płonęły zielenią tak ciemną, że niemal czarną. Nie było w nim strachu ani paniki, jedynie intensywna energia skupiająca się na ucieczce.

Okazał się równie świetnie wyszkolony jak jego koń.

Galopowali teraz szerszą ulicą, a ich oczom ukazało się jezioro. Porty znajdowały się częściowo pod wodą, statki i łodzie porozrzucane niczym zabawki. Iseult nie miała pojęcia, jak to możliwe, że burza, która dokonała tak dotkliwych zniszczeń, niemal ominęła gospodę.

Objęła mocniej Sowę. Razem mknęły przed siebie.

Chwilami miała przed oczami jezioro, którego powierzchnia była usłana drewnem i zgliszczami. Innymi razy galopowali uliczkami tak wąskimi, że konie ledwo się w nich mieściły. Przez cały czas wyły syreny. Nawet po tym, jak zostawili miasto za sobą, a jego miejsce zajęły nieduże farmy i kryte strzechą chaty. Nawet kiedy teren stał się bardziej stromy i zalesiony. Nadal goniły ich syreny.

Iseult wyczuwała obce nici Więzi. Co jakiś czas kątem oka dostrzegała związane z nimi twarze, które sprowadzała do drzwi ciekawość, a nawet częściej strach.

Przez kilka następnych mil żadne nici Więzi nie niepokoiły jej świadomości, a oni nie natrafiali na żadne domostwa. W końcu zatrzymała wałacha. Przed nimi, nad strumieniem spienionym po deszczu, rozciągał się rozklekotany most. Porośniętą mchem polanę tuż za nim spowijała mgła.

Daleko, daleko za nimi nadal rozbrzmiewało echo syren.

Nim Leopold zdążył zatrzymać swojego deresza, Iseult przerzuciła już nogę przez siodło. Ściągnęła za sobą Sowę. Dziewczynka jakiś czas temu przestała płakać, ale to, co zastąpiło łzy, okazało się o wiele gorsze. Martwe spojrzenie i ledwie widoczne, kurczące się nici Więzi w odcieniu odrętwiałej bieli. Dziewczynka była w szoku.

– Sowo – odezwała się Iseult. – Spójrz na mnie. Możesz na mnie spojrzeć?

Nie mogła.

– Co jej się stało?

Iseult odwróciła się, wyciągnęła kordelas i wycelowała nim w księcia:

– Nie ruszaj się – rzuciła stalowym szeptem.

– Jasne, bo przecież takie wielkie stanowią zagrożenie. – Zgromił ją wzrokiem. Czoło miał brudne. Kilka kroków za nim czekała skradziona klacz. Błyszcziała od potu. Obydwa konie trzeba było napoić.

– Uratowałem ci życie – dodał. – Dwukrotnie.

Iseult miała to gdzieś. Opuszki jej palców pulsowały z gorąca. W głowie dudnił głos. „Spal. Go. Spal. Go”. A stojąca obok niej Sowa w ogóle się nie ruszała.

– Skąd się tam wzięłeś? – zapytała.

– Co masz na myśli? – Leopold ściągnął brwi. – Ogłuszyłeś mnie, więc nie miałem wyjścia...

– W Tirli – warknęła. – Co robiłeś w Tirli?

– Nie rozumiem. – W książęcych niciach Więzi wiła się konsternacja. – Już ci mówiłem, że współpracuję z wujem Safiyi.

– Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

– Ty... chcesz dowodu? – Gapił się na nią wyczekująco.

Iseult mówiła jak najbardziej poważnie i po trzech długich sekundach, kiedy słyszeli jedynie końskie oddechy, w końcu to do księcia dotarło.

Zaśmiał się, mimo że w jego niciach Więzi pojawiła się rdzawa frustracja.

– Wszystko, czym dysponowałem, znajduje się w Tirli, Iseult det Midenzi. Jeśli nie chcesz tam wracać i ponownie stawiać czoła żołnierzom, obawiam się, że będziesz musiała uwierzyć mi na słowo.

Nie wierzyła mu na słowo. Ale też nie wiedziała, jak rozwiązać ten problem. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Musiała oporządzić konie, zająć się Sową, przepytac księcia i dowiedzieć się, dokąd ona właściwie teraz jedzie.

A przede wszystkim musiała przestać myśleć o Aeduanie. On nie wróci.

– Widzę, że mi nie wierzysz. – Książę westchnął. Jego głowę otoczyła chmura pary, wraz z nocą przyszedł chłód. – Może najlepiej

będzie, jeśli wyjaśnię wszystko od początku, co? Usiądziemy? – Wykonał ruch, jakby chciał przykucnąć.

– Jeśli się znowu ruszysz, to cię zabiję.

– No dobrze, w takim razie stójmy.

– Milcz.

Iseult odwróciła się i przyklękła przed Sową. Leopold mógł zaczekać, ona nie. Dziewczynka w ogóle się nie poruszała, jej nici Więzi nie uległy zmianie. Bez względu na to, gdzie przebywała myślami, na pewno było to daleko stąd. Ta noc wcale tak bardzo się nie różniła od tej sprzed sześciu i pół roku, a Sowa wcale tak bardzo się nie różniła od innej uciekającej dziewczynki.

Iseult podniosła z ziemi kamyk, tak samo jak tamtej nocy mniszka Evrane. Następnie ujęła dłoń Sowy i rozwinęła jej palce.

– Weź go. – Położyła kamyk na dłoni dziewczynki. – Spójrz na to i powiedz mi, co widzisz.

Sowa nawet się nie poruszyła, nie odezwała się także ani słowem. Identycznie jak Iseult przed laty.

– Jest na nim szlam – rzekła więziodziejka. – Wiesz, co to oznacza? Że leżał nad brzegiem wody, ale popatrz, jakie ma szorstkie krawędzie. Nigdy nie stanowił części rzeki. A to? – Wskazała na błyszczące punkciki na powierzchni kamyka. – Widzisz mikę? Wygląda jak światło gwiazd. Można tam nawet dostrzec Śpiącego Olbrzyma.

Żrenice Sowy delikatnie się zmniejszyły. Spojrzała na dłoń Iseult.

– Jaki to według ciebie jest kolor? Szary? A może czarny? Według mnie w słońcu jest czarny, ale blask Księżycowej Matki czyni go...

– Starym. – Głos Sowy był cichy i szeleszczący niczym śpiew jej imienniczki.

– Bardzo starym – zgodziła się Iseult. – Tak starym jak Czarozemie.

– Starszym. – Dziewczynka zamrugła i w tym momencie do jej nici Więzi zakradły się pierwsze plamki koloru. Niebieskozielona świadomość, początkowo drżąca, niczym uderzająca o łódź fala. Po

chwili już łagodniejsza, spokojniejsza. Te nici nie tworzyły jeszcze całości, ale w końcu do niej wrócą.

– Nie ma – wyszeptała Sowa. Nadal przyglądała się kamykowi. – Nie ma go.

Iseult nie musiała pytać, o kogo jej chodzi. Nagle poczuła skurcz w mięśniach nóg i osunęła się na pięty. Zmęczona, tak potwornie zmęczona.

W gospodzie w Tirli nie uwierzyła Aeduanowi, kiedy oświadczył, że z nimi nie jedzie. Pojedzie, myślała, wsiadając na wałacha, sądziła tak jeszcze na dziedzińcu. Pojedzie. I tak raz za razem, w rytm uderzeń końskich kopyt. To jakiś żart, on pojedzie. Pojedzie. Musi.

Proszę, proszę, jedź.

Oddalili się spod gospody przy wtórze strzałów. Przez niebo przetoczyły się ostatnie grzmoty, wypełniając serce Iseult. Ale Aeduan nie pojechał. Zostawił ją po tym wszystkim. Uratowała mu życie, a on jej. Rozszczepiła dla niego człowieka.

Tamtego dnia na Ziemi Niczyjej wróciła po Aeduana, ale on po nią nie wróci. Już nigdy nie wróci. Nie było nas, nie było my, istniał jedynie środek prowadzący do celu.

– Przykro mi – rzekła teraz i wypowiedziała te słowa zarówno do Sowy, jak i do siebie samej.

– On wróci – oświadczyła dziewczynka i przez jej nici Więzi przepłotło się pasmo pewności.

Iseult nic nie odpowiedziała. Ta nadzieja była zbyt znajoma. Ten głód. Pewność, że to jakaś pomyłka i że w którymś momencie osoba, która cię porzuciła, zmieni zdanie. Aeduan tego nie zrobi, tak samo jak sześć i pół roku temu Gretchya.

Na szczęście nie musiała nic mówić. Najpierw pojawiły się srebrzyste nici Więzi, następnie górski nietoperz we własnej osobie, milcząca sylwetka na tle księżyca. Nim Iseult zdążyła powiedzieć Sowie, aby trzymała to stworzenie na dystans, Blueberry zanurkował w ich stronę.

Konie rzuciły się do ucieczki.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy Esme śpiewała, Merik niemal był w stanie udawać, że znajduje się zupełnie gdzieś indziej.

Skulony pod zimną ścianą jej wieży, mogąc się ogrzać tylko wystrzępionym kocem, zamykał oczy i pozwalał, aby jej głos unosił go hen, daleko.

Nie znał tej piosenki. Nie musiał. Dopóki śpiewała, nie tkwił uwięziony bez swojej magii. Nie był lalką, którą wiązały z nią rozszczepiające się nici Więzi.

Merik uznał, że ta kobieta jest niczym lis morski. W opowieściach stworzenia te zrzucały swoje skóry i usypiając czujność niczego niepodejrzewających żeglarzy, zwodziły ich na brzeg. A tam topiły. W sumie to całkiem przyjemna śmierć w porównaniu z tym półżyciem, w którym tkwił Merik.

Kiedy wybrzmiały ostatnie nuty piosenki Esme, rozległ się odgłos jej bosych stóp. Merik pilnował się, aby nie otwierać oczu, nie oddychać. Nadal śpię. Zostaw mnie w spokoju. Nadal śpię.

– Wiem, że nie śpisz, mały książę. – Przykucnęła obok niego. – Po twoich niciach Więzi widzę, że się obudziłeś.

Merik skrzywił się i otworzył oczy.

Uśmiechnęła się do niego. Jej twarz znajdowała się bliżej, niż mu się wcześniej wydawało. A potem w jej dłoni błysnęło coś srebrnego. Ugodziła go prosto w serce.

*

Cienie nie okazały się dla niego miłe. Śpiewały do niego z twarzy małej dziewczynki z jasnymi warkoczykami, a kiedy się uśmiechnęła, ten uśmiech nie kończył się na jej twarzy. Rozciągał się poza nią. Nuciała i chichotała bez końca.

Merik pragnął się obudzić, lecz cienie nie pozwalały mu na to. Otaczały go śmiech, ciemność i nienawiść.

*

Kiedy się obudził panowała ciemność, padał deszcz. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Wiedział jedynie, że po ścianach wieży prześlizguje się światło świec i że boli go klatka piersiowa.

Moje serce.

Udało mu się usiąść. Spojrzał w miejsce, gdzie powinna znajdować się rana. Dojrzał na koszuli krew, niemal czarną, i dziurę w materiale...

Ale żadnej rany. Jedynie delikatny cień w miejscu, gdzie zanurzył się nóż. Czuł dotkliwy ból – jak zawsze ból.

– Fascynujące, prawda? – Słowa Esmę ześlizgnęły się po nim. Miała teraz na sobie inną suknię, elegancką, z aksamitu w kolorze miodu. Była jednak za duża i kiedy kobieta szła w jego stronę, ciągnął się za nią materiał. Do piersi przyciskała księgę, którą mu pokazała tamtego pierwszego dnia. – Ty umarłeś, książę Meriku! A potem wróciłeś do świata żywych, aczkolwiek nie do końca. Nici wiążące cię z Furią pozostały nienaruszone. Nie pozwalają ci żyć, ale nie pozwalają także umrzeć.

Przykucnęła, a wokół niej rozłożyły się fałdy sukni, które błyszczały w świetle świec. Położyła księgę na ziemi i przerzuciła kartki.

– Wyobraź sobie konsekwencje – zachłysnęła się, kiedy znalazła szukaną stronę, całą pokrytą ręcznie narysowanymi wykresami. – Wyobraź sobie zastosowanie! Założenie jest niezwykle podobne do pierwszego Krosna Eridysi sprzed tysiąca lat. – Wskazała na rysunek, który według Merika rzeczywiście nieco przypominał krosno. – Gdybyśmy nie potrzebowali Furii żywego, wypróbowałabym na tobie inne śmierci. Utonięcie. Spalenie.

A w końcu ścięcie głowy. Obawiam się jednak, że tego rodzaju śmierć to mogłoby być dla ciebie już za dużo.

Uśmiechnęła się.

Merik zadrżał.

– Mam dla ciebie dzisiaj pracę, książkę. – Niecierpliwie przerzucała kartki. Jedną chyba nawet rozdarła. W końcu znalazła, czego szukała. – Potrzebuję więcej takich kamieni.

Zerknął na nie.

– Takie jak wcześniej?

– Nie. – Przesunęła palcem po kamieniu oplecionym liniami. Tuż pod nim starym językiem arythuańskim napisano: *Arlenni Loop*. – Te będą oplecione niciami, być może przędzą.

– Po co ci one?

Zmrużyła oczy i przez pół oddechu Merik się bał, że posunął się za daleko. Cały się spiął w oczekiwaniu na ból. Łańcuch przesunął się po skale.

Ale wtedy na twarzy Esmę pojawił się uśmiech. Westchnęła – był to dźwięk pełen zadowolenia.

– Zabawny jesteś, książkę. Nikt wcześniej nie wypytywał mnie o moją magię. Tylko Iseult, ale ona tak rzadko mnie już odwiedza.

Iseult? Esmę z pewnością nie mogło chodzić o dziewczynę, którą Merik znał. Nie było czasu na zadanie tego pytania ani nawet na zastanawianie się nad tym, bo Esmę przystąpiła do szczegółowego wyjaśniania koncepcji nici Więzi. Wskazywała na widniejące na stronie rysunki, spodziewając się pełnej uwagi Merika.

– Nici Więzi – oświadczyła – są wszędzie. Mruczą w skale. – Zastukała w podłogę. – W chmurach. – Machnęła w stronę okna. – W drzewach, w ptakach, w twoim sercu. – Z przebiegłym uśmiechem udała, że znowu dźga go nożem. – Cała magia to nic więcej jak manipulowanie niciami Więzi, książkę, i dawno temu potrafili to robić tylko Paladyni. Z wyjątkiem Dalekiego Wschodu, gdzie kiedyś mieszkali moi ludzie.

Merik ściągnął brwi.

– ‘Matsowie?

Wydeła wargi i wysunęła brodę.

– To słowo jest krzywdzące, książę.

Merik się wzdrygnął, szykując się na ogień. Na ból.

– Obrażliwe. Lekceważące to, kim jesteś. Czy naprawdę tak trudno wypowiedzieć całe słowo? No-matsowie. Albo, jak przed wiekami, No’A-matsowie.

– Przepraszam – wykrztusił. – Nie wiedziałem...

– Chcesz powiedzieć, że cię to nie obchodziło.

– Nie! – Uniósł przepaszająco ręce. Ogień, ogień, zaraz go stawi rozszczepiający ogień. – Nigdy wcześniej tego nie słyszałem, przepraszam.

– Słyszałeś, ale wolałeś nie słuchać. Wszyscy ludzie w Czaroziemiu są tacy sami. – Zadrżały jej skrzydełka nosa. – Powiedz to.

Przez chwilę nie do końca wiedział, o co jej chodzi. W końcu zrozumiał.

– Nomatsowie.

– Tak jak należy.

Niech to ścisną wrota piekielne, co ona przed chwilą powiedziała? Cholera, cholera. Nie słuchał, a ona miała rację. W swoim zarozumiałstwie nie chciał dawniej słuchać...

– No’Amatsowie! – wykrzyknął, zaskakując tym siebie, ale i Esme.

Wzdrygnęła się. Następnie wyprostowała, zaciskając dłonie w pięści. Był przekonany, że zaraz zaatakuje. Magią, szponami, ostrzami, które rozorają mu serce.

Tak się jednak nie stało. Mijały kolejne sekundy, a na jej twarz wypełzał niespieszny uśmiech. W końcu, niemal leniwie, przechyliła głowę.

– Grzeczny chłopiec z małego księcia. Skoro ty się nauczyłeś, to może jest jeszcze jakaś nadzieja dla Czaroziemia. No dobrze, na czym to ja skończyłam? – Odchrząknęła wyczekująco.

W głowie Merika odbywała się gonitwa myśli.

– Mówiłaś... mówiłaś, że na Dalekim Wschodzie magia jest inna.

– *Onga*. Tak. Na Dalekim Wschodzie każdy po przeszkoleniu potrafi dotykać nici Więzi, a dawno temu No'Amatsowie całe życie poświęcali na takie szkolenie.

– Dlaczego – zapytał ostrożnie Merik, licząc, że Esmę chce, aby zadawał jej pytania – magia jest tam inna?

Rzeczywiście chciała. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy i tym razem dotarł także do oczu.

– Wewnątrz ich ziem śpi inna bogini, a Jej wola różni się od woli naszego Śpiącego. Och, widzę po twoich niciach Więzi, że jesteś skonsternowany. W twojej świadomości nie istnieje żadna bogini, a jedynie bóg, bo oczywiście Nubreveni przekształcili kobietę w mężczyznę. Sama idea kobiety u władzy to dla waszych marnych umysłów coś niepojętego.

Esmę nachyliła się i zbliżyła oblicze do twarzy Merika.

– Widzicie silną kobietę i uważacie ją za złą. Widzicie milczącą kobietę... Och, chwileczkę; wy ich w ogóle nie widzicie. Powiedz mi szczerze, co sobie o mnie pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy?

Wiatrodziej zacisnął usta. Wbił wzrok w podłogę, wiedząc, że nie może protestować. Merik sprzed miesiąca zaprzeczyłby jej słowom. Zaciekle. Gniewnie, pozwalając, aby złość Niharów uwolniła jego wiatry.

Teraz nie miał wiatrów. Ani kłamstw, którymi mógłby siebie karmić. Dwa tygodnie temu dowiedział się tego od Cam. „Przestań widzieć, co chcesz widzieć”.

Na samą myśl o Cam zadrżało mu serce. Przygarbił się ze wstydem. Pozostała u jego boku, choć Merik niczym sobie nie zasłużył na taką lojalność. Modlił się do Nodena... czy... czy do tego, kto sprawował władzę nad Czaroziemem, aby Cam i Rybera byli całe i zdrowe.

Esmę westchnęła i teraz pobrzmiwała w tym nutka znudzenia.

– Później możemy kontynuować naszą lekcję, książkę. Teraz deszcz przestał padać. – Wskazała ręką na okno. – Więc pora, abyś się udał

do następnego sanktuarium.

Wyjęła z kieszeni klucz i wprawnymi palcami odczepiła łańcuch od drewnianego kołnierza.

– Moi rozszczępieńcy poprowadzą cię przez większą część drogi, więc rób to, co zeszłej nocy. I, książę... – Uśmiechnęła się, ukazując dołeczek w policzku. – Nie próbuj uciekać. Wiesz, co się stanie, jeśli nie posłuchasz.

ROZDZIAŁ 26

Wszystko działo się w zabójczym tempie – zbyt szybko, aby Safi potrafiła to ogarnąć, nie mówiąc o zareagowaniu. Piekielni bardowie poddali się, zostali zakuci w kajdany i gdzieś ich zabrano.

Safi też dokądś przetransportowano, poprowadziły ją żmije i formacja żołnierzy tak ścisła, że niczego nie była w stanie dojrzeć. Przez resztę wieczoru nie zobaczyła nikogo, kogo by знаła. Ani Vanessy, ani Rokesha, ani Habima...

Ani piekielnych bardów. Nie miała pojęcia, dokąd ich odprowadzono, nie miała pojęcia, co się dzieje.

W Pływającym Pałacu uzdrowiciele szybko zajęli się jej kostką, a potem jakiś obcy żmij znowu ją dokądś powiódł. Nazajutrz trzeba było dokonać oceny i sprawdzenia każdego detalu związanego z imperialnymi urodzinami. Okazało się, że buntownicy wkroczyli na teren Prastudni przez zasłoniętą urokiem dziurę w murze od strony północnej, więc Safi polecono zbadać dosłownie każdy cal pałacowych ścian w poszukiwaniu podobnego oszustwa.

I nic.

Następnie zmuszono ją do spotkania się z każdym żołnierzem, służącym i żmijem – kobietami i mężczyznami, których już wcześniej oceniała. Kobietami i mężczyznami sfrustrowanymi tą sytuacją tak samo jak ona. A w czasie, kiedy ich przepytowała, żmije dokonywały inspekcji broni i wszelkich narzędzi, aby się upewnić, że nie majstrowano przy żelazie.

Tyle że ani żmije, ani Safi niczego nie znaleźli.

Było już dobrze po północy, kiedy została wreszcie odprowadzona do swojej komnaty. Pomimo dręczącego jej mięśnie i powieki wyczerpania myśli Safi płonęły ogniem. Wydarzenia minionego dnia zbijały się w jej umyśle w jeden wielki trzaskający ogień – ognisty jastrząb, fałszywi żołnierze w lesie, rozświetlone magią drzwi.

Sekretna wiadomość Habima na mapie.

Bogowie jej świadkiem, że nade wszystko na świecie pragnęła porozmawiać teraz z Iz. Tyle że ani ściskanie kamienia Więzi, ani wyobrażanie sobie spokojnej twarzy więziosiostry nie sprawiło, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Iseult, gdziekolwiek się teraz znajdowała, nie mogła – albo nie chciała – ponownie wkraść się do snów Safi.

Kiedy dzwoneczki w wychodzących na ogród drzwiach zabiły trzy razy, w końcu dała sobie spokój z próbami dotarcia do Iseult. Miała książki z biblioteki Vanessy, szlachetne kamienie i nadal miała swój plan, który czekał na dokończenie.

Zrobiła miejsce na biurku i ściągnęła z szyi swój kamień Więzi. Następnie położyła na blacie kwarc, który trzymała w kieszeni przez cały dzień, otworzyła książkę i przystąpiła do pracy. *Rozumienie Więzi* autorstwa Anett det Korelli, przetłumaczone z nomatsańskiego na marstocki, opisywało szczegółowo tworzenie kamieni Więzi oraz w jaki sposób więziodzieje powiązywali Więzi ludzi z kamieniami, tak żeby kochankowie albo rodzina czy przyjaciele zawsze mogli odnaleźć siebie nawzajem i nigdy nie utracili tych, na których najbardziej im zależy. A jako że więziodzieje byli powiązani z eterem, podobnie jak magia Safi, wydawało się kolejnym logicznym krokiem, by spróbowała wykorzystać swą moc jak oni.

Poza tym czytając o więziodziejach, Safi rozmyślała o Iseult – a już samo myślenie o więziosiostrze nieco poprawiało jej nastrój i gasiło pożar w jej umyśle.

Siedziała przy biurku i rytmicznie przerzucała kartkę za kartką. Miała nawet nici dokładnie takie, jak opisano w książce, i choć nie mogła wpleść w te pasma prawdziwych nici Więzi, tak jak to robiła więziodziejka, mogła się skoncentrować na swojej mocy. Na ciepłe obecnym w prawdzie. Na ostrych szponach kłamstwa.

Safi wyrecytowała nawet słowa używane przez więziodziejów do skupiania ich magii: „Wiąż i naginaj. Łącz i rozkwitaj. Serce

przepełnia rodzina”.

Powtarzała je raz za razem, zaplatając nici w kolorze zachodzącego słońca.

– Wiąż i naginaj. Łącz i rozkwitaj. Serce przepełnia rodzina – mamrotała, aż zakończyła zaplatanie i owijanie cienką nicią swojego kwarcu. Na pierwszy rzut oka jej kamień wyglądał identycznie jak otrzymany od Iseult kamień Więzi, z wyjątkiem różnicy w kolorze.

Mimo to Safi wystarczyło jedno spojrzenie, aby wiedzieć, że te dwa kamienie nie są identyczne. Ten od Iseult wyglądał i sprawiał wrażenie żywego. Kamień Prawdy Safi był jedynie pustym kawałkiem skały owiniętym nitką.

– Nie, nie, nie – szepnęła i odrzuciła bezużyteczny kwarc na bok. Pod powiekami szczypały ją łzy. Nienawidziła tego. Tak samo jak białego pałacu i tego, że od czasu opuszczenia terenu Studni nikt nie udzielił jej żadnych cholernych wyjaśnień.

A przede wszystkim nienawidziła tego, że Iseult znajduje się tak bardzo, bardzo daleko. Z nią Safi potrafiła być odważna i silna. Z nią Safi była nieustraszona. Bez niej stała się jedynie dziewczyną uwięzioną w obcym kraju, gdy tymczasem nieznani wrogowie próbowali ją zabić.

Chwyła swój prawdziwy, dojmująco prawdziwy kamień Więzi i zerwała się z krzesła. Przed oczami zobaczyła gwiazdy. Zbyt długo siedziała, za mało zjadła. Zignorowała je – tak samo jak pulsowanie w błonach bębenkowych. Zamiast tego podeszła do drzwi i pchnęła je.

Nie znalazła tam wrony, w sumie to nie wiedziała, czemu się spodziewała, że ją tam spotka. Zobaczyła tylko świetlika. Migotał obok teleskopu, a chwilę potem zniknął. Zamigotał kilka kroków dalej.

Kiedys Habim powiedział Safi, że dzieci na widok świetlików wypowiadają życzenia. Pomyślała, że jeśli kiedykolwiek miała nadejść na coś takiego właściwa pora, to właśnie teraz. Podbiegła

więc do niego i wprawnie chwyciła w dłoń. Wydawał się nieporuszony jej dotykiem.

– Proszę – błagała Safi, obserwując, jak robaczek się rozświetla, przygasa i znowu rozświetla złotym błyskiem, który przekształcił ściskany przez nią w drugiej dłoni kamień Więzi w ogień. – Proszę, panie świetliku – powtórzyła. – Gdziekolwiek znajduje się teraz Iseult, niech będzie bezpieczna.

*

Iseult nie czuła się bezpieczna.

Może i udało jej się uciec przed żołnierzami, ale Leopold fon Cartorra prezentował sobą zupełnie nowy pakiet niebezpieczeństw, do których nie była przyzwyczajona. Bez mrugnięcia okiem potrafiła stawić czoła mieczom i pistoletom, pięściom i płomieniom, ale wyrafinowane gierki słowne i maski uprzejmości pozbawiały ją więziodziejskiego spokoju.

Iseult nie chciała zostawiać Sowy samej na moście, ale jeszcze bardziej nie chciała pozwolić, aby Leopold sam schwytał konie. Sowa miała przynajmniej Blueberry'ego, który nie pozwoli jej nikomu skrzywdzić. Gdyby natomiast książę postanowił uciec z ich wierzchowcami, wtedy Iseult i Sowa zostałyby bez środka transportu i, co gorsza, zapasów.

Czarny wałach uciekł w stronę lasu, za nim podążyła dereszowata klacz, zostawiając za sobą wyraźne ślady kopyt. Leopold szedł pierwszy, Iseult zaraz za nim. Przez cały czas miała na oku jego nici Więzi, ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni kordelasa.

– Nie ma takiej możliwości, aby konie wróciły do mostu – oświadczył książę, zerkając na nią przez ramię. – Przynajmniej dopóty, dopóki siedzi tam ten nietoperz.

– Najpierw musimy je złapać, potem będziemy się martwić, jak je nakłonimy do powrotu.

– Och, ależ złapiemy je. Nic się nie bój. – Leopold szedł swobodnym i pewnym siebie krokiem, jakby przemierzał pałacowe

korytarze, a nie skąpany w blasku księżyca górski las. – Rolf to doskonale wyszkolona bestia, a klacz pójdzie za nim.

– Świetnie, więc każ Rolfowi przejść przez most, żeby klacz mogła pójść za nim.

– Aż tak dobrze wyszkolony nie jest. – Znowu śmiech, na przekór temu, co ich otaczało. I tym razem także w sprzeczności z niemi Więzi Leopolda. Zamiast różowym rozbawieniem połyskiwały strachem. – Nawet wielkie białe niedźwiedzie ze Śniących Ziemi nie byłyby na tyle głupie, aby się zbliżać do górskiego nietoperza.

– Boisz się go.

– A ty nie?

– Nie – odparła Iseult i dotarło do niej, że to prawda. W tym całym chaosie na Ziemi Niczyjej nie było czasu na strach. Blueberry zaatakował ludzi, którzy chcieli ją zabić, a to czyniło z niego jej sojusznika. – Nie robi nam krzywdy.

– Naprawdę? Górskie nietoperze nie lubią smaku książąt?

Nim zdążyła mu wyjaśnić, że Blueberry krzywdzi tylko tych, którzy krzywdzą Sowę, Leopold się zatrzymał. Iseult niemal na niego wpadła. Dotarli do skalistej polany, gdzie nie było żadnego poszycia, które konie mogły zdeptać.

– To by było na tyle. – Książę odwrócił się w jej stronę i tym razem wyraz jego twarzy i nici Więzi pozostawały zgodne: czuł frustrację. – Dasz radę wyczuć ich nici Więzi?

– Zwierzęta ich nie mają. – Krążyła wokół niego.

– Zwierzęta ich nie mają? – powtórzył, idąc kilka kroków za nią. – Czy nie potrafisz ich wyczuć?

Iseult marzyła, żeby ten arystokrata wreszcie się przymknął.

– A czy to ważne? Moja magia nam nie pomoże i już. – Zmrużonymi oczami wpatrywała się w ziemię, szarą w świetle księżyca, ale było zbyt ciemno, aby dostrzec ślady kopyt. Za to do jej uszu dobiegł nowy dźwięk. Woda. Kolejny górski strumień.

Gdyby była koniem, który przez godzinę galopował, byłaby potwornie spragniona. A gdyby była spragniona, udałaby się do

strumienia, gdzie nie ma górskich nietoperzy. Szybko zaczęła iść przez polanę. Po chwili znowu znalazła się między drzewami i nie minęło dużo czasu, a dojrzała wierzchowce. Rzeczywiście stały obok leśnego strumienia.

– Rolf! – wykrzyknął Leopold, a radość przebijała się zarówno w jego głosie, jak i niciach Więzi.

Nim jednak zdążył dojść do swojego wałacha, Iseult dobyła kordelasa.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Znowu?

– Znowu – odparła. – Przy moście zaproponowałeś, że wszystko wyjaśnisz. Zrobisz to teraz.

– Żadnego „proszę”? – Uśmiech na twarzy, frustracja w niciach Więzi. – Jestem członkiem rodziny królewskiej.

– A ja mam w ręce broń.

– Ach. – Zdusił śmiech i powróciło różowe rozbawienie. Najwyraźniej spodobała mu się jej odpowiedź i bez dalszych protestów Leopold Czwarty, następca tronu Cartorry, rozpoczął swoją opowieść.

Jego intonacja miała w sobie coś z muzyki, słowa ześlizgiwały się po skórze Iseult, perfekcyjny rytm dźwięków i pauz. Idealne uzupełnienie zimnego, nocnego powietrza. Wyjaśnił powody swojej współpracy z wujem Safi. Ich celem było niedopuszczenie do ślubu prawdopodobnie z jego wujem, cesarzem Henrickiem. Następnie Leopold opisał, w jaki sposób wynajął Aeduaną pod pozorem schwytania Safi i jak sabotował całą podróż za pomocą przystanków, a nawet udzielania Aeduanowi błędnych wskazówek, a wszystko po to, by Safi dotarła w bezpieczne miejsce, nim dopadnie ją Aeduan.

Miała dotrzeć w bezpieczne miejsce, tyle że do akcji wkroczyła cesarzowa Marstoku.

Iseult przez całą jego opowieść milczała. Wersja Leopolda pasowała do tego, co wiedziała od Safi – a także od Aeduaną – tyle że zamiast obdarzyć księcia większym zaufaniem, ona ufała mu coraz

mniej. Przez cały czas na jego twarzy widniał zmęczony uśmiech, jakby ta cała sytuacja była jakąś grą, jakby uważał Iseult za godne politowania dziecko, które należy traktować z odpowiednią dozą pobłażliwości.

– A wtedy – zakończył i wykonał obrót prawym nadgarstkiem, jakby był kłaniającym się minstrelem – ukradłem pieniądze mnicha i kazałem moim piekielnym bardom przetransportować je do Lejny. Dla was. Wszystko bardzo ucziwie, jeśli się nad tym zastanowić.

Akurat, pomyślała Iseult. A na głos rzekła:

– Byłam w Lejnie. Nie widziałam żadnych piekielnych bardów.

– Dlatego że mieli zakaz zatrzymywania się w tym mieście, a kiedy ja tam dojechałem, ciebie już nie było. Od tamtej pory cię szukam. Miałem, i nadal mam, dostarczyć cię do Klasztoru Caraweńskiego.

Iseult zamrugła. Tego akurat się nie spodziewała. Z powrotem do Lejny? W porządku. Do Veñazy? Proszę bardzo. Sens miałyby nawet podróz aż do Cartorry. Ale Klasztor w samym środku gór był równie zaskakujący jak... Fakt, że w Tirli szukał jej cartorriański książę.

– Dlaczego właśnie tam?

– U mnichów będziesz bezpieczna – powiedział takim tonem, jakby było to coś najoczywistszego na świecie. – Safiya także, kiedy już tam dojedzie.

Safi. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Iseult poczuła, że ogarnia ją niepokój. Pragnęła zjednoczyć się z Safi. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła mieć przy sobie swoją więziosiostrę. Chciała, aby świat znowu wydawał się taki, jak należy. Safi upleciona ze słońca i śmiechu. Safi, która zaczynała, żeby Iseult mogła kończyć. Nigdy jej nie porzuciła. Zawsze była na „my” i „nas”, nigdy nie widziała w Iseult środka, lecz zawsze cel.

I która od razu by się zorientowała, czy Leopold kłamie.

– Ile czasu – odezwała się cicho, szeptem niewiele głośniejszym od strumienia – zabierze droga do Klasztoru?

Przez nici Więzi Leopolda przemknęła ulga. Uśmiechnął się ujmująco.

– Jeśli nie napotkamy po drodze żadnych przeszkód, powinniśmy dotrzeć tam jutro koło południa.

Iseult zacisnęła palce się na kamieniu Więzi. Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w posiniaczoną i spuchniętą twarz księcia. Przyglądała się także jego niciom Więzi, pełnym desperacji i nadziei.

– Jeśli ja... Jeśli Sowa i ja udamy się z tobą do Klasztoru, nie myśl sobie, że to dowód mojego zaufania.

Cisza. Ostrożność w jego niciach Więzi. Przesunął kciukiem po dolnej wardze.

– Co by cię przekonało, Iseult? Co muszę zrobić, aby udowodnić, że moim zadaniem jest służba tobie, tylko i wyłącznie? Moim jedynym celem jest dostarczenie cię do Klasztoru.

Iseult niemal się zachnęła. Książę i służba. A jednak, być może wbrew samej sobie, uwierzyła mu. Ta gorączkowość w jego niciach Więzi była prawdziwa. Mógł sobie przywdziewać różne maski, dopasowując je do swoich potrzeb, ale nici Więzi nie był w stanie zmienić.

– Rób tak częściej – rzekła po chwili, puszczając kamień Więzi. – Dopasowuj swoje miny do tego, co czujesz, a może zacznę ci wierzyć. Ludzie godni zaufania nie noszą masek.

Książęce nici Więzi na chwilę rozbłysły niepewnością, minęły dwa bicia serca, a potem nagle przemknęło przez nie uradowane ciepło – Leopold odchylił głowę i zaśmiał się. Ku niebu pofrunęły intensywne odcienie różu.

– O co chodzi? – zapytała Iseult, nieco opuszczając kordelas. – Co w tym takiego śmiesznego?

– To. – Wskazał na siebie i na nią. – To jest fascynujące. Choć muszę przyznać, że zaskoczyło mnie, jak łatwo potrafisz mnie przejrzeć. Mogę jedynie mieć nadzieję, że nie zdradzisz światu, co naprawdę czuję. Bądź co bądź czar i wdzięk to jedyne prawdziwe bronie w arsenale księcia. Ale jeśli uczciwość tutaj – wskazał na swoją twarz – to jedyne, co może udowodnić moją lojalność, w takim

razie mnie rozbroiłaś, Iseult det Midenzi. – Skłonił jej się z szacunkiem.

W rzeczy samej dziwne, że księżę mówi – i robi – takie rzeczy dla Iseult.

– Pomóż mi się zająć końmi – burknęła w końcu. Nie ufała mu w pełni, ale na tyle, aby udać się razem z nim do Klasztoru. Zresztą tam właśnie kazał im jechać Aeduan, mogła pozwolić, aby zaprowadził je tam księżę.

Szybko schowała kordelas. Wystarczająco dużo czasu tu zmarnowała. Sowa czekała.

– Będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, aby konie chciały tam wrócić, nie pozbywając się *Coja'kess*.

– *Coja'kess*? – powtórzył.

– Po nomatsańsku to znaczy „jagoda”.

– Nietoperz ma na imię Jagoda?

– To nasze ulubione pożywienie.

Z gardła księcia wydobył się kolejny śmiech, nadając jego niciom Więzi odcień zachodzącego słońca.

– Słyszałeś, Rolf? – Poklepał wałacha po szyi. – To nietoperz-owoc. Mówiłem ci, że nie ma się czego bać, staruszk.

ROZDZIAŁ 27

Aeduan już tu kiedyś był. Właśnie tutaj, w tej mrocznej dolinie. Szukał wówczas innego człowieka, który winien był pieniądze innemu sklepikarzowi. Wtedy był w tym dobry, i to się akurat nie zmieniło.

Czuł się, jakby przez ostatni miesiąc w ogóle nie miał dla siebie właściwego miejsca. A nawet ze dwa lata. Znowu się tu znajdował, automatycznie polował. Automatycznie zarabiał. Jeden kontrakt, potem następny. Jedna stopa, za nią druga. Każdy ślad taki sam, każdy klient taki sam i każdy po trzykroć przeklęty dzień też taki sam.

Nienawidził tego: jak łatwo do tego wrócił, jak szybko do jego kości wkradło się odrętwienie. Tego, że już porzucił planowanie. Nie czekało go nic oprócz realizacji zlecenia, a potem przystąpienia do kolejnego i tak dalej, aż do dnia śmierci.

Aeduan wiedział, że nie może bez końca unikać swojego ojca. Furia po niego przyjdzie. Będzie musiał wrócić do Ragnora. Sam powinien ruszyć na północ, oszczędziłby wszystkim zachodu.

Nie ruszył.

Ani nie zabrał się za poszukiwanie księcia Leopolda, choć tym także powinien się zająć. Miał pytania wymagające odpowiedzi, takie, które zaledwie dwa tygodnie temu były dla niego bardzo ważne.

Nie szukał księcia Leopolda, bo nie obchodziło go już, dla kogo księżę pracuje ani w czyjej krwi śpiewały mroźne zimy i czyste jeziora. I nie obchodziło go także, kto pomógł Leopoldowi uciec w Nubrevnie, ukradł należący do Aeduana kufer ze srebrnymi talarami i wysłał go na bezowocny pościg przez Czaroziemie.

Gdyby ta osoba tego nie zrobiła, on nigdy nie przyłączyłby się do Iseult, nie znalazłby Sowy, a życzenie, które wypowiedział przy świetlikach, nigdy by się nie spełniło.

Był krwiodziejem, potworem, a ten głód w jego trzewiach, który kazał mu wierzyć, że jest inaczej... Cóż, był też głupcem, że go w ogóle posłuchał. Nadawał się tylko do jednego.

Lepiej, żeby więcej o tym nie zapominał.

*

Aeduan znalazł dłużnika, pasterza z dwójką małych dzieci i chorą żoną, kiedy świt zaczął barwić niebo na różowo. Mężczyzna zakupił miecz, aby bronić rodziny przed najeźdźcami, o których wszyscy mówili, chociaż nie był w stanie zapłacić.

Łatwo go było nastraszyć. Aeduan sprawił, że w oczach zawirowała mu krew. Zamknął się na wszystkie myśli, wyrazy twarzy i ton głosu. To ktoś inny dobył swojego miecza. Ktoś inny patrzył, jak pasterz pada na kolana, błagając o więcej czasu.

Aeduan nic nie czuł. Nic go nie obchodziło. Zabrał wszystkie pieniądze, jakie miał ten człowiek, a potem się oddalił.

*

Podczas realizacji drugiego kontraktu, tego z poziomu czwartego, Aeduan czuł, że kamień bólu zaczyna go zawodzić.

Miał się zgłosić do niewielkiej kopalni żelaza w Marstoku, na wschód od Tirli. Niedługo będą mieć transport w kierunku zachodnim; potrzebowali ochrony. Raczej nie była to legalna dostawa, w przeciwnym razie wynajęto by prawdziwych żołnierzy.

Legalność nie miała dla Aeduana żadnego znaczenia. Pieniądze to pieniądze, kontrakty to kontrakty. Kiedy słońce weszło, po prostu udał się na wschód. To nie był gorący dzień, ale jemu robiło się coraz cieplej. Potwornie ciepło. Nieznośnie. Aż w końcu nie był w stanie dłużej tego znieść. Musiał się zatrzymać przy strumieniu.

Zdjął pelerynę. Napił się i spryskał wodą twarz. Następnie usiadł na brzegu i czekał, aż kamień bólu zupełnie przestanie działać.

Było gorzej, niż sądził. Jeśli uważał, że wczorajsza nagła ulga świadczyła o tym, jak źle było wcześniej, to nie miał pojęcia, co go czeka z nagłym powrotem bólu. Spodziewał się powolnej kaskady, jakby stał w rzece, a ona powoli się podnosiła. Zamiast tego ból okazał się falą przyływu. Wbił się w niego, ogniem atakując jego krew, pozbawiając wszelkich myśli, aż stał się niczym więcej jak otaczającymi jego ciało cieniami.

Przewrócił się do strumienia.

ROZDZIAŁ 28

Vivia wpatrywała się w stygnącą owsiankę. Powinna coś zjeść. Zamiast tego jej spojrzenie co i rusz przeskakiwało na puste miejsce obok niej i nietkniętą, coraz zimniejszą porcję.

Wyglądało na to, że Serafin nie przyjdzie na śniadanie. Co mogło oznaczać tylko jedno: dowiedział się o wizycie Vivii w Marstoku i swoją absencją wyrażał dezaprobatę.

Westchnęła, wypuszczając powietrze między zębami. Będzie musiała stawić czoła ojcu – przeprosić, być może nawet się płaszczyć. Choć nie do końca wiedziała za co. Bywało, że nigdy się nie dowiadywała, co takiego zrobiła, że obudziła jego gniew Niharów.

Przycisnęła ręce do piersi. Należało jak najszybciej stawić się u niego. W przeciwnym razie burza zagotuje się i zacznie narastać, aż w końcu eksploduje. Wtedy nie uspokoją go już żadne przeprosiny.

Gdzie się podziewa Stix? Z tą myślą Vivia wstała i skierowała się ku drzwiom. O tej porze kapitan powinna już czekać w Komnacie Bitewnej, aby zdać Vivii poranny raport. Kilka minut rozmowy z najlepszą przyjaciółką bardzo by jej się teraz przydało. Poza tym pragnęła jej opowiedzieć o Marstoku, o cesarzowej i słowodziejskim arkuszu ukrytym w fałdach jej sukni. Stix będzie wiedziała, co z tym wszystkim począć. Podpowie, jak powinien wyglądać kolejny ruch Vivii.

Tyle że nie czekała w Komnacie Bitewnej. Co gorsza, nikt ze służby nie widział jej tego ranka. Na stole nie leżał żaden list, kurier niczego nie dostarczył, komnata wyglądała dokładnie tak samo jak wczoraj, kiedy Vivia ją opuszczała.

Wyszła z pałacu, warcząc do strażników, aby dali jej spokój, po czym udała się do mieszkania przyjaciółki. Nic nie dało głośne pukanie do drzwi, a pajęczyna między drzwiami a sufitem

sugerowała, że długo już ich nie otwierano. Żołądek Vivii boleśnie się ścisnął, napierając na płuca. Stix nie przebywała tam, gdzie powinna, i co najmniej jeden dzień nie zjawiała się w domu. To drugie nie stanowiło akurat niczego niezwykłego – Stix, jak sama twierdziła, to niespokojna dusza.

Może jest w koszarach, pomyślała Vivia, po czym ruszyła w ich stronę.

I tutaj pudło, nie widział jej żaden marynarz ani oficer. Ani nikt w Twierdzy Pyna, w Rozszczepieńcu, w domu ojca Stix na Wzgórzu Królowej. Nikt nie spotkał kapitan od dwóch dni. Vivia z niczym udała się dalej, do Strażników Nodena.

Łódź zniknęła. A kiedy Vivia zapytała o przyjaciółkę rybaka o imieniu Aben – młodego mężczyznę, który każdy ranek spędzał na nabrzeżu z żyłką zanurzoną w mętnej wodzie i od którego ona i Stix otrzymywały regularne raporty o stanie zdrowia lokalnych ryb – odparł:

– Ano, widziałem, jak wczoraj bierze łódź. Nie mówiła, dokąd płynie, ale nie wyglądała na zbyt zadowoloną.

– W którą stronę popłynęła?

Machnął ręką na południe.

– Zgubiłem ją z oczu, nim jeszcze dotarła do mostu.

Vivia podziękowała i szybko się oddaliła. W porcie mogła pożyczyć łódź i stamtąd dostać się do południowych Strażników. Tam z całą pewnością złapie Stix.

Poranne cienie były długie, wody zatłoczone i choć myśli Vivii wypełniały pytania o to, co się dzieje ze Stix, żeglowanie przychodziło jej równie naturalnie jak chodzenie. Przepływała wprawdzie obok licznych jednostek w porcie, aż w końcu dotarła do południowego mostu wodnego.

Dzięki Mostom Wodnym Stefin-Ekarta rzeka Timetz biegła przez dolinę z otaczającymi Lovats polami uprawnymi. Były one tak wysokie, że statki czekające na wpłynięcie do miasta sunęły pośród chmur. Wybrzmiało dziewięć uderzeń dzwonu, nim oczom Vivii

ukazali się Strażnicy Nodena. Ich smagane wiatrem twarze były równie wielkie jak okręty wojenne, a kamienne hełmy zdobiły pióra wielkości sosen. Na kamiennych tułowiach mieściły się wąskie okienka i otwory dla łuczników, natomiast niżej widać było długie, zaokrąglone parapety. Po obu stronach rzeki, u stóp gór, znajdowały się szerokie odnogi, dzięki magii kierujące się do góry. Tym sposobem statki dostawały się do ziejącego otworu u stóp Strażników.

Ci pradawni stróże miasta stanowili także pierwszą siedzibę Nubreweńskiej Marynarki Królewskiej i Nubreweńskiej Piechoty Królewskiej. Z parapetów zwisały intensywnie niebieskie flagi, powiewające na porannym wietrze.

Vivia szybko uzyskała odpowiedź co do Stix. Nikt – ani wojskowy, ani cywil, ani uchodźca – nie widział osoby, która pasowałaby do jej opisu.

Kapitan zniknęła. Słuch po niej zaginął.

W drodze powrotnej Vivia wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie zwracała uwagi nawet na jaskółki szybujące wraz z ciepłymi, unoszącymi się nad doliną prądami. Wiły gniazda pod mostami wodnymi. W normalnych okolicznościach ona i Stix nawoływałyby do nich, wyśpiewywałyby niemądre piosenki o bezpiecznych przystaniach czy dziarskich wiatrach.

Na tę myśl Vivia poczuła się chora. To wszystko jej wina. Była tak bardzo pochłonięta sobą. W swej naiwności sądziła, że bez konsekwencji może opuścić miasto na cały dzień. Gdyby tu została, Stix by nie odeszła – a przynajmniej nie bez jakiegoś wyjaśnienia. A gdyby Vivia była na miejscu, wiedziałyby, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Nagle zrozumiała, jak Merik czuł się przed rokiem. Jego więziobrat Kullen zaginął w Górach Sirmayańskich podczas stawiania wież wartowniczych, a wówczas Merik poruszył niebo i ziemię, żeby go odnaleźć. Vivia także zrobiłaby wszystko, co tylko

możliwe, aby się dowiedzieć, gdzie zniknęła jej najlepsza przyjaciółka.

Tyłu rzeczy żałowała, ale przecież musiała przeć do przodu, musiała dalej szukać.

Stix gdzieś tam jest i Vivia ją znajdzie.

*

Dochodziło południe, kiedy ponownie dotarła na Wzgórze Królowej. Jej celem była leżąca na szczycie posiadłość Sotarów; być może wizer będzie wiedział, dokąd udała się jego córka. A jeśli nie... cóż, musiał się w takim razie dowiedzieć o jej zaginięciu.

Zatrzymała się w połowie drogi, kiedy na jej ramieniu wylądowała czyjaś dłoń. Odwróciła się na pięcie, a w głowie krzyczało imię „Stix” – jednak zamiast niefrasobliwego uśmiechu przyjaciółki ujrzała wąsatego chłopaka w królewskiej liberii.

Rat, najmłodszy giermek jej ojca.

– Wasza Wysokość, ojciec życzy sobie widzieć się z panią. – Co kilka słów głos mu się wznosił o oktawę. – Leży w sypialni, zbyt słaby, aby wstać.

Vivia poczuła, że krew odpływa z jej twarzy. Najpierw Stix, teraz Serafin... To za dużo jak na jeden dzień. Zostawiła na ulicy Rata i szybkim krokiem ruszyła w stronę pałacu. Nie przejmowała się ani okrzykami, ani odprowadzającymi ją spojrzeniami. Choć raz ucieszyłyby ją obecność strażników.

Jeszcze wczoraj król regent był w doskonałym zdrowiu. To twoja wina. Odeszłaś, bo byłaś zdenerwowana, a teraz on znowu opadł z sił. Do tego Stix. Wszystko robisz źle. Egoistka, egoistka – jak mogła być taką po trzykroć przeklętą egoistką?

Dotarła do królewskiego skrzydła pałacu mocno zasapana, cała spocona, włosy lepiły jej się do czoła. Rat, który przez całą drogę gnał za nią, teraz ją wyminął, aby otworzyć drzwi.

– Pańska córka... – zaczął, ale nim zdążył skończyć, Vivia wparowała do komnaty.

Spodziewała się ciemności, jakiej wymagał jej ojciec w czasie swej choroby. Zamiast tego przez wysokie aż do sufitu okna wpadało słońce, a ojciec nie leżał w łóżku, z zamkniętymi oczami i świszczącym oddechem, tylko stał – nawet nie siedział na fotelu na kółkach, lecz stał obok buzującego ogniem paleniska.

Wyglądał jeszcze lepiej niż wczoraj. Silne ramiona, rumieńce na policzkach. Nawet jego włosy sprawiały wrażenie gęstszych.

Serafin nie zareagował na pojawienie się Vivii, kiedy zbliżyła się do niego, nie odwrócił wzroku od ognia.

– Wasza Wysokość, jesteś chory? – zapytała niepewnie.

– Gdzie się podziewałaś? Czekam na ciebie od dziewięciu uderzeń dzwonu.

– Nie wezwałeś mnie.

– A muszę?

W końcu odwrócił się od paleniska, ale nie w stronę córki. Podeszedł do stojącego pod oknem biurka. Jego ruchy były naznaczone sztywnością, a twarz przeciął ból.

– Przybyli już uzdrowiciele? – zapytała Vivia. Nie zauważyła bursztynowych mikstur czy tubek z maścią, które zazwyczaj zostawiali. – Wezwę ich, Wasza Wysokość. – Odwróciła się do drzwi.

– Zostań. – Głos króla regenta przecięła błyskawica.

Vivia zamarła.

– Musimy omówić moje plany dla wojska.

– Dla... wojska? Nie rozumiem.

Prychnął, czym chciał zasugerować, że Vivia udaje głupią.

– Jako admirał decyduję, kiedy, gdzie i w jaki sposób stawimy czoła Królowi Zdobywcy. I tak zrobiłem. – Nie czekając, aż Vivia zareaguje na to oświadczenie, przystąpił do opisywania swoich planów wysłania wojsk w Góry Sirmayańskie, poczynionych do spółki z generałami i niższymi admirałami w Marynarce i Piechocie Królewskiej. Planów, które układał w ciągu ostatnich dwóch tygodni bez choćby jednej konsultacji z Vivią. A ona mogła jedynie stać

i patrzeć. Serafin nie wiedział o jej wczorajszej wizycie w Marstoku. Właściwie to nie miał pojęcia, że w ogóle opuściła miasto.

Co ważniejsze, nie był admirałem Królewskich Sił Zbrojnych. Jako przyszła królowa to Vivia zajmowała to stanowisko. Co oznaczało, że jego plany były zarówno niepożądane, jak i mało pomocne.

Nie powiedziała tego jednak na głos. Nie Serafinowi. Na samą myśl o czymś takim serce trzepotało jej jak u polnej myszy. Co było oczywiście niedorzeczne. Przecież wszystko, co robił jej ojciec, czynił dla jej dobra.

Czyżby? – odezwał się nowy głos. Sam fakt, że tak mówi, nie czyni tego prawdziwym. Ukradł ci przecież przemowę...

Nie, nie. Vivia potrząsnęła głową. Nie wolno jej tak myśleć. Wczoraj się zdenerwowała, bo ją zaskoczył. Dzisiaj czuła się już lepiej.

Jej ojciec ciągnął swą wypowiedź, unosząc z biurka kartki i wymachując nimi z emfazą i mocą charakterystycznymi dla dawnego Serafina.

– Przy zachowaniu obecnego tempa najeźdźcy dotrą do naszych granic za cztery dni. Mają potężnych lododziejów, więc to ich będziemy musieli wyeliminować w pierwszej kolejności.

– Lodo... dziejów? – Jej głos przybrał wysokie brzmienie. Nie miała pojęcia, o czym mówi ojciec. Ani co się znajduje na kartkach, którymi wymachiwał.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do komnaty, wyraz twarzy Serafina uległ złagodzeniu.

– Oczywiście, oczywiście. Nie czytałaś pism z wież wartowniczych. – Uśmiechnął się ciepło i czarująco, tak inny od człowieka, którym był jeszcze dwa tygodnie temu, przykutego do łóżka i cierpiącego.

Vivię powinien cieszyć taki widok. Powinna z radością oglądać go wyprostowanego, uśmiechniętego. Zamiast tego wzbierały w niej mdłości.

Przełknęła ślinę.

– Jakie pisma z wież wartowniczych? Dlaczego ich nie widziałam?

– Bo to ja jestem admirałem.

– A ja przyszłą królową. Należało je skierować do mnie.

– W porządku, Vivio, jeśli rzeczywiście tego chcesz, mogę ci je przysłać. Chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze. – I znowu ten uśmiech, tym razem jednak podszyty protekcjonalnością. Jakby była dzieckiem upierającym się przy jedzeniu kolacji razem z dorosłymi. – Twoja matka nigdy nie chciała ich oglądać, założyłem więc, że z tobą będzie tak samo. Tak bardzo jesteś do niej podobna.

Pustka w głowie, zaschło jej w gardle. Nie chciała być taka jak matka, odziedziczyć szaleństwa. Chciała być pewna siebie i silna jak Serafin.

Doprawdy jesteś do niej podobna? – upierał się wewnętrzny głos. Zawsze ci mówił, że tak jest, ale to wcale nie oznacza, że to prawda. Po raz kolejny odsunęła na bok tę myśl.

– Co mówią te wszystkie wiadomości? – wyrzuciła z siebie.

– Król Zdobywca posuwa się naprzód. – Serafin ponownie zamachał kartkami. – Jego lododzieje zamrażają Timetz, ma liczne oddziały. Jednakże my, Nubreveni, znamy ten teren lepiej niż on i jego ludzie. Ale przecież dopiero co o tym mówiłem... nie słuchałaś, Vivio?

Słuchała, i teraz miała już wystarczająco informacji, aby wypełnić luki i zrozumieć pełne znaczenie jego strategii na pokonanie Króla Zdobywcy. Zamierzał wysłać na północną granicę wszystkie siły zbrojne, lądowe i morskie, wykorzystać własną znajomość terenu i powstrzymać najeźdźców, nim ci przekroczą granicę Nubrevny. Pozornie była to rozsądna strategia, taka, której Vivia spodziewała się po swoim ojcu. Ale znajdowała się w niej jedna, poważna luka.

– Co się stanie, jeśli przegracie? Nie zostaną wtedy żadni żołnierze do obrony miasta.

– Nie dojdzie do tego. – Serafin zachichotał. – Stawimy im czoło i odniesiemy zwycięstwo.

A jeśli coś pójdzie nie tak?

Gdyby do tej rozmowy doszło przed dwoma laty, zanim Serafina dopadła podstępna choroba, Vivia ochoczo przyklasnęłaby planowi ojca, nie zadając żadnych pytań. Teraz jednak widziała jego słabe strony.

Gdyby zginęły wszystkie oddziały, Lovats po raz kolejny zostałoby oblężone. I choć takie oblężenie okazywało się dotąd niegroźne, bo stolica miała zabezpieczenia nie do pokonania i zapasy na wiele miesięcy, teraz nie była już taka jak dwadzieścia lat temu. Magazyny i spiżarnie dziś wyglądały zupełnie inaczej.

Vivia знаła Lovats jak własną kieszeń. Od budynków, z każdym dniem coraz wyższych, do podziemnych korytarzy, przejść i dróg wodnych. Miała okazję eksplorować każdy cal tego miasta jako dziecko, z matką, a potem sama. Dlatego doskonale wiedziała, że wraz ze śmiercią Jany umarła wszelka troska o infrastrukturę Lovats.

Serafin widział, jak łatwo dwa tygodnie temu doszło do uszkodzenia zapory, a mimo to nadal wierzył, że te mury i mosty są na tyle silne, aby powstrzymać wojska wroga. Trwał w przekonaniu, że te mury i mosty są na tyle silne, aby zapewnić ochronę setkom tysięcy uchodźców.

– Miałem już do czynienia z najeźdźcami, Vivio. – Znowu ten protekcjonalny uśmiech. – Doskonale wiem, co mnie czeka na granicy.

– Co czeka ciebie? – Teraz rzeczywiście doznała szoku.

– Ano, jestem admirałem, poprowadzę wojsko do walki.

– Nie czujesz się wystarczająco dobrze, aby to zrobić.

– Słucham? – Skrzydełka jego nosa zadrżały.

– Nie czujesz się dobrze. Zaledwie tydzień temu zacząłeś samodzielnie chodzić, bez pomocy wózka. Jak niby miałbyś poprowadzić wojsko do walki?

– Miałem okazję walczyć i wygrywać ze znacznie gorszymi dolegliwościami niż ta choroba, Vivio. Na Stu Wyspach walczyłem

z Marstokczykami z nożem w udzie. Choroba nie ma już nade mną kontroli, więc...

– Nie. – Słowo to wydostało się z gardła Vivii zbyt szybko, aby je powstrzymać, a już na pewno rozważyć. – Nie, wcale tak nie było. To nie ty dowodziłeś w bitwie na Stu Wyspach. Straciłeś przytomność, kiedy zostałeś ranny, a dowództwo przejął twój pierwszy oficer.

Evrane opowiedziała jej przed laty tę historię, zanim Serafin zabronił swojej siostrze wstępu do miasta.

– Jako przyszła królowa to ja decyduję, komu przysługuje tytuł admirała Królewskich Sił Zbrojnych. I nie wyznaczyłam na to stanowisko ciebie. Nadal pozostaję admirałem, więc to ja obmyślę strategię. Ty tymczasem przestaniesz obmyślać plany razem z marynarką i piechotą lądową. A jeśli chodzi o kierowanie do ciebie korespondencji, dzisiaj taka praktyka dobiega końca. Od teraz wszelkie pisma będą trafiać do mnie. W tej wojnie na pierwszym miejscu musi być, i będzie, naród Nubrevny.

Gdy Vivia wypowiadała te słowa, w jej ojcu dokonana się zmiana. W ciągu kilku sekund rozpalili się gniew Niharów. Widziała to w jego postawie – prostych plecach, zaciśniętych ustach. Gdyby chciała, mogłaby temu jeszcze zapobiec, powstrzymać eksplozję. Jedyne, co musiała zrobić, to przeprosić. Płaszczyć się i błagać. Tak jak przez całe swoje życie. I być może tak właśnie zrobiłaby dobra, kochająca, lojalna córka. Najwyraźniej ona wcale taką nie była, a może nie interesowało ją dzielenie chwały ani odpowiedzialności.

Już nie. Nie z nim.

– Jesteś mile widziany podczas popołudniowego zebrania Wysokiej Rady – rzekła, unosząc wysoko brodę. – Twoje sugestie i doświadczenie zawsze będą cenne, ojczy. – Nie mówiąc nic więcej ani się nie oglądając, Vivia wyszła z królewskiej sypialni.

Bez żalu, byle do przodu.

Na razie nie dobiegły jej żadne krzyki, ale w końcu ją dogonią. Zawsze tak się działo. Trzy kroki zmieniły się w dziesięć, a z komnaty Serafina nadal nic nie słyszała. Dopiero kiedy opuściła

królewskie skrzydło, a strażnicy utworzyli formację wokół niej, w końcu rozległ się ryk Serafina.

Vivia zdecydowanym krokiem szła przed siebie. Nadciągał Król Zdobywca, a ona musiała przygotować na to miasto – i wojsko.

ROZDZIAŁ 29

Drogę Merika w Pozniniu znaczyli rozszcziepieńcy. Stali obok siebie, ramię w ramię, tak jak zeszłej nocy. Okrążali drzewa, sadzawki i rozwalające się budynki. Merik mijał place, niegdyś otwarte na nocne niebo, teraz zarośnięte dębami i bukami. Widział posągi zaduszane bluszczem, cmentarze porośnięte chwastami i omszałe szubienice. A to wszystko otoczone było przez rozszcziepieńców. Wszędzie rozszcziepieńcy, stojący na straży ze wzrokiem wbitym przed siebie i twarzami naznaczonymi głodem. Merik nie pojmował, jak to możliwe, że żyją, skoro nie jedzą, nie piją, a może nawet się nie ruszają.

On sam był głodny jak wilk. Odkąd Kullen go zostawił, Esme nie zaproponowała nic do jedzenia, a i wody nie miał pod dostatkiem. Dwukrotnie przyznała, że chyba powinna go nakarmić, ale w obu przypadkach zapomniała. A może jej słowa były jedynie kolejną grą, eksperymentem. Rany klute go nie powaliły, może zrobi to głód.

Niedaleko północnych obrzeży Poznina Merik minął na wpół rozpadający się, na wpół zalany budynek. Biały kamień przybrał kolor brązowy, drewniane podłogi dawno już zgniły, a dach się zawalił, zostały jedynie wysokie, przekrzywione ściany i prowadzące donikąd schody. Wszystko otaczała mętna sadzawka porośnięta pałkami. Świeciło słońce, widok byłby piękny, gdyby nie te wszystkie zwłoki.

Na wodzie unosiły się dziesiątki ciał, w różnym wieku i różnych ras. Ciekawe, czy ci rozszcziepieńcy sami się potopili, czy też zmusiła ich do tego Lalkarka.

Wzdłuż pleców Merika przebiegł chłodny dreszcz. Zwolnił, po czym się zatrzymał. Dostrzegł tuż obok siebie ciało kobiety z kwadratową tarczą na plecach. Wiatr zakołysał pałkami.

W tym miejscu było coś uspokajającego, co przywoływało do siebie, błagało, aby wszedł do wody i znalazł ukojenie. Nim zdał

sobie sprawę, co czyni, tak właśnie zrobił. Na łydkach poczuł lodowatą wodę. Kolejny krok i sięgała mu już do kolan. Wlała mu się do butów – i to w końcu przywołało go do teraźniejszości. Spanikowany obrócił się. Poślizgnął się i wpadł do wody. Rzucił się rozpaczliwie pośród pałek.

„Chodź – śpiewała woda. – Chodź i znajdź ukojenie”.

Merik nie był gotowy na tego rodzaju ukojenie. Jeszcze nie. Chciał pozostać przy życiu – i to bardzo – pragnął jakoś uciec. Naprawdę uciec.

Zamierzał wrócić do Cam i Rybery. A Kullen... Furia... Merik na nim także nie postawił jeszcze krzyżyka.

Jakoś udało mu się wstać, wygramolił się z wody. Puścił się biegiem i pędził, dopóki sadzawka, zwłoki i przywołująca go śpiewem woda nie zostały daleko w tyle.

Wtedy zwolnił. Cały był przemoczony, czuł potworne zimno. Kiedy dotarł na peryferie Poznina, jeszcze całkiem nie dosechł. Księżyc oświetlał łąki, ciągnące się aż po horyzont. Tutaj kamienne budynki pozostały w stanie niemal nienaruszonym, jedynie drewno przegrało walkę z wiatrem, burzami, wodą.

Do tego tutaj zimny wiatr smagał z dwukrotnie większą siłą. To właśnie były Wietrzne Łąki – ocean trawy i prądów powietrza, które powinny rozbudzić magię Merika.

A tu nic.

Na łąkach czekali na niego kolejni rozszczępieńcy, już nie tak blisko siebie jak wcześniej. Co pięćdziesiąt kroków z trawy wyrastały kościste postacie. Nie widział końca ani łąk, ani rozszczępieńców.

Aż w końcu, tuż po świcie, pomiędzy dwoma wzgórzami księżę wypatrzył sanktuarium. Obok niego stał ostatni rozszczępieniec, potężny mężczyzna w podniszczonym kożuchu i ciężkich butach. Wyglądał jak Północnik, jak plemienni myśliwi zamieszkujący tundrę na rubieżach Śniących Ziemi. Podobnie jak w przypadku wszystkich mijanych przez siebie osób Merik zastanawiał się, jak ten mężczyzna tu trafił, czy ma rodzinę.

Tak czy inaczej, teraz był niczym więcej jak chodzącym trupem.

Daleko na linii horyzontu widać było nitkę dymu – wioska albo może jakaś farma. Pustym żołądkiem Merika ścisnęło pragnienie pobiegnięcia w tamtą stronę i błagania o pomoc. Ten głód był inny niż przy sadzawce, kiedy woda wciągnęła go wbrew jego woli. Tutaj jego ciało i umysł pozostawały w zgodzie, to właśnie takiej ucieczki pragnął, takiego ukojenia.

Gdyby tylko okazał się wystarczająco szybki, gdyby Esmie nie ruszyła w ślad za nim... Ale nie było się co łudzić. Ona lub Furia jak nic udaliby się za Merikiem. Dopóki jego szyję otaczał kołnierz, Merik pozostawał ulubioną zabawką Esmie.

Zostawił za sobą rozszczępionego Północnika i zszedł do sanktuarium. Proszę cię, Nodzenie – błagał przy każdym kroku. Proszę, niech tam będzie jedzenie. Tylko o tym był w stanie myśleć, przyspieszając, niemal biegnąc.

Tutaj kamienna formacja okazała się jeszcze wyższa niż w lesie, u podstawy nie rosła trawa. Jedynie ciemna ziemia, zdeptana przez stopy i kopyta. Merik jednak widział tylko jedzenie. Owoce, chleb, krąg sera, a nawet suszona świńska noga... Odegnął muchy i przystąpił do ucztowania. Jadł tak dużo, tak szybko, że zrobiło mu się niedobrze. Mimo to dalej jadł, gryząc i przełykając, aż w końcu żołądek mu napęczniał i do gardła podeszła żółć. Wtedy przyczołgał się do kamiennej płyty, oparł się o nią.

Stracił poczucie czasu, w pewnym momencie przysnął. Obudził go świerszcz, który usiadł mu na głowie. Słońce zdążyło już zmienić położenie, a cień rzucany przez płytę wydłużył się. Merik zadrzał z zimna. Ale... Esmie nie było w jego umyśle – nie pojawiła się w nim przez cały dzień. Nie wiedział, co to oznacza.

Wstał, choć potwornie bolały go nogi. Otrzymał przecież zadanie, lepiej je wykonać, zanim w końcu zjawi się Lalkarka. Kamienie, kamienie, szlachetne kamienie. Tego właśnie pragnęła, więc będzie je teraz zbierał. Podnosił je z ciemnej ziemi i wkładał do otrzymanego od niej woreczka. Leżały wszędzie, miały najróżniejsze

rozmiary i kolory. Składano tu jeszcze więcej ofiar niż w poprzednim sanktuarium. Tyle skarbów dla bogini, która według Esme nie istniała.

To zabawne, że Merik wcześniej nie dostrzegł, jak wiele rzeczy tu złożono. Widział jedynie jedzenie. Teraz jednak jego oczom ukazywały się także lalki, miski, kwiaty i plecione z sitowia maty. I nóż. Ktoś zostawił go na jednym z mniejszych kamieni, skrywał się w drewnianej pochwie z pięknie wygrawerowanymi liśćmi.

Merik zapragnął mieć go na własność.

Rozejrzał się, jakby Esme mogła pojawić się zaledwie kilka kroków od niego, gotowa do ataku. Gotowa ukarać go za choćby myśl o pozyskaniu broni.

Niczego nie dojrzał. W głowie nie wyczuwał żadnego głosu.

Ostrożnie wziął nóż do ręki. Wiatr rozwiewał intensywnie czerwone, przytwierdzone do rękojeści frędzle. Stał zasyczała, kiedy uwolnił ostrze z pochwy. Lśniła w popołudniowym słońcu, ostra i pięknie ukształtowana.

Och, jakże Merik pragnął tego noża.

Spuścił wzrok na swoje buty z wysokimi cholewkami. Były brudne, ale całe. Może mógłby go tam zatknąć, dzięki czemu nie byłoby go widać, a nie krępowałoby mu to ruchów. Schylił się i wyciągnął z buta nogawkę spodni.

Położył się na nim jakiś cień. Cień w kształcie człowieka.

Merik raptownie się wyprostował i odwrócił. Serce podeszło mu do gardła. A potem zrobił krok w tył. Gapił się na niego ten rozszczępieniec ze wzgórza, poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Przecież rozszczępienci nie mówili, na pewno to Esme go przysłała. Merik uniósł swój nowy nóż. Zabije go, jeśli będzie musiał. Tyle że on go wcale nie atakował. Mężczyzna jedynie stał, kołysał się, drżał i próbował coś powiedzieć.

Coś było nie tak. I to bardzo.

W końcu z płuc mężczyzny wydostał się dźwięk przypominający darcie papieru. Chwilę później się to powtórzyło.

Do Merika dotarło, że on mówi. Jego źrenice nie były już czarne, lecz niebieskie. A jego skóra, jego żyły – zniknęły wszystkie cienie, pozostawiając jedynie naturalną, ogorzałą fakturę.

Ten człowiek nie był już rozszczepiony.

Merik wyprostował się i w tej samej chwili mężczyzna błagalnie wyciągnął ku niemu rękę, a potem się przewrócił.

Książę padł przy nim na kolana.

– Wszystko w porządku? – Głupie pytanie, ten człowiek nie jadł od nie wiadomo ilu tygodni i jakimś cudem, którego Merik nie pojmował, powrócił ze stworzonego przez Esme świata rozszczepionych.

Zostawił mężczyznę i rozejrzał się. Miski, które widział wcześniej, pełne były deszczówki. Najpewniej świeżej, po wczorajszych burzach. Wystarczająco świeżej dla umierającego człowieka.

Sięgnął po jedną taką miskę, z młotkowanego brązu, i ostrożnie, nie chcąc uronić choćby kropli, wrócił z nią do Północnika. Postawił naczynie na ziemi, zdjął płaszcz, a potem koszulę. Wiatr przypuścił atak, kości zadrżały mu w tym nagłym chłodzie. Szybko wdział płaszcz. Zanurzył rękaw koszuli w misce, następnie zbliżył go do ust mężczyzny i delikatnie ścisnął.

Kiedy Merik był mały, setki razy widział, jak robiła to Evrane, gdy wrywała ze szpon śmierci chorych i rannych. Z Kullenem też tak robiła, po jego atakach. Merik za każdym razem przyglądał się temu, wykręcając dłonie, targany przerażeniem.

Teraz odczuwał to samo przerażenie. Ten człowiek jakimś cudem przeżył rozszczepienie, książę nie pozwoli mu umrzeć.

Czas mijał w rytm skapujących z bawełny kropli wody. Powoli mężczyzna przestawał się trząść, odzyskiwał kontrolę nad swoim gardłem i chrypiał dziwne słowa, które nie brzmiały jak jakikolwiek język. W końcu udało mu się usiąść.

Słońce odbyło już połowę drogi po wschodnim niebie.

– Nie rozumiem – rzekł Merik, kiedy mężczyzna po raz kolejny próbował się z nim komunikować i ledwie przytomny wskazał na

kamień, potem na wzgórze. Merik pokręcił głową i powtórzył po cartorriańsku: – Nie rozumiem cię. – Następnie wypowiedział to po dalmocku i nubreveńsku. Dopiero kiedy uciekł się do svodeńskiego, na twarzy mężczyzny w końcu pojawiło się zrozumienie.

– Gdzie? – zapytał po svodeńsku. Ponownie wskazał na kamień, na wzgórze.

– Arythuania – odparł Merik.

Zmarszczone czoło, bardziej konsternacja niż przerażenie – ale i ono się pojawiło.

– Kiedy?

– Rok... – Na moce piekielne, jak brzmiały podwójne liczby po svodeńsku? Nie potrafił sobie przypomnieć, więc rzekł tak: – Rok dziesięć i dziewięć.

Teraz przyszła pora na szok... i żółć. Nim Merik zdążył go chwycić i mu pomóc, mężczyzna zgiął się w pół i zwymiotował. Najpierw wodę, potem ciemną żółć, aż w końcu krztusił się już tylko powietrzem. Kiedy skończył, po jego policzkach płynęły łzy, złobiąc cienkie linie w warstwie brudu.

– Jak? – Nie patrzył Merikowi w oczy. – Cztery lata. Jak?

Merik wciągnął gwałtownie powietrze. Cztery lata. Cztery lata. To niemożliwe, by tak długo pozostawał pod wpływami Esme.

– Dlaczego... ty zdrowy? – zapytał księżę. U tego mężczyzny cofnęło się rozszczepienie, Merik chciał, musiał się dowiedzieć, jak to się stało.

Północnik jedynie pokręcił głową.

– Koniec – rzekł. – Ciemno, a potem koniec.

Nim Merik zdążył zinterpretować jego słowa, powróciła sama czarodziejka.

„Gdzie jesteś, księżę?”

Najszybciej, jak potrafił, odwrócił się od Północnika. Esme potrafiła widzieć jego oczami, nie mogła go zobaczyć. Istniała szansa, że temu człowiekowi uda się uciec, Merik nie zamierzał pozwolić, aby ponownie przywłaszczyła sobie jego życie.

– Jestem w sanktuarium – rzekł, chwiejnym krokiem podchodząc do głównego kamienia.

„Dlaczego? – Cień błyskawicy, zaledwie kropla bólu w żyłach Merika. – Do tego czasu powinieneś już być z powrotem w Pozniniu”.

– Zasnąłem. Od ofiar z jedzenia zrobiło mi się niedobrze. – Do głosu Merika wkradła się panika, wyrzucał z siebie słowa z gorączkowym pośpiechem. Pozwalał im na to. Tak przecież reagował na Esme, z uleczonym Północnikiem czy bez niego.

Zwłaszcza kiedy ból przybierał na sile.

– Proszę – wycharczał, zaciskając zęby. – Proszę, zebrałem kamienie, a teraz wyruszę w drogę powrotną, przestań, przestań, przestań!

„Pokonasz ją biegiem – nakazała mu Esme, a ton jej głosu był lekceważący, znudzony. – Będę niezadowolona, jeśli nie dotrzesz po północy”.

I nagle wypuściła go ze swoich szponów.

– Dobrze – przytaknął, pochylając się. Nie miał pojęcia, jak mu się uda tak długo biec.

Tym problemem zajmie się później.

Przez długą chwilę Merik wciągał głośno powietrze, wibrowało mu w płucach. Nie magia, jedynie chłód, zapach skał i ziemi. Stał tak, aż zyskał pewność, że Esme zniknęła. Stał tak, aż Północnik rzucił chrapliwie:

– Pomóc.

Merik odwrócił się w jego stronę, zakładając, że to on potrzebuje pomocy. Ale nie. Mężczyzna wskazywał na Merika. A potem poklepał się po szyi.

– Pomóc – powtórzył i do Merika dotarło, że chodzi mu o kołnierz.

– Nie. – Pokręcił głowę. – Mnie nie może pomóc.

Ten człowiek nie miał kołnierza, zresztą jak wszyscy rozszczepieńcy Esme z wyjątkiem Merika. A skoro Północnik nie miał pojęcia, w jaki sposób został uzdrowiony, Merik nic nie mógł

zrobić. Gdyby próbował uciec, Esme od razu by go do siebie przywołała.

Podszedł do mężczyzny i wskazał na wzgórze.

– Północ. – Wskazał jeszcze raz. – Idź na północ. Ludzie. Pomoc. I masz... – Podniósł z ziemi nóż. Czerwone frędzle śmiały się teraz z niego.

Północnik nie wziął go jednak.

– Ty. – Ponownie wskazał na Merika. I jego szyję. – Nóż?

Merik chciał tego. Pragnął mieć dającą poczucie bezpieczeństwa świadomość, że dysponuje sekretną bronią, o której nie wie Esme. Ale co by zrobił z tym nożem? Nie mógł jej zaatakować – zrobiłaby to pierwsza i go zniszczyła. I choć to pokrętna logika, w Pozninie był bezpieczny. Na razie Esme nie chciała pozbawiać go życia. Potrzebowała go dla Furii i do swoich eksperymentów.

Poza tym gdyby zwróciła przeciwko niemu swoją armię rozszczępieńców, jednym nożem nic by nie zdziałał. A temu Północnikowi mógł się przydać w drodze do ludzkich osad.

– Ty – powtórzył Merik. Tym razem ujął kościstą dłoń mężczyzny i zacisnął jego palce na rękojeści. – Ty.

Mężczyzna ściągnął brwi.

– Co to... miejsce? – Wskazał na sanktuarium, na wzgórze, z którego zszedł, a potem na kołnierz Merika. – Co to miejsce?

– Koszmar – odpowiedział Merik i zastanowił się, jak to możliwe, że pamiętał to akurat słowo, chociaż zapomniał, jak się liczy. Tak czy inaczej, to właśnie słowo było jak najbardziej odpowiednie w tej sytuacji, więc powtórzył: – Koszmar. Uciekaj.

ROZDZIAŁ 30

Stix obudziły jakieś głosy. Nie w głowie, lecz prawdziwe, wydobywające się z ludzkich gardeł. Kłóciły się... O nią.

– Nie możemy jej tak zostawić, Ry.

– Nie możemy też czekać, aż się obudzi. Mamy zadanie do wykonania, Cam. Obiecuję, że potem po nią wrócimy.

– A co, jeśli się wcześniej ocknie? Albo pierwsi dorwą ją najeźdźcy? Proszę, Ry. Intuicja mi mówi, że powinniśmy zabrać ją ze sobą.

Pełne frustracji westchnienie.

– Kto tu jest wzrokodziejką?

Chwilę później Stix usłyszała zbliżające się kroki, a kiedy uniosła powieki, zaatakowało ją światło. Skrzywiła się i uniosła ręce, słabe i obolałe, aby zakryć twarz.

Gdzie ja jestem?

– Obudziła się – odezwała się młoda kobieta z krótkimi, czarnymi włosami, skórą o ciepłym odcieniu, ciut jaśniejszą od skóry Stix, i oczami w kolorze księżycowego srebra. Wysoko unosiła lampion, miała ściągnięte z niepokojem brwi. – Wiesz, jak tu się dostałaś?

Stix pokręciła przecząco głową, ledwie zauważalnie. W głowie jej pulsowało. Cała była obolała. Pamiętała głosy... i wodę... i drzwi. Niewiele więcej.

– Wiesz, kim jesteś? – Młoda kobieta nie odpuszczała. – Pamiętasz, jak się nazywasz?

– Stacia... Sotar. – Jej głos brzmiał niczym połamane brzytwy. Na Nodena, gdzie ona się znalazła? I czemu wszystko ją tak bolało?

– Cóż – rzuciła dziewczyna i zerknęła za siebie – jest z nią lepiej niż z Kullenem. Kiedy go znalazłam, nie pamiętał swojego imienia, stanowiska ani niczego.

– Ale pierwszy oficer Ikray był już wtedy rozszczepiony, czyż nie? – Na linii wzroku Stix pojawiła się druga osoba. Miała

miedzianobrązową skórę z jaśniejszymi plamkami na prawym policzku. Zbliżyła do piersi zabandażowaną dłoń. – Pierwsza oficer Sotar nie wygląda, jakby jej magia się zepsuła.

– Jestem... kapitan Sotar. – Stix próbowała usiąść, mięśnie brzucha zdecydowanie zaprotestowały. – I nie jestem... zepsuta.

Chłopak przysunął się, zdrową ręką podparł plecy Stix i pomógł jej usiąść.

– Ostrożnie, pani kapitan. – Obdarzył ją promiennym uśmiechem, tak bardzo kontrastującym z otaczającą ich ciemnością i wilgocią.

– Skąd wiecie, kim jestem? – zapytała Stix ochrypłym głosem.

– Służyliśmy w Marynarce Królewskiej. Na Janie, zanim...

– Zanim wyleciała w powietrze – dokończyła dziewczyna. Kucnęła obok Stix, odstawiając latarenkę na bok. Następnie odpięła od paska manierkę i podała jej. – Jestem Rybera, a to Cam.

Stix wzięła manierkę, a uśmiech chłopaka stał się jeszcze szerszy. Krzepiący był to uśmiech, musiała przyznać, pijąc zimną wodę. On i Rybera rzeczywiście wydawali się jakby znajomi.

– Co to za miejsce? – zapytała, kiedy już zaspokoila pragnienie. – Jak się tutaj dostałam?

– To jest Przeszłość – odparła Rybera takim tonem, jakby to stanowiło coś najnormalniejszego na świecie. Wstała i podniosła z ziemi wypchaną torbę. – A jeśli chodzi o to, jak się tutaj dostałaś, mam swoje podejrzenia, ale czas nagli, więc albo wstajesz i idziesz z nami, pierwsza oficer... to znaczy kapitan, albo tu zostajesz.

– Nie zostawaj – wtrącił chłopak. – Za nami są najeźdźcy. Nie wiemy, kiedy tu dotrą, ale na pewno nie chcesz tu wtedy być.

Rybera i Cam równie dobrze mogły mówić do Stix w obcym języku, tak mało sensu miały ich słowa.

– A wy czemu tu w ogóle jesteście? – zapytała. – Co to za miejsce i o jakich mówicie najeźdźcach?

Rybera pokręciła głową.

– Już mówiłam, nie ma czasu. Postaram się to wyjaśnić po drodze, ale nie możemy dłużej czekać. – Rybera wyciągnęła rękę. – Idziesz?

Stix nie miała wyjścia, chwyciła dłoń i rzekła:

– Idę.

Rybera pociągnęła ją, a Cam wspierała ją od tyłu. Razem pomogli jej wstać i niech ją przeklnie Noden, rzeczywiście potrzebowała pomocy.

Jej spojrzenie padło na znajdujący się w pobliżu niski podest. Na nim leżał połamany miecz i potłuczone zwierciadło. „Śmierć, śmierć, ostateczny koniec”. Na szyi i rękach pojawiła jej się gęsia skóra.

– Co to jest? – Zrobiła krok w stronę podestu. – Ja... znam te przedmioty.

– Te przedmioty – odparła Rybera i stanęła przed nią – są niebezpieczne dla ludzi takich jak ty. Miałaś je w ręce?

– Chyba... tak? – Stix zamrugła, potarła oczy. „Śmierć, śmierć, ostateczny koniec”. – Co masz na myśli, mówiąc „ludzie tacy jak ja”?

– Później wytłumaczę. – Rybera położyła stanowczą, acz życzliwą dłoń na ramieniu Stix. – Kiedy już będziemy w drodze.

Razem z Cam odciągnęła Stix od tych nawoływań do ostatecznego końca.

Nie licząc kręgu światła zapewnianego przez latarenkę, w pomieszczeniu panowała mroczna ciemność, do tego pod nogami mieli czarne kamienne płyty, a ze wszystkich stron napierały na nich cienie.

Stix nadal niczego nie pamiętała.

Tunel za niskimi drzwiami okazał się zbyt wąski, aby Cam nadal mogła podierać Stix, więc upewniwszy się, że kapitan da radę iść sama, przeszła za Ryberę.

Stix zamykała pochód, gotowa do udania się ich śladem. Tyle że nogi wcale nie chciały jej słuchać.

„Śmierć, śmierć, ostateczny koniec”.

Obejrzała się.

Za nią pojawiły się jakieś postacie, chyba ze sto, wisiały jak na szubienicy. Wpatrywały się w nią – czuła na sobie ich wzrok, mimo że w mroku nie dostrzegała żadnych oczu.

Nie są już zagniewani, pomyślała, choć wcale nie rozumiała, co oznacza ta myśl. Wiedziała jedynie, że te duchy nie mają nic przeciwko jej odejściu, więc spiesznie pomknęła za coraz bardziej oddalającą się plamą światła.

Stacia Sotar ani razu się nie obejrzała.

ROZDZIAŁ 31

Ogień ryczy. Drewno trzeszczy, wszędzie fruwa żar.

– Biegnij. – Krew kapie z ust jego matki, gdy wypowiada to słowo.

Rozpryskuje się o jego twarz.

Splamionymi czerwienią rękami kobieta podpira się, podnosząc się z ziemi. Chce, żeby on się spod niej wyczołgał. Chce, żeby uciekł.

– Biegnij, moje dziecko, biegnij.

Ale on się nie rusza, tak samo jak wtedy, kiedy najeźdźcy przypuścili atak na osadę. Tak samo jak wtedy, kiedy jego ojciec dobył miecza i wybiegł z namiotu.

Albo kiedy najeźdźcy stanęli w progu namiotu, wypuścili strzały, a jego matka padła na niego. Osłaniała go swoim ciałem, dopóki nie odeszli.

– Biegnij – szepcze po raz ostatni, a jej srebrne oczy pełne są błagalnej desperacji. A potem opuszcza ją resztką sił. Osuwa się na niego.

– Wstawaj, krwiodzieju.

Obudził go potworny ból. Woda wlała mu się do ust, zabierając powietrze, zakrztusił się. Otworzył oczy, zaatakowało go jasne słońce. I woda. Musiał wpaść do strumienia, kiedy stracił przytomność.

Strasznie mu było zimno.

– Wstawaj.

Znowu ten ból w żebrach. Choć ten ktoś jedynie delikatnie szturchał go nogą, miał wrażenie, że to zakończony kolcami but Evrane. Aeduan uniósł głowę. W zasięgu jego wzroku pojawiła się twarz. Brązowa skóra, czarne warkocze, caraweńska peleryna.

Mniszka Lizl – próbował powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko kaszel. Prędkość i wianki ze stokrotek, pocałunki matki i ostra stal. Słabo, ale jednak czuł jej zapach. Chwyliła go za ramiona

i podciągnęła – na tyle, żeby wsparł się na swoich rękach i uniósł na czworakach. Nie przestawał kaszleć, ale przynajmniej już się nie krztusił wodą. Po długiej chwili konwulsje w końcu ustały.

Ale nie ból, o nie.

Jakby podążając za tokiem jego myśli, Lizl kucnęła przy nim. Z trzymanego w jej dłoni sztyletu – jego sztyletu – zwisał kamień bólu Aeduana. Bezużyteczny kawałek różowego kwarcu.

– Chcesz mi to wyjaśnić, krwiodzieju? Sądziłam, że już się ze wszystkiego wyleczyłeś.

– Wyleczyłem.

Prychnęła.

– Zatem czemu woda w tym strumyku jest czerwona od twojej krwi, a ty wyglądasz jeszcze gorzej, niż kiedy byłeś nieprzytomny? – Cisnęła nóż na bok. Kamień bólu poszybował w stronę drzew. – Na dodatek się trzęsiesz. Trzyście lat szkolono nas w najzimniejszym miejscu w całym Czaroziemiu i nigdy nie widziałam, abyś drżał.

– Są miejsca jeszcze zimniejsze.

– Ach. – Wyprostowała się. – Dobrze wiedzieć, że nadal przekorny z ciebie palant. A teraz wstawaj.

Aeduan pokręcił głową. Drzewa zawirowały, rozmyły mu się przed oczami.

– Nie mogę – wyrzucił z siebie.

– W takim wypadku – odwiązała od pasa grubą, skórzaną linę – będę cię musiała do tego zmusić.

Nim zdążył ją powstrzymać, choćby pojąć, co ona zamierza zrobić, zawiązała mu linę na szyi jak psu. Pociągnęła.

Nie miał wyboru. Mroczki latały mu przed oczami i jeśli nie wstanie, znowu straci przytomność. Więc jakimś cudem, nie miał pojęcia jak, znalazł w sobie na to siłę i podniósł się. Próbował spojrzeć na Lizl, ale jej twarz zlewała się z otaczającym ich lasem. Usiłował powiedzieć: „Jestem mnichem, tak jak ty. Nie traktujemy siebie w taki sposób”, ale dał radę wykrztusić jedynie:

– Jestem... mnichem.

– Wcale nie – odparła obojętnie. Następnie zagwizdała i spomiędzy drzew wyszła solidnie zbudowana kasztanka, a zaraz za nią przywiązany do niej osiodłany szary osioł. – Mnisi nie spiskują i nie zdradzają swoich.

Chwilę trwało, nim do Aeduana dotarł sens tych słów. Na tyle długo, aby koń i osioł zbliżyły się do nich. Na tyle długo, aby Lizl mogła rzucić jeszcze:

– Wsiadaj.

I na tyle długo, aby znowu została zmuszona pociągnąć za linę.

Ciężko dysząc, chwycił się lęku przy siodle osła. Zamrugął. Nagle Lizl znalazła się tuż za nim i pociągnęła go do góry. W końcu udało mu się wsiąść, ból dosłownie eksplodował. Nachylił się, obejmując szyję osła. Lina lekko się poluzowała, a Lizl się uśmiechnęła.

– Nigdy nie sądziłam, że dożyję takiego dnia, krwiodzieju. Ty, schwytany przeze mnie. – Zaśmiała się radośnie, po czym wyjęła coś z fałd białej peleryny, czystej i niepodartej. W słońcu zamigotał kamień bólu, nowy i świeży. – Pewnie chciałbyś go mieć, co? – Zerknęła na kamień, ściągając brwi z udawaną koncentracją. – Założę się, że od razu dodałby ci siły. Może, krwiodzieju, jeśli będziesz się dobrze zachowywał, dam ci go. Ale twoją broń sobie zatrzymam.

– Czego ode mnie chcesz? – wychrypiał.

– Już ci mówiłam. W Tirli. – Schowała kamień i odwróciła się. Lina się naprężyła, kiedy podeszła do konia. – Chcę tamtych pieniędzy.

– Jaki... to ma związek ze mną?

– Nie udawaj głupiego. – Wskoczyła na siodło. – Chcę głowy Króla Zdobywcy, krwiodzieju, a nie sądzę, by udało mi się ją zdobyć łatwiej niż dzięki porwaniu jego syna i wzięciu go jako zakładnika.

ROZDZIAŁ 32

Następnego ranka nieznane Safi żmije zaprowadziły ją do części pałacu, której nigdy dotąd nie miała okazji odwiedzić, leżącej głęboko w trzewiach wyspy. Znajdujące się w długim korytarzu cele z piaskowca pozostawały puste, z wyjątkiem jednej na samym końcu.

– O, bogowie! – Safi wciągnęła głośno powietrze i wbiegła do niej.

Wisiele w niej piekielni bardowie, przytwierdzeni do ściany za pomocą żelaznych łańcuchów. Tylko Lev uniosła powieki na dźwięk otwieranej żelaznej bramy. Caden i Zander wisiele bezwładnie, nie dawali oznak życia.

– Lev? Słyszysz mnie? – Safi szybko podeszła do kobiety i ujęła w dłonie jej pokiereszowaną twarz. Przez brud przeświecały słone ścieżki łez.

Powieki Lev zatrzepotały. Żrenice jej pulsowały, jakby wiedziała, że Safi tu jest, ale nie potrafiła jej umiejscowić.

– Co oni ci zrobili? – szepnęła Safi.

Lev zaśmiała się słabo.

– Powinnaś... powinnaś zobaczyć tego drugiego. – Tyle tylko dała radę powiedzieć, nim znowu straciła przytomność.

Za Safi rozległy się kroki. Odwróciła się i zobaczyła, że do celi wszedł żmij – ten sam, który regularnie trzymał wartę pod jej komnatą. W pierwszej chwili poczuła ulgę. To człowiek, którego znała, mógł jej pomóc w uwolnieniu piekielnych bardów.

W tym momencie dostrzegła w jego lewej ręce zatrute strzałki. Oslawione narzędzie marstockich żmijów, długości igieł do szycia, z małymi kępkami czerni na końcu. Nagle przypomniały jej się te wszystkie historie z dzieciństwa, o żmijach jadodziejach tak potężnych, że potrafili zatruć krew bezpośrednio w żyłach. O podłych asasynach, którzy dla ochrony cesarzowej nie cofną się przed niczym. O ciemności, torturach i bólu.

– Ty... zatrueś ich.

Żmij spuścił głowę. Safi zrobiła krok w tył.

– Oni umrą?

– Ból i sen – odezwał się. – To wszystko, co im dałem.

– „Dałem?” – Spojrzała na ślady łez na twarzy Lev. – To nie jest dar! Oni uratowali życie twojej cesarzowej. Moje także, i pewnie wielu innych ludzi w Azmirze, a ty odpłacasz im się bólem?

Żmij nie zareagował. Zatrute strzałki leżały na jego odzianej w rękawiczkę dłoni.

– Odsuń się, prawdopodobnie.

– Nie. – Safi się wyprostowała. – Czy cesarzowa wie, że to robicie? Nie wierzę, że pozwoliłaby na coś takiego.

– Mam rozkazy. – Zrobił krok w jej stronę. – Muszę je wypełniać.

Nie ustąpiła.

– Czyje?

– Odsuń się. – W jego tonie pobrzmiwała ostrzegawcza nutka.

– Czyje?!

– Moje. – Do celi wszedł Habim z ponurą miną. – Wyjdź – rzucił do Safi, generał w każdym calu. – To nie jest miejsce dla dzieci.

Safi nawet nie drgnęła. Mogła tylko wlepić w niego wzrok. To nie był człowiek, którego znała. Może i miał tę samą twarz, robił te same miny. Ale w środku...

Już cię nie znam.

– Co ona tu robi? – zapytał teraz żmija.

– Cesarzowa chce, aby potraktowała Cartorrianów swoją magią.

– To się nie uda. – Habim lekceważąco machnął ręką. – Piekielni bardowie są odporni na magię.

Nie znam cię. Nie znam cię. Wzdłuż kręgosłupa Safi przesuwała się fala krzyku, jednak zamiast wybuchnąć zapytała najspokojniej, jak umiała:

– Jak mogliście poddawać ich torturom?

Na trzy długie bicia serca wstrzymała oddech. Patrzyła Habimowi w oczy, siłą woli próbując go zmusić do udzielenia odpowiedzi.

Miała w nosie jego plan, ich role nadwornej prawdodziejki i generała ogniodzieja. Świat wywrócił się do góry nogami i to on musiał go naprawić.

W końcu Habim rzekł:

– Nakazałbym mu torturowanie nawet ciebie, prawdodziejko, gdybym uznał to za konieczne.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo. Co to była za odpowiedź?

– Zabierz ją stąd – nakazał żmijowi. – I przekaz Jej Wysokości, że dysponuję już wszystkimi potrzebnymi odpowiedziami.

– Nie – warknęła Safi, nim żmij zdążył się ruszyć. – Nie wyjdę stąd, dopóki ich nie uwolnicie.

– W takim razie długo będziesz czekać. Zabrać ją.

Żmij ruszył w jej stronę, Safi się zaparła. Ją też będą musieli zatruć, jeśli chcą, aby sobie stąd poszła. Dwa kroki i żmij znalazł się przy niej, a ona dalej stała w bezruchu. Kiedy chwycił ją za nadgarstek, wyrwała mu się. Prosty ruch, którego nauczył ją swego czasu właśnie Habim.

Żmij ponownie ją chwycił i tym razem zbliżył strzałkę do jej szyi...

– Dostyc tego. – Habim przeszedł przez celę i po raz pierwszy, odkąd zjawił się w Azmirze, przestał nieco nad sobą panować. Na opuszkach jego palców połyskiwał ogień. – Obudź dowódcę – warknął do żmija, a kiedy ten się oddalił, Habim spojrzał surowo w oczy Safi. – Ci ludzie nie są twoimi przyjaciółmi. To wrogowie i nie mieliby żadnych oporów przed poddaniem cię torturom.

W jego głosie brzmiało przekonanie, trzepoczące prawdą i ciepłem, ale przecież nie znał tych piekielnych bardów tak dobrze jak ona. Odwróciła się do niego plecami i obserwowała z przerażeniem, jak żmij wyjmuje z karku Cadena dwie strzałki. Kilka oddechów później oczy piekielnego barda otworzyły się. Zachłysnął się jak tonący i rozejrzał gorączkowo po celi. Safi szybko podeszła do niego i zrobiła to samo co w przypadku Lev: ujęła jego brodę i uniosła.

– Safi – wykrztusił, rejestrując ją rozbieganymi źrenicami. – Jesteś ranna?

– Ćśś – wymruczała, choć serce boleśnie jej się skręcało. – Przykro mi, że ci to zrobili, Cadenie. Tak bardzo, bardzo przykro.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedział cicho. Nie plątał mu się język tak jak Lev, ale tak samo jak ona nie do końca był obecny. Jego umysł pozostawał gdzieś daleko, uwięziony i przerażony. – Czekaliśmy na ciebie, Safi, a kiedy zobaczyliśmy tamten atak, przedostaliśmy się przez otwór w murze. Chcieliśmy stworzyć tarczę obronną, żeby ochronić miasto, ale nie było czasu...

– Stop. – Od ścian celi odbiło się polecenie Habima. – Ten człowiek jest niebezpieczny. Odsuń się.

Nie posłuchała go, a cierpliwość Habima jeszcze bardziej zmaląła. Podszedł do niej, ale nie odepchnął jej na bok, tylko wsunął palec za pętlę Cadena, złoty łańcuch noszony przez wszystkich piekielnych bardów.

– Dziecko, myślisz, że kim jest ten człowiek? Myślisz, że co piekielnym bardom robi ta pętla? Czego cesarz Henrick chce, to otrzymuje. Wystarczy, że ich pan pociągnie za smycz, a pieski go słuchają. – Pociągnął za łańcuch, a z gardła Cadena wydobył się głuchy jęk. – Nie mają wyboru. Oderwano im ich magię, ich etery, i powiązano z imperatorem. Jeśli nie spełnią rozkazu, umrą. Jeśli zdejmą pętlę, zginą.

– Wiem – odparła Safi, bo tak właśnie było. Caden jej wytłumaczył, kim są piekielni bardowie. Wyjaśnił, że z dusz wyrwano im magię. Nie miała jednak wcześniej pojęcia, że za niewykonanie rozkazów Henrick może ich zabić.

Ale to przecież niczego nie zmieniało.

– Powiedz mi, piekielny bardzie. – Habim pociągnął mocniej za pętlę. – Co się z tobą stanie, jeśli wrócisz do swojego pana bez prawdodziejki? Co zrobi ci Henrick? Słyszałem, że bywa bardzo nieprzyjemny.

– Nie – wychrypiał Caden. Spojrzał Safi w oczy. – Nie... dlatego... zostaliśmy.

– Nie okłamuj jej. – Habim pociągnął za łańcuch. Caden syknął i przewrócił oczami. – Gdyby rzeczywiście zależało wam na prawdodziejce, trzymalibyście się od niej jak najdalej. Dopóki jesteście blisko niej albo cesarzowej, stanowicie ciężar. Dopóki żyjecie, stanowicie ciężar.

Pociągnął mocniej, i jeszcze mocniej, aż mocniej się już nie dało. Safi chwyciła go za nadgarstek.

– Przestań, Habimie. Proszę, puść go.

Ku jej zaskoczeniu – i uldze – Habim tak właśnie zrobił. Puścił łańcuch. Głowa Cadena opadła w tył i uderzyła w ścianę.

Generał posłał żmijowi znaczące spojrzenie.

– Dokończ to.

Nim Safi zdążyła zareagować, Habim objął ją i pociągnął w stronę drzwi.

Dokończ to. Dokończ to. Dopiero po dwóch krokach i gwałtownym wdechu dotarł do niej sens tych słów.

– NIE. – Safi rzucała się. Walczyła. Próbowwała się uwolnić, ale to przecież człowiek, który ją wyszkolił. Z nim nie wygra. Już cię nie znam. Już cię nie znam.

Nim jednak Habim zdążył wyciągnąć Safi na korytarz, rozległ się głos Cadena, silny i donośny:

– Zostaliśmy z powodu twojego wuja, Safi! Zostaliśmy dlatego, że aresztowano go za zdradę i w ciągu tygodnia zawisnie na szubienicy.

Habim zamarł. Safi również. Nawet żmij zdawał się zdumiony tymi słowami. I choć nie mogła użyć na Cadenie swojej magii, nie miała wątpliwości, że powiedział prawdę.

Wuj Eron... Aresztowany za zdradę. W ciągu tygodnia zawisnie na szubienicy.

W głowie Safi rozbijały się trzy pytania: jak to się stało, że pojmano Erona? Jak mogła go uratować? I dlaczego, na cholerne piekielne bramy, tak bardzo się tym przejęła? Przez całe życie

sądziła, że go nienawidzi. A teraz nie potrafiła sobie wyobrazić świata, w którym by go nie było.

Jeśli wcześniej uważała się za bezradną, było to nic w porównaniu z ciężarem, który spadł na nią teraz. Wuj Eron znajdował się na drugim końcu Czaroziemia i nie mogła mu pomóc, tak samo jak wiszący w celi piekielni bardowie.

Spojrzała Habimowi w oczy, pewna, że ujrzy w nich przerażenie, jakie z pewnością malowało się na jej twarzy, ale natrafiła jedynie na determinację. Żołądek wywrócił jej się na drugą stronę. On wiedział. Wiedział, a mimo to nie uznał za stosowne jej poinformować. Nic, odkąd się tu zjawiał, nic od niego nie otrzymała.

Nim jednak jej gniew zdążył się w pełni rozjarzyć, a z jej gardła wydobył się krzyk, palce Habima zacisnęły się na jej ramieniu. Zdecydowany, krzepiący dotyk, dzięki któremu powróciła do czasów dzieciństwa. Do tych niezliczonych razów, kiedy uspokajał ją podczas gry w karty, w kości albo podczas pyskówki z wujem Eronem.

Wujem Eronem, którego aresztowano za zdradę.

Wujem Eronem, który w ciągu tygodnia zawiśnie na szubienicy.

Habim odprowadził ją do drzwi, sześć kroków dalej – dzięki czemu mieli sześć kroków, podczas których mógł szepnąć jej coś, czego nie usłyszy żmij.

– Bądź gotowa. Podczas przyjęcia wykonamy nasz ruch. Bądź gotowa.

A potem wypchnął ją na korytarz, gdzie stały ochraniające ją żmije.

Drzwi celi zamknęły się za nią z brzękiem.

ROZDZIAŁ 33

Iseult nie posiadała się ze zdumienia, jak bardzo może się zmienić krajobraz przez zaledwie jeden dzień drogi.

Wczoraj wieczorem jechali wśród jarzębin, jodeł, pokrzyw i traw. Nim nastał świt, drzewa zostały zastąpione zimozielonymi roślinami, a miękka trawa ustąpiła miejsca turzycy. Ścieżki stawały się coraz węższe, aż w końcu musieli zostawić konie.

– Do domu – rzekł Leopold do wałacha, odwiązawszy od siodła zapasy. Ku zaskoczeniu Iseult Rolf rzeczywiście zdawał się rozumieć polecenie. Odwrócił się i krótko potem zniknął między skarłowaciałymi sosnami. Za nim posłusznie udała się skradziona klacz.

– Czy twój dom nie jest daleko stąd? – zapytała, nieufnie mierząc wzrokiem Blueberry'ego. Krążył wysoko nad nimi i choć Sowa obiecała, że nie zje koni, Iseult nie była do końca przekonana.

– Dostyc daleko. – Leopold się uśmiechnął. – Mówiłem, że to doskonale wyszkolony koń.

Bez wierzchowców ich tempo spadło. Sowa nie była w stanie szybko iść, a z każdą kolejną godziną robiło się coraz bardziej stromo. Rankiem miniaturowe drzewa, granitowe skały, stare, dawno opuszczone chatki wędrowców opatulały już śnieg i lód. Słońce topiło zmarzlinę, przez co robiło się jeszcze bardziej ślisko.

Iseult dwa razy się przewróciła. Leopold także. Sowa za to nie upadła ani razu. Ta mała ziemiodziejka zawsze wiedziała, gdzie stawiać stopy. Albo może po prostu nakazywała kamieniom pozostać na miejscu, a one posłusznie spełniały jej wolę.

W końcu zniknęły nawet karłowate sosny. Wędrowali ponad linią drzew, gdzie nie było już nic oprócz skał i śniegu. Iseult jeszcze nigdy nie widziała aż tyle śniegu i doszła do wniosku, że wcale jej się nie podoba. Było zimno, było mokro, a ich wędrowka zdawała się nie mieć końca.

Jeszcze nigdy nie znajdowała się także na takiej wysokości. Nie wiedziała – i nie przypuszczała – jak przeogromne wydaje się wtedy niebo. Bezkresne, niebieskie i puste. Zwłaszcza kiedy dotarli do końca ścieżki i nie czekało tam nic oprócz gołego klifu i płynącej w dole – bardzo daleko – rzeki.

Opierając się plecami o granitowe zbocze, Iseult wpatrywała się w klif, od którego dzieliło ją dziesięć kroków. Chwilę temu zerwał się wiatr, zrolował mgłę niczym fale na morzu. Nie wiedzieć czemu jeszcze większe przerażenie czuła, kiedy nie widziała urwiska i trzystumetrowej przepaści.

Sowa stała uczepiona jej boku, a w jej niciach Więzi krążył strach. I choć Iseult wiedziała, że gdyby dziewczynka mogła, wybrałaby kogoś innego – Blueberry unosił się na wietrznych prądach zbyt wysoko, aby go teraz widzieć – to poczuła w klatce piersiowej coś dziwnego. Ciepło, nie do końca przyjemne i z całą pewnością niebędące miłością, ale jednak coś poruszyło jej serce.

Coś miłego, przez co zaswędziało ją w nosie i co kazało jej myśлом biec ku Aeduanowi, bo wyglądało na to, że tak samo jak Sowa nie potrafi się wyzbyć nadziei.

Tymczasem Leopold obchodził klif w poszukiwaniu podniebnego promu, który według jego słów miał na nich czekać. Co kilka chwil wychylał się niebezpiecznie ponad krawędź, przez co Iseult zbierało się na mdłości, a Sowa cicho kwiliła.

Po sześciu takich wychyleniach księżęce nici Więzi zamigotały w końcu triumfalnie. Posłał Iseult promienny uśmiech.

– Znalazłem. Mówiłem, że będzie czekał!

Zgodnie z obietnicą Leopold od zeszłego wieczoru okazywał wyłącznie szczere uczucia. I pomimo tego, co twierdził, wcale nie pozbawiało go to uroku. Jeśli już, jeszcze mu go dodawało.

Tym czymś znalezionym przez Leopolda okazał się okrągły, płaski kamień zawalony setką małych kamyków, które zrzucił do zamglonego kanionu – co także przyprawiło Iseult o mdłości – i zaczął wystukiwać czubkiem buta skomplikowany rytm.

W pierwszej chwili sądziła, że niweluje w ten sposób jakieś zakłęcie, ale potem zaczął się wyłaniać prom. Cał po calu, stuknięcie po stuknięciu, skąpany w gęstej mgle.

Blaskodziejowe zakłęcie. Prom w kształcie barki rzecznej przytwierdzony był do długiego, zardzewiałego łańcucha biegnącego po skosie do góry i znikającego w chmurach. Na środku pokładu znajdowało się koło ze stalowymi zębami, po których przesuwiał się łańcuch.

Księżę otworzył szeroko ramiona.

– Nie obiecałem łatwej drogi? To wykona za nas całą wspinaczkę.

Pierwsza odezwała się Sowa. Stuknęła Iseult w nogę.

– Nie żyje – szepnęła, wskazując na prom. W jej niciach Więzi wiała się brązowa konsternacja.

– Mówi, że to nie żyje – wyjaśniła Iseult równie skonsternowanemu Leopoldowi.

– No tak. – Wzruszył ramieniem. – Drewno rzeczywiście nie żyje. Ale to nie czyni go niebezpiecznym. Widzicie? – Na poparcie swoich słów rzucił na pokład pierwszy z worków z zapasami. Wylądował obok koła i drewno zatrzeszczało jak w statku na morzu, jednak cały prom ledwie drgnął.

Mimo to Iseult i Sowa nie dołączyły do księcia. Pierwsza nie miała ochoty odklejać pleców od zbocza góry, a druga odklejać się od więziodziejki.

– Korzystałeś już z tego? – zapytała Iseult.

– Wiele razy.

– Ile?

Leopold wrzucił na prom drugi worek i drewno po raz drugi jęknęło.

– Jechałem tym cztery razy. Może pięć? Co prawda nie podczas każdej wizyty, no ale jednak.

Dla Iseult „pięć” nie było tożsame z „wiele”.

– A ile razy tu byłeś? – zapytała, choć wiedziała, że to z jej strony gra na zwłokę.

Leopold obdarzył ją szerokim uśmiechem. Chłodne powietrze dobrze mu robiło. Policzki miał ładnie zaróżowione.

– Byłem tu więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć, Iseult. Od dziecka. Nowy Abbot to szósty syn cartorriańskiego arystokraty, a Abbot przed nim był ósmym synem. Tacy ludzie, rozumiesz, przydają się książętom.

Iseult tego nie rozumiała, ale pewnie wkrótce się dowie, co Leopold miał na myśli. Dosyć stania i tulenia do siebie Sowy. Dostanie odwagę, aż przyjdzie do niej odwaga. Zrobiła trzy uspokajające wdechy, po czym kucnęła obok dziewczynki.

– Musimy ruszać – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Wiem, że się boisz, ale nie możemy tu dłużej czekać.

– Dlaczego? – W niciach Więzi Sowy buczał czerwony opór.

– Dlatego, że tylko tak dostaniemy się do Klasztoru, a to... – Iseult wskazała na mgłę i wąską ścieżkę – nie jest dobre miejsce na obóz.

– Dlaczego?

– Dlatego... co? – Drgnął jej nos. Nie chciała się kłócić. Od wczorajszego wieczoru wszystko z Sową tak dobrze się układało. Proszę, Księżycowa Matko, niech to się teraz nie skończy. – Dlaczego nie możemy rozbić tu obozu? Czy dlatego udajemy się do Klasztoru?

Dziewczynka kiwnęła głową i Iseult musiała założyć, że to odpowiedź na drugie pytanie.

– Bo u mnichów będziemy bezpieczne.

– Nie chcę.

Nim Iseult zdążyła ją powstrzymać, setki małych kamyków zgromadziły się wokół ciała Sowy, a ona sama zniknęła.

Bądź jak kwiat, przypomniała sobie w myślach Iseult, choć w opuszkach palców czuła ogień.

– Tu mi się podoba – dodała Sowa, a między kamieniami pojawiły się małe usta. – Ja tu zostaję.

W tym momencie frustracja opuściła Iseult. Już kiedyś słyszała te słowa. Sama je wypowiedziała dziesięć lat temu. „Tu mi się podoba.

Ja tu zostaję”. Jej matka próbowała ją ściągnąć z drzewa w osadzie Midenzi. To było drzewo, na którym Iseult szukała schronienia, kiedy inne dzieci były dla niej niemiłe. Tamtego konkretnego dnia nie chciała zejść, kiedy wołała ją matka, w końcu Gretchya warknęła „w porządku” i odeszła. Serce podeszło Iseult do gardła. Miała wrażenie, że jej ciało jest puste. Chciała, żeby matka próbowała ją przekonać. Chciała, żeby zapytała, czemu w ogóle się tam wdrapała. Ale Gretchya tego nie zrobiła, ani tamtego dnia, ani żadnego innego.

Iseult nie popełni tego samego błędu.

– Dlaczego nie chcesz jechać? – Uśmiechnęła się blado do kamieni.

– Nie żyje – odparła Sowa.

– Tak, ale wiele rzeczy nie żyje, Sowo. Gospoda, w której się zatrzymaliśmy, nie była żywa. Skóra na siodle była nieżywa. To nie znaczy, że nie jest bezpieczne.

Jeszcze więcej konsternacji w jej niciach Więzi.

– Tylko w taki sposób możemy się dostać do Klasztoru, Sowo. Musimy skorzystać z promu.

– Moglibyście kazać skałom się tam zanieść. – Ziemia zafalowała drżeniem. Iseult się zachwiała, a z klifu spadło trochę kamieni.

Nici Więzi Leopolda zamigotały białym niepokojem. Iseult jednak zachowała neutralny wyraz twarzy.

– Nie mam magii takiej jak ty, Sowo. Pamiętasz? Księżę także nie. Nie możemy więc kazać skałom, aby nas niosły. Zamiast tego musimy wykorzystać ten podniebny prom. Założę się, że Aeduan także nim jechał.

To był właściwy argument. Zielona ciekawość zadrżała w niciach Więzi Sowy.

– On tam będzie?

Iseult podrapała się po nosie. Nie chciała kłamać, ale bała się także tego, co może się zdarzyć, jeśli powie, że nie.

– Może – rzekła więc niezobowiązująco. To mogła być nawet prawda. Może się tam zjawi. Pewnego dnia.

Zieleń się wyostrzyła. Lada chwila Sowa porzuci swój kamuflaż.

Iseult zerknęła na prom. Książę opierał się o barierkę i przyglądał swoim paznokciom. Uosobienie odwagi. „Widzisz? To łatwizna. Nie ma się czego bać” – mówiło jego ciało. A jednak nici Więzi miał podobne do Sowy. Intensywnie zielone zainteresowanie i cień beżowego niepokoju.

– Aeduan wychował się w tym Klasztorze – kontynuowała Iseult. – Nie chcesz zobaczyć, jak tam jest? Wiem, że chcesz.

I proszę: kamienie z głuchym hałasem upadły na ziemię, a spod nich wyłoniła się Sowa. Dziewczynka nadal się jednak trzęsła, a razem z nią drobne kamyczki. Na tyle subtelnie, aby to uznać za wiatr, ale jeśli w Klasztorze kamyki będą podskakiwać wyżej... Jeśli Sowa postanowi ruszyć zamiast tego głązy...

– Sowo. – Iseult starała się nadać swojemu głosowi stanowczość. – Kiedy dotrzemy do Klasztoru, będziesz musiała przestać używać swojej magii. Tak jak ci mówił Aeduan, zanim weszliśmy do Tirli. Będziesz musiała ukrywać ją przed mnichami.

Choć raz dziewczynka nie zapytała dlaczego. Pytanie to widać było jednak w jej szeroko otwartych, przestraszonych oczach.

– Magię zawsze można odebrać – wyjaśniła Iseult. – Istnieją klątводzieje, którzy potrafią ją komuś ukraść. Wiedziałaś o tym?

Sowa ledwie zauważalnie pokręciła głową. Strach pulsował jaśniej w jej niciach Więzi – ale Iseult dobrze to rozegrała. Tak samo jak przed laty Habim z nią.

– Dlatego właśnie – kontynuowała teraz – zawsze lepiej robić coś po cichu. Jeśli będziesz ukrywać swoje moce, ludzie będą cię lekceważyć. A jeśli będą cię lekceważyć... – Wycelowała palec w klatkę piersiową dziewczynki. – Wtedy to ty masz całą moc. A masz, prawda, Sowo? Masz Blueberry’ego i kamienie. Dopóki są przy tobie i nikt o tym nie wie, jesteś bezpieczna.

Sowa zamrugwała. W końcu w jej niciach Więzi pojawiło się niebieskawozielone zrozumienie. Kamyki u jej stóp znieruchomiały.

– Nikt – powiedziała cicho, a Iseult się uśmiechnęła.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, kiedy dziewczynka oświadczyła:

– Chodź. Teraz.

Nie czekając dłużej, szybko weszła na prom.

Iseult musiała wykorzystać całe swoje więziodziejskie szkolenie, by otwarcie nie triumfować. Sama przekonała Sowę. Bez kłótni, bez sfrustrowanych iskier.

Aeduan mógł się od niej uczyć.

Aeduan nie miał pojęcia, jak mu się udawało nie spaść z osła. Trawiło go nieustanne pulsowanie w klatce piersiowej i brzuchu. Wysysało to z niego wszelkie myśli, pragnienia, aż nie zostało nic oprócz ostrych szponów wyszarpujących kształty i kolory. Świat stał się szary. Szare drzewa, szare niebo i szara Lizl na szarej klaczy.

Kiedy wyruszyli w kierunku północnozachodnim, ku górą, Aeduan próbował ostrzec Lizl. Powiedział jej, że zjawi się po niego Furia i że ten człowiek to zabójca, ona jednak tylko się roześmiała.

– Ja też jestem zabójcą, wcale się go nie boję.

Miała okazję widzieć go w Tirli. Skryła się przed burzą i podsłuchiwała, jak Aeduan z nim rozmawia. Ale nie wtedy, kiedy szalały wokół niego wiatry. Nie wtedy jego cyklon niszczył i rujnował, a rozszczepiająca magia poczerzyła mu żyły.

Tak więc nie uwierzyła, kiedy ją ostrzegał. Aeduan w końcu zamilkł i skupił się na planowaniu ucieczki, bo przecież nie mógł zostać z Lizl. Gdyby zjawił się Furia, pozbawiłby ją życia.

Aeduan zbyt wiele krwi już miał na swoich rękach.

Krwiodziej sprzed dwóch dni po prostu przejąłby kontrolę nad jej krwią i unieruchomił mniszkę na tak długo, by mógł się oddalić. Oczywiście Aeduan sprzed tygodnia w ogóle nie zostałby przez nią pojmany. Ale teraz ledwie był w stanie wyczuć jej krew. A im dłużej dryfował w tym pólzyciu, tym większy czuł strach, że to nie ogień

w żyłach powstrzymuje go przed przywołaniem swoich mocy ani słabość ciała walczącego o wyzdrowienie.

Wymazywała go klątwa. Kropla po kropli wysysała z niego magię, aż wkrótce nic nie zostanie. Jego ciało może i się zagoi, odzyska dawną siłę. A krwiodziejstwo? Obawiał się, że już nigdy nie powróci.

W końcu nawet planowanie okazało się dla niego zbyt trudne. Całą swoją uwagę musiał poświęcać próbom niezsunięcia się z osła. Drogi, o ile w ogóle tak można je nazwać, były wąskie i wyboiste. Gałęzie wchodziły mu do oczu, drapały skórę.

Osiół truchtał powoli. Słońce nieprzerwanie wznosiło się na niebie.

Raz Aeduanowi wydawało się, że słyszy szczekanie psa. Blisko, jakby gdzieś niedaleko skrywała się chatka rolnika. Przyjemny dźwięk. Wytchnienie, które na chwilę odgoniło cienie. Lubił psy. Bootsa także lubił, do dnia, w którym go zabił. Wtedy znienawidził przyjaciela za to, że tak łatwo go opuścił.

Teraz Aeduan już wiedział, że wszystko łatwo umiera.

– Jesteś za wolny. – Powietrze przeciął głos Lizl. Zatrzymała konia. Osiół także przystanął. – Niedługo będzie popołudnie, krwiodzieju, a musimy dziś przebyć dłuższy odcinek drogi.

– Daj mi... ten kamień bólu – wyrzęził. – Wtedy pójdzie szybciej.

Prychnęła i z gracją zsiadła z konia. Trzy niemrawe bicia serca później znalazła się przy Aeduanie.

– Schodź – poleciała, pociągając za sznur.

Aeduan nie miał wyjścia: musiał zrobić, co mu kazała. Niezdarnie zsunął się z siodła.

Odsunęła się na bok, a on upadł na zimną ziemię. Siła uderzenia wstrząsnęła jego kośćmi, płucami. Przygryzł język, w ustach poczuł krew. Zawsze, zawsze krew. A potem zawładnął nim kaszel, cienie chwiałały się na skraju jego wzroku, coraz bardziej wyraźne.

Ta klątwa go zabije – cieszył się z tego. Jeśli umrze, ból zniknie. Jeśli umrze, Furia nie przyjdzie po niego, a on nie będzie musiał uciec Lizl, aby ją chronić.

Kiedy kaszel w końcu minął, na ziemi przed Aeduanem wylądował bukłak z wodą. Nie wziął go.

– Gdzie... jesteśmy? – Spojrzał na Lizl załzawionymi oczami.

– Niedaleko miejsca, gdzie się urodziłam. – Odpięła torbę z siodła. – Gdybyś jako dziecko grzecznie się bawił, może byś je rozpoznał.

Aeduan nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Zawsze grzecznie się bawił, tylko mieszkający w nim potwór zachowywał się inaczej.

Sięgnął ręką po bukłak z wodą i jakoś udało mu się usiąść. Lizl poluzowała sznur, by mógł swobodnie przełykać. Strumyk chłodnej ulgi spływał od gardła do klatki piersiowej. To za mało, aby uśmierzyć ból, ale zawsze coś.

Odetchnął, zakorkował bukłak i rzucił go do Lizl. Spudłował. Bukłak spadł na ziemię kilka kroków od niej. Mniszka spiorunowała Aeduana wzrokiem.

– Co się z tobą dzieje? – Zmarszczyła brwi. – Widziałam, jak miecz przebija ci trzewia, a ty się z tego wylizujesz. To... – Wskazała na niego. – Co się stało?

W odpowiedzi jedynie wciągnął więcej powietrza. W płucach mu grało. Co mógł powiedzieć? Gdyby przyznał, że trafiły go zakłute strzały, Lizl miałyby nad nim jeszcze większą przewagę – zakładając, że w ogóle by uwierzyła w jego słowa. Nie chciała słuchać, co mówił o Furii, czemu więc miałyby przytaknąć na historyjkę o klątwodzieju?

– Zostałem ranny – powiedział w końcu. – Strzały. Całe mnóstwo.

Nie wydawała się przekonana, ale na szczęście nie naciskała.

– Proszę. – W dwóch długich krokach pokonała dzielącą ich odległość i podała mu zniszczoną torbę ze skóry. – Doprowadź się do porządku.

Aeduan spojrział na pakunek. Dotarło do niego, że to nieduża apteczka. Pokręcił głową.

– To... nie pomoże. Potrzebuję kamienia bólu.

– Cóż, to albo nic. – Machnęła mu torbą przed twarzą. – Wybór należy do ciebie.

Wziął od niej apteczkę.

Aeduan opatrzył sobie rany, jak umiał, w cieniu rozłożystego klonu. Ślady po strzałach wyglądały jeszcze gorzej, niż kiedy oglądał je po raz ostatni: skóra wokół nich była spuchnięta i czerwona, z otworów sączyła się czarna krew. Dotknięcie skutkowało zaciśnięciem zębów i powiek, jednak jakoś udało mu się nie zemdleć.

Wklepywał właśnie resztki wododziejskiej maści w największą ranę tuż pod obojczykiem, kiedy w powietrzu zawisło pytanie:

– Jak to jest?

Lizl siedziała na powalonym pniu i oliwiła miecz z caraweńskiej stali.

– Ale... co? – Dopiero za trzecim razem udało mu się zamknąć słoiczek. Drżały mu palce.

– Jak to jest nie móc umrzeć?

– Ja mogę umrzeć – odparł. Właśnie umieram.

– Wiesz, o co mi chodzi. – W jej oczach nie było widać rozbawienia.

Być może sprawiła to jej obojętność, a może po prostu ból, zamroczenie i krwistoczerwone światło sączące się przez gałęzie klonu. Trudno powiedzieć. Wiedział jedynie, że odpowiedź, której jej udzielił, była szczerą, pozbawioną cenzury.

– To oznacza, że zapominam, jak łatwo zabija się ludzi, więc zawsze się muszę pilnować. To oznacza, że nie wiem, czym jest strach, więc nigdy nie mogę być odważny. To oznacza, że żyję, podczas gdy wszyscy wokół mnie umierają. I to oznacza... – w końcu udało mu się zakręcić maść – że nie jestem taki jak ty. Ani nikt inny.

Lizl na chwilę znieruchomiała. Przyglądała mu się bacznie, a z jej twarzy nic się nie dało wyczytać.

W końcu burknęła:

– Nie. Rzeczywiście nie jesteś taki jak ja ani ktokolwiek inny. – Odwróciła wzrok. – I dlatego świat cię nienawidzi. Dlaczego zawsze będziemy cię nienawidzić. W ślad za tobą kroczy śmierć, tyle że ty dzięki łaskom Studni zawsze przechytrzasz swoją.

– Nie prosiłem się o to.

– Nikt się nie prosi o to, co otrzymuje od życia. – Prychnęła i potarła mocniej ostrze. – Liczy się jedynie, jak to wykorzystujesz, a z tego, co widzę, ty trwonisz magię, za którą inni gotowi byliby zabić. Przeskakiwałeś na kolejne poziomy szybciej niż jakikolwiek inny akolita. Brałeś wszystkie najlepsze zlecenia, zwłaszcza dla siebie zleceniodawców i pieniądze, i przez cały ten czas patrzyłeś na nas z góry. Byliśmy błotem, po którym deptałeś w drodze na wyższy poziom. Nie wykazywałeś się lojalnością wobec Klasztoru, nie interesowałeś się Cahr Awenami.

Po raz pierwszy, odkąd owinęła mu szyję sznurem, w Aeduanie błysnęła iskra gniewu.

Wcale tak nie było. Wszystko, o czym mówiła... Tak naprawdę było na odwrót. Nie patrzył z góry na innych mnichów; on po prostu został zepchnięty na margines. Nie marnował swojej magii, to magia marnowała jego.

– A teraz – kontynuowała z goryczą, nabierając z tubki więcej lanoliny – okazuje się, że jesteś synem Króla Zdobywcy. Nie wiem, czemu mnie to dziwi. To oczywiste, że jesteś lojalny wobec człowieka, który zabija niewinnych i pali Czaroziemie, i to oczywiste, że spłodził takiego demona jak ty.

Aeduan zacisnął dłonie w pięści. Wściekłość coraz bardziej rozchodziła się w jego żyłach. Miał ochotę zapytać, dlaczego miałby być wobec kogoś lojalny. Przez całe życie był narzędziem w ręku innych ludzi, mieczem niczym nieróżniącym się od tego, który ona teraz czyści. Nawet więziodziejka go wykorzystwała, żeby odnalazł jej przyjaciółkę na Ziemi Niczyjej.

Nic jednak nie powiedział. Zamiast tego naprężył się i zrobił głęboki wdech. Wściekłość pobudzała jego magię do życia, drżący

płomyk. Bezwzględny i tak pożądany w jego sercu. Choć nie miał w sobie jeszcze tyle siły, aby przejąć kontrolę nad krwią Lizl i uciec, to jeśli będzie cierpliwy, jeśli będzie pełen gniewu... Może wróci mu wystarczająca ilość mocy. A wtedy oprze się klątwie.

Klasztor Caraweński okazał się dokładnie taki, jak Iseult sobie wyobrażała.

A nawet lepszy, bo teraz był prawdziwy. Malował się przed jej oczami, od dostania się do niego dzieliło ją zaledwie kilka minut powietrznej podróży. Podniebny prom zbliżał się do klasztoru od południa. Trzeszczał, wznosząc się coraz wyżej, a przed jej oczami widoczna była coraz większa część budowli. Iseult miała wrażenie, że ogląda swoją starą księgę o Cahr Awenach, powoli ujawniającą pełną skalę domu mnichów.

Do zbocza góry przyklejona była czarna twierdza. Imponująca, nie do zdobycia i odizolowana. Wokół dolnej części gromadziły się ośnieżone drzewa. Na samą górę prowadziły kamienne schodki, towarzyszyły im szanice i wieżyczki z trebuszami, wszędzie pośród czarnych ścian poruszały się maleńkie postacie całe w bieli. Znajdowały się zbyt daleko, aby Iseult mogła wyczuć nici Więzi, ale mimo to widać było, że ci ludzie się dokądś spieszą. Przemieszczali się grupkami do najwyższej wieży. Może na musztrę? Albo nagle zwołane zebranie? Pewnie wkrótce się dowie.

Po latach snucia marzeń o tym miejscu Iseult det Midenzi w końcu dotarła do Klasztoru Caraweńskiego. Wyglądał dokładnie jak na rysunkach, a właściwie okazalej, żaden rysunek ani obraz nie były w stanie oddać wszystkich kątów, odcieni i ruchu. Klatkę piersiową miała tak napęczniałą, że ledwie była w stanie oddychać. Lód, który od wczorajszego wieczoru spoczywał na jej ramionach, teraz stopił się w coś ciepłego. Coś, co rozrastało się jej w brzuchu i napierało na płuca...

Śmiech... Jeśli nie będzie się pilnować, zaraz zaczną chichotać. I klaskać w dłonie. I podskakiwać. I niech Księżycowa Matka ma ją w swojej opiece, ale czy naprawdę było to takie niewłaściwe? Zjawiała się tutaj nie jako suplikant liczący na możliwość odbycia szkolenia u mnichów, pragnący w końcu stać się jednym z nich. Zjawiała się jako połowa Cahr Awenów.

W takiej sytuacji chyba nawet więziodziejce wolno klaskać.

– Widzisz tych malutkich ludzi, Sowo? To mnisi – rzuciła cicho do dziewczynki, której nici Więzi zabarwiły się na różowo. W chwili kiedy koło na promie zaczęło się obracać, cały wcześniejszy strach zniknął, zastąpił go zachwyt. Z pewnością pomagała jej pewność, że Blueberry ją złapie, jeśli spadnie, zresztą taka była prawda. Przynajmniej w jej przypadku. Iseult i księżę Leopold zostaliby sami sobie, a od ziemi dzieliła ich naprawdę spora odległość.

Mimo tej niezaprzeczalnej prawdy im dłużej drewno trzeszczało pod nimi bez żadnego incydentu, im dłużej łańcuch podciągał ich do góry, tym mniejszy był strach Iseult. Musiała przyznać, że spokój i opanowanie Leopolda okazały się bardzo pomocne. Jeśli dokuczały mu zmiany ciśnienia w uszach, nie dawał tego po sobie poznać. Jeśli wiatr, zimno i otchłań pod nimi napawały go niepokojem, w niciach Więzi nic nie dało się dostrzec.

Co Safi by powiedziała, gdyby mnie teraz zobaczyła? – pomyślała Iseult, zaciskając palce na kamieniu Więzi. Wznosiła się coraz wyżej w Górach Sirmayańskich z księciem u boku i krążącym nad głową górskim nietoperzem.

Sporą drogę przeszła od tamtego pokoiku na poddaszu w Veñazie.

Co by było gdyby, co by było gdyby, co by było gdyby. Iseult mocniej zacisnęła dłoń na kamieniu Więzi. Niedługo znowu będzie razem z Safi, świat znowu nabierze sensu. Będzie tak, jak być powinno.

Do jej myśli wdarł się cichy głos Sowy.

– Gawron. – Wskazała do góry, gdzie rzeczywiście krążył czarny ptak.

Iseult przetłumaczyła to księciu. Stojący przy kole Leopold uśmiechnął się do dziewczynki, a w jego niciach Więzi zatrzepotało zaskoczenie.

– To rzeczywiście gawron. Są wykorzystywane do przekazywania wiadomości poza Klasztor i do szpiegowania zbliżających się gości. Przypuszczam, że na górze mnisi będą już na nas czekać.

Kiedy Iseult się odwróciła, aby powiedzieć to wszystko Sowie, ta przyglądała się bacznie Leopoldowi.

– Gdzie masz koronę? – zapytała.

Ważne pytanie, więc Iseult ponownie przetłumaczyła.

Z jego gardła wydobył się zaskoczony śmiech. Ta reakcja nie współgrała jednak z jego nićmi. Były zdziwione, owszem, ale także migotały strachem.

– Powiedz, że ją zgubiłem, kiedy szukałem ciebie.

Iseult tak zrobiła, a Sowa zmarszczyła czoło. Nici Więzi miała w kolorze szaławii, co oznaczało zamyślenie. W końcu kiwnęła głową.

– Zrobię mu inną.

Nie minęło wiele czasu, a podniebny prom uniósł ich ponad ostatni górski wierzchołek i mieli już niczym nieprzysłonięty widok na Klasztor. Iseult zaparło dech w piersi. Bez namysłu – zupełnie zapomniawszy o wysokości – przysunęła się do barierki. Sowa za nią.

– Widzisz tamtą wysoką iglicę? – rzekła, wskazując na czarną wieżę dwa razy wyższą od całej reszty. – Zbudowano ją tysiąc lat temu. A tam, widzisz ten mur wokół Klasztoru? Jest tak szeroki, że może się po nim poruszać dwudziestu ludzi ramię w ramię. Na koniach. Och, i patrz, ten budynek ze spadzistym dachem. To aula, gdzie szyby mają wszystkie kolory tęczy. A tam! – Głos Iseult był nabrzmiały emocjami, powód do wstydu dla każdej więziodziejki w Czaroziemiu. – Na tamtej wysepce położona jest Prastudnia. – Wskazała na szeroki srebrny pas dzielący dolinę i długą wysepkę w kształcie księżyca na samym środku.

Ze swojej książki wiedziała, że sama Studnia mieści się na południowym brzegu i że na straży przy niej rośnie sześć brzoź z liśćmi zielonymi nawet zimą. Tymczasem studnia przez cały rok pozostawała zamrznięta. Latem, kiedy zjawiały się tu karawany Nomatsów, cały dzień trzeba się było przebijać przez lód, aby dostać się do uzdrawiających wód Studni. Był gruby tylko na kilka cali, ale twardy jak granit.

– Co jej opowiadasz? – zapytał Leopold, dołączając do nich. Wiatr targał mu loki, a słońce sprawiało, że jego oczy miały intensywny odcień zieleni.

– Pokazuję Prastudnię – wyjaśniła i zmrużyła oczy na widok jego nici Więzi. Spokój na twarzy nie pasował już do jego uczuć. Teraz królował w nich żółty niepokój.

– Co się dzieje? – zapytała cicho, dla dobra Sowy tonem celowo lekkim.

Leopold zamrugnął i skrzywił się.

– Niczego przed tobą nie ukryję, co?

– Mieliśmy umowę.

– Zdecydowanie faworyzującą ciebie.

– Gdybyś po prostu pokazywał mi swoje prawdziwe uczucia, nie stanowiłoby to żadnego problemu.

– Ale, Iseult – rozłożył ręce – prawdziwe uczucia są niebezpieczne. Nie wiedziałaś o tym?

– Tak samo jak próby ucieczki od nich.

– Ach. – Ponownie zamrugnął. Nici Więzi zabarwiły się na niebiesko, jakby jej słowa zaskoczyły go niczym zimna woda wylana na twarz. A kiedy znowu na nią spojrział, na jego twarzy malowało się coś zbliżonego do szacunku. – Odpowiadając na twoje pytanie – powiedział przeciągle, niedbale wskazując głową na urwiste zbocze, które pojawiło się właśnie w ich polu widzenia. – Ta armia najeźdźców nieco mnie... niepokoi.

Iseult podążyła za jego spojrzeniem, już, już miała zapytać: „Jakich najeźdźców?”, ale wtedy ich zobaczyła i oddech uwiązał jej w gardle.

Pośród lasu tłoczyły się setki namiotów, unosiły się z nich spirale dymu – a to był dopiero początek. Niezliczona liczba kolejnych spirali widniała nad ośnieżonymi koronami drzew, sugerując, że pomiędzy nimi kryje się niezliczona liczba kolejnych namiotów.

– Co oni tu robią? – Zaskoczenie sprawiło, że jej głos przybrał wysoki ton, a Sowa podniosła głowę. W jej niciach Więzi od razu pojawił się niepokój. Iseult zmusiła się do uśmiechu.

– To doskonałe pytanie – mruknął Leopold. – Na które nie ma doskonałej odpowiedzi. Można przypuszczać, że Król Zdobywca czeka, aż rzeka zamarznie. Wtedy jego wojska pomaszerują na południe. A my będziemy się wtedy bardzo cieszyć, że jesteśmy w Klasztorze, a nie tam, na dole, obok nich. – Uśmiechnął się ciepło do Sowy.

– Widzą nas? – zapytała Iseult.

Pokręcił przecząco głową.

– Prom jest naznaczony blaskodziejским zaklęciem. Mnisi jednakże z całą pewnością nas zauważyli i... – Urwał i zeszywniał, zarówno on, jak i jego nici Więzi. – Odsuń się. – Odciągnął Iseult od bariereki i pchnął ją w stronę koła.

Upadła na kolana. Sowa krzyknęła. Iseult się odwróciła... i zobaczyła to, co widział Leopold: obracający się trebusz, z przymocowaną do niego wielką kulą ognia. Celował w prom.

Leopold pchnął Sowę w stronę Iseult, a ta przytuliła dziewczynkę.

W tym momencie masywne ramię wystrzeliło ogień w ich stronę.

– Trzymajcie się! – zawołał Leopold. Zanurkował w stronę koła, objął ramieniem Iseult, która przytulała do siebie Sowę, cała trójka znieruchomiła.

Kula ognia przefrunęła obok. Wielka jak cały prom, gorąca jak słońce. Na drewno poupadały iskry. Uderzył w nich podmuch wiatru.

Prom się zakołysał, najpierw w jedną, potem drugą stronę.

Do trebusza przymocowano kolejną ognistą kulę. Prom znajdował się teraz bliżej Klasztoru, z każdą kolejną chwilą stawał się coraz

łatwiejszym celem.

– Czemu nas atakują? – Iseult musiała przekrzykiwać wycie Sowy i trzaski drewna.

– Nie mam pojęcia! – odkrzyknął Leopold. Fruwała nad nim zielona determinacja. Jeszcze się nie poddał. – Na pewno da się to jakoś obrócić!

Podczas gdy prom kołysał się łagodnie, on zaczął oglądać mechanizm. Iseult także. Żadne z nich nie puszczało Sowy. Oboje przyglądali się i szukali – a Iseult dodatkowo się modliła. Błagam, Księżycowa Matko. Pomóż nam to przetrwać, błagam.

– Jak wygląda ten przełącznik? – zapytała Leopolda.

– Nie wiem!

– Sądziłam, że byłeś tu więcej razy, niż potrafisz zliczyć.

– Ale tylko cztery razy na tym promie... – Urwał, kiedy wystrzelono kolejną kulę.

W ich stronę leciał ogień. Leopold się w niego wpatrywał. Iseult także. Sowa krzyczała, a dźwięk ten był w stanie rozerwać góry.

Albo przywołać górskiego nietoperza. Zanurkował sponad chmur, ze złożonymi skrzydłami leciał szybciej niż ogień. Wbił się w kulę, która zboczyła z kursu. Jego lot stał się chwiejny. Ogień i bestia, złączeni w jedną całość. Ku ziemi pomknęła bryła dymiącego ciała.

Sowa rozkrzyczała się jeszcze głośniejsze, ale Iseult była na to gotowa.

– Nic mu nie jest. – Chwyła twarz dziewczynki. Zmusiła, aby na nią spojrzeła. Iseult po doświadczeniach z lisami morskimi wiedziała, że stworzenia pokroju Blueberry'ego niemal nie da się zabić. – Sowo – błagała. – Potrzebujemy twojej magii! Musisz kontrolować ten metal. Sprawić, aby koło się zatrzymało. Dasz radę?

Dziewczynka kwiliła, a jej nici Więzi kurczyły się tak jak wczoraj wieczorem.

– Poczuj moją dłoń – poleciała Iseult, ściskając palce Sowy. – Czujesz to? Poczuj skórę, jak bardzo jest gorąca i jakie silne są mięśnie pod nią.

Nic. Żadnej odpowiedzi, brak reakcji.

– A czujesz swoją dłoń, Sowo? Czujesz, jak skóra i kości napierają na siebie, kiedy mocno cię trzymam?

Nici Więzi Sowy nadal się kurczyły. Pękały, pękały, pękały.

W tym momencie naszykowano kolejny trebusz. Na tyle blisko, że słyszeli trzask drewna. Na tyle blisko, że słyszeli trzask ognia.

Iseult nie ośmieliła się spojrzeć.

– Niebo! – Musiała teraz wrzeszczeć, aby było ją słychać ponad wiatrem, ogniem i drewnem. – Widzisz, jakie jest niebieskie? Popatrz w górę, Sowo, popatrz w górę!

Ku jej zdumieniu dziewczynka tak właśnie zrobiła, więc Iseult także spojrzała.

I wtedy przez niebo przefrunął Blueberry. Za nim ciągnęła się smuga dymu, ogon mu płonął. Ale żył. Żył!

Do nici Sowy napłynęły kolory. Równie intensywne jak u nietoperza, ale wirujące w tysiącu odcieniach tęczy. Zbyt szybko, aby je odczytać, zbyt szybko, aby to miało znaczenie.

– Łańcuch! – zawołała Iseult. – Sowo, proszę, zatrzymaj łańcuch!

Zatrzymał się. Koło zamarło. Prom podskoczył, przez co Leopold wpadł na barierkę.

– Cofnij go! – wrzasnęła Iseult. – Cofnij go, Sowo! Cofnij, cofnij!

Prom zaczął opadać.

– Szybciej! – krzyknął Leopold, podczołgując się do koła. – Szybciej, szybciej, szybciej...

Nie okazali się wystarczająco prędcy. Płomienie rozbiły się o prom, oślepiające i ogłuszające. Do tego to potworne gorąco. Ostatnie, co zobaczyła Iseult, nim świat zamienił się w popiół, to sunące ku nim dzikie, srebrne nici Więzi Blueberry'ego.

A potem wszystko zniknęło.

ROZDZIAŁ 34

W waszą stronę zmierza wojsko.

Wiem.

Co zamierzasz zrobić?

Pozostać przy życiu. A cóż innego?

W takim razie powinnam Cię poinformować, że na mojej granicy stacjonuje już dziesięć tysięcy żołnierzy, a dojdzie jeszcze pięć tysięcy. Będą w posiadaniu pełnego ogniodziejskiego arsenału, dodatkowo budujemy blokady na każdej drodze i moście prowadzącym do Marstoku.

Najeźdźcy nie wkroczą do mojego imperium. Jednakże oficerowie otrzymali wyraźne rozkazy, aby zezwalać na wstęp uchodźcom.

Dlaczego mi o tym mówisz?

Dlaczego pomagasz moim uchodźcom?

Dlatego, że jeśli Nubrevna upadnie, następny będzie Marstok.

Komnata Bitewna aż się trzęsła od głosów członków Wysokiej Rady. Nagłących, spanikowanych, przekrzykujących się i niechętnych do współpracy. Wszystkie te głosy należały do mężczyzn. Kobiety, które zjawily się tu na pogrzeb Merika, zaraz po ceremonii opuściły Lovats – dopóki Vivia nie założy korony, dopóty nie miały tu czego szukać. Ich ojcowie i bracia nie tak łatwo wyrzekali się władzy.

Co oczywiście tłumaczyło, dlaczego Serafina Nihara także nie było w tej komnacie.

Pięciu z dwunastu wizerów domagało się bezpośredniego stawienia czoła Królowi Zdobywcy. Co kilka sekund do uszu Vivii docierał jakiś wariant hasła: „Nas jest więcej!”. Trzej wizerowie

chcieli wzmocnienia północnych części kraju – bo, oczywiście, należały one do ich rodzin. A trzej optowali za próbą pertraktowania bezpośrednio z Królem Zdobywcą. Tyle że Król Zdobywca z nikim nie pertraktował. Próbowała tego Vivia, próbowała Vanessa, próbowali inni przed nimi. Żadnemu posłańcowi nie udało się wrócić.

Oczywiście zgody co do konkretnej taktyki czy techniki nie było wewnątrz choćby jednej frakcji w Komnacie Bitewnej. Niektórzy uważali, że potrzeba większej liczby żołnierzy, inni, że wprost przeciwnie. Część chciała atakować z lądu, inni od strony rzeki.

Zgadzano się tylko w jednej kwestii: w ich stronę maszeruje śmierć, a Nubrevna nie jest na to przygotowana.

Plan Vivii zyskał poparcie zaledwie jednej osoby: ojca Stix, wizera Sotara. Zaaprobował jej pomysł wysłania części żołnierzy na północ, gdzie eskortowaliby uchodźców i spowolnili marsz Króla Zdobywcy. Jednocześnie większość nubreveńskich sił zbrojnych miałyby pozostać w Lovats i jego okolicy.

– Co mówi król? – zapytał grzmiąco wizer Quihar. Jego słowa okazały się na tyle głośne, że pozostali ucichli w pół zdania.

Spojrzenia wszystkich nakierowały się na Vivie.

Pod wpływem tych spojrzeń i tego przekłętego pytania – co mówi król? – Vivia poczuła, że jej ramiona wędrują ku uszom. Miała ochotę oświadczyć, że jej ojciec nie jest już królem. Ani admirałem.

Pragnęła także dodać, że jej ojciec odmówił udziału w zebraniu Wysokiej Rady. Wcześniej tego popołudnia udała się do jego komnaty, aby okazać swój szacunek. Nie po to, by się płaszczyć, czego – jak wiedziała – od niej oczekuje, lecz po to, aby spokojnie powtórzyć, że jego mądrość jest mile widziana na zebraniu. Fałszywie lekkim tonem utrzymywał, że nie ma w nim gniewu.

– To ty jesteś przyszłą królową – rzekł. – Działam jedynie dla twojego dobra. Ja zdaję sobie sprawę, że jesteś silna, ale Rada tego nie wie.

Następnie oświadczył, że jest zbyt zmęczony, aby wziąć udział w zebraniu. Vivia wiedziała, że to kłamstwo. Odmowa, odmowa, odmowa – ulubiony rodzaj kary jej ojca. Doskonale wiedział, czego Vivia najbardziej potrzebowała, i z premedytacją jej tego odmawiał.

A prawda była taka, że ojciec rzeczywiście był jej tu potrzebny. Wysoka Rada nadal darzyła go szacunkiem, nadal mu ufała.

Teraz jednak nic nie mogła z tym zrobić. Koniec z marnowaniem czasu na błaganie, na czekanie. Jeśli gniew powstrzyma go przed udzieleniem jej pomocy, w takim razie Vivia sama sobie pomoże.

– Mój ojciec – rzekła w końcu – jest w tej chwili zajęty. Ostateczna decyzja należy do mnie, waszej przyszłej królowej i admirała, nie do mojego ojca.

Pożałowała tych słów od razu po ich wypowiedzeniu. Wizerowi Quiharowi zadrżały skrzydełka nosa, a wizer Eltar wytrzeszczył oczy. I znowu wybuchła wrzawa. „Nie będziesz rządzić, dopóki nie założysz korony!”, „Twój ojciec brał udział w większej liczbie bitew niż ty masz lat!”, „Obronił to miasto przed oblężeniem!”, „Nubreveni ufają swojemu królowi bardziej niż jakiegś niesprawdzonej królowej!”.

Każdą pośrednią – a czasem i bezpośrednią – zniewagę Vivia znosiła z pełnym napięciem uśmiechem i minimalnym drganiem powiek. Zgrzytała zębami, ocierała dłonie o uda, ale nikt z Wysokiej Rady tego nie zauważał.

W końcu wizer Quintay wypalił:

– Król będzie rozmawiał z Królem Zdobywcą! Negocjował Dwudziestoletni Rozejm. Zrobi to ponownie!

Kropła, która przelała czarę. To jak stwierdzenie jej ojca, że walczył z nożem w udzie, tego było już za wiele.

– Nie. – W komnacie rozbrzmiał głos Vivii i wraz z tym jednym słowem, z tą jedną prawdą, pojawiło się sześć strumieni wody. Po jednym z każdej filizanki trzymanej przez wizerów na tyle niemądrych, aby pić coś w pobliżu pływodziejki.

To był jedynie pokaz magii mający ich uciszyć. Nic więcej. Sześć strumieni wystrzeliło w stronę sklepionego sufitu, wykonało jedno kółko, po czym wróciło do swoich filiżanek. W komnacie ponownie zapadła cisza – i tym razem to Vivia rozdawała karty.

– Szybko zapomnieliście – rzekła cicho, groźnie – że to imię mojej matki widniało na tamtym dokumencie, nie ojca. I że to moja matka odbyła podróż na pierwotny Szczyt Rozejmowy, to ona podpisała ugodę.

Prześlizgiwała się spojrzeniem kolejno po każdej twarzy. Niektórzy wizerowie odwracali wzrok, inni patrzyli jej wyzywająco w oczy. Większość jednak przyglądała jej się spokojnie i słuchała.

– Słyszałam wasze opinie – kontynuowała Vivia – i każdą z nich wezmę pod rozwagę, gdy będę konkretyzować nasz kurs działania. Przysięgam wam to. Tyle że każda chwila, którą tracimy tu na kłótnie, to chwila, w której Król Zdobywca powiększa swoją przewagę. Biernością wykopiemy sobie jedynie głębsze groby. Musimy natychmiast przystąpić do działania.

Wskazała na siedzącego po jej prawicy wizera Sotara, a jego szerokie ramiona nagle wydały się jeszcze szersze.

– Sotar wyraził zgodę, aby osobista straż jego rodziny pomogła chronić północne prowincje. Jeśli któryś z was skłonny jest pójść za jego przykładem, obiecuję, że zrobimy z tego doskonały użytek.

Nikt nie podniósł ręki, ale Vivia wcale się tego nie spodziewała. Przyjdą do niej później, kiedy już naradzą się ze swoimi rodzinami i uzgodnią, co stanowi większy priorytet: osobiste bezpieczeństwo czy obrona ojczyzny. Niektórzy wybiorą pierwsze, inni drugie – i Vivia przewidywała, który wizer podejmie jaką decyzję. Tak czy inaczej, nie zamierzała ich do niczego zmuszać, w przypadku zmuszania żołnierzy do służby istniały tylko dwa wyjścia: dezercja albo śmierć. Sama też by nie ryzykowała.

Nachyliła się nad stołem i wskazała na mapę północnych ziem. Umieszczono na niej niewielkie wskaźniki dokumentujące informacje, jakie Vivia otrzymywała z wież wartowniczych.

– Pod sobą ma Czerwone Żagle. – Wskazała na czerwone znaczniki. – Nad sobą Baedyedów. – Żółte. – Do tego sto innych grup pobocznych, plemion i czarodziejów.

– I wszyscy chcieliby widzieć nas martwych – mruknął Sotar.

Na jego słowa pozostali zareagowali opuszczeniem ramion, ściągnięciem brwi i skupieniem uwagi na mapie. Vivia powoli wyłożyła swój plan. Określiła, które jednostki zostaną zmobilizowane, dokąd wyśle skradzioną przez nią ogniodziejską broń i które drogi zostaną wykorzystane jako łańcuchy dostaw.

Wszystkie pytania zadawane podczas udzielanych przez nią wyjaśnień były uprzejme, a protesty lub kontrargumenty wypowiedziane w sposób niecierpliwy, ale jednak grzeczny. Gorączkowy chaos z pierwszej części zebrania na razie był wyczuwalny jedynie w drżącym, cichym napięciu, nieopuszczającym Komnaty Bitewnej.

Gdy dzwon wybił czternaście razy, Wysoka Rada w końcu się rozeszła. Opuszczającym komnatę wizerom towarzyszyło zdecydowanie i poczucie celu – Vivia mogła jedynie mieć nadzieję, że okaże się to pomocne dla jej strategii. Podejrzewała, że co najmniej trzech z nich nadal trzyma się własnych opinii, ale nie miała czasu, aby się tym zamartwiać albo choćby o tym myśleć.

– Wizerze Sotar! – zawołała. Zatrzymał się na końcu stołu i Vivia podeszła do niego, wygładzając przód płaszcza. – Czy... – Głos jej się załamał. Spróbowała raz jeszcze. – Widziałeś ostatnio Stacię?

Kąciki ust mu opadły.

– Nie. A powinienem?

Na te słowa żołądek Vivii zmienił się w kamień. Maskę jej opadła, oddech uszedł z sykiem. Musiała położyć rękę na stole, nagle zabolęła ją ramię.

– Nie widziałam się z nią – powiedziała głosem, który brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka. – Nie zjawiała się na naszym porannym spotkaniu, nie ma jej w mieszkaniu od... sama nie wiem jak długo, nie znalazłam jej przy Strażnikach ani w koszarach, ani

nigdzie indziej. Szukam jej i szukam. Wiem jedynie, że wczoraj wzięła naszą łódź, wypłynęła z Lovats i słuch po niej zaginął.

Sotar także oparł się o stół.

– Cały dzień... Wasza Wysokość nie pomyślała, aby wcześniej mnie o tym poinformować?

– Najmocniej przepraszam. – Vivia pokręciła głową. – Najeźdźcy. – Machnęła ręką w stronę mapy, ale to kiepska wymówka. Należało wcześniej o tym powiedzieć. Powinna udać się do niego od razu, gdy Stix nie zjawiała się na ich porannym spotkaniu. – Wiem, że obiecałeś swoich strażników – dodała – ale zrozumieć, jeśli będą potrzebni do szukania Stix...

Sotar uniósł rękę, przerywając Vivii.

– Bez względu na wszystko moi ludzie pozostają do dyspozycji Waszej Wysokości. – Skłonił się sztywno. – Poślę gońca do majątku Sotarów. Może Stacia wybrała się tam, aby spotkać się z matką. Dam znać, jeśli czegoś się dowiem.

Vivia odprowadziła go wzrokiem. Patrzyła, jak drzwi się otwierają, potem zamykają z trzaskiem, a kurz wiruje i opada.

Jeden płytki oddech zamienił się w dwa... trzy i cztery, z każdą chwilą łapała powietrze coraz szybciej. Choć raz pozwoliła sobie na szaleństwo bezruchu.

Był z niej głupi mały lisek. W ogóle nie powinna była odwiedzać Marstoku. Od razu powinna była powiadomić wizera Sotara o zniknięciu jego córki. Nie powinna była wybuchać przy ojcu.

Powinna, nie powinna, powinna. Wszystko, co Vivia robiła, zawsze robiła nie tak. Wszystkie starania okazywały się niewystarczające. A najgorsze, że nic nie mogła zrobić, aby posprzątać ten bałagan, którego narobiła.

Nie miała także nikogo, kto by ją podniósł i otrzepał kolana. Jana nie żyła. Merik wyjechał. Ojciec znowu się od niej odsunął. A Stix...

Stix zaginęła.

Za to na Vivii polegała teraz cała Nubrevna. Mały lisek to za mało. Jej ludzie potrzebowali niedźwiedzia, a więc to nim będzie musiała

się stać.

Poprawiła kołnierz, potarła policzki, odsuwając od siebie to szaleństwo. Małego liska odesłała do nory, w której nikt go nigdy nie zobaczy.

Nie ma czasu na żale. Musiała przeć do przodu.

ROZDZIAŁ 35

Safi miała w nosie, że Vanessa jest zajęta.

Miała w nosie, że spotkanie odbywa się w prywatnym gabinecie cesarzowej i czy jest ważne albo zależy od niego bezpieczeństwo publiczne. Jeśli źmije jej tam zaraz nie zaprowadzą, ktoś straci ucho.

Spełnili jej żądanie.

Ani przez chwilę się nie zastanawiała, czy powinna to robić – tak samo, jak nie zastanawiałaby się nad tym, czy podczas huraganu ma się przywiązać do masztu. Piekielnym bardom groziła śmierć, musiała temu zapobiec.

– Nie zabijaj piekielnych bardów – wyrzuciła z siebie, gdy tylko znalazła się w gabinecie. – Wczoraj uratowali ci życie. Błagam, nie zabijaj ich.

W jej stronę odwróciło się siedemnaście par oczu – ośmioro członków świty, ośmioro cesarskich oficerów i cesarzowa Marstoku. Choć obandażowana i posiniaczona, Vanessa stała u szczytu stołu, a w jej spojrzeniu widniała stal.

– Prawdopodobnie – rzekła tonem przesiąkniętym krytyką. – To nie jest odpowiednia pora.

– Nie pozwól generałowi Fashayitowi ich zabić. – Safi próbowała przejść przez pokój, ale dwóch źmijów odkleiło się od ściany i jej w tym przeszkodziło. Zatrzymała się więc i dodała błagalnie: – Proszę, Wasza Wysokość. Czy tortury nie wystarczą? Dlaczego muszą umierać?

Vanessa zrobiła długi wdech – podobnie jak wszystkie obecne w gabinecie osoby. W końcu, nie odrywając spojrzenia od Safi, machnęła ręką do najbliższego stojącego źmija.

– Przyrowadź generała ogniodzieja, natychmiast. I Rokeshę.

Źmij się skłonił, po czym wyszedł.

– A pozostali – omiotła wzrokiem świtę i oficerów – niech wyjdą.

Nikt się nie ośmielił sprzeciwić, aczkolwiek część w drodze do drzwi spiorunowała Safi wzrokiem. Inni udawali, że jej nie widzą. Większość jednak marszczyła brwi, być może skonsternowana faktem, że Safi ma taki posłuch.

– Żmije także – poleciała Vanessa i cała jedenastka cicho opuściła gabinet.

Kiedy zamknęły się za nimi drewniane drzwi, wcześniejsza stal stopiła się. Vanessa chwiejnym krokiem podeszła do najbliższego krzesła.

– Nie nakazałam tortur. – Pokręciła głową. Prawda, prawda, prawda. – Czemu generał miałby zrobić coś takiego?

Safi nie odpowiedziała, głos uwiązał jej w gardle. Na jej oczach w Vanessie dokonała się transformacja. Wyglądała na dziesięć lat młodszą – może nawet dwadzieścia. Prawdopodobnie miała wrażenie, że stoi naprzeciwko siedmioletniej dziewczynki, której po śmierci rodziców wciśnięto w ręce władzę. To nie był ten poszarpany żal, który dopadł Vanessę na Ziemi Niczyjej. To było coś nowego. Coś gorszego.

Safi podeszła do niej spieszenie.

– Co się stało? – Nie przejmując się zasadami ani mnogością tytułów cesarzowej, położyła dłoń na ramieniu Vanessy.

Ta się nie odsunęła.

– Jestem zmęczona – mruknęła. – Jestem zmęczona i... – Zawahała się. A potem zaśmiała. Był to ostry dźwięk, w którym strach mieszał się z rozbawieniem i niechęcią do samej siebie. – Zagubiona.

Serce Safi powiedziało, że to prawda.

– Sądziłam, że twoja obecność wszystko naprawi – kontynuowała Vanessa. – Sądziłam, że wyplenię z mojego dworu zepsucie równie łatwo, jak przyływ oczyszcza brzeg. Ale jego korzenie tkwią zbyt głęboko, a moja władza jest zbyt wątła. Tym nieznanym buntownikom wczoraj niemal się udało. Mimo wszelkich środków ostrożności niemal się im udało.

– Ale jednak ich powstrzymaliśmy.

– Na razie. – Uniosła głowę i zamrugła. – Kto by w ogóle za mną płakał, gdybym zginęła. Ludzi nie obchodzi, kto jest ich przywódcą.

– Twój naród cię kocha.

– Podziwia – poprawiła Vanessa. – A to ważna różnica.

Na to Safi nie znalazła już odpowiedzi. Nie mieściło jej się w głowie, że Vanessie potrzebna jest pociecha. To nie była ta Żelazna Suka z Lejny ani Żelazna Suka, z którą pokonywała Ziemię Niczyją. Bez względu na to, kim teraz się stała, Safi nie wiedziała, jak się z nią obchodzić.

Nim udało jej się wydusić jakieś pocieszenie, rozległo się pukanie do drzwi. Vanessa się wzdrygnęła. Safi zabrała rękę z jej ramienia.

– Wasza Wysokość? – zawołał żmij. – Przybył generał.

– Chwileczkę – odkrzyknęła i spojrzała na Safi. Jej twarz nadal była pozbawiona maski. – Powiedz mi szybko, Safi: generał Fashayit. Mogę mu ufać?

Safi cała się spięła. Mogę mu ufać?

Przez całe życie kłamstwo przychodziło jej z niezwykłą łatwością. Umiejętność tę odziedziczyła po wuju i doprowadziła do perfekcji pod surowym przewodnictwem Mathew i Habima. Ale w przypadku nici Więzi i więziorodziny nigdy nie potrafiła kłamać. Nigdy. A po tym wszystkim, przez co ona i Vanessa razem przeszły...

Czy przyjaźń z nią znaczy więcej niż Habim? On także należał do jej więziorodziny, był w stanie zaprowadzić ją do Iseult. Bez względu na to, co planował, nie pokrywało się to z planami Vanessy, w takim samym stopniu jak decyzja Safi o przybyciu tutaj kompletnie się różniła od planów wuja Erona.

A jednak bez względu na to, co zaplanował Habim, jego zachowanie w stosunku do piekielnych bardów należało traktować zupełnie odrębnie. Nie mogła wszystkiego odrzucać tylko dlatego, że kierował nią gniew.

Gdyby tu była Iseult, kazałaby Safi myśleć głową, a nie sercem. Dlatego rzekła teraz:

– Tak, Wasza Wysokość. Możesz ufać generałowi Fashayitowi. Torturował piekielnych bardów po to tylko, aby chronić królestwo. – I aby chronić mnie.

Vanessa z wyraźną ulgą kiwnęła głową. Wyprostowała się. Dwa oddechy później znowu była Żelazną Cesarzową z maską na swoim miejscu. Spojrzała na Safi.

– Wpuść generała, a potem każ żmijom odprowadzić się do twoich komnat.

– A piekielni bardowie? Co z nimi zrobisz?

– Zostaną przetransportowani na granicę i odesłani do domu.

Prawda. Safi odetchnęła.

– Dziękuję ci, Wasza Wysokość. Dziękuję.

Vanessa machnęła ręką.

– Nie dziękuj mi za to, co zawsze było moim zamiarem. Umyj się i wyszykuj na dzisiejszy wieczór.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

*

Żmije odprowadziły Safi drogą na skróty. Przez kilka minut, kiedy szli korytarzami, niemal potrafiła udawać, że nic się nie stało. Szła tam, gdzie ją prowadzono, otaczała ją czerń i była nadworną prawdodziejką. Tyle. Nie istnieli torturowani piekielni bardowie, nie istniał Habim z planami uwolnienia jej ani cesarzowa uginająca się pod ciężarem swojej korony. I nie pamiętała nawet wuja areztowanego za zdradę.

Kiedy dotarła do drzwi swojej komnaty, czekał tam już Rokesh. Lewe ramię miał wyżej niż prawe, jakby było owinięte bandażem.

– Piastunko, zostałeś ranny – odezwała się Safi.

Kiwnął głową.

– Taka już moja praca. – Jego spojrzenie pomknęło na chwilę na boki i Safi wiedziała, że w tym momencie wspomina innych żmijów. Tych, którzy zginęli przy Studni, i tych, którzy odeszli na Ziemi Niczyjej.

Otworzył drzwi. Jej pokój skąpany był w słońcu. Safi nie weszła do środka.

– Ilu żmijów zginęło wczoraj?

– Siedmiu – odparł spokojnie, bez emocji. A ich brak był kłamstwem, kłamstwem, kłamstwem.

Siedmioro kobiet i mężczyzn, których twarzy nigdy nie widziała, walczyło z ognistym jastrzębiem, żeby Vanessa mogła żyć. Zginęło także stu żołnierzy.

– Przykro mi – rzekła. – Dobrze ich znałeś?

Zamrugął, po czym ściągnął brwi, jakby nie wiedział, co począć z tym pytaniem. W końcu odnalazł właściwe słowa.

– W Marstoku – powiedział w zamyśleniu – kiedy objawia się magia taka jak nasza, mamy dwa wyjścia: albo szkolić się na uzdrowiciela, albo zostać żmijem. Wszyscy wybieramy takie życie i wszyscy wybieramy je w tym samym wieku. Więc owszem, znałem ich bardzo dobrze.

Safi przełknęła ślinę, nagle przytłoczona tym, ile żalu musi rozpychać płuca Rokesha. Jak wielki ciężar wątpliwości i wyczerpania dźwiga Vanessa. Nie miała pojęcia, jak im pomóc.

– Magia... taka jak wasza? – zapytała w końcu. Niemądre słowa, których celem było po prostu przerwanie ciszy. – Masz na myśli jadodziejstwo?

Ciche westchnienie, niemal śmiech.

– Wododziejkie uzdrawianie.– Rokesh lekko pokręcił głową. – Oto z czym urodziłem się ja i każdy inny żmij. Moc uleczenia życia potrafi je także odbierać. Każdy medal ma dwie strony, prawdodziejko. Są dwie krawędzie noża Pani Los. Nie inaczej jest w przypadku magii. To od ciebie zależy, co z nią zrobisz.

Prawda tego stwierdzenia trafiła w nią niczym piorun. Uderzyła z taką siłą, że całe jej ciało się wyprostowało. To przecież oczywiste, że od niej zależało, co zrobi ze swoją magią. Każdy medal ma dwie strony, tak samo jak nóż Pani Los.

Odpowiedź na kamień bólu przez cały czas miała na wyciągnięcie ręki, ale była zbyt pochłonięta obiema stronami medalu, by wpadła na pomysł wykorzystania tylko jednej.

– Dziękuję ci – mruknęła z roztargnieniem do Rokesha i odwróciła się. Po dwóch krokach się zatrzymała, bo coś jeszcze przyszło jej do głowy. Spojrzała na niego. – W jaki sposób robicie te swoje trujące strzałki?

Jeśli jej pytanie go zaskoczyło, nie dał nic po sobie znać. Odparł po prostu:

– Kiedy je ciosamy, mówimy im po prostu, czym chcemy, aby się stały.

– Rozumiem. – I rzeczywiście rozumiała. Tak samo więziodzieje recytowali swoim kamieniom, tak samo uzdrowiciele osadzali swoją moc w akcie tworzenia.

Nie mówiąc nic więcej, Safi zostawiła Rokesha i podeszła spiesznie do biurka. Zgarnęła wszystko z blatu: książki z pasującymi do siebie okładkami, kamienie, nici i narzędzia, które świetnie służyły innym czarodziejom. A potem odwróciła się i spojrzała na stojący w ogrodzie teleskop. Tak bardzo się skupiła na kamieniach, które sprawdzały się u eterystów, że w ogóle nie przyszły jej do głowy inne narzędzia. Nie przyszło jej do głowy, że musi coś zgromadzić. Stara wrona od samego początku miała rację.

Wyszła do ogrodu, ale nim zdążyła unieść teleskop, przy murze rozległo się krakanie. Dreszcz przebiegł Safi po ramieniu. Spojrzała w górę i napotkała dwoje ciemnych oczu.

– Nie jesteś tylko ptakiem, co?

Kolejne krakanie, które Safi odczytała jako: Nie, nie jestem.

– Czy należysz do... kogoś? – Gdy wypowiadała to pytanie, dotarło do niej, jak bardzo jest niemądre. W sumie wszystko to było niedorzeczne. Mówiła do po trzykroć przekłętej wrony i spodziewała się, wierzyła, że jej odpowie.

Mówisz do wrony, która uratowała ci życie, wskazując magiczne przejście, która pierwsza zwróciła twoją uwagę na ten oto teleskop,

jak również na kamienie prawdy.

Nie. Safi nie zamierzała rozmawiać z ptakami ani przypisywać im cech ludzkich. Choć gonił ją kraczący śmiech, podniosła teleskop, wróciła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. A potem wzięła się do pracy. Kawałek po kawałku rozebrała przyrząd. Obiektywy, oprawki, szkiełka, śruby. Przekręcając, obracając i wyjmując części, myślała o Iseult, Habimie i piekielnych bardach, torturowanych i zatrutych. Myślała o pozbawionej maski Vanessie i o tym, jak źle się dzieje na tym świecie.

Wkładała wszystkie swoje myśli, całą swoją energię, całe jestestwo w to jedno doznanie, w jeden element swojej magicznej mocy. Prawda, prawda, prawda. Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo. Skupiła się na tym, jak kłamstwa pełzają jej po skórze i bucżą między żebrami. Na tym, jak szczypią ją w plecy i ściskają organy. Myślała o rozszczepieńcach, o Czerwonych Żaglach, o wszystkich zepsutych, podłych ludziach, których napotkała na swojej drodze.

Trzy razy słyszała bicie dzwonu. Nikt jej nie przeszkadzał, więc nieprzerwanie pracowała, kierując się intuicją, która zawsze ją prowadziła. A teraz, kiedy Safi obrała właściwą ścieżkę, miała wrażenie, że tego pragnęła jej magia – domagała się wolności w takim samym stopniu jak Safi. Wypływała z niej wartkim strumieniem, wypełniając sobą szkło i mosiądz czy metalowe śruby.

Kilka godzin później skończyła.

Mała lunetka utworzona z okularu od lunety, kilku obiektywów wewnętrznych, kawałków nici i kwarcu połyskiwała w popołudniowym słońcu.

Prawdoluneta.

Safi podeszła chwiejnie do łóżka, wyczerpana psychicznie i fizycznie. Zasnęła.

ROZDZIAŁ 36

Rzędy rozszczepieńców nie zaprowadziły Merika z powrotem do wieży Esme. Zamiast tego skierowały go na zachód, na zalesione wzgórze. Jeśli znajdowały się tu kiedyś budynki, nie został po nich nawet ślad.

Gdy w końcu dotarł na szczyt wzgórza, słońce już zachodziło. Bolały go nogi, plecy miał zeszywniałe od chodzenia. I od biegania, kiedy jego ciało było w stanie sobie z nim radzić. Nie miał czasu do stracenia, więc nie czekał nawet, aż Północnik sobie pójdzie. Wskazał mu jeszcze raz kierunek i powtórzył: „Idź na północ. Ludzie pomogą”.

Podniósł z ziemi swoją mokrą koszulę i biegł tak długo, dopóki niosły go nogi, czyli dość krótko. Merik był wrakiem człowieka. Lalkarka już się o to zatroszczyła. Mięśnie i kości go zawodziły, ale umysł pozostawał ostry jak brzytwa. Spotkanie z Północnikiem dodało mu energii. Przyniosło masę pytań i implikacji, z których jedna wysuwała się na pierwszy plan: skoro u tego człowieka cofnęło się rozszczepienie, skoro uwolnił się od kontroli Esme – nawet jeśli nie wiedział, jak do tego doszło – być może Merik też mógł zostać wyleczony. A skoro Merik, to i Kullen. I wszyscy pozostali.

Ta myśl nie opuszczała go przez całą drogę powrotną do Poznina. Biegł, kiedy mógł, włókł się, kiedy opuszczały go siły. Śpiewającą sadzawkę ominął szerokim łukiem. Gdy dotarł do ostatniego wartownika na wyznaczonej przez Esme ścieżce na wzgórze, drzewa nagle się rozstały. Rubinowe światło kładło się na podłużnym stawie, którego woda pozostawała nieruchoma i ciemna. Sześć dębów z pozbawionymi kory pniami i gałęziami skierowanymi ku niebu niczym zwłoki wydostające się z grobów. Choć widać było, że od dawna są martwe, jakimś cudem udało im się utrzymać w pionie.

Nie dostrzegł tu żadnych konstrukcji stworzonych przez człowieka. Żadnych kamiennych płyt, pomników wzniesionych ku czci magii. Jedynie gęsta trawa, jeszcze gęstszy las i szepczące w ciemnościach stworzenia nocy.

Z tą myślą z czeluści pamięci wypłynęło wspomnienie – piosenka, której przed laty nauczyła go ciotka Evrane.

*Dąb i trawa ku czci wiatrów,
Wapień i cyprys dla wody,
Buk i granit – dary ziemi,
Cedr i piaskowiec dla ognia.
Brzozy i śnieg, gdzie narodził się eter,
Pośród cienistych płomyków czeka Otchłań,
A w sercu głęboko, gdzie nie dociera słońce,
Budzi się Olbrzym zwany Śpiącym.*

Dąb. Trawa. A więc to arythuańska Prastudnia, powiązana z magią powietrza – Studnia stanowiąca źródło mocy Merika.

Martwa. Tak samo jak w przypadku Studni, w pobliżu której dorastał, w tej też nie płynęła już woda, a sześć strzeżących jej drzew uschło na wiór.

– Nareszcie. – Spomiędzy drzew doszedł go głos Esme, a chwilę później wyłoniła się także i ona. Za nią wiła się w głąb lasu wąska ścieżka. Kobieta miała na sobie pelerynę z gronostajów obszytą białym aksamitem połyskującym w ostatnich promieniach słońca, kiedy szła w podskokach w jego stronę.

Zawsze podskakuje, pomyślał Merik i cały się przy tym spiął. Zawsze uradowana swoimi najnowszymi gierkami. I rzeczywiście, kiedy dziesięć kroków od niego zatrzymała się i zdjęła kaptur, na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Witaj w moim Krośnie. – Rozłożyła ręce. – Z tego miejsca wszystkich was kontroluję. Czyż nie jest tu pięknie?

Merik się zawahał i z trudem przełknął ślinę. Nie widział żadnego krosna ani niczego z wyjątkiem Studni i choć była piękna, bał się przyznać, że dostrzega jedynie trawę, wodę i blask księżyca.

Wtedy Esme się roześmiała.

– Oczywiście, że tego nie widzisz, książę. Widzi to tylko więziodziejka. A raczej... – Przechyliła głowę w geście fałszywej skromności. – Splotodziejka. No dobrze, daj mi kamienie. – Wyciągnęła bladą dłoń.

Merik odwiązał od pasa worek. Kamienie obijały się o siebie. Podczas biegu posiniaczyły mu biodro.

– Aż tyle? – zapytała z głodem w oczach.

– *Onga*. Dużo ich tam było. – Ze spuszczoną głową podał jej worek, a ona z okrzykiem radości rozluźniła sznurek.

– Przyniosłeś nie takie, jak trzeba – warknęła natychmiast. Z płonącymi oczami podeszła do niego. – Mówiłam ci, że mają to być kamienie oplecione nicią albo przędzą, książę, a większość nie ma ani jednego, ani drugiego. Nie posłuchałeś mnie.

– Nie – wyrzucił z siebie Merik i uniósł ręce. – Nie, proszę, pomyliłem się. Przysięgam.

Esme to nie obchodziło. Uniosła wolną rękę, kierując ją w stronę wody. Wykonała palcami ruch, jakby grała na harfie.

W Meriku eksplodował ból. Najpierw w czaszce, biały i oślepiający. Następnie przeszył mu szyję, ześlizgnął się do klatki piersiowej, ściskając mu płuca i wypełniając organy rozgrzanym olejem.

Upadł na trawę. Krzyczał. Błagał. Szlochał, ale ból cały czas przeszywał go i smagał, aż w końcu ledwie był w stanie zachować przytomność.

Kiedy atak w końcu zaczął słabnąć – powoli, co zadawało jeszcze więcej cierpienia – Merik był w stanie jedynie wic się w konwulsjach. Ból był o wiele bardziej dojmujący, niż pamiętał. Dzień bez niego i zdążył zapomnieć, do czego Esme jest zdolna.

Ale tylko ze swoim Krosnem – mglista myśl pojawiła się na dnie jego umysłu. Zastanawiał się, czy aby go używać, musiała się znajdować fizycznie obok niego.

Przy głowie Merika rozbrzmiał głuchy odgłos. Cały zadrżał. Otworzył oczy, aby zobaczyć, co leży obok niego. Worek z kamieniami.

– Masz to posortować – poleciała Esme. Nadal stała obok Studni z uniesioną ręką, z palcami gotowymi do dalszej gry na niewidzialnym Krośnie. Co sugerowało, że rzeczywiście musi się znajdować w pobliżu, aby go używać. Dobrze to wiedzieć. To tłumaczyło, dlaczego Merik przez większość dnia jej nie słyszał: przebywała w innym miejscu.

– Tym razem, książę, zrób to należycie. Chcę jedynie kamieni oplecionych przędzą albo niciami. Rozumiesz?

Pokiwał głową. Gardło go nie słuchało, mięśnie też nie chciały współpracować, kiedy próbował się podnieść. Palce mu drgały. Raz za razem mrugał oczami. W końcu podniósł z ziemi worek. Dopiero po kilku próbach udało mu się zdjąć płaszcz, rękaw koszuli nadal był wilgotny, a wieczorny wietrzyk cudownie chłodził ogień w jego żyłach. Rozłożył płaszcz na trawie, po czym wysypał na niego kamienie.

Esme w końcu odeszła od Studni. Od swojego Krosna. Przez jakiś czas przyglądała się, jak Merik dzieli kamienie na dwie kupki. To była żmudna praca, słońce zdążyło się już niemal całkowicie skryć za horyzontem i ledwie co widział. Co kilka minut niebo zasnuwała gęsta warstwa chmur, kradnąc resztki światła, a często nici albo przędza okazywały się tak cienkie, że niemal niewykrywalne.

Nie znosił tego, że Esme na niego patrzy. Mógł przecież w każdej chwili położyć kamień na niewłaściwej kupce, a ona by go wtedy ukarała. Dlatego choć potwornie bolało go gardło, wychrypiął:

– Po co ci te kamienie? My nie... – Zwilżył popękane usta. – Nie dokończyliśmy naszej lekcji.

Na widok jej uśmiechu spłynęła na niego fala ulgi.

– Wiedziałam, że mogę cię uczyć! – zawołała. – Och, zabawny jesteś, doprawdy! – Zgarnęła fałdy spódnicy na bok, opadła z gracją na trawę i podkuliła pod siebie nogi. – Odpowiadając na twoje pytanie, książę, moje Krosno potrzebuje mocy i w tym celu zdobywam jej zewnętrzne źródło. Magia nie jest czymś nieskończonym. Wiedziałeś o tym? Po twoich niciach Więzi widzę, że jesteś skonsternowany. Ależ ograniczony musi być twój mózg. – Esmę wskazała na wodę, jej powierzchnia marszczyła się na wietrze. – Zaczęło się od tej Studni. Przed sześcioma laty, kiedy ją znalazłam, nie była jeszcze całkowicie martwa. Niemalże wyschła, ale nie zupełnie. Kryło się w niej wystarczająco życia, abym mogła ją rozszczepić.

Palce Merika znieruchomiały nad czerwonym kamieniem. Chyba się przesłyszał.

– Śmierć Studni i narodziny armii. – Westchnęła, a dźwięk ten przepełniały czułość i tęsknota. – Ekscytujący czas dla mnie. Eksperymentowałam, ale zakończyło się to sukcesem, zresztą jak sam widzisz. – Uśmiechnęła się.

Merik pospiesznie wrócił do sortowania. Nie przesłyszał się, ona naprawdę rozszczepiła Prastudnię. Nie mieściło mu się w głowie, jak coś takiego jest w ogóle możliwe.

Jakby podążając tropem jego myśli, Esmę rzekła:

– Wymaga to wielkiej mocy, książę. Aby stworzyć Krosno, potrzeba ogromnej ilości nici Więzi. Mało nie zginęłam, kiedy to robiłam. Dzisiaj nie jest już tak jak za czasów Eridysi. Do takiej mocy bez problemu mieli dostęp Paladyni. Teraz... – Urwała i wbiła wzrok w trawę. – Teraz magia jest inna, więc aby zdobyć wystarczająco mocy, muszę... myśleć perspektywicznie. – Przeniosła nagle wzrok na Merika.

Nie ośmielił się spojrzeć w jej rozszalałe oczy. Chwycił więcej kamieni, przyjrzał się im uważnie i odrzucił.

– Kiedy znalazłam tę Studnię, wiedziałam, że zapewni mi to, czego potrzebuję – kontynuowała Esmę. – Wtedy nie znałam jeszcze pełni

swojej mocy, wiedziałam jedynie, że nie potrafię tworzyć kamieni Więzi i że moje plemię – wypluła z siebie to słowo – nie potrzebuje więziodziejki, która nie umie ich robić. Człowiek zaczyna się zastanawiać – dodała, a jej głos stał się dziwnie odległy – jak wiele więziodziejek odrzucono dlatego, że były takie jak ja? Jak wiele musiało się mierzyć z biedą i nienawiścią, podczas gdy tak naprawdę wcale nie były więziodziejkami?

Merik nie odpowiedział na jej pytanie, wiedział, że ona wcale tego nie oczekuje. Czegoś jednak oczekiwała. Czuł emanujące z niej wyczekiwanie.

– Ty... nie masz plemienia? – zapytał z nadzieją, że kolejne pytania sprawią jej przyjemność.

Udało się. W końcu oderwała wzrok od Merika i wplatając palce w trawę, raz jeszcze popatrzyła na staw.

– Jestem teraz *amalej*. Bez plemienia, bez rodziny, bez domu. Nie z wyboru, zostałam do tego zmuszona. Wygnali mnie, bo nie byłam taka, jak chcieli.

Przez pół bicia serca Merik czuł współczucie. Zostać pozbawionym domu i odrzuconym przez rodzinę dlatego, że się nie pasowało... On tak się czuł przez całe dzieciństwo, na ziemiach Niharów, podczas gdy Vivia wychowywała się w królewskim pałacu.

Jednak prawda – którą dostrzegł dopiero, kiedy już było za późno – była taka, że przez cały czas mógł liczyć na wsparcie rodziny. Evrane, Kullena, ludzi Niharów, a nawet Vivię. Tyle że w swoim zadufaniu tego nie dostrzegał.

Zerknął z ukosa na Esme, starając się nie zwracać na siebie jej uwagi. Prawdziwe wygnanie, odcięcie od ludzi i miłości, to los, którego nie życzył nikomu. I być może w środku tej całej nienawiści mieszkała nadal tamta dziewczyna, którą kiedyś była.

– Oni poszli na pierwszy ogień – oświadczyła Esme, wrywając go z zamyślenia. Uśmiechnęła się pogodnie. – Każdy jeden z mojego plemienia. Zniszczyłam każdą osobę, która mnie kiedyś odrzuciła. –

Nie odwracając wzroku od Merika, uniosła rękę w stronę Studni. Pstryknięcie, pociągnięcie, przesunięcie, i w lesie rozległ się szelest.

Jeden po drugim, rozszczepieńcy wychodzili spomiędzy drzew. Na trawę, na ścieżki, zjawily się ich setki, a kolejne setki szły za nimi.

– Warto było zaryzykować życie, aby tak się stało, księżę. Nic nie smakuje lepiej niż sprawiedliwość. A teraz mogę pociągać za ich nici Więzi, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota – poruszyła ponownie palcami – i przyglądać się, jak tańczą.

Nie, chciał powiedzieć Merik. Nie każ im tego robić.

Ale było już za późno: rozszczepieńcy rozpoczęli swój taniec. Niektórzy klaskali w dłonie, niektórzy się obracali, inni podskakiwali i się kołysali, a dwoje posunęło się nawet do tego, aby poruszać nogami w groteskowej imitacji nubreveńskiego tańca na cztery. Wyglądało to tak, jakby każdy rozszczepieniec poruszał się w sposób, jaki jego zdaniem można nazwać tańcem.

Esme chichotała i wyklaskiwała dla nich rytm.

W tej chwili nie miał w sobie ani odrobiny współczucia dla tej kobiety.

– Jak... jak to robisz? – wyrzucił z siebie, choć do gardła podeszła mu żółć. Wiedział jedynie, że musi ją jakoś powstrzymać, a pomogą mu w tym pytania.

Mylił się. Esme go zignorowała, jeszcze głośniejsze chichotała i jeszcze szybciej klaskała. Szybciej, szybciej, nawet kiedy rozszczepieńcy zaczęli wpadać jedni na drugich albo potykać się o własne na wpół martwe nogi.

Merik wypróbował więc nową taktykę. Sztuczkę, której nauczył się od Vivii, mistrzyni w radzeniu sobie z ich ojcem.

– W jaki sposób kontrolujesz tak wiele osób, Esme? Musisz być bardzo uzdolniona.

Jej dłonie znieruchomiały. Rozszczepieńcy również, niektórzy z nogami w górze, inni opierali się o pnie drzew. Leniwie odsunęła dłoń od Krosna.

– Jestem... wyjątkowo uzdolniona.

Rozszczępięcy nagle się wyprostowali. Nie wycofali się jednak do lasu, lecz pozostali na swoich miejscach, wbijali w Merika tysiąc niewidzących spojrzeń.

– To moc Krosna, książę. Ale nawet ona nie jest niewyczerpana. Dlatego musisz mi pomóc. Dlatego musisz wybierać odpowiednie kamienie Więzi. – Odsłoniła zęby, a potem nagle ruszyła na czworakach w jego stronę.

Kiedy dotarła do rozłożonego na trawie płaszcza, zgarnęła garść kamieni oplecionych nićmi.

– Dadzą mi moc, abym mogła stworzyć następne Krosno, książę. Więziodziejki wlały w nie swoją moc, a ja ją wysysam niczym szpik z kości. Z każdym kolejnym staję się silniejsza. A kiedy król Ragnor przejmie Klasztor, ja będę gotowa, aby przejąć Studnię Eteru. Mając taką moc... – Zaśmiała się dziewczęco. – Wykorzystamy drzwi Eridysi, aby przejąć całe Czaroziemie. Jedno po drugim, imperia padną, a ich Studnie staną się moje.

ROZDZIAŁ 37

„Spal ich. Spal ich wszystkich”.

Iseult stała we śnie na polu bitwy, na którym aż gęsto było od dymu. Ziemia płonęła żywym ogniem. Niemożliwym do powstrzymania. Ziemia Niczyja z jej wspomnień, Ziemia Niczyja, gdzie zabiła ogniodzieja, odcinając mu nici Więzi i rozszczepiając.

„Spalone włosy i dymiące ciało. Jesienne stosy i wołania o litość”.

Dziesięć kroków dalej łupał na nią ogniodziej, szkielet utworzony z płomieni. Jego czaszka się uśmiechała. Śmiała się. Zęby uderzały o siebie. Ręce miał opuszczone wzdłuż tułowia niczym marionetka czekająca na rozkaz Iseult. Po jego sylwetce przemykały cienie, ciemne pajęczyny pośród pomarańczowych płomieni.

Nienaturalnych płomieni, przywołanych przez magię.

Tym razem to nie ogniodziej je przywołał, to nie on sprawował nad nimi kontrolę. Iseult wiedziała, że to jej moc, jej wola, gdyż ona i ogniodziej stanowili teraz jedność.

Zawsze tak było. Kroczyli ścieżką ku sobie. Nie dało się tego uniknąć.

Odchodziły od niego trzy czarne linie. Odciąć. Odciąć. Odciąć. Powiewały w gęstym od dymu powietrzu, dotarły do Iseult i owinęły się wokół jej serca.

„Nici Więzi, które pękają. Nici Więzi, które umierają”.

Nie – próbowała powiedzieć Iseult, ale w jej ustach pozostała jedynie ciemność.

Zrobiła dwa kroki w tył, a martwy mężczyzna ruszył w jej stronę, idealnie naśladowując jej ruchy. Cały czas rechotał.

– Zabiłaś mnie! – zawołał. – I znowu to zrobisz. Raz za razem. Jesteśmy ze sobą związani. Jestem twój, a ty moja.

Iseult ścisnęło w gardle. Jej płuca zasysały tylko gorące powietrze. Tym razem jednak udało jej się wydukać:

– M-muszę cię zabić. Żeby uratować Aeduana. Muszę.

– On cię i tak zostawi. Zrobi to znowu, Iseult. Świat wokół ciebie będzie płonął, ale on już nigdy nie wróci.

Ogniodziej ponownie się zaśmiał. A potem rozległ się dźwięk przypominający trzask płonącego drewna. Jego nici Więzi napięły się, ciało tak samo. Ręce wychylił w tył, łokcie i kolana zaczęły mu się odwracać. Otworzył usta i buchnął z nich ogień. Otulił sobą wszystko. Wszystko, co materialne, wszystkie zmysły.

– SPAL ICH! – zawołał, milcząca obietnica zawłaszczająca każdy fragment umysłu Iseult. – SPAL ICH WSZYSTKICH!

Ogień dotarł do Iseult. Gorąco, światło i ból. To był koniec. Nadeszła jej śmierć. Rozszczepiony przez nią ogniodziej teraz rozszczepiał ją. Ona także zaczęła krzyczeć.

Tyle że śmierć się nie zjawiała. Sekundy mijały, ból powoli słabł. Tak bardzo, bardzo powoli, zbyt powoli – niemniej ustępował. Ogień także się wycofywał. Widziała białe otwory, jakby świat był zrobiony z papieru i przebijał się przez niego nowy krajobraz. Aż w końcu nic już nie zostało. Nic z wyjątkiem Iseult i unoszących się wokół niej białych drobinek.

Początkowo sądziła, że to popiół. To jest koniec, pozostał jedynie popiół. Ale po chwili dotarło do niej, że te drobinki są zbyt zimne. Gromadziły się na jej ramionach, przybierając perfekcyjne kształty kryształów.

Śnieg.

Koszmar dobiegł końca.

Tyle że teraz Iseult nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Zbliżał się do niej ktoś nowy, o szerokich barach i z rękami wiszącymi sztywno wzdłuż tułowia. Na głowie miał srebrną koronę.

Połykiwała niczym szron. Był srebrnym królem w świecie padającego śniegu.

Zimno. Dopiero teraz Iseult uświadomiła sobie, że jest jej potwornie zimno. Szczękała zębami i cała się trzęsła. Była także zmęczona i nagle niczego nie pragnęła bardziej niż zwinąć się

w zamarzający kłębek i zasnąć. Zmusiła się jednak do utrzymania powiek w górze.

Kim jesteś? – próbowała zapytać, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Jej oddechowi nie towarzyszyła także para. Tylko śnieg, zimno i król. Mężczyzna uniósł ręce, a za nim pojawiły się czarne cienie, nadając mu wygląd wielkiego, czarnego ptaszyska.

Chodź, zdawały się mówić skrzydła. Zbudź się.

Więc Iseult tak zrobiła. I wtedy skrzydła się skurczyły, odsłaniając kobietę ze srebrnymi włosami i unoszącymi się nad nią ciepłymi, zatroskanymi nićmi Więzi.

Nie śpię. Iseult nie spała, ale nadal się trzęsła, było jej potwornie zimno. Wciąż nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Lampy świeciły jasno, oślepiając ją i spowijając świat bursztynową poświatą. Nawet kobieta przed nią lśniła niczym wschodzące słońce.

Kiedy Iseult wzięła urywany oddech i trzykrotnie zamrugła oczami, uświadomiła sobie, że zna tę kobietę. Znała tę pochylającą się nad nią pomarszczoną twarz i srebrne włosy.

Mniszka Evrane. Delikatnie wcierała w ręce Iseult jakąś maść. Ledwie czuła jej dotyk. Musiała znieczulić jej skórę...

Im dłużej przyglądała się Evrane, tym wyraźniej widziała.

– Obudziłaś się – mruknęła Evrane po nubreveńsku, tonem pełnym współczucia. Skupiała się na swojej pracy, jej nici Więzi potwierdzały to współczucie. – Ależ mnie Noden pobłogosławił. Nigdy nie sądziłam, że dane mi będzie ujrzeć Cahr Awena tutaj, w jego świętym domu.

Na dźwięk głosu mniszki Iseult zapiekły oczy. Miała wrażenie, że gardło ma zatkane bawełną. Evrane żyje. Nie zabiłam jej w Lejnie. Tak mówił Aeduan, ale aż do teraz nie wierzyła mu.

– J-jak? – wychrypiała. Próbowała usiąść, ale mniszka ją powstrzymała. Stanowczo położyła dłoń na jej ramieniu i Iseult ponownie opadła. Głowę ułożyła na aksamicie przesiąkniętym zapachem rozmarynu i w tym momencie dotarło do niej coś jeszcze: ja też żyję.

– Jesteś w Klasztorze – wyjaśniła Evrane. – W głównej twierdzy. Udało nam się dotrzeć przed innymi do zniszczonego promu.

– Innymi?

Niemi Więzi Evrane zawładnął kobalt. Żal.

– Obawiam się, że Klasztor podzielił się na dwie frakcje. Jedni wspierają Abbota, drudzy zbuntowali się przeciwko niemu. Ja – dodała Evrane – wspieram Abbota. – Na chwilę przerwała wcieranie maści i przechyliła głowę. – Słyszysz ich? Nawet teraz dokonują oblężenia. Odkąd cię tu wnieśliśmy.

Iseult ściągnęła brwi. Rzeczywiście słyszała w oddali coś jakby krzyki. Co jakiś czas rozlegał się huk, jej łóżko się trzęsło.

– Nieprzerwane katapulty – wyjaśniła Evrane. – Skończyła im się smoła i teraz używają już tylko kamieni.

– D-dlaczego?

Westchnienie. I jeszcze więcej smutku i żalu w niciach Więzi Evrane.

– Dlatego, że się pogubili i zapomnieli o swojej przysiędze wobec Cahr Awenów. To cud, że nie zginęłaś, Iseult. Najpewniej Noden ochrania tych, którzy są mu najbardziej potrzebni. – Spojrzała Iseult w oczy i kąci jej ust uniosły się w uśmiechu. Następnie jej spojrzenie prześlizgnęło się w kącie pomieszczenia, za Iseult. – Książę wyszedł z tego niemal bez szwanku. Mówi, że ochroniłaś go w czasie uderzenia.

Po raz pierwszy, odkąd się obudziła, Iseult wyczuła w pomieszczeniu drugi zwój nici. Blade od snu czaiły się w cieniu. Kiedy tym razem próbowała wstać, Evrane jej pozwoliła. Delikatnie pomogła jej się podnieść.

– Ostrożnie, ostrożnie.

Wokół Iseult zmaterializował się cały pokój. Nad szerokim łóżkiem zamontowano ciężki baldachim w kolorze butelkowej zieleni i granatu. Zasłony zwisały od sufitu aż do podłogi, a obok nich stała bogato zdobiona szafa z przytwierdzoną na górze baranią głową. Do tego lustro w złotej ramie, złote świeczniki, złote kinkiety, złoty

żyrandol. Nawet dwa ogrzewające pokój koksiaki pomalowano na złoto.

Uwagę Iseult zwrócił mężczyzna rozłożony na obitym satyną fotelu. Lewą rękę miał na temblaku, a dłonie i jedną stronę twarzy obandażowane. Nad nim leniwie unosiły się jasne nici Więzi.

– Nie zgodził się od ciebie odejść – rzekła cierpko Evrane. – Dał mi się przynajmniej opatrzeć.

– Doprawdy? – mruknęła Iseult, choć prawda była taka, że ledwo słuchała. Jej spojrzenie przeczesywało każdy fragment pomieszczenia, każdy kamień i cień. Szukała trzeciego kompletu nici Więzi. Nie ukrywała się tu jednak żadna ziemiodziejka.

– Gdzie jest Sowa? – Odwróciła się sztywno do mniszki. – Co się z nią stało?

Evrane pokręciła głową, a do jej nici Więzi napłynęła konsternacja.

– Sowa – powtórzyła Iseult, tym razem głośniej. – To dziecko. Dziewczynka. Wyjątkowa dziewczynka.

– Nikogo innego tam nie było...

– B-był. Musiała tam być! – W zdenerwowaniu zaczęła się jąkać.

Stracili Sowę. Jak mogli stracić Sowę? Księżycowa Matko, nie!

– Leciała z nami na promie, mniszko Evrane. Musi gdzieś tu być!

– Uspokój się. – Evrane położyła rękę na jej ramieniu.

– Nie było żadnego ciała? – Głos Iseult stał się głośniejszy i wyższy.

Leopold poruszył się na fotelu.

Nici Evrane pociemniały, przybierając odcień mchu świadczący o niepokoju.

– Iseult – powiedziała cicho. – Musisz się uspokoić. Nie wyzdrowiejesz, jeśli będziesz histeryzować.

Iseult wcale nie histeryzowała. Straciła Sowę. Dziecko, którego nigdy nie lubiła, ale które w końcu zaczęła rozumieć – gdzieś tam było. Być może została uwięziona w wojnie między mnichami...

O ile w ogóle jeszcze żyła.

Głos uwiązał jej teraz w gardle, ogarniała ją senność. Znała tę magię. To Evrane, próbowała ją uspokoić, żeby jej rany mogły się szybciej goić.

Nie chciała tego. Nie teraz. Nie kiedy Sowa jej potrzebowała. Magia mniszki okazała się silniejsza niż desperacja Iseult i choć próbowała protestować, nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku poza cichym jękiem.

Ostatnie, co zobaczyła, nim magia Evrane zaciągnęła ją do ciemności, to prześlizgujące się po twarzy mniszki cienie. Po twarzy i przez jej nici Więzi.

A potem mrok wygrał i Iseult zapadła w sen.

ROZDZIAŁ 38

Dwa tygodnie po uratowaniu Bootsa chłopiec pomaga matce opatrywać rany psa. Każdego dnia wcierają maść w szwy na brzuchu i chłopiec wie, że jego terier jest szczęśliwy, nawet jeśli boli go całe ciało i nigdy nie będzie już chodził czy bawił się tak jak dawniej. Kiedy tylko chłopiec jest blisko, ogon Bootsa uderza o podłogę i w jego lojalnej krwi daje się wyczuć zadowolenie.

– Potwór nigdy więcej cię nie dopadnie – szepcze co wieczór chłopiec, drapiąc czarne, puchate uszy. – Ze mną zawsze będziesz bezpieczny.

Nieprawda. Trzy tygodnie po uratowaniu Bootsa chłopiec zabija swego przyjaciela.

Pewnego wieczoru tak samo drapie uszy psiaka. Rodzice siedzą przed namiotem i rozmawiają ściszymi głosami jak zawsze, kiedy sądzą, że malec śpi. Jego matka śmieje się cicho. Często tak robi.

Drap, drap.

– Potwór nigdy więcej cię nie dopadnie – przypomina chłopiec Bootsowi, który leży obok niego na macie. – Ze mną zawsze będziesz bezpieczny.

Pies macha ogonem. Drap, drap.

A potem przestaje. Zaniepokojony chłopiec siada.

– Boots?

Zwierzak nie reaguje i do chłopca dociera, że moc z jego żył wyrwała się na wolność, pulsuje teraz w psie.

Wślizguje się także do jego lojalności.

Krew Bootsa zwalnia. Jego serce zwalnia... zatrzymuje się.

Chłopiec nie zamierzał tego robić – nie wie nawet, jak to się stało. Wie jedynie, że to zrobił i teraz, kiedy szpony się wbiły, nie jest w stanie odpuścić.

Próbuje! Próbuje, próbuje, próbuje. Płuca mu się nadymają. Odczołguje się na drugi koniec namiotu i zaczyna płakać.

Puść, puść, puść, myśli targany przerażeniem.

– Puść! Puść! Puść! – woła chłopiec.

Do namiotu wbiegają rodzice, matka spanikowana, ojciec gotowy do obrony.

Nie są w stanie temu zaradzić i bez względu na to, jak długo chłopiec krzyczy i płacze, nie potrafi okiełznać tej drzemiącej w nim mocy.

Serce wali mu jak młotem, serce Bootsa słabnie. Matka stara się go uspokoić. Przytula, mruczy kojąco, a w tym czasie ojciec próbuje podnieść umierającego psa.

Wtedy serce Bootsa zatrzymuje się na dobre.

Przez cały ten czas, w trakcie krzyków i błagania, drapania i szlochu, Boots wpatruje się w chłopca oczami pełnymi miłości. Jego najlepszy przyjaciel na całym świecie. Dopóki pulsują w nim resztki życia, wystawia radośnie język, a w jego krwi iskrzy lojalność.

Nie rozumie, że chłopiec złamał daną mu obietnicę. Nie rozumie, że chłopiec wcale nie zapewnił mu bezpieczeństwa.

To chłopiec był od początku prawdziwym potworem.

Słońce zdążyło już zająć, nim ruszyli w dalszą drogę. Maści pomogły. Kawalek twardego sera i jeszcze twardszego chleba także, ale najbardziej pomocny okazał się buzujący w sercu Aeduana gniew.

Nocą nastał chłód. Pojawiła się mgła, a oni wspinali się coraz wyżej, aż dotarli do rzeki zbyt szerokiej i wzburzonej, aby pokonać ją wpław. Byli zmuszeni zwolnić i udać się w stronę kamiennego mostu. Tam, pięćdziesiąt kroków dalej, z klifu opadał wodogrzmot, kradnąc odgłosy nocy i zamieniając mgłę w lodowate igiełki.

Osiół był już w połowie mostu, kiedy Aeduan to wyczuł: setki zapachów, ostrych i zaciekłych. Nawet z tak słabą magią wyczuł rzeź.

– Ludzie – powiedział ochryple. Pierwsze słowo od kilku godzin. – Przed nami. Walczą ze sobą.

Lizl obejrzała się, ale zadała pytanie, dopiero kiedy znaleźli się na drugim brzegu.

– Gdzie?

Aeduan wciągnął powietrze, chwytając się resztki magii, jaka mu pozostała.

– Na północ – rzekł w końcu. – Po drugiej stronie wodogrzmotów.

– Jak daleko?

– Nie wiem. – Dawny Aeduan by wiedział. Dawny Aeduan wyczułby, ile jest tam osób i ile otwartych ran. Teraz rozpoznał jedynie krwawą jatkę i śmierć.

Mrużąc oczy, Lizl spojrzała w stronę wodogrzmotów.

– Nie znam tego terenu – przyznała. – Wybrałam skrót, żeby zaoszczędzić czas, ale nie warto tracić życia dla krótszej podróży. Na tamtym rozwidleniu skęcimy na południe.

Zmusiła swoją klacz do cwału. Osioł poszedł jej śladem, a Aeduana przy każdym jego kroku przeszywał ból w klatce piersiowej.

Dotarli do rozwidlenia. Rozległ się trzask. Aeduan rozpoznał pistolet. Kolejne trzaski przecięły nocną ciszę. I krzyki. Wysokie, znacznie bliższe, niż się spodziewał.

Jego magia zaszeleściła. W żyłach wezbrał znajomy zapach. Oberwał ktoś, kogo znał; ktoś, kogo znał, umierał.

– Zaczekaj! – Aeduan próbował sprawić, aby osioł zwolnił. – Zaczekaj! – zawołał głośniejszym głosem. – Tam jest mnich!

Lizl pociągnęła za lejce i koń się zatrzymał. Odwróciła się w siodle, jej spojrzenie natychmiast pobiegło ku uchu Aeduana – ku przymocowanemu do niego opalowi. Ale ani jego opał, ani jej nie jaśniały, co oznaczało, że w pobliżu żaden mnich nie wzywał pomocy.

– Kłamiesz – wypluła z siebie. – Próbujesz mnie nabrać, żeby uciec.

– Nie – zaprotestował.

– W takim razie kto to taki?

Na to pytanie nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Możliwe, że nie poznał imienia tej osoby – jego magia katalogowała tak wiele różnych krwi. Niektóre zachowywał w pamięci, inne nie.

Nim Lizl zdążyła spaść ostrogi, rozległy się kolejne strzały, bliżej, tym razem towarzyszyły im krzyki i piski.

Z drzew obok ścieżki wypadła kobieta w szarym stroju Purytanów. Do piersi tuliła płaczące niemowlę. Dostrzegła Aeduana i Lizl. Zatrzymała się w pół kroku.

– Proszę – błagała po marstocku. – Proszę, nie zabijajcie mnie. Błagam was. Moje dziecko...

W tym momencie grot strzały przeszył jej plecy. Przebił klatkę piersiową, serce, a potem niemowlę. Krew tryskała w zmysłach Aeduana.

Zsunął się z osła, wysyłając magię ku tej kobiecie. Aby zatrzymać jej krew i uratować ją, nim ona i jej dziecko umrą. Był jednak zbyt słaby, zbyt wolny – do tego hamowała go wbijająca mu się w szyję lina.

Lizl także zeskoczyła z konia i razem podbiegli do kobiety. Aeduan padł przy niej na kolana i spojrzał w ciemne oczy. Spóźnił się. Ostatnie przebłyski życia już zgasły. Bezwładne niemowlę milczało.

W głowie Aeduana pojawiła się myśl, czy jego własna matka wyglądała tak samo tamtej nocy przed laty. Rana od strzały, krew – potworna ilość krwi. Jej także nie udało mu się uratować.

„W ślad za tobą podąża śmierć”.

Lizl pociągnęła za linę, zmuszając do wstania. Zanurkowała między drzewa, a on, chcąc nie chcąc, poszedł jej śladem.

Cieszył się z tego. Chciał za nią iść. Chciał zabijać.

Minęli więcej ciał. Kolejna kobieta, dwoje dzieci. Wszyscy martwi, przeszyci grotami z żółtym mocowaniem. Lizl nie zwolniła, Aeduan też nie.

Odgłosy walki dochodziły z coraz bliższej odległości. Rozległy się kolejne strzały i krzyki. Szczęk mieczy, męski głos wykrzykiwał rozkazy. Dotarli do krawędzi lasu i ich oczom ukazała się skąpana

w świetle księżyca masakra. Obozowisko Purytanów, z wysokim murem, ale szeroko otwartą bramą. Kamienistą ziemię pokrywały rzędy ciał, jakby ludzie wybiegli razem tylko po to, aby zginąć od strzałów w plecy.

Krew ciekła, spływała rzeką. Wsiąkała w glebę nie tylko jucha Purytanów, ale także Nomatsów. Różny wiek, różna płeć, różne szkliste oczy i rozrzucone kończyny. A jednak krew zawsze wyglądała tak samo.

Krzyk. Przez bramę wybiegł tyczkowaty chłopak, najwyżej czternastoletni. Na plecach miał nomatsańską tarczę. Nie miał broni.

Jak na zawołanie Lizl i Aeduan porzucili schronienie zapewniane przez drzewa, aby go bronić. Na ich widok chłopak zwolnił, uniósł ręce i otworzył usta. Żadnych słów, tylko przerażenie.

Wbiły się w niego dwie strzały. Jedna przebiła ucho, druga szyję. Z ust trysnęła krew. Ugięły się pod nim kolana.

Lizl wciągnęła głośno powietrze. Aeduan rzucił się do przodu. Zatrzymał się jednak jak wryty, kiedy z lasu wyszedł strzelec. Za nim powiewała biała, ubrudzona błotem i krwią peleryna. Napotkał spojrzenie Lizl, następnie Aeduana i kiwnął głową.

– Zaganiajcie ich do mnie – zawołał, wskazując kuszą na obozowisko. – Ja ich wtedy zdejmę.

Lizl zamruwała z konsternacją. Pomiędzy jednym ospałym uderzeniem serca a drugim do Aeduana dotarła prawda: wcześniej wszystko opacznie zrozumiał. Te masakry, na które się natknął, umierający mnich, którego pochował. Błędnie zinterpretował sytuację.

To nie byli Purytanie i najeźdźcy przeciwko Nomatsom. To byli Purytanie i najeźdźcy razem z Nomatsami.

Przeciwko Carawenom.

Aeduan spojrzał na Lizl, aby ją ostrzec, wyjaśnić, co się dzieje. Nie musiał jednak tego robić, bo chwilę później z obozu wybiegła dziewczyna. Szara suknia płatała jej się między nogami. Potknęła się o zwłoki. Upadła.

Mnich wycelował kuszę. Lizl rzuciła się w jego stronę.

– Przestań!

Nie przestał. Dziewczyna próbowała wstać, kwiląc cicho, coś sobie złamała.

Cięciwa się napięła, gotowa do wystrzelenia nowej strzały.

Aeduan uniósł ręce. Uciszył krew mnicha. Wymagało to od niego resztek posiadanej siły, dodatkowo przeszył go świdrujący ból, ale wystarczyło, aby unieruchomić tego człowieka na jeden płytki oddech. Dwa oddechy.

Lizl wyrwała mu z ręki kuszę.

Potem płomienie wygrały i Aeduan utracił kontrolę.

Napastnik natychmiast się spiął i odwrócił jak do ataku. Ruchem zbyt szybkim, aby go dostrzec, Lizl dobyła miecza. Przyłożyła ostrze do szyi mężczyzny, nim ten zdążył się do końca odwrócić.

– Czemu to zrobiłeś? – W jej głosie słychać było napięcie. – Czemu ich zabiłeś?

– Jak to czemu? – warknął mnich. – Czemu wy mnie powstrzymaliście? Mamy rozkazy!

– Czyje?

Aeduan nastawił uszu, próbując dosłyszeć odpowiedź. Serce obijało mu się o żebra. Cienie się chwiałały, a jego magia... Nie był już w stanie jej dosięgnąć, nie wyczuwał krwi – żadnej krwi. Nawet tej należącej do zaścielających ziemię ciał.

– Klasztoru, a niby czyje? – Mnich zerkał to na Lizl, to na Aeduana. – Kim jesteście? Skoro nie przysłano was do pomocy, w takim razie co tu robicie? Należycie do buntowników?

– Do pomocy w czym? – zapytała ostro Lizl. – Jakich buntowników? – Ale mnichowi nie dane było udzielić odpowiedzi, bo rozległ się nowy głos.

– Opuść broń! Jesteśmy po tej samej stronie.

Aeduan i Lizl spojrzeli w stronę bramy. Nad uratowaną wcześniej dziewczyną stał kolejny mnich. Wbił jej miecz w plecy. Wyciągnął

go. Z jej ust popłynęła krew, a potem jej ciało osunęło się bezwładnie na pozostałe.

Aeduan znalazł tego mnicha. To właśnie jego zapach rozpoznał – zapach krwi mężczyzny, który pomógł mu w Veñazie, kiedy ścigał prawdodziejkę. Jasne włosy miał teraz dłuższe, a po nodze płynęła mu krew.

Miecz miał jednak bardziej zakrwawiony.

Jeden po drugim, do jasnowłosego mężczyzny dołączyło jedenastu mnichów. Każdy dzierzył czerwony od krwi oręż. Stanąwszy w szeregu, zbliżyli się do Aeduana i Lizl. Kiedy dzieliło ich dwadzieścia kroków, mnich dowodzący zatrzymał się. Pozostali zrobili to samo.

– Odsuńcie się! – zawołał jasnowłosy. – Walczymy po tej samej stronie.

Lizl nie opuściła miecza.

– Zabiliście niewinnych.

– Zabiliśmy robactwo.

– To były matki. – Aeduanowi drżał głos, a każde słowo paliło mu gardło niczym ogień. Mimo to zawołał: – Dzieci!

– Które oddały hołd Królowi Zdobywcy. – Ostatni z mnichów dźgnął mieczem leżące najbliżej zwłoki starszej kobiety z siwymi włosami i klatką piersiową naznaczoną strzałami.

– Tak – przytaknął przywódca. – A ci ludzie wychowują kolejnych najeźdźców, którzy zasilają szeregi Króla Zdobywcy. Odbierając życie garstce osób, ratujemy tysiące.

Na te słowa mnisi stojący po zewnętrznych stronach zaczęli iść – powoli, ostrożnie, zataczając krąg niczym wilki wokół owcy.

Aeduan i Lizl nie poruszyli się.

– On – Lizl dźgnęła czubkiem miecza szyję pierwszego mnicha – mówił, że macie rozkazy z Klasztoru. Kto je wydał?

– Abbot, a któż by inny? – Dowódca rozłożył ręce, jakby ich witał. – Te rozkazy pochodzą bezpośrednio od Abbota Natana fon Leida. Zamierzacie mu się sprzeciwić?

Mnisi podeszli jeszcze bliżej, mimo to Lizl nie opuściła miecza.

– Nie jesteśmy mordercami – oświadczyła, a Aeduan pokiwał głową. Zginał i prostował palce, szykując się na walkę.

Starcie, które przegrają, ale które warto stoczyć.

– Po której jesteście stronie? – Dowódca uniósł zakrwawiony miecz, wskazując na Lizl. – Jesteście mnichami takimi jak my. Ty masz pelerynę i opał w uchu, a ciebie... – wycelował w Aeduana – ciebie znam. Więc poddajcie się. Wypełniajcie rozkazy Abbota albo przyznajcie, że należycie do buntowników i stawcie czoła świętej karze.

Aeduan spojrzał Lizl w oczy. Płonęła w nim nienawiść, którą doskonale znał. Pulsowała w jego osłabionych żyłach. Pragnęła sprawiedliwości, zemsty i krwi. Tak rzadko dopuszczał ten mrok do głosu. Tak rzadko patrzył mu w oczy i oświadczał: „Tak, dzisiaj możesz wyjść”.

Coś takiego stanie się po raz czwarty.

Wszystkich by ich pozabijał.

– Teraz! – warknął dowódca, unosząc wysoko miecz, i Caraweni przystąpili do ataku.

Lizl nie pozostawała im dłużna. Z niesamowitą prędkością rzuciła coś Aeduanowi. Złapał to, założył sobie na szyję, a w chwili, kiedy kamień bólu zetknął się z jego skórą, otaczająca go noc uległa wyostrzeniu. Zapachy krwi napierały na jego magię, a wraz z nimi pojawiła się siła.

Lizl i Aeduan jednocześnie ruszyli do ataku.

Jednym płynnym ruchem mniszka zabiła pierwszego przeciwnika. Jej miecz przeszył mu gardło. Krew opryskała Aeduana, kiedy się schylił po naładowaną kuszę. Napędzany świeżą, pozbawioną bólu mocą był niemożliwie szybki. Chwycił, wycelował, strzelił.

Drugi mnich z głowy. Trzeci rzucił się na Lizl, czwarty na Aeduana. Uskoczył i zaszedł go od tyłu. Kopniak w kolano sprawił, że mężczyzna padł na ziemię. Krwiodziej chwycił jego głowę i obrócił, skręcając kark. Zabrał mu miecz.

Kolejne pięć śmierci zlało się w całość. Zmysły atakowały krzyki, wnętrzości i krew. Brak emocji, tylko śmierć. Dopóki Aeduan nie spojrzał na Lizl, stawiającą czoło pozostałej przy życiu czwórce.

Dowódca zachowywał pozory wściekłości. Odwracając głowę na boki, warknął:

– Nie powinniście byli tego robić. Nie powinniście byli tego robić.

Napędzany magią Aeduan rzucił się w stronę dwóch najbliższych mnichów. Jego ostrze cięło najpierw w linii pionowej, potem poziomej i na ukos. Zamaszyste ruchy, które okazałyby się zbyt wolne, gdyby nie był krwiodziejem.

Na szczęście nim był i chwilę później obaj mnisi padli na ziemię, tryskając krwią na wszystkie strony.

Teraz został już tylko dowódca, bo Lizl zdążyła załatwić ostatniego.

– Nie powinniście byli tego robić – powtarzał. – Nie powinniście byli tego robić.

Aeduan rzucił się w jego stronę. Mnich odparł atak. Brzęk metalu. I raz jeszcze, i znowu. Za każdym razem, kiedy Aeduan atakował, mnich się bronił. Dobry był – Aeduan pamiętał to z Veñazy. Jednak ci, co świetnie sobie radzili w walce, nie zawsze byli równie dobrymi ludźmi.

Trzy kolejne ruchy miecza, trzy odparcia ataku i w końcu Aeduan drasnął mnicha w nadgarstek. Obrót, szarpnięcie i odciął mu dłoń. Razem z mieczem spadła na ziemię.

Aeduan zamachnął się, gotowy, aby wbić mnichowi miecz w serce.

Ubiegła go Lizl. Z pełnym gracji zamachem odcięła mu głowę. Przeleciała kilkanaście stóp, nim w końcu uderzyła o ziemię.

Wtedy pod krwawiącym mężczyzną ugięły się kolana i pozbawione głowy ciało przewróciło się. Kolejne truchło w zbiorowej mogile. Kolejna śmierć, którą karmiła się noc.

ROZDZIAŁ 39

Czemu mnie okłamałaś?

Nie okłamałam.

Mówiłaś, że wysłałaś na północną granicę pięć tysięcy żołnierzy i marynarzy. Moi zwiadowcy donoszą, że w drodze jest ich ponad dziesięć.

Ja ich nie wysłałam.

Ktoś musiał to zrobić.

I chyba nawet wiem kto.

– Kto to zrobił? – Vivia potoczyła wzrokiem po sali. Czternastu oficerów z Marynarki Królewskiej i Sił Lądowych odpowiedziało jej kamiennymi spojrzeniami. Na jej rozkaz zebrali się przy długim stole w specjalnie fortyfikowanej sali u Strażników Nodena.

Odkąd tu weszła, nikt nie odezwał się ani słowem. Powtórzyła pytanie:

– Kto to zrobił? Oddziały nie przemieszczają się bez rozkazów, chcę wiedzieć, kto je wydał.

Pierwsza odezwała się generał wojsk lądowych, zajmująca miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– My wszyscy. Dokładnie tak, jak nas poinstruowano. – Wyjęła z zielonego płaszcza złożone pismo i przesunęła je po stole.

Irysowoniebieska pieczęć została złamana, ale nawet z takiej odległości widać było, że to pieczęć królewska. Vivia wyciągnęła rękę i z zaciśniętymi ustami czekała, aż oficerowie podadzą jej pismo.

Kiedy w końcu do niej dotarło, rozłożyła je. Zgodnie z przewidywaniami widniało na nim pismo jej ojca. Ze szczegółami opisywał działania, które wcześniej jej przedstawił.

Na piśmie widniała data sprzed tygodnia.

– Ja nie wydałam tych rozkazów. Ja, która nadal pełnię funkcję admirała. – Położyła dokument na stole. Spokojnie, nie powinna tracić nad sobą kontroli. Była niedźwiedziem w lesie, który nie musiał ryczeć, którego wielkość i siła przepełniały mniejsze zwierzęta strachem. – Proszę więc o wyjaśnienie, dlaczego wypełniliście te rozkazy.

– Król regent... – zaczął inny generał.

– Nie dzierży już władzy – dokończyła Vivia. – Nie jest już regentem, a od wielu miesięcy nie jest także admirałem. Chcę więc wiedzieć, dlaczego – ponownie wzięła do ręki arkusz i zamachała nim – nikt z was nie przyszedł do mnie, kiedy mój ojciec przystąpił do planowania? Dlaczego nikt z was nie uznał za stosowne poinformować mnie o wiadomościach przychodzących z wież wartowniczych? – Wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

Nie zrobili tego, bo po prostu nie chcieli.

Siły zbrojne Nubrevny od lat podlegały Serafinowi Niharowi. Od dekad. W czasie wojny i rozejmu, w czasie bitew i oblężenia. Czy Vivia mogła się z tym równać?

Jestem królową.

– Proszę to naprawić. – Raz jeszcze machnęła pismem. – I to szybko. Odwołać oddziały, zmobilizować je do obrony Lovats i modlić się, aby nie było za późno.

Żaden z oficerów nie zareagował na jej polecenie. Nie usłyszała: „Tak jest!”. Nie usłyszała przeprosin ani wyjaśnień, dlaczego tak łatwo i tak chętnie zmienili kurs działania. Prawdę mówiąc, każdy obecny tu oficer zachowywał się, jakby w ogóle nic nie powiedziała.

W tym momencie do Vivii dotarło, że jest gorzej, niż się obawiała. Tak bardzo skupiała się na ochronie miasta – na robieniu tego, co uważała za właściwe, na tym, czego wymagała infrastruktura Lovats – że w ogóle się tego nie spodziewała. Teraz musiała stawić czoła prawdziwemu buntowi, a pierwszą zapałkę pod ten stos rzucił jej własny ojciec.

Dzielić się chwałą, dzielić się winą.

Potwierdzenie uzyskała zaledwie chwilę później, kiedy Drugi Admirał, z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną, rzekł:

– Godzinę temu przyszli do nas wizerowie. – Powiedział to zupełnie bez emocji. – Quihar, Eltar i Quintay. Poinformowali nas, że pani korona została cofnięta i że władzę ponownie sprawuje król regent.

– Ach. – Tyle tylko Vivia była w stanie powiedzieć. Świat wokół niej się rozpadał, rybie wiedźmy wciągały ją do piekła.

W ogóle nie liczyło się to, że dla swoich oddziałów skradła arsenał marstockiej broni, że jako kapitan statku zaskarbiła sobie lojalność i miłość załogi, znalazła podziemne miasto i przygotowała je do zamieszkania, i kompletnie nie liczyło się także, że urodziła się z tym tytułem i to ją wybrało podziemne jezioro.

Kiedy wzywał Serafin Nihar, były król regent i były admirał Marynarki i Sił Lądowych, żołnierze i wizerowie odpowiadali na jego apel.

– Mam rozumieć – rzekła cicho – że nie odwołacie waszych wojsk, aby broniły Lovats?

Trzech oficerów pokręciło przecząco głowami, a dwóch odparło:

– Nie, Wasza Wysokość.

Pozostała dziewiątka wbijała w nią jedynie znudzone spojrzenia.

– W takim razie dobrze. – Wstała od stołu. – Wiedźcie, że kiedy miasto Lovats znajdzie się w rękach Króla Zdobywcy, to na was spocznie wina, a Furia nigdy nie zapomina.

Nikt jej nie zatrzymał ani nie zasalutował, kiedy opuszczała salę. Jeśli jej groźba – a raczej obietnica – zrobiła na oficerach jakieś wrażenie, nie dali tego po sobie poznać. Ale Vivia wiedziała, że powiedziała prawdę.

Jej ojciec może i miał doświadczenie na polu bitwy, może rozumiał wojenne taktyki lepiej od Vivii, ale nie znał jej miasta ani tłoczących się na ulicach ludzi. Ani razu nie przeszedł się podrzędnymi dzielnicami, nie wydawał głodnym posiłków w Twierdzy Pyna.

Nigdy nie ujeżdżał fal Cystern, nie eksplorował podziemnego miasta. Został przeniesiony z Niharu, bo wżenił się we władzę. Kradł przemowy, tytuły i chwałę, które nie należały do niego. Zawłaszczył sobie prawo do rządzenia, które nie krążyło w jego krwi.

A mimo to wystarczyło tylko kilka słów powiedzianych trzem wizerom i siłom zbrojnym. Między jednym uderzeniem dzwonu a kolejnym cała moc Vivii – wszystkie jej plany i staranna ochrona – została jej wydartą.

Powinna była to przewidzieć.

Tak się jednak nie stało. W najmniejszym nawet stopniu.

Przez te wszystkie lata jej ojciec powtarzał, że chce dla niej tego, co najlepsze, że wszystko, co robi, robi dla niej. A ona przez te wszystkie lata mu wierzyła.

Kiedy wiele minut później dotarła do swojej łodzi, strażnicy próbowali do niej dołączyć. Odprowała ich. Wsiadła na łódź, przywołała swoje pływy i oddaliła się wraz z wododziejskimi prądami, które prowadziły ją do południowego mostu wodnego.

Nie czuła się już związana ze swoim ciałem czy ze stałym lądem. To nie jej oficerowie utoną – lecz ona. Ona już tonęła. Zanurzała się w fale, obserwując, jak światło znika, aż wkrótce nie zostanie nic oprócz rybich wiedz m Nodena i ostatniego haustu powietrza.

Źle to wszystko rozegrała. Okazała się zbyt podobna do swojej matki, dokładnie tak jak się obawiała Wysoka Rada. „Królewska krew – tak mówili o jej matce – ale w głowie szaleństwo”. Chcieli, aby Vivia była taka jak Serafin, któremu wydawanie rozkazów przychodziło z równą łatwością jak oddychanie.

Właściwie to logiczne, że oficerowie Marynarki Królewskiej i Sił Lądowych też tego chcieli. Nawet po tym, jak przekazała im prawdę o infrastrukturze miasta, jak godzinami układała szczegółową strategię dotyczącą obrony Lovats i spowolnienia Króla Zdobywcy – nawet po tym wystarczył jeden rozkaz króla regenta, a wszyscy rzucili się, by go wypełnić.

Nawet nie zauważyła, kiedy z oczu zaczęły płynąć jej łzy. Gorące, gniewne łzy, które napędzały jej pływodziejstwo. Rozbijał się o nią wiatr. Wymijała łodzie, kołysała się obok promów, skręcała, podskakiwała i ujeżdżała fale, które sama stworzyła.

Jednak niewystarczająco szybko. Zawsze niewystarczająco szybko. Nie potrafiła wyprzedzić depreczających jej po piętach wstydu ani wściekłości na siebie, że tak zawaliła sprawę. Nie była to wściekłość udawana, aby zdobyć aprobatę ojca, nawet nie ten gniew Niharów, z którego rodzina ojca zawsze była taka dumna. To prawdziwa, potężna, przemożna wściekłość spowodowana faktami, z którymi musiała się zmierzyć: Vivia nie potrafiła rządzić. Nigdy nie stanie się osobą, jaką tak bardzo chciała być.

Ciekawe, czy tak właśnie czuła się jej matka, zanim skoczyła.

W tym właśnie miejscu. Kamienny fragment wodnego mostu, gdzie jej matka ostatecznie zdecydowała, że nie zniesie dłużej cieni i tylko śmierć pomoże jej zrozumieć życie, a dwór Nodena to prostsze rozwiązanie niż ciężar czekającej ją mrocznej przyszłości.

Przez trzynaście lat Vivia nigdy nie patrzyła na to miejsce, kiedy je mijała. Zawsze skupiała się na jaskółkach, roztańczonych, szczęśliwych i wolnych. Dzisiaj patrzyła. Dzisiaj zwolniła łódź i wpatrywała się w szare kamienie, nad którymi przefrunęły dwie jaskółki. Przez cały ten czas bała się, że jeśli spojrzy na to miejsce, jeśli nie odwróci wzroku, wtedy nogi poniosą ją ku niemu. Że mieszkające w niej cienie wygrają i Wysoka Rada – oraz cała reszta – będzie miała rację: w jej głowie czai się zbyt wiele szaleństwa, aby zostać królową.

W dzieciństwie winę za to, co zrobiła Jana, próbowała zrzucić na Merika. Jeśli to wina brata, to na pewno nie Vivii, więc jej nie spotka ten sam los. Maczugi w jej klatce piersiowej nie wygrają. Żałowała tego, co mu mówiła, ale nigdy tak mocno jak w tej chwili, gdy wiatr pieścił jej twarz, a woda obmywała łódź. A to dlatego, że nie czuła pragnienia, aby pójść w ślady matki. Czuła jedynie dojmujący żal, którego nic – ani Noden, ani czas – nie było w stanie przytłumić.

Nie przez Merika ich matka skoczyła. Ani nie przez Vivię. Jana zginęła, bo nie знаła innej ucieczki i nie miała nikogo, kto by wiedział, jak jej pomóc.

Przez te wszystkie lata Vivia uważała, że aby nosić koronę, musi być silniejsza od matki i zwalczyć ciemność. Ale się myliła; to jej ojciec tak twierdził.

Jana była silna – silniejsza od Serafina. Silniejsza, niż wszyscy sądzili, bo żyła z cieniami każdego dnia i nadal sprawowała władzę, dawała wskazówki, kochała. Tyle że zamiast pielęgnować tę siłę, Serafin pielęgnował cienie. Osłabiał i manipulował, tak samo jak teraz czynił z Vivią.

Owszem, w Vivii także mieszkały cienie, ale nie takie jak w Janie. To były jej własne cienie, równie wyjątkowe jak ogniki jaśniejące w podziemnym mieście. Dwadzieścia trzy lata życia z nimi uczyniło Vivię silniejszą, niż ktokolwiek mógł podejrzewać.

Silniejszą, niż myślał Serafin.

Zaledwie dwa tygodnie temu zapewnił ją: „Bądź królową, jakiej potrzebują, a wkrótce pojawi się prawdziwa korona”. Teraz Vivia wiedziała, że nie mówił poważnie. Zdradził ją. Zakradł się za jej plecami i odebrał władzę, na którą tak ciężko pracowała i której pragnęła używać mądrze i z empatią.

Nie potrzebowała korony, aby obronić Nubrevnę przed Królem Zdobywcą. Mogła być królową, której potrzebowali, z koroną czy bez niej. Tak samo jak mogła być królową, której potrzebowali, nawet jeśli w jej żyłach krążyło szaleństwo – a może dlatego, że w jej żyłach krążyło szaleństwo.

Koniec z zakradaniem się i gierkami, koniec z szukaniem aprobaty ludzi uważających ją za niewykwalifikowaną lub szaloną. Koniec z chodzeniem na paluszkach, bo kobiety nie powinny biegać, krzyczeć, rządzić.

A przede wszystkim: koniec z żalem.

Vivia wreszcie była gotowa, aby stać się królową.

ROZDZIAŁ 40

Merika obudził nocą głos Esme. Rozmawiała z kimś, kogo nie widział, i dwukrotnie wydawało mu się, że słyszy:

– Iseult, gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć. Iseult?

A może to był tylko sen? Koszmary i jawa – nie dało się ich od siebie oddzielić. Tańczące szkielety, magiczny staw skąpany w blasku księżyca. Armie cieni, noże wbijane w serce.

Obudził go w końcu chłód. Kiedy spał, lodowate zimno wślizgnęło się do jego kości, każdy oddech sprawiał mu ból. Trzęsąc się, uniósł powieki.

– Witaj, więziobracie – odezwał się znajomy głos. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

Merik zamrugał, raz i drugi, aż w końcu wyraźnie dojrzał Kullena. Opierał się o ścianę, ręce miał skrzyżowane na szerokiej piersi, stopę zahaczoną o drugą nogę. Miał skaleczone prawe ucho, właściwie to połowy mu brakowało, a resztę pokrywała skorupa z czarnej krwi. Merikowi widok jego dzieła nie przyniósł satysfakcji.

Kamienie wokół niego otulał szron. Nie dostrzegwał nigdzie Esme.

– Nie za dobrze wyglądasz – stwierdził Furia.

Merik nie za dobrze się czuł, ale postanowił, że nie da Kullenowi satysfakcji i mu o tym nie powie. Usiadł ospale i wbił wzrok w swoje ubłocone buty i wystające z nich nogawki spodni.

Dawny Merik od razu by je poprawił, teraz w ogóle się tym nie przejął. Najbliższy przyjaciel fizycznie znajdował się tak blisko niego, ale w sensie mentalnym dzieliły ich tysiące tysięcy lig.

Od tygodni Merik się zastanawiał, czy rana w jego sercu kiedykolwiek się zagoi. Wystarczająco okropna była utrata najlepszego przyjaciela, a potem dowiedział się jeszcze, że jego więziobrat nie tylko uległ rozszczepieniu, ale także stał się potworem. Furią.

Teraz wiedział, że ta rana już zawsze będzie się jątrzyć. Merikowi brakowało Kullena, jego solidności i siły charakteru, krzywego uśmiechu i sarkastycznych żartów. Przede wszystkim jednak tęsknił za świadomością, że przynajmniej jedna osoba na świecie go rozumie i że on rozumie tę osobę.

Furii nie rozumiał. Nie wiedział, kim jest ta postać, jakim cudem przywłaszczyła sobie ciało i umysł Kullena ani w jaki sposób łącząca ich Więź uratowała Merikowi życie podczas eksplozji na Janie. Magia Esme pozostawała dla niego niepojęta, magia Furii w jeszcze większym stopniu.

Jedno jednak wiedział: skoro Północnik mógł powrócić ze świata rozszczepionych, to mogli to zrobić także on i Kullen. Musiał się trzymać tej nadziei, wierzyć, że to prawda.

Kullen się zaśmiał. Ostry, przenikliwy rehot przegonił myśli Merika.

– Muszę przyznać, Meriku, że bawi mnie widok ciebie w takim stanie, po tym, jak tylu ludzi zakuleś w kajdany. Ilu ich było, jak myślisz? – Zaczął liczyć na palcach, ale szybko dał sobie spokój i wzruszył ramionami. – Lista jest zbyt długa, aby wszystkich spamiętać. Dyscyplina, tak to zawsze nazywałeś, ale powiedz mi prawdę: lubiłeś karać tych głupców, co nie? Lubieś patrzeć, jak się wiją.

Merik zacisnął usta, ale nic nie powiedział. Nawet kiedy Kullen odkleił się od ściany, podszedł bliżej i oświadczył:

– Mnie zdecydowanie sprawia przyjemność patrzeć, jak ty się wijesz. Jak brzmi to stare powiedzenie? No wiesz, to, które zawsze powtarzała twoja ciotka. – Zamachał ręką. – Cokolwiek uczyniłeś, wróci do ciebie w trójnasób. I będzie cię prześladować, aż nie odpokutujesz swoich win. Bo Furia nie zapomina, Meriku. – Kullen przykucnął zaledwie krok od niego. – Ja nie zapominam.

Merik wciągnął zmrożone powietrze, ale nadal nie podniósł wzroku na Kullena.

– Nic nie masz do powiedzenia swojemu więziobratu? Daj spokój. Chcę ci tylko pomóc, Meriku. Chcę cię tylko uwolnić. Królowie nie powinni nosić kajdan.

Na te słowa Merik w końcu uniósł głowę.

– Nie jestem królem.

Powietrze się ociepliło. Kullen się uśmiechnął.

– Ale mógłbyś nim być. Właściwie to powinienes, a uwierz mi, na tym to ja się znam. – Wsparł dłonie na kolanach i wstał. – Wiesz, wystarczy, że szepnę słówko, a Lalkarka pozwoli ci odejść. Jedno małe słówko.

– Zatem je wypowiedz.

– Najpierw musisz wyrazić zgodę na dołączenie do mnie.

– W porządku. – Merik wzruszył ramieniem. Łańcuchy zabrzęczały. – Zgadzam się do ciebie dołączyć. A teraz mnie wypuść.

Znowu śmiech. Powietrze nagle stało się gorące.

– Sprytnie, ale musisz wiedzieć, że nie tak łatwo ci zaufam. – Pogroził mu palcem. – Okazałeś się nielojalnym więziobratem, a stawka jest zbyt wysoka, aby ryzykować kolejną zdradą.

– Pozwól mi dowieść, że mówię prawdę. – Te słowa zaskoczyły Merika w takim samym stopniu jak Kullena. Nie miał pojęcia, skąd się wzięły, ale rosnąca temperatura sugerowała, że okazały się właściwe.

Kullen zmrużył w zamyśleniu oczy.

– A jak miałbyś to zrobić, Meriku? W jaki sposób możesz mi udowodnić, że jesteś lojalnym przyjacielem?

Merikowi przyspieszył puls. Dzięki tym impulsywnym słowom otrzymał szansę, której nie mógł zaprzepaścić. „Poruszaj się razem z wiatrem – nauczył go mistrz łowiecki Yoris. Kullena także. – Poruszaj się ze strumieniem. Jeśli zrobisz to zbyt szybko, zwierzyna cię wyczuje, a wtedy już jej nie złapiesz”. Ciotka Evrane także go szkoliła. „Informacje zdobywa się najlepiej za pomocą rozmowy”.

– Być może – rzekł powoli – jeśli mi powiesz, jakie masz plany, ja ci zasugeruję, w jaki sposób mogę pomóc.

Kullen nic nie odrzekł. Wraz z upływającymi sekundami pomieszczenie zdawało się kurczyć, jakby wciągał do płuc całe obecne tu powietrze.

W końcu Furia pstryknął palcami.

– Czemu nie? – rzucił, a Merik odetchnął. – To dość proste. – Furia ponownie oparł się o ścianę. – Chcę się dostać do wnętrza góry, ale nie pozwala na to moja sercowieź. Wejście zostało zakłete i... Powiedzmy, że brutalna siła nie okazuje się wystarczająco szybka. Udało nam się dostać do Krypt, ale obawiam się, że to nas nie zaprowadzi do serca Śpiącego.

Do Krypt. To tam Merik zostawił Ryberę i Cam. Na pewno przeniosły się już w inne miejsce. W głąb góry, której Merik nadal nie rozumiał.

– Nie widziałeś tam Rybery? – zapytał, dbając, aby jego ton miał niezobowiązujące brzmienie.

– Nie. Ona i ten chłopak, Leeri, weszli głębiej w górę i nie muszą już tam wracać. Krypty to nie jedyne wejście i wyjście.

Znowu nawiązanie do drzwi. Najpierw Rybera, potem Esmé, teraz Kullen.

– Co to za drzwi?

– Drzwi mocy – odparł zwięźle, jakby to wszystko wyjaśniało. – Ten, kto ma kontrolę nad drzwiami, ma kontrolę nad Czaroziemem. Prowadzą przez cały kontynent, Meriku. Możesz wejść do góry tutaj... – wyciągnął prawą rękę – a wyjść z niej tutaj. – Wyciągnął lewą rękę.

– Czemu nie użyjesz tych drugich drzwi?

– No bo niestety – Kullen zmarszczył nos i opuścił ręce – nie mogę sobie przypomnieć, gdzie się znajdują. Kiedyś to wiedziałem, jedne takie drzwi znalazłem na południu. Rybera mi to powiedziała, ale te przekłete wzrokodziejki ukradły mi pamięć. Aczkolwiek... – posłał Merikowi potworny, szeroki uśmiech i popukał się w głowę – nie mogły zabrać wszystkich pamięci. Tylko jedną. Tylko pamięć

twojego więziobrata. Reszta znajduje się na swoim miejscu. Furia nadal tu jest i był obecny także wtedy, kiedy ustalano pozycję.

Merik nie miał pojęcia, o czym on mówi. Nie rozumiał znaczenia większości wypowiedzianych przez Furie słów, ale dopóki mógł go nakłaniać do mówienia, dopóty zyskiwał czas, by układać w myślach plan.

– Czyli jednak wiesz, gdzie znajdują się te drzwi? – zapytał.

W tej samej chwili Furii zrzęda mina. Zawirował wokół niego przejmujący i zimny wiatr. Zaczął chodzić po wieży.

– Wiem tylko o jednych. – Krok, krok, krok, obrót. – Ale ta cholerna Eridysi zaplanowała to tak, że drzwi do moich ludzi prowadzą tylko w jedną stronę. Nie mogę ich użyć, aby tam wejść. A jeśli chodzi o inne drzwi, nie wolno mi ich było używać, dopóki zdrada nie zniszczyła nas wszystkich. I innych ocalałych mojego pokroju... – Skrzywił się, a na kamieniach zaczął się tworzyć lód. – Oni pamiętają jeszcze mniej niż ja. Są bezużyteczni, wszyscy. Tak więc widzisz, że pozostaje jedynie wejście przez Krypty. Jako że to akurat wejście pamiętam, to z niego właśnie korzystamy. – Krok, krok, krok. Obrót. Krok, krok, krok, pauza. Kullen spojrzał na Merika. – Powiedz mi, co proponujesz, więziobracie? Jak mi pomożesz zdobyć to, czego potrzebuję?

Merik oblizwał wysuszone usta. W gardle także miał sucho. W tej jednak chwili liczyło się tylko poruszanie razem z wiatrem, ze strumieniem. Jeśli dobrze to rozegra, pozbędzie się kołnierza. Myśl, myśl, myśl.

Za późno, Furia sam wyszedł z propozycją:

– Wywab ich stamtąd i zabij. – Wypowiedział te słowa niemal do siebie, tak cicho, że Merik ledwo go usłyszał ponad nadal szepczącym wiatrem. A potem Kullen podszedł do niego, przykucnął i powtórzył: – Wywab ich stamtąd i zabij, Meriku. Wtedy znowu ci zaufam jako swemu więziobratu.

– Ich? – zapytał Merik, choć wiedział, jak brzmi odpowiedź. Mógł odmówić, ale straciłby wtedy jedyny dar od Nodena, jaki otrzymał,

odkąd tu trafił.

– Ryberę i Leeriego. – Kullen się uśmiechnął. W jego oczach błysnęła śmierć.

– Ale to jest twoja sercowież.

– To była moja sercowież – poprawił. – Jednak tak jak i ty nie okazała się lojalna.

Nigdy, nawet za tysiąc lat, Merik nie mógłby zabić Rybery czy Cam. Woląby już poświęcić samego siebie. Ale teraz to jedyne, co mógł powiedzieć, aby udowodnić swoją chęć współpracy. Nie przestraszy tej ofiary. Będzie poruszał się dokładnie tak, jak wymagały od niego wiatr i strumień.

– Dobrze – rzekł, unosząc brodę. – Jak sobie życzysz, Kullenie. Wywabię ich i zabiję.

ROZDZIAŁ 41

Coś się zmieniło między Aeduanem a Lizl. Kiedy walka dobiegła końca, mniszka nie wycelowała w niego swojego miecza, a on nie próbował uciec. Po prostu stali, nad zwłokami unosiła się para, a w ziemię wsiąkała krew.

Noc nagle zrobiła się zbyt cicha.

– Nie użyłeś swojej magii – odezwała się w końcu Lizl. Twarz miała naznaczoną krwią i błotem. – Podczas walki mogłeś ich unieruchomić, ale tego nie zrobiłeś.

– Robię to tylko, kiedy muszę. – Aeduan nabrał powietrza, tak gęstego od zapachu śmierci. – Coś takiego nie jest honorowe. Nie w stosunku do swoich ludzi.

– Czemu się przejmujesz honorem? – W jej głosie nie słychać było jadu, jedynie wyczerpanie i szczerą konsternację.

Aeduan nie odpowiedział, ale ona wcale tego nie oczekiwała. Mijały kolejne chwile. Oboje odzyskiwali dech w piersiach, przetwarzali, co się wydarzyło. Stoczyli walkę ze swoimi ludźmi, zabili swoich i było to coś, co zrobić należało.

– Ktoś przeżył? – zapytała w końcu Lizl, a Aeduan kiwnął głową. Jego magia była osłabiona, nawet z kamieniem bólu, ale wyczuwał w obozowisku czworo żywych ludzi.

– Nic nie możemy dla nich zrobić – powiedział szorstko. – Nie zobaczą w nas sprzymierzeńców. – Wskazał na peleryny. – Będą próbowali uciec albo nas zabić.

– Racja – przyznała, trąc oczy. W ten sposób roztarła sobie na twarzy jeszcze więcej krwi.

– To nie pierwsza masakra, którą widziałem.

Opisał zgłodzone plemiona, na które się natknął, i martwego mnicha, który winą obarczył Purytanów. Po raz pierwszy, odkąd walka dobiegła końca, przez twarz Lizl przebiegł gniew.

– Czemu Natan miałby wydać taki rozkaz? – Powoli się odwróciła i kręcąc głową, omiotła wzrokiem pole bitwy. – Mówili, że to ma powstrzymać Króla Zdobywcę, ale... dla mnie kiepsko to brzmi.

Aeduanowi także się to nie podobało. Klasztor nigdy dotąd nie wtrącał się w wojnę.

– Sądziłem, że tamtego mnicha sprowadziło do Nomatsów zlecenie z poziomu dziesiątego. Ale teraz...

– Teraz nie ma to sensu. – Lizl nachyliła się nad pozbawionym głowy mnichem i wytarła swój miecz w czysty fragment peleryny. – To prawda, że Natanowi zależy jedynie na pieniądzach, ale jaka fortuna może usprawiedliwić coś takiego? Jakie sumy mogą zapłacić za życie dzieci? Zabiję go. – Podniosła wzrok, źrenice miała maleńkie niczym łebek szpilki. – Zabiję. – Nagle wyprostowała się i gorzko zaśmiała. – Wygląda na to, że mniszka Evrane przez cały czas miała rację. Mówiła mi, że mężczyźni pokroju Natana nigdy nie powinni być przywódcami. Że on oznaczać będzie koniec wszystkiego, co sobą reprezentujemy. Chciała, abym to ja ubiegała się o tę pozycję. – Lizl uderzyła się w pierś. – Głupia byłam, nie chciałam tkwić w Klasztorze, kiedy tyle świata czeka. Tyle... tyle chwały, którą można się okryć.

– To nie twoja wina.

– Nie. Nie moja. To wina Natana i dosięgnie go sprawiedliwość. – Schowała miecz do pochwy i odwróciła się. – Pojedziemy do Klasztoru i powiemy innym, co zrobił.

– Oni już wiedzą – powiedział Aeduan. – Co więcej, aprobują to.

– Nie wszyscy. Mówił coś o buntownikach.

– W takim razie czemu o tym nie słyszeliśmy?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Może to się dopiero zaczęło. Czy to ważne? To się musi skończyć. Przysięgaliśmy, że będziemy zapewniać ochronę.

– Cahr Awenom.

– Więc tak to usprawiedliwiasz? – Lizl zrobiła krok w tył. – Nie robisz krzywdy Cahr Awenom, a więc coś takiego jest dopuszczalne?

– Nikomu nie robię krzywdy.

– Całe życie ją robisz! Ilu ludzi zabiłeś albo okaleczyłeś, krwiodzieju? Ilu ludzi zgładziłeś tylko dlatego, że na tym polegało zlecenie? – Głos Lizl przybierał na sile. – Powiedziałaś, że masz swój honor, ale ja widziałam, jak wykorzystujesz magię, aby zabić. Powiedziałaś, że masz swój honor, a mimo to walczysz po stronie Króla Zdobywcy.

Znowu się pojawiła. Iskra wściekłości zaciskająca dłonie Aeduana w pięści. Tyle że teraz miał kamień bólu. I swoją magię. Mógł uciec. Nie musiał nawet kontrolować krwi Lizl, aby to zrobić. Mógł biec tak szybko, że by go nie dogoniła.

Ale przed Furią nie ucieknie.

– W ogóle mnie nie znasz – oświadczył, pilnując tonu swojego głosu. Następnie chwycił kamień bólu i zerwał go z szyi. W tym samym momencie jego ciało się poddało. Ogień wypełnił mu klatkę piersiową, brzuch, mózg. Zgiął się wpół i zacisnął powieki. Kamień upadł na zakrwawioną ziemię.

– Co ty robisz? – Lizl podeszła bliżej.

– Chcę... chcę, żebyś mi zaufała – wychrypiał. – Nie zabiłem tych ludzi. Mój ojciec też ich nie zabił. Zrobili to Natan i mnisi. To oni są twoimi wrogami, nie ja.

Lizl nic nie powiedziała, więc Aeduan kontynuował:

– Znalazłem Cahr Awenów. Oni... one... uleczyły Studnię w Nubrevnie. Mniszka Evrane ci o tym mówiła?

– Coś tam słyszałam, ale nie uwierzyłam. – Rozległ się szelest materiału, brzęk metalu. Lizl kucnęła obok Aeduana.

Dotarło, że nie czuje już jej krwi. Choć znajdowała się tak blisko niego, zniknął zapach wianków stokrotek i pocałunków jej matki.

– To prawda. – Krew kapiała mu z ust. – I... po raz drugi znalazłem połowę Cahr Awenów. Nie udało mi się jej ochronić. Wysłałem ją do Klasztoru. Wysłałem do Abbota.

Lizl wciągnęła głośno powietrze.

– Powiedziałem, że mnisi jej pomogą, że tam będzie bezpieczna. – Aeduan próbował pokręcić głową. Nie udało mu się i nagle się rozkaszła. Krew trysnęła na pelerynę Lizl, świeża i gorąca. Zamiast się odsunąć, kucała przy nim i czekała. Nawet kiedy kaszel nie chciał ustąpić.

– Ty – wykrztusił w końcu – musisz ją zabrać od... niego.

– Ja. Masz na myśli mnie samą.

Zacisnąwszy zęby, Aeduan uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Ból, ból, ból.

– Nie mogę jechać z tobą.

– Oczywiście, że nie – prychnęła. – Ty zawsze uciekasz, krwiodzieju. Odkąd byłeś dzieckiem.

Aeduan opuścił wzrok na ziemię. Zaledwie cale dzieliły go od kamienia bólu. Mógł go znowu wziąć, położyć kres tym krzykom w swoich mięśniach. Poczłł raz jeszcze pomruk magii.

Nie zrobił tego.

– Im... dłużej jesteś ze mną – wychrypiał – tym większe grozi ci niebezpieczeństwo, mniszko Lizl. Furia... Ten człowiek, który przyszedł po mnie w Tirli... On wróci i cię zabije.

– Och? – Ujęła brodę Aeduana i uniosła mu twarz. – A czego od ciebie chce ten cały Furia?

– Pracuje dla mojego ojca, a ten chce mieć mnie u swego boku.

– Tam właśnie chcesz się udać?

– Nie – odparł, bo taka była prawda. Choć wiedział, że jego ojciec nie pozabijał tamtych ludzi, że Corlant bronił Purytanów i Nomatsów, i tak nie chciał wrócić.

Nóż Pani Los jednak już upadł, istniała dla niego tylko jedna ścieżka.

– Chciałabym ci wierzyć – rzekła Lizl – ale nie mogę. – Jej twarz złagodniała. – Cały jesteś gorący – mruknęła. – I krwawisz bez końca. Ty umierasz, mnichu Aeduanie, prawda?

– Tak.

Puściła jego brodę. Głowa Aeduana opadła. Ręce niebezpiecznie się pod nim zatrzęsły. Jeśli się nie ruszy, padnie na twarz, a jeśli padnie, raczej się już nie podniesie.

Lizl także to wyczuła, bo nagle chwyciła go za ramiona i podciągnęła. Musiał użyć resztki sił, jakie mu pozostały, aby nie przewrócić się na plecy.

– Wiesz, sądziłam, że taki widok sprawi mi przyjemność – wyznała. – Kiedy byliśmy młodszy, nawet to sobie wyobrażałam. Marzyłam, że pokonuję cię na treningu, realizuję więcej zleceń albo po prostu zdobywam więcej pochwał u mniszki Evrane. Ale teraz nie czuję radości, tylko odrazę. Przez te wszystkie lata uważałam cię za wyjątkowego, silniejszego, wręcz lepszego, dlatego że twoja magia czyniła cię niepowstrzymanym. Okazuje się jednak, że umierasz jak każdy inny człowiek. I jesteś do tego tchórzem. Więc odejdz. Zostaw mnie i dołącz do ojca, tak jak tego pragniesz. Nie chcę mieć przy sobie twojej słabości. – Jednym ruchem podniosła z ziemi kamień bólu. Następnie wróciła do Aeduana i zmierzyła go wzrokiem. – Pamiętaj tylko, że masz wobec mnie trzy życiowe długi, krwiodzieju. Jeden za kamień bólu. Jeden za Cahr Awenów. I jeden za to, że cię teraz nie zabiję. – Rzuciła mu kamień na kolana. Nie dotknął jego skóry. – Będę oczekiwała ich spłaty, więc nie umieraj, zanim do tego nie dojdzie.

Nie mówiąc nic więcej, Lizl odeszła. Zniknęła między drzewami, oddalając się od Aeduana, od zabitych przez siebie mnichów i niewinnych, których próbowała ocalić.

Kiedy zniknęła mu z oczu, Aeduan powiesił sobie na szyi kamień bólu. Drżały mu dłonie i płuca. Chwilę później udręka zniknęła, ukryta pod kłamstwami odrętwiającej magii.

Wstał, ponownie silny, i ruszył przed siebie w kierunku północnym, ku najwyższemu szczytom Gór Sirmayańskich. Ku swemu ojcu.

Nóż Pani Los upadł i pora się przekonać, jak bardzo jest ostry.

ROZDZIAŁ 42

Iseult ponad wszystko pragnęła się obudzić, by powstrzymać płomień i niekończący się śmiech. Ogniodziej pojawiał się za każdym razem, kiedy Evrane ją usypiała – a mniszka robiła to za każdym razem, kiedy więziodziejka się budziła.

Iseult miała czas tylko na to, aby udać się do łazienki. Potem piła trochę bulionu i... Powrót do łóżka, do spania. Powrót do płomieni ogniodzieja.

Srebrny król już jej nie uratował.

Błagała Evrane, aby pozwoliła jej nie spać, ta jednak za każdym razem kręciła głową, a na jej twarzy i w niciach Więzi pojawiała się konsternacja.

Czasami towarzyszył jej Leopold i takie same cienie przemykały przez jego pogodną twarz i równie pogodne nici Więzi. Ile minęło czasu? – próbowała zapytać. Jak długo tu jestem? Co się znajduje za tym pokojem? Czy nadal trwa walka między mnichami? Książę podobnie jak Evrane kręcił głową i kazał odpoczywać.

W końcu – nie miała poczucia czasu, bo drzwi się nie otwierały, a zasłony nie poruszały – Iseult na dobre się przebudziła. Nie dostrzegła ani Evrane, ani cieni. Wzięła kilka głębokich oddechów, spróbowała przełknąć ślinę. Zdumiała się, bo nie tylko udało jej się to bez kaszlu, ale nawet poczuła, jak muska językiem podniebienie, jak zaciska spierzchnięte usta. Odwróciła głowę i ucieszyła się, bo pokój nie zawirował. No, może delikatnie.

Dopiero wtedy go zobaczyła. Przy zasłonach stał Leopold i wyglądał ukradkiem przez okno. W jego niciach Więzi złoty niepokój przeplatał się z zielonym zamyśleniem. Lewą rękę nadal miał na temblaku.

– Co się stało z Sową? – wychrypiała. Dzięki bogini, że powiedziała to cartorriańsku.

Nici Więzi Leopolda przeszło niebieskie zaskoczenie. Odwrócił się w jej stronę i ściągnął brwi. Ponad innymi uczuciami dominowała ulga. Ruszył w jej stronę, lekko przy tym utykając.

– Jak się czujesz, Iseult? Mam zawołać mniszkę Evrane?

– Nie – wyrzuciła z siebie głośno i gorączkowo. Może i bezgranicznie ufała Evrane, która uratowała jej życie, i to kilkakrotnie, ale w tej akurat chwili nie chciała spać. Potrzebowała odpowiedzi. – Nie wołaj jej, dobrze się czuję. Powiedz mi w końcu, gdzie jest Sowa?

Przełknął ślinę.

– Nie wiem – wyznał i podszedł do łóżka. – Wszystko działa się za szybko.

– Ach. – Iseult potarła twarz. Jej palce natrafiły na bandaż. Dziwne, nie czuła tam bólu.

– Proszę. – Leopold nalał do szklanki wodę z dzbanka stojącego na stoliku przy łóżku. Choć dysponował tylko jedną ręką, był równie zręczny jak zawsze.

Iseult nie chciała pić. Nie wiedziała, ile ma czasu, nim wróci Evrane i znowu ją uśpi.

– Wydawało mi się, że widzę Blueberry’ego. Kiedy trafił w nas ogień, zobaczyłam jego nici Więzi. Czy to możliwe, że uratował Sowę?

– Ty to wiesz lepiej niż ja, Iseult. Ja nie widziałem niczego poza płomieniami. Mogę? – Książę wskazał na łóżko, a kiedy skinęła głową, pomógł jej usiąść.

Tym razem pomoc jej się przydała. Nie czuła bólu, ale odnosiła wrażenie, że nogi i ręce ma jak z marmuru, zbyt ciężkie, aby nimi poruszać.

– Musimy jej poszukać – rzekła, gdy zdrowa ręka Leopolda podparła jej plecy.

Zaśmiał się. Nie był to dźwięk okrutny, świadczył o zaskoczeniu, co potwierdzały jego nici Więzi.

– Zrobię to zaraz po tym, jak skończę cię podnosić... Chwileczkę, ty mówisz poważnie? – Cofnął się. – Iseult, tam – odwrócił głowę w stronę drzwi – są mnisi próbujący nas zabić, a tam – tym razem spojrzął na okno – czeka armia Króla Zdobywcy. Jeśli to dziecko żyje, a mam szczerą nadzieję, że tak właśnie jest, w tej akurat chwili nic nie możemy dla niej zrobić.

– Zawsze coś można zrobić. Zawsze.

Po tych słowach do nici Więzi Leopolda wkradły się pasma w kolorze bordowym. I brzoskwiniowe. W przypadku kogoś innego zinterpretowałyby je jako czułość, być może nawet pożądanie. Ale u Leopolda... U niego w ogóle nie potrafiła ich rozgryźć.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic nie powiedziałem.

– Nie, ale coś poczułeś. Powiedz mi co.

Teraz przez jego nici przemknęło zażenowanie w odcieniu pszenicy. Następnie uśmiechnął się z żalem, a Iseult zamrugnęła. Jego policzki zabarwił nawet delikatny rumieniec.

– Rzeczywiście nic się przed tobą nie ukryje?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie. – Przejechał kciukiem po dolnej wardze, po czym mruknął: – Proszę, Iseult. Pozwól mężczyźnie mieć swoje tajemnice. – Schylił się, aby wziąć coś ze stołu. – Mam coś dla ciebie.

Sprytna zmiana tematu, ale niech mu będzie. Tak wiele musiała się dowiedzieć, a z każdą kolejną sekundą coraz bardziej piekły ją oczy.

– Wiem, że to nie jest twój egzemplarz tej książki, ale tekst pozostaje identyczny. Prawdę mówiąc, to właśnie jest oryginał. Zabrałem ją z klasztornej archiwum. – Położył na łóżku tom oprawiony w czarną skórę. – Pomyślałem, że tym sposobem udowodnię ci, że mówię prawdę. To znaczy o Eronie fon Hasstrelu.

Iseult zerknęła na księgę... Lód zmroził jej trzewia. Przełknęła ślinę i ściągnęła z konsternacją brwi.

Ilustrowany przewodnik po Klasztorze Caraweńskim.

Swój egzemplarz zostawiła w Veñazie. Leopold mógł o tym wiedzieć, tylko jeśli rzeczywiście współpracował z wujem Safi.

– Pewnie nie masz ochoty tego czytać, ale uznałem...

– Dziękuję ci – przerwała. Powiedziała to szczerze. Wszystko było takie niepewne, odkąd odszedł Aeduan, od czasu wypadku, snów i ciemności. Ta księga była dla niej czymś w rodzaju kotwicy. A świadomość, że otrzymała ją od Leopolda... Że naprawdę może mu ufać...

Z jej płuc uszło powietrze. Pokój zlewał się w całość; jej klatkę piersiową rozpierała mieszanina uczuć – gorących i zimnych, na sto sposobów, których w ogóle nie rozpoznawała.

Przyciągnęła książkę, gotowa, aby ją otworzyć, kiedy na obwolucie dostrzegła pieczęć. Ptak z trzema łapkami i koroną na głowie.

– Co to? – Jej coraz bardziej zmęczone spojrzenie pomknęło ku twarzy Leopolda. – Moja wersja tego nie miała.

– To symbol Wroniego Króla. Pojawia się w całym Klasztorze. Tysiąc lat temu to miejsce było jego twierdzą. Nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego symbolem Carawenów jest ptak?

Zastanawiała się, ale w swojej książce nie znalazła żadnego wyjaśnienia.

Wroni Król, pomyślała. Mężczyzna z jej snu. Wiedziała, że to on, choć nie potrafiła tego wytłumaczyć. Ponownie potarła bandaż. Tym razem mocniej. Nie czuła bólu, ale Leopold skrzywił się i szepnął:

– Zostaw to.

– Wierzysz w duchy? – zapytała, ignorując go. – Nomatsowie nie wierzą, ale Safi zawsze się zarzeka, że one istnieją.

– Doprawdy? – Zamrugął, a w jego niciach Więzi pojawiła się błada konsternacja. – Tak, cóż, to oczywiste, że ona w nie wierzy. Zamek Hasstrelów jest pełen duchów. Ale... dlaczego pytasz?

Iseult oblizła usta.

– Wierzysz czy nie?

– Większość Cartorrianów wierzy. Nie oddajemy czci ludziom, ale traktujemy naszych przodków z ogromną powagą. – Położył zdrową rękę na łożku i nachylił się ku Iseult. Brwi miał ściągnięte. – Powtórzę, dlaczego pytasz?

Podrapała się po nosie. Zapytać go o zdanie to jedno, czymś zupełnie innym było przyznać, że w snach prześladują ją duchy.

– Bez powodu – odparła w końcu.

Na jego twarzy i w niciach Więzi dostrzegła niedowierzanie, ale nie naciskał – za co Iseult była mu wdzięczna. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej zmęczona. I cięższa, jakby przygniotły ją kamienie.

– Sowa – próbowała powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się niewyraźny jęk.

Nici Leopolda rozjaśnił szok. Księżę zerwał się z łożka.

– Znowu jesteś chora. Wezwę mniszkę Evrane. – Oddalił się zbyt szybko, w ślad za nim ruszyły nici Więzi. Sto Leopoldów, sto przeskakujących w czasie wersji.

– Nie! – zawołała Iseult, ale ponownie z jej ust nie wydostało się to, co chciała.

Kiedy do pokoju weszła Evrane, przed oczami Iseult tańczyły cienie. Mniszka wyglądała jak utkana z ciemności.

Skrzydła, pomyślała Iseult, nim uzdrawiająca magia pociągnęła ją ku snom. Wygląda, jakby miała skrzydła.

*

Zbudził ją czyjś warczący ton. Ktoś używał języka cartorriańskiego.

– Podnieście ją.

Męski głos przytwierdzony do mglistych, pogmatwanych nici Więzi.

Uniosła powieki. Świat był cały niewyraźny. Nici Więzi, nici Więzi, nici Więzi. W stronę łożka szedł właśnie człowiek, który się odezwał, oraz dwoje innych. Mnisi, nie znała ich.

Na krótką, pełną dezorientowania chwilę ich białe peleryny wyglądały na sklezione ze sobą, złączone nici Więzi w odcieniu wrogiej szarości i zielonego skupienia. Biała plama dotarła do Iseult, po czym ponownie rozdzieliła się na dwie części. Zmaterializowały się nad nią dwie twarze. Kobieta, mężczyzna. Kobieta chwyciła ją za lewą rękę, mężczyzna za prawą. A potem podciągnęli ją do pozycji siedzącej, aż uderzyła plecami w zagłówek.

Świat wokół niej wirował. Nie czuła bólu, jedynie zawroty głowy i dezorientację. Kleiły się do niej jeszcze resztki snu. W uszach nadal słyszała śmiech ogniodzieja.

Wtedy mnisi się wycofali, nie zlewając się już w jedną masę, choć ich nici Więzi miały identyczną barwę: srebrną odrazę. Odrazą napawała ich słabość Iseult. A może jej dotyk. Do tego akurat była przyzwyczajona, i do nienawiści także, a gdyby te uczucia mogły zabijać, już dawno leżałaby martwa.

Wzięła głęboki oddech i ulżyło jej, kiedy poczuła, jak płuca napierają na żebra. Widziała coraz wyraźniej. Przez rozsunięte zasłony wpadało białe światło księżyca. Nie zauważyła i nie wyczuwała w pobliżu ani Evrane, ani Leopolda. Nie miała czasu zastanawiać się nad powodem ich nieobecności, bo w polu jej widzenia pojawił się trzeci mnich – ten, który się wcześniej odezwał. Kiedy Iseult obserwowała jego zbliżające się nici Więzi, początkowo sądziła, że to jej wyczerpanie sprawia, iż kolory mieszają się ze sobą. Tyle że wszystko inne widziała już zupełnie wyraźnie. Była przytomna, rozbudzona. Nawet jej mięśnie wydawały się na tyle lekkie, aby mogła się sama poruszać.

I wtedy zrozumiała: to był skoczek. Osoba, która przechodzi od jednego uczucia do drugiego, każdego z nich doznając z gorączkową intensywnością, przy żadnym jednak nie zatrzymując się na dłużej. Nadawało to jego niciom mętny wygląd. „Oni są niezrównoważeni – ostrzegła ją przed laty Gretchya. – Wszystkie uczucia mają postrzępione i jakimś sposobem łączą je ze sobą. Nie da się przewidzieć, co skoczek zaraz zrobi”.

Iseult natychmiast się spięła. Zrobiło jej się zimno – lodowato zimno po tak wielu godzinach snu naznaczonego ogniem.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał mężczyzna. Był młody. Zaledwie kilka lat starszy od niej. Dzięki ziemistej cerze i jasnym włosom jego twarz zlewała się niczym jego nici Więzi, to złudzenie potęgowała jeszcze delikatność linii jego zuchwy i sylwetki. Gdyby Iseult nie znała rygorystycznego szkolenia klasztornego, pomyślałaby, że nie przećwiczył w życiu ani jednego dnia. Do tego pachniało od niego kadzidłem.

– Jesteś Abbotem – rzekła. Zdradziła to czerwona lamówka na pelerynie. – Natan fon Leid – dodała, przypomniawszy sobie, o czym napomknęła jej Evrane.

Przez jego nici Więzi przemknęło szare niezadowolenie przeplatające się jednocześnie z różowym zadowoleniem. Do tego jeszcze czerwona irytacja, liliowy głód i pomarańczowe zniecierpliwienie. Przefruwały szybko jak muchy i było ich zbyt wiele, aby Iseult wszystkie wyłapała.

– Twoi strażnicy – machnął ręką w stronę drzwi – nikogo tu nie wpuszczają. Nawet mnie, w moim własnym cholernym Klasztorze. Ale ja chcę wiedzieć, kto to na nas sprowadził. Chcę zobaczyć twarz kobiety niszczącej mój dom.

Iseult zeszywniała, zaskoczona jego słowami i obecnym w nich jadem.

– Nie niszczyć twojego domu – rzekła.

Tylko się zaśmiał.

– Buntownicy chcą ciebie i aby cię zdobyć, nie cofną się przed niczym.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział, zamiast tego nachylił się i zmierzył ją wzrokiem. Z każdym uderzeniem serca coraz jaśniej połyskiwała gwałtowność.

– Jak się nazywasz?

– Iseult det Midenzi.

– Jesteś ‘Matsanką.

Uznała, że to stwierdzenie, nie pytanie, więc nie odezwała się i nie poruszyła. Jeszcze nigdy nie uważała za tak ważne, aby nie pokazać po sobie żadnych emocji. Natan fon Leid był czającą się w leśnym poszyciu żmiją, był niebezpieczny, bo na pozór wydawał się zwyczajny i skromny.

Rozumiała już, co Leopold miał na myśli, kiedy powiedział: „Tacy ludzie przydają się książętom”. Szósty syn arystokraty, prawdopodobnie niezauważany przez całe życie. Teraz, jako Abbot, mógł się w końcu wykazać.

Iseult nie miała pojęcia, dlaczego mniszka Evrane popiera kogoś takiego. Chyba że zbuntowani mnisi byli jeszcze gorsi.

– Pięćset lat – mruknął Abbot do siebie. Nici Więzi podskakiwały, łączyły się ze sobą, nie dawały się odczytać. – Pięćset lat i nic, a teraz dwie eterystki twierdzą, że są Cahr Awenami.

Rzucił się w jej stronę zbyt szybko, aby Iseult zdążyła zareagować. Bez ostrzeżenia w niciach Więzi ani w mowie ciała. W jednej chwili mówił, w drugiej zaciskał palce na jej szyi i uderzał nią o zagłówek.

Poczuła ból w czaszce. Górę wziął instynkt. Pięści Iseult wystrzeliły do góry, gotowe do zadania ciosów w łokcie i złamania mu kości. „Spal go, spal go”.

Powstrzymała się, z palcami zaledwie cale nad aksamitną narzutą. On jej nie dusił, a w pokoju znajdowali się dwaj inni mnisi – dobrze uzbrojeni. Tej walki by nie wygrała. „Jeśli przeciwnik jest lepiej uzbrojony albo lepiej wyszkolony – nauczał Habim – rób, co ci każe. Lepiej żyć i szukać sposobności niż dać się zabić”.

Twarz Abbota wisiała nad nią coraz niżej, coraz bliżej. Na tyle blisko, aby Iseult widziała wrastające włoski nad górną wargą oraz naczynia krwionośne w jego oczach. Tak blisko, że jego nici Więzi zjeżdżały ku niej niczym lawina błotna.

– Podaj mi jeden dobry powód – warknął. Kropelki śliny spadły na jej policzek. – Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinienem cię wydać buntownikom.

– Dlatego, że jestem Cahr Awenem – odparła bez namysłu. – Sam to przed chwilą powiedziałeś...

To była zła odpowiedź. Cisnął Iseult o zagłówek. Uderzyła w niego głową, przed oczami przeleciały jej gwiazdy. Mężczyzna mocniej zacisnął palce na jej szyi, pozbawiając ją powietrza.

– Ja widzę jedynie nomatsańską wywłokę. Masz szczęście, że chroni cię książę, bo inaczej już bym cię wypatroszył i powiesił na sząncu, żeby mogli cię widzieć buntownicy.

Puścił ją. Równie nagle, jak wcześniej złapał.

Iseult dotknęła szyi. Teraz rzeczywiście czuła ból, bolały ją gardło i płuca. Zdarł jej bandaż. „Spal go, spal go, spal go”.

Mogła. Powinna. Ci mnisi nie pokonaliby płomieni przeżerających jej koszmary.

– Wiedz jedno, mała więziodziejko. Jeśli ci buntownicy sforsują tę twierdzę, zostawię cię na pastwę ich mieczy, gdy tymczasem my uciekniemy w bezpieczne miejsce.

– A jeśli to zrobicie – odparła spokojnie – ja im powiem, w którą stronę się udaliście.

Uderzył ją w twarz. Tym razem była gotowa na atak, ale nie powstrzymało to bólu, który przeszył jej policzek.

– Nie jesteś Cahr Awenem – syknął Abbot. – Nie jesteś warta tego, co obiecał mi książę.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, a razem z nim biel z odrobiną czerwieni, plątanina setki emocji i pozostali mnisi.

Zaczekała, aż trzasną za nimi drzwi, po czym zamknęła oczy. Czuła bolesne pulsowanie w głowie. Bolała ją szyja. Nie licząc tego, czuła się... dobrze. Wręcz silna. Wytrącona z równowagi, owszem, ale także przepełniona pragnieniem działania.

Spokojnie, nakazała sobie. Musiała przemyśleć wszystko, co się wydarzyło, przetrwać to i ułożyć plan. Bólem zajmie się później, a ta szalona energia mogła jej pomóc w planowaniu.

Abbot najwyraźniej nie wierzył, że ona czy Safi są Cahr Awenami. Leopold płacił mu, by ich chronił. Prawdopodobnie zapłacił

Abbotowi także za to, aby przywiózł Safi z Marstoku, ale dopóki buntownicy kontynuowali swoje dzieło, nie było mowy o odnalezieniu Safi i ich ponownym spotkaniu.

Iseult ostrożnie zsunęła nogi z łóżka. Miała na sobie czarne bawełniane spodnie i luźną koszulę. Ani śladu brudu czy błota. Evrane musiała ją wykąpać i odziać. Być może w tym czasie spała, być może nie. Nie wiedziała, czy przebywa tu jeden dzień, czy może kilka tygodni. Bosymi stopami dotknęła wełny. Na plecionych matach rozłożono owcze skóry. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

Na boginię, rzeczywiście musiała być chora. Evrane mówiła prawdę, miała sporo szczęścia, że nie umarła.

Wstała, przytrzymując się stolika przy łóżku. Słoiczki w apteczce Evrane zadrżały. Po chwili jej nogi przypomniały sobie, jak się stoi. Kręgosłup się ożywił, wyprostowała się.

Pokój na szczęście nie wirował. Nawet kiedy zrobiła trzy kroki, a potem przyspieszyła i podeszła do okna. Od szyby ciągnęło zimno. Pęknięcia i pęcherzyki zniekształcały widok na leżącą hen, daleko dolinę.

Nocne niebo było bezchmurne, a księżyc oblewał dolinę bladym światłem. „Noc na więziodziejskie czary – powiedziałyby Gretchya. – Kiedy blask Księżycowej Matki zmywa cały kolor, pozostawiając tylko nici Więzi”. W tamtych czasach oznaczało to oplatanie kamieni niemi Więzi, czy też w przypadku Iseult – próby ich oplatania.

Dzisiaj jej zadaniem była obserwacja. „Oceń swoich przeciwników. Zbadaj teren”.

Przecinająca dolinę szeroka rzeka w niektórych miejscach była otoczona moczarami, w innych wysokim, stromym brzegiem. Głęboką, czarną wodę naznaczały wysepki, przecinały ją mosty, tym więcej, im bliżej Prastudni znajdującej się na wyspie zacienionej iglastymi drzewami. Woda na północ od niej wyglądała na zamarznąętą.

Gdzieś tam była Sowa. Gdzieś tam była Safi. Iseult musiała je znaleźć. Obie. Gdyby udało jej się dotrzeć do mostów, do Studni,

dostałaby się na północny brzeg po lodzie. Bez problemu podążyłaby wtedy za rzeką w kierunku wschodnim. Owszem, najeźdźcy byłiby blisko, ale dzieliłby ich od niej gęsty las.

Prawdziwy problem polegał na tym, w jaki sposób dotrzeć do mostów. Blokowali ją mnisi, buntownicy, mury twierdzy i stromy klif. Abbot wspomniał coś o ucieczce, przecież mnichom udało się opuścić Klasztor, aby zabrać ze zniszczonego promu ją i Leopolda. To oznaczało, że istnieje jakieś wyjście. Iseult musiała je po prostu znaleźć.

Podrapała się w roztargnieniu po nosie. Tym razem nie wyczuła bandaży. Magia Evrane musiała działać. Ale Abbot zniszczył część bandaży, pomyślała, odsuwając się od okna i dotykając obandażowanej szyi. Chyba je podarł. Na szczęście zdołała je wyprostować. Nie zostały podarte. Te na rękach także. Uniosła ręce ku światłu księżyca, aby je poprawić, ale wtedy dostrzegła kryjącą się pod nimi skórę.

Gładką. Nieoszepeconą.

To... nie miało sensu. Zerwała kolejny bandaż, tym razem na przedramieniu. Tutaj także niczego nie dostrzegła. To nie była nowa skóra, różowa i delikatna po zagojeniu. Nie była to także skóra stara, pomarszczona i pokryta bliznami. To była jej skóra, taka jak zawsze.

Żadnych siniaków, obrzęków, strupów.

Iseult zerwała bandaż z drugiej ręki i jej oczom ukazała się taka sama blada, gładka skóra. Niemożliwe, niemożliwe.

Podeszła do lustra i zerwała wszystkie bandaże, do których była w stanie sięgnąć. Z szyi, twarzy brzucha, ud. U jej stóp utworzyła się biała sterta. Każda świeżo odsłonięta część ciała wyglądała tak samo; Iseult nie miała żadnych ran ani obrażeń.

Żadnych. Nigdzie. Wiedziała, jak wygląda uleczona magią skóra – Evrane miała już okazję ją leczyć. W tym przypadku było inaczej.

Po co Evrane miałyby ją okłamywać? Po co opatrywać nieistniejące rany albo sprawiać, by Iseult zapadła w uzdrawiający

sen? Czegoś tu nie rozumiała. Coś z całą pewnością przeoczyła. Kluczową informację, która uspokoiłaby teraz gonitwę jej myśli.

Apteczka.

Odwróciła się od lustra i bez najmniejszego problemu podbiegła do stolika. Otworzyła apteczkę, wyrzuciła na łóżko jej zawartość.

Puste fiolki, słoiczki i rolki świeżego lnu. To nawet nie były prawdziwe środki lecznicze.

– Co ty robisz, Iseult?

Serce podeszło jej do gardła. Niech Księżycowa Matka ma ją w swojej opiece. Tak była spanikowana, że nie sprawdzała, czy docierają do niej jakieś nici Więzi. Teraz drzwi się otworzyły, a w niciach mniszki połyskiwał niepokój.

Dojmująco powoli Iseult odwróciła się w stronę Evrane. Ta kobieta cię uratowała, przekonywała się w myślach. Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Kiedy jednak spojrzała mniszce w oczy, zrozumiała, że takowe nie istnieje. A przynajmniej nie takie, które dobrze by się dla niej skończyło.

Wróciła ciemność, pulsując od Evrane niczym fale gorąca. Nie była rozszczepieńcem – to było coś innego, coś nieznanego – nie była także sobą. Przez cały ten czas Iseult żywiła przekonanie, że tylko sobie wyobraża cienie, że to wytwór jej sennych koszmarów przeniesiony na jawę przez wyczerpanie i płomienie, ale teraz nie spała, a tę kobietę, która ją uratowała, nadal otaczały cienie.

– C-co ci się stało? – próbowała zapytać, ale jej słowa po raz kolejny się mieszały. Kilka języków naraz, a może żaden konkretny.

– Iseult – powiedziała spokojnie Evrane. – Źle się czujesz. Powinnaś leżeć w łóżku. – Z gracją przeszła przez pokój. Jej twarz oraz nici były pogodne i pełne współczucia. Taką ją znała Iseult. – Musisz się przespać – kontynuowała. – Przespać, Iseult. Przespać.

Cienie odkleiły się od jej ciała, sto czarnych skrzydeł. Pofrunęły ku Iseult, całą ją oplatając. Sto tysięcy skrzydeł trzepoczących w jej czaszce.

Nie miała z tym jak walczyć. Bez względu na to, kim była teraz Evrane, na pewno nie była mniszką, którą Iseult kiedyś znała i lubiła.

Ugięły się pod nią kolana. Upadła.
Skrzydła pociągnęły ją za sobą.

ROZDZIAŁ 43

Safi obudziły głosy. Dwie służące przyszyły ją wykąpać i ubrać. Znała je. Przesłuchiwała je na samym początku, ta niższa miała talent do rozśmieszania.

Młode kobiety nie miały nic do ukrycia, więc w ich obecności jej magia z zadowoleniem mruczała. Safi pozwoliła, aby wymieniały się ploteczkami – kto przybył na przyjęcie, kto był w co ubrany i jak arystokraci reagowali na surowe zasady bezpieczeństwa.

Dobrze być czystą. Dobrze być wyspaną. I dobrze założyć nowe ubrania. Choć jedwabna suknia okazała się niepraktyczna, to jednak, musiała przyznać, była śliczna. Luźne, długie rękawy, głęboki dekolt i zwiewna spódnica aż do kostek. Odsłaniała więcej dekoltu, niż Safi lubiła, za mało nóg, a rękawy przeszkadzałyby jej w walce.

– Ale to aktualny styl w Dalmocji – upierała się wyższa z dziewcząt, a Safi zaciekawiło, dlaczego taka suknia cieszy się popularnością także tutaj.

Przynajmniej miała kieszeń. Prawdoluneta zmieściła się w niej idealnie. Nie mogła się doczekać, kiedy da ją Vanessie.

Po wyjściu służących zjawił się Rokesh. Nie miał już obandażowanego ramienia i poruszał się z większą lekkością. Strażnicy utworzyli przed komnatą formację. Nikt się nie odezwał, co jak najbardziej jej pasowało.

Dzisiejszego wieczoru zazna wystarczająco hałasu. Dzisiaj będzie ją mógł oglądać każdy członek świty, oficerowie i doradcy, każdy arystokratyczny krewniak i wyższy rangą biurokrata. Wszyscy zbiorą się w jednym miejscu, będą się gapić na prawdopodobnie ze świadomością, że są sprawdzani.

Safi spodziewała się, że zostanie zaprowadzona od razu do sali tronowej albo do gabinetu Vanessy czy nawet jej imperialnych komnat. Zamiast tego trafiła do trzewi Pływającego Pałacu, do części

wyspy, której nigdy dotąd nie widziała – ogromnego magazynu z półkami i skrzynkami, na którego końcu znajdowały się drzwi wychodzące na jezioro Scarza.

Przy drzwiach czekał na nią Habim. Miał na sobie paradny strój, jego złoto-zielony mundur zdobiło sto kolorowych szarf. Każda symbolizowała inne odznaczenie i były Safi równie obce jak wszystko inne, czego się o nim tutaj dowiedziała. Za jego plecami stał długi szereg służących i żołnierzy, wszyscy z uniesionymi brodami, jakby wyczekiwali rozkazów.

Habim nie pozdrowił Roksha, który skinął lekko głową. Jeśli żywił do Safi urazę z powodu piekielnych bardów, nie dał tego po sobie poznać. Zamiast tego wskazał na magazyn.

– Czy według ciebie wszystko wygląda dobrze, prawdopodobieństwo?

Safi ściągnęła z konsternacją brwi i potarła bliznę na kciuku.

– Ale co?

Habim westchnął.

– Fajerwerki. – Wskazał na stojącą najbliżej skrzynkę. – Te pudła zostaną wyniesione nad jezioro w celu detonacji, a te... – wskazał na mniejsze pakunki, leżące kawałek dalej – skrywają zimne ognie dla gości. Muszę mieć pewność, że są bezpieczne.

Safi przyjrzała się skrzyniom. Jej magia nie reagowała. Żadnego pomruku prawdy ani syku kłamstw. Podeszła do jednej i uniosła pokrywę. Fajerwerki, dokładnie takie, jakie być powinny.

Cicho podszedł do niej Rokesh.

– Powiedz coś – mruknął, a jego głos brzmiał bardziej szorstko niż zazwyczaj. Zerknęła na niego i zamrugowała zaskoczona. – Powiedz coś – powtórzył.

Więc powiedziała.

– Są bezpieczne.

– Świetnie – warknął Habim i odwrócił się w stronę służących i żołnierzy. – Przenieście je, a potem zajmijcie ustalone pozycje.

Do Safi nie rzekł nic więcej, więc Rokesh wyprowadził ją z magazynu.

Wrócili tą samą drogą, tyle że tym razem żmij zaprowadził ją do głównego pałacowego ogrodu. Nim dotarli do najwyższego poziomu tarasów, natknęli się na dwa rzędy żołnierzy. Na wietrze unosiły się dźwięki muzyki, a wraz z nimi pomruk głosów. Niektóre były spięte, inne radosne, za to wszystkie ściszone.

Wtedy żołnierze się rozstąpili i oczom Safi ukazało się... przyjęcie. Na podwyższeniu czekali Vanessa i jej własna formacja żmijów. Z ozdobnych, żelaznych łańcuchów rozwieszonych między drzewami zwisały lampiony, a całości dekoracji dopełniały wymyślne kompozycje z róż i liliowców.

Na poziomie poniżej grało sześcioro muzyków: na fletach, harfach i jednym bębenu, na najniższym piętrze zaś czekali goście. Morze elegancko odzianych postaci. Na parkiecie otoczonym żelaznymi stojakami z ogniodziejskimi świecami królowały jedwab, satyna, aksamit i tafta.

Jednak goście to nic w porównaniu z tym, co czekało poza Pływającym Pałacem – całe jezioro było zasłonięte łodziami z białymi masztami albo wysuniętymi wiosłami, z powiewającymi sieciami czy krzątającymi się na nich żeglarzami, wszystkie utrzymywano na dystans przez ustawione dziób przy dziobie okręty. Tymczasem wybrzeże w Azmirze wyglądało jak kopiec mrówek. Setki tysięcy Marstokczyków zgromadziło się, aby podziwiać pokaz fajerwerków.

Nikogo nie powstrzymał atak przy Studni.

Vanessa odwróciła się na dźwięk kroków Safi. Błyszczała na środku podwyższenia, a jej suknia z intensywnie czerwonej krepy idealnie pasowała do Cesarzowej Dzieci Płomienia i Wybranej Córki Studni Ognia. Przez upięte na czubku głowy włosy przepleciono czerwone wstążki, jej ręce zdobiły cienkie bransoletki. Talię zamiast żelaznym łańcuchem przewiązała złotym pasem.

Na widok Safi jej klatka piersiowa delikatnie się zapadła. Subtelne westchnienie ulgi i prawdopodobnie posłała jej szeroki uśmiech.

Vanessa zaczęła, aż Safi zajmie miejsce tuż za nią, a Rokesh z drugiej strony, po czym odwróciła się przodem do tłumu.

Zwróciła się w stronę dziesiątek tysięcy Marstokczyków, którzy kochali ją, ale tak naprawdę jej nie znali. Vanessa uniosła ręce. Mieszkańcy Azmiru zaryczeli. Rozległ się huk zdolny rozgonić burzowe chmury i zagłuszyć wszelkie myśli. Hałas ten napierał na Safi, wirował jej w płucach, nogach, czaszce. Tak wielu ludzi, tak blisko i tak daleko, a wszyscy wydawali okrzyki aprobaty – wykrzykiwali jednym głosem prawdę.

Ani śladu niechęci. Azmirczycy pragnęli rozrywki, pragnęli dać się oszołomić. Vanessa dała im to, o co prosili. Uniosła ręce, wnętrzem dłoni do góry...

Ku niebu pofrunęły trzy strumienie światła. Następnie eksplodowały tysiącem spadających gwiazd. Tłumy jeszcze głośniejsze zaryczały.

Safi pragnęła krzyczeć wspólnie z nimi. Na niebie jaśniała niekończąca się burza kolorowego światła. Czasem niebo rozświetlały pojedyncze rozbłyski, innymi razy fajerwerki prezentowały obrazy bitew, miast i lasów. Safi nigdy dotąd nie widziała takiego spektaklu, a mogła go podziwiać z najlepszego możliwego miejsca – prywatnego tarasu cesarzowej.

Zajmowała także najlepsze miejsce do nieustannego sprawdzania uczestników przyjęcia. Coś jej się spodobało. Coś drapało ją w kark – coś, co nie było jej magią. Za każdym razem, kiedy się w siebie wsłuchiwała, docierała do niej tylko prawda, w brzuchu pulsowały jej wyłącznie szczere rozmowy i zachwyty.

Kiedy po czarnym niebie maszerowała formacja fajerwerkowych żołnierzy, do Safi w końcu to dotarło: coś takiego było niemożliwe. Wszyscy kłamali. Nie dało się uciec przed tym faktem, a mimo to Safi w zgromadzonych niżej ludziach nie wyczuwała żadnego fałszu.

Pośród zalewu prawd nie kryły się żadne kłamstwa. Zniknęły.

Co ona, na bogów, narobiła? Najwyraźniej całą swoją magię wykorzystywała na stworzenie prawdolunety. To znaczy połowę – tę,

która rozpoznawała oszustwo. Tę połowę, którą zdecydowała się wlać w lunetę. Nie rozumiała, jak to możliwe. Jej magia dotąd po prostu była. Żyła wewnątrz niej, zawsze obecna, czujna.

Aż do teraz.

Będzie musiała wyjąć prawdolunetę. Choć nie chciała pokazywać jej publicznie, nie miała wyboru. Musiała się dowiedzieć, czy działa oraz czy może odzyskać swoją magię. Kiedy jednak włożyła rękę do kieszeni, jej palce nie odnalazły metalu.

Z otwartą buzią wpatrywała się w leżące na jej dłoni zimne ognie. Niemal taki sam kształt, niemal taka sama waga. Ktoś je podmienił.

Pytanie tylko kto i dlaczego – i kiedy? Odwróciła się na pięcie. Ktoś musiałby podejść bardzo blisko.

Jej spojrzenie wylądowało na stojącym dziesięć kroków dalej Rokeshu. Odpowiedział spokojnym wzrokiem. Nagle przypomniała sobie, że w magazynie położył dłoń na jej łokciu. Delikatnie, ale udało mu się odwrócić jej uwagę na tyle, aby wyjąć z jej kieszeni prawdolunetę i zastąpić ją zimnymi ogniami.

Nie miało to sensu. Po co miałby ją zabierać? Jedyne, co mogła teraz zrobić, to zapytać. Przecież już go sprawdziła. Wiedziała, że mówi prawdę. Chyba że już nie.

Wcześniej dostrzegła, że jego obrażenia zniknęły. A w magazynie polecił jej coś powiedzieć – i tak zrobiła. Bez chwili namysłu spełniła jego wolę.

Do tego jeszcze potraktowana blaskodziejским zaklęciem dziura w murze przy Studni. Blaskodzieje należeli do rzadkości, tak samo jak dalmockie jedwabne suknie z kieszenią idealnie mieszczącą zimne ognie.

Habim od czasu przyjazdu powtarzał, że „mamy plan”. Nie „ja”, lecz „my”.

„Prawą ręką daj mu to, czego oczekuje, lewą odetnij sakwę”.

Rokesh dobył miecza.

A Safi zawołała:

– Mathew, nie!

ROZDZIAŁ 44

Furia szybko sobie poradził z łańcuchami, jednak zdjęcie kołnierza wymagało magii Esme. Kullen wyciągnął Merika na zewnątrz i razem odlecieli.

Było wspaniale. Nawet jeśli to nie magia Merika ich niosła, nawet jeśli na szyi miał kołnierz, a w jego żyłach pulsowała rozszczepiająca magia. Lot, jakkolwiek krótki, sprawił, że znowu poczuł się sobą. Nie minęły nawet dwa pełne dni od czasu, kiedy wiatr smagał jego twarz i wył pod stopami, a mimo to Merik miał wrażenie, jakby upłynęły wieki.

Cały Poznin był skąpany w srebrzystym świetle księżyca. Z góry to miasto wyglądało zupełnie inaczej. Wydawało się żywe i odrealnione. Stare rzeczy na powrót uczynione nowymi. W tym blasku nawet niezliczeni rozszczepieńcy wyglądali jak normalni ludzie.

Podróż zbyt szybko dobiegła końca, las wokół Studni stawał się coraz gęstszy. A potem pojawiła się sama Studnia i stojąca obok niej mała postać w gronostajach. Kiedy Furia wylądował, oczy miała zamknięte, ręce wyciągnięte, lekko poruszała palcami.

Nie zareagowała, kiedy z mocą opadli na ziemię, a Merik wylądował na czworakach. Nie zareagowała, kiedy Furia warknął:

– Lalkarko.

Jej palce nadal splatały niewidoczne nici Więzi.

Furia stracił cierpliwość.

– Lalkarko! – zawołał głośniejszym głosem, ale i to nic nie dało. Ruszył więc w jej stronę i przy każdym kroku skubał strupy na okaleczonym uchu. Mruczał pod nosem: – Niewdzięczne zadania, niewdzięczne zadania. Nie jestem narzędziem. Jestem Furią. Byłem tam w dniu, kiedy Szóstka zawróciła, tak samo jak on. – Kiedy tak szedł, po twarzy pełzały mu czarne linie. Padał śnieg. Obrócił się na pięcie. – Z tobą u mego boku to się zmieni, Meriku. W przeciwieństwie do

ciebie Generał nie jest królem, a kiedy znajdę w końcu ostrze i szkło, on nie będzie mi już potrzebny. Ani żaden z nich. – Ponownie się odwrócił i spiorunował Lalkarkę wzrokiem. Stał nad nią, a wokół niego wirowała ciemność i płatki śniegu. – Sześciu przeciwko jednemu – zanucił – i uczynili się królami. Pięciu przeciwko jednemu i wszystko ukradli.

Furia stał, nucąc jakąś piosenkę, natomiast Esme dalej skupiała się na swojej pracy. Z lasu powoli wyłonili się rozszcziepińcy i ustawili się wokół Studni.

Merik ledwo co ich zauważał. Po locie krew napłynęła mu do głowy, uszy się zatkały, a energia po ostatnim posiłku zdążyła zniknąć. Co ważniejsze, skupiał się na tym, co powiedział wcześniej Furia – że nikt nie chciał tego samego. Jasne, celem wszystkich było dostanie się do wnętrza góry, ale Esme pragnęła Studni, Król Zdobywca imperiów, a Furia ostrza i szkła, za to Merik przy jego boku...

To były cenne informacje. Ludzi z różnymi celami zawsze można napuścić na siebie nawzajem.

Kiedy Esme w końcu uniosła powieki, odwróciła głowę i spojrzała na Furię.

– Czego chcesz? – syknęła. Nim Kullen zdążył odpowiedzieć, dostrzegła stojącego kilkanaście kroków dalej Merika. Twarz wykrzywiła jej się z wściekłości. – Jak śmiesz go tu sprowadzać. – Minęła Furię i uniosła rękę. – Wracaj do wieży, książę! Nakazuję ci!

Merik cały się spiął. Ból... Wiedział, że nadchodzi ból.

– Nie. – Furia położył rękę na ramieniu Esme. – On idzie ze mną.

Wyrwała mu się. Wyglądała na zdolną do zniszczenia Kullena. Palce zwinęła w szpony.

– Jeszcze z nim nie skończyłam.

– Nie należy do ciebie, żebyś mogła się nim bawić. Odepnij kołnierz.

– Należy do mnie. Obaj należycie. – Ponownie uniosła rękę, jakby zamierzała użyć Krosna.

Furia jedynie się zaśmiał, jego drwiący rechot rozszedł się echem po wodzie.

– Nie masz nade mną kontroli, Lalkarko. I nie możesz zrobić mi krzywdy. Moja moc jest zbyt potężna dla twojej magii, doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie muszę mieć kontroli nad tobą, bo mam kontrolę nad nim. – Poruszała palcami. Merik także się poruszył.

Wcale tego nie chciał, jego nogi po prostu przywiodły go do Studni i nie mógł zrobić nic, aby je powstrzymać. Zimno zalało mu stopy, potem kostki, łydki, i bez względu na to, jak mocno się wyginał czy próbował obrócić, nogi niosły go dalej. Krok, krok, krok. Plusk, plusk, plusk.

Teraz echem po falach przeszedł śmiech Lalkarki.

Biodra, pas, klatka piersiowa. Zimno wyciskało mu z płuc powietrze. Jeszcze kilka kroków, a zniknie pod wodą.

– Proszę – próbował powiedzieć, tyle że dźwięk ten został natychmiast połknięty przez nadchodzącą burzę.

Burzę Furii.

– Dosyć. – Stał przed Esme. – Wypuść go.

– Nie. – Wyprostowała się. – Chcę zobaczyć, co się stanie, jeśli utonie. Ciekawe, czy wróci po takiej śmierci?

Merik zrobił kolejny krok. Woda sięgała mu już do szyi.

– Chcesz wejść do tej góry czy nie? – zapytał ostro Furia. – Książę to mój klucz.

– Czyżby?

Jeszcze jeden krok. Woda dochodziła Merikowi do brody, choć unosił głowę najwyżej, jak potrafił.

– Zgodził się wywabić wzrokodziejkę przez drzwi w górze. Uwolnij go.

– Drzwi w górze? – Esme się zaśmiała. – Ty nawet do nich nie dotarłeś! Twoi żołnierze nadal walczą z potworami z Krypt!

Z każdym kolejnym oddechem niebo stawało się coraz ciemniejsze. Nie było już księżyca. Zostały jedynie piekielna woda

i popiół.

– Odejdź – nakazała Furii Esme, przekrzykując coraz głośniejszą burzę. – Inaczej go utopię.

– On nie jest jedynym powodem, dla którego się tu zjawiłem...

Merik nie usłyszał dalszych słów Furii. Fala rozbiła mu się o uszy, wpadła do ust. Nim wrócił mu słuch, do głosu znowu doszła Esme.

– Mówiłam ci – wypluła z siebie. – Jego nie tak łatwo znaleźć jak pozostałych.

– Dlaczego?

– On nie ma nici Więzi. Pozostaje poza światem splotów.

– Niemożliwe. Nie kłam.

– Przyszedł na świat w śpiącym łodzi. Kto jak kto, ale ty powinienesz to pamiętać.

Do głosu Esme wdarła się pogarda i burza w końcu – w końcu! – się wycofała. Mniej wiatru, mniej fal. Wstrzymując oddech, Merik opuścił brodę i odwrócił głowę w stronę brzegu.

Furia wyglądał na zdezorientowanego. Cienie na jego skórze, śnieg i wiatr – wszystko zbladło.

– Już go przecież znalazłaś.

– Bo towarzyszył innym, których znałam. – Esme machnęła lekceważąco ręką. – Ale już nie towarzyszy.

– Generał nie będzie zadowolony.

– To niech tu przyjdzie i sam mi to powie.

– Och, rozumiem. – Kullen odrzucił głowę i się zaśmiał. – Nadal cię to boli, co? Nadal jesteś rozgoryczona tym, że nie zabrał cię ze sobą.

– Nie. – Razem z tym słowem Merika przeszła błyskawica bólu. Jego plecy wygięły się w łuk. Walczył o oddech.

I nagle to uczucie minęło, równie szybko, jak się pojawiło.

– Król – wypluła z siebie Esme – zaprowadzi mnie do niego, kiedy tylko otworzy drzwi.

– Tak sobie wmawiasz? – Furia zacmokał. – Nieźle, Lalkarko, tyle że on dostał już od ciebie to, czego potrzebował. Dostał mnie.

Cisza. Bezruch i cisza. Ale tylko przez chwilę, tak że Merik ledwie zdążył zaczerpnąć tchu.

Pierwszy pojawił się dojmujący ból. Potem przyszły fale. Wiatr także, do tego nagłe smaganie deszczu. Merik nie mógł oddychać, niczego nie widział. Nie krzyczał, jedynie krztusił się i trząsał. W końcu jego stopy się poruszyły. Woda zakryła go całego. Trzy długie kroki, podczas których napierały na niego zimno i ciemność, kradnąc dźwięk. Wypuścił powietrze, mimo że powinien je oszczędzać. Nie myślał, nie poruszał się. Jedyne, co mógł zrobić, to utonąć.

Stracił przytomność. Nie wiedział, na jak długo ani ile haustów wody połknął. Wiedział jedynie, że te ostatnie iskry bólu zaciągały go do Piekła... A potem wrócił do swojego ciała, znajdował się na brzegu, zwijał się na czworakach, wymiotował. Pomiedzy jedną torsją a drugą, kiedy na trawę wypluwał zabarwioną żółcią wodę, dotarło do niego, że się ocknął. Że żyje.

Kilka kroków dalej siedziała Esme. Jej sztywna poza była kłamstwem, blady uśmiech maską. Wyrzywała trawę z ziemi. Garść po garści wyszarpywała źdźbła, po czym rzucała je na ziemię.

Merik zamrugnął i rozejrzał się w poszukiwaniu Furii, nigdzie go jednak nie dostrzegł. Zostali jedynie rozszczepieńcy, jak zawsze stojący na straży. Jak długo przebywał pod wodą? Ile razy utonął?

– Kompletny brak wdzięczności. – Esme wyrwała kolejne źdźbła i uśmiechnęła się blado do Merika. – W ogóle nie są mi wdzięczni za to, co robię, książę. Nie rozumieją, jakie to jest trudne. Przychodzą do mnie, żądają, abym kogoś odszukała, po czym znikają. A potem okazują całkowity brak wdzięczności.

Coś podobnego mówił Furia.

– On nie ma nici Więzi! – kontynuowała. – Potrafię go znaleźć tylko wtedy, kiedy jest blisko Iseult. Oczywiście tego im nie powiedziałam. – Kolejna garść trawy. – Ona jest moja. Nie ich. I ty też jesteś mój, książę. Nie ich.

Merik zmusił się do pokiwania głową i wyrzucił:

– Twój. – A potem znowu wstrząsnęły nim torsje.

Esmę przerwała wyrywanie trawy, a kiedy przechyliła głowę, w jej żółtych oczach nie migotał już gniew.

– A więc nie pomożesz Furii dostać się do wnętrza góry?

Merik musiał poczekać, aż żołądek przestanie mu się skręcać, dopiero wtedy wykrztusił:

– Nie.

– Więc czemu Furia tak mówił?

„Poruszaj się razem z wiatrem, poruszaj się ze strumieniem”.

– Bo chce cię przestraszyć. Jesteś ulubienicą Króla Zdobywcy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– A co każe ci tak uważać, książę?

– To oczywiste. – Merik wciągnął powietrze, zmuszając wyczerpane oczy do patrzenia na Esmę. – Król ma Furię na posyłki. Przyrowadzanie ludzi? To zadanie gońca.

Skrzydółka jej nosa zadrżały. Usta drgnęły, w oczach pojawił się cień prawdziwego uśmiechu.

– Ty za to masz całe miasto. Masz pod sobą armię, a Furia nikogo.

Nie powinien był tego mówić. Skrzywiła się i wyrwała garść trawy.

– Ale on przecież ma pod sobą armię. Dowodzi południowym atakiem Króla Zdobywcy na Zakon Sióstr Wzrokodziejek. A kiedy już wkroczą do wnętrza góry, wykorzystają przejście do Lovats i przywłaszczą sobie ukrytą Studnię, która powinna należeć do mnie.

Na te słowa serce podeszło Merikowi do gardła. Przejście do Lovats. Na Nodena, nie.

– Żołnierze Furii nadciągną do miasta od strony podziemia, a potem to on okryje się chwałą. – Esmę ponownie się skrzywiła. – Tymczasem ja tkwię tutaj, niczego nie wygrywając. Jedyne czekam, aż znajdą drzwi prowadzące do Poznina.

Nodena, nie, nie, nie. Świat chwiał się i zamazywał. Ojczyźnie Merika groziło niebezpieczeństwo. Lovats nigdy nie upadło, nawet

podczas najgorszych wojennych zawieruch. Strażnicy i mosty wodne zawsze go strzegli.

Ale jeśli żołnierze zaatakują od wewnątrz, jeśli wykorzystają te magiczne przejścia i wysypią się spod ziemi...

Opanowały go torsje. Trawę spryskała żółć.

Vivia planowała ulokować w podziemnym mieście uchodźców. Nowo odkryte stare miasto uznali za cud, miejsce, gdzie znajdują schronienie wszyscy bezdomni, głodni i zagubieni. Teraz ci bezdomni, głodni i zagubieni zginą jako pierwsi.

Merik musiał to powstrzymać. Musiał się pozbyć kołnierza i to powstrzymać.

– Niepotrzebnie go rozszczepiłam – kontynuowała Esme. – Zanim stworzyłam drugie Krosno. Gdybym tego nie zrobiła, to ja stałabym na czele wojska...

– Zrób to – wyrzucił z siebie Merik z szaleńczą desperacją. – Zrób to. Dostań się do Krypt jako pierwsza i wykorzystaj mnie do wywabienia wzrokodziejki. Wtedy ja ją zabiję, a ty wejdiesz do środka przed Furią.

Esme przyjrzała mu się nieufnie, jakby zastanawiała się nad jego słowami. Jakby to analizowała, krok po kroku i...

– Tak – wyrzuciła z siebie. – Och, tak, tak, tak. Możesz tam ze mną pofrunąć, księżę. A potem wywabisz wzrokodziejkę z jej kryjówki i zabijesz ją, a ja w tym czasie zajmę się potworami z Krypty. Wiem, jak ich kontrolować, jest o tym napisane w pamiętniku Eridysi. Tak, tak, tak! Przypuszczę atak na górę, nim robi to Furia, a wtedy Król Zdobywca przekona się, jak bardzo jestem mu potrzebna. Och – westchnęła. – Jeśli znajdziemy się tak blisko śpiącego lodu, być może go wessie. Na dobre wyeliminuje Furię i wszystkie jego wspomnienia.

Esme zerwała się z ziemi. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech, na policzkach rumieniec, w oczach ogień. W trzech podskokach dotarła do Merika. Jej palce pociągały i obracały coś przy kołnierzu,

jakby rozluźniała splot niewidocznych nici Więzi. Rozglądała się na boki. Podskakiwała lekko, nie przestając się uśmiechać.

A potem kołnierz wydał cichy syk, jak para w gotującym się garnku. Drewno się rozeszło, dwie połowy upadły na trawę. Ani Merik, ani Esme nie próbowali ich łapać.

Księżę sięgnął po swoją magię, a Esme uniosła ręce ku Studni.

– Jesteś mój, księżę. Wiesz, jaki czeka cię ból, jeśli okażesz mi nieposłuszeństwo.

Kiwnął głową.

– Nie okażę. – Na potwierdzenie swoich słów pochylił głowę. – Wydaj mi rozkaz, Lalkarko.

Zachichotała, a Merik wykorzystał ten moment, aby wziąć jak najgłębszy oddech. Kryła się w nim magia – wyczuwał w płucach, jak budzi się jej iskra. Okazała się jednak za słaba. Była zmęczona. Nie chciała się budzić.

Nie szkodzi. Wiedział, że gdyby uciekł, kiedy Esme znajduje się blisko Krosna, zostałyby ukarany niewyobrażalnym bólem. A gdyby uciekł kiedy indziej, Furia wyczułby magię i wrócił po niego. Merik będzie się po prostu poruszał wraz z wiatrem i strumieniem, pozwalając, aby jego magia się odbudowała.

Ten plan okazał się krótkotrwały. Kiedy uniósł głowę, aby spojrzeć na Esme, nadal w rozradowanych podskokach i pochłoniętą marzeniami o nadchodzącej chwale, z lasu wybiegła jakaś postać. Poruszała się szybko między rzędami rozszczepieńców, nieruchomych i niereagujących na tego żywego człowieka pośród nich.

Północnik przebiegł przez trawę i wbił Esme nóż w plecy.

ROZDZIAŁ 45

Kiedy Aeduan dotarł do obozowiska swojego ojca, ból blokował mu żyły – sygnął, że kamień bólu niemal się wyczerpał. Większość drogi przebiegł, zwalniał tylko wtedy, kiedy wymagał tego teren czy ludzie. Cztery razy natknął się na walki – i cztery razy ostrzegły go uszy, nie magia.

Kolejny argument przemawiający za powrotem do ojca. Z nim będzie mógł znaleźć Corlanta, a jeśli Corlant rzeczywiście przeklął te strzały, w takim razie będzie mógł go także uleczyć.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Oczywiście wiedział, że coś takiego może się zdarzyć: koniec jego mocy, koniec krwiodziejstwa. Wcześniej jednak w ogóle nie zawracał sobie tym głowy. Pojęcie straty było czymś doprawdy abstrakcyjnym, dopóki nie zostało się zmuszonym do patrzenia w jej martwe oczy.

Aeduan biegł jeszcze szybciej, maksymalnie wykorzystując to, co mogły mu zapewnić kamień bólu i jego magia, unikając po drodze walk. Nubrevenów i Marstokczyków, Baedyedów i Krwawych Żagli. Krwi, śmierci i przemocy, których nie był już w stanie wyczuć.

Dotarł do granic obozu, kiedy na niebie wisiał już księżyc. Śnieg pokrył zmarzniętą ziemię świeżą warstwą białego puchu. Mroźne powietrze szczypało w twarz i palce. Wychował się w takim właśnie zimnie, ale lata z dala od niego wymazały wspomnienie tego, jak bardzo przenika całe ciało.

Pomiędzy ośnieżonymi świerkami obozowały tysiące Nomatsów, Purytanów i innych uciekinierów. Setki prowizorycznych schronień porozstawiano tam, gdzie pozwalały drzewa i ukształtowanie terenu. Błady dym sączył się z szałasów Nomatsów, a ciemniejszy ze strzelistych namiotów preferowanych przez mieszkańców Gór Sirmayańskich i Północników. Wiele ognisk, wiele rodzin. I żadnych żołnierzy czy najeźdźców. To byli ludzie wysiedleni przez wojnę, a nie ci, co w niej walczą. Jedynymi, których w jakimś stopniu

można zakwalifikować do żołnierzy, byli nieliczni strażnicy uzbrojeni w łuki i dzidy. Miał już okazję widzieć ludzi swego ojca, dziesiątki tysięcy kobiet i mężczyzn pragnących końca imperialnych rządów – ale i dziesiątki tysięcy najeźdźców. W potyczkach, na które Aeduan natknął się po drodze, brał udział zaledwie ułamek tych żołnierzy, co rodziło pytanie: gdzie się podziała reszta?

Kiedy szedł między namiotami Nomatów, dojrzały go dwie starsze kobiety pełniące wartę przy głównym ognisku. Ich oczy rozszerzyły się z przerażenia. Rzuciły się w stronę bawiących się niedaleko dzieci i gorączkowo zaciągnęły je do namiotów.

O krok za późno Aeduan uświadomił sobie, że zapomniał odwrócić caraweńską pelerynę na drugą stronę. W pośpiechu nie zastanowił się nad tym, jak może tu zostać odebrany. Do tej pory nikt nie zwracał na niego większej uwagi – a niektórzy rozpoznawali w nim nawet syna Króla Zdobywcy. Teraz jednak białe peleryny stały się zwiastunami śmierci.

Było już za późno, aby ją odwrócić, w jego stronę zmierzała nomatsańska łowczyni z kwadratową tarczą na plecach i naciągniętym łukiem.

Aeduan uniósł ręce.

– Nie zamierzam nikomu robić krzywdy...

– Na kolana!

Wysłuchał polecenia. Łowczyni podeszła do niego i szybkimi, wprawnymi ruchami odczepiła od pasa sznur, którym związała Aeduana. Nie stawiał oporu. Nie byłby w stanie, nawet gdyby chciał. Jego magia była zbyt krucha – dopiero po trzech głębokich oddechach udało mu się wyczuć słaby zapach krwi tej kobiety, więc o kontroli nad nią i ucieczce mógł co najwyżej pomarzyć.

Nie zagoiłyby się także rany, które mogłaby mu zadać. Nie tylko dlatego, że zawodziła go magia, ale dlatego, że kamień bólu szybko się wyczerpywał.

– Król Ragnor – próbował powiedzieć. – Jestem jego synem.

Kobieta go zignorowała, a wokół nich zgromadzili się teraz inni Nomatsowie. W ich oczach widniały nienawiść i strach. Zasłużył sobie na to i wiedział, że nie ma sensu przekonywać, że nie jest taki jak inni mnisi.

Jak mógł być tak głupi? Wyczerpanie i ból pozbawiły go zdrowego rozsądku.

Pojawiła się druga łowczyni z płóciennym workiem w ręce. Podeszła do Aeduana, chcąc mu go zarzucić na głowę, ale w tym momencie rozległ się głos.

– Zaczekaj! – krzyknęła jakaś kobieta, wątpiąca i wiekowa, ale Nomatsowie od razu zamilkli. A potem kobieta pojawiła się w zasięgu wzroku Aeduana i już zrozumiał dlaczego. Pod ciężkim futrem miała na sobie wypłowiałą więziodziejską czerń, co oznaczało, że przewodziła temu plemieniu.

Nieprzeniknioną twarz znaczyły blizny po odmrożeniach. Kobieta była stara, zmęczona i przyzwyczajona do posłuchu. Kiedy zatrzymała się przed Aeduanem, spojrzała na niego z taką samą pustką na twarzy, jaka cechowała Iseult.

– Jesteś mnichem. – Wypowiedziała to po marstocku, zakładając zapewne, że intruz nie zrozumie jej ojczystego języka.

Ale on go znał, więc odpowiedział po nomatsańsku:

– Tak. Jestem także synem Króla Zdobywcy.

Nie zareagowała.

– Czy to prawda? – przeszła na nomatsański. – Czy Dirdra jest rzeczywiście w Klasztorze?

Aeduan zmarszczył brwi. Następnie pokręcił głową.

– Dirdra?

– Dziecko z mojego plemienia. – Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, więc dodała: – To ważne dziecko, skradzione przez najeźdźców. A teraz sądzimy, że pojмали ją mnisi.

Sowa. Z pewnością chodziło jej o Sowę.

Aeduan wziął głęboki oddech, chwytając się tej resztki krwiodziejskiej magii, która w nim pozostała. Płuca go piekły,

a skóra krzyczała, ale się nie poddawał. Aż w końcu...

„Letnie wrzosa i niemożliwe wybory”. To była kobieta, za którą podążał. Jedyna ocalała z plemienia Sowy. W końcu ją znalazł, bezpieczną pod sztandarem Króla Zdobywcy. Otworzył usta, aby jej powiedzieć, że uratował Sowę i że jeśli przebywa teraz w Klasztorze, to zrobi to ponownie, nim jednak słowa zdążyły mu przejść przez gardło, między namioty wpadł wiatr. Na tyle silny, że przewrócił ludzi i ugasił wielkie ognisko.

Rozległy się krzyki i Nomatsowie się rozpierzchli. Ale nie łowczyni i więziodziejka. Kiedy do obozowiska wkroczył Furia, wyprostowały się i spiorunowały go wzrokiem.

– Co my tu mamy? – zapytał Furia, mijając ognisko. Wokół jego głowy wirował śnieg. – Słyszałem, że do obozu przybył mnich, który, tak się akurat składa, jest synem Generała. Muszę przyznać, krwiodziej, że kusi mnie, aby cię tu zostawić. – Zatrzymał się i rozłożył ręce. – Niestety liczy się czas.

– Nie możesz go zabrać – oświadczyła więziodziejka łamanym arythuańskim. W jej postawie była stal, w spojrzeniu ogień. – Jeszcze z nim nie skończyłam.

– Obawiam się, że skończyłaś. – Furia wykonał ruch nadgarstkiem.

W więziodziejkę uderzył podmuch wiatru. Przewrócił ją na ziemię, łamiąc jej kości, i nim łowczyni zdążyły unieść łuki, Furia wybił im je z rąk. Następnie podszedł do Aeduan, chwycił go za ramię i podciągnął.

Krwiodziej próbował się odwrócić do więziodziejki, chciał jej powiedzieć: „Nie wiem, gdzie jest Dirdra, ale znajdę ją po raz drugi”. Tyle że wokół ryczał wiatr mieszający się ze śniegiem. Nie dało się go przekrzyczeć ani nic dojrzeć.

Dwa uderzenia serca później Aeduan i Furia wzbili się w niebo.

Bezkresne płomienie i niecichnący śmiech.

Iseult umierała na tym polu bitwy raz za razem. Ogień ją trawił i spalał serce na proch. Ale nawet w śmierci nie zaznawała ulgi, dlatego że wraz z nią pojawiała się jeszcze więcej płomieni i śmiechu ogniodzieja.

To był ogniodziej, którego zabiła. Ogniodziej, którego zamierzała zabić. Ona należała do niego, a on do niej, dopóki świat się nie skończy, a Księżycowa Matka nie uwolni wszystkich w wieczności.

Próbowała błagać – zawsze – a mimo to z jej gardła wydostawał się tylko stłumiony, rozbrzmiewający echem ryk. Jakby krzyczała inna kobieta, która leżała zakopana głęboko pod górą.

Raz za razem. Bez końca, bez początku i bez ostrzeżenia, tak jak wcześniej, wdzierał się w nią nowy świat. Iseult szlochała, kiedy w polu bitwy pojawiały się pierwsze otwory. Gorące łzy na twarzy obrócone w popiół.

Jeden po drugim płomienie gasły, a ją otaczały szare cienie i mroźne wiatry. Nadal szlochała, skulona na śniegu. Nie miała pojęcia, jak długo tam leżała. Wiedziała jedynie, że łzy w końcu obeschły, a zastąpiło je szczykanie zębami i drżenie całego ciała.

Pojawił się srebrny król.

W jednej chwili Iseult była sama. W następnej go wyczuła – a potem także zobaczyła.

Dzisiejszej nocy wydał jej się wyraźniejszy. Tam, gdzie wcześniej widziała garb, teraz dostrzegła czarne, grube futro. Sylwetka mężczyzny nie była sztywna, raczej napięta. Przyjął wręcz postawę obronną, jakby się bał, że Iseult może go zaatakować.

Jego korona połyskiwała tak samo jak wcześniej, kontrastując z ciemnymi włosami i oliwkową skórą. To wszystko, co Iseult widziała. Bez oczu, ust – tam, gdzie powinna być twarz, widniała niewyraźna plama.

– Czy jesteś Wronim Królem? – Zaskoczyła ją czystość jej głosu. Okazał się bardziej krystaliczny i melodyjny niż w prawdziwym życiu. Niemal zapłakała, kiedy znowu go usłyszała.

Król kiwnął głową.

– Ale jak to możliwe, że tu jesteś, skoro od wieków nie żyjesz?

Ponownie kiwnął głową; srebrna korona zamigotała. Pytanie Iseult wymagało obszerniejszej odpowiedzi... Tylko że jej rozmówca nie miał ust, więc jak miał jej udzielić? Będzie w takim razie musiała zadawać takie pytania, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Myśl, Iseult, myśl. Nie wiedziała, ile zostało jej czasu do powrotu ogniodzieja. Najpierw pytania najważniejsze.

– Pomogłeś mi uciec przed ogniodziejem?

Poważne skinienie głową.

– Możesz zrobić to ponownie?

Rozłożył ręce, a pod nimi cienie spływały niczym pióra. Iseult nie wiedziała, o co mu chodzi... chyba że...

– Nie wiesz?

Kiwnięcie.

– A co z Evrane? Możesz mi pomóc przed nią uciec?

Tym razem przytaknął, po czym skłonił się nisko, niczym rycerz oddający hołd królowej. Następnie uniósł ręce wysoko nad głowę i krajobraz uległ zmianie.

Obok króla pojawiła się najpierw kamienna ściana. Potem półki, na nich książki, a pod spodem dywan. Z nicości wyłaniał się przedmiot po przedmiocie, tworząc wokół Iseult i Wroniego Króla cały pokój.

– Co to za miejsce? – zapytała więziodziejka, kiedy pokój był kompletny. Już nie otaczał ich śnieg, a ona nadal trzęsa się z zimna.

Król nic nie powiedział. Nie dał po sobie znać, że usłyszał pytanie. Zamiast tego przeszedł na koniec pokoju, gdzie pomiędzy półkami widać było wąską szczelinę w ścianie. Pod niezapaloną pochodnią w metalowym kinkiecie stało proste, drewniane krzesło. Obejrzał się na Iseult, a na jego zamazanej twarzy na chwilę wyłoniło się dwoje ciemnych oczu. Tak ciemnych, że niemal czarnych.

Ze spojrzeniem przyklejonym do więziodziejki wskazał na ścianę. Wykonał gest ręką, potem jeszcze dwa i pojawiły się drzwi. Zniknęły

półki i kamienne ściany. Teraz widać było jedynie łukowate przejście prowadzące do ciemności.

Wroni Król ponownie machnął ręką. Wróciły kamienne ściany i półki.

– Co to jest? – zapytała Iseult, choć wiedziała, że nie uzyska odpowiedzi. Z jego twarzy znowu zniknęły oczy. Właściwie to wszystko zniknęło.

Zrobiła krok w jego stronę. Myśl, Iseult, myśl.

– Twoje oczy pojawiają się i znikają. Masz także usta?

Uniósł ręce. Ostrzeżenie, żeby się zatrzymała.

Tak zrobiła.

Wtedy powoli pokręcił głową. Nie miał ust. Nie było odpowiedzi. Ale gdy Iseult mu się przyglądała, wyrosła mu nagle cienista trzecia ręka, niczym wąż prześlizgnęła się ku najbliższej półce i zatrzymała się obok oprawionej w skórę księgi.

A ta po chwili zniknęła.

– Księga Carawenów – szepnęła Iseult. – Ta, którą Leopold wyniósł z archiwum. Tam znajdują się te drzwi?

Wroni Król skłonił się, a cieniste ramię rozmyło się w powietrzu.

– Ale ja nie mogę tam wejść. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Nie mogę się obudzić. Evrane usypia mnie za pomocą... jakiejś mrocznej magii.

Klatka piersiowa Wroniego Króla uniosła się, jakby wziął wdech, potem wróciły mu oczy, a razem z nimi ciemne brwi. Ruszył w jej stronę. Uniósł lewą rękę, ale tym razem zamiast cieni pojawiło się tylko światło. Jaskrawe fragmenty wyglądające jak skryształizowana mgła.

Iseult próbowała zrobić krok w tył, ale nogi nie chciały jej słuchać. Ręce także. Nawet głowa. Mogła jedynie stać i patrzeć.

Podszedł do niej. Jego dłoń dotknęła jej twarzy. Lodowate zimno skradło jej oddech, objęło w posiadanie umysł. Zimno, blask księżyca i wysuszone na wiór Śnienie.

„IDŹ”.

To polecenie wypełniło ją całą, bardziej nagłące niż samo słowo. „Idź, idź, idź, nadeszła pora, aby iść”.

Kiedy chwilę później Iseult się obudziła, nie trzymała jej w swoich szponach żadna magia. Nie fruwały wokół niej żadne cienie. Nie dostrzegła także Evrane.

Iseult była wolna.

I nadeszła pora, aby iść.

ROZDZIAŁ 46

Dom rodziny Sotarów stał dumnie przy ulicy Białej, mniej więcej w połowie Wzgórza Królowej. Otaczał go mur z wapienia i żelazne pręty. Za murem rosły gęsto drzewka pomarańczowe i jaśminy.

Na widok Vivii i jej strażników dwaj żołnierze Sotarów natychmiast otworzyli bramę.

Rozmowa, którą Vivia planowała tu odbyć, miała charakter prywatny, dlatego zostawiła strażników i sama zbliżyła się do głównych drzwi. Służący szybko zajął się obsługiwaniem „przyszłej królowej”.

Tyle że ja nie jestem już przyszłą królową, pomyślała Vivia. Nie wiedziała, kim jest. Tytuł księżniczki należał do dawnej Vivii. Miano kapitan także było nieaktualne.

Właściwie nie miało to większego znaczenia.

Wizer Sotar przyjął ją w przestronnym jasnym salonie z wysłużonymi fotelami i jeszcze bardziej wysłużonymi podłogą i zasłonami – co akurat Vivia pochwalała. Rodzina Sotarów może i należała do jednej z najzamożniejszych w Nubrevnie, ale nikt niełożył na ojczyznę tyle co oni.

– Nie mam na razie żadnej wiadomości od żony – oświadczył Sotar, wszedłszy do salonu. Przeszedł przez pokój, zbliżył się do stojącej przy oknie Vivii i skłonił się.

– Nie po to tu przyszłam. – Odwróciła się w jego stronę. Nie przywdziała maski, nie była ani niedźwiedziem, ani Niharem. Była po prostu liskiem Vivią i miała nadzieję, że to wystarczy. – Wiedziałaś, że odebrano mi koronę?

Sotar zmarszczył brwi, jakby się przesłyszał.

– Odebrano?

W krótkich słowach wyjaśniła mu, czego się właśnie dowiedziała u Strażników. Bez łez czy emocji. Bez grama złości. Z każdym

wypowiadanym przez nią słowem Sotarowi coraz bardziej opadała szczęka. W końcu musiał się oprzeć o parapet.

– A to dranie. – Spojrzał Vivii w oczy. – Wasza Wysokość, przysięgam, że o tym nie wiedziałem. Quihar, Eltar i Quintay działali bez zgody pozostałych wizerów. Tak samo trzynaście lat temu postąpili z twoją matką.

Jakżeby inaczej. Sama nie rozumiała, czemu ją to zaskoczyło. I nagle zaczęła się zastanawiać, czy jej ojciec też za tym stał. Czy to on był powodem, dla którego Wysoka Rada uznała Janę za niezdolną do rządzenia krajem?

W żaden sposób nie zmieniało to obecnej sytuacji Vivii. Jeśli Wysoka Rada nie akceptowała jej jednogłośnie jako królowej, to nie wolno jej było rządzić. Władza raz jeszcze powróciła do regenta.

Straciła poparcie trzech wizerów, czternastu oficerów i własnego ojca, ale nie oznaczało to, iż nie miała przy sobie osób, które ją wspierały. Było ich wiele i wiedziała, że zjawiliby się na jej wezwanie.

– Musisz się udać do pozostałych wizerów – rzekła. – Ufam twojej zdolności oceny tego, wobec kogo pozostają lojalni. Zbierz tych, którzy nadal wspierają moje rządy, i poproś, aby oddelegowali nie tylko swoich strażników, ale także każdego, kto może i chce walczyć. Nikogo nie będę wcielać do służby siłą, ale do obrony miasta przyda się dosłownie każdy.

– Dobrze. – Sotar skinął poważnie głową. – Tak się stanie.

– Ja zbiorę własną kompanię. Z wieloma miałam okazję żeglować po rzekach i morzach Nubrevny, istnieje grupa sprawdzonych żołnierzy, którym ufam. Ich z kolei poproszę o znalezienie kolejnych.

– Możemy spotkać się tutaj. – Sotar wskazał na salon.

Vivia pokręciła głową.

– Nie. Może i prawo nie zabrania takiego zgromadzenia, ale mój ojciec zauważy, jeśli zorganizujemy je w miejscu tak widocznym. A ja... – Zrobiła głęboki wdech. – A ja już mu nie ufam.

Na twarzy Sotara pojawiło się napięcie. I współczucie, trafiające prosto do serca Vivii. Wiedział, jak bardzo ją to rani; wiedział także, że nic nie da się z tym zrobić i że nie ma teraz czasu na rozmyślanie. Zostali zdradzeni, najbardziej Vivia, i jedyne, co mogli obecnie zdziałać, to zminimalizować szkody.

Vivia uniosła brodę. Ściągnęła łopatki. Była córką swojej matki. Da sobie radę.

– Spotkamy się w Twierdzy Pyna, wizerze Sotar, gdy zegar wybije dwadzieścia dwa razy. Przyrowadź tych członków Wysokiej Rady, którzy mnie wspierają, a ja przyrowadzę żołnierzy. Razem nakreślimy nową strategię.

Tym razem to Sotar zrobił głęboki wdech. Wyprostował się i przyłożył dłoń do serca. Następnie głęboko się skłonił.

– Pozostaję na twe rozkazy, moja królowo.

Na te słowa przeszedł ją dreszcz. Nikt nigdy tak jej jeszcze nie nazwał. Nikt nie okazał jej tak szczerego szacunku i poparcia. Pragnęła tego od swojej matki, ale Janie dokuczało zbyt wiele własnych demonów. Dlatego Vivia zwróciła się ku ojcu. Błagała i przeproszała, a on raz na jakiś czas rzucał jej jakieś ochłapy. Teraz rozumiała, że Serafin nie darzył szacunkiem nikogo z wyjątkiem siebie, a aprobatę wyrażał jedynie dopóty, dopóki nie kolidowało to z jego wyobrażeniem o sobie. Pragnął całej chwały i ani krzty winy.

– Dziękuję ci – rzekła Vivia do Sotara. – Do zobaczenia niedługo.

Następnie Vivia Nihar, prawowita królowa Nubrevny, Wybrana przez Studnię Otchłani i mały lisek raz jeszcze wyszła na rojący się od ludzi wieczór.

Safi rzuciła się między Vanesę a Mathew. On nie robi jej krzywdy. Jej ciało to wiedziało, nawet jeśli umysł nie do końca jeszcze pojmował, że jej nauczyciel tu jest. Zasłoniła sobą cesarzową, przez co Mathew został zmuszony wykonać obrót. W ostatniej chwili zabrał miecz.

Za wolno. Ostrze drasnęło Vanessę w twarz.

Cesarzowa się jednak nie poruszyła. Nawet nie mrugnęła okiem.

– Co ty robisz? – zawołał Mathew.

Jego głos, to był jego głos – jak mogła wcześniej nie zwrócić na to uwagi? Jak mogła nie dostrzec jasnej barwy jego oczu i rzęs? Dlatego, że Mathew i Habim dali ci to, co spodziewałaś się widzieć. A teraz odcinali sakiewkę.

Mathew zatrzymał się dwa kroki dalej. Safi także uczyniła obrót, pozostając między nim a Vanessą.

Cesarzowa nadal nie reagowała. Ani żaden ze zmijów, ani nikt w tłumie widzów. Wszyscy podziwiali kaskady fajerwerków, pozostając w błogiej nieświadomości.

W tym momencie do Safi dotarło, że Vanessa nie krwawi. Widziała wcześniej, jak ostrze przecina skórę, ale nie pojawiła się ani kropla krwi. Blaskodziejska klątwa. Cesarzowa najwyraźniej została ukryta pod zaklęciem, które sprawiło, że wyglądała jak ona.

A niech to oszcza łasica, Safi powinna była to przewidzieć. Wuj Eron taki sam plan zrealizował w Veñazie: rzucił czar podczas przyjęcia i przystąpił do ataku. Co oznaczało, że gdzieś w pobliżu znajdował się blaskodziej, najprawdopodobniej ten sam, z którego usług już korzystali.

Gdyby Safi dysponowała swoją magią, z pewnością by to przewidziała. Co więcej, gdyby tylko zwracała po trzykroć przekłętą uwagę, dostrzegłaby znaki. Dlatego właśnie fałszywi żołnierze nie atakowali jej przy Studni. Dlatego podczas pierwszego przesłuchania Habima wyczuła, że kłamie. Habim nie tylko słyszał o spisku związanym z obaleniem cesarzowej i przejęciem tronu, on go stworzył.

Habim, Mathew i wuj Eron. Trzej mężczyźni, których Safi знаła od dziewiętnastu lat. Właśnie się okazało, że nie miała o nich pojęcia. A jej ciało było jedynym, co dzieliło cesarzową Marstoku od śmierci.

– Odsuń się – syknął Mathew. Zrobił krok w jej stronę, unosząc ostrzegawczo miecz. – Czemu się wtrącasz, Safi?

– Czemu atakujesz?

– Bo taki jest plan. Ten, nad którym wszyscy pracowaliśmy. Wiesz o tym.

– Nie wiem. Dlatego, że ty i Habim o niczym mi nie powiedzieliście!

– Nie czas na to. Później wszystko ci wyjaśnię. – Mathew okrążył cesarzową, Safi zrobiła to samo. – Teraz nie pora na to...

– Wyjaśnisz po czym? Po śmierci cesarzowej? W jaki sposób coś takiego ma sprowadzić pokój na Czarozieście, Mathew?

– Poprzez wyeliminowanie kogoś, kto pragnie wojny! To ona przerwała Dwudziestoletni Rozejm, Safi. To przez nią wznowiono wojnę.

Na jedno uderzenie serca mu uwierzyła. Bądź co bądź, tak mówili wszyscy, łącznie z samą cesarzową. Wojska Vanessy wkroczyły do Nubrevny, naruszając magię, która wiązała ją z Dwudziestoletnim Rozejmem, a tym samym magię wiążącą wszystkie inne narody i imperia. Więc owszem, to ona przerwała pokój.

Tyle że kiedy myśli te przelatywały przez głowę Safi, dotarło do niej, że w jej klatce piersiowej nie byczy prawda związana ze słowami Mathew.

A zatem kłamał.

Ścisnęło ją w żołądku. Chciało jej się wymiotować. Albo krzyczeć. Albo zażądać, aby Mathew jej powiedział, że to nieprawda – że to nie oni doprowadzili do końca Rozejmu.

Jednak udało jej się zapanować nad sobą i nie wykonać żadnej z tych czynności. Zdołała zachować charakteryzujący Iseult spokój.

– To wy zakończyliście Rozejm, prawda? Nie wiem jak, ale nie zrobiła tego cesarzowa, lecz wy.

Przez twarz Mathew przebiegł ból, który trafił prosto do serca Safi. Prawda, prawda, prawda.

– Mówiłem ci – rzekł szorstko. – W Veñazie mówiłem ci, że machina została wprowadzona w ruch...

Nie było mu dane dokończyć. W tym momencie zakłęcie zadrzało. Delikatnie, jakby cały świat zamrugał, i na pół oddechu przebił się przez nie prawdziwy świat.

Okazał się o wiele gorszy, niż Safi sobie wcześniej wyobrażała. Cesarzowa stała w dokładnie tym samym miejscu, tylko po prawej stronie jej ciała spływała krew. Za nią dwanaście żmijów leżało martwych, a każdy został przebity własnym mieczem. Jednak to jezioro Scarza sprawiło, że Safi wydała cichy okrzyk i się cofnęła – wszyscy zgromadzeni poniżej ludzie uczynili to samo. Zbiorowy okrzyk przerażenia przetoczył się przez tłum, kiedy oglądany przez wszystkich świat został na chwilę zastąpiony innym.

Jednostki wojskowe płonęły i tonęły. Ściana żołnierzy była teraz ścianą zwłok. Fajerwerkom wtórowały dym, ogień i eksplozje.

W tym momencie blaskodziejskie zakłęcie wróciło na swoje miejsce. Statki ponownie unosiły się na powierzchni. Żołnierze i żmije stali na straży. Vanessa nie krwawiła.

Było jednak za późno. Ludzie już wiedzieli, że zostali oszukani.

– Safi! – Na taras wpadł Habim z ogniodziejskim pistoletem w jednej ręce i mieczem w drugiej. Zajął miejsce obok Mathew. – Odpuść, Safi. Nie niszc tego. Rozumiem, że przejmujesz się cesarzową, ale...

Safi się zaśmiała. Zaskoczyła tym swych nauczycieli. Habim zamilkł, a Mathew się wzdrygnął.

– Nie niszc tego? – powtórzyła. – Myślałam, że już to zrobiłam! Przez cały czas, od Veñazy, sądziłam, że zniszczyłam wasz cenny mały plan. Sądziłam, że dokonałam własnych wyborów, przez które plan wuja Erona sturlał się prosto do piekielnych bram. Teraz widzę, że byłam niczym więcej jak waszą marionetką. Od samego początku wiedzieliście o zaręczynach z Henrickiem. Wiedzieliście, że trafię do Marstoku. I pewnie sądziliście, że wam tu dzisiaj pomogę, co? Cóż, byliście w błędzie. Nie zrobię tego.

– Cesarzowa nie jest osobą, za którą ją uważasz, Safi... – zaczął Habim.

– I kto to mówi, generale?

– Jest tym, czym nauczyli ją być jej rodzice, Safi. Przez nią Marstok ugrzęźnie w kolejnej wojnie.

– Nie. – Safi wysyczała to słowo z całym przekonaniem. – Nie. Mylisz się. Ty w ogóle jej nie znasz, Habimie.

– Mamy mało czasu – rzucił ostrzegawczo Mathew. Obecność Habima jakby dodała mu centymetrów. Sercowiężni robiące to, co uważali za właściwe i co Safi także mogłaby uważać za właściwe, gdyby nie miała okazji zobaczyć, co się kryje pod maską Vanessy. – Nie każ mi cię zmuszać – dodał. – Tak zrobiłem z cesarzową, i tak postąpię także z tobą.

– Już to zrobiłeś. – Safi ponownie zaśmiała się niedorzecznym, wysokim, piszczącym wewnątrz jej czaszki śmiechem. Mathew najwyraźniej nakazał Vanessie się nie ruszać, żeby mogła stać i przyjąć ostrze noża w brzuch. Teraz to samo robi z nią. – Rzuciłeś na mnie zaklęcie w magazynie, Mathew. I miesiąc temu w Veñazie.

Jego zdrada mocno ją wtedy zabolala. Teraz doszczętnie ją zdruzgotała.

Mogła liczyć na tych mężczyzn przez całe swoje życie. Ganili ją i nauczali, opatrywali rany, kiedy lekcja fechtunku źle się skończyła. Nie byli źli, Safi miała co do tego taką samą pewność, jak co do tego, że Vanessa także nie była zła.

Byli po prostu wilkami w świecie królików i zapomnieli, że króliki też są ważne.

Safi nie miała wątpliwości, że Mathew, Habim i wuj Eron wierzyli w swoją sprawę – i że kiedy przed dwudziestu laty przystąpili do spisku, czynili to w dobrej wierze. Tyle że w międzyczasie stali się dokładnie tacy jak ludzie, których nienawidzili.

Prawda.

I to Safi musiała im przypomnieć, że króliki też są ważne.

Prawda, prawda, prawda.

Wsunęła rękę do kieszeni.

– Mówisz, że Vanessa jest taka, jak ją nauczyli rodzice. Cóż, ja też. Obaj nauczyliście mnie odróżniać dobro od zła i wyposażyliście w sumienie. Kocham was – zakończyła – ale wam nie pomogę.

Wyszarpnęła z kieszeni zimne ognie i rzuciła nimi w mężczyzn, którzy wychowali ją jak córkę.

– Zapalcie się – szepnęła, odwracając się. Niech bogom będą dzięki, że Mathew i Habim przeszkolili ją na dokładnie taką ewentualność, musiała teraz przerzucić sobie cesarzową przez ramię i puścić się biegiem.

Zgodnie z jej przewidywaniami zimne ognie wcale nie były zimnymi ogniami. Za nią rozległy się dźwięki eksplozji. Mathew ryknął jej imię i rozkazał się zatrzymać. Pewnie wypełniłaby jego rozkaz, nie potrafiąc się oprzeć słowodziejskiej sile, tyle że zdążyła już dotrzeć do granicy ogrodu. Spóźnił się.

Ona i cesarzowa przekoziółkowały i zaczęły spadać w kierunku jeziora.

ROZDZIAŁ 47

Sfrunęli w dół zbocza tak szybko, że Aeduana bolały uszy i płuca. Leżący poniżej las pogrążony był w kompletnych ciemnościach. Aeduan wiedział jedynie, że znajdują się teraz bliżej doliny oddzielającej górę Ragnora od tej, na której leżał Klasztor.

Mógł założyć, że Furia zabiera go do jego ojca.

Obniżyli się nad polaną otoczoną drzewami. Jedna sosna górowała nad pozostałymi, dwa razy wyższa i tyleż samo szersza. Śnieg niósł się na skrzydłach Furii i zebrał się wokół nich w formie okrągłego nasypu.

Przy lądowaniu pod Aeduanem niemal ugięły się kolana, zacisnął zęby z bólu. W jego kamieniu bólu pozostały już tylko przebłyski magii. Miał najwyżej godzinę, po którym to czasie klątwa przejmie pełną kontrolę.

– Szybko – nakazał Furia, opuszczając polanę. Zniecierpliwienie dawało się wyczuć w jego głosie i postawie. Pomiedzy drzewami błyszczały oczy, obserwowały Aeduana i Furię. Po broni w rękach i przy biodrach Aeduan rozpoznał, że to żołnierze. Czaili się w ciemności, niektórzy siedzieli, inni stali, wszyscy wyraźnie czekali na sygnał.

Aeduan odnalazł wojska swego ojca szykujące się do ataku. Od tej strony cel był tylko jeden: Klasztor.

Minąwszy wiele rzędów łuczników strugających strzały w ekspresowym tempie oraz Baedyedów na koniach okrytych kamuflującymi białymi tkaninami, Furia zaprowadził Aeduana do namiotu z okrągłym dachem. Światło przebłyskiwało w łączeniach ścian ze skór oraz w otworze na górze. Wypływały z niego głosy; dym nie. Co oznaczało, że to namiot dowództwa, który w każdej chwili można przenieść w inne miejsce. Przed nim stało dziesięcioro kobiet i mężczyzn, różniących się kolorem skóry i ubiorem, ponieważ Ragnor do osobistej straży wybrał po jednej osobie

z każdej frakcji. Obrzucili Furię niechętnymi spojrzeniami, ale żadne z nich nie próbowało ingerować.

Furia wkroczył do namiotu i w tym samym momencie wszyscy umilkli. Za nim wszedł Aeduan. Obmyło go pomarańczowe światło, na tyle jasne, by skraść mu zdolność widzenia. Powoli zmaterializowały się cztery postacie zgromadzone wokół podłużnego stołu zawalonego mapami. Z lewej strony stała kobieta o skórze równie ciemnej jak nocne niebo, z białymi włosami zebranych na czubku głowy. W jednej ręce trzymała fajkę, uniesioną w połowie drogi do ust. Na jej kciuku połyskiwał pierścień z jadeitem.

Obok niej stał mężczyzna z węzami wytatuowanymi na brązowej twarzy i złotym węzowym paskiem, jaki nosili wszyscy Baedyedowie. Po prawej stronie stołu więziodziejka, wysoka, z szeroko osadzonymi zielonymi oczami. I wreszcie u szczytu stołu ojciec Aeduana, Król Zdobywca z Północy.

Ragnor det Amalej.

Nie był mężczyzną wysokim – Aeduan przerastał go o pół głowy – ale dzięki futrom wydawał się szerszy w ramionach. Spod nich aż po szyję wystawał strój z czarnego jedwabiu. Włosy przyprószyła już siwizna, która powiększyła się od ich ostatniego spotkania. Wokół jego oczu o orzechowej barwie i gęstych rzęsach widniało także więcej zmarszczek.

Wiek, wzrost i kolor oczu. Jedyne różnice pomiędzy ojcem a synem.

– Zostawcie nas – polecił Ragnor i troje dowódców natychmiast tak zrobiło. W drodze do wyjścia Baedyed i więziodziejka zignorowali Aeduana, ale białowłosa kobieta zatrzymała się przed nim na tyle długo, by zlustrować go wzrokiem.

– Krew na śniegu – wymruczała i wyszła.

Nie potrafił określić, czy te słowa skierowała do niego, czy do samej siebie. Furia odwrócił się na pięcie, chcąc uczynić to samo.

– Zaczekaj – rzucił Ragnor po arythuańsku.

Furia posłuchał i odwrócił się w stronę stołu. Namiot był dla niego zbyt mały; musiał schylać głowę pod rozpórkami, a kiedy znalazł się przy stole, mrugał, przestępował z nogi na nogę i rozglądał się nerwowo niczym zamknięta w klatce pantera.

W ogóle nie było w nim widać rozszczępiennego mroku. Żadnych cieni ani okrucieństwa, jedynie jasne włosy, niebieskie oczy i okaleczone ucho. Wokół głowy fruwały mu płatki śniegu. Skłonił się.

– Generale. – To nie był właściwy tytuł, ale Ragnor go nie poprawił.

– Znajdź Corlanta. Przyrowadź go do mnie.

Furia się wyprostował.

– A co z atakiem na Krypty? Mam nową strategię, jeśli chodzi o sforsowanie drzwi...

– To może poczekać.

Na twarzy Furii pojawiło się napięcie, śnieg zawirował szybciej.

– Nie może. Tracę z tą Lalkarką cenny czas. Przeciwstawia mi się przy każdej możliwej sposobności.

– W takim razie ty będziesz musiał przeciwstawiać się bardziej.

Kolejne napięcie i chmura śniegu.

– A jeśli żołnierze dotrą do Klasztoru, nim zdążę się włamać do Krypt?

– Wówczas tak się właśnie stanie. – Do tonu Ragnora wkradło się niezadowolenie. – Dlaczego się ze mną kłócisz, Bastienie? Leć do Esme, każ jej znaleźć Corlanta, a potem go tu zaciągnij. Tak brzmią rozkazy dla ciebie.

Przez długą chwilę atmosfera w namiocie aż wibrowała od napięcia. W końcu Furia nie wytrzymał.

– Nie lubię Corlanta – wyrzucił z siebie i po tych słowach ziemię zaścielił mróz. Trzeszcząc, wspinał się po ścianach. Chrząścił na butach Aeduana. – Czuję do niego wstręt i doskonale o tym wiesz. Lepiej go zabić i mieć spokój.

– Jest nam potrzebny. To dziecko nie przyda się naszej sprawie.

– Tak samo jak najeźdźcy! Odwrócą się od nas i od siebie nawzajem, gdy tylko ujrzą pierwsze błysnięcie złota.

– Otworzyliśmy ramiona dla wszystkich, wszystkich. – Lód Furii nie robił na Ragnorze wrażenia. – A teraz wyjdź. Nasza rozmowa dobiegła końca i nie chcę więcej wracać do tego tematu. Znasz swoje rozkazy. Masz je wypełnić. – Po tych słowach odwrócił się plecami do Furii i skupił na rozłożonych na stole mapach.

Twarz Furii przecięły czarne linie. Śnieg wokół głowy zamienił się w cienie, a lód u stóp w ciemność. Potem cały się spiął i przechylił głowę na bok, jakby usłyszał coś w dali. Po dwóch oddechach jego twarz się rozluźniła, cienie rozwiały. Głośno westchnął i nawet lekko się uśmiechnął.

Wyszedł okolony zimnem i wiatrem.

Aeduan podszedł do stołu, do zakrwawionego żelaza i śpiącego lodu naznaczających krew jego ojca. Oddechu zmarzniętego dziecka i dojmującej straty. Zapach jego ojca był zbyt znajomy, aby mu umknąć, mimo że jego magia goniła resztkami sił.

Ragnor posłał już po Corlanta, więc kiedy ten się tu zjawi, rozprawi się z trucizną w jego żyłach.

Gdy Aeduan okrążył stół, dojrzał wyraźnie niedawno wyrysowaną mapę doliny, z naniesioną na nią rzeką i wysepkami. Na wschodnim zboczu porozkładano znaczki wskazujące lokalizacje oddziałów. Ragnor bez słowa przyglądał się synowi.

Króla Zdobywcę cechował głęboki spokój sugerujący, że zawsze wie, jaki sposób postępowania jest najlepszy, i że na swój zrównoważony sposób przeanalizował wszystkie możliwości, a dopiero potem obrał najodpowiedniejszy dla wszystkich kurs. Jego słowom zawsze towarzyszył namysł, a wyborom dogłębna analiza. Nie inaczej było i teraz.

– Synu – rzekł wreszcie Ragnor po nomatsańsku.

– Ojczy – odparł Aeduan. Od dwóch lat wypowiadał to słowo, ale nadal wydawało mu się obce.

– Dobrze, że się zjawileś. Nie chciałem posuwać się zbyt daleko bez ciebie. – Nachylił się nad mapą.

– Planujesz przypuścić atak na Klasztor?

– Już do niego przystąpiliśmy. – Ojciec wskazał na srebrne znaczniki rozmieszczone na rzece. – Lododzieje – wyjaśnił. – Z północnego plemienia Herk-hül. Kiedy my tu sobie rozmawiamy, oni mrożą rzekę, żeby nasze oddziały i konie mogły przez nią przejść. – Wskazał na znaczniki z brązu i miedzi. – W każdej chwili mogą rozbrzmieć syreny wzywające do ataku.

– Wielu twoich żołnierzy zginie.

– Tak – zgodził się Król Zdobywca.

– Klasztor jest w stanie przez lata opierać się oblężeniu. Przez dekady!

– Tak – powtórzył Ragnar. – Ale co ci zawsze powtarzam?

Aeduan przełknął ślinę, bębniąc palcami o głowicę miecza.

– Że imperia zrobiły się leniwe i pozbawione ambicji.

– Nie lepiej jest z mnichami. Toczą wojenkę między sobą, nie podejrzewając, że ktoś może czekać na taką właśnie sposobność. – Ze sterty leżącej przy stole wyciągnął kolejną welinową mapę. Rozłożył ją na wolnym fragmencie blatu.

Choć mapa miała pobrudzone brzegi, a atrament był wyblakły, wyraźnie rysował się na niej Klasztor i przyległy do niego teren. Brakowało jednak sporych fragmentów budynku. Kuźnia i młyn znajdowały się w niewłaściwym miejscu, pojawiały się także nieścisłości w otoczeniu. Drzewa tam, gdzie powinien biec strumień, skały w miejscu, gdzie teraz rósł las.

Na czoło Aeduana wystąpił pot.

– To twierdza tysiąc lat temu – oświadczył Ragnar. – Kiedy należała jeszcze do królów. Ta jaskinia – stuknął palcem w zacieniony okrąg u podstawy klifu – prowadzi do tunelu. Kiedyś używano go do ucieczki. Obecnie nikt o nim nie pamięta i pozostaje otwarty.

– Skąd to wiesz? – zapytał Aeduan. Jego trzewia coraz szybciej trawiła kłątwa. Wiła mu się wokół kości.

Ojciec nie odpowiedział, zresztą Aeduan wcale się tego nie spodziewał. Bądź co bądź, to nie pierwsza sytuacja, kiedy Ragnor mówił o czymś, co dotyczyło zamierzchłej przeszłości. Często nawiązywał do dawnych wydarzeń, jakby osobiście brał w nich udział. Do legend – jakby sam je tworzył.

Aeduan wiedział, że jego ojciec przed laty był w tych górach żołnierzem jakiegoś arystokraty. Wówczas poznał matkę Aeduana i razem dołączyli do jednego z nomatsańskich plemion. Ale przecież żołnierze nie opowiadali o dawno nieżyjących królach, a członkowie plemienia nie mieli wiedzy na temat zamków wybudowanych tysiąc lat temu.

– Chcę się dowiedzieć – kontynuował Ragnor – co czeka na końcu tego tunelu. – Przesunął palcem w górę klifu, do podziemi Klasztoru. Tunel się rozgałęział i jedna odnoga kierowała się do miejsca poniżej Klasztoru, druga biegła ku drugiemu kręgowi oznaczonemu jako „kaplica” w długim prostokątnym pomieszczeniu.

Teraz nie była to już kaplica.

– To główna biblioteka – wyjaśnił Aeduan. – W tamtym rogu nie ma żadnych drzwi. Tylko ściana.

– Tego się spodziewałem, dlatego mam skałodzieja, który się tym zajmie. Czy to miejsce jest strzeżone?

– Nie.

– A rozmieszczenie pomieszczeń?

Aeduan się zawahał. Pot z czoła spływał mu teraz wzdłuż linii żuchwy, a ból sprawiał, że widział coraz mniej wyraźnie. Zrobił długi wdech.

– Co planujesz tam zrobić? – zapytał.

– Wymierzyć sprawiedliwość. Ci mnisi zaszlachtowali naszych ludzi, a ja tak tego nie zostawię.

– Więc też ich zaszlachtujesz?

– A przejmujesz się tym?

Aeduan czuł w uszach dudniący puls. Pomyślał o Lizl.

– Nie wszyscy mnisi wiedzą o tych atakach. Nie wszyscy zasługują na śmierć.

– Być może – przyznał Ragnor. – Ale jeśli będziemy próbować oddzielać dobrych od złych, tak zwanych buntowników od pozostałych, wtedy zginie zbyt wielu naszych ludzi. Pamiętaj, zawsze łatwiej zabić mrówki w kopcu, niż gdy rozbiegają się po polu.

Nie czekał na odpowiedź Aeduana, wrócił do pierwszej mapy. Dla Króla Zdobywcy podjęcie decyzji oznaczało koniec dyskusji. Nie kierowało nim okrucieństwo, lecz prosta logika. Transakcja była zakończona, o czym tu jeszcze gadać?

Dawniej Aeduanowi taka postawa imponowała. Otrzymywał rozkazy. Wypełniał je. Pieniądze i sprawa, pieniądze i sprawa. Teraz jednak namiot zaczął się wokół niego kołysać, a oczekiwania ojca przepełniały go bólem. Drapały mu skórę stojącą w płomieniach.

– Będą dwie główne grupy – wyjaśnił Ragnor, kiedy Aeduan zbliżył się do pierwszej mapy. – Piechota, kawaleria i łucznicy przystąpią do ataku frontального zaraz po tym, jak lododzieje skończą swoją pracę. Następnie niewielka grupa, do której dołączymy ty i ja, wejdzie przez jaskinię. – Położył drewniany znacznik na Klasztorze. – Kiedy dotrzemy do biblioteki, w ślad za nami ruszy piechota z ataku frontального. – Przesunął inne znaczniki w stronę klifu, gdzie znajdowała się jaskinia. – Nim nastanie świt, Klasztor będzie nasz, a Cahr Awen zostanie wyeliminowany.

Cahr Awen zostanie wyeliminowany.

Cahr Awen.

Wyeliminowany.

Aeduan nagle pojął, dlaczego jego ojciec tak naprawdę chce wkroczyć do Klasztoru: pragnął Iseult. Pragnął, aby Iseult zniknęła.

Nie miało to jednak sensu.

– Dlaczego? – wychrypiał, zaskakując tym pytaniem Ragnora. – Dlaczego chcesz Cahr Awena?

Ojciec przyglądał mu się uważnie, marszcząc przy tym brwi. Aeduan nigdy dotąd nie wymagał od niego bardziej szczegółowych wyjaśnień, nie zadawał dodatkowych pytań. Teraz jednak nie tylko ich chciał, lecz wręcz potrzebował.

Ragnor zdawał się to rozumieć, bo zmarszczki na jego czole nagle się wygładziły.

– Ty... masz jej oczy. – Odwrócił się i zacisnął usta. Zmarszczki wróciły. – Być może pora wyjaśnić, czego pragnęła twoja matka...

Rozbrzmiał głos rogu. Trzy krótkie dźwięki, a po nich czwarte, przeciągłe wycie.

Postawa Ragnora ponownie uległa zmianie. Nie był już ojcem, stał się królem.

– Zdejmij pelerynę. W tej skrzyni znajdziesz zapasowe futro. – Wskazał na skąpany w cieniach kąt. – Załóż je i zabierz miecz, a potem dołącz do mnie przy najwyższej sośnie. Wyruszymy, kiedy róg zabrzmie po raz drugi.

Poła namiotu załopotiała i podmuch wiatru zasygnalizował wyjście Króla Zdobywcy.

Aeduan został sam.

Opuściła go także niepewność. W Tirli się pomylił. Nóż Pani Los jeszcze nie opadł. W tej chwili wisiał nad nim, jego krawędzie połyskiwały, gotowe do upuszczenia krwi.

Z pełną udręki ostrożnością zdjął starą pelerynę. Zakrwawione i podarte białe włókna salamandrowe zaniósł go daleko. Nosił ją od trzech lat, wierząc, że go ochroni. Mur przeciwko płomieniom. Ale mury nie ocaliły jego matki, ani tamtej kobiety i niemowlęcia, od śmierci w lesie. A ta peleryna nie uratowała go od klątwy niesionej nomatsańskimi strzałami.

Opadła u stóp Aeduana. Spojrzał na swój tors; pod sztywnym od krwi uniformem odznaczał się kamień bólu. Bez względu na to, jak mocno się wysiłał, jak głęboko wciągał powietrze, nie czuł już pod nim swego serca. Nie wyczuwał żadnych organów ani krwi.

Żył, ale był pusty. Klątwa się dopełniła.

Z tym też nie mógł nic zrobić. Wiedział, że ta chwila nadejdzie. Gdyby rzeczywiście pragnął powstrzymać klątwę, dokonałby innych wyborów, obrałby inną ścieżkę.

Nie był już krwiodziejem. Nie był już mnichem.

Stał się człowiekiem, tylko człowiekiem.

Będzie to musiało wystarczyć.

Iseult stała na wpół zgięta obok łóżka i wstrzymując oddech, wpatrywała się w swój kamień Więzi. Uparcie migotał.

Safi miała kłopoty. A sądząc po jasności kamienia, dzieliła ją od niej duża odległość. Bardzo duża.

Nawet gdyby Iseult udało się uciec z Klasztoru, i tak by się spóźniła. Safi potrzebowała jej teraz. Jej życiu teraz groziło niebezpieczeństwo.

Zerknęła na śpiącego na fotelu Leopolda. Był jej wrogiem czy ocaleniem? Pomógłby jej dotrzeć do więziosiostry czy też by ją spowalniał? Z otwartymi ustami i przechyloną głową wyglądał tak młodo. Niewinny, marzycielski chłopak. Nawet w bladym świetle księżycy lśnił jasno niczym słońce, a jego nici utkane były ze złota. Iseult rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że ma go po swojej stronie, ale nawet ona nie była bujającym w obłokach głupcem.

Nie po tym, co dzisiaj zobaczyła.

Evrane, Abbot, ogniodziej rozszczepiający się bez końca, fruujące na czarnych skrzydłach cienie. Nie mogła ufać nikomu oprócz Safi, a od niej dzieliły ją niezliczone ligi. Jej życie balansowało na krawędzi. Każda sekunda, podczas której Iseult stała niezdecydowana, była sekundą na zawsze utraconą. Kolejną chwilą, w której mogła wrócić Evrane. Albo Abbot. Kolejną chwilą, w której buntownicy mogli w końcu dostać się do twierdzy albo w której grożące Safi niebezpieczeństwo mogło ją pochłonąć na wieczność.

Zaufać Leopoldowi czy go zostawić?

Był księciem; miał koneksje; znał plany Erona fon Hasstrela. I tylko dzięki niemu Iseult mogła się dostać do archiwum – potrzebowała go choćby po to, aby się nie zgubić. Z drugiej strony nie mogła wykluczyć, że Leopold współpracuje z Abbotem. Albo Evrane. Albo obojgiem. Może ją zaprowadzić prosto w ich łapska, a nie pozna jego zamiarów do czasu, aż będzie za późno. Iseult nie miała żadnej broni, nie mówiąc o strategii ucieczki.

Nie miała także czasu. Decyzję musiała podjąć tu i teraz.

– Obudź się. – Pokój przeciął jej głos, wyraźny jak w Śnieniu. Władczy i czysty.

Leopold się ocknął. Kiedy nad nim stanęła, w jego niciach pojawiła się konsternacja.

– Mówiłeś, że jesteś tu, aby mi służyć, księżę. Czas to udowodnić. Zaprowadź mnie do archiwum.

Otworzył usta.

– Iseult...

– Teraz. – Wraz z jej komendą pojawił się ogień. W powietrzu fruwały maleńkie iskry. Minieksplozje światła i dźwięku.

Leopold wzdrygnął się, a jego niemi Więzi wstrząsnął szok.

– Spalę cię – oświadczyła Iseult. – Jeśli nie zaprowadzisz mnie do archiwum. Teraz.

Kiwnął głową i z zaskakującym wdziękiem wstał z fotela. Może i był zdumiony, ale nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego, ani się nie kłócił, ani nie kwestionował tego, że Iseult miała władzę nad ogniem.

– Skoro chcesz zobaczyć archiwum, to tam się właśnie udamy, ale najpierw potrzebujesz butów. – Podeszedł do szafy. Otworzył ją zdrową ręką, prezentując parę ciężkich butów i własną pelerynę z beżowej wełny.

Czekała tam także druga peleryna, obszyta futrem, biała niczym księżyc na niebie. Błyszcząca i gotowa. Strój caraweńskiego mnicha. Przez całe życie Iseult marzyła o założeniu takiej peleryny. Przez

całe życie pragnęła stać się częścią tego Zakonu, który przyjmował nowych członków bez żadnych uprzedzeń.

Kłamstwa, kłamstwa, wszystko to były kłamstwa. Na Ziemi Niczyjej Aeduan ją ostrzegał, ale ona nie chciała mu wierzyć. Teraz jednak na widok tej peleryny pożałowała, że nie należy ona do niego, że nie jest podarta i zakrwawiona. Bezpieczna i znajoma. O wiele bardziej wolałaby tamtą niż tę udawaną pobożność i fałszywą czystość.

Nie miała jednak innego wyjścia, więc ją przywdziała.

– Dlaczego... archiwum? – zapytał Leopold między stęknięciami, kiedy walczył z własną peleryną. – Co tam się kryje?

– Wyjście z Klasztoru.

Turkusowe zdziwienie.

– Skąd wiesz?

– Idź. – Wskazała na drzwi.

– Iseult, nie rozumiem...

– Pozwól kobiecie mieć swoje sekrety, Leopoldzie. Idź. – Ostatnie słowo wypowiedziała z całą mocą Wroniego Króla, a Leopold już więcej nie protestował.

Korytarz okazał się pusty, okna zasłonięte, pochodnie niezapalone. Co dwadzieścia kroków cała konstrukcja się trzęsła, a siła uderzenia katapult stawała się coraz głośniejsza. Leopold sprowadził ją po schodach, mijając rozwidlenia i niezliczoną liczbę drzwi.

Cztery razy Iseult wyczuła zbliżające się nici Więzi i cztery razy szepnęła:

– Mnisi przed nami.

Wtedy Leopold zaciągał ją do jakiejś wnęki albo pustej sypialni, gdzie w milczeniu czekali – Iseult serce podchodziło do gardła, a nici Leopolda barwiły się zgaszonym złotem oznaczającym niespokojną ostrożność. A kiedy nici Więzi i połączeni z nimi mnisi oddalali się, książę ponownie wcielał się w rolę przewodnika.

Gdy dotarli do archiwum, ziemia trzęsła się pod ich nogami, wprawiając w drżenie kolana Iseult. Mury będące celem oblężenia

musiały leżeć tuż pod biblioteką. W niej, tak samo jak na korytarzach, okna były zasłonięte, a pochodnie pogaszone. Przed oknami umieszczono wielkie worki z piaskiem – widoczne tylko dlatego, że przez szpary na samej górze sączyło się blade światło. Dzięki niemu widać było także wysoki sufit i rzędy regałów z książkami. I niewiele więcej. Nic konkretnego.

Jakby czytając jej w myślach, Leopold podszedł szybko do najbliższego kinkietu, wyjął ze szkła niedużą świecę i szepnął:

– Zapal się.

Obudził się maleńki płomień.

– Dokąd idziemy? – zapytał ściszym głosem.

– Do najdalej położonego kąta – odparła Iseult i książkę po raz kolejny ruszył przodem. Bez pytań. Jego zielone nici skupione były na ucieczce.

Wzdłuż regałów, między półkami, zbliżali się coraz bardziej do celu.

Byli mniej więcej w połowie drogi, kiedy drzwi do archiwum się otworzyły. Skrzypienie zawiasów i trzeszczenie drewna. A potem ciszę przeszył głos Evrane:

– Iseult! Gdzie jesteś?

Nie, nie, nie. Iseult zacisnęła dłoń na pelerynie Leopolda.

– Biegiem.

Bez żadnych pytań czy protestów książkę zaczął uciekać. Ogniodziejski płomień przygasał i rozpalał się, ale na szczęście całkowicie nie zgasł. Ich kroki rozbrzmiewały echem na płytkach, dzięki czemu Evrane bez problemu mogła podążyć ich śladem – i nie tylko ona. Krążyły tu także inne nici Więzi. Inni mnisi, bezlitości i skupieni na celu.

Abbot, przeskakujący między emocjami.

– Mieliliśmy umowę! – zakrzyknął. – Obiecałeś mi armię, książę!

Armię? Iseult nie miała pojęcia, co to oznacza, ale nie było czasu, aby drążyć temat. Dotarli już prawie do najdalszego kąta, do sekretnych drzwi Wroniego Króla. Minęli ostatnie rzędy półek

i ujrzeli kamienny róg. I... nie było tam żadnych drzwi, żadnego wyjścia.

Podłoga zadrżała, a zza muru dobiegły głosy buntowników. Iseult wyczuwała także nici Więzi, gorączkowe i wściekłe. Do ataku dochodziło właśnie tutaj.

Leopold spojrzał na nią wielkimi oczami.

– Co teraz? Nie widzę możliwości ucieczki.

Ona też jej nie widziała.

– Iseult, chodzenie po Klasztorze nie jest dla ciebie bezpieczne! – rozległ się głos Evrane. – Nie czujesz się dobrze. Musisz do mnie wrócić, żebym mogła cię uleczyć.

Nie, nie, nie. Musiało się tu kryć jakieś wyjście. Co jej pokazał Wroni Król? Myśl, Iseult, myśl. Potrafiła podążać spokojną ścieżką logiki, bez chwili zawahania czy wstrzymywania oddechu.

Kamienny mur. Półki. Kinkiety i drewniane krzesło. Wyglądało to dokładnie tak jak w Śnieniu, tyle że było prawdziwe i znajdowało się tuż przed nią.

Jej kolanami wstrząsnął kolejny wybuch. Zostali otoczeni ze wszystkich stron.

– Iseult – mruknął książę i teraz w jego niciach drżała biała panika. – Proszę, powiedz, że wiesz, co robisz.

Zignorowała go. Zignorowała zbliżające się nici i dudnienie stóp oraz Abbota wykrzykującego o płatnościach, umowach i poziomach dziesiątych. Zignorowała uderzenia wstrząsające konstrukcją twierdzy.

Iseult była spokojem. Iseult była lodem.

Kamienna ściana. Półki. Kinkiety i drewniane krzesło. Wszystko w idealnym bezruchu. Równie spokojne jak ona pośród tego całego chaosu. Ale przecież nie powinno tak być. Wszystko inne się trzęsło, więc i to powinno się trząść razem z resztą.

Iseult rzuciła się do przodu, minawszy Leopolda. Położyła dłonie na ścianie. Zimna, szorstka, prawdziwa. Ale także emanująca magią. Ta ściana była kłamstwem. Ta ściana była kłamstwem. Ta ściana nie

była prawdziwa. Została zaczarowana, tak jak podniebny prom, i jedyne, czego potrzebowała, to odpowiedniej kombinacji stuknięć.

Albo trzech potrząśnień nadgarstkiem.

Iseult zastukała trzy razy i nagle cały kąt zniknął. Przed nią zionęło łukowate przejście.

Tym razem to Leopold chwycił Iseult za pelerynę. Jego nici wibrowały podziwem, ulgą i zaskoczeniem. Wróciło także skupienie. Wystrzelił w ciemność, a Iseult zaraz za nim. Po drugiej stronie zatrzymała się na chwilę i odwróciła.

Trzy potrząśnięcia nadgarstkiem i ściana wróciła na swoje miejsce. A potem Iseult i Leopold puścili się biegiem.

Na szczęście księżę nadal trzymał w ręce świeczkę, inaczej poruszałiby się w całkowitych ciemnościach, atakowani ze wszech stron przez stalagmity. Zza skały dobiegały odgłosy ataku buntowników, ale Iseult nie słyszała pościgu ani nie wyczuwała żadnych goniących ich nici.

W końcu dotarli do szerszego miejsca w tunelu, niewielkiej jaskini, z której odchodziły dwie ścieżki. Jedna wiodła ostro do góry. Druga ostro w dół.

Leopold zatrzymał się, dyszał ciężko. Płomyk świecy zamigotał, rzucił cienie na mroczne ściany. Cienie wyglądające jak skrzydła, na widok których wzdłuż pleców Iseult przebiegł dreszcz. Dokąd zaprowadził ich Wroni Król? Zmusiła się jednak, aby patrzeć tylko na księcia. Na jego nici Więzi, płonące, żywe i prawdziwe.

– Skąd – wydyszał – wiedziałaś o tym miejscu?

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. – Sama także łapała z trudem oddech. Zbyt wiele czasu w łóżku bez porządnego posiłku skradło jej energię. – Musimy iść dalej.

Wyprostował się. Zmrużył oczy, a jego nici zabarwiła podejrzliwość.

– Dlaczego? Czemu musimy iść, Iseult?

Nie odpowiedziała. Cokolwiek by rzekła, i tak by nie uwierzył. Evrane jest opętana ciemnością i więzi mnie we śnie, a duch

Wroniego Króla pokazał mi, jak się uwolnić. Iseult ledwie wierzyła samej sobie.

– Tu nie było bezpiecznie – rzekła. – A skoro Safi nie może tutaj przybyć, nie ma na co czekać. Musisz mi zaufać.

Zagryzł wargę, a na jego twarzy i w niciach Więzi malowała się nieufność – stopniowo jednak zabarwiana zielonym namysłem. Nagle przebiła się przez to zieleń paproci – podjął decyzję.

– Ufam ci – mruknął. – Ale którądy mamy pójść? – Zerknął najpierw w stronę ścieżki pnącej się do góry, następnie tej drugiej.

– W dół – odparła Iseult. Wzięła od niego świeczkę i ruszyła jako pierwsza. Nie miała pojęcia, czy to rzeczywiście dobry wybór, ale wydawał się logiczny. Pod nimi leżała dolina, więc kierowanie się w tamtą stronę w końcu powinno zaprowadzić ich tam, gdzie chciała.

A może prosto w objęcia piekielnego ognia. Iseult naprawdę nie miała pojęcia. Wroni Król pokazał jej tylko wyjście z Klasztoru, nie z wnętrza góry.

Im dalej się zapuszczali, tym odgłosy oblężenia stawały się cichsze. Iseult uznała to za dobry znak. Formacje skalne także się wygładziły, a powietrze stało się chłodniejsze. Miała nadzieję, że to oznacza czekające ich wiatry.

Nagle rzeczywiście poczuła na twarzy wiatr, świeży i mroźny, stopniowo zaczęło się robić coraz jaśniej. Przyspieszyła. Choć była osłabiona, zrobiła to. Uciekła. To, kim stała się Evrane, to, czego chciał Abbot, i to, kim rzeczywiście był Wroni Król – to wszystko nie miało znaczenia.

Uciekła, a teraz ona i Leopold odnajdą Sowę. A potem Safi.

Przed nimi wyłonił się koniec tunelu, szary i zamarznięty. Noc więziodziejska ze światłem księżyca na tyle jasnym, że Iseult miała teraz przed oczami mroczki.

Biegła, a zaraz za nią pędził Leopold. Kawalek dalej czekała na nich bagnista linia brzegowa. Tak blisko.

Dotarli do wyjścia. Opuścili tunel.

I wtedy Iseult wyczuła nici Więzi. Dostrzegła znajdujących się pięćdziesiąt kroków dalej ludzi. Dwadzieścia postaci w ciężkich futrach kucających pośród zamarzniętych trzcin, a wszystkie połączone przez jasnoniebieskie nici Więzi. Wpatrywali się w Iseult i Leopolda; ich nici przybrały zgodnie odcień zaskoczenia.

Z wyjątkiem jednego człowieka. Jedyne, który stał w oddaleniu od grupy i nie zauważył wybiegających z tunelu Iseult i Leopolda. Przy ustach trzymał duży, wygięty róg, a ułamek bicia serca później rozległ się jego dźwięk. Czyste, zaskakujące nawoływanie. Trzy krótkie dźwięki.

Podczas czwartego, przeciągłego, dwudziestu pozostałych mężczyzn zerwało się z kucek z wysoko uniesionymi toporami i mieczami. Następnie wydali z siebie głośny ryk i wraz z nimi w odcieniu gwałtownej stali ruszyli w stronę księcia i Iseult.

ROZDZIAŁ 48

Ostrze Północnika przebiło się przez klatkę piersiową Esme. Trysnęła krew. Wyciągnął nóż. Esme się zachwiała, łapiąc głośno powietrze. Szok. Cisza.

Merik rzucił się w jej stronę, nie mając pewności, dlaczego odczuł potrzebę złapania Lalkarki, nim upadnie na trawę. Jego ciało zareagowało odruchowo. Złapał ją w ramiona, spłynęła po nim jej krew.

– Krosno – wykrztusiła. – Zanieś mnie bliżej Krosna.

Merik tego nie zrobił.

– Nie możesz się ruszać – rzekł.

Zaczęła mu się wyrywać i kaszleć:

– Krosno, Krosno, Krosno.

Północnik rzucił się w ich stronę i wziął zamach, aby ugodzić ją ponownie.

– Nie! – Merik rzucił Esme na ziemię. Wyprostował się i uniósł ręce. – Nie rań!

Północnik ściągnął brwi. Z noża kapłała krew.

– Pomoc – powiedział z wyraźną konsternacją. – Pomoc. Idź. – Wskazał na drzewa. – Pomoc.

Leżąca na trawie Esme zaczęła szlochać. Krew, wszędzie tyle krwi.

– Krosno – szepnęła ponownie, czepiając się nogi Merika. – Zanieś mnie do mojego Krosna.

Merik ponownie nie posłuchał. Wiedział – mówiły mu to instynkt i rozum – że to jego szansa na ucieczkę. Dar od Nodena, którego nie mógł odrzucić. A jednak z jakiegoś powodu stał jak wrośnięty w ziemię ze spojrzeniem wbitym w umierającą dziewczynę.

Krew, krew. Tyle krwi, lecz na jej widok Merik wcale nie czuł triumfu. Nie odczuł ulgi, kiedy patrzył na twarz Esme naznaczoną bólem czy na jej drżącą klatkę piersiową, kiedy próbowała zaczerpnąć tchu. Czuł tylko litość. Możliwe, że gdzieś tam pod tą całą

nienawiścią krył się jednak człowiek. Przecież krwawiła zupełnie tak samo jak on.

Nubrevna. Na dnie świadomości zatrzepotała nazwa jego ojczyzny, a wraz z nią wspomnienie zatłoczonych ulic i wznoszących się ku niebu mostów, gdzie statki wpływały do domu. To jedyne miejsce, w które zawsze wierzył, jedyne, co zawsze miało sens.

Nie mógł pozwolić, aby Lalkarka je zniszczyła, ona czy Furia, albo Król Zdobywca.

Esmę rzeczywiście krwawiła tak samo jak on, podobnie jak wszyscy, którzy go otaczali – rozszczepieńcy, którzy swego czasu mieli własne życie, rodziny i ukochanych. Ona ich zniszczyła i tak samo zniszczy Nubrevnę.

Chyba że Merik zrobi coś, aby do tego nie dopuścić. Nie zabije jej. Esmę rozszczepiła Kullena, a jeśli tylko ona jest w stanie to cofnąć? Merik nie miał także pojęcia, co w przypadku jej śmierci może się stać z Krosnem czy rozszczepieńcami. Co, jeśli oni umarliby razem z nią?

Nie mógł aż tak ryzykować. I z tą myślą w końcu ruszył się z miejsca. Delikatnie zaniósł Esmę do Studni, do jej Krosna. Łapała gwałtownie powietrze, wstrząsały nią drgawki, a krew wsiąkała w trawę. Nie mógł zrobić nic, aby ją uleczyć, ale może uda się to rozszczepieńcom.

Odwrócił się w stronę Północnika.

– Idziemy – rzekł. – Teraz idziemy. – To jasne, że jeśli rozszczepieńcy zdołaliby ją ocalić, mogliby także ścigać Merika.

Mężczyzna nie protestował, gdy pociągnął go za sobą w stronę głównej ścieżki, a kiedy Merik puścił się biegiem, on zrobił to samo. Odgłosy ich stóp dudniły wzdłuż zbocza. Kątem oka Merik dostrzegał pnie drzew oraz rozszczepieńców, którzy pozbawieni wskazówek Lalkarki stali w bezruchu. Nie wiedział, dokąd zmierza. Jak najdalej, jak najdalej – brzmiał jego plan. Jak najdalej od Studni i Esmę, a kiedy jego magia wystarczająco się wzmocni, także jak najdalej od Poznina.

Zbiegli ze wzgórza. Stamtąd w różnych kierunkach prowadziły oblane światłem księżycy ulice. Merik zatrzymał się, ciężko dysząc. Pochylił się i oparł dłonie o uda. Północnik zrobił to samo.

Droga w prawo wiodła do wieży Esme. W lewo – w stronę rzeki. Prosto do Wietrznych Łąk.

„Łąki”, wymruczała magia Merika. Uśmiechnął się. Na łąkach przebywali inni ludzie. Był tam też wiatr. Na razie miał za mało siły, aby wzbić się w powietrze, ale niedługo to się powinno zmienić.

Wyprostował się i unióś rękę, aby wskazać...

Kątem oka dostrzegł ruch między drzewami. Jakieś postacie zmierzały w ich stronę. Rozszczepieńcy.

Cholera, cholera, cholera. Esme działała szybciej, niż się spodziewał. Za późno, aby ją powstrzymać. Co zawsze mawiała Vivia? „Bez żalu, byle do przodu”.

Merik chwycił Północnika za ramię.

– Biegnij.

Jak jeden mąż puścili się biegiem.

Rozszczepieńcom się to nie spodobało, ich na wpół martwe nogi przyspieszyły. Wysypywali się z lasu, a potem także spomiędzy budynków. Ciało za ciałem, wypełniali ulice. Nadciągali ku Merikowi i Północnikowi ze wszystkich możliwych stron.

Uciekinierzy jeszcze przyspieszyli.

Biegli ulicami, przeskakiwali przez mury, okrążali poprzewracane posągi i zatarasowane powalonymi drzewami place. Skakali, prześlizgiwali się i omijali wszystko, co blokowało im drogę. Aż w końcu dotarli do szerokiej, pozbawionej drzew alei porośniętej trawą. Ziemia zatrzęsła się pod nimi. Wysoka trawa zaszumiała. A teraz przed nimi pojawiła się kolejna setka rozszczepieńców. Nie było ucieczki. Zostali otoczeni ze wszystkich stron.

Północnik zwolnił, ale Merik chwycił go za rękę i pociągnął. Nie mogli się zatrzymać. Nie mogli zwolnić. Merik miał sto kroków na znalezienie rozwiązania – czy też sto kroków na powrót magii. Z każdym ostrym oddechem rosła w siłę. Dziewięćdziesiąt kroków.

Osiemdziesiąt. Sześćdziesiąt kroków i widział już czarne oczy. Pięćdziesiąt i ujrzał cienie pokrywające skórę rozszczępieńców.

Tam! Wałący się budynek po prawej stronie. Kryła się za nim uliczka porośnięta młodymi drzewkami. One spowolnią Merika i Północnika, ale rozszczępieńców także.

Pociągnął Północnika w szparę między ruinami. Po twarzach chlastały ich liście i gałęzie. Biegli zygzakiem, nie zwalniając tempa. Ani wtedy, kiedy ziemia zatrzęsa się tak mocno, że z budynków zaczęły spadać kamienie, ani kiedy ciało uderzało o ciało.

Dobiegli do końca uliczki. Nowa droga, nowa przestrzeń – i jeszcze więcej rozszczępieńców. Merik znał tę ścieżkę. Pokonywał ją zaledwie zeszłej nocy i wiedział, że prowadzi do stawu pełnego ciał.

Stawu, który go przywoływał. Stawu, który przywoła może i innych.

Gdyby jemu i Północnikowi udało się dostać do wody, a stamtąd do mieszczących się na jej końcu schodów... Może rozszczępieńcy weszliby za nimi do stawu. Woda, nawet gdyby ich nie zabiła, to przynajmniej poważnie spowolniła. Merik zyskałby czas tak bardzo potrzebny na odzyskanie oddechu.

Odzyskanie swojej magii.

Wtedy to zobaczył. Pałki, mroczna woda i unoszące się na niej ciała, spokojne pod nocnym niebem. Ruszył w tamtą stronę, modląc się, aby Północnik nie próbował protestować czy zwalniać.

Kątem oka dostrzegł kolejnych rozszczępieńców. Nie odważył się odwrócić głowy, by na nich spojrzeć. Jeśli ten staw go nie uratuje... nie miał żadnego innego pomysłu.

– Płyn! – ryknął do Północnika i wskazał na wodę. Dotarł do pałek. Pod butami plaskało mu błoto.

W tym momencie naparła na niego moc wody. „Chodź, chodź i znajdź ukojenie”. Tym razem był na to gotowy, wiedział, jak walczyć.

Szedł, aż woda sięgała mu kolan. Ud. Następnie dał nura, zostawiając za sobą Północnika.

Uderzył głową o coś pod powierzchnią.

Moc stawu uległa dziesięciokrotnemu zwiększeniu. W mózgu wibrował mu refren, wślizgując się do każdej szczeliny, do każdego wspomnienia.

„Chodź, chodź i znajdź ukojenie”. Mosty wodne i statki z białymi żaglami. „Chodź, mój synu, i zaśnij”. Kullen polujący na brzegu na kraby. „Chodź, chodź, lód cię przytrzyma”. Matka Merika, zmęczona i smutna, czyta mu o Krabiej Władczyni i jej skarbach.

Księżę zanurkował głębiej. Napędzały go ruchy nóg, machnięcia rąk.

„Chodź, chodź i staw czoła końcowi”.

Z kamiennego muru na dnie wody migotało bladoniebieskie światło. Blokowały je ciała, niektóre jasne i świeże, inne gnijące i opadające na dno. Próbowali dotrzeć do światła, lecz im się nie udało. Merikowi się uda.

Wpadło na niego jakieś ciało. Resztką jego oddechu wydostała się z płuc w towarzystwie wielkich, oślepiających bąbelków. I nagle dotarło do niego, że klatka piersiowa mu płonie. Czaszka. Oczodoły i umysł.

Tonął.

Jakieś ręce wyciągały go ku powierzchni, a on się nie opierał. Kilka sekund później on i Północnik wynurzyli się, ale nie znaleźli wytchnienia. Woda burzyła się i chlapała, gdy napływali do niej rozszczępieńcy, po dziesięcioro naraz, rząd za rządem, potykali się, wymachiwali rękami.

Plan Merika powiódł się aż za dobrze.

Prowadził, płynąc w stronę schodów. Obijał się o ciała, ale nie zatrzymywał się – a zaraz za nim posuwał się Północnik. W końcu dotarli do pierwszych schodków.

Merik się podciągnął. Stopień rozpadł się pod nim, a on znowu wylądował w wodzie. Padł na zwłoki, zaplątawszy się w długie, czarne włosy.

Północnik próbował wejść na drugi schodek, ale on także rozpadł się pod jego ciężarem. Staw zapełniał się teraz w morderczym tempie, wkrótce obaj znajdą się w potrzasku. Nie byli w stanie bez końca unosić się na wodzie, a rozszczepięcy nie mogli bez końca tłoczyć się do stawu. W końcu zbiornik się wypełni, a wtedy ci rozszczepięcy, którzy się nie utopili, przejdą do nich po ciałach.

Merika otaczała wzburzona woda. Wpadały na niego ciała, a Północnik twardo próbował dosięgnąć wyższych schodków. Więcej czasu nie będzie. Jeśli nie przywoła teraz swojej magii, jeśli nie uda mu się jej obudzić, to będzie koniec. Nie tylko dla niego, ale i dla Północnika, który wrócił, aby go ocalić.

I dla Nubrevny, obnażonej i nieprzygotowanej na atak Króla Zdobywcy.

Merik nie był gotowy na taki koniec. Zamknął oczy.

„Chodź – śpiewała otaczająca go woda. – Chodź i znajdź ukojenie”. W tej wodzie była moc. Nie wiedział, skąd pochodzi ani co oznacza, niemniej kryła się w niej magia.

Słuchaj, polecił iskrze w swoich płucach. Słuchaj i patrz.

Przez całe życie z Merika był kiepski czarodziej. W dzieciństwie ledwie mu się udało poznać swoje czaroznamię. Rozczarował ojca i samego siebie. Moc miewał w zasadzie tylko wtedy, kiedy do głosu dochodziła jego porywczosć. Gniew Niharów, takim mianem określała to jego rodzina, ale w gniewie nie było słuchu czy widzenia. Ani tym bardziej zrozumienia.

Esme miała rację. Tak samo Cam. Merik widział to, co chciał widzieć. Wmawiał sobie, że dokonuje wszystkich wyborów, złych i dobrych, po to aby nieść pomoc Nubrevnie, jakby to usprawiedliwiała jego upartą ślepotę. Jakby dowodziło słuszności tego, że polegał na gotującej krew wściekłości.

Safiya fon Hasstrel także miała rację: Merik uwielbiał czuć się potrzebny. Dzięki temu miał jakiś cel – ale także wymówki.

Przez niemal dwa dni żył bez swojej magii, przemieszczał się tam, gdzie chciał tego ktoś inny, i patrzył na świat oczami

nieprzesłoniętymi gniewem. Z kołnierza Esmę uwolniły go słowa, nie gniew. I wcale nie gniew – ani nawet magia – uwolni go z tego stawu pełnego zwłok.

Słuchaj i patrz. Słuchaj i patrz. Iskra w jego klatce piersiowej mruzczała coraz głośniejsze. Woda śpiewała i przyciągała. Jej moc pragnęła, aby Merik dotarł do tego niebieskiego światła. Pragnęła, aby do niego podpłynął i przyjął w siebie magię czekającą po drugiej stronie.

Podniósł powieki. Woda obmywała mu twarz. Patrzył prosto w oczy martwej kobiety. Zbyt wiele ciał zgromadziło się już jedno na drugim, wzrósł poziom wody.

Merik zrobił najgłębszy z możliwych wdech, desperacko i nie bez trudu, ale to wystarczyło.

Zerwał się wiatr.

Drugi oddech, kolejny powiew. Trzy oddechy, cztery, dziesięć – wiatry nabrały siły i dzikości. Woda wirowała, ciała także. Aż w końcu wokół Merika zgromadziło się wystarczająco powietrza, aby mógł wykonać swój ruch.

Wyrzucił w górę ręce. Powietrze śmigało pod nim i pod Północnikiem. Porwało ich z fal.

Merik opuścił ręce.

Woda, ciała i rozszczępieńcy zostali w tyle. Merik i Północnik coraz bardziej się od nich oddalali, od nich i od niebieskiego, połyskującego światła.

Moc, moc, moc.

Taka właśnie powinna być magia – zawsze chciał, aby taka się stała. Bez napędzającego ją gniewu Niharów czy mrocznej magii Furii. Gdyby tylko Merik zaczął słuchać wcześniej. Gdyby tylko widział to, co trzeba.

– W dół! – rzucił ostrzegawczo. Następnie skierował swoje wiatry ku niebieskiemu światłu.

Po kilku sekundach on i Północnik wylądowali przed niebieskim światłem i otaczającym je kamiennym murem. Za nimi i nad nimi,

powstrzymywana ścianą wiatrów, czekała woda. Wpadali na siebie rozszczępieńcy.

– Idź – rzekł Merik do Północnika, wskazując na utworzone przez niebieskie światło drzwi.

Ale ten stał w miejscu. Merik się nie dziwił. Ujął jego wielką dłoń w swoją i pociągnął ku światłu.

– My idziemy – powiedział, próbując się uśmiechnąć. – My idziemy.

Razem przeszli przez drzwi.

Jednocześnie wkroczyli do wnętrza góry, którą wszyscy pragnęli mieć tylko dla siebie.

ROZDZIAŁ 49

Jeśli coś jest głupie, ale działa, to znaczy, że nie jest głupie – ta maksyma sprawdzała się często w przypadku działań Safi i jej więziosiostry. Tyle że tym razem nie było tu Iseult, która uratowałaby jej skórę. Dokończyła to, co ona zaczęła. Wyłącznie Safi leciała w dół w stronę jeziora Scarza, a właściwie tym razem leciała z nią Vanessa.

Jezioro je połknęło. Napierały na nie światło i gorąco – języki ognia zanurzały się pod fale. Blaskodziejskie zaklęcie nie ukrywało już tonącego tuż przed nimi statku.

Vanessa się ocknęła. Kontrola Mathew dobiegła końca, magia blaskodzieja także, więc nie dało się nie zauważyć, że woda wokół niej zabarwiła się na czerwono.

Safi podpłynęła do niej, po czym pociągnęła ją za sobą ku powierzchni wody. Vanessa próbowała płynąć, pomóc Safi, ale nogi zaplątały się jej w ciężką suknię.

Prawdodziejka parła do góry, choć gorąco i światło emanujące z tonących statków uniemożliwiały dojrzenie celu. Choć piekły ją płuca od zbyt długo wstrzymywanego powietrza, a przez napierające na błony bębenkowe ciśnienie kołysał się cały świat.

W końcu głowa Safi wynurzyła się na powierzchnię. Zaraz po niej wystrzeliła Vanessa. Safi nie miała pojęcia, co dalej. Utknęły między płonącymi statkami a wyspą opanowaną przez wroga.

Vanessa wzięła sprawy w swoje ręce. Dosłownie. Mimo poszarpanej rany w poprzek twarzy uniosła osłabione ramię. Żelazna obręcz odpadła od jej nadgarstka, po czym zacisnęła się wokół talii cesarzowej i Safi, i pociągnęła je w stronę brzegu.

– Trzymaj się! – zawołała Vanessa.

Safi się trzymała. Obręcz ciągnęła je przez dym, płomienie i coraz wyższe fale. Vanessa wiedziała, co robi. W pewnej chwili obie zostały ponownie wciągnięte pod wodę. Safi obmyła ciemność.

Żelazna obręcz wcinała jej się w biodra i brzuch. Nic nie widziała, nie miała pojęcia, dokąd płyną. Wiedziała jedynie, że znajduje się pod wodą i że jej płuca krzyczą.

Wtedy trajektoria uległa zmianie. Nie posuwały się już do przodu, nagle zostały pociągnięte do góry i woda jeszcze mocniej na nie napierała. Safi nie była w stanie myśleć ani się ruszać. Jej palce musnęły szorstki metal, modliła się, aby nie okazało się to tonącą łodzią.

Safi wystrzeliła z wody. Niesiona żelazem i magią, wyfrunęła z ciemności i wylądowała na wąskiej skale. Łapczywie chwyciła oddech i kaszłała, mrużąc oczy.

– Kanał ściekowy – wyrzuciła z siebie Vanessa, także dusząc się od kaszlu.

Cóż, to wyjaśniało ten odór. Wyjaśniało także okrągły kształt tunelu i odgłos płynącej wody. Gdy wzrok Safi przywykł do półmroku, dostrzegła w pobliżu latarnię i drabinę biegnącą ku nowemu tunelowi nad ich głowami.

Jej uwagę przykuła krew. Kapała z czoła Vanessy na jej brodę. Głęboka rana, przez którą prawe oko pozostawało zupełnie bezużyteczne. Cesarzowa trzymała się za nią, nadal ciężko oddychając. Skala wokół niej była już czerwona od krwi.

– Musimy to opatrzyć. – Safi zbliżyła się do niej i złapała za rękaw, aby go oderwać. Vanessa okazała się jednak szybsza.

– Zaczekaj – wydyszała.

Jej żelazna obręcz uległa transformacji, łącząc się, a następnie wydłużając i ostrząc, aż w końcu podzieliła się na dwie części. W ciągu kilku sekund żelazo stało się nożyczkami, którymi Vanessa odcięła fragment swojej czerwonej sukni.

Safi wzięła od niej krepę. Nie była czysta. Nie po nurkowaniu w ściekach. Rana także nie była czysta, ale w tych okolicznościach nie mogły liczyć na więcej.

– Przykro mi – szepnęła Safi, owijając materiał wokół głowy cesarzowej. Jeszcze raz i jeszcze, coraz ciasniej. – Tak bardzo mi

przykro, że nie udało mi się nie dopuścić do ataku.

– Widziałam. Widziałam, jak to wszystko się rozgrywa, ale nic nie mogłam zrobić.

– Zaczarował cię słowodziej. – Ogień wstydu płonął w ramionach Safi. W jej brzuchu. Powinna była to przewidzieć. Dlaczego tak się nie stało?

– Znasz człowieka, który mi to zrobił. – Stwierdzenie, nie pytanie.

Safi nie mogła skłamać.

– Tak. Znam jego i generała Fashayita także. Wychowali mnie, przepraszam, że ci o tym nie powiedziałam. Obdarzyłaś mnie zaufaniem, a ja cię zawiodłam. – Związała końce czerwonej krey. A potem z całą prawdą, jaką była w stanie przywołać, prosto z serca swojej magii, rzekła: – Przysięgam, Wasza Wysokość, że nie wiedziałam, co planują. Sądziłam, że Habim przybył do miasta, aby zabrać mnie do domu. Nic więcej. Gdybym wiedziała, że planują... planują...

Urwała. Nie była w stanie wypowiedzieć słowa „zamach”. Nie mogła uwierzyć, że ludzie, których kochała – jej więziorodzina – są zdolni do czegoś takiego.

Vanessa przyglądała się Safi. Jej lewe oko mrugało. Klatka piersiowa drżała. Z twarzy nie dało się jednak niczego wyczytać. Zupełnie nie było wiadomo, co czuje. Aż w końcu oświadczyła:

– Wierzę ci. – Odwróciła wzrok. – Słyszałam, co do nich mówiłaś. I... cóż, ludzie raczej nie skaczą z klifów dla byle kogo.

– Nie – przyznała Safi i zaśmiała się cicho. – Nie skaczą. Przynajmniej ja tego nie robię.

W tym momencie Vanessa się odmieniła. Nagle z rannej i słabej stała się nieruchoma, jakby nieuszkodzona.

– Cholera – szepnęła Safi. – Znowu to blaskodziejskie zakłęcie.

Wyraz twarzy zaczarowanej Vanessy nie uległ zmianie, ale Safi usłyszała jej głośny wdech. Usłyszała także szelest sukni, gdy cesarzowa gorączkowo się oglądała.

Safi widziała tylko opanowaną, pewną siebie cesarzową, ze wzrokiem wbitym przed siebie. A skoro wróciło to zaklęcie, w takim razie inne także, co mocno utrudni ucieczkę.

– Piekielni bardowie – wyrzuciła z siebie Safi, a w tej samej chwili Vanessa rzekła:

– Cartorrianie.

– Oni potrafią to przejrzeć – kontynuowała Safi, a kiedy zaczarowana Vanessa skinęła głową, zapytała: – Gdzie teraz są?

– Tylko poziom wyżej. – Fałszywa Vanessa wstała z gracją z kamienia.

Następnie wpadła na ścianę i do Safi dotarło, że cesarzowa ledwo zachowuje przytomność. Objęła jej plecy.

– Trzymaj się mnie – powiedziała i poprowadziła ją do drabiny. Razem zaczęły się wspinać, Vanessa pierwsza, na wypadek gdyby opuściły ją siły.

Trwało to całą wieczność. Im wyżej się znajdowały, tym więcej dźwięków z góry do nich docierało. Rytmiczne wybuchy – fajerwerki albo eksplozje. I ryk niczym woda w kanale ściekowym. Niczym wiatr w nękanym burzami dniu.

Dopiero kiedy dotarły do niewielkiego wjazdu, który miał je wpuścić do pałacu, Safi zrozumiała, co to za dźwięk.

Ogień.

Ponownie wykorzystano wszystko, czego użyto podczas jej ucieczki z Veñazy. Blaskodziejskie zaklęcia i odwrócenie uwagi nielejalnych żołnierzy, do tego ogień – mnóstwo ognia.

Gorąco napierało na wjazd.

– Powinnyśmy zawrócić! – zawołała Safi, ale Vanessa albo jej nie usłyszała, albo się nie przejęła. Swoją magią stopiła wjazd.

A wtedy gorąco i ryk uległy spotęgowaniu.

Vanessa stworzyła tarczę – była to taktyka, którą w obecności Safi wykorzystywała już dwukrotnie. Oczywiście w obu przypadkach dym znajdował ujście. Vanessa i Safi weszły do pomieszczenia gęstego od płomieni.

A może znajdowały się na korytarzu. Albo w szafie. Safi nie miała pojęcia, co je otacza. Łzawiły jej oczy. Gardło i płuca boleśnie się zaciskały. Szła dalej tylko dlatego, że robiła to Vanessa. Kiedy jednak dotarły do schodów nieobjętych pożarem, cesarzowa osunęła się na Safi bez ostrzeżenia. Safi nadal brakowało połowy magii i widziała tylko opanowaną cesarzową. Po raz kolejny pomogła jej się wspiąć, tym razem po niskich, zadymionych schodkach.

Gdy znalazły się na następnym poziomie, oczom Safi ukazał się znajomy piaskowiec. Płonął. Nie zastały tu nikogo żywego.

Vanessa pokręciła głową i zawołała:

– Niemożliwe, aby to przeżyli! – Pociągnęła Safi za ramię, sugerując, że powinny pisać się wyżej.

Safi się nie ruszyła. W Veñazie Habim zapoczątkował pożar właśnie w murach. Ogniodziejskie płomienie to magia.

– Uwolnij ich z więzów! – krzyknęła. – Może jeszcze żyją, proszę!

Kiwnięcie głową, kasznięcie z ust, które się nie poruszały, a potem Vanessa uniosła rękę. Wykonała szybki ruch nadgarstkiem i obie, ona i Safi, zastygły w oczekiwaniu. Safi zmrużonymi oczami wpatrywała się w płomienie, tymczasem dotknięta zaklęciem Vanessa zdawała się nie robić zupełnie nic.

Dwa osmalone oddechy później pojawiły się cienie. Czarne szkielety idące w ich stronę.

Safi wydała radosny okrzyk. Nie mogła się powstrzymać. Piekielni bardowie żyli. Habim ich nie zabił. Ogień ich nie wykończył.

Pierwszy wyłonił się z ognia Zander. Złota pętla na jego szyi wręcz jaśniała. Twarz miał czerwona od gorąca. Zaraz za nim wybiegła Lev, a ostatni pojawił się Caden.

– Miło cię tu widzieć – wykrztusiła Lev, głośno kaszląc, ale Safi chwyciła ją jedynie za ramię i ryknęła:

– Biegniemy!

Bez prośbienia Zander przerzucił sobie Vanesę przez ramię – co oznaczało, że jej rana jest rzeczywiście paskudna.

Safi i piekielni bardowie puścili się biegiem w górę schodów. Dudniły im pod stopami, a do tego co i rusz rozlegały się eksplozje, które z całą pewnością nie były fajerwerkami.

– Zaczekajcie! – zawołała Safi, kiedy minęli jakiś korytarz. Rozpoznała go. Prowadził do magazynu z fajerwerkami, z którego był dostęp do jeziora. – Wasza Wysokość. – Zbliżyła się do cesarzowej przerzuconej przez potężne ramię Zandera.

Caden pokręcił głową.

– Zemdląła.

– Mogę ją obudzić – wtrąciła Lev. – Ale nie będzie to przyjemne.

Safi skinęła głową.

– Zrób to.

– W porządku, domno, ale później, kiedy będzie chciała mnie zabić, powiesz, że to był twój pomysł. – Po tych słowach Lev bez wahania wsadziła palec w zranione oko Vanessy.

Cesarzowa oprzytomniała z głośnym wrzaskiem. Potwornie było na to patrzeć, potwornie słuchać – pozbawiona wyrazu twarz wydająca odgłosy dojmującej agonii, ale Vanessa musiała być przytomna, a ból to lepsza alternatywa niż śmierć.

– Łódź! – Safi próbowała przekrzyczeć jej wrzask oraz ryk ognia. – Za tym magazynem jest jakaś łódź?

– TAK! – zawołała Vanessa. Wtedy Lev ją puściła, a cesarzowa opadła bezwładnie na ramię Zandera.

Krzyknąwszy do piekielnych bardów, aby biegli za nią, Safi wparowała ze schodów na korytarz. Zaraz za nią biegł Caden, następnie Zander z cesarzową, a tyły zabezpieczała Lev. Nikt ich nie zatrzymał. Nie pojawili się ani żołnierze, ani ogień.

Przeszli przez magazyn – nadal spokój. Prześlizgnęli się obok skrzyń z zimnymi ogniami – tyle że to wcale nie były zimne ognie. Co oznaczało, że kiedy tylko depczący im po piętach pożar dotrze do tego pomieszczenia...

– Szybciej! – popędziła Safi, a piekielni bardowie posłusznie pomknęli przed siebie.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza. Już wcześniej widziała, że prowadzą do wielkiego hangaru otwierającego się na jezioro. Łodzie i statki sprawiały wrażenie nieuszkodzonych, ale Safi wiedziała, nawet jeśli jej magia pozostawała tego nieświadoma, że to wszystko jest kłamstwem. Potwierdzały to odgłosy walki.

Na końcu hangaru kołysała się łódź. Nieduża, z płaskim dnem, której przeznaczeniem było przewożenie towarów z większych jednostek. Nie mieli innego wyjścia, więc bez słowa ruszyli w jej stronę. Caden i Zander ułożyli na łodzi Vanessę, następnie na pokład weszła Safi, w tym czasie Lev odwiązała cumy.

– Wiosła – rzucił Zander. – Nie zaniosą nas daleko.

– Nie w tych okolicznościach. – Caden z malującą się na twarzy koncentracją wpatrywał się w jezioro. To, co widział, pozostawało poza zasięgiem Safi.

– Prowadźcie mnie. – Z gardła cesarzowej wydobył się słaby głos.

Safi nie miała pojęcia, że Vanessa na dobre odzyskała przytomność, a kiedy spojrzała na nią, ujrzała jedynie zamknięte oczy i spokojną twarz.

Wtedy Vanessa spróbowała się podnieść. Zander pomógł jej przyjąć skuloną pozycję, której nie był w stanie ukryć nawet błaskodziejski czar.

– Powiedzcie mi, gdzie się kierować – powtórzyła – a ja... – wzięła drżący oddech – poślę łódź tam, gdzie trzeba. – Na dowód, że tak potrafi, machnęła nadgarstkiem i łódź wypłynęła z hangaru.

– Nie czujesz się dobrze – zaprotestowała Safi, ale w tym samym momencie Caden rzucił:

– Do przodu. – Spojrzał Safi w oczy. – To nasza jedyna szansa.

Wiedziała, że bard ma rację. Z magazynu wydobywał się dym. W każdej chwili mogły się pojawić płomienie. Eksplozja oderwałaby im ciała od kości i żywcem ugotowała.

Nie protestując dłużej, Safi nachyliła się, ujęła drugą dłoń Vanessy i powtórzyła za Cadenem:

– Do przodu.

ROZDZIAŁ 50

Aeduan wyszedł na polanę, na której rosła najwyższa sosna. Czekał tam jego ojciec wraz z grupką kobiet i mężczyzn oraz dwunastoma końmi.

Ragnor spojrział synowi w oczy. Skinął głową i Aeduanowi wydawało się, że w kąciaku jego zmęczonych ust dostrzega uśmiech. Może aprobatę. Albo ulgę. Dwa lata temu na ten widok Aeduan by znieruchomiał. Jeszcze dwa tygodnie temu ogrzałoby mu to krew w żyłach. Teraz nie czuł w żyłach żadnej krwi, nie wyczuwał w ojcu żadnej woni – ani oddechu niemowlęcia, ani dojmującej straty. Jedyne, co czuł, to słabe ściskanie w płucach. Zapewne żał z powodu tego, do czego doszło. Przecież jego ojciec nie był złym człowiekiem; sprawa jego ojca może nawet była słuszna.

Ale nie trzeba być złym od urodzenia, można się takim stać.

Minął ojca, nie zwalnając przy tym kroku. Spojrzenie miał już wbite w dwanaście wierzchowców naszykowanych dla niewielkiej grupy Ragnora. Czarna klacz na końcu – nastawione uszy, kopyta lekko muskające śnieg – miała w sobie energię, aby zrobić to, co czekało Aeduana.

– Aeduanie? – zawołał do niego ojciec.

Zignorował go. Podszedł do klaczy, młodej i niecierplivej. Nie zabrał futra ze skrzyni; rany nadal mu krwawiły, nie chciał dodatkowych warstw, które by go dusiły. Wziął jednak miecz i teraz poprawił go, aby bez problemu dosiąść konia.

– Aeduanie? – powtórzył ojciec. W jego głosie dało się wyczuć niepokój.

Kiedy Aeduan w końcu na niego spojrział, dostrzegł, że na jego twarzy także rysuje się niepokój.

– Przykro mi – rzucił krwiodziej i mówił szczerze. Następnie spiął konia do galopu.

Wystrzelili w stronę drzew. Goniły ich głosy. Zaskoczone, ostrzegające przed niebezpieczeństwem, jeśli Aeduan nie zwolni. On jednak tego nie zrobił, po kilku sekundach zostawił za sobą ludzi. Zostawił za sobą ojca. Słyszał tylko grzmot końskich kopyt, gdy galopował coraz szybciej i szybciej. Taka prędkość w nieznanym terenie oznaczała, że koń może zgubić podkowę albo skrzyć nogę, ale Aeduan nie mógł zwolnić. Nadciągał nóż Pani Los.

Mnich i jego klacz minęli drzewa, żołnierzy, śnieżne zasy i namioty. Jedynymi bodźcami, które odbierał krwiodziej, był chłód nocy i słodko-piżmowa woń galopującego konia. W końcu pokonali pochyły teren, otworzyła się przed nimi dolina.

W blasku księżyca w pełni lśniła rzeka, zamrożony pas bieli. A hen, daleko na jej końcu widać było zarysy Klasztoru – ciemnego ptaka przycupniętego na klifie.

Poniżej, na wprost, dostrzegł jakieś postacie. Zapewne lododzieje jego ojca. Naparł piętami na żebra klaczy, nachylił się, a ona galopowała z radością, energią w mięśniach i prędkością w sercu. Nieważne, co ich czekało, liczyła się tylko czystość tej chwili, płaska droga i brak przeszkód.

Aeduan dostrzegł coś kątem oka. Przecinający księżyc cień w kształcie nietoperza, duży i szybki. Kiedy jednak spojrzął do góry, nic już nie zobaczył.

Dopiero kiedy pędzili zamarznąłą rzeką, do Aeduana dotarło, że nie są sami. Powiedziały mu to trebusze. Syk i ryk wystrzelonego ku niebu ognia. Kula wyleciała od strony Klasztoru, a kiedy Aeduan odwrócił wzrok, aby obserwować, jak ląduje, dostrzegł najeźdźców.

Nie owionął go zapach ich krwi, nie słyszał niczego poza miarowym uderzaniem kopyt klaczy o śnieg. To było właśnie to zaplanowane przez jego ojca odwrócenie uwagi. Tysiące żołnierzy wylewających się spomiędzy drzew na południe od niego.

Za wolni – Aeduan i klacz byli za wolni. Mocniej wbił jej pięty w żebra, a ona posłusznie przyspieszyła. Pomimo mrozu pokrywała ją warstwa potu. Była jednak uległa i gotowa.

Kolejne wyrzuty z trebuszy. Na południe od Aeduana wylądowały kule pomarańczowego światła. Przed sobą dojrzał dwie postacie – dwie osoby, które nie należały do grupy lododziejów. Szybko biegły w stronę Aeduana.

Zastanawiał, skąd wiedział, że to ona. Podejrzewał, że być może magia wcale go nie opuściła i że przywołało go do niej milczenie jej krwi. Ale w tamtej chwili jedyne, co wiedział, to że ku niemu biegnie Iseult. To była Iseult uciekająca przed lododziejami.

Musiał do niej dotrzeć jako pierwszy.

Ogień wystrzelił z Klasztoru i pędził z rykiem w stronę Aeduana. Skręcił w lewo. Gorąco i czarne światło minęły ich o włos. Trafiły w lód. Tym jednak razem mroczne płomienie rozprzestrzeniły się i pożerały wszystko na swojej drodze. Jasno świeciły białe alchemiczne serca. Sięgając coraz dalej i dalej, tak jak to potrafi jedynie morski ogień.

Klacz wpadła w panikę.

Wystrzelono dwie kolejne kule, obie wycelowane w Aeduana. Jakby Klasztor uznał, iż to on, samotny jeździec, stanowi największe zagrożenie w całej dolinie. Wściekłe płomienie, których wiatr nie był w stanie zdusić, a które woda tylko potęgowała. Aeduan wyczuł za sobą najeźdźców palących się żywcem. Czuł, że gorąco na lodzie zatacza coraz szersze kręgi.

Ściana ognia, a on nie miał na sobie peleryny z włókna salamandrowego, która by go przed nim ochroniła.

Aeduan pokierował klacz w lewo, a zaraz potem w prawo, kiedy lodem wstrząsnęły dwa wulkaniczne wybuchy. Naparła na niego fala gorąca – i tym razem klacz spanikowała. Stanęła dęba. Koniec radości, koniec energii. Tylko przerażenie na widok zbliżających się czarnych płomieni. Aeduan nie miał wyboru, jeszcze mocniej wbił pięty w jej zębra, zmuszając do jeszcze szybszego galopu.

Widział już Iseult wyraźnie. Wokół niej powiewała caraweńska peleryna, a towarzyszący jej mężczyzna odziany był w beż. Aeduan

nie poświęcił mu najmniejszej uwagi. Skupiał się wyłącznie na więziodziejce, plamie bieli pośród wiecznych płomieni.

Nie powinien był jej zostawić.

Nie powinien był pozwolić jej odejść.

Kolejna wystrzelona kula. Aeduan ocenił jej trajektorię. Skręcił, nie mając czasu do stracenia. Pół sekundy za morskim ogniem wystrzelono strzały. Sto łuków, z których celowało stu mnichów. W pędzącym w ich stronę człowieku nie rozpoznali jednego ze swoich, widzieli najeźdźcę, którego trzeba zabić.

Aeduan był w stanie uciec morskiemu ogniu, ale strzałom już nie. Pędziły w jego stronę, zasłaniając księżyc.

W końcu trafiły w cel. W Aeduana. W klacz.

Niezliczona liczba ran.

Klacz wydała z siebie przeraźliwy dźwięk, który rozdarł serce Aeduana, mimo że w tej samej chwili strzały przebiły go na wylot. A potem przepełnił go tak dobrze znany ból. Ból, który zostawiał za sobą tysiące razy, ale z którego nie był się już w stanie wyleczyć.

Klacz padła na ziemię.

Aeduan razem z nią.

Próbował się uwolnić. Ciągnął, dźwigał i popychał płonący lód, ale klacz przyszpiliła go do ziemi. Jej krzyk był potwornym dźwiękiem, jakiego nie powinno wydawać żadne zwierzę. Próbowała się podnieść, lecz strzały przebiły jej ciało. Brzuch, grzbiet, oczy.

Było ich niemal tak wiele jak w ciele Aeduana. Nic nie widział, nie mógł oddychać. Leżał uwięziony pod klaczą, podczas gdy dym dławił mu gardło, a życie wykrwawiało się na lodzie.

To za mało, pomyślał, zanim umarł. Bycie człowiekiem to za mało.

Iseult widziała jego śmierć.

Widziała, jak trafiają go strzały i pożerają płomienie. Widziała, jak jego czarny koń pada i jak on pada razem z nim.

W tej właśnie chwili zrozumiała, że nie liczy się logika. Ani ucieczka przed najeźdźcami czy nawet pozostanie przy życiu. Liczył się tylko krwiodziej o imieniu Aeduan.

To nie będzie jego koniec. Nie urwie się w ten sposób życie człowieka bez nici Więzi, który nie bał się patrzeć jej w oczy, uratował ją przed rozszczepieńcami i najeźdźcami, przed rzekami i żołnierzami.

Od dnia, w którym dźgnęła go w serce, to serce było jej sercem i nie pozwoli, aby taki był jego koniec.

Leopold krzyczał, aby się zatrzymała, ale ona tylko przyspieszyła. Ścigali ich najeźdźcy, ale trebusze odwracały ich uwagę i blokowały drogę.

Płuca jej płonęły. Potwornie bolały ją nogi, a do nosa i ust wdzierał się dym. Takie drobiazgi potrafiła zignorować; komu potrzebny tlen, kiedy miało się moc? Komu potrzebny wzrok, kiedy miało się nici Więzi? Nakierowała swój umysł w głąb siebie i szepnęła:

– Chodź. Teraz jest twój czas.

Ogniodziej natychmiast się obudził. Uszczęśliwiony i czujny wślizgnął się na sam przód jej umysłu i radośnie się zaśmiał na widok rozciągającego się przed nim pola bitwy.

Śmierć, płomienie i dym.

– Tak – powiedziała mu Iseult. – Zabierzesz ten ogień i go połkniesz. On jest twój. On jest mój. – Rozłożyła ręce i zawołała: – CHODŹ!

Z biegu przeszła do marszu. Wkroczyła w ogień.

Wciągał ją w siebie, objęcia kochanka, tymczasem ogniodziej piszczął i zanosił się śmiechem. To był jego dom i teraz także dom Iseult.

Napierało na nią gorąco. Do gardła wdarł się dym. Powitała je z otwartymi ramionami. Stanowiła jedność z ogniodziejem, a on stanowił jedność z ogniem. Płomienie przemieszczały się tam, gdzie im rozkazywała, a z każdym kolejnym krokiem uskakiwały na bok.

Kochały ją, ale nie ośmielały się jej dotknąć.

W końcu zobaczyła Aeduana. Lizał go morski ogień, jego czarny koń płonął.

– Stop – poleciała płomieniom, a one usłuchały.

Umierał zakrwawiony. Połamany i przypalony. Kucnęła przy nim, jedną ręką obejmując głowę, drugą przykładając palce do szyi.

Nie wyczuła pulsu.

Nie było pulsu, nie było życia, nie było krwiodzieja o imieniu Aeduan.

– Nie!

Z jej gardła wydobył się pierwotny, odległy krzyk.

– Nie!

On nie mógł umrzeć. Iseult nie da mu umrzeć, nie pozwoli, aby taki był jego koniec. Nie po tym, co się wydarzyło w Tirli. Nie po tym wszystkim, co ich połączyło.

Wsunęła dłonie pod jego pachy i z siłą, o której istnieniu nie miała pojęcia, pociągnęła. Ciągnęła i ciągnęła, i ciągnęła, aż w końcu jego ciało uwolniło się spod klaczy. Pieściły ją płomienie. Głodne i pragnące więcej, niż Iseult skłonna im była dać. Nie teraz, tak im powiedziała. Nie teraz, nie teraz. I posłuchały, otulając ją kokonem, gdy tymczasem ona ze wszystkich sił próbowała unieść Aeduana.

Starła się. Cztery razy próbowała zarzucić go sobie na ramiona. Wcale nie był taki ciężki czy potężny – tyle że bezwładność i brak reakcji czyniły jego ciężar zbyt wielkim dla niej. Podczas piątej próby Iseult przekonała się, że płacze. Nie wiedziała, kiedy łzy zaczęły płynąć, i nie potrafiła ich powstrzymać.

„Nie płacz” – szepnęły płomienie, a w jej wnętrzu ogniodziej także wyszeptał: – „Nie płacz, Iseult, nie płacz. Ogień pożera to, czego pragnie, więc ty musisz zrobić to samo”.

Rozumiem, pomyślała. Mocą były nici Więzy, a nici należały do niej. Jedyne, co musiała zrobić, to po nie sięgnąć. Tak więc uczyniła. Czerpała moc z gorąca, z czarnych płomieni i z mężczyzny, którego rozszczepiła na Ziemi Niczyjej. Wcielała je do swoich mięśni. Do nóg, rąk i pleców... Przy szóstej próbie uniosła Aeduana na tyle wysoko,

aby mogła wstać – i podczas tej szóstej próby zarzuciła go sobie na ramiona.

A potem zaczęła iść. Jeden chwiejny krok zmienił się w dwa, potem trzy. Zostawiła za sobą martwego konia. Przeszła przez morski ogień. Nie wiedziała, dokąd zmierza. Nie widziała niczego poza cienistym ogniem i blaskiem księżyca. Coś w niej się poruszyło. Nić zaciskająca się coraz mocniej – ale tylko dopóty, dopóki szła w tym jednym, prawdziwym kierunku.

Stawiała stopę przed stopą, podążając za tą nicią, aż w końcu zostawiła za sobą zamarzną, płonąca rzekę i dotarła do stałego, skalistego lądu. Przed sobą widziała jodłę. Jakimś cudem, mimo otaczającego je chaosu i ognia, drzewo zdawało się lśnić. Zielone, zdrowe i silne. Dłoń przywołująca ją do siebie, więc ruszyła w tamtą właśnie stronę.

Siły ją jednak opuszczały. Bez dodających mocy płomieni była po prostu dziewczyną z mężczyzną na plecach i płynącymi po policzkach łzami – niewytłumaczalnymi i niechcianymi.

Więziodziejki nie płaczą, pomyślała, dźwigając Aeduana. Więziodziejki nie płaczą.

Drzewa rosły coraz gęściej, wyczuwała pośród nich życie. Nawet w środku nocy ćwierkały ptaki. Kwitły przebiśniegi.

Nagle roślinność się rozstąpiła i Iseult dotarła do Prastudni Carawenów.

Sześć brzóz drżało na zadymionym wietrze, nieświadomych bliskości ognia i eksplozji. Między nimi rozciągał się lód, połyskując w blasku księżyca. Prastudnia lśniła, jakby emitowała własne światło. Jakby wyczuła bliskość Iseult i nasłuchiwała, wyczekiwała i witała z otwartymi ramionami.

Nazywano ją także Studnią Eteru. Źródło, z którym Iseult zawsze łączyła swoją magię. Teraz wiedziała już, że jest inaczej. Jej magia pochodziła z Otchłani, a przyszłość kryła dla niej tylko rozszczepianie i odcięte nici Więzi.

Była także Cahr Awenem. Wierzyła w to, nawet jeśli Abbot uważał inaczej. Jeśli ktoś mógł ocalić Aeduana, to właśnie ona.

Iseult dotarła do krawędzi Studni, gdzie lód pokrywała warstwa śniegu. Po dwóch kolejnych krokach ugięły się pod nią kolana. Upadła, a razem z nią Aeduan.

Zamarznięta Studnia nawet nie drgnęła. Iseult oczywiście wiedziała, że powierzchnia jest twarda niczym kamień, że przebicie się przez nią zabierało nomatsańskim pielgrzymom cały dzień. Nie miała tyle czasu. W końcu walki obejmą kolejne tereny, a Aeduana nie uda się już uratować – o ile w ogóle było to jeszcze możliwe w tym momencie.

Musiała wierzyć, że tak.

– Aeduanie – wydyszała, odwracając się w jego stronę. Tyle strzał, tyle oparzeń. I nadal brak reakcji.

Nie, nie, nie.

Uwolniła jego miecz z pochwy i zrobiła kilka chwiejnych kroków. Będzie musiała rozłupać ten lód. Będzie musiała dostać się do ukrytej pod nim wody, nim dotrą do nich walki.

Skoro Iseult potrafiła kroczyć przez ogień, poradzi sobie także z lodem.

Obiema dłońmi ujęła głowicę, po czym uniosła wysoko rękę. Uderzyła ostrzem w lód.

Trzask.

I jeszcze raz. Trzask, trzask, trzask. Raz za razem przelewała w miecz całą swoją siłę. I raz za razem ponosiła porażkę. Studnia nie chciała pęknąć. Nie dostanie się do uzdrawiającej wody.

Tymczasem ciało Aeduana stygło, jego dusza ulatywała. Za nimi zbierał się coraz gęstszy dym. Rozlegały się eksplozje.

Iseult kończył się czas, kończyła się cierpliwość. Po policzkach nadal płynęły łzy. Nie wiedziała, skąd się biorą i dlaczego płyną. Być może po dziewiętnastu latach tłumienia ich w sobie w końcu się zbuntowały.

I nagle coś do niej dotarło: więziodziejki może i nie płaczą, ale splotodziejki owszem. Źle to wszystko rozgrywała. Ten lód był dziełem magii Studni. Został powiązany z eterem i nie dawał się rozbić zwykłemu mieczowi czy sile.

Odrzuciła miecz. Upadł z głuchym brzękiem na lód. Otarła z oczu łzy i padła na kolana. Kiedy Esmé po raz pierwszy jej pokazała, jak się rozszczepia, przerywanie nici okazało się podobne do poślizgnięcia się na zamarzniętym jeziorze. Cóż, tutaj miała swoje jezioro. Tutaj kryła się moc, którą pragnęła dowodzić.

Uderzyła pięścią w lód. Jej knykcie zapiszczały. Nadgarstek zawył.

Uderzyła raz jeszcze, i jeszcze, ignorując krew na palcach i ból w nadgarstku. Zmieniła dłonie. I jeszcze raz, jeszcze, jeszcze.

Lód przecięły czarne linie.

Iseult uderzała szybciej, mocniej, a linie stawały się coraz wyraźniejsze. Przetnij, przetnij, skreć i przetnij. Zmieniła ręce. Nici, które pękają, nici, które umierają.

Lód ugiął się pod nią. Pojawiło się pęknięcie. Przecięło powietrze. Przecięło jej serce. Lód się rozwarł.

Iseult i Aeduan wpadli do wody.

Zaparko jej dech w piersi, zablokowała wszystkie myśli w głowie. Przez kilka niemających końca sekund tonęła. Zapadała się w ciepłych, wzburzonych wodach Prastudni. W pewnym momencie przed jej oczami przemknęła nitka krwi i Iseult przypomniała sobie, gdzie się znalazła i dlaczego.

Aeduan.

Odwróciła się i przebijała przez wodę, pełną energii i życia. Aeduan, Aeduan. To była krew, która ją prowadziła. Ślad łączący się z nim tak jak sercowieź.

Tonął z zamkniętymi oczami. Krew kierowała się ku górze, setka nitek zmierzających ku powierzchni.

Iseult dotarła do niego. Objęła go w pasie. Dosłownie płonął. Był gorący niczym ogień, przez który go przeniosła, tyle że te akurat płomienie zdawały się ryczeć.

Płynęła, ciągnąc ze sobą Aeduana. Kiedy Evrane uleczyła Iseult w Nubrevnie, posłała ją do samego serca Studni – ona także się tam kierowała. Im głębiej się zanurzała, tym większa panowała ciemność. Ciemność, ciśnienie i gorąco dotyku Aeduana.

Płuca jej się kurczyły. Pragnęła powietrza, światła, życia. Ale tutaj, w cieniach Studnia bardziej pragnęła Aeduana.

Po dwóch kolejnych kopnięciach nogami Iseult wyczuła palcami bulgoczącą wodę, a zaraz potem skałę. Źródło wody, źródło magii.

Obmyła ją moc. Rozbłysło światło, oślepiająco jasne, a woda napierała na nią ze wszystkich stron, ogłuszająca w swojej sile, wypychała Iseult z powrotem ku nocy.

W tym momencie, kiedy Iseult trzymała mocno Aeduana, mrużyła oczy w jaskrawym świetle i zaklinała jego powieki, aby się uniosły, zobaczyła czerwień. Szkarłatną, prawdziwą, wijącą się wokół nich.

Czerwień, która nie była krwią. Czerwone nici Więzi prowadzące od jej serca aż do serca Aeduana.

To niemożliwe, pomyślała, nim skończyło jej się powietrze, a światem zawładnęła ciemność.

ROZDZIAŁ 51

W Twierdzy Pyna jeszcze nigdy nie panowała taka cisza. Jeszcze nigdy Vivia nie czuła tutaj na sobie tylu par oczu. To było jej schronienie, przystań, a ta chwila okazała się gorsza niż otwarcie podziemnego miasta. Teraz musiała rzeczywiście stać się przywódcą. Teraz nie wystarczą gładkie przemowy.

Stała w głównym pomieszczeniu, na stołku, żeby mieć dobry widok na wszystkich obecnych. Aby dokonywać oceny i liczyć. Przed nią stali żołnierze, marynarze, strażnicy i wszyscy ci, którzy chcieli bronić Lovats i przeciwstawić się Serafinowi Niharowi.

Nie było ich wielu. Trzystu, według wyliczeń Vivii, i dysponowali żałośnie małą liczbą broni czy zbroi. Miała jednak jeszcze czas, aby znaleźć więcej wojowników i wyposażyć ich najlepiej, jak tylko mogła. Marynarka Królewska i Siły Lądowe, które jej ojciec wysłał na północ, spowolnią posuwanie się Króla Zdobywcy, nawet jeśli Vivia nie wierzyła, że uda im się go zatrzymać.

Noden jej świadkiem, że poświęciła wczoraj sporo czasu na przygotowywanie listy swoich zadań. Zajmowała dwie kartki. Vivia obrzucała wzrokiem salę, ale co rusz uzupełniała te zapiski. Kolejność zadań nie miała znaczenia; po prostu notowała to, co przychodziło jej do głowy. Osełki do ostrzenia. Mocowania do pierzysk. Lanolina. Ciężkie buty. Kamienie bólu. Bandaże. I tak dalej, i tak dalej.

Kiedy skończyła pisać, zeszła ze stołka z zamiarem wręczenia swojej listy głównej strażniczce wizera Sotara, starszej kobiecie ze spiczastym podbródkiem i przenikliwym spojrzeniem. Nim zdążyła to zrobić, ziemia zadrżała. Silny wstrząs, który poruszył Twierdzą. Vivia zamachała rękami i wpadła na trzęsącą się ścianę – w tym momencie pojawił się drugi wstrząs. Następnie trzeci i czwarty.

Jak szybko się pojawiło, tak szybko trzęsienie ziemi ustało. Niestety nie obyło się bez szkód. Słysząc było krzyki dochodzące

z ulicy i z piwnic Twierdzy Pyna. Przez pół oddechu Vivia miała ochotę krzyczeć. Za mało miała na głowie? Czy Noden i jego rybki wiedźmy nie przeciągnęli już wystarczającej liczby jej ludzi pod swoimi falami?

Główna strażniczka wizera Sotara natychmiast pojawiła się przy Vivii i pomogła jej wstać. Twarz kobiety była cała w pyłe.

– Podziemne miasto – odezwała się Vivia. – Musimy sprawdzić, co z podziemnym miastem. – Odwróciła się w stronę kolejnej osoby, która stała najbliżej niej. Okazał się nią wizer Sotar. – Ulice – rzuciła do niego. – Zbierz ludzi, aby ocenić szkody...

– Sir! – W pomieszczeniu rozbrzmiał głos, wysoki i pełen napięcia. I jeszcze raz, głośniejszy: – SIR.

Vivia odwróciła się, przerażona tym, co mogło oznaczać takie wołanie. Przerażona tym, o jakich zniszczeniach się dowie. Ujrzała młodego chłopaka, idącego chwiejnie w jej stronę. Miał szeroko otwarte ciemne oczy i pokrytą plamami brązową skórę.

Znała go... Znała, ale, na Nodena, nie potrafiła sobie przypomnieć skąd.

– Sir – powtórzył chłopak, stając przed Vivią. Pokrywał go biały pył, jakby właśnie wydostał się spod ziemi. Kompletnie nie przejął się tym, że w jego stronę ruszyli strażnicy. – Sir – powtórzył raz jeszcze i tym razem zgiął się wpół.

Vivia rzuciła się do przodu i złapała go, nim zdążył upaść. Skórę miał wilgotną i kredowobiałą.

– Pierwszy... oficer – wydyszał, podnosząc wzrok na Vivie. Nawet rzęsy miał oblepione pyłem. – To znaczy kapitan Sotar... mnie przysłała.

Stix. Vivii serce podeszło do gardła. Zrobiło jej się zimno.

– Co się stało? Gdzie jest Stix?

Chłopak pokręcił rozpaczliwie głową.

– To... najeźdźcy, sir. – Zakaszłał, zaciskając dłoń na ramieniu Vivii.

W całym pomieszczeniu na nowo zapadło milczenie. Zrobiło się tak cicho jak na otwartym morzu tuż przed burzą.

– Najeźdźcy... się zbliżają – dokończył z trudem chłopak.

– Wiem – próbowała powiedzieć Vivia, ale on pokręcił gorączkowo głową.

– Wejdą przez podziemne miasto. Niedługo, sir. Więc musi pani... musi je opróżnić. A potem musi pani bronić... drzwi.

Tym razem to Vivia pokręciła głową. Słowa tego chłopaka zupełnie nie miały sensu. Skąd on w ogóle przyszedł?

– Jakich drzwi? – zapytała. – I gdzie jest Stix?

– Tych drzwi – upierał się chłopak, a jego głos stał się wyższy. – Pod ziemią, sir. Ja je... ja je pani pokażę. – Wyprostował się i odwrócił, jakby chciał biec do piwnicy.

Wtedy Vivia dostrzegła na jego lewej dłoni zakrwawiony bandaż. Już wiedziała, skąd go zna. Był razem z Merikiem w podziemnym mieście. Cam, tak mówił na niego jej brat.

To jednak nie tłumaczyło jego powiązania ze Stix. Ani tego, gdzie Stix się teraz znajduje – ani tego, o co konkretnie chodziło temu chłopcu.

Nim zdążyła go o to zapytać, czy choćby wstać, aby udać się za nim, chłopak dodał cicho:

– Miałem powiedzieć pani coś jeszcze, sir. Coś, żeby uwierzyła pani, że naprawdę przysłała mnie kapitan Sotar i że zbliżają się najeźdźcy. Powiedziała tak: „Noden i rybie wiedźmy powinni podlegać rządowi kobiety”.

Na te słowa do ciała Vivii zakradł się lodowaty ciężar, przynoszący odrętwienie jej kończynom i umysłowi. A więc tak się czuje człowiek, kiedy tonie, pomyślała. I już wiedziała, że zaczerpnęła swój ostatni oddech.

ROZDZIAŁ 52

Ciało Merika było obolałe, umysł rozciągnięty, magia skurczona do rozmiarów łebka od szpilki, a mimo to jednocześnie rozdmuchana do ogromnych rozmiarów.

Wrócił do siebie i dostał się do nowego świata. Podwodnego, mrocznego i zimnego. Nie było mowy o przywołaniu tutaj wiatrów, mógł jedynie płynąć, kierując się ku powierzchni, do której – jak liczył – w końcu dotrze.

Cztery wymachy nóg przerodziły się w dziesięć, nim jego głowa w końcu się uwolniła. Krztusił się i łapał gorączkowo powietrze. Kręcił się w kółko, szukając Północnika w tym ponurym świecie rozjaśnionym jedynie niebieską poświatą drzwi.

Woda naparła na nogi Merika i trzy oddechy później obok niego wyłoniła się głowa towarzysza.

– Gdzie? – wykaszłał.

– Nie wiem – odparł Merik i w dużej mierze było to prawdą. Owszem, wiedział, że znajdują się we wnętrzu góry z magicznymi drzwiami, które w jakiś przedziwny sposób łączyły się z mitycznym Zakonem Sióstr Wzrokodziejek, ale w życiu nie potrafiłby wytłumaczyć tego po svodeńsku.

Na piekielne bramy, nie wytłumaczyłby tego nawet po nubreveńsku.

Jego umysł nie ogarniał tego, co się wydarzyło. Może i słyszał o tym od Esmé i Furi, ale aż do teraz nie wierzył, że to miejsce rzeczywiście istnieje.

Nawet teraz nie do końca miał pewność, czy w to wierzy. Ale jak mawiała Evrane: „Rekin cię pożre, bez względu na to, czy uznasz jego obecność, czy nie”. A jeśli to właśnie z rekinem miał się teraz mierzyć, jego celem stanie się próba ucieczki.

Na razie przez drzwi nie przedostawali się żadni rozszczepieńcy, ale to nie znaczyło, że tak się wkrótce nie stanie. Furia i Król

Zdobywca też mogą niedługo je znaleźć.

Merik podpłynął do występu. Wspiął się na niego, po czym pociągnął za sobą Północnika. Trząśnięcie z zimna, ale ważniejsze było to, co się znajdowało za nimi: jaskinia na tyle duża, aby zmieścić całe Lovats.

Właściwie wydawała się na tyle duża, by pomieścić cały płaskowyż wokół Lovats, a ten zbiornik wodny był niczym więcej niż półką przytuloną do ściany jaskini. Merik przysunął się bliżej krawędzi, zerknął w dół...

Po raz pierwszy od bardzo dawna zakręciło mu się w głowie z powodu otwartej przestrzeni. Od czasu kiedy w dzieciństwie obudziła się w nim magia, nie miał lęku wysokości. Ale to nie była zwyczajna przepaść. To było jak wpatrywanie się w inny wszechświat. W sam środek dworu Nodena.

Merik zrobił głęboki wdech, następnie podniósł wzrok. Wyżej, wyżej i wyżej. W jaskini migotały światelka, przebijały się przez nie niebieskie poświaty. Na samej górze mieścił się pas lodu, wyglądający niemal jak most.

– Do góry – rzekł, wskazując na najbliższą półkę skalną. Niebieskie poświaty musiały dochodzić z drzwi, przez które Merik dotarłby do Lovats. A żeby sprawdzić które to, musiał próbować wszystkich po kolei – i oczywiście modlić się do Nodena, aby nie trafił w miejsce jeszcze gorsze niż Poznin.

Kiedy Północnik kiwnął głową, Merik zamknął oczy i przywołał swoją magię. Spodziewał się oporu. Pod ziemią mało było powietrza i całkowicie brakowało wiatru. Do tego kiedy próbowało się za bardzo manipulować powietrzem pod ziemią, konsekwencje bywały poważne. Powietrzne prądy prowadziły do burz, a burze w ograniczonej przestrzeni to nic dobrego.

Wiatry Merika pojawiły się jednak bez żadnego problemu. Potężny podmuch uderzył w niego i Północnika. Obaj się zachwiali, ale nim zdążyli wpaść do wody, Merik skierował wiatry za nich. Pod nich.

Moc, moc, moc.

Wznieśli się w powietrze. Było to coś równie naturalnego jak oddychanie – Merik nie mógł uwierzyć, z jaką łatwością przychodzi do niego ta moc. I wcale nie docierała do niego magia Furii. Tamte wiatry były zimne i mściwe. Te wręcz się skrzyły. Tylko takim słowem potrafił określić to doznanie. To uczucie, że połyskująca galaktyka karmi jego płuca i niesie go szybciej, wyżej, silniej, niż kiedykolwiek udało mu się w pojedynkę.

Dotarli do pierwszej półki, gdzie lśniły drugie niebieskie drzwi. Wyglądały identycznie jak te, przez które przeszli w Poznynie.

– Czekaj – rzekł do Północnika i ruszył w ich stronę.

Towarzyszowi nie spodobała się ta komenda. Pokręcił głową i dogonił Merika. Wzięli głębokie oddechy, po czym razem przeszli przez drzwi. Tak samo jak wcześniej Merik czuł, że jego ciało kurczy się i jednocześnie wydłuża, że coś go powstrzymuje i w tym samym czasie popycha. A potem on i Północnik znaleźli się po drugiej stronie.

Wiatr i noc. Drżące sosny. Merik natychmiast poczuł napieranie na błony bębenkowe, jakby leciał zbyt szybko i zbyt wysoko. Na niebie wisiał księżyc w pełni.

To nie była Nubrevna. Chwycił Północnika za ramię i pociągnął go z powrotem w stronę magicznych drzwi.

Ściskanie, rozciąganie, pauza i ruch. Wypadli na półkę, na której dopiero co wylądowali. Obaj dyszeli.

– Zimno – powiedział Północnik, a Merik przytaknął. Spojrzał do góry. Raz jeszcze uniosły ich wiatry.

Następne drzwi, znajdujące się na półce ledwie zdolnej pomieścić ich obu, wyrzuciły ich do jakiegoś rowu. Wąskie zbocze biegnące w górę ku szczelinie w ziemi. W powietrzu unosił się zapach cedrów i dymu.

To także nie były drzwi do podziemnego miasta pod Lovats.

Wrócili do jaskini, gdzie przebrnęli na kolejną półkę, do kolejnych drzwi. Ten występ akurat, umiejscowiony tuż przy wodospadzie, był

śliski od wody. Północnik się poślizgnął, złapały go wiatry, a Merik wypchnął go przez jaśniejący błękit...

Znowu zaatakowało ich zimno. Tym razem jednak bez wiatru. Przed nimi wznosiły się skute lodem schody i obaj szybko po nich wbiegli. Ujrzeni jednak tylko płaską, bezkresną przestrzeń. Skąpaną w blasku księżyca i białą. Połyskującą i pozbawioną życia.

– Śniące Ziemie – powiedział Północnik i ze strachem w oczach zaczął schodzić po schodach. – Śmierć – dodał ostrzegawczo. – Śmierć. – I szybko wbiegł przez magiczne drzwi.

Merik spiesznie udał się za nim. Słyszał o Śniących Ziemiach, jakżeby inaczej. To było zamrożone, niemożliwe do pokonania pustkowie zasysające nieprzygotowanych wędrowców. Przejść przez nie udawało się jedynie Nomatsom... to znaczy No'Amatsom.

Po raz kolejny magia drzwi naparła na Merika. Tym razem po wylądowaniu w jaskini wyczuł, że coś jest nie tak. Kiedy zrobił wdech i przywołał swoje wiatry, przybyły – silne, tyle że czaiło się pod nimi coś zimnego. Lodowata wściekłość, którą Merik z marszu rozpoznał.

– Musimy się pospieszyć – rzucił do Północnika po nubreveńsku, bo tyle tylko udało mu się z siebie wykrztusić.

Ulecieli ku następnym drzwiom, umiejscowionym tym razem na samym końcu jaskini.

Nie świeciły się, a kiedy przez nie przeszedł, nie pojawiła się żadna magia. Widział jedynie cienie. Następne drzwi, następne drzwi – musieli dotrzeć do następnych drzwi, nim zjawi się Furia, nim przyprowadzi tutaj Króla Zdobywcę. A drzwi te znajdowały się blisko, połączone z obecną półką schodkami.

Góra zadrżała. Tak mocno, że Merik się przewrócił, a Północnik spadł z półki.

Księżę wypchnął swoje wiatry, a te złapały Północnika i sprowadziły go na ziemię – ziemię, która nadal drżała. Wokół spadały kamienie, unosiły się chmury pyłu. Kiedy tam stali,

podpierając się nawzajem, w oczekiwaniu na koniec drżenia, do płuc Merika napłynęło lodowate zimno.

Moc, moc, moc.

A potem pojawiła się ciemność, falująca i zmrożona. Okrążyła ich i obaj rzucili się w stronę drzwi, które przed chwilą porzucili.

Pojawiła się w nich jakaś postać.

– Dlaczego trzymam w jednej ręce brzytwę? – zapytała. – By ludzie pamiętali, że jestem ostry jak moje ostrze. A dlaczego w drugiej trzymam pęknięte lustro? By ludzie pamiętali, że zawsze patrzę.

Z cieni wyszedł Furia. Emanowało od niego gwałtowne, nieprzyjemne zimno. W pełni zasłużył na swoje imię.

Wbił w Merika spojrzenie poczerniałych oczu.

– Gdzie one są, Meriku? – zapytał. – Co zrobiłeś z moją brzytwą i moim lustrem? – rzekł, po czym zaatakował.

ROZDZIAŁ 53

Podmuch parzącego powietrza uderzył w Łódź, kiedy Vanessa wyprowadziła Safi i piekielnych bardów na jezioro Scarza – i kiedy trafili w sam środek walki widzianej tylko przez piekielnych bardów.

Żar kłuł policzki Safi niewidzialnymi, rozżarzonymi węgielkami i sprawiał, że się krztusiła. Tymczasem Łódź podskakiwała na falach, kierowana magią Vanessy, którą z kolei kierował siedzący u steru Caden.

Płynęli w stronę brzegu. Niestety niewystarczająco szybko. Pływającym Pałacem wstrząsnęła eksplozja. Nagła fala energii, która ogłuszyła Safi. Nie słyszała ani nie czuła niczego innego. Pęd ognia rozbijał się o nią, mieszkał w niej i oddychał jej wysuszonymi płucami.

W tym momencie blaskodziejskie zaklęcie zadrżało. Na krótką chwilę, tak jak wcześniej, ale ta chwila wystarczyła, aby Safi dojrzała rozmiary katastrofy. Tuż przed nimi płonął statek rozdarty na dwie części, a ku niebu unosiły się smugi ciężkiego dymu. Wodę zabarwiła krew. Marynarze kurczowo trzymali się fragmentów desek, na powierzchni unosiły się zwęglone ciała.

Habim zawsze powtarzał, że wojna jest bezsensowna, a mimo to doprowadził do tak bezsensownego horroru. Oto efekty realizacji planu wuja Erona – jak widać, rezultatem nie był wcale pokój w Czarodziemiach. Przez prowizoryczny opatrunek Vanessy przesiąkała już krew, nadając krepie niemal czarny kolor.

Zaklęcie nagle odzyskało moc i raz jeszcze przed oczami Safi pojawił się fałszywy spokój.

– W prawo! – ryknął Caden. Łódź skręciła w tę stronę. – Jeszcze bardziej!

– O, bogowie, bardziej w prawo! – zapiszczała Lev.

Dłonie Vanessy wykręciły się jeszcze mocniej. Tak mocno, że łódź niemal się wywróciła. Na szczęście Zander trzymał się Vanessy, a Lev Zandera – natomiast Caden i Safi trzymali się po prostu łodzi. Do ust Safi wlatywał popiół. Oczy szczypały ją od niewidzialnego dymu.

Wtedy łódź skręciła w przeciwną stronę i wszyscy polecili na drugą burzę. W lewo, prawo, lewo, prawo. Caden wykrzykiwał rozkazy, a Vanessa je spełniała.

Jeszcze trzy razy zakłęcie na chwilę opadło i trzy razy Safi widziała zniszczenia, śmierć i krew ciekącą z nosa cesarzowej. A potem zostawili je za sobą. Safi w końcu znowu normalnie widziała. Cesarzowa także – natychmiast się wyprostowała.

Łódź wystrzeliła do przodu jeszcze szybciej, śmigając po grzbietach fal. Jezioro przepełniały jednostki uciekające przez zaczarowaną zakłętą bitwę, lecz Vanessa wprawnie lawirowała między nimi. Aż wreszcie znaleźli się niemal przy brzegu. Nabrzeże coraz bardziej się przybliżało, ale Vanessa nie zwolniła, wprost przeciwnie. Nawet Caden ryczał, aby się zatrzymała.

– Pozabijasz nas! – wołała Lev.

Vanessa wyrzuciła ręce jeszcze wyżej i skierowała łódź do drogi, na którą wylewały się tysiące ludzi. Po twarzy spływała jej krew. Rozpryskiwała się na buzi Safi – co nie znaczy, że ta w ogóle zwróciła na to uwagę. Widziała jedynie zbliżającą się ku nim śmierć.

Zander dołączył do wrzasków Lev, podobnie Safi, ale Vanessa ich nie słuchała.

Dotarli do kamiennego nabrzeża.

Łódź uniosła się nad powierzchnię jeziora, rozpryskując kaskady wody, po czym z głuchym uderzeniem wylądowała.

Przez kilka pełnych napięcia sekund wszyscy znajdowali się w stanie szoku. Nie tylko Safi, Vanessa i piekielni bardowie, ale także Marstokczycy, którzy uskoczyli przed łodzią. Wszyscy oddychali z trudem i próbowali zrozumieć, co się stało.

Ta chwila wytchnienia okazała się krótkotrwała. Rozległy się strzały z pistoletów, a kiedy Safi się odwróciła, dojrzała płynący w ich stronę statek, od dziobu do rufy pełen żołnierzy. Broń mieli wycelowaną w niebo – ostrzeżenie dla ludzi, aby się rozstąpili. Ci z gorączkowym piskiem uskakiwali na boki.

Tylko Safi, Vanessa i piekielni bardowie siedzieli na łodzi na stałym lądzie i czekali, aż dosięgnie ich śmierć.

– To co – pisnęła Lev – możemy założyć, że ci Marstokczycy nie są po naszej stronie?

– Nie są. – Safi zeskoczyła z łodzi. – Biegniemy.

Nie musiała powtarzać. Zander raz jeszcze przerzucił sobie przez ramię Vanessę, w ogóle nie protestowała. Z nosa nadal leciała jej krew, twarz miała bladą, a prowizoryczny opatrunek przesiąknięty krwią.

Wbiegli w boczną uliczkę, przecięli skrzyżowanie i dotarli do większej arterii. Przed nimi gęsty tłum, za nimi pistolety. Nie zwalniali, nie oglądali się. Przepychali się bezpardonowo przez blokujących im drogę ludzi.

– Dokąd biegniemy? Potrzebny nam plan! – zawołała dwie ulice dalej Lev.

– Myślisz? – odkrzyknął Caden. – Mnie tam wcale niepotrzebny kolejny Ratsenried.

– W Ratsenried mieliśmy plan – wtrącił Zander. – Tyle że nie wypalił.

– Bo to był wasz plan! – zaczęła Lev. – Na ognie piekielne, gdybyście tylko mi pozwolili...

– Przymknij się! – Safi chwyciła Lev za ramię. – Wszyscy się przymknijcie i biegnijcie za mą.

Piekielni bardowie ponownie jej posłuchali. Na następnym skrzyżowaniu Safi skręciła w lewo. Na zachód, w stronę gór.

Ona miała plan. Był co prawda niedopracowany i Iseult w kilka sekund rozłożyłaby go na czynniki pierwsze, ale jednak coś miała. Działanie teraz, konsekwencje później. Poza tym obrała cel, do

którego biegła, i doskonale widoczne punkty orientacyjne: złote iglice. Jedną po drugiej, odnajdywała je ponad budynkami czy tłumami, jedna po drugiej prowadziły ich w stronę serca miasta i iglicy najwyższej ze wszystkich.

– Jak się wczoraj dostaliście do Prastudni? – zawołała Safi do Lev, kiedy znajdowali się już niedaleko ostatniej iglicy. – Gdzie była ta dziura w murze?

– Czemu pytasz? – zapytał ostro Caden. Odepchnął na bok kobietę z kwilącym dzieckiem.

– Zamknij się, dowódcu. Nie ciebie pytała – warknęła Lev, a potem wskazała w kierunku północnym. – Dziura była tam!

Safi bez namysłu ruszyła we wskazaną stronę. Cztery kolejne ulice, dwa skręty i w końcu dostrzegła mur. Nie ciążyło już na nim blaskodziejskie zaklęcie, ale za to był doskonale strzeżony. Po drugiej stronie wielkiej dziury widać było cedry i cienie.

– Vanesso! – zawołała Safi, nie zwalniając kroku, nawet kiedy dostrzegło ich dwunastu żołnierzy, a dwóch z nich dobyło mieczy.

– Tak – jęknęła niewyraźnie cesarzowa. Pstryknęła palcami...

Miecze się roztopiły. Żołnierze wydali głośne okrzyki, a Vanessa ponownie pstryknęła palcami i tym razem całe znajdujące się w pobliżu żelazo uległo stopieniu. Wszystko, czego dotykało, zajęło się ogniem. Pochwy, mundury, ludzie. Palące się ciała i włosy – wszystko to drażniło nos pędzącej bez wytchnienia Safi.

Wreszcie dotarli do dziury w murze. Sekundę później znaleźli się w mrocznym lesie.

Nie minęło dużo czasu, a dobiegli do otaczających Prastudnię płyt i Safi odważyła się zerknąć za siebie. Może mieli czas, aby najpierw uzdrowić Vanessę...

Nie, zdecydowanie nie mieli. Na teren Studni wdzierały się setki żołnierzy i jeśli Safi i piekielni bardowie nie okażą się wystarczająco szybcy, ci żołnierze zobaczą, dokąd biegną.

– Szybciej! – zawołała Safi, dudniąc piętami o płyty. Woda mruczała i marszczyła się na powierzchni.

Chwilę później Safi, a zaraz za nią piekielni bardowie wbiegli między cedry – te akurat niepoczerniały.

Dotarli do iglicy.

Safi skręciła w lewo do ukrytej między skałami i drzewami szczeliny w ziemi.

– Tam!

– Domno – rzuciła ostrzegawczo Lev. – To mi wygląda na bardzo zły pomysł.

– Musicie mi zaufać! – Zeskoczyła. Przed nią lśniło niebieskie światło. Im bliżej podchodziła, tym większa magia pulsowała na jej skórze.

Prawdziwa, ciepła, radosna magia nucąca w jej sercu. Przywoływała ją do siebie. Wczoraj tam wpadła, ale nie miała szansy, aby poczuć tę magię, delectować się jej mocą czy analizować, co ona może oznaczać.

Za nią wczołgała się Lev, a kiedy Safi zerknęła za siebie, piekielna bardka wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– A więc to jest twój plan? – wyszeptała Lev.

– Aha. – Safi się wyszczerzyła. – Za mną.

ROZDZIAŁ 54

Ogień ryczy. Drewno trzeszczy, wszędzie fruwa żar.

*– Biegnij. – Krew kapie z ust jego matki, gdy wypowiada to słowo.
Rozpryskuje się o jego twarz.*

Kobieta podpira się splamionymi czerwienią rękami, podnosi się z ziemi. Chce, żeby on się spod niej wyczołgał. Chce, żeby uciekł.

– Biegnij, moje dziecko, biegnij.

Ale on się nie rusza, tak samo jak wtedy, kiedy najeźdźcy przypuścili atak na osadę, a jego ojciec dobył miecza i wybiegł z namiotu. Albo gdy najeźdźcy stanęli w progu namiotu, wypuścili strzały, a potem jego matka upadła na niego. Osłaniała go swoim ciałem, dopóki napastnicy nie odeszli.

– Biegnij – szepcze po raz ostatni, a jej srebrne oczy pełne są błagalnej desperacji. Opuszcza ją resztką sił. Upada na niego.

Sześć strzał, które przeszło jej ciało, wbija się w Aeduana. Ból, urywany oddech i krew, krew, krew. Zawsze krew.

Został przyszpilony do ziemi przez drzewo i zwłoki. Jego matka nie żyje.

I teraz nie ma już mowy o ucieczce. Teraz jest już tylko ogień.

Chłopiec zaczyna płakać.

Aeduan obserwował samego siebie. Stał w miejscu, z którego wcześniej najeźdźca wypuścił sześć strzał w plecy Dysi. Stał w wejściu do ich namiotu – tyle że teraz nie było żadnego namiotu. Otaczały go ogień i cienie.

Umierał tamtego dnia raz za razem. Tysiąc razy, dopóki nie spadł deszcz i nie znalazła go Evrane. Strzały upuściły mu krew. Ogień go spalił, a jednak zawsze wracał. Zawsze się wybudzał i znajdował nad sobą martwą twarz matki.

„W ślad za tobą podąża śmierć, jednak dzięki łasce Studni własną zawsze udaje ci się prześcignąć”.

Taka była prawda. Aeduan zawsze prześcigał śmierć, poczynawszy od tamtego dnia przed piętnastu laty.

W jednym Lizl nie miała jednak racji: to nie łaska. To było przekleństwo. Tamtego dnia pragnął umrzeć i pozostać w świecie martwych. Chciał dołączyć do matki i na zawsze już uciec płomieniom.

Ale śmierć odmawiała mu wstępu do swoich komnat. Magia Aeduana leczyła jego rany, podczas gdy ciało matki przyjmowało cały impet ognia, aż w końcu nie zostało z niej nic oprócz zwęglonych szczątków. Za to strzały w ciele Aeduana spaliły się na proch, w jego klatce piersiowej tkwiły już tylko rozgrzane do białości groty.

W końcu deszcz ugasił płomienie. Pośród zgliszczy pozostał jedynie wilgotny dym. Aeduana odnalazła Evrane o łagodnej twarzy, jego ciało opatrzyły jej delikatne ręce.

W snach przeżywał ten atak każdej nocy od nowa, jednak nigdy dotąd nie patrzył na to z zewnątrz, tak jak teraz. Nigdy nie widział, jak jego matka umiera, a z jego ran sączy się krew. Patrzył, jak ciało matki skwierczy i dymi. Teraz stał na obrzeżach sceny, obserwował, jak chłopiec umiera pod płonącym niebem, jak łzy płyną po jego policzkach, natychmiast wyparowując. Jego młodzieńcza skóra zostaje przebita i błyskawicznie się goi. Patrzył, jak życie opuszcza jego ciało, by chwilę później do niego powrócić. Raz za razem. Obserwował, jak mocowania strzał w plecach jego matki zajmują się ogniem. Sześć jasnych płomieni, od których zapalają się także groty, przenosząc ogień przez ciało jego matki do niego.

Nadal jego rany się goiły. Nadal szlochał. Nadal umierał.

Tym razem jednak nie przyszła po niego Evrane. Nie spadł deszcz. Długo trwało, nim Aeduan zauważył, że wspomnienie uległo zmianie – nie trzyma się prawdy tamtego dnia sprzed piętnastu lat. Do tego czasu Evrane powinna już nadejść.

Po raz pierwszy, odkąd obudził się w tym wspomnieniu, Aeduan odwrócił się, jakby sądził, że za nim może stać mniszka. Może

czekała, aż on się odsunie, aby mogła przejść dalej. Nikogo jednak nie dostrzegł. Oczywiście, że nie, widział jedynie jeszcze więcej płomieni. Więcej dymu, cieni i bólu. W tym koszmarze został zupełnie sam. Nie było Evrane ani ucieczki. Pozostała tylko ciemność i on sam.

Odwrócił się z powrotem w stronę dziecka. Do chłopca, którym kiedyś był. Nie dostrzegł w nim demona.

I w tym momencie Aeduan zrozumiał: tamtego dnia nie tylko pragnął umrzeć. On rzeczywiście umarł. To dziecko spłonęło w nim razem ze swoją matką i od tamtej pory tylko istniał, ale nigdy tak naprawdę nie żył.

Teraz nikt po niego nie przyszedł. Evrane zepchnęła z Aeduana ciało jego matki, opatrzyła mu rany i zabrała do Klasztoru, ale wcale go nie uratowała.

Przez te wszystkie lata obwinił siebie o to, co się stało. Gdyby walczył, jakoś zareagował, jego matka by nie zginęła. Nie uwięziłaby go pod sobą, jego plemię by nie spłonęło. Obwiniając siebie, nadawał śmierci znaczenie. Nadawał jej powód, a tym powodem było jego istnienie. Jego porażki, słabości i potworna, powiązana z Otchłanią magia napędzana krwią. Ale tak naprawdę nie istniał żaden powód. Aeduan był jedynie dzieckiem uwięzionym pośród zgliszczy wojny. To nie on wywołał konflikt, a mimo to stracił przez niego życie.

Teraz nie mógł ocalić go nikt oprócz niego samego.

Zrobił cztery długie kroki i znalazł się przy chłopcu. Wpatrywał się we własną twarz, częściowo zasłoniętą przez zwęglone szczątki jego matki. Dysi była piękną kobietą. Teraz pozostały po niej dymiące zwłoki i garstka wspomnień.

Aeduan ostrożnie chwycił ją za ramiona, aby ją odsunąć. W chwili kiedy jej dotknął, rozpadła się w czarną nicość i zniknęła. Kucnął obok chłopca – obok siebie – i spojrzał w lodowato niebieskie oczy. Nigdy dotąd nie patrzył w swoje oczy. Wirowała w nich także czerwień.

– Biegnij – rzekł do chłopca. – Biegnij.

- Nie mogę – odparł malec.
- Możesz – zapewnił go Aeduan. – Możemy. Razem.

Ogień ryczy. Drewno trzeszczy, wszędzie fruwa żar.

Jest przyszpilony do ziemi przez drzewo i zwłoki. Jego matka nie żyje.

Ale on nie umrze razem z nią. Kazała mu biec, więc tak musi zrobić.

Odpycha się, a z jego płuc wydostaje się krzyk. Przedostaje się przez wyschnięte gardło i przebija przez ogień. Pcha, pcha – jego matka jest ciężka, ale chłopiec nie może pozwolić, aby jej strata go zatrzymała.

Jego krzyk staje się głośniejszy, mięśnie trudzą się i jęczą. Rany w klatce piersiowej są coraz głębsze, ogień pali mu policzki.

W końcu mu się udaje. Ciało matki upada sztywno na bok, uwalniając mu nogi. Widzi także wyraźną przerwę w płomieniach i przelatującą przez nią czerwoną nitkę. Cienka i delikatna, dociera do klatki piersiowej chłopca.

Szybko się jednak kurczy. Z każdym uderzeniem serca, z każdym atakującym go płomieniem nitka kurczy się niczym podpalony sznurek. Albo jak płonąca nić Więzi.

Ogień nie zajmie tej nici, bo choć krew może i płonie, to z duszą chłopca tak się nie stanie.

Krwiodziej imieniem Aeduan puszcza się biegiem.

ROZDZIAŁ 55

Kiedy Aeduan ponownie otworzył oczy, poraziło go światło, jakby noc zmieniła się w dzień. Jakby jakimś cudem dostał się do samego serca słońca.

Płynęła woda, mętna i oślepiająca... a potem pojawiła się w niej jakaś twarz.

Iseult.

Wisiała zawieszona w wodzie, oczy miała zamknięte. Włosy falowały wokół jej głowy, aureola nocy wokół księżyca. Za nią unosiła się biała caraweńska peleryna, ciężka i dzika. Z jej nosa i ust nie wydostawały się bąbelki.

Zdjęła go panika. Objął ją jedną ręką w talii, a drugą zwolnił zapięcie pod jej szyją. Peleryna została za nimi. Płynął w stronę powierzchni szybko i rozpaczliwie, jakby jego krew czekała na tę właśnie chwilę. Jakby całe życie pragnął właśnie tego. Zapłonęła w nim magia. Dodała jego mięśniom siły i prędkości nieznaną zwykłemu człowiekowi; płynął ku górze z Iseult u boku.

Studnia uleczyła klątwę, tak jak obiecała mu Iseult. A potem odebrała go śmierci i przywróciła mu to, czego całe życie nienawidził. Jego mętny rozum zaczynał pojmować, co się wydarzyło. Teraz to widział.

Bycie krwiodziejem nie oznaczało, że nie może być także człowiekiem.

Holował Iseult w stronę nocy. Chwilę później wynurzyli się z wody, zimnej i szczypiącej. Aeduan chwycił za najbliższy kawał lodu i przytrzymał się go. Przyciskał Iseult mocno do siebie, żeby mu nie odpłynęła.

Wokół nich wirowały światło i para, wymazując resztę świata. Nie widział nikogo innego. Nie słyszał nikogo innego. Równie dobrze mogli być jedynymi ludźmi, którzy przeżyli tę bitwę.

Ostatni na całym świecie.

– Iseult – odezwał się, zaklinając ją, aby się obudziła. – Iseult, Iseult, Iseult. – Nie potrafił przestać wypowiadać jej imienia, nawet kiedy łapał płytki oddech. Nawet kiedy szukał sposobu na wydostanie się z wody. – Iseult, Iseult, Iseult.

Uratowała go. Miał wobec niej kolejny dług życia, tyle że teraz rozumiał, iż to bez znaczenia. Nie miało już znaczenia od czasu, kiedy dźgnęła go w serce przy tamtej latarni morskiej. Od czasu, kiedy dał jej swoją pelerynę z włókien salamandrowych i powiedział: „*Mhe varujta*”.

– Iseult, Iseult, Iseult.

Przez światło i parę ledwo widział jej twarz. Musiał ich wydostać z tej Studni. Na jednej ręce przeciągał ich wzdłuż poszarpanego lodu.

Wiedział, że w tym uczuciu chodzi o coś więcej niż długi życia i że strach w jego sercu jest sprzeczny z tym, kim Aeduan kiedykolwiek chciał być, za jaką osobę się zawsze uważał.

Jego palce natrafiły na fragment, którego mógł się porządnie uchwycić.

– Iseult, Iseult, Iseult.

Złapał. Pociągnął. Paznokcie wbiły mu się w lód. Piekły go mięśnie przedramienia. Z gardła wydobył się krzyk, nie potrafił dłużej wypowiadać jej imienia. Zamiast tego powtarzał je sobie w myślach. Iseult, Iseult, Iseult.

Młócił nogami. Jego magia śpiewała. Nie minęło wiele czasu, a jego głowa znalazła się nad lodem. A potem i jej głowa.

Iseult, Iseult, Iseult.

W końcu udało mu się uwolnić z wody cały tułów. Nie robił tego delikatnie ani z gracją. Ciało Iseult szorowało po lodzie, ale znajdowała się na tyle wysoko, że na pół uderzenia serca mógł ją puścić.

Aeduan wydostał się cały na powietrze, po czym odwrócił się i wciągnął na lód także Iseult. Jej ciało parowało. Jego także, a panujący w dolinie chłód przeszywał go aż do szpiku kości.

– Iseult. – Ponownie wypowiedział jej imię, cicho i chrapliwie. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

Była ciepła i na jej szyi trzepotał puls. Oddychała. Delikatne ruchy klatki piersiowej oznaczające, że nie utonęła.

Przez głowę przebiegła mu myśl, że Cahr Awen nie może utonąć – nie tutaj. Kiedy znajdowali się w wodzie, miał zdolność odbierania wrażeń. Czuł z nią jedność. Dopełnienie. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, kim jest Iseult.

Przesunął dłońmi po jej mokrych rękach, po nogach, sprawdzając, czy nie ma połamanych kości. Szukał czegoś, co by tłumaczyło, dlaczego nie odzyskuje przytomności. Niczego nie znalazł. Wszystko, czego dotknął, było nienaruszone, aczkolwiek z każdą chwilą coraz chłodniejsze.

– Iseult, Iseult, Iseult.

Ona i Aeduan przeżyli rozszczepienie żmija w Lejnie. Przeżyli najeźdźców i Amonrę. Przeżyli ogniodzieja, Ziemię Niczyją i kilka tygodni w Górach Sirmayańskich.

Nie mógł jej teraz stracić.

Gdy przycisnął palce do jej karku, szukając jakiegoś uszkodzenia kręgosłupa, jej ciało się spięło.

Znieruchomiał. Czekał. Wpatrywał się w nią.

Wtedy jej plecy wygięły się w łuk. Wzięła rzęzący oddech, po czym się rozluźniła. Otworzyła oczy. Żłote z plamkami zieleni. Jedyne oczy, które napotykały spojrzenie Aeduana i nie uciekały w bok. Na ich widok serce mu zatrzepotało. Jego ciało zalało dziwne uczucie ulgi pomieszanej z konsternacją. Próbował się odsunąć, dać jej przestrzeń, ale ona szybkim ruchem chwyciła jego kołnierz. Przyciągnęła go do siebie. Jego tors wylądował na jej klatce piersiowej. Ich twarze dzieliły zaledwie cale.

Iseult, Iseult, Iseult.

Lód pod jego dłońmi był potwornie zimny. Wiatr wydymał mokre ubranie. Z twarzy skapywała woda. Jedna kropla wylądowała na jej policzku i ześlizgnęła się bokiem. Pragnął ją zetrzeć, ale bał się

poruszyć. Obawiał się, że jeśli to zrobi, Iseult przypomni sobie, kim on jest. Wzdrygnie się i odsunie.

A miał ją teraz tak blisko siebie. Widział każde zgięcie i wgłębienie na jej twarzy. Jak żuchwa przechodzi w spiczasty podbródek, usta się rozchylają, odsłaniając fragment zębów, błysk języka. Ale to jej oczy przyciągały jego uwagę – jak zawsze. Źrenice Iseult pulsowały w rytm jej oddechów. Żebra także, obijając się o jego klatkę piersiową.

Nie miał pojęcia, dlaczego kiedyś uważał ją za mało interesującą.

Iseult zacisnęła mocniej palce na jego kołnierzu. Przyciągnęła go bliżej, aż ich nosy niemal się stykały. Jej nos i policzki zdążyły się zaróżowić z zimna.

Iseult, Iseult, Iseult.

Wtuliła się w niego, aż w końcu znajdowała się tak blisko, że jej oddech szeptał mu do ust.

– Aeduan – zaczęła. – Ja...

Światło w Studni zgasło. Nagle i bez ostrzeżenia wokół nich pojawił się las – oraz dym i płomień...

I twarze. Setka żołnierzy wychodzących spomiędzy drzew.

Aeduan zerwał się na równe nogi. Zmroziło go nocne powietrze.

– Stań za mną – polecił Iseult, mimo że już to zrobiła.

Jak to się stało, że przeoczył zbliżanie się najeźdźców? Moc kryjąca się w Studni najwyraźniej zakłócała jego magię. Teraz jednak odzyskał moc, wyczuwał wonie krwi, tak różne jak przypisane do nich twarze. Na czoło wychodził zapach oddechu dziecka i dojmującej straty.

Z cieni wyłonił się Król Zdobywca, jego ojciec.

– Aeduanie! – zawołał i zatrzymał się na skraju zamarzniętej Studni. – Daj mi tę dziewczynę.

„Nie”, chciał powiedzieć Aeduan, nim jednak zdążył to zrobić, owionął go nowy zapach krwi. Chłodna woda strumienia i słone klify. Odwrócił się na pięcie i w tym samym czasie spomiędzy drzew

po drugiej stronie wyszła Evrane, a za nią setka mnichów z dobytymi mieczami.

Przez pół oddechu przez mięśnie Aeduana przetaczało się uczucie ulgi. Evrane go uratowała, była po jego stronie, ochroni Iseult. Tyle że Iseult kręciła głową.

– Nie – mruknęła. I głośniej: – Nie, Aeduanie. Ona nie jest tym, za kogo się podaje.

Nie miał pojęcia, co oznaczają te słowa, ale ich nie kwestionował. Skoro Iseult nie chciała dołączyć do Evrane, w takim razie on nie dopuści do nich mniszki.

W żyłach buczała mu moc. W mięśniach siła, a w sercu magia. Krew mu się skrzyła, jak zaledwie chwilę temu światło w Studni.

– Aeduanie. – Tym razem ton głosu jego ojca przybrał błagalne brzmienie, a w jego krwi pojawiła się iskra desperacji. – Wiesz, kim jest. Wiesz, że jej potrzebuję. – Uniósł rękę. – Daj mi ją, synu.

– Nie, daj ją mnie! – zawołała Evrane. – Cahr Awen zjawił się po to, aby nas ocalić, Aeduanie. Pamiętaj o naszym obowiązku.

Pamiętam. Odwrócił się do Iseult.

– Weź mnie za rękę – rzekł, a ona bez wahania splotła palce ich dłoni. Patrzyła Aeduanowi w oczy i ani na chwilę nie odwracała wzroku.

Ufała mu. Zawładnęła jego eterem i będzie prowadzić jego miecz. W niej mrok kończył się i zaczynał, Aeduan jej nie zdradzi. Już nie.

Wziął głęboki oddech, uciszając swój umysł i unieruchamiając ciało, aby jego magia mogła osiągnąć maksymalny poziom. Tysiąc zapachów krwi odbijało się od niego, a tysiąc kolejnych czekało na swoją kolej.

Wszystkie mógł sobie wziąć. Wszystkie mógł kontrolować.

Ale Aeduan miał już wystarczająco dużo krwi na rękach i zrozumiał, że śmierć wcale nie musi kroczyć w ślad za nim.

Już nie.

Dłoń Aeduana była taka ciepła – mimo atakującego ich zimnego wiatru, mimo tego, że cali byli mokrzy.

– Chodź za mną – rzekł do niej.

I ruszył w stronę cedrów, więc ona także.

– Aeduanie, co ty robisz? – zawołała Evrane. – Oddaj mi Cahr Awena! Znasz przecież przysięgę.

– Krew znaczy więcej niż przysięgi! – krzyknął mężczyzna na czele najeźdźców. Wyglądał jak Aeduan, tyle że był starszy. A w jego niciach Więzi, ciemnozielonych, symbolizujących władczość, przebłyskiwał także biały strach i niebieskie poczucie straty. – Aeduanie, proszę cię. – Strach i żal zamigotały intensywniej.

Taka sama biała panika wplotła się w nici Evrane.

– Aeduanie! – wrzasnęła. – Dokąd idziesz? Zatrzymaj się!

Nie posłuchał. Ani on, ani Iseult. Byli już prawie przy krawędzi Studni.

W niciach Evrane eksplodował gniew.

– Łapcie ich! – warknęła.

W tej samej chwili mężczyzna poleciał:

– Zatrzymać ich!

Po tych słowach każda postać, każdy komplet nici wokół Studni rzucił się do działania. Cały rój, który dotrze do Iseult i Aeduana w ciągu kilku sekund.

Iseult zatrzepotało serce. Jej mięśnie się napięły, gotowe do biegu, ale Aeduan tylko mocniej ścisnął jej dłoń, nie przyspieszał.

Kiedyś uważała, że Aeduan porusza się, jakby pochodził z zupełnie innych czasów. Jakby siedł już przez tysiąc lat i planował to robić przez kolejny tysiąc. Teraz jednak dostrzegła w nim nowy spokój – nagle tysiąc lat wydawało się bardzo krótkim okresem dla człowieka z jego siłą.

Aeduan i Iseult zeszli z lodu, ich przemoczone buty zatopiły się w śnieżnych zaspach. Dwoje mnichów ruszyło w ich stronę, a w ich niciach błyszczał pełen skupienia błękit i gwałtowna szarość.

Wtedy dopadł ich pierwszy mnich. Zrobił zamach mieczem...

I zamarł. Z uniesioną ręką, szeroko otwartymi ustami – zaledwie dwa kroki od Iseult.

Za nim przybiegła druga mniszka. W wyciągniętej ręce trzymała nóż, a jej nici Więzi gorączkowo drżały. Ona także znieruchomiała. A potem trzeci mnich i dwóch najeźdźców nadciągających z lewej strony. Jedna po drugiej, wszystkie podchodzące blisko osoby zamierały w pół kroku.

Aeduan nie reagował, zdecydowanie kroczył przez wieczność.

Zaprowadził Iseult między cedry. Czerwonawe pnie i połyskujące igły, tak bardzo surrealistyczne wśród unoszącego się w górze dymu. Pośród sylwetek zbliżających się ze wszystkich stron. Aeduan nadal się nie spieszył. W jego oczach wirowała czerwień. Oddychał miarowo i Iseult czuła w jego dłoni dudnienie serca. Krwio. Dziej. Krwio. Dziej. Rytm idealny do marszu.

Z każdą sekundą pojawiało się coraz więcej ludzi. Mnichów w białych pelerynach i najeźdźców w futrach. A wszystkich cechowały nici w odcieniu leśnej zieleni oznaczającej polowanie. Do czasu, aż docierali do Aeduana i Iseult. Wtedy zamierali i do ich nici Więzi zgodnie zakradał się szok. Poruszały się wtedy już tylko włosy, peleryny i brody, powiewające na mroźnym wietrze.

I oczy. Niezliczona liczba par oczu patrzących na boki, wściekłych i bezsilnych.

Iseult nie miała pojęcia, że Aeduan potrafi unieruchomić tak wiele osób jednocześnie. Ciekawe, czy on sam o tym wiedział – albo czy byłby to w stanie zrobić ponownie.

Wyszli spomiędzy drzew, dotarli do końca wyspy. Po drugiej stronie zamarzniętej rzeki toczyła się regularna bitwa najeźdźców z mnichami. Płatanina ciał i nici Więzi, stłoczonych tam, gdzie nie szalał morski ogień.

Nie mieli możliwości przebić się przez ten chaos. Nie czuła więzi z tymi płomieniami, nie miała ochoty ich kontrolować. Uwięziony w niej ogniodziej milczał. Być może uwolniła go magia pradawnej Studni.

Iseult obejrzała się na Aeduana. Za nim najeźdźcy i mnisi stali sztywno jak posągi, a w tle rozbrzmiewało wycie ognia i krzyki walczących i ginących. Klatkę piersiową krwiodzieja uniósł głęboki oddech. Poruszył ramionami. Raz. A potem uniósł wolną rękę. Trzęsła się. Zacisnął powieki i jego moc wyrwała się do przodu niczym fala wylewająca się na piaszczysty brzeg. Miecze znieruchomiały, tarcze pozostały w górze. Ostrza się zatrzymały, zanurzone w ciele, twarze zaś zastygły, uwięzione w agonii, gniewie czy zaskoczeniu.

Aeduan otworzył oczy. Nie zostało w nich nic białego, nic niebieskiego, jedynie czerwień, od krawędzi do krawędzi.

– Teraz biegniemy – powiedział do Iseult.

Wokół nich rozbrzmiewał śpiew ognia.

– Tak – przytaknęła. – Teraz biegniemy.

Uścisnęła jego dłoń.

Prowadził Aeduan, przemykając po lodzie, pomiędzy płomieniami. Lawirowali między zastygłymi wojownikami oraz zwłokami. W oczy piekł ją czarny dym. Nacierają na nią fale gorąca. Na dnie jej świadomości pojawiło się pytanie o to, jak wiele razy ona i krwiodziej o imieniu Aeduan tak razem biegli. Przez ogień piekielny i nie tylko.

Im dłużej biegli, tym więcej ludzi zaczynało się poruszać. Powoli, jakby więziły ich ruchome piaski.

Aeduan tracił nad nimi kontrolę. Iseult przyspieszyła. On także. Nie minęło wiele czasu, a gorąco osłabło, z dymu zaś wyłonił się mroczny klif. Na samym dole, otoczone zamarznętym bagnem, mieściły się ciemne drzwi. Na ich widok Iseult próbowała się zatrzymać, ale Aeduan pociągnął ją za sobą. Oddech mu się rwał. Oczy pociemniały, przybierając odcień rudobrazowy, jak zastygająca na ostrzu krew.

– Te drzwi prowadzą do Klasztoru, Aeduanie! – Musiała przekrzykiwać wycie morskiego ognia.

– A także na zewnątrz – odkrzyknął, a raczej próbował, bo głos rwał mu się tak samo jak oddech. – Tam jest... rozwidlenie.

Tak, tak. Iseult pamiętała to miejsce w tunelu. Ona i Leopold wybrali drogę prowadzącą w dół...

Leopold. O, bogini, co się z nim stało? Zostawiła go samego na polu bitwy i od tamtego czasu w ogóle o nim nie myślała.

– Na rozwidleniu pójdziemy w prawo – kontynuował Aeduan – tunel wyprowadzi nas poza Klasztor... – Urwał i Iseult obejrzała się na niego, uznając, że w końcu dopadło go wyczerpanie.

Tysiąc postaci poruszało się już szybciej, brodząc w błocie w ich stronę. Mimo to Aeduan nadal biegł i trzymał Iseult mocno za rękę.

W górze wyczuła srebrne nici. Blueberry, pomyślała. Nietoperz krążył gdzieś niedaleko. Iseult modliła się, aby to nie oznaczało, że w pobliżu jest także Sowa. Nim jednak zdążyła rozejrzeć się po niebie w poszukiwaniu Blueberry'ego, do jej świadomości przedarł się nowy komplet nici. Drżących i niebezpiecznych, łączących w sobie śmierć, głód, przyjemność i wściekłość.

Abbot.

Iseult opuściła wzrok i jej oczom ukazał się Natan fon Leid. Pojawił się w wejściu do jaskini, w jednej ręce trzymał miecz, w drugiej puklerz. Na głowie miał caraweński kaptur, ale Iseult nie musiała widzieć jego twarzy. Znała te nici i pelerynę z czerwoną lamówką.

Aeduan uniósł rękę. Wyciągnął ją w stronę Abbota, lekko zwalniając. Dłoń mu drżała.

Nic się nie wydarzyło. Abbot nie znieruchomiał, jego skaczących nici nie przeszył szok. Zamiast tego wybuchnął śmiechem.

– Włókno salamandrowe – zawołał. – Sztuczka, którą podpatrzyłem u ciebie, krwiodzieju. A teraz oddaj mi Cahr Awena. – W jego niciach widniał błękitny spokój, jakby zamierzał cierpliwie czekać. Jakby poprosił o sól do jagnięciny.

A potem bez ostrzeżenia ruszył w ich stronę. Znacznie szybciej, niż mogła to sugerować jego przysadzista sylwetka; mimo wszystko

wyszkolili go Caraweni.

Aeduan ledwie zdążył się uchylić. Iseult musiała go za sobą pociągnąć, ich dłonie się rozdzieliły. Za nimi bitwa przyspieszała. W ich stronę zmierzały nici Więzi i kwestią czasu było, kiedy Aeduan zupełnie utraci kontrolę nad tłumem. Nie mógł jednocześnie walczyć i unieruchamiać najeźdźców i mnichów.

„Spal ich” – odezwało się serce Iseult i tym razem to nie ogniodziej przez nią przemawiał. Wiedziała, co musi tu zrobić. Już to wcześniej zrobiła i wcale nie potrzebowała płomieni. Mieszkał w niej zupełnie inny ogień: moc, która przebijała się przez zaczarowany lód i Prastudnie. Uniosła rękę i rozcapierzyła palce. Tak jak pokazała jej Esme, jak już to robiła na Ziemi Niczyjej. Kiedy jednak wyciągnęła palce po przeskakujące nici Abbota, Aeduan rzucił się na nią.

– Nie. – Opuścił jej rękę i w tym momencie powietrze przeciął miecz Abbota. Miejsce, w którym przed chwilą stała Iseult.

Smagnął ją zimny podmuch. Aeduan pociągał ją w tył, na boki, tam gdzie nie mógł jej dosięgnąć Abbot. Aż w końcu to oni stali przed jaskinią. Mnisi i najeźdźcy nadciągali ku nim w zabójczym tempie.

– Biegnij – polecił Aeduan, wpychając Iseult za siebie. – Biegnij i się nie oglądaj.

– Mogę go rozszcześcić... – zaczęła.

– Możesz... ale nie powinnaś. Nie chcesz mieć w sobie jego umysłu. Zdążył ją rozgryźć.

– Ja zajmę się Natanem.

– Nie. – Iseult chwyciła go za rękę. – Chodź ze mną. Nie uratowałam cię po to, żebyś miał znowu umrzeć.

– Ruszę zaraz za tobą – zapewnił i dotarło do niej, że nie zmieni zdania.

Kiwnęła więc głową i poklepała zakrwawioną monetę pod swoją koszulą.

– Znajdź mnie.

- Zawsze – obiecał i na krótką chwilę w tym całym chaosie spojrzał jej w oczy. Tak jasne, tak niebieskie. Kiedy zobaczyła te oczy w Veñazie, pomyślała, że mają kolor zrozumienia.

Miała rację.

- *Te varuje* – rzekła do niego. – *Te varuje*.

Po czym ruszyła pędem, gdzie kazał jej Aeduan.

ROZDZIAŁ 56

Wnętrze jaskini uległo od wczoraj niejakiej zmianie. W górze rozciągał się teraz lodowy most, emanował od niego chłód, do tego hulał przenikliwy wiatr.

Safi nie miała pojęcia, jak to możliwe, że pod ziemią wieje wiatr, ale podejrzewała, że nie jest to coś naturalnego – i że ma to związek z głosami dobiegającymi z drugiego końca jaskini. Te odległe, odbijające się echem od ścian słowa zdawały się ją przywoływać, mimo że wiedziała, iż coś takiego pozbawione jest sensu.

W tym miejscu nic nie miało sensu.

Piekielni bardowie próbowali uspokoić oddech, Vanessa leżała bezwładnie na ramieniu Zandera.

– Wiesz – odezwał się Caden między haustami powietrza – w Górach Orhińskich mamy powiedzenie.: „Ponad wodospadami i przez bystre strumienie”. Tak się tu czuję, Safi. Dokąd, u licha, nas zabrałaś?

– Też chętnie bym się tego dowiedziała – wydyszała Lev, unosząc rękę.

– Magia. – Tyle tylko wykrztusił z siebie Zander, z otwartą buzią gapiąc się na rozświetlone na niebiesko drzwi.

– Nie wiem – przyznała Safi. – Znalazłam to miejsce przypadkiem, kiedy uciekałam przed ognistym jastrzębiem, a teraz... – Wzruszyła bezradnie ramionami. Cóż mogła powiedzieć?

– Dobra, dokąd ten korytarz prowadzi? – Caden zmrużonymi oczami wpatrywał się w ciemność. Przybliżył się do krawędzi klifu. – Ci żołnierze w końcu nas znajdą. A niewykluczone, że już tu zmierzają. Musimy iść dalej.

– Magia – powtórzył Zander, tym razem głośniejszym głosem. Wskazał na drzwi. – Magia.

– Taa, Zan. – Lev poklepała go po ramieniu. – Wiemy.

Wiatr dmuchnął mocniej, rozwiewając włosy Safi, a głosy rozbrzmiały głośniejsz – na tyle głośno, aby wyłapała jedno słowo: więziobrat.

Nasłuchując, próbowała cokolwiek dojrzeć w tej ciemności. To słowo wykrzyknięto po nubreveńsku. Do tego znała ten głos. Jego głos. To niemożliwe, zginął w eksplozji dwa tygodnie temu...

– Safi – rzekł Caden. – Słuchasz nas?

To niemożliwe, powtórzyła w myślach, kręcąc głową. To nie może być on. Merik nie żyje, on nie żyje. Ale głos był identyczny jak ten, który zapamiętała z Jany i z tamtej nocy na piaszczystej drodze.

A wiatry? Mogły należeć do niego?

– Safi! – Caden klepnął ją w ramię. Wzdrygnęła się. – Musimy się udać tamtym mostem. – Spojrzał jej w oczy. – Nie możemy tu zostać.

Zamrugła z konsternacją. Wręcz zagubieniem. Była pewna, że ten głos należy do kogoś, kto nie żyje.

– Most?

– Tamten. – Caden wskazał na lodową szczelinę, a kiedy Safi tam spojrzała, ujrzała jedynie cienie. Daleko, daleko w dole wirowała galaktyka.

– Magia – powtórzył raz jeszcze Zander i wykonał pierwszy ruch od chwili, kiedy wpadł tu przez drzwi: zszedł z półki prosto w otchłań.

Safi rzuciła się, aby go złapać, ale okazała się zbyt wolna, a...

Zander wcale nie spadł. Zamiast tego maszerował w poprzek jaskini, a Vanessa podskakiwała mu na ramieniu.

– Kolejne blaskodziejskie zaklęcie – wyjaśniła Lev, podchodząc do Safi. – Założę się, że masz ich serdecznie dosyć. – Z zawadiackim uśmiechem także zaczęła się przechadzać po niewidzialnym niczym.

– Trzymaj się blisko – mruknął Caden i wziął Safi za rękę. – Ten most jest wąski, a przepaść bezkresna.

Merik naparł na Furię z całym impetem. Zderzenie wiatrów oraz magii. Chłód i lód kontra gwiazdy, które śpiewały teraz w jego krwi. Dwa wiatry nacierające na siebie...

Ściana hałasu, ściana burzy.

– Biegnij! – zawołał Merik do Północnika stojącego na schodkach za nim. Tyle razy już mu to powtarzał, ale jeszcze nigdy to słowo nie znaczyło tyle co teraz. – BIEGNIJ!

Mężczyzna tak właśnie zrobił.

„Czy on je ma?” Głos Kullena przekrzykiwał wiatry – a może rozbrzmiewał tylko w czaszce Merika. Towarzyszyło temu nagle pchnięcie cienistej mocy.

Uskoczył w tył. Uderzył łydkami w schody i stracił równowagę. Przewrócił się. Smagał go wiatr i nagle znalazł się przy nim Kullen, który prześlizgiwał się obok wiru cieni wycelowanych w Północnika.

Merik nie myślał, nie dokonywał obliczeń. On się poruszał, lecąc z pełną siłą w stronę Kullena. A w chwili, kiedy jego więziobrat wylądował – w chwili, kiedy Północnik rzucił się do połyskujących drzwi prowadzących... Noden jeden wie dokąd – Merik przypuścił na niego atak.

Splątani ze sobą spadli w ziejącą poniżej przepaść. Wirowali, opadali i przez kilka niemających końca uderzeń serca grawitacja była silniejsza niż jakakolwiek magia czy burza. Wtedy nadciągnęły zmrożone wiatry Kullena, a te Merika znalazły się pod nimi. Wystrzelili z powrotem w stronę skalnych półek i połyskujących drzwi.

– Gdzie one są? – Słowa Kullena wżerały się do mózgu Merika. – Gdzie je położyłeś?

Ale co? – próbował krzyknąć, tyle że w tej burzy było to niemożliwe. Nie mógł też wzlecieć wyżej niż Kullen. Za każdym razem, kiedy próbował przekoziołkować, Kullen robił to samo. Każdy unik, każdy przeskok – przeciwnik dotrzymywał mu kroku.

– Zabrałeś brzytwę i lustro. Ale ja je odzyskam, więziobracie. Nie ukryjesz ich przede mną.

Lodowate palce dwukrotnie wbiły się w Merika i przecięły mu skórę. Na tyle zimne, aby spowodować odmrożenie. Najpierw twarz, potem klatka piersiowa. W obu przypadkach byłaby to szyja, gdyby Merik nie przywołał między nich swoich wiatrów. Im szybciej frunął, tym szybciej Furia go doganiał – i tym więcej wiatrów zasysali, przez co powietrze się zagęszczało, lodowato zimne, a mimo to gorące wściekłością.

Czeluść przecięła błyskawica. Na tyle blisko, aby przypalić Merikowi skórę. Na tyle jasna, aby oślepić i jego, i Furię. Merik wykorzystał ten moment, fruujące mu przed oczami mroczki, aby się odepchnąć. Na oślep, ale z całą swoją mocą – w stronę tych wirujących w górze gwiazd.

Udało się. Merik wzniósł się wysoko i szybko. Kullen z rykiem wystrzelił za nim. Pojawiły się kolejne błyskawice, jeszcze silniejsze wiatry, ale Merik nabrał tak potrzebnego rozpędu i katapultował się do góry, do góry. Wysoko, wysoko. A kiedy frunął, miał chwilę na namysł. Furia uważał, że Merik ukradł mu brzytwę i lustro; mógł teraz wykorzystać tę wiedzę. Zwłaszcza że dopóki szalał tu Kullen, do środka nie wkroczy Król Zdobywca... a to oznaczało, że nie wkroczy także do Lovats.

Nie mógł bez końca rozpraszać Kullena.

Wiatry Merika zniosły go w stronę lodowego mostu. Emanował od niego chłód, inny niż od burzy Kullena. Ten zdawał się mruścić, nawet śpiewać: „Chodź, chodź i znajdź ukojenie”. Piosenka ze stawu wypełnionego ciałami, tyle że bardziej stanowcza. Matka nawołująca swoje dziecko, by ułożyło się do snu.

Merik zwolnił. Refren rozbrzmiał głośniejsz. „Chodź, mój synu, i zaśnij. Chodź, chodź, lód cię utrzyma”.

Jego spojrzenie prześlizgiwało się wzdłuż mostu ku mrocznej otchłani, gdzie znajdowała się półka z wysokimi, w połowie zmrożonymi drzwiami.

„Chodź, chodź i staw czoła końcowi”.

Nim Merik zdążył pofrunąć w tamtą stronę, nim zdołał odpowiedzieć na to wołanie, w jego mózgu rozległ się głos Kullena: „I KIM SĄ CI INTRUZI?”.

Wzdrygnął się. Spojrzał w dół, bojąc się, że ujrzy Północnika. I rzeczywiście, coś tam się ruszało – kolory, które nie świeciły. Postacie, które nie były Furią, ale także nie Północnikiem.

Czworo ludzi biegło przez jaskinię, jakimś cudem skacząc przez galaktykę, mimo że ich stóp nie podtrzymywały żadne skały.

Choć oślepiały go błyskawice, choć lód śpiewał i go przywoływał, Merik rozpoznał jedną z tych postaci. Złote włosy, teraz krótsze, i ten sprężysty krok.

Ale ona zginęła, pomyślał i ścisnęło mu się boleśnie serce. Zginęła w eksplozji dwa tygodnie temu.

I zaraz wdarła się druga myśl: ty także.

W tym momencie Merik zmienił kierunek swoich wiatrów.

Frunął ku niej.

ROZDZIAŁ 57

Vivia szła jako pierwsza do podziemnego miasta. Cam wspierała się o nią, przyciskając do piersi zabandażowaną dłoń. Słowa wysypywały się z niej bez ładu i składu. Zaraz za nimi z latarnią w ręce szedł wizer Sotar. Nie uwierzył Cam, ale także nie odmówił Vivii, kiedy ta poprosiła, aby do nich dołączył.

– Rybera i ja – wyjaśniała Cam – znaleźliśmy kapitan Sotar we wnętrzu góry. A może to kapitan znalazła nas, nie wiem, sir. Podążała za brzytwą i lustrem Eridysi. Tymi, co przywołują ludzi takich jak ona, rozumie pani?

Vivia niczego nie rozumiała, Sotar odchrząknął sfrustrowany. Wapienny tunel stopniowo schodził coraz niżej; nad ich głowami lśniły zielone luminescencje.

– Więc Rybera zabrała kapitan do grobowca. Tak najszybciej da się wrócić do Zakonu.

– Grobowca? – zapytała Vivia. Wtedy do głowy przyszło jej coś jeszcze: – A co z Merikiem? Gdzie on jest? Dwa tygodnie temu opuściliście razem miasto.

Cam się skrzywiła, a Sotar aż się potknął. Nie wiedział, że Merik żyje. Nikt w królestwie o tym nie wiedział. Wszyscy sądzili, że zginął podczas eksplozji Jany.

– Merik był z nami – przyznała Cam – ale my... rozdzieliliśmy się. Ale on nie umarł – dodała szybko. – Mam przecucie, że nie umarł.

Przecucie? – chciała zapytać Vivia, tak samo jak pragnęła wydobyć z tego chłopaka więcej informacji na temat tego, gdzie on i Merik od tego czasu przebywali i jak doszło do ich rozdzielenia się. Teraz jednak nie pora na to. Nie kiedy towarzyszył im wizer Sotar i trzeba było bronić miasta.

Tak więc Vivia wróciła do wcześniejszej rozmowy.

– Wspomniałeś o grobowcach, Cam. Gdzie? Czyich grobowcach?

– W Zakonie Sióstr Wzrokodziejek – powiedziała Cam takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. – Ry mówiła, że lodowe grobowce to najszybszy sposób na wydostanie się na powierzchnię, więc ona i kapitan Sotar do nich poszły. Zamierzają zniszczyć te stojące kamienie, rozumie pani? Jeśli im się uda, góra się zapadnie i magiczne drzwi przestaną działać. A Królowi Zdobywcy nie uda się wkroczyć do Lovats. Ani nigdzie indziej.

Vivia zmarszczyła czoło. Cóż za absurd. Magiczne drzwi i stojące kamienie, i jakiś tam dawno zaginiony Zakon – szaleństwo. Coś rodem z marzeń jej matki. Tyle że kiedy Cam tłumaczyła te wszystkie niemożliwości, jakby były prawdziwe, Vivia zaczęła się zastanawiać, czy może... może rzeczywiście tak jest.

Skoro w głębi Lovats żyła Studnia Otchłani, to czemu miałyby nie istnieć także inne poukrywane cuda.

– Ale – zakończyła zmęczona Cam – na wszelki wypadek, gdyby plan Ry miał nie wypalić, ona i kapitan Sotar przysłały mnie tutaj, aby panią ostrzec.

– Na wszelki wypadek – powtórzyła Vivia i tym razem obejrzała się na wizera Sotara.

Drżały mu skrzydełka nosa i ostrzegawczo kręcił głową.

Dotarli do końca tunelu, gdzie czekały drzwi z rybimi wiedźmami. Pchnęła je, a kiedy weszła do podziemnego miasta, skłonił jej się młody ojciec z niemowlęciem na rękach. Potem dostrzegli ją inni ludzie na wąskiej ulicy z wapienia. Pełne wahania uśmiechy, dygnięcia i więcej dłoni na sercach, niż na to zasługiwała. O tej godzinie większość mieszkańców spała. Pozostawali niczego nieświadomi, sądzili, że są bezpieczni.

Vivia zacisnęła zęby. Jeśli chłopak mówił prawdę, każdej z tych osób groziło niebezpieczeństwo – a z każdym kolejnym krokiem Vivia coraz bardziej była skłonna mu wierzyć. Opowieść Cam może i była szalona, i niepełna, ale przecież wypowiedział słowa, które mogła znać tylko Stix.

„Noden i rybnie wiedźmy powinni podlegać rządowi kobiety”.

– Tędy – mruknęła Cam, kiedy dotarli do skrzyżowania.

Vivia przyspieszyła, idąc w kierunku wskazanym przez Cam. Po trzech kolejnych skrzyżowaniach doszli do wąskiego tunelu na końcu jaskini. Widziała go już, ale prowadził donikąd, więc ona i jej pracownicy go nie wykorzystali. Teraz jednak weszła za Cam do środka, a kiedy zatrzymały się przed kamienną ścianą, zbliżył się do nich wizer Sotar z latarnią w ręce. Prostokąt wysoki jak Vivia, otoczony setką niewielkich kwadratów z ukośnymi liniami.

– To tutaj – oświadczyła Cam i zdrową ręką poklepała prostokąt.

– To – odezwał się beznamiętnie Sotar – jest ściana.

Vivia musiała przyznać mu rację. Wyglądało to tak, jakby ktoś zaczął wykuwać drzwi, ale ostatecznie zarzucił ten pomysł.

– Nie – upierała się Cam. Spojrzała błagalnie na Vivie. – Te drzwi prowadzą tylko w jedną stronę, sir. Można wyjść z góry i trafić tutaj, ale nie można wrócić tam z powrotem. Szóstka tak to zrobiła dla bezpieczeństwa. Przysięgam, że to stamtąd przyszedłem.

„Prowadzą w jedną tylko stronę”. Powietrze wydobyło się z sykiem z płuc Vivii. Co ona, na głębie piekielne, tu robiła? Chyba nie zamierzała uwierzyć chłopakowi, którego ledwie знаła, tylko dlatego, że zacytował coś, co powiedziała Stix...

Zamierzała? Mogła to zrobić?

– Proszę, sir – szepnęła Cam i dotknęła rękawa Vivii. – Musi mi pani uwierzyć.

Vivia się odwróciła i spojrzała posłańcowi w oczy. Szczere, niewinne oczy. Merik ufał temu chłopakowi i wyglądało na to, że Stix także. A jeśli kapitan rzeczywiście przysłała go tutaj dlatego, że jej zdaniem Vivie i Lovats trzeba ostrzec, w takim razie nie mogła ryzykować i go ignorować. Bez względu na to, jak nierealne mogły się wydawać opowieści o magicznych drzwiach i wzrokodziejkach, Vivia wolała ewakuować podziemne miasto i zostać znienawidzoną, niż stracić setki żyć. Rzekła więc do wizera Sotara:

– Proszę wyludnić podziemne miasto.

– Chyba nie mówi pani poważnie.

– Proszę tak zrobić – nakazała, bawiąc się mankietami. – A potem ewakuować cały płaskowyz, wizerze. Albo przynajmniej spróbować. Chcę, aby rozbrzmiał każdy wichrowy taraban w mieście.

Sotar otworzył usta, po czym je zamknął.

– Proszę to jeszcze przemyśleć, Wasza Wysokość – rzekł w końcu. – Do ewakuacji miasta trzeba będzie...

– Każdej kobiety i mężczyzny z Twierdzy Pyna – przerwała mu. – Doskonale o tym wiem. Rozumiem także, co ryzykujemy, jeśli zdecydujemy się zignorować tego chłopca. Jeśli on ma rację, wizerze Sotar... Nie możemy ryzykować. A teraz proszę odejść. Proszę.

Na dźwięk tego nazwiska Cam się wyprostowała. Uniosła brwi.

– Och. To pan, sir. Przepraszam, nie wiedziałem, inaczej szybciej bym to panu powiedział. Kapitan miała także wiadomość dla pana. – Skinęła z powagą głową. – Kazała przekazać, że przeprosza za niezjawienie się na pańskich urodzinach. Przyrzeka, że za rok wybieriecie się do Rozszczepieńca.

To było jak zmiana wiatru. W jednej chwili żagle złapały wiatr i łódź Sotara wręcz frunęła, w następnej leżał martwy w wodzie. Przygarbił się i zamknął oczy.

– Nienawidzę Rozszczepieńca – rzucił cicho. – I ona cholernie dobrze o tym wie. Mimo to co roku zmusza mnie, żebym tam poszedł.

Vivia przysunęła się do Sotara i położyła dłoń na jego rękawie.

– Wiesz, co musimy zrobić.

– Tak. – Przymknął powieki i pokiwał powoli głową, jakby do siebie, a kiedy otworzył na powrót oczy, zsalutował Vivii. – Robi się, Wasza Wysokość. Ewakuujemy podziemne miasto i całe Lovats.

– Dziękuję ci. – Przełknęła ślinę, następnie wygładziła koszulę oraz płaszcz. – Chcę także, wizerze, abyś przyprowadził do mnie każdego czarodzieja w tym mieście. Musimy zablokować te drzwi najszybciej, jak się da.

ROZDZIAŁ 58

„*Te varuje*. Ufam ci, jakby moja dusza była twoją”.

Aeduan nigdy nie sądził, że usłyszy takie słowa. Przynajmniej odkąd zginęła jego matka, a on się dowiedział, że jest demonem – i że wszystkie demony umierają w samotności.

Te varuje.

Iseult zniknęła w mrocznej otchłani jaskini.

Natan rykiem okazał swoją wściekłość. Cuchnęła nią jego krew. Gdaczący śmiech, górski chłód, nienasycony głód i zakrwawione knykcie.

Aeduan miał dwa wyjścia. Mógł walczyć z Natanem i pozwolić, aby ta walka go zmiażdżyła, albo nie dopuścić do walki i pozwolić, aby Natan go zabił. Jedno i drugie kończyło się jego śmiercią i depreczującym Iseult po piętach niebezpieczeństwem.

Moc Studni zniknęła szybko z jego krwi.

Iseult, Iseult, Iseult. Tylko ona się liczyła. Musiał zyskać dla niej wystarczająco czasu, aby zdążyła uciec.

Natan przypuścił atak – Aeduan był na to gotowy. Na jedno bicie serca zmienił równowagę swojej magii. Przeniósł ją z pola bitwy do mięśni. To wystarczyło, aby dał nura pod mieczem Natana i wytrącił mu z ręki puklerz, który upadł na śnieg.

Najeźdźcy i mnisi na rzece wystrzelili do przodu. Tysiące wojowników niosących zniszczenie.

Gdy Aeduan podniósł ze śniegu tarczę, Natan znowu rzucił się w jego stronę, silny i gotowy. Może i stracił puklerz, ale nadal był Carawenem przygotowanym na wszystko.

Aeduan odparł atak, unosząc wysoko tarczę.

Wojownicy się zbliżali.

Kolejny atak Natana. Tym razem, kiedy Aeduan go zablokował, mnich się zaśmiał. Rozległ się hardy, mściwy rechot, taki sam, jaki frunął w jego stronę każdego dnia, kiedy byli dziećmi.

– Ja mogę tak bez końca, krwiodzieju. Ciekawe, jak długo ty wytrzymasz?

Natan brał zamach, Aeduan się uchylał, ale każdy jego ruch był wolniejszy niż poprzedni. Za to każdy atak o włos bliżej od powodzenia.

W końcu Natan wbił miecz w serce Aeduana, przecinając je na pół. Wyszarpnął ostrze i niczym topiący się lód magia Aeduana dała za wygraną. Bitwa wyslizgnęła się z jego rąk. Naparł na niego nagły hałas.

Natan aż podskoczył. Obejrzał się.

Aeduan wykonał swój ruch, przyszpilił Abbota do ziemi. Turlali się po śniegu. Serce Aeduana tryskało krwią, obmywając Natana czerwienią, ale rana już się goiła. Czy tego chciał, czy nie, jego magia zespoila mu serce. Bez magii dodającej sił jego mięśniom nie miałyby szansy w tym starciu. Natan usiadł na nim okrakiem i żadne wysiłki by go teraz nie uwolniły.

Przestał walczyć. Leżał na śniegu, po klatce piersiowej płynęła mu krew – odległy ból, tak samo jak śnieg pod nim był odlegle zimny. Patrzył, jak Natan się z niego śmieje, jak wyciąga spod pendentu nóż.

– Nigdy nie sądziłem, że ujrzę cię w takiej pozycji – oświadczył, używając niemal takich samych słów jak zaledwie wczoraj Lizl. W przeciwieństwie do niej rozkoszował się tą chwilą. – Tyle razy sobie wyobrażałem, że odcinam ci głowę od szyi i w końcu tak się stanie. Zawsze byłeś najlepszy w walce, brałeś najlepsze zlecenia, ale kim jest teraz Abbot? A kto zaraz straci życie?

Gdy to mówił, Aeduan leżał bez ruchu i łapał oddech, w jego stronę zaś napływały kolejne zapachy krwi. Na czoło wysunęła się jedna woń. Prędkość i wianki ze strokrotek, pocałunki matki i naostrzona stal. Dochodziła z wnętrza jaskini.

– Jak to jest wiedzieć, że cię zabiję? – kontynuował Natan. – Wiedzieć, że twoja magia nie może cię teraz uratować?

Była tak blisko. Prawie, prawie...

– To samo zrobię z tamtą dziewczyną. Tym nomatsańskim śmieciem twierdzącym, że jest Cahr Awenem. Jej też odetnę głowę.

Wtedy Aeduan ją zobaczył, postać całą w popiele i krwi.

– Nie możesz mnie powstrzymać. Nie możesz mnie zabić...

– Nie – warknęła za nim Lizl. – Ale ja mogę.

Jej miecz przebił klatkę piersiową Natana. Zadała ranę taką jak Natan Aeduanowi, ale w przeciwnym kierunku – ostrze weszło plecami i przebiło serce. A potem, zupełnie jak Natan, Lizl wyciągnęła broń.

Rozedrgane ciało Natana przewróciło się na bok, a Lizl wyciągnęła rękę do Aeduana. Gdy pomagała mu wstać, dostrzegł na jej pelerynie nową smugę krwi, na samym brzegu, co nadawało jej wygląd peleryny noszonej przez każdego Abbota – takiej, której Aeduan już nie będzie nosił.

Z jaskini wysypała się setka mnichów.

– Teraz masz już wobec mnie cztery długie życia, mnichu Aeduanie! – zawołała Lizl, przekrzykując najeźdźców i pozostałych mnichów zdążających w ich stronę. Wcisnęła mu w dłoń miecz Natana. – I piąty za tę broń, a szósty za buntowników, których przywiodłam ci na ratunek. – Odwróciła się w stronę mnichów za sobą, wyrzuciła do góry wolną rękę i ryknęła: – Za Cahr Awenów!

Buntownicy ruszyli do ataku. Płatanina ciał, ostrzy i krwi. Minęli Aeduana, wstrząsając ziemią i zamarznietymi trzciniami. Przez cały wiek, a może tylko przez chwilę, stał tam i patrzył, a w tym czasie serce z powrotem mu się zrastało. Jego krew – stopniowo, stopniowo – pompowała coraz mocniej, a magia dokończyła to, co wcześniej zaczęła.

W końcu płuca wypełniły mu się powietrzem. Serce mocno zabiło i po raz pierwszy w swoim dwudziestoletnim życiu Aeduan wiedział, kim jest i co musi zrobić.

Wyprostował się.

Dołączył do bitwy.

Za Cahr Awenów.

Kroki Iseult odbijały się echem od ścian tunelu. Oddychała miarowo. Miała to wyćwiczone, a do tego jeszcze napędzała ją moc Studni.

Biegła. Znowu. Zawsze biegła. Drogę oświetlał jej księżyc, kiedy jednak tunel skręcił i utraciła źródło światła, szła z wyciągniętymi przed siebie rękami. Próbowwała sobie przypomnieć, co się tu znajdowało, kiedy ona i Leopold szli w przeciwną stronę.

Leopold, Leopold. Zostawiła go. A żeby ścisnęły ją wrota piekielne, zostawiła go. Wyrzuty sumienia będą ją dręczyć do końca życia. I za to, że zostawiła Aeduana, także. Co kilka sekund oglądała się, modląc się o to, aby dojrzała w ciemnościach jego twarz, usłyszała pozbawiony nici Więzi oddech. Ale tak się nie działo, a ona szła dalej. Aż w końcu hen, przed nią zajaśniało blade światło, ku któremu przyspieszyła. Dotarła do rozwidlenia w tunelu.

Zatrzymała się. A nawet zrobiła dwa kroki w tył. Na ziemi stała świeczka – ta, którą niósł Leopold. Dzięki tłącej się w niej magii wosk się nie stopił. Knot niestrudzenie się palił.

Jednak to ciała sprawiły, że Iseult serce podeszło do gardła. Najeźdźcy i mnisi tkwili w bezruchu, podobnie jak wtedy, kiedy zaczarował ich Aeduan, tyle że ci tutaj zostali zatrzymani przez skałę. Wyglądali jak wyciosani z granitu, lecz żaden rzeźbiarz nie stworzyłby takich pozorów rzeczywistości.

Sowa. Iseult nie miała wątpliwości. Ta dziewczynka tu była. Obydwa rozwidlenia były wypełnione kamiennymi wojownikami.

Do świadomości Iseult napływały nici, oszołomione i przerażone. Pełne konsternacji, a nawet ulgi. Wtedy w oddali rozległ się stanowczy, kobiecy głos:

– Idziemy dalej!

Iseult wystrzeliła w stronę tunelu prowadzącego poza Klasztor. Po drodze zgarnęła z ziemi świeczkę i w chwili, kiedy do jaskini wdarły się pierwsze nici Więzi, ona dała nura w ciemność. Kolejni kamienni mnisi, kolejni kamienni najeźdźcy. Lawirowała między nimi, przyspieszając nawet wtedy, kiedy tunel stawał się coraz bardziej

stromy. W końcu zmienił się w schody i choć płonęły jej płuca, Iseult przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Powietrze stało się ostrzejsze, na ścianach połyskiwał szron. Schodki wysypane były drobnym żwirem. Wyraźna linia prowadząca do góry, jakby przechodziła tędy ziemiodziejka.

Iseult jeszcze bardziej przyspieszyła i wkrótce obmyło ją światło księżyca. Ostatni odcinek pokonała biegiem.

Otaczały ją zaśnieżone jodły, dmuchał wiatr, a po niebie przemykały pierwsze kosmyki świtu. Nawet tutaj – bez względu na to, czym było owo „tutaj” – dobiegały odgłosy bitwy i ognia. Wszystko rozgrywało się zbyt daleko, aby mogła wyczuć nici i choćby wskazać kierunek.

Tyle że dwa komplety nici Więzi znajdowały się na tyle blisko, że je wyczuła. Czekwały dokładnie na wprost niej. Jeden emanował intensywną zielenią ziemiodziejkiej mocy, a drugi miał w sobie wzburzony błękit.

Sowa. Leopold. Czekali przy dwóch stertach głazów, a na dźwięk jej kroków książę się odwrócił. W tym momencie jego nici zaświeciły tak czystą ulgą, że Iseult aż zaboląły oczy. Nici Sowy migotały różową radością. Sama dziewczynka, pokryta warstwą brudu, uśmiechała się od ucha do ucha tak szeroko, jak Iseult jeszcze nie widziała. Takie szczęście. Takie ciepło.

Na jej widok niemal się rozpląkała.

Nie, Iseult rzeczywiście zaczęła płakać. Z jej oczu trysnęły łzy i dotarło do niej, że wcześniej nie miała racji. To ciepło w jej klatce piersiowej było miłością, miłością do tego dziwnego dziecka.

– Wolna byłaś – odezwała się Sowa i nim Iseult zdążyła przetworzyć, co to miało znaczyć, dopadł do niej Leopold. Bez ostrzeżenia ukrył ją w swoich objęciach. Tak ją tym zaskoczył, że w ogóle się nie opierała, a jego nici, lodowata ulga, szczęście w kolorze zachodzącego słońca i zielona troska, na chwilę przesłoniły otaczający ich świat.

– Zgubiłem cię na rzece – wyrzucił z siebie. – Nie mogłem cię znaleźć i myślałem, że już po tobie.

Nie, pomyślała Iseult, odsuwając się od niego. To ja zostawiłam cię. O tym opowie mu później.

– Musimy uciekać – rzekła do niego po cartorriańsku. – Najeźdźcy i mnisi idą w naszą stronę... – Urwała, kiedy nagle dotarło do niej znaczenie tej sceny. Sowa. Leopold. Razem przy dwóch stosach kamieni. – Co ty robisz? – To pytanie skierowała najpierw do Leopolda, a potem po nomatsańsku do Sowy.

– Uciekam – odparła Sowa takim tonem, jakby to była najoczywistsza na świecie sprawa. – Znam drogę. – Odwróciła się w stronę mniejszej sterty kamieni i siłą woli uniosła jeden z nich. Uderzył w drugą stertę z taką siłą, że aż ziemia zadrżała. Z drzew spadł śnieg.

– Znalazł mnie nietoperz – wyjaśnił Leopold. – Byłem otoczony ze wszystkich stron, a on ich odgonił. Potem pojawiła się Sowa i udałem się za nią. – Pokręcił głową, a niedowierzanie obecne było zarówno na jego twarzy, jak w niciach, jakby nadal nie rozumiał, co się wydarzyło i dlaczego.

„Łoskot, łoskot”. Nici Sowy błyszczały. Dmuchał silny wiatr.

– Kim ona jest, Iseult? – zapytał księżę, obserwując dziewczynkę. – To nie jest zwyczajne dziecko.

– Nie – zgodziła się z nim Iseult, ale innej odpowiedzi nie miała. Wiedziała tylko tyle, że Sowa jest wyjątkowa.

– Tędy – przerwała im dziewczynka i usunęła ostatni głaz, odsłaniając dziurę w ziemi emitującą niebieskie światło.

Nim Iseult zdążyła ją powstrzymać, miała ponownie się uśmiechnęła – błysk różowego rozbawienia – po czym wczółgała się do dziury. Połknęło ją niebieskie światło.

W ślad za nią udali się Iseult i Leopold.

ROZDZIAŁ 59

Ciemność przecinały błyskawice. Safi skwierczały oczy. Serce się smażyło, a każdy oddech miał smak płonącej śmierci, ale ani ona, ani piekielni bardowie nie przestawali biec.

Nie szkodzi, że nie widziała ścieżki pod stopami, nie szkodzi, że jej oczom ukazywała się jedynie kłębiąca się w dole galaktyka – i nie szkodzi, że ta nienaturalna burza z każdą chwilą przybierała na sile. Piekielni bardowie biegli ile sił w nogach, a Caden ani na chwilę nie puszczał dłoni Safi.

Aż do teraz. Nie miał wyboru, bo zatrzęsała się ziemia, wyrywając Safi z jego uścisku. Szarpnęło całym mostem.

Safi poszybowała w ciemność.

Krzyczała, ale jej głos zgubił się w wyciu wiatrów, został połknięty przez niekończące się trzaski błyskawic. A może ten odgłos wydawała pękająca góra. Safi nie miała pojęcia, nie wiedziała także, jaka dopadnie ją śmierć, co ją czeka na dole.

Wtedy jej ciało uderzyło w coś twardego, zamarzniętego. Nie umierała jednak, a życie nie ulatywało z jej żył. Obejmowały ją silne ramiona, a jakiś mężczyzna wrzasnął:

– TRZYMAJ SIĘ!

Więc Safi się trzymała, nawet jeśli jej umysł za tym wszystkim nie nadążał. Nie miała pojęcia, kogo się tak kurczowo trzyma. Wiedziała jedynie, że ten ktoś ma ją blisko siebie i że szybuje ku górze.

Od dołu napierały wiatry, natomiast od góry naciskała na nich burza. Ta linia szkwałów próbowała ich zmiażdżyć, ugotować, nie dopuszczając do wzniesienia się jeszcze wyżej.

W tym momencie ciemność przecięła błyskawica, tuż przy nich, tak jasna, że noc zmieniła się w dzień. I tak jasna, że mimo zaciśniętych powiek Safi dojrzała znajdującą się obok niej twarz.

Niemożliwe, pomyślała, i w tej samej chwili jej magia zakrzyknęła: **prawda!**

On także musiał dostrzec jej twarz, bo jego magia na chwilę się zawahała. Świat zwolnił i podczas tej krótkiej chwili między gorączkowymi, smaganymi burzą oddechami Safi ujrzała wszystko, co potrzebowała zobaczyć.

Po raz pierwszy od miesiąca zobaczyła Merika Nihara. Zobaczyła mężczyznę, którego uznawała za martwego.

Przez połowę jego twarzy biegły czerwone blizny, docierały aż do linii ciemnych włosów. Brakowało mu części brwi, był też sporo chudszy, kości napierały na wychudłe policzki, a pod skórą rozchodziły się dziwne cienie. Ale to był on. Jego twarz Safi poznałaby wszędzie. I oczy. Prawda, prawda, prawda.

Wtedy wbiły się w nich wiatry i burza. Safi nic nie widziała, nic nie słyszała. W jej wnętrzu buzowały wyładowania, drapały skórę. Znowu frunęli. Coraz wyżej, opierając się atakującej ich zawierusze. Znieruchomiali, nieustępliwi, żywi. Ziemia także się trzęsła – basowe wibracje rezonujące w płucach Safi.

Kiedy w końcu zwolnili, wiatry Merika podrzuciły ich na nierówne, wyciosane w ścianie jaskini schody. Burza nieprzerwanie szalała, skały nieustannie drżały. Safi ledwie była w stanie utrzymać się na nogach, próbowała się wesprzeć o ścianę góry.

Merik zajmował stopień tuż pod nią, jedną ręką opierał się o skałę, drugą nadal obejmował talię Safi. Spojrzał na nią, oczami równie brązowymi, jak je zapamiętała, nawet w tym skąpanym w świetle błyskawic świecie. On żył. I był tu przy niej.

– Jak? – próbowała powiedzieć, a on w tym samym momencie wyrzucił z siebie:

– Ty zginęłaś.

Pokręciła głową, on także. Nim jednak mogła zadać pytanie, poruszyć się, zrobić coś oprócz wbijania w niego wzroku, przez burzę przedarł się śpiew utkany z lodu i koszmarów:

– Nie możesz uciekać wiecznie, Meriku. Dokądkolwiek się nie udasz, znajdę cię.

Wiatr naparł na Safi. Zdmuchiwał śnieg i wciskał się pod jej ubranie niczym przeszukujące dłonie...

– Odejdź – odezwał się Merik. Puścił ją i odsunął się, po czym pojawiły się nowe wiatry, silne i prawdziwe. – Odejdź – powtórzył, tym razem głośniej. W szeroko otwartych oczach malowało się błaganie. – Safi, proszę, odejdź. – Nim zdążyła go powstrzymać, błagać, aby został albo wytłumaczył czy choćby powiedział, jak będzie go mogła znaleźć, on rzucił się w mrok.

Patrzyła, jak się oddalał, kurczył, aż nie widziała już nic oprócz cienia. Widziała moment, w którym skradły go błyskawice i cyklony. Tkwiła ze wzrokiem wbitym w nicość, dopóki spadające kamienie nie zmusiły jej do ruszenia się z miejsca.

Schody pod nią się waliły. Coraz bliżej rozlegały się grzmiące erupcje hałasu i pyłu. Wkrótce nic już z nich nie zostanie.

Safi odwróciła się na pięcie i zaczęła biec. Chwytała się dłońmi wyższych stopni, tyle tylko mogła zrobić, aby zachować równowagę, kiedy wokół niej szalały burza i trzęsienie ziemi.

Spadały głązy. Safi ugięły się kolana i przeskoczyło jej coś w kostkach. Nagle schody się skończyły. Jej dłonie napotkały powietrze, a przed nią znajdowała się półka.

– SAFI! – ryknął znany jej głos.

– Safi, szybciej! Safi, tędy! – wykrzykiwał ktoś inny.

Pognała tam, gdzie po chwili zmaterializowały się dwie postacie, do niebieskiego światła.

Caden chwycił ją za jedną rękę, Zander za drugą. Razem wciągnęli ją przez drzwi. Zdążyła się obejrzeć, aby po raz ostatni poszukać wzrokiem Merika.

Nie miała szczęścia. Przed oczami śmignęła jej za to stara wrona, czarna i lśniąca, przelatująca przez burzę.

A potem połknęło ją niebieskie światło, czas się zatrzymał, a Safi i piekielni bardowie zostali przeniesieni hen, daleko.

Merik nie patrzył, jak Safi odchodzi. Nie był w stanie. Furia ją doganiał, księżę musiał go jakoś odciągnąć.

Miał teraz plan. Ani spójny, ani prawdopodobnie nawet wykonalny – ale to było jedyne dostępne wyjście. Podejrzywał, że to uspokoi Furię raz na zawsze.

– Chcesz je? – zagrzemiał, pompując do tych słów całą swoją magię. – Będziesz tu musiał przyjść i je zabrać. – Wziął do ręki dwa wyszczerbione kamienie, licząc na to, że z daleka mogą wyglądać jak zaginione narzędzia Furii.

W jednej ręce brzytwa, w drugiej potłuczone szkło.

Jaskinię przeszył niesiony przez błyskawicę pisk. Przeszył górę, która nie przestawała drzeć. Wreszcie pojawił się sam Furia.

Merik ruszył w stronę lodowego mostu, napędzany światłem gwiazd i potrzebą chronienia Nubrevny, bez względu na cenę. A także wabiony przez wołanie matki i śpiący lód, o którym Esme mówiła, że potrafi każdego wessać.

Zgodnie z jego przewidywaniami Furia podążył za nim.

Merik dotarł do mostu. Kiedy postawił na nim stopy, od razu zaatakowała go piosenka.

„Chodź, chodź i znajdź ukojenie. Chodź, chodź, lód cię utuli”.

Świetnie. Liczył, że tak właśnie się stanie. Puścił się biegiem. Lód kruszył mu się pod stopami, a wszędzie wokół szalała burza.

Furia wylądował.

– Dokąd idziesz? – zagrzemiał. – Tak się nie uwolnisz!

Merik przyspieszył. Drzwi znajdowały się już na tyle blisko, że widział wzory na drewnie, dostrzegł dziurkę na klucz z przeciskającym się przez nią lodem.

– Stop! – W głosie Kullena dała się słyszeć panika, elektryczność, trzaskająca w powietrzu i kłująca skórę Merika. – Zatrzymaj się! – krzyknął błagalnie. – Nie idź w tamtą stronę!

Merik dotarł do drzwi, do lodu i rzucił się w jego stronę. Piosenka natychmiast stała się głośniejsza. Pulsowała mu w płucach. Dziesięć razy mocniejsza wibrowała mu w zębach i zakorzeniała się w sercu.

Gdy próbował się precyzyjnie przez wąskie przejście emanujące niebieskim światłem, lód się kruszył, chwycił, otulał, pragnąc utrzymać go w bezruchu.

„Chodź, chodź i znajdź ukojenie. Chodź, chodź, lód cię utuli”.

– Jeszcze... nie – wykrztusił. Wykonał ostatnie pchnięcie i wypadł na otwartą przestrzeń.

Jak w każdym innym miejscu w tej górze tu też trzęsła się ziemia – tyle że zamiast kamieni z góry spadał lód.

Zrobił krok w przód i osłaniając rękami twarz, rozejrzał się po tym zamrażającym pomieszczeniu. Miało kształt muszli i wznosiło się spiralnie do góry. Odchodziły od niego setki drzwi, a każde były skute lodem. Każde z wyjątkiem jednych, hen, wysoko.

„Chodź, chodź i znajdź ukojenie. Chodź, chodź, lód cię utuli”.

Merik zrobił wdech. Chłód przeciął mu gardło i płuca, ale jednocześnie pojawił się wiatr, a razem z nim moc, silniejsza niż w jaskini, z domieszką czegoś ostrego i gwałtownego.

– Stop! – polecił mu Kullen, przeciskając się do pomieszczenia. Czymś przedziwnym było widzieć strach Furii. Pod jego skórą pulsowały cienie, a wokół oczu migotało coś niebieskiego.

Merik ruszył z miejsca, nim Kullen zdąży zauważyć, że ma w rękach nic innego jak dwa kamienie, nim spadnie więcej lodu i powstrzyma go to przed ucieczką. Jego wiatry uniosły go wysoko. Wznosił się i wirował. Lód nieprzerwanie spadał, w górę pobiegła błyskawica, ale Kullen i jego magia nie okazali się wystarczająco szybcy. Merik dotarł do otwartych drzwi i przefrunął przez nie.

Znalazł się w grobowcu – zrozumiał to, kiedy tylko wpadł do środka. Pod lodową ścianą czaiły się już dwa cienie. Małe postacie wielkości dzieci wciągnięte do tego wiecznego, śpiącego lodu. Pomiedzy dwoma kształtami znajdowały się dwa puste otwory wielkości dorosłego człowieka.

Merik ruszył w stronę tego po prawej. Trzy długie kroki i im bliżej podchodził, tym głośniejsze trzeszczało lód. Niecierpliwy i wygłodniały. „Chodź, chodź i znajdź ukojenie. Chodź, chodź, lód cię utuli”.

Merik nie wszedł do czekającej na niego dziury. Jeszcze nie.

W uszach ryczała mu krew. Drżały mu mięśnie, a żołądek wirował – wcale nie z powodu góry. Działo się tak dlatego, bo Merik zrozumiał, co musi zrobić.

Wtedy zgodnie z jego przewidywaniami w pomieszczeniu zrobiło się ciemno, a po trzęsącej się podłodze zaczęły się prześlizgiwać cienie. Choć był gotowy, choć czekał, nic nie mogło go przygotować na atak Furii.

Uderzyła w niego ściana wiatrów i obróciła do drzwi, twarzą do Kullena, który zatrzymał się tuż za nimi.

– Oddaj mi moją brzytwę – nakazał Furia przez otwarte wejście. – Oddaj mi moje lustro.

Merik uniósł ręce. Już puste, bo kamienie zdążył wcześniej upuścić. I tak jak miał nadzieję – jak się spodziewał – wściekłość wzięła nad Furią górę. Wparował do grobowca, szalejąca mieszanka wiatrów, cieni i wściekłego, czarnego śniegu. Wbił Merika w lód, najpierw za pomocą swojej magii, a potem dotykiem. Chwycił go mocno i uniósł w powietrze, uciszając magię w jego żyłach.

– Co z nimi zrobiłeś? – syknął.

W odpowiedzi Merik mógł się jedynie zaśmiać, prosto w oczy bestii. Kullen już odszedł. Rozumiał to teraz i ta świadomość uczyniła kolejny krok – ten ostatni – o wiele łatwiejszym.

Merik popełnił w życiu wiele błędów, ale to jedno zrobił, jak należy: dla dobra wielu istnień.

Kullen ścisnął go jeszcze mocniej. Przed oczami fruwały Merikowi iskry. Stracił oddech i myśli – tak właśnie miało być, on już ich nie potrzebował. Potrzebował jedynie swoich mięśni i kilku dodatkowych sekund...

Wyrzucił ręce do tyłu, w stronę najbliższego otworu i lodu. Przycisnął do niego dłonie, a te natychmiast zdrętwiały. Rozległa się nieskończona melodia.

„Chodź, chodź i znajdź ukojenie”.

Wtedy lód eksplodował. Posuwał się wzdłuż rąk Merika, wspinał się, oplatał, aż w końcu dotarł do jego ramion, po czym przeskoczył na Kullena. Cienie zamarły.

„Chodź, chodź, lód cię utuli”.

Kullen wciągnął powietrze, jakby wpadł do zimowego morza. Lód nadal się rozprzestrzeniał, pokrył mu tułów, po czym zaczął biec wzdłuż nóg. Następnie obkleił plecy Merika, a zaraz potem Kullena.

Kiedy dotarł do szyi, Merik w końcu spojrzał Kullenowi w oczy. Jego prawdziwe oczy. Już nie czarne, już nie zagubione, lecz niebieskie i smutne, pełne prawdy oczy swojego więziobrata.

– Przepraszam – wychrypiał Kullen.

Merik pragnął powiedzieć to samo. Kullen tu był. On żył i Merik za tak wiele go musiał przeprosić, ale lód zasłonił już jego usta i jedyne, co był w stanie zrobić, to zamrużyć – jeszcze raz i jeszcze. Po policzkach spłynęły mu gorące łzy.

– Przepraszam – powtórzył Kullen. – Najeźdźcy dostali się do wnętrza góry.

Wtedy lód zakrył oczy Merika.

„Chodź, chodź i staw czoła końcowi”.

Merik i Kullen zasnęli.

ROZDZIAŁ 60

Wszystko działo się zbyt szybko. Umysł Safi został oddzielony od jej ciała, by po chwili wrócić na swoje miejsce. Nim jej myśli zaczęły nadążać za mięśniami, została wypluta po drugiej stronie.

Wpadła w wyczekujące ramiona Lev. Otuliła ją zimna, wilgotna noc.

Uderzenie serca później pojawili się także Caden i Zander. Z tym drugim nie było jednak najlepiej. Prawą dłoń i nadgarstek miał zakrwawione i zmiażdżone. W świetle księżyca połyskiwały kości knykci.

– O bogowie – westchnęła Lev, podchodząc do niego. – Trzeba to opatrzyć.

Przez tych kilka sekund, podczas których piekielni bardowie szli w stronę powalonego dębu, Safi kręciła głową i kręciła... I dalej kręciła, poszukując między drzewami cienia piątej osoby. Niedaleko płynęła rzeka, wprawiając ziemię w wibracje, a obok wysokiej sterty kamieni znajdowały się jaśniejące na niebiesko drzwi. Gdzieś w tej mgle i pośród wirujących oparów, gdzieś w tym skalistym krajobrazie musiała się kryć piąta osoba.

Ale jej nie widziała. Bez względu na to, jak uważnie się rozglądała, Safi nie potrafiła wypatrzyć cesarzowej Vanessy.

– Gdzie ona jest? – Spojrzała na piekielnych bardów. – Gdzie Vanessa?

Zignorowali ją. Lev obejmowała plecy Zandera.

– Trzymaj się – powtarzała cicho. – Trzymaj się, Zan.

Caden pospiesznie obwiązywał zmiażdżoną dłoń podartym rękawem koszuli, zupełnie nieświadomy paniki Safi.

– Tej ranie potrzebna jest woda – oświadczył. – I uzdrowiciel. Wszystkie kości są połamane, a jeszcze do tego...

– Gdzie jest Vanessa?! – Przez las poniosł się rozdrażniony i przerażony głos Safi.

Lev w końcu podniosła wzrok znad Zandera, przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Cesarzowa spadła, domno. Na chwilę przed tym, zanim się tu dostaliśmy. Zander próbował ją złapać, ale on...

– Za późno – dokończył Zander, a powodem bólu, który wykrzywił mu twarz, nie była tylko ranna dłoń. Z oczu popłynęły mu łzy. – Próbowałem. Przysięgam, próbowałem.

Magia Safi powiedziała jej, że mówił prawdę. Wiedziała także, że potrzebna mu pomoc, i to szybko – ale w tej akurat chwili Vanessa tkwiła uwięziona w rozpadającej się jaskini i dopóki Safi jej nie znajdzie, wszystko inne się nie liczyło.

Puściła się biegiem w stronę drzwi. Niebieskie światło zamigotało. Caden i Lev krzyknęli, aby się zatrzymała. Nie zrobiła tego. Zanurkowała.

I natrafiła na twardą skałę. Siła uderzenia sprawiła, że odbiła do tyłu. Upadła na ziemię dziesięć kroków dalej. Świat pociemniał i wirował.

– Nie – jęknęła, mrugając ku opromienionemu blaskiem księżyca niebu. – Nie, nie, nie. – Usiadła, pełna determinacji, aby spróbować ponownie.

Kucnęła przy niej Lev.

– To tak nie działa, domno. Już próbowałam. Magia nie wpuści nas tam z powrotem. – Podała Safi rękę, ale ta jej nie ujęła. Nie mogła. Tyle biegania, uciekania, przemocy i ognia... i na co to wszystko? Vanessa i tak nie przeżyła.

Nie, nie, nie. Safi nie uwierzyła. Vanessa nie mogła odejść, nie po tym wszystkim. Nie mogła umrzeć. Tak jak jej brat.

Merik żyje, przypomniała sobie Safi, choć teraz wydawało się to niemożliwe. Czy ona rzeczywiście go widziała? A może był jedynie zjawą utkaną z błyskawicy i śniegu? Nawet jeśli był prawdziwy, nawet jeśli rzeczywiście żył, on także został uwięziony przez tę cholerną górę.

Nie, nie, nie.

Lev się odsunęła. Safi nieruchomo wpatrywała się w drzewa. Za nimi widać było góry, niewyraźne zarysy na tle ciemnego nieba, księżyc co rusz zasnuwały chmury. Stworzenia nocy z wahaniem wznowiły swoją pieśń.

Safi nie płakała. Prawie tego żałowała. Łzy po tym wszystkim wydawały się czymś odpowiednim. Habim i Mathew, Vanessa i Merik. Rokesh – nie miała pojęcia, co się z nim stało. Najpewniej był martwy, tak jak wszystkie żmije, a czyż on, jej Piastunka, nie zasługiwał na łzy?

A jednak łzy nie nadeszły. Safi mogła jedynie oddychać i patrzeć.

I stukać. Lewa dłoń, brudna i zimna, nieprzerwanie wybijała miarowy rytm. Szybciej, szybciej.

– Nie możemy tu zostać. – Do jej świadomości dotarł głos Cadena, wydawał się odległy, a mimo to wiedziała, że był blisko, klęczał zaraz przy niej. Stuk, stuk, stuk. – Myślę, że znajdujemy się w Górach Orhińskich, Safi. Niedaleko majątku Griega. Znam tę rzekę.

Góry Orhińskie i majątek Griega. Dokładnie po przeciwnej stronie Czaroziem niż Marstok. O, bogowie, tyleż niemożliwych splotów zdarzeń jednej nocy. Safi nie wątpiła jednak, że Caden miał rację. Te drzewa, zimno i mgła – w tych górach spędziła dzieciństwo.

– Grieg ma ludzi, którzy chodzą na patrole – kontynuował Caden. – Jeśli nas znajdą, zabiorą nas do niego, a jeśli do tego dojdzie, nie na długo zachowasz wolność.

To prawda, pomyślała Safi. Dom fon Grieg był arystokratą faworyzowanym przez cesarza Henricka. Jedno spojrzenie na Safi i pośle ją do Praggi...

Na tę myśl cała się spięła. Wyprostowała się. Stuk, stuk, stuk. Odwróciła głowę i spojrzała Cadenowi w oczy. Niebieskie drzwi ledwie się teraz świeciły, tworząc aureolę wokół jego twarzy z zaciśniętymi ustami.

– Dobrze. – Safi pozwoliła, aby słowo to ześlizgnęło się z jej języka. Smakowało jak metal. Powtórzyła je, tym razem głośniej. – Dobrze. Niech nas znajdą. Zanderowi jest potrzebna pomoc, a człowiek tak

zamożny jak dom fon Grieg z pewnością ma najlepszych uzdrowicieli w Czarodziemiach. – Caden jedynie ściągnął brwi. Safi wyciągnęła w jego stronę rękę. – Proszę. Ułatwię ci to, piekielny bardziej. Zwiąż mnie i zaprowadź prosto do zamku.

– Co takiego? – Caden się wzdrygnął i spojrzał z niepokojem na Lev.

– Słyszałeś. – Safi wstała z pomocą Cadena. Las zakołysał się. Raz jeszcze wyciągnęła rękę. – Zwiąż mnie i zaprowadź do jego zamku.

– Domno – odezwała się Lev. – Czy ta cała magia pomieszala ci w głowie?

Może tak właśnie się stało. Safi nie wiedziała i miała to gdzieś. Stuk, stuk, stuk – wystukiwała tym razem piętą. Wiedziała, co musi zrobić. Równie wyraźnie, jakby to Iseult ułożyła ten plan i wyszeptala jej go do ucha. Zaczynij. Zakończ.

Pierwszy zrozumiał ją Zander, choć był półprzytomny z bólu.

– Ona... chce uratować swojego wuja – wycharczał.

– Otóż to. – Safi przywołała na twarz swój najbardziej nonszalancki uśmiech. – No dobrze, Cadenie, powiem to po raz ostatni: zwiąż mi ręce i zaprowadź do tamtego zamku, ponieważ muszę poślubić cesarza i nie wydaje mi się, aby Zander mógł stracić jeszcze więcej krwi.

Vivia przyglądała się podziemnemu miastu. Swojemu podziemnemu miastu. Pustemu jak w dniu, w którym je odkryła, tyle że teraz zamiast kurzu, pajęczyn i ogników oglądała ubrania, koce i ulubione lalki, porzucone w domach lub na rogach wapiennych ulic.

To było jak porażka.

Owszem, Vivia wiedziała, że to jedyne wyjście, jedyny sposób na ocalenie jej ludzi. Tak właśnie robią małe liski, kiedy ich norze grozi niebezpieczeństwo: uciekają. Mimo to miała wrażenie, że wręcza Królowi Zdobywcy prezent. Oto moje miasto, specjalnie dla ciebie posprzątane i opróżnione.

Ulice Lovats musiały teraz wyglądać sto razy gorzej niż to. Pod mostem wodnym tłoczyły się łodzie, kierując się na południe, a z miasta wychodziły całe pielgrzymki ludzi kierujących się ku położonym niżej farmom i dolinie.

To nie była oficjalna ewakuacja. Król Regent zaczął już przeciwdziałać, ale okazał się zbyt wolny. Wichrowe tarabany obwieściły alarm: nadciągali najeźdźcy. Ludzie uciekali.

Vivia miała jedynie nadzieję, że ojciec i jego oficerowie także w to uwierzą i że wydadzą swoim oddziałom rozkaz do odwrotu.

Dochodziła druga w nocy. Vivia była jedyną osobą, która pozostała w podziemnym mieście. Odesłała wszystkich ochotników, łącznie z Camem – chociaż chłopak bardzo chciał zostać. Cóż za lojalność, coś za szczerą dobroć. Jeśli... nie, kiedy to przetrwają, Vivia liczyła, że ten chłopak tu zostanie.

Obejrzała się na barierę wzniesioną przez jedynych czarodziejów, jacy mogli jej pomóc – dwóch zielodziejów i jednego skałodzieja. Korzenie i skały złączone razem, aby tworzyć ścianę, która w razie nadejścia najeźdźców spowolni ich przejście przez magiczne drzwi.

Być może i tak wszystko na nic, pomyślała Vivia. Odwróciła się i ruszyła ulicami podziemnego miasta. Drogę oświetlały jej ogniki. Być może Stix i ta Rybera zniszczą magiczne drzwi. Jeśli one w ogóle istnieją.

Vivia dotarła do wyjścia z miasta. Wyjęła już z kieszeni klucz, kiedy nagle znieruchomiała. Przez jaskinię przetoczył się trzask pioruna. Drugi i trzeci, jakby ktoś pukał do drzwi salwami z armaty.

W końcu rozległa się czwarta eksplozja i tym razem towarzyszył jej trzask drewna, zaczęły fruwać kamienie, ziemia pod nogami Vivii zadrżała. Nie musiała się odwracać, aby wiedzieć, co się stało. Nie musiała na to patrzeć, aby wiedzieć, że bariera przed drzwiami uległa zniszczeniu, a do miasta wkraczają najeźdźcy.

Do miasta, które nie było gotowe. Do jej miasta, które potrzebowało więcej czasu.

Dobiegły ją krzyki. W języku arythuańskim. Marstockim także. Towarzyszyły im kroki – zbliżali się najeźdźcy. Za kilka minut dotrą do niej i tej drewnianej barykady, następnie do kolejnej blokady, przed Twierdzą Pyna. Szybko się z nią rozprawią.

Wkrótce Lovats zostanie oblężone.

Kiedy mały lisek i jego nora są zagrożone, kiedy lisek się przekonuje, że odcięto mu drogę ucieczki, wtedy odwraca się i walczy. Kapitan zawsze idzie na dno razem ze swoim statkiem.

Vivia puściła klucz i bez namysłu porzuciła drzwi, szybkim krokiem ruszyła w stronę serca podziemnego miasta, na plac, na którym dwa tygodnie temu ocalała życie Merikowi, gdzie wapienne podłoże było najcieńsze.

Nie potrzebowała korony, aby obronić Nubrevnę przed Królem Zdobywcą. Dysponowała czymś o wiele potężniejszym.

Stanąła na środku placu. Wokół niej tańczyły zielone cienie. Kroki dudniły coraz bliżej, a w ślad za nimi frunęły głosy, ale ona nie mogła się spieszyć. To będzie wymagało mocy i zaufania.

Przyklęka na jedno kolano, położyła obie dłonie na kamiennej podłodze. Rozcapierzyła palce, zamknęła oczy i połączyła się. Sięgała tak daleko, aż jej magia dotknęła wody. Sięgała, aż wyczuła każdą kroplę przepływającą przez płaskowyż, prześlizgującą się szerokimi tunelami i ukrytymi arteriami. Przebijały się przez Cysterny i skapywały po wapiennych ścianach.

Ogromne ilości wody zmierzały w stronę jeziora oświetlanego przez ogniki. Do Studni Otchłani, która reagowała tylko i wyłącznie na Vivie. Ta woda śpiewała w jej krwi i tak jak korzenie Studni rozciągały się po całym świecie, tak samo rozciągała się magia Vivii.

– Chodźcie – poleciała wodzie i Studni. – Chodźcie do mnie.

Woda i Studnia spełniły jej żądanie. Początkowo małe strumyki wspinały się i wiły, stopniowo stawały się coraz większe. Wyżej, wyżej, mocniej, mocniej.

Z oddali słyszała zbliżające się okrzyki wojenne, czuła łomot oficerek na kamiennej podłodze, ale to woda powiedziała jej, gdzie

dokładnie znajdują się ci najeźdźcy, nakierowały ją delikatne wibracje i drgania cieczy. Setki intruzów nadciągających w tę stronę, a kolejni wkraczali przez te nieprawdopodobne, magiczne drzwi.

Dochodzili już do placu Vivii.

– Chodźcie – popędziła wodę. – Prędszej.

Woda popłynęła szybciej, szerokie rzeki kierujące się ku powierzchni. Ku Vivii.

Najeźdźcy też przyspieszyli. Dotarli do placu, zobaczyli ją i choć była teraz połączona z wodą i Studnią, doskonale słyszała coraz głośniejsze ryki.

Chodźcie, pomyślała raz jeszcze, ale tym razem nie kierowała myśli do wody. Tym razem uniosła brodę i otworzyła oczy, bo adresatami byli mężczyźni nadciągający w jej stronę. Baedyedowie i Krwawe Żagle. Futra i brody, czarny jedwab i tatuaże. Masa gwałtownego głodu.

Chodźcie.

Przez pół niemającej końca sekundy niemal wyobrażała sobie, że widzi to co oni: kobietę czekającą na śmierć. Posłuszną, słabą, uginającą się pod siłą męskiego gniewu. Mężczyźni zbyt długo już rządzą Czaroziemiami, sprowadzając na nie krew i chaos. Czas najwyższy, aby Noden i rybie więdźmy podlegali rządowi kobiety.

Vivia zerwała się z ziemi, a razem z nią wystrzeliła woda. Dwa gejzery przebiły się przez skałę w tym samym momencie, kiedy na plac wkroczyli pierwsi najeźdźcy.

Woda ich zniszczyła.

Zwaliła ich z nóg z siłą ogromnej fali, a kiedy Vivia uniosła zamasyście ręce, woda pofrunęła wysoko. Zabierała ze sobą ciała i broń. Rozrzucała łupy przy wtórze pękających czaszek.

Za pierwszą falą nadciągnęli kolejny najeźdźcy. Próbowali obejść gejzery i zaścielające ziemię ciała.

Vivia zawirowała, a woda razem z nią. Wystrzeliła przed siebie, rozdzielając się na setki odnóg poruszających się, jak im rozkazała.

Woda stanowiła przedłużenie jej ciała, jej umysłu. Pragnęła tego co ona – aby jej dom był pusty i bezpieczny.

Vivia straciła rachubę czasu i tego, ilu ludzi pokonała. Woda odmierzała czas kolejnymi falami, nie interesując się ludźmi, nie przejmując się tym, czy jej duszę plami krew.

Woda gromadziła się i unosiła, a im wyżej się wspinała, tym Vivia czuła się silniejsza. Najeźdźcy nadbiegali, a ona nadal przypuszczała na nich atak. Wolna, żywa, niemożliwa do powstrzymania. Nie zatrzymają jej żadne kajdany, żadne maski.

Aż nagle woda natrafiła na opór. Dotarła do ciała, które się nie ugięło.

Vivia się zdumiała. Jej wody znieruchomiały. Wciągnęła głośno powietrze, zaskoczona lodowatymi paluchami wody – tym, jak wysoko płynęła wokół niej. Sięgała połowy ud i wznosiła się coraz wyżej. Na niej unosiły ciała, niektóre drgały, inne się krztusiły, ale większość pozostawała nieruchoma i martwa.

Zjawili się kolejni najeźdźcy. Vivia słyszała pluski i krzyki, ale jej uwagę przykuła osoba stojąca tuż przed nią. W wodzie kołysała się postać w przemoczonej sukni, a z obu jej stron znajdowały się żelazne tarcze, które powstrzymały atak Vivii.

Cesarzowa Marstoku rozpaczliwie łapała powietrze. Połowę twarzy miała czarną. Wpatrywała się w Vivie, a Vivia wpatrywała się w nią.

A potem obie zaczęły biec. Ku sobie. Powolny, mozolny bieg przez wodę i ciała.

Dopadły do siebie i cesarzowa Marstoku osunęła się na Vivie. Skórę miała lodowatą, niezdrowo zielonkawą w świetle ogników. Do Vivii dotarło, że tym czarnym śladem na twarzy jest zastygnięta krew.

Nie było czasu, aby pytać Vanesę, skąd się tu wzięła. Nie było czasu, aby ją podtrzymywać i jednocześnie walczyć z najeźdźcami. Wdzierali się na plac szybciej, niż mogła ich zaatakować woda Vivii.

Woda jednak już jej nie potrzebowała. Odpowiedziała na wołanie Vivii i teraz objęła panowanie. Pienista, wznosząca się masa, która wkrótce stanie się zbyt wysoka, aby najeźdźcy dali sobie z nią radę. Vivia pozwoliła więc wodzie upaść.

Następnie mocno przycisnęła do siebie cesarzową Marstoku – była taka drobna, słaba – i razem szły przez wodę i ciała.

Razem opuściły podziemne miasto. Razem wybiegły w ciemną noc.

ROZDZIAŁ 61

Burza i skały, błyskawice i trzęsienia ziemi. Ciało Iseult stało się kanałem dla hałasu i wyładowań. Przeszywał ją wiatr, smagał deszcz. Trzymała się Leopolda, on zaś trzymał się Sowy. Ich nici lśniły, dwie latarnie morskie prowadzące Iseult do domu.

Przez koniec świata przeprowadzało ją dziecko – uznała to za równie niemożliwe jak przechodzenie przez niebieskie światło i trafienie w sam środek koszmaru. Alternatywy jednak nie było. Puszczanie się Leopolda oznaczało zgubienie drogi, a puszczenie się Sowy równało się utracie jedynej kotwicy, jaką dysponowali pośród tego chaosu.

Nic nie było widać, nie dawało się wyczuć, czy idą do góry, czy w dół. Iseult spodziewała się, że w każdej chwili śliskie od lodu kamienie pod nogami mogą po prostu zniknąć.

Ale ziemia nigdy nie zdradzi ziemodziejki.

Raz Iseult wydawało się, że słyszy głosy. Sądziła, że w tym zamięcie wypatrzyła nici Więzi, grupę ludzi hen, gdzieś w dole. To mogły być jednak zwidy. Cienie w kształcie tańczących w burzy ludzi.

Wokół nich rozbijały się głazy. Żaden na szczęście nie trafił w Iseult czy Leopolda ani w ten dziwny, lodowy most. Za każdym razem Sowa odciągała ich na bok równie łatwo, jak dziecko odrzucałoby zabawki. Czy Sowa miała w ogóle zabawki? Teraz nie wydawała się dzieckiem.

Najmłodsza siostra Księżycowej Matki.

– Tędy! – zawołała Sowa. Było to bardziej drżenie skały niż prawdziwe słowa i do Iseult dotarło, że znajdują się przed drzwiami emitującymi w tym chaosie słabe światło. Były jednak małe i z każdą sekundą coraz bardziej się kurczyły.

Sowa po raz kolejny precyzyjnie się przez nie, nie czekając na Iseult czy Leopolda.

Udali się za nią – jakżeby inaczej. Zrobiliby wszystko, byle tylko uciec przed tą zawieruchą. Iseult wczłogała się jako pierwsza. Była cała poobijana i słaba, a teraz jeszcze została ściśnięta i rozerwana na dwie części.

A jednak wynurzyła się po drugiej stronie, gdzie napotkała mroźne powietrze i błogosławioną ciszę. Przed nią kucała Sowa, w jej niciach wirowała radość i ziemiodziejska moc. Iseult na czworakach ruszyła w stronę dziewczynki... po czym padła na błotnistą, wilgotną ziemię. Dwa uderzenia serca później wylądował obok niej Leopold.

Iseult i księżę głośno łapali powietrze. W jego niciach błyszczało zdumienie i przerażenie – dokładnie to samo czuła Iseult. Drgały jej mięśnie, jakby niebo nadal przeszywały błyskawice. W uszach jej dudniło.

– Co to było? – wykrztusił Leopold, podpierając się na zdrowej ręce. – Na Dwunastu, Iseult, co to było? I kim jest ta mała? – Spojrzał nieufnie na Sowę, a Iseult w jego niciach dostrzegła błysk niesmaku. A może odrazy. Albo po prostu dalej czuł przerażenie.

Iseult była zbyt wykończona, aby cokolwiek tłumaczyć.

– Myślę, że ważniejsze pytanie brzmi: gdzie jesteśmy? – Zdecydowanie opuścili Klasztor. Zrobiło się zimno, ale nie lodowato, niedaleko słychać było szum rzeki.

I szum nici Więzi.

– Ludzie – rzuciła Iseult, a w tym samym czasie Sowa pisnęła:

– Koniec, koniec, koniec.

Tym razem to Sowa zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. Dziewczynka zmieniła się, odkąd opuścili wnętrze góry. Jakby po przeprowadzeniu ich przez zapadający się świat znowu powróciła do bycia dzieckiem.

Rysowała coś palcem na piachu, śpiewając przy tym:

– Koniec, koniec, koniec.

– Zostań tutaj – powiedziała powoli Iseult. Kierowała swoje słowa do Leopolda, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Sowy. – Pójdę

sprawdzić, co to za ludzie. Może nam pomogą.

– Albo – odparował – ty tu zostań, a ja pójde i sprawdzę.

– Nie mamy żadnej broni, książę, a z tego, co mi wiadomo, tylko ja z naszej trójki dysponuję magią zdolną do ranienia ludzi. Cóż – poprawiła się – jeszcze Sowa. Ale... – Machnęła ręką.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Koniec, koniec, koniec.

– A może pójdziemy wszyscy? – zaproponował Leopold. Jego nici kurczyły się z zakłopotaniem.

– I wszyscy będziemy ryzykować, że coś nam się stanie? Nie. – Iseult podniosła się z ziemi. Skąpane w blasku księżyca sosny i buki na chwilę zlały się w całość, po czym szybko się rozdzieliły. – Mogę się tam zakraść niezauważona. Niedługo wrócę.

Jedyną odpowiedzią Leopolda był niezadowolony pomruk, więcej nie protestował. Choć miał koronę, to Iseult posiadała moc.

Nie minęło wiele czasu, a zbliżyła się w stronę drzew. Ten krajobraz przypominał jej Góry Sirmayańskie, lasy, którymi wędrowała przez ostatni miesiąc. Tutaj było jednak inaczej i nie potrafiła określić, skąd to przeczucie; wiedziała i już.

Było także zupełnie inaczej niż w Veñazie. Co by było gdyby. Co by było gdyby. Co by było gdyby.

W dali zamigotały nici Więzi i wkrótce do uszu Iseult dotarły odgłosy cartorriańskiej rozmowy, pełne napięcia, ale nie gniewu. Doszła do wniosku, że to jakaś dyskusja albo debata, bo w ich niciach obecna była zielona koncentracja.

Troje z tych ludzi miało jakieś dziwne nici. Z daleka nie było to takie oczywiste, ale im bliżej podchodziła, tym wyraźniej dostrzegała w ich sercach czarne pasma.

Odcięte nici, pomyślała. Tyle że... jednak nie. Jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego.

Iseult kontynuowałaoby obserwację, ocenianie poziomu bezpieczeństwa i ich zamiarów, ale dwa kroki później znalazła się

na tyle blisko, by rozróżnić poszczególne słowa. I usłyszeć głos, którego – jak się obawiała – miała już nigdy nie usłyszeć.

– A niech cię oszcza łasica – oświadczyła jedyna osoba bez mroku w swoich niciach. – Wiem więcej o tych górach niż ty, Cadenie. Bądź co bądź, kto tu jest domną?

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co oznacza moje nazwisko. Fitz Grieg?

Pauza. A potem:

– Ty draniu! – zawołała Safi i rozległ się dźwięk brzącający jak uderzenie. – Jesteś bękartem! Czemu, u licha, nic nie powiedziałeś?

– Przecież sugeruje to moje nazwisko! Przykro mi, jeśli okazałaś się zbyt ciemna i skupiona na sobie, aby to dostrzec.

Iseult nie mogła w to uwierzyć. Jej dłoń pomknęła ku szyi, ku kamieniowi Więzi. A potem bez ani jednej myśli, bez zawahania, nie pamiętając o tym wszystkim, czego uczyli ją Habim i Mathew, puściła się biegiem.

Tratowała butami poszycie. Mało nie potknęła się o korzeń. Objęła się łokciami o pnie. W czterech kompletach nici przed nią pojawił się niepokój i Iseult wiedziała, że ją usłyszeli – wyciągali właśnie broń albo szykowali się do ataku. Kompletnie się tym nie przejęła. Serce miała tak napęczniałe, że myślała, iż wydostanie się spomiędzy żeber. Po jej twarzy znowu zaczęły płynąć łzy, te łzy jednak rozumiała. Były mile widziane.

Dotarła do polany. Cztery postacie spowite księżycowym blaskiem stały z uniesionymi rękami w gotowości bojowej, ale Iseult wpatrywała się tylko w jedną osobę. Jak mogła wcześniej nie rozpoznać jej nici Więzi? Tak energicznych i pełnych życia.

– Safi – szepnęła. I raz jeszcze, głośniejszym głosem: – Safi.

I tyle tylko było trzeba. Jej więziosiostra opuściła ręce.

– Iseult? – Nie czekając na odpowiedź, rzuciła się w jej stronę. Padła jej w objęcia, śmiejąc się. – Niemożliwe, niemożliwe.

Jeszcze nigdy nikt tak mocno nie wyściskał Iseult i ona także jeszcze nigdy nie odpowiadała równie mocnym uściskiem. Co by

było gdyby. Co by było gdyby. Co by było gdyby. Teraz nie liczyła się już żadna z jej spekulacji.

Iseult powróciła tam, gdzie było jej miejsce. Zaczynij. Zakończ. Więziosiostry do samego końca.

Kiedy niebo śpiewało gwiazdami, dziecko raz jeszcze szepnęło:

– Koniec, koniec, koniec.

Stix nie pamiętała, kiedy wzięła je do ręki.

W sumie to wyraźnie pamiętała, że zrobiła to, co kazała jej Rybera, czyli zostawiła je za sobą.

„Śmierć, śmierć, ostateczny koniec”.

A mimo to jakimś cudem tu były, leżały na pękniętej granitowej płycie. Ziemię pokrywał lód, pozostałości stojącego kamienia. Już się topił, oplatając świt gęstą, białą mgłą.

Stix powoli szła w stronę granitu, ostrożnie stawiając kolejne kroki. Zmrużonymi oczami przyglądała się otaczającemu ją światu. Jej i Ryberze udało się zniszczyć większość stojących kamieni, z którymi powiązana była magia tej góry, ale w jej wnętrzu i tak byli najeźdźcy, przebywali w prowadzących do niego Kryptach i w okolicznych lasach.

Stix dotarła do dwóch przedmiotów, o których wiedziała, że je tu zostawiła.

Na prawo leżała uszkodzona brzytwa. Na ten widok w jej brzuchu utworzyła się czeluść.

„Śmierć, śmierć, ostateczny koniec”.

Obok rękojeści brzytwy zauważyła kwadratową ramkę z rączką. Przypominała jej małe lusterko, które uwielbiała jej starsza siostra, tyle że tutaj szkło było przejrzyste – i potrzaskane. W ramce znajdowało się tylko kilka odłamków.

Stix wyciągnęła rękę w stronę lusterka. Podobnie jak brzytwa ono także do niej śpiewało. Tyle że nie o śmierci. Zapewniało odpowiedzi. To zwykle, potłuczone szkło pozwalało jej zajrzeć.

Ostrożnie się obejrzała, aby sprawdzić, czy Rybera jej się przygląda, by po raz kolejny kazać jej się stamtąd oddalić.

Ale Siostra Wzrokodziejka była zbyt pochłonięta opisywaniem w pamiętniku tego, co uczyniła z kamieniami i z górą. W ogóle nie zwróciła uwagi na to, że Stix się oddaliła.

Kapitan wzięła do ręki potłuczone lustro. Ostrożnie w nie spojrzała.

Świat się rozpadł.

Stix nie stała już obok kamieni. Ze wszystkich stron otaczał ją gęsty las i ośnieżone szczyty. Padał śnieg, a niedaleko szemrała rzeka. Przez kamienny most szedł w jej stronę mężczyzna w czarnym futrze.

Na jego głowie błyszczała srebrna korona. W dłoni trzymał srebrny miecz.

Wroni Król zatrzymał spojrzenie na Stix.

– Wkrótce będzie po wszystkim – powiedział. Jego ostrze zrobiło zamach i wbiło się w jej szyję.

Dopiero kiedy natrafiło na kamień, dotarło do niej, że stoi jak wrośnięta w ziemię. Dopiero kiedy przecięło skałę – potrzebował trzech zamachów, aby to zrobić – dotarło do niej, że jest wyciosana w granicie.

Wtedy ostrze dotarło do ciała.

Stix umarła.

ROZDZIAŁ 62

Krew na śniegu wyglądała na świeżą. Szlochała, sączyła się, a teraz została uwięziona w czasie przez lód i mróz. Zamarznięta rzeka nie przyjmie żadnych ciał, te zwłoki będą tu leżeć przez wiele miesięcy, aż do przyszłorocznych roztopów.

Tak wiele zapachów krwi mieszało się z magią Aeduana, tak wiele trupów, gdzie okiem sięgnąć. To nie on pozbawił życia tych mnichów i najeźdźców. Choć walczył o to, aby chronić Cahr Awenów, dać Iseult czas na ucieczkę, on sam nikogo nie zabił.

Śmierć nie musiała kroczyć w ślad za nim. Już nie.

Odwrócił się tyłem do bitwy. Niektórzy jeszcze walczyli, na drugim końcu doliny, inni natomiast chodzili między ciałami i zbierali swoich. W paru miejscach tlił się morski ogień.

Aeduan zostawił to wszystko za sobą. Musiał podążyć śladem jednego zapachu krwi, musiał dotrzymać obietnicy.

Szedł za tym zapachem przez tunel w górze, gdzie czekali kamienni ludzie. Groteskowe postacie, którym Aeduan zbyt długo się nie przyglądał ani nad którymi jakoś szczególnie się nie zastanawiał. Na rozwidleniu zapach skręcił w prawo – więc on uczynił to samo. Do góry, do góry, aż w końcu dotarł do lasu nad Klasztorem.

Śnieg rozjaśniało światło księżyca. Dostrzegł na nim ślady stóp, rozmiar pasował.

Silny, tutaj zapach był silny: krew Aeduana, intensywna i świeża, oraz świetliki. Musiała być niedaleko, ta, która nosiła na piersi jego monetę. Ta, która go niosła, kiedy nikt inny nie mógł tego zrobić. Ta, która mu pokazała, że tylko on może uratować samego siebie.

Drzewa się rozstąpiły. Tutaj dostrzegł kolejne ślady stóp, poczuł także zapachy krwi dwóch znanych mu osób.

Przyspieszył. Ślady i zapachy kierowały się w stronę płytkiego rowu. Dotarł do krawędzi i zszedł do rowu.

Zatrzymał się. Ścieżka ta wiodła donikąd. Przed nim nie było niczego prócz kamiennej ściany i leżącej na śniegu srebrnej monety.

Aeduan dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymywał oddech. Serce waliło mu jak młotem.

Iseult zgubiła swój srebrny talar. Straciła jedyną rzecz, dzięki której Aeduan mógł ją odnaleźć. On stracił jedyną rzecz, dzięki której mógł ją odnaleźć.

Schylił się i podniósł monetę ze śniegu. Zimną i mokrą. Wybity na niej dwugłowy orzeł splamiony krwią śmiał się do niego. Przez pół oddechu miał ochotę rzucić monetę z powrotem na śnieg.

Nie uczynił tego. Zamiast tego zacisnął na niej palce i odwrócił się tyłem do tej dziwnej, pustej skały. Wrócił na polanę, do światła księżyca.

Po raz pierwszy w życiu Aeduan mógł robić to, co chce. Nie ograniczała go peleryna, kontrakty czy smycz. Nawet obietnica, której zamierzał wcześniej dotrzymać, teraz przepadła pod kamienną ścianą.

Nie był już narzędziem. Nie był już mieczem, który dzierżyli inni albo którym rządziła Pani Los. Był Aeduanem. Po prostu Aeduanem, i mógł wybrać sobie takie życie, jakie chciał. Mógł pójść tam, gdzie poprowadzi go wolna wola.

I już wiedział, dokąd się uda. Nie było to miejsce, lecz osoba. Nie zlecenie, ale obietnica. I nie obowiązek, lecz pragnienie. Może i nie był w stanie pójść jej śladem, ale zapach krwi to nie jedyny sposób na to, aby znaleźć kogoś w Czarodziemiach.

Z tą myślą wsunął monetę do kieszeni. Krwiodziej imieniem Aeduan wykonał koliste ruchy nadgarstkami i szyją, po czym wyruszył w ciemną noc.

ŚWIETLIKI

Nie słyszy, jak się zbliża; nie wyczuwa jej zapachu. Z jej obecności zdaje sobie sprawę, dopiero kiedy podchodzi do niego, podczas gdy on obmywa się w strumieniu.

Zostawił ją w obozie razem z dzieckiem i górskim nietoperzem. Stała i patrzyła za nim, kiedy szedł prosto przed siebie, identycznie jak co wieczór podczas minionego tygodnia wspólnej wędrówki.

– Jesteś ranny – mówi, a on odwraca się w jej stronę. Gdyby nie był ranny, zaatakowałby ją, gdyż wzięła go z zaskoczenia. No ale jest ranny i przez to powolny. – Pozwól, że ci pomogę – proponuje. Coraz większy księżyc świeci z nieba nakrapianego gwiazdami. W jego świetle krew na klatce piersiowej wydaje się czarna.

On nie wie, czemu ta dziewczyna mu pomaga. Nie odsuwa się od niej.

Ona zaczyna go dotykać i choć chce się wzdrygnąć, choć jego palce wygrywają na udzie niecierpliwy rytm, pozostaje na swoim miejscu. Pozwala, aby nachyliła się nad nim, aby położyła dłoń na jego ramieniu i uchwyciła pierwszą z sześciu sterczących mu z brzucha strzał.

Pożegnalny prezent od nomatsańskiej ścieżki.

– Jak to jest – pyta go cicho, zaciskając palce na pierwszym drzewcu – że ciągle wyciągam z ciebie strzały?

Pociąga. On kaszle. Krew tryska.

Dziewczyna powtarza to pięć razy i on niemal widzi, jak ona oblicza długi życia. Tyle że w tym przypadku rany zagoiłyby się same, więc to się nie liczy.

– Przynajmniej tym razem – mówi, kiedy u jego stóp leży już sterta czerwieni – nie wyciągnąłeś ich, zanim tu dotarłeś. Rany szybciej się zagoją.

Nie tak działa jego magia, w żadnym razie, ale nie mówi tego na głos. Zamiast tego pyta ją:

– Specjalizujesz się w krwiodziejach?

– Nie. – W kącikach jej ust pojawia się uśmiech. – W uparciuchach.

– Dobrze wiedzieć.

Teraz jej uśmiech staje się szerszy i z jakiegoś powodu jego serce na ten widok zamiera. Podoba mu się, że widzi fragmenty jej białych zębów. Chyba po raz pierwszy.

– Nie usłyszałem, że się zbliżasz – mówi do niej, odrywając wzrok od jej ust. Ponownie patrzy w żółte oczy. – Zdjęłaś monetę?

– Nie. – Na poparcie swoich słów pociąga za kołnierz, on jednak nie patrzy na srebrny talar czy skórzany rzemyk, do którego jest przytwierdzona moneta, lecz na jej obojczyk. Na małe wgłębienie u jego podstawy.

Puls mu trzepocze.

– Najwyraźniej potrzebuje więcej krwi – mówi w końcu dziewczyna.

Ich spojrzenia się spotykają. Powietrze wydaje się gęstsze. On nie oddycha. Ona nie oddycha.

Aż on nagle nie wytrzymuje. Robi dwa kroki w tył i wyrzuca z siebie:

– Niedługo odejdę. Nie musisz się martwić, że zrobię ci krzywdę.

Nie wie, dlaczego jej to mówi. Nie planował tego. Z drugiej strony zamierzał odejść już wczorajszego wieczoru. I jeszcze wcześniej. Każdego wieczoru, od czasu kiedy znaleźli na Ziemi Niczyjej tamto dziecko.

– Odszedłbyś bez pożegnania?

– A przejąłabyś się tym?

Dziewczyna nie odpowiada. Przygląda mu się jedynie w ten swój uważny sposób, a jemu robi się gorąco w ramiona.

I w policzki. To nie jest reakcja, na którą liczył, sam nie wie, co to takiego.

Dziewczyna schyla się bez ostrzeżenia i podnosi z ziemi strzałę. Następnie robi krok w jego stronę i choć on chce się odsunąć, nie robi tego. Nawet kiedy ona sięga po jego rękę. Dotykem lekkim niczym płatek śniegu oplata palce wokół jego nadgarstka i unosi mu dłoń.

W pierwszej chwili myśli, że ona próbuje czytać mu z ręki jak jakaś wzrokodziejka sprzed wieków – tak jak robiła jego matka. Ale wtedy ona unosi strzałę i nim on zdąży ją powstrzymać, przecina mu nią skórę.

Przeszywa go lekki ból. Syczy, a z rany sączy się krew.

Wtedy dziewczyna wolną ręką sięga po srebrny talar na swojej szyi. Pociąga, urywa. Kładzie monetę na jego dłoni.

Rana już się zabliznia. Krew już krzepnie, ale zdąża jeszcze pozostawić ślad na monecie. Świeża czerwień wsiąka w wyżłobienia na srebrnym orle.

– Chcesz, żebym był w stanie cię odnaleźć? – Ledwie słyszy swój głos. Uwiązł mu gdzieś w klatce piersiowej.

Ona go słyszy.

– Nie chcę, żebyś mnie zabił. Zakładając, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

– Ach – mruczy, chociaż nie to naprawdę ma ochotę powiedzieć.

Dwa oddechy później dziewczyna zabiera monetę z jego dłoni, po czym posyła mu swój subtelnie przebiegły uśmiech – taki, który można dostrzec, tylko kiedy się wie, czego się szuka.

On wie.

– Chcę także – dodaje cicho – abyś mógł mnie odnaleźć.

Nie mówiąc nic więcej, odwraca się i odchodzi. Serce bije mu w nierównym rytmie. Płuca napierają na mostek, czuje, że powinien coś powiedzieć, nim ona odejdzie.

Wydaje mu się, że ta dziewczyna na swój własny sposób prosi go, aby został. Jeszcze nigdy nikt go o to nie prosił.

Nikt. Nigdy.

Ale on milczy. Milczy i nie udaje się za nią. Nie mija wiele czasu, a dziewczyna znika między drzewami. Noc robi się chłodniejsza. On stoi w bezruchu, równie sztywny jak ziemia pod jego stopami.

Patrzy, chwila po chwili, uderzenie serca po uderzeniu serca, jak rana na jego dłoni zabliznia się, aż w końcu nie zostaje nic oprócz zaschniętej krwi.

Bloodwitch

Copyright © by Susan Dennard 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Copyright © for the translation by Monika Nowak 2019

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Piotr Królak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc, Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Piotr Sokołowski

Mapa – Maxime Plasse

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2019

ISBN EPUB: 978-83-8129-514-7

ISBN MOBI: 978-83-8129-513-0



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie książki Krwiodziej:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Bieś

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Trzydzieści lat temu

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Trzydzieści lat temu

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

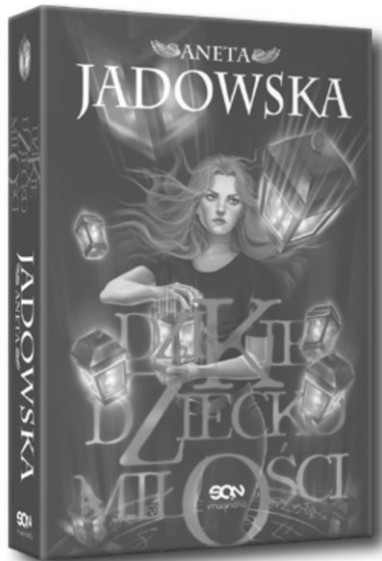
Rozdział 62

Świetliki

Strona redakcyjna

GĘSTA INTRYGA, KRYMINALNE ŚLEDZTWO, SKOMPLIKOWANE RELACJE I NIEZMIENNIE SPORA DAWKA SARKAZMU

W mieście grasuje zabójca, a terytorium wilków skrywa masowe groby. Jedyne trop prowadzi do młodziutkiej wampirzycy. Kim właściwie jest Daria? I jaką rolę odegrała w tej zbrodni? Namiestniczka Dora Wilk i Roman, książę wampirów, jednoczą siły i gromadzą sojuszników, by rozwiązać tajemnicę przerażających morderstw i wymierzyć sprawiedliwość.



W ŚWIECIE THORNU JESZCZE NIGDY
NIE CZAIŁO SIĘ TAK WIELKIE ZŁO

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE OUA NON

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

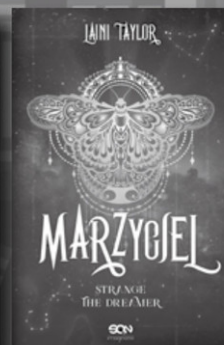
www.labotiga.pl

Oficjalna księgarnia Wydawnictwa SQN

POP, MUZYKA, FANTASTYKA, BOOKBOXY,
PAKIETY I WYJĄTKOWE
SQN ORIGINALS - TYLKO U NAS!

SQN STORE

www.SQNSTORE.pl



www.WSQN.pl

[instagram.com/wydawnictwosqn](https://www.instagram.com/wydawnictwosqn)

[facebook.com/WydawnictwoSQN](https://www.facebook.com/WydawnictwoSQN)